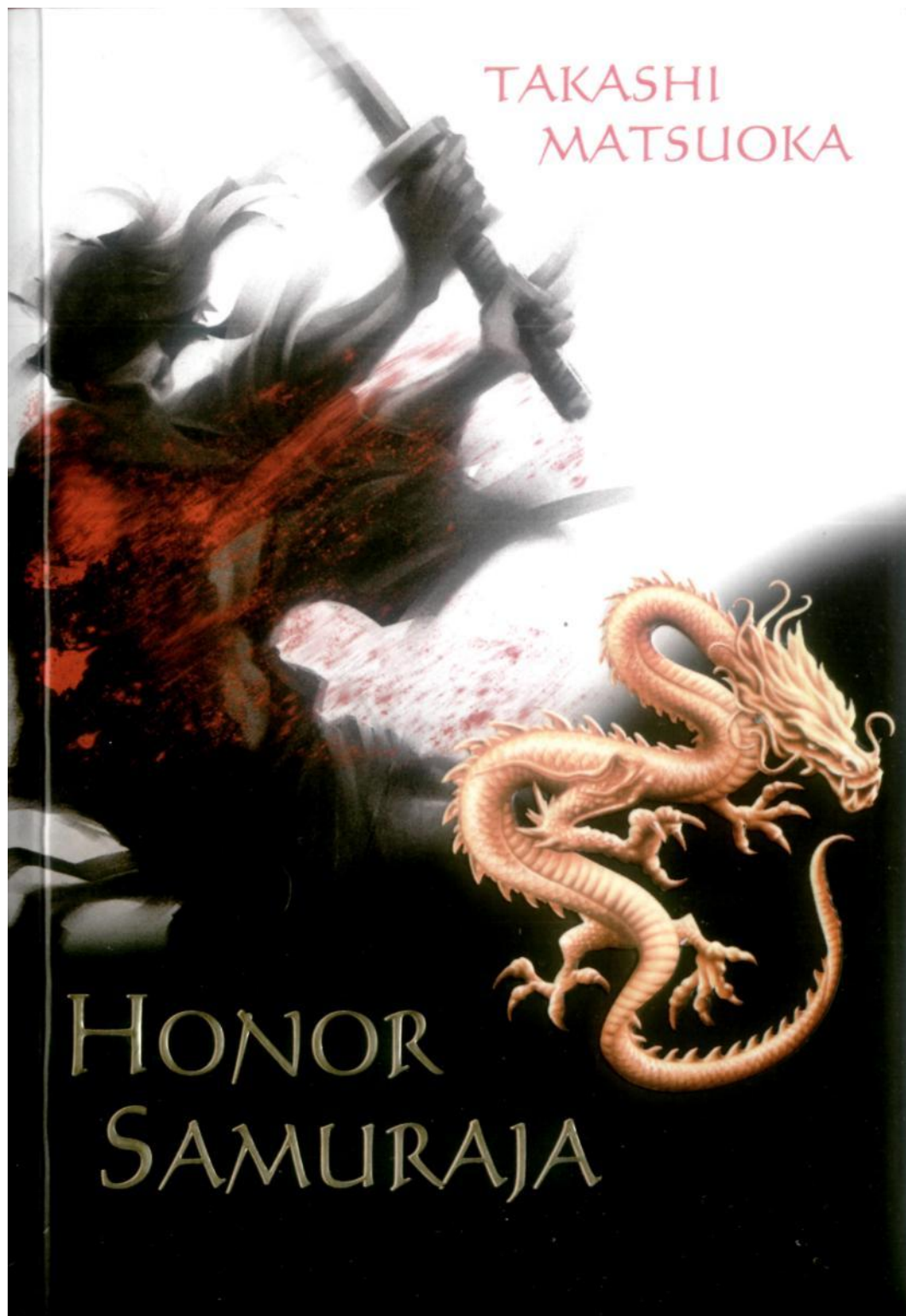


TAKASHI
MATSUOKA



HONOR
SAMURAJA

Epicka opowieść o heroizmie, zakazanej miłości i zemście,
ukazująca egzotyczny świat dzielnych wojowników i gejsz,
Japonię i San Francisco u progu XX wieku.

Piękne kobiety, szlachetni samuraje, malownicza sceneria
i wartka akcja to jedne z wielu walorów tej pasjonującej książki.

ISBN 978-83-7359-338-1



9 788373 593381



Epicka opowieść o heroizmie i zakazanej miłości, ukazująca XIX-wieczną Japonię, świat samurajów i gejsz, u progu wielkich zmian wywołanych wpływami cywilizacji zachodniej. Wydarzenia współczesne przeplatają się z retrospekcjami sprzed 500 lat z czasów wielkiej inwazji mongolskiej.

Japonia, rok 1867. Szlachetny książę Genji, przywódca klanu Okumichi, obdarzony zdolnością widzenia przyszłości, przeciwstawia się próbom izolacji Japonii od reszty świata. Skrycie zakochany w pięknej misjonarce Emily Gibson, wzbrania się przed ujawnieniem jej swoich uczuć. W sennych wizjach widzi ją konającą w poługu. O rękę Emily, przy cichej aprobachie Genji'ego, rywalizuje dwóch wpływowych i zamożnych cudzoziemców – porucznik Robert Farrington i plantator Charles Smith. Emily, przebywająca w Japonii od sześciu lat, również skrywa swoje prawdziwe uczucia. Lektura pochodzących z XIX wieku kronik klanu Okumichi, napawa ją dziwnym lękiem pomieszanym z niedowierzaniem. Na wyblakłych zwojach odnajduje historię pięknej księżniczki Shizuki, czarownicy i wizjonerki, opisy zdrad, spisków i tragicznych miłości, które kilkaset lat później uformowały Genji'ego jako przywódcę. Ze zdumieniem stwierdza, że zapisano tam także jej własną historię... Czy wypełnią się starodawne przepowiednie?

HMARA WRÓBLI



MATSUOKA



TAKASHI MATSUOKA – pisarz amerykański urodzony w 1954 w Japonii. Wychował się na Hawajach, gdzie mieszka do dziś. Przed rozpoczęciem kariery pisarskiej pracował w buddyjskiej świątyni. Autor dwóch powieści – *Chmara Wróbli* (2002) i *Honor samuraja* (2004). Obie zdobyły ogromną popularność. Prawa filmowe do *Chmary Wróbli* nabyła wytwórnia Universal za milion dolarów.

HONOR SAMURAJA

Tego autora

CHMARA WRÓBLI

HONOR SAMURAJA

TAKASHI MATSUOKA
HONOR
SAMURAJA

Z angielskiego przełożył
WITOLD NOWAKOWSKI



WARSZAWA 2007

Tytuł oryginału: AU-
TUMN BRIDGE

Copyright © Takashi Matsuoka 2004
All rights reserved

This edition published by arrangement with The Bantam
Dell Publishing Group, a division of Random House Inc.

Copyright © for the Polish edition by
Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2007

Copyright © for the Polish translation by Witold Nowakowski 2007

Cover illustration © Stanley Lau Pei Ching

Redakcja: Beata Słama Projekt gra-
ficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7359-338-1

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa
t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009
www.olesiejuk.pl



Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl
www.ksiazki.wp.pl
www.empik.com

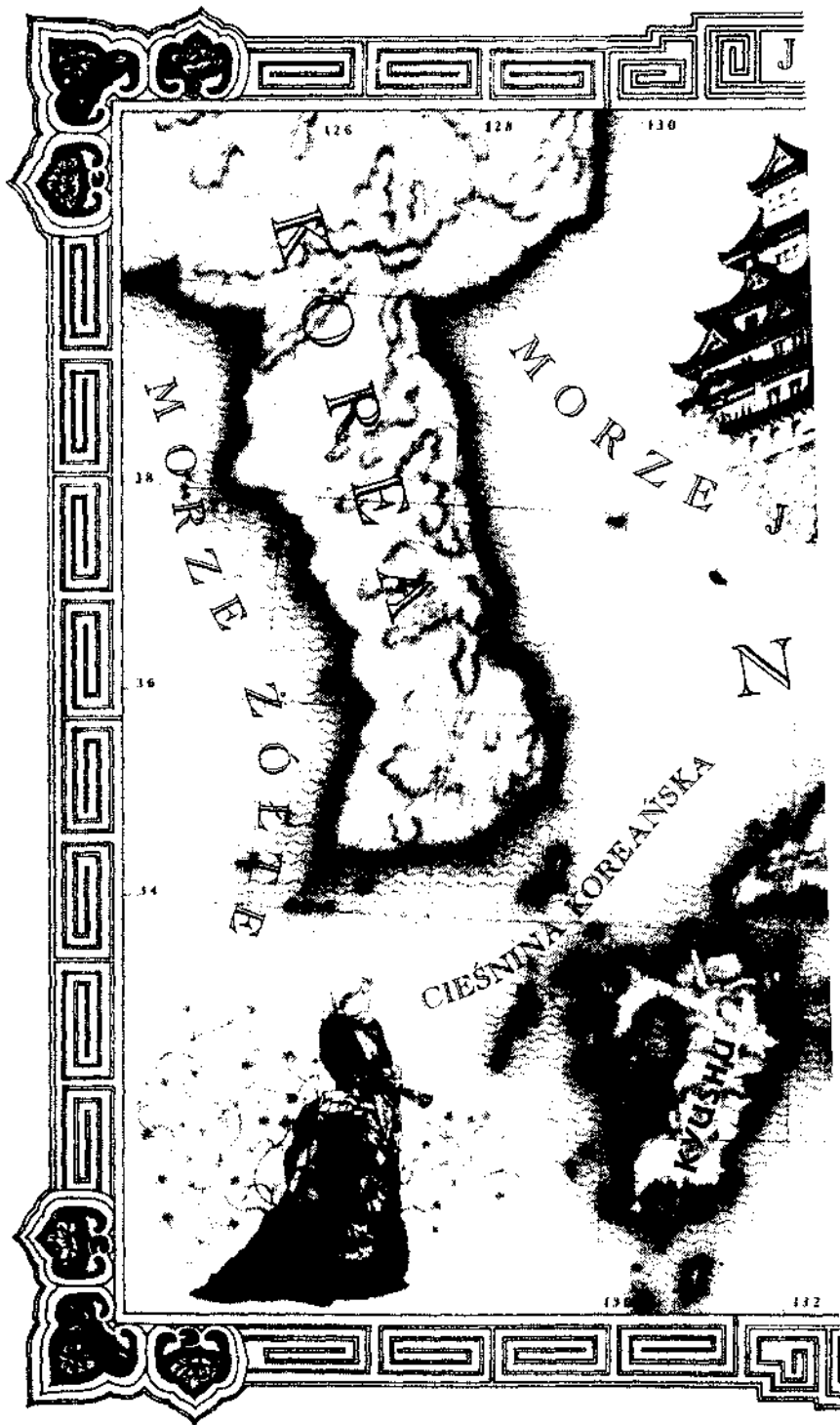
WYDAWNICTWO ALBATROS
ANDRZEJ KURYŁOWICZ
Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

*Moim babkom,
Okamura Fude, urodzonej w Wakayamie,
w południowej części Kansai,
Yokoyama Hanayo, urodzonej we wsi Bingo,
w prefekturze Hiroszima,*

*mojej matce, Haruko Tokunadze,
urodzonej w Hilo, na Hawajach*

*i mojej córce, Weixin Matsuoce,
urodzonej w Santa Monica w Kalifornii*

*z ogromnym szacunkiem i wdzięcznością za to,
że przybliżyły mi tak wspaniałą postać,
jaką jest
pani Shizuka*





Spis treści

Spis postaci 11

I. Duch pana Kiyoriego 13

1. Zjawa 15
2. Amerykańska róża 46
3. Mongolski kufer 80

II. W górze i w dole 121

4. Przełożona opactwa Mushindo 123
5. Ucieczka „Bandyty z Chinatown” 141
6. Dzikie spojrzenie 167
7. Tajemnicze dziecko 215
8. Mężowie Opatrzności 235
9. Władca Jabłek 292

III. Jutro, wczoraj, dzisiaj 351

10. Widoki z baszty 353
11. Kłątwa 379
12. Jesienny Most 421

Spis postaci

1281—1311

- Hironobu:** pierwszy wielki książę Akaoki
Pani Shizuka: żona księcia Hironobu
Go: przyboczny księcia Hironobu

1796—1867

- Kiyori:** wielki książę Akaoki, 1796—1860
Genji: wielki książę Akaoki od 1861 roku
Shigeru: syn Kiyoriego, stryj Genjiego
Hide: przyboczny księcia Genjiego od 1861 roku, później generał
Taro: zastępca dowódcy wojsk księcia Genjiego od 1861 roku
Heiko: gejsza, kochanka księcia Genjiego
Hanako: służąca, później żona Hide
Emily Gibson: misjonarka
Matthew Stark: misjonarz, później biznesmen z San Francisco
Kimi: wiejska dziewczyna
Goro: wiejski głupek
Książę Saemon: rywal księcia Genjiego

1882 Jintoku: przełożona opactwa Mushindo

- Makoto Stark:** syn Matthew Starka
Shizuka: córka księcia Genjiego, imienniczka pierwszej pani Shizuki

Duch pana Kiyoriego

1

Zjawa

Książę ma ostry miecz, dosiada ognistego konia i dowodzi gromadą nieposłuszných żołnierzy. Przed nim piętrzą się głowy dziesięciu tysięcy wrogów. Wszyscy podziwiają jego waleczność i odwagę. Ale on także głośno płakał, gdy wyjmowano go z łona matki. Bezradnie ssal matczyną pierś. Kiedy zaś zimne gwiazdy zamigotały naszymi sople lodu na zimowym niebie, to przecież w głębi zmrożonego serca nagle zatęsknił do kobiecych pieszczot...

Aki-no Hashi
(1311)

Chmara Wróbli, Akaoka, 1860

Przez wszystkie lata znajomości z księciem Kiyorim pani Shizuka nie zmieniła się ani odrobinę. Cerę miała tak gładką, jak najwspanialsza porcelana Mingów — i lekko bladą, tak jak przystało na damę z wewnętrznego dworu. Nieczuła na upływ czasu, na słońce i niepogodę, niedostępna dla grzesznych uczuć, myśli i uczynków. Kiedy patrzyła na księcia, jej wzrok bywał nieśmiały, mądry albo czuły. Gdy spoglądała w dal, w jej pięknych oczach malował się wyraz radosnego zdumienia, podkreślony lekkim uniesieniem starannie wypielęgnowanych brwi. Nie lubiła nowych i skomplikowanych fryzur, zakrętasów, loków i bogatych ozdób. Włosy czesała prosto, z przedziałkiem pośrodku głowy i układała je z tyłu w luźny „koński ogon”,

przewiązany jasnoniebieską wstążką. Lśniąca czarna kaskadą spływała aż do ziemi. Wszystkie jej stroje, z gładkich i marszczonych jedwabi, również miały tradycyjny krój, były luźne i we wszystkich odcieniach błękitu, od świetlistej barwy górskiego jeziora do głębokiego mroku wieczornego nieba. Wyglądała niczym księżniczka z czasów Promienistego Księcia. Z czasów, jak przypomniawszy sobie Kiyori, które minęły przed wiekami.

Obce mocarstwa wspólnymi siłami próbowały zmienić oblicze Japonii. Ogromne parowce ze Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji i Rosji bezkarnie wpływały do japońskich portów. Na pokładach okrętów stały wielkie działa, miotające pociski wielkości człowieka. Mogły strzelać daleko w głąb lądu, nad wierzchołkami gór i nad lasami. Mogły też rozbić w pył całą armię, zanim oddziały znalazłyby się na tyle blisko, żeby zobaczyć, kto do nich strzela. Ocean, który kiedyś odgradzał Japonię od reszty świata, teraz nie stanowił żadnej przeszkody. W cudzoziemskich flotach pływały całe setki buchających dymem, stalowych potworów, wiozących nie tylko armaty pokładowe. Na odległych brzegach czekali żołnierze, uzbrojeni w ręczną broń palną i ciężką artylerię. W ciągu kilku miesięcy wielotysięczna horda mogła wkroczyć zniemacka na japońską ziemię. Ale tu, w komnacie na najwyższej wieży zamku Chmara Wróbli, wciąż królowała przeszłość. Tu Kiyori mógł przynajmniej przez chwilę udawać, że świat się nie zmienił.

Shizuka uśmiechnęła się, widząc, że na nią patrzy. Zrobiła minę niewinną i zarazem tajemniczą. Jak jej się to udało? Nawet najbardziej doświadczone gejsze miały z tym spore kłopoty. A tymczasem Shizuka skromnie spuściła oczy i zasłoniła uśmiech szerokim rękawem kimona z okresu Heian.

— Zawstydzasz mnie, panie. Aż tak źle wyglądam?

— Ależ skąd! — zaprotestował książę Kiyori. — Byłaś, jesteś i będziesz najpiękniejszym zjawiskiem na ziemi.

W jej oczach zamigotały filuterne ogniki.

— Wciąż to powtarzasz, panie, ale z drugiej strony... Kiedy ostatnio zajrzałeś do mojej komnaty?

— Prosiłem cię, żebyśmy więcej o tym nie mówili. — Kiyori

poczuł, że pieką go policzki. Zapewne poczerwieniał. Przecież to wstyd, aby ktoś z jego życiowym doświadczeniem i na tym stanowisku zachowywał się jak zakochany uczeń. — To była tylko pożałowania godna pomyłka.

— Ze względu na dzielącą nas różnicę wieku?

Zapewne każdy, kto ją widział, dałby jej nie więcej niż osiemnaście lub dziewiętnaście lat. Wyglądała na damę wysokiego rodu, w pierwszym rozkwicie kobiecości, może nawet jeszcze dziewicę. Pan Kiyori zaś był dojrzałym mężczyzną. Jak przystało na wojownika, trzymał się prosto i swobodnie, lecz w jego włosach, kunsztownie ułożonych w samurajskim stylu, widać było pierwsze pasemka siwizny.

Różnica wieku? Tak, to prawda. Ale od dawna o tym nie myślał.

— To się już więcej nie powtórzy — odrzekł.

— To przepowiednia? — spytała uszczypliwie, ale bez cienia złośliwości. Nie bawiły ją żarty jego kosztem.

— Przecież wiesz, że na pewno nie.

— Zaraz, zaraz... A gdzie jest Okumichi-no kami Kiyori, daimyo* Akaoki? To nie ty, panie? Musisz być wróżbitą, jak każdy przywódca klanu w nowym pokoleniu.

— Tak mówią ludzie.

— Chcą sobie jakoś wytłumaczyć niektóre twoje posunięcia. Skąd mógłbyś wiedzieć, co nastąpi, gdybyś nie umiał wejrzeć w przyszłość?

— No właśnie. — Przekleństwo rodu ciążyło mu od niepamiętnych czasów, ale ostatnio coraz dotkliwiej odczuwał także brzemień wieku. Miał siedemdziesiąt dziewięć lat. Stare kroniki zaręczały, że dawniej niektórzy ludzie — mędrcy, herosi i wybrańcy bogów — żyli po sto lat albo nawet dłużej. Nie wyobrażał sobie, aby w jego przypadku było to możliwe. Wziąwszy pod uwagę wszystkie okoliczności, zakrawało na cud, że tak długo chodzi po tym świecie. Jako piętnastolatek został seniorem klanu. W wieku osiemnastu lat był już żonaty, później miał synów i owdowiał w czterdziestym roku życia.

* Daimyo — tytuł japońskich książąt feudalnych.

Przez cały czas potajemnie spotykał się z panią Shizuką. Jak długo się znali? Teraz trwał czternasty rok panowania cesarza Komei... Pierwszy raz ujrzał ją w siedemnastym roku panowania cesarza Kokaku, który aż przez trzydzieści osiem lat zasiadał na tronie. Do tego należało jeszcze dodać dwadzieścia dziewięć lat rządów cesarza Ninko. W sumie sześćdziesiąt cztery lata. Wbrew przyzwyczajeniu postanowił obliczyć to raz jeszcze według cudzoziemskiego kalendarza. Siedemnasty rok Kokaku to 1796. Teraz był 1860. Tak, sześćdziesiąt cztery.

Powiedziała mu wtedy, że ma szesnaście lat. Teraz twierdziła, że ma dziewiętnaście. W oczach Kiyoriego wcale się nie zmieniła. Lodowaty dreszcz przebiegł mu po plecach, choć zimowy poranek był wyjątkowo ciepły.

— Mnie nie pytaj — powiedziała pani Shizuka. — To ty masz dar jasnowidzenia.

— Tak?

— Chyba nie myślisz, że to moje wizje?

— Zawsze się przy tym upierałaś.

— A ty stanowczo zaprzeczałaś. — Na czole Shizuki pojawiła się maleńka zmarszczka, świadcząca o namyśle. Śmiało popatrzyła w oczy Kiyoriego. — Teraz uważasz, że jest inaczej?

Zanim Kiyori zdążył odpowiedzieć, za drzwiami rozległ się głos służącej:

— Przyniosłam herbatę, panie.

— Wejdz.

Z roztargnieniem patrzył na młodą Hanako, która cichutko otworzyła drzwi, ukloniła się, omiotła pokój szybkim spojrzeniem i zastygła w oczekiwaniu. No właśnie, westchnął w duchu Kiyori. Popęłnił błąd. Wciąż stał przy oknie, więc Hanako nie mogła znaleźć żadnego punktu odniesienia. Nie wiedziała, gdzie podać herbatę. Ale jej wahanie trwało tylko chwilę. Zanim Kiyori zdążył usiąść naprzeciwko pani Shizuki, służąca postawiła tacę dokładnie w połowie drogi dzielącej go od miejsca dla gości. Jej zachowanie zawsze go zadziwiało. Przybyła na zamek jako dziewięcioletnia sierota, lecz szybko okazało się, że bystrością i wyczuciem przewyższa wielu samurajów.

— Dziękuję, Hanako. Możesz odejść.

— Tak jest, panie. — Dziewczyna pochyliła głowę w niskim ukłonie. Wycofywała się z komnaty tyłem, żeby nie stanąć plecami do swojego pana.

— O niczym nie zapomniałeś? — zapytała Shizuka tak cichym szeptem, że wydawało się to złudzeniem.

— Jeszcze chwilę, Hanako. — O czym to zapomniał? Ach, prawda. — Jutro wyruszysz wraz z posłańcem jadącym do Edo. Dołączysz do służby pana Genjiego w pałacu Cichego Żurawia.

— Tak, panie. — Rozkaz padł niespodziewanie, a mimo to Hanako nie okazała zdziwienia. Zgodziła się bez pytania, jak przystało na dobrą służącą.

— Zawsze byłem ci rad, Hanako. Nie przyniosłaś ujmy swoim rodzicom. — Oczywiście Kiyori wcale nie miał zamiaru tłumaczyć się lub przeproszać za tak nagłą decyzję.

— Dziękuję, panie. Jesteś bardzo łaskaw, że przez tyle lat cierpliwie znosiłeś moje uchybienia.

Puścił mimo uszu ceremonialny ton tego podziękowania.

— Będę ci wdzięczny, jeśli równie dobrze zajmiesz się moim wnukiem.

— Tak, panie. Postaram się.

Wyszła z komnaty.

— Dlaczego odesłałem ją do Cichego Żurawia? — mruknął Kiyori.

— Mnie pytasz, panie?

— Tylko głośno myślę — odparł. — Mam taki głupi zwyczaj, który sprawia, że ludzie uważają mnie co najmniej za dziwaka.

— Dobrze, że rozmyślasz nad każdą decyzją. Bo decyzja jest twoja. — Shizuka umilkła na chwilę. — Mam rację? — dodała.

Kiyori uśmiechnął się kwaśno. Za każdym razem ich rozmowa zamierała w tym samym punkcie. Wszelkie rzeczowe argumenty okazywały się całkowicie błędne. Taka bowiem była różnica pomiędzy wizją a logiką.

— Wysłałem Hanako do mojego wnuka — powiedział — ponieważ jemu będzie bardziej potrzebna, zwłaszcza teraz,

gdy ostatecznie przejął obowiązki seniora klanu. Co więcej, lada dzień możemy się spodziewać trojga misjonarzy, których mamy powitać w Edo i dać im pełną ochronę. Ich obecność wywoła pewien kryzys, decydujący o przyszłości rodu. Oprócz tego chciałbym, aby Genji z wzajemnością zakochał się w Hanako. To dziewczyna, jakiej mu potrzeba w tych trudnych i niebezpiecznych czasach.

— Co za niezwykła konsekwencja, panie. Podziwiam twoją przenikliwość.

— Chcesz powiedzieć, że znów się mylę? — westchnął, nalewając herbatę do dwóch czarek. Była to czcza formalność, bo Shizuka jak zwykle nic nie piła.

— Nie przeszkadza ci przepaść, która ich dzieli?

— Nie. Nadchodzi czas zemsty. W takim przypadku status społeczny jest mniej ważny od cech charakteru.

— Bardzo mądrze! — pochwaliła Shizuka. — Po co nam puste konwenanse i sztuczne podziały? Trzeba iść z duchem czasu.

— Jesteś innego zdania?

— Nic podobnego. Wprawdzie hołduję dawnym poglądom i prawie nie znam współczesnego świata, ale nawet mój ciasny umysł potrafi pojąć pewne prawdy. Wrodzone cnoty są cenniejsze od dziedziczonych apanaży.

— Niby się zgadzasz, a jednak mam wrażenie, że rozbawiły cię moje słowa. Hanako nie jest dla Genjiego?

— Z reguły można wiedzieć coś więcej — zauważyła Shizuka. — Pytanie tylko: czy naprawdę warto? Chcesz wiedzieć więcej?

— Jedyne to, co jest rzeczywiście ważne dla dobra i przyszłości klanu.

— W takim razie wiesz wszystko.

Kiyori wypił łyk herbaty. Na pozór zachowywał się spokojnie, choć w duszy kipiał z gniewu. Dręczyła go ciekawość. Co czeka tych dwojga młodych? Miłość? Nie mógł zapytać wprost — ale nie dlatego, że wydawało się to nie na miejscu. Tu nie chodziło przecież o zwyczajny romans, tylko o przyszłe pokolenia, o ów „proroczy dar” dzieci Genjiego. Kłopot w tym, że to pytanie kryło w sobie pewne następstwa, których przez

sześćdziesiąt cztery lata uważnie starał się unikać. Gdyby Shizuka chciała coś powiedzieć, obeszłoby się bez zachęty.

Kiedy stało się zupełnie jasne, że Kiyori nie zamierza już rozmawiać na ten temat, w oczach Shizuki pojawił się cień smutku. Siedziała nieruchomo. Bywały czasem takie chwile także podczas poprzednich spotkań. Melancholijny nastrój sprawiał, że jej uroda wydawała się jeszcze bardziej delikatna. Kto przy zdrowych zmysłach mógłby znieść tak piękny widok? To chyba wyjaśniało wszystko. Kiyori wiele, wiele razy mógł podziwiać jej kuszące wdzięki.

Wstał, by odejść, lecz Shizuka zaskoczyła go słowami:

— Nigdy o nic cię nie prosiłam, panie... i nigdy więcej nie poproszę. Mimo to zrobisz coś dla mnie?

— O co chodzi?

— Musisz się zgodzić z góry.

Nie mógł się zawahać. To byłoby niegodne wojownika.

— Masz więc moją zgodę. Shizuka pokłoniła się do samej ziemi.

— Dziękuję, panie.

Kiyori czekał, co będzie dalej. Shizuka bardzo długo klęczała z nisko pochyloną głową. Gdy się podniosła, oczy miała pełne łez. Kiyori nie przypominał sobie, by kiedyś płakała.

— Każ podać tu wieczerzę i zostań ze mną na noc — powiedziała cicho, a po jej policzkach płynęły łzy.

— To niecny podstęp! — Kiyori rozzłościł się nie na żarty. — Dobrze wiesz, że przysięgałem na życie i honor, że tego nie zrobię!

— Chcę tylko, abys dzielił ze mną komnatę, nie łóże. W moich żyłach też płynie krew samurajów. Za nic w świecie nie nakłaniałabym cię do złamania przysięgi.

Kiyori był nadal zły. Owszem, od razu nie pójdą do łóżka, lecz noc jest długa, więc nie wiadomo, jak to się może skończyć... Sam na sam z Shizuka w jednym pokoju? Owszem, miał silną wolę, ale z drugiej strony był tylko człowiekiem, ze wszystkimi słabościami. Teraz jednak nie mógł się wycofać. Słowo się rzekło.

— Dobrze. Tę jedną noc.

— Dziękuję, panie — odparła Shizuka. Uniosła głowę i uśmiechnęła się przez łzy.

Kiyori nie odpowiedział jej uśmiechem. Zapowiadał się ciężki wieczór.

. . .

Hanako spakowała swoje rzeczy na podróż do Edo. Mimochodem słyszała rozmowę dwóch służących w sąsiednim pokoju.

— Pan Kiyori kazał podać kolację do komnaty na wieży.

— Nie! Dla ilu osób?

— Dla dwóch. Specjalnie podkreślił, że ma nie być sake.

— Kolacja na wieży... Do tego bez sake. Bardzo dziwne. Zazwyczaj jadał tam jedynie z najważniejszymi gośćmi. Ale dla nich na pewno zażądałby trunku.

— Może ma schadzkę z kimś zupełnie innym?

— Chyba nie myślisz...

— Tak!

— Żona czy kochanka?

Tego było za wiele. Hanako odłożyła na bok zwinięte ubrania i z trzaskiem rozsunała drzwi dzielące oba pokoje. Służące aż podskoczyły ze strachu. Spojrzały na nią i westchnęły z ulgą.

— To ty, Hanako...

— Ja. Na szczęście. A gdyby słyszał was ktoś inny? Na przykład pan Kiyori?

— Nigdy nie wchodzi do pomieszczeń dla kobiet.

— Mimo to lepiej przestańcie plotkować — powiedziała Hanako. — A jeśli musicie, róbcie to trochę ciszej.

— Masz rację — przyznała jedna ze służących. — Dziękujemy ci za naganę.

Obie skłoniły się do samej ziemi.

Hanako już chciała zasunąć drzwi, kiedy służąca odezwała się teatralnym szeptem:

— Jak myślisz, Hanako? To żona czy ta druga?

— W ogóle nie zaprzętam sobie tym głowy. Wam radzę to samo. — Zamknęła drzwi, nie patrząc na zdumione miny dziewcząt. Przez chwilę panowała zupełna cisza, a potem znów rozległy się stłumione głosy.

Prawdę mówiąc, Hanako miała własne zdanie na temat tego, co dzieje się na zamkowej wieży, ale nie chciała z nikim o tym mówić. Wolałaby, żeby pan Kiyori widywał swoją żonę, panią Sadako. W ciągu trzynastu lat wiernej służby w klanie Okumichi nieraz słyszała strzępy rozmów, które prowadził z tajemniczym gościem. Ani razu nie padło tam imię Sadako. Pan Kiyori mówił ściszym i tajemniczym głosem, tak jak zwykli to czynić ostrożni kochankowie. Nie spotykał się z duchem żony. Wolał towarzystwo... tej drugiej.

Wstrząsnął nią zimny dreszcz. Nie wzdrygnęła się, ale poczuła, że włosy stają jej na karku. Miała wrażenie, że w jej skórę ktoś wbił tysiące małych igieł.

Zastanawiała się, czy pan Genji pójdzie w ślady dziadka. A może już się z nią widywał?

Chmara Wróbli, 1311

Pan Kiyori wyszedł. Shizuka przez kilka minut siedziała cicho w zamyśleniu. Potem wstała i podeszła do okna, przez które wyglądał przed chwilą. Co tam widział? To samo, co ona? Wiecznie zielone wzgórza Shikoku, ciężkie szare niebo i białe fale, ożywiane przez odległe sztormy i podmuchy zimowego wiatru? Powinna go o to zapytać. Może na przykład dziś wieczorem? Ramię przy ramieniu staną w zamkowym oknie i popatrzą na Akaokę. To będzie ich ostatnia noc. Nigdy więcej się nie zobaczą.

— Pani?

— Wejź.

Drzwi rozsunęły się z delikatnym szmerem. W progu stała główna dama dworu, Ayame, i cztery pomniejszych dworki. Skłoniły się. Nie zrobiły jednak tego jak kobiety, kładąc obie dłonie na podłodze i z wdziękiem pochylając głowę. Przyklęknęły na jedno kolano i lekko zgięły się w pasie. To był ukłon wojownika na polu bitwy. Zamiast bogatych dworskich kimono nosiły bufiaste spodnie *hakama* i lekkie koszule z wysoko podwiązanymi rękawami, co zapewniało im swobodę ruchów. Ich uzbrojenie stanowiły długie *naginata* i zatknięte za pas

krótkie miecze *wakizashi*. Tylko Ayame miała u boku dwa miecze: *wakizashi* i dłuższy *katana**. Choć skończyła dopiero siedemnaście lat, wyglądała na walecznego samuraja. Nawet włosy obcinała na męską modłę i wiązała je z tyłu głowy w kitkę długą najwyżej na dwadzieścia pięć centymetrów. Łatwo było zakochać się w kimś tak urodziwym, nie bacząc, czy to dziewczyna, czy chłopiec.

— Jest tak, jak przewidywałaś, pani — powiedziała Ayame. — Pan Hironobu nie wrócił z polowania. Nie przysłał gońca. W zamku nie ma żadnego z wiernych samurajów. Nikogo, kto stanąłby po twojej stronie.

— Pani — odezwała się jedna z dworek — jeszcze jest dość czasu na ucieczkę. Dosiądź konia i jedź do zamku pana Hikariego. Tam na pewno znajdziesz opiekę.

— Pan Hikari nie żyje — odparła Shizuka. Dworki wydały stłumiony okrzyk zaskoczenia. — Pan Bandan także. Podobnie ich synowie i całe rodziny. Zdrada szerzy się wszędzie. Dziś spłoną ich zamki. Jutro przed wieczorem zdrajcy będą tutaj.

Ayame znów pochyliła się w zdawkowym wojskowym ukłonie. Patrzyła prosto w oczy swojej pani.

— Wielu z nich zabierzemy ze sobą do grobu.

— Tak, to prawda — przyznała Shizuka. — Nasza śmierć nie da im zwycięstwa. Ich rody wygasną, lecz klan pana Hironobu przetrwa. — Poczula kopnięcie dziecka i położyła rękę na wydatnym brzuchu. Tylko nie brykaj, pomyślała. Już niedługo zjawisz się na tym tragicznym świecie.

Jej dworki ze szlochem pochyliły głowy. Najdzielniejsza z nich, Ayame, także walczyła ze wzruszeniem. Oczy miała pełne łez, ale nie płakała.

To była dramatyczna scena, niczym z teatru kabuki, o którym czasami wspominał pan Kiyori. Ale dziewczęta o tym nie

* *Naginata* — rodzaj włóczni o drzewcu długim na 180 cm i żelźcu — 40 cm — w kształcie zbliżonym do ostrza japońskiego miecza — *katany* — dzięki niemu mogła służyć do kłucia i cięcia; *wakizashi* — krótki miecz (30—45 cm); *katana* — tradycyjny miecz o lekko wygiętej głowni długości powyżej 60 cm.

wiedziały. Pierwszą sztukę napisano dopiero trzysta lat później.

Chmara Wróbli, 1860

Shigeru na chwilę zamarł bez ruchu, a potem błyskawicznie przesunął się do następnego cienia. Cicho niczym zabójca przemierzał korytarze rodowego zamku. Tylko ten, kto przypadkiem spojrzałby wprost na niego, mógłby go zobaczyć, ponieważ poruszał się w taki sposób, że pozostawał niewidzialny dla samurajów i służących. Nie chciał, by go widziano. Bał się, że któryś z nich podejdzie zbyt blisko i pochyli głowę w pokornym ukłonie, a on — mając przed oczami coś całkiem innego — chwyci za miecz i w szale zarąbie nieszczęśnika. Dlatego musiał się ukrywać. Tracił nad sobą panowanie. Nie wiedział, jak długo jeszcze wytrzyma.

W uszach dudniła mu upiorna kakofonia dźwięków. Wyteżał wzrok, żeby nie patrzeć na ukazujące mu się sceny tortur i krwawej rzezi. Tymczasem potrafił jeszcze odróżnić rzeczywistość od ułud, lecz był już u kresu sił. Od kilku dni nie sypiał. Przerażające wizje, które odbierały mu sen, spychały go coraz głębiej w otchłań szaleństwa. A przecież uważano go za jednego z największych wojowników swoich czasów. Jako pierwszy od dwustu lat był stawiany na równi z legendarnym Musashim. Bez fałszywej skromności i niepotrzebnej dumy uważał, że zasłużył na taką reputację. Ale nawet najlepsza znajomość sztuk walki nie ratowała go przed wrogiem, który tkwił w nim samym.

Z wolna pogrążał się w chorobie, ale nie zwrócił się do ojca, chociaż wiedział, że tylko on może mu pomóc. Wstydział się przyznać do słabości. W końcu był jedynym ocalałym synem pana Kiyoriego. W każdym pokoleniu w rodzie Okumichi rodził się ktoś z „proroczym” darem. Przedtem był to jego ojciec. Po nim bratanek, Genji. Teraz ów straszliwy ciężar musiał dźwigać on, Shigeru. Pan Kiyori przez sześćdziesiąt lat wykorzystywał swe zdolności dla dobra całego klanu. Syn nie mógł iść do niego z płaczem, narzekając, że miewa omamy.

Kiedy zrozumiał, że popełnił błąd, było już niemal za późno. Wizje nie objawiały się u każdego w ten sam sposób — i nie każdy umiał sobie z nimi radzić. Shigeru przeżył istny potop strasznych halucynacji. Widział ogromne maszyny na kształt węzowatych smoków z dawnych legend, które upiornie wiły się po ziemi i co chwila połykały apatycznych ludzi odzianych w jednakowe stroje. Różnobarwne powietrze cuchnącą powłoką spowijało zamek i miasto. Nocą niebo burczało niczym brzuch gigantycznej bestii i pluło deszczem ognia na krzyczące ofiary.

Co to za znak? Jeśli tak ma wyglądać przyszłość, gdzie szukać jakichś wskazówek dla siebie? Tylko ktoś, kto doświadczył podobnych widoków, mógł go w pełni zrozumieć.

Z podsłuchanej rozmowy służących dowiedział się, gdzie szukać pana Kiyoriego. Droga na wieżę zabrała mu ponad pół godziny, ponieważ co chwila musiał się chować. Normalnie doszedłby tam w ciągu kilku minut. Ale przynajmniej był zadowolony. Nikt go nie spotkał, nikt nie zginął. Podczas tej przechadzki wizje osłabły. Dobrze wiedział, że wkrótce wróci, lecz z ulgą przyjął moment wytchnienia. Już otwierał usta, żeby powiadomić ojca o swoim przybyciu, kiedy za drzwiami rozległ się głos Kiyoriego:

— Wysłałem Hanako do mojego wnuka — mówił — ponieważ jemu będzie bardziej potrzebna, zwłaszcza teraz, gdy ostatecznie przejął obowiązki seniora klanu.

Przerwał, jakby słuchając czyjeś odpowiedzi, a potem znowu się odezwał. Trwało to dość długo. Po drugiej stronie drzwi Shigeru bezskutecznie wyteżał słuch, by usłyszeć głos tej drugiej osoby. Nie wiedział, z kim ojciec rozmawia.

— Nie. Nadchodzi czas zamętu — powiedział Kiyori, odpowiadając na czyjeś pytanie. — W takim przypadku status społeczny jest mniej ważny od cech charakteru.

Znów chwila milczenia.

— Jesteś innego zdania?

Kolejna przerwa.

— Niby się zgadzasz, a jednak mam wrażenie, że rozbawiły cię moje słowa. Hanako nie jest dla Genjiego?

Hanako i Genji? Shigeru słuchał tego z rosnącym przerażeniem. Hanako była zwykłą służącą. Co ją łączy z młodym

daimyo? Czyżby Kiyori snuł jakąś podstępą intrygę, wymierzoną przeciw wnukowi? Muszę dowiedzieć się, z kim rozmawia, pomyślał Shigeru. Głos ojca rozbrzmiewał raz głośniej, raz ciszej, więc wiadomo było, w którą stronę Kiyori patrzy. Shigeru wyczekał na odpowiedni moment, po cichu uchylił drzwi i zerknął przez wąską szparę. Przesunął się nieco w bok, żeby objąć wzrokiem cały pokój. Tymczasem rozmowa trwała nadal.

— Jedyne to, co jest rzeczywiście ważne dla dobra i przyszłości klanu.

Kiyori siedział pośrodku komnaty i popijał herbatę. Przed nim stała jeszcze jedna napełniona, lecz nietknięta czarka. Shigeru omiół spojrzeniem wszystkie kąty. Pusto. Czyżby gość wyszedł jakimś ukrytym korytarzem, nieznanym innym domownikom? To wydawało się nieprawdopodobne. Z drugiej strony Kiyori sam nakreślił plany tej wieży i nikomu z krewnych nigdy ich nie pokazał. Ucieczka przez okno była niemożliwa. Jedyna droga na dół, którą znał Shigeru, wiodła korytarzem.

— O co chodzi?

Shigeru był święcie przekonany, że ojciec go zauważył. Klęknął pospiesznie i pochylił głowę w niskim ukłonie. Przez chwilę milczał, nie bardzo wiedząc, co ma odpowiedzieć. W tym momencie Kiyori ponownie się odezwał:

— Masz więc moją zgodę.

Shigeru uniósł się gwałtownie. Zatem rozmowa nie dobiegła końca... Jeszcze raz zajrzał do pokoju. Kiyori patrzył przed siebie. Mogło się wydawać, że przemawia do kogoś, kto siedzi naprzeciwko.

— To niecny podstęp! — krzyknął. — Dobrze wiesz, że przysięgałem na życie i honor, że tego nie zrobię!

Syn cofnął się. Zimny dreszcz przebiegł mu po krzyżu.

— Dobrze — usłyszał głos ojca. — Tę jedną noc.

Shigeru zaczął uciekać. Najpierw ostrożnie, bez hałasu, a potem, gdy już był daleko, puścił się pędem jak szalony. Wybiegł z zamku. Ojciec nie mógł mu w niczym pomóc, ponieważ sam był obłąkany. Rozmawiał z jakąś kobietą. Może ze swoją żoną i matką Shigeru? To niedobrze. Pani Sadako

zmarła wkrótce po narodzinach syna. Shigeru jednak podejrzewał, że tajemniczym „gościem” ojca był ktoś inny. Kiyori w szczególny, niemal skryty sposób mówił o dochowaniu dawnej przysięgi. Tak się nie rozmawia z żoną. Ani nawet z jej duchem.

Krażyły plotki, że najwyższa wieża Chmary Wróbli jest nawiedzona. Mimo to Kiyori często tam przebywał. Mówiono też o tajemniczych cieniach, które o zmierzchu wyglądały na plamy zakrzepłej krwi. Z każdym miejscem tragedii wiązały się opowieści o niespokojnych duchach i upiorach. Każdy zamek miał swoje dzieje. W przypadku rodu Okumichi była to zdrada, skrytobójstwo i straszna zbrodnia, która omal nie przyczyniła się do zagłady klanu. Działo się to jesienią, dziesiątego roku panowania cesarza Go-Nijo.

Tam, na wieży, w tej właśnie komnacie, spędziła ostatnie chwile wiedźma i księżniczka imieniem Shizuka.

Pan Kiyori zalecał się do widma. Do niewiasty zmarłej przed pięciuset laty.

Chmara Wróbli, 1311

Shizuka i Ayame stały w oknie wieży i patrzyły na trzy długie kolumny wojowników, ciągnące w stronę zamku.

— Ilu ich jest? — zapytała Shizuka.

— Sześciuset ze wschodu, trzystu z północy i jeszcze setka z zachodu — odparła Ayame.

— A nasze siły?

— Szesnaście dworek ukrytych w wieży. Trzydziestu ludzi pana Chiakiego, czekających na zdrajców tuż za wrotami zamku. Natychmiast przybyli na nasze wezwanie. Rozesłano gońców z nadzieją, że pan Chiaki zdąży tutaj przybyć, zanim dojdzie do masakry.

— Być może — powiedziała Shizuka, chociaż dobrze wiedziała, że to nie nastąpi.

— Wciąż nie mogę uwierzyć, że Go tak niecznie zdradził pana Hironobu — westchnęła Ayame. — Czy to pewne?

— Zrobił wszystko, żeby w najważniejszej chwili Chiaki

znalazł się daleko od nas — odparła Shizuka. — Za dobrze zna swojego syna. Nigdy nie wątpił w jego wierność. Nie chciał, by Chiaki zginął razem ze mną, wołał więc w porę go odesłać.

— Życie jest straszne — powiedziała Ayame. — Gdyby nie Go, pan Hironobu umarłby jeszcze jako dziecko. Wszystko, co zdobył, w dużej mierze zawdzięczał męstwu swoich sojuszników. A teraz to... Dlaczego?

— Zazdrość, chciwość i strach — odrzekła Shizuka. — Zniszczyliby nawet niebo, gdyby bogowie choć na chwilę stracili czujność. A przecież tu, na ziemi, jesteśmy dużo słabsi.

Patrzyły, jak zastępy wroga zwartą gromadą stają pod murami zamku. Zanim ostatni promień słońca schował się za górami, w dole rozbłysły setki ognisk.

— Na co czekają? — spytała Ayame. — Mają ogromną przewagę. Jest ich tysiąc przeciwko niecałej czterdziestce.

Shizuka uśmiechnęła się.

— Strach ich obleciał. Zapada wieczór. A noc to najlepsza pora dla czarownicy.

Ayame wybuchnęła śmiechem.

— Głupcy. Tacy chcą rządzić światem?

— To właśnie marzenie głupców. Powiedz moim dworcom i samurajom pana Chiakiego, że mogą trochę odpocząć. Na razie jesteśmy bezpieczni.

— Tak, pani.

— Nie musisz od razu wracać, Ayame. Dobrze się czuję. Pobądź przez chwilę z siostrą.

— Jesteś pewna, pani? A dziecko?

— Nic jej się nie stanie. Przyjdzie na świat w odpowiednim czasie. Ani minuty wcześniej.

— Ona?

— Ona — przytaknęła Shizuka.

Jeśli możliwe jest, aby ktoś jednocześnie przeżywał smutek i ogromną radość, to właśnie te uczucia stały się udziałem Ayame. Z jej oczu popłynęły łzy, a twarz rozjaśnił promienny uśmiech. Skłoniła się i odeszła w milczeniu.

Shizuka spokojnie oczekiwała wizyty Kiyoriego.

Chmara Wróbli, 1860

Hanako weszła do głównego ogrodu. Zazwyczaj tego nie robiła. Zamkowy ogród istniał dla wygody książąt i księżniczek, a nie dla służących. Ryzykowała srogą burę, ale nie zamierzała się wycofać. Jutro miała jechać do Edo. Kto wie, kiedy wróci? Może nigdy? Przed wyjazdem chciała zobaczyć róże. Były tak piękne, że czasami zamek zwano Strażnicą Różanych Krzewów, a nie Chmara Wróbli. Hanako wołała tę „kwitnącą” nazwę.

Jeden kwiat szczególnie przyciągnął jej uwagę. Był mniejszy od innych, lecz w pełnym rozkwicie i tak czerwony, jak to tylko możliwe.

Ślicznie wyglądał w świetle gasnącego dnia. Hanako bezwiednie wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć — i poczuła ukłucie niewidocznego kolca. Szybko cofnęła dłoń. Na palcu zobaczyła maleńką kroplę krwi, czerwoną niczym płatek róży.

Wzdrygnęła się. Co to za omen?

Odwróciła się prędko i odeszła do swoich wieczornych obowiązków.

. . .

— Co tu robisz? — spytał Kiyori.

Do komnaty, zgodnie z poleceniem, weszła Hanako w towarzystwie jeszcze jednej służącej. Wniosły nakrycia do kolacji. Tuż za nimi, bez zapowiedzi, zjawił się Shigeru.

Skłonił się w progu.

— Przepraszam, że przyszedłem, nie pytając cię wcześniej o zgodę.

Szybko powiódł spojrzeniem dookoła, lecz nie zauważył nikogo oprócz Kiyoriego. Wygląd komnaty nie zmienił się od ostatniego razu. Nie przybyło ukrytych przejść. A jednak dzisiaj, tak jak przedtem, ojciec z kimś tutaj rozmawiał.

Kiyori nie lubił być zaskakiwany. Hanako mogła coś powiedzieć, zanim otworzyła drzwi. Popatrzył na nią karcącym wzrokiem, ale z jej miny wywnioskował, że ją także zdziwiła obecność Shigeru. Zatem podkradł się cichaczem za plecami dziewcząt. Kiyori spostrzegł dziwnie ściągniętą twarz i nienaturalnie błyszczące oczy syna. W innych okolicznościach jego

zachowanie i wyraźne oznaki wewnętrznej rozterki natychmiast zwróciłyby uwagę Kiyoriego. Dzisiaj jednak myślał wyłącznie o Shizuce. Przez wszystkie lata, gdy ją widywał, odwiedzała go najwyżej dwa razy do roku. Ale od tygodnia zjawiała się codziennie. To na pewno było objawem postępującej choroby psychicznej. Poza małymi wyjątkami wszyscy „prorocy” z klanu Okumichi umierali jako obłąkani. Dlaczego on miałby być inny? Mimo to nie zamierzał przynieść wstydu rodzinie i przyjaciółom. Postanowił, że we właściwej chwili — kiedy już nie będzie nikomu potrzebny — sam odbierze sobie życie. Wolał śmierć z własnej ręki niż powolne konanie wariata. Z Shigeru porozmawia później... pod warunkiem, że w ogóle będzie jakieś „później”.

— O co chodzi?

— Chciałem z tobą pomówić o pewnej ważnej sprawie. Widzę jednak, że oczekujesz gościa, a więc nie będę ci przeszkadzał. Mam nadzieję, że innym razem poświęcisz mi chwilę.

Shigeru uklonił się i odszedł. To, co naprawdę chciał zrobić, zrobił dużo wcześniej, podczas przygotowań do kolacji. Przyszedł na wieżę tylko po to, żeby upewnić się w swoich podejrzeniach. Nikt, poza jego ojcem, nie widział tajemniczego gościa.

. . .

- Przekroczył ostatni punkt zwrotny w swoim życiu — powiedziała pani Shizuka, gdy zostali sami. — Teraz pozostaje nam już tylko czekać na nieuniknione.

— Nie brzmi to zbyt zachęcająco — mruknął Kiyori.

— Zawsze coś musi cię zachęcać lub zniechęcać? Fakty są dużo wyraźniejsze, jeśli starannie oddzielić je od emocji.

— Ludziom trudno choćby na chwilę zapomnieć o emocjach — odparł Kiyori. — Trzeba do tego uporczywych starań, prób i ćwiczeń. Czasem i to się nie udaje.

— Ludziom? Czy mi się zdawało, czy też specjalnie położyłeś nacisk na to słowo?

— Owszem. Nie wiem, czym naprawdę jesteś, ale na pewno nie człowiekiem.

Shizuka zasłoniła usta rękawem i roześmiała się perliście. W jej oczach migotały iskierki niemal dziecięcej wesołości.

— Mamy ze sobą tak wiele wspólnego, panie... — powie działa. — A jednocześnie bardzo się różnimy. Pod koniec czasu, który był nam dany, doszedłeś do podobnych wniosków co ja w chwili, kiedy zjawiłeś się u mnie po raz pierwszy.

Upłynęło kilka sekund, zanim Kiyori odzyskał mowę.

— Zjawiłem się u ciebie?

Shizuka wstała. Jedwabne kimono zaszeleściło cicho, niczym liście wistarii poruszone słabym tchnieniem wiatru. Podeszła do wschodniego okna.

— Zechcesz mi towarzyszyć, panie?

Kiyori był zbyt zdumiony, by odmówić. Podniósł się i stanął tuż obok niej. Shizuka wskazała przed siebie.

— Co widzisz?

— Noc.

— A co wśród nocy?

Zmusił się do spokoju. Wyrównał oddech, zwolnił rytm skołatanego serca i odepchnął od siebie burzę myśli, przyciskając dłonie do oczu i skroni. Popatrzył w noc, na targane wiatrem białe fale, wysokości co najmniej człowieka, z hukiem bijące o skaliste brzegi. Ten sam wiatr przegnał mgłę i chmury. Niebo było zupełnie czyste, usiane jasnymi gwiazdami. W głębi ładu szum drzew zagłuszał głosy nocnych ptaków.

— Jest silny wiatr — odpowiedział Kiyori. — Widzę pogodne niebo i wzburzone morze.

— Bezwietrzna noc — rozległ się głos Shizuki. — W dolinach zalega mgła. Białe pasma snują się wśród ognisk i płyną na wschód, w stronę oceanu. Rano ciężką zasłoną powrócą nad ziemię. Umrę w Godzinie Smoka, kiedy wszędzie słońce. — Uśmiechnęła się. — Oczywiście dla ciebie to nie ma znaczenia. Wydaje ci się, że umarłam przed pięciuset laty.

— Nie ma tam żadnych ognisk — odparł Kiyori.

— Nie widzisz ich — westchnęła — bo nie należę do twojego świata. A ty nie należysz do mojego. — Nagle poruszyła się zdumiewająco szybko i na moment dotknęła jego ręki. Kiyori nie zdążył się cofnąć. Zamiast ciepłej kobiecej dłoni poczuł...

— Chłód — rzekła Shizuka, jakby czytała w jego myślach.
— Nie na skórze, ale przenikający aż do kości. Nie taki, który
przychodzi wraz z północnym wiatrem, lecz dużo głębszy,
zwiastujący straszną katastrofę.
— Tak — odparł. — A ty co czujesz?
— To samo — szepnęła. — Posłuchaj... Słyszysz coś?
— Wiatr się wzmacnia.
— Ktoś gra na flecie. To Ayame. Pieśń *Mugelsu*, *Niewidocz-
ny księżyc*.
— Znam tę melodię — odparł Kiyori. — Genji grywał ją
bardzo często, kiedy był małym chłopcem.
— Jak ona brzmi?
Znów poczuł przejmujący chłód.
— Wiatr się wzmacnia — powiedział.
— Właśnie — odrzekła. — Wiatr się wzmacnia.

. . .

Shigeru uklęknął w świątyni przed ołtarzem mającym w
blasku pojedynczej świecy. Zrobił wszystko, co w tej chwili
mógł zrobić. Gdyby w przeszłości nie myślał wciąż o sobie i
mniej zajmował się sztukami walki, wcześniej zdążyłby za-
uważyć, że z ojcem dzieje się coś złego. Popęłił błąd, że
zlekceważył plotki. A teraz było już za późno.

Zapalił pierwsze ze stu ośmiu wonnych kadzidełek, które
zamierzał dziś umieścić na ołtarzu. Sto osiem ludzkich cier-
pień. Za popełnione dzisiaj zbrodnie miał się sto osiem razy
smażyć w stu ośmiu kręgach piekła. Ojciec już nie żył, otruty
przy wieczerzy jadem najeżki, którym Shigeru nasaczył po-
trawy. Po ceremonii oczyszczenia miał jeszcze zabić żonę i
dzieci. Zostanie tylko bratanek Genji. On także wkrótce zgi-
nie. Skończy się klątwa proroczych wizji. Wraz z nią umrze
cały ród Okumichi. Szkoda, lecz przecież nie można inaczej.
Shigeru skłonił się z szacunkiem i umieścił trociczki na ołta-
rzu zmarłego Kiyoriego.

— Przepraszam, ojcze. Proszę, wybacz mi.

Wziął drugie kadzidelko i powtórzył wszystkie czynności.

— Przepraszam, ojcze. Proszę, wybacz mi. Klątwa dobiegnie
końca. Tak być musi.

— Przepraszam, ojcze. Proszę, wybacz mi.
Nikt nie powinien patrzeć w przyszłość. To niebezpieczne.
Wiedza obraca się przeciw prorokom. Pożera ich.
— Przepraszam, ojcze. Proszę, wybacz mi.
Miał nadzieję, że pan Kiyori nie cierpiał przed śmiercią. W chwili konania jad najeżki wywoływał halucynacje. Ojciec zapewne po raz ostatni wyobrażał sobie, że spoczywa w ramionach upiornej kochanki...
Shigeru zapalił piąte kadzidelko. Dym z wolna wypełniał wnętrze niewielkiej świątyni.
Coraz silniejszy wiatr przegonił chmury znad lądu na morze. Księżyc, który przed godziną jeszcze jasno świecił, teraz stał się zupełnie niewidoczny.

Pałac Cichego Żurawia, Edo

Następny w linii książąt Akaoki, Okumichi-no kami Genji, jak zwykle leżał na podłodze, wsparty na łokciu, z czarką sake w dłoni i lekkim uśmiechem na ustach. Nie miał w sobie nic z wojownika. Wokół niego uwijało się co najmniej pół tuzina gejsz. Jedne tańczyły, inne śpiewały, brzdąkając wesoło na *koto* i *shamisenie*. Jedna siedziała tuż przy nim, gotowa napelnić czarękę.

— Dlaczego już nie śpiewasz, panie? — zapytała. — Przecież znasz słowa. *Opat i kurtyzana* to jedna z najpopularniejszych piosenek sezonu.

Genji roześmiał się i uniół do ust czarękę.

— Obawiam się, że w rywalizacji pomiędzy śpiewem i sake, śpiew zawsze przegrywa. — Upiwszy maleńki łyk trunku, opuścił rękę. Zachowywał się jak pijany, lecz przeczyło temu czyste i jasne spojrzenie.

Włosy księcia, zazwyczaj starannie uczesane i ułożone w kunsztowną fryzurę odpowiednią dla wielkiego pana, tym razem były nieco potargane. Niesforny kosmyk opadał mu na czoło, podkreślając nie tylko stan upojenia, ale także zniewieściały wygląd. Genji lubił kolorowe kimona, bogato wyszywane złotą i srebrną nicią. To nie były stroje godne dwudziesto-

czteroletniego samuraja, zwłaszcza takiego, który pewnego dnia miał odziedziczyć tytuł feudała. W całej Japonii było zaledwie dwustu sześćdziesięciu daimyo, absolutnych władców na rozległych włościach. W przypadku Genjiego, pstrokate kimono współgrało z dziewczęcą urodą. Tak gładkiego lica, długich rzęs i delikatnie wykrojonych ust mogła mu pozazdrościć niemal każda gejsza obecna w komnacie. Każda, z wyjątkiem jednej — i to właśnie ona w tej chwili budziła największą ciekawość młodzieńca. Miał jednak dość sprytu, żeby ukryć swoje zainteresowanie.

Mayonaka-no Heiko — Głęboka Noc — siedziała po drugiej stronie komnaty i grała na *shamisenie*. Ponoć już kilka miesięcy temu stała się najsłynniejszą gejszą w całym Edo. Genji od dawna słyszał, że jest nieskazitelnie piękna. Nie wierzył w to. Podobne opowieści krążyły każdego sezonu. Zeszłoroczna piękność ustępowała nowej, jeszcze doskonalszej, która po roku także odchodziła w cień, przyćmiona przez następną gwiazdę. Genji w końcu zaprosił ją do swego pałacu, nie tyle z rzeczywistej potrzeby poznania, ile z chęci, by podtrzymać własną reputację hulaki i bawidamka, najmniej poważnego z książąt czasowo mieszkających w stolicy shogunatu. Heiko przysłała i ku jego wielkiemu zdziwieniu okazała się dużo piękniejsza, niż mówiono.

Na prawdziwą urodę składa się coś więcej niż zbiór cech fizycznych. A przecież z drugiej strony, każdy gest Heiko był tak doskonały, że młodzieniec po prostu nie wierzył własnym oczom. Patrzył, jak otwierała i zamykała delikatne palce, jak lekko przechylała głowę w jedną lub drugą stronę, jak rozchyłała usta w leciutkim wydechu, którym kwitowała większość „zabawnych” żartów. Śmiała się najpierw oczami, a więc zupełnie szczerze.

To nie znaczy, że mógł coś zarzucić jej urodzie. Oczy gejszy miały idealny kształt migdałów, skóra była czysta i jasna niczym świeży śnieg w blasku pełnego księżyca, sylwetka drobna i świetnie dopasowana do jedwabnego kimona. Smukłe nadgarstki zdradzały ponętą kruchość ciała.

Genji nigdy nie widział tak pięknej kobiety. Nigdy nawet nie myślał, że taka istnieje.

Siedząca obok niego gejsza westchnęła głośno.

— Och, ta Heiko... Kiedy się pojawi, na żadną z nas nikt już nie chce spojrzeć. Życie jest okrutne.

— O kim mówisz? — zapytał Genji. — Jak mógłbym patrzeć na kogoś innego, skoro jesteś tuż przy mnie?

Komplement wypadłby zapewne lepiej, gdyby zwrócił się do niej po imieniu. Ale prawdę mówiąc, już go nie pamiętał.

— Dzięki za miłe słowa, księżę. Wiem, kiedy się wycofać.

Uśmiechnęła się, ukloniła i powędrowała na drugą stronę komnaty, i powiedziała coś do Heiko. Dziewczyna oddała swój *shamisen* innej gejszy i podeszła do Genjiego. Odprowadzały ją spojrzenia wszystkich mężczyzn. Nawet srogi szambelan Saiki i groźny dowódca gwardii Kudo zapomnieli na chwilę o swoich obowiązkach. Gdyby wśród samurajów znalazł się jakiś zdrajca — przed czym zawsze przestrzegał wszystkich pan Kiyori — miałby doskonałą sposobność, by dokonać zamachu. Chociaż z drugiej strony on także mógłby się zagapić. Taka bowiem była potęga urody. Kruszyła więzy dyscypliny i odbierała zdrowy rozsądek.

— Nie chciałem ci przeszkadzać — powiedział Genji.

Heiko skłoniła się i usiadła. Cichy szmer jedwabiu kojarzył mu się z odległym szumem fal wycofujących się z piaszczystej plaży.

— Toteż nie przeszkodziłeś, panie — odparła Heiko.

Pierwszy raz odezwała się wprost do niego. Musiał wykorzystać niemal cały zapas wewnętrznej dyscypliny, żeby nie zachłysnąć się ze zdumienia. Jej głos pobrzmiwał dźwiękiem dzwonu — ale nie w dokładnym znaczeniu tego słowa, tylko w tym, że zawierał w sobie cudowną wibrację, która wciąż trwała, chociaż dziewczyna już przestała mówić. Dopiero teraz, z bliska, Genji dostrzegł, że pod makijażem ma kilka piegów. Nie ukrywała ich, choć mogła zrobić to bez trudu. Ta drobna skaza przywodziła na myśl niedoskonałość ludzkiego życia, jego ulotność i nieprzewidywalność — i zabarwiała jej urodę maleńką nutką melancholii. Naprawdę była tak zachwycająca, czy to on gorzej udawał pijanego, niż myślał?

— Nieprawda — powiedział z uporem. — Przeze mnie nie grasz już na *shamisenie*.

— Owszem — przytaknęła Heiko. — Lecz z drugiej strony nadal występuję.

— Tak? A gdzie masz swój instrument?

Rozwarła dłoń, jakby chciała mu coś pokazać. Uśmiechnęła się niemal niedostrzegalnie, a przecież zupełnie szczerze. Patrzyła księciu prosto w twarz, aż wreszcie zamrugał, zbity z tropu jej zachowaniem i spojrzeniem.

— Co to za występ?

— Gram gejszę, która udaje, że jej gość ciekawi ją dużo bardziej niż naprawdę — odpowiedziała. Jej uśmiech stał się trochę wyraźniejszy.

— No cóż... Dziękuję ci za szczerość. Czegóż takiego nie słyszałem dotąd od żadnej gejszy. Myślałem, że nie wolno wam nawet odrobinę przyznawać się do narzuconej roli.

— Czasami warto złamać zasady, żeby osiągnąć cel, mój książę.

— Co w takim razie jest tym celem?

Heiko uniosła rękę, aby zakryć uśmiech, ale jej oczy połyskiwały wesoło znad rękawa.

— Gdybym to teraz powiedziała, panie, nie miałbyś nic więcej do odkrycia. No, może poza moim ciałem. Ale nie trwałoby to długo, choćbym nawet doskonale znała sztukę uwodzenia.

Genji się roześmiał.

— Wiele słyszałem o twojej urodzie. Nikt mnie jednak nie ostrzegł przed inteligencją.

— Kobieta piękna, lecz niemądra jest warta tyle, co mężczyzna silny, lecz tchórzliwy.

— Albo samuraj szlachetnego rodu, który nie ma w sobie nic z wojownika — ze znaczącym uśmiechem dodał Genji.

— To nawet staje się zabawne. Udaję gejszę, która udaje, że jest zaciekawiona księciem, który udaje, że nie jest wojownikiem.

— Skoro tylko udajesz, że udajesz, to znaczy, że jednak cię ciekawię?

— Oczywiście, panie. Nie może być inaczej. Tyle mi mówiono na twój temat... Jesteś inny niż wszyscy władcy.

— Nie tak bardzo — zaproponował Genji. — Wielu roztrwoniło potęgę i skarby na niewiasty, poezję i sake.

— Ale żaden z nich oprócz ciebie tego nie udawał — odparła Heiko.

Genji znów się roześmiał, lecz tym razem wcale nie było mu wesoło. Chcąc zyskać nieco czasu do namysłu, sięgnął po czarkę sake. Czyżby dziewczyna rzeczywiście przejrzała jego podstęp? A może to tylko zwykła potyczka słowna?

— Dobrze, mogę udawać, że udaję coś, czego tak naprawdę wcale nie udaję.

— A może odrzucimy maski i bądźmy wobec siebie szczerzy — zaproponowała Heiko.

— To niemożliwe — mruknął Genji i upił kolejny łyk sake. — Ja jestem księciem, a ty gejszą. Nasze życie to gra pozorów. Wciąż musimy grać wyznaczone role, nawet kiedy jesteśmy sami.

— Może więc na początek będziemy udawali, że nie mamy przed sobą żadnych tajemnic? — Heiko napełniała czarki. — Oczywiście, gdy zostaniemy sami, bez świadków.

Uniosła czarkę.

— Umowa stoi, panie?

— Stoi — powiedział Genji. — Wydaje mi się, że na krótką chwilę to może nawet być zabawne.

Dziadek ostrzegał przed niebezpieczeństwem grożącym mu ze strony zdrajców. Nic jednak nie mówił o przemądrzałych gejszach.

Co by pomyślał o Heiko? Przecież na pewno się poznają, kiedy Kiyori po Nowym Roku zjedzie na dłuższy pobyt do Edo. Genji nie wiedział, komu zaufać w tych trudnych i niepewnych czasach. Wierzył jedynie w mądrość dziadka i jego proocze wizje. Taki ktoś, jak Kiyori, na pewno nie mógł się pomylić.

— O czym myślisz, panie? — spytała Heiko.

— O moim dziadku — odpowiedział Genji.

— Kłamczuch!

Genji się roześmiał. Jak też może wyglądać romans, w którym prawda jest kłamstwem, kłamstwo zaś odzwierciedla więcej prawdy niż rzeczywistość? Rzecz zapowiada się ciekawie.

Podszedł do nich szambelan Saiki.

— Robi się późno, panie. Czas odesłać gejsze.

— Ależ to byłoby niegrzeczne! — zaprotestował głośno Genji. — Lepiej niech zostaną na noc. Przecież mamy wolne komnaty. W południowym skrzydle nikt nie mieszka.

Tam mieściły się kwatery dwudziestu najdzielniejszych samurajów, którzy wraz z dowódcą jazdy opuścili pałac i w przebraniu mnichów zatrzymali się w klasztorze Mu-shindo.

— Panie... — Saiki skrzywił się niemiłosiernie. — To nieroztropne. Pomyśl o naszym bezpieczeństwie. Połowa straży wyjechała, więc brak nam ludzi do obrony. Nie zdołamy upilnować tak dużej grupy.

— Kogo naprawdę chcesz pilnować? — Genji lekceważącym ruchem ręki odegnał dalsze słowa szambelana, zanim ten znowu zdążył się odezwać. — Twoim zdaniem jesteśmy aż tak słabi, że musimy obawiać się tych kilku na wpół pijanych kobiet?

— Ja nie jestem na wpół pijana, panie — nieoczekiwanie wtrąciła Heiko. — Urznęłam się jak bela. — Spojrzała na Saikiego. — Powiedz mi zatem, szambelanie, czy przez to stałam się podwójnie groźna, czy też zupełnie nieszkodliwa?

Gdyby ktoś inny zadał to pytanie, Saiki na pewno by się rozgniewał. Tym razem też się nie uśmiechnął, lecz podjął grę dziewczyny.

— Podwójnie groźna, pani Heiko. Podwójnie groźna. To nie ulega najmniejszej wątpliwości. A śpiąca będziesz jeszcze groźniejsza. Choćby dlatego proszę księcia, aby odesłał cię do domu. Ciebie i twoje towarzyszkę.

Genji przysłuchiwał się temu z rozbawieniem. Nawet taki ponurak jak Saiki okazał się podatny na wdzięki pięknej gejszy.

— Na wojnie oraz w polityce zawsze słucham rad mojego szambelana — powiedział książę. — Lecz jeśli mowa jest o gejszach albo o noclegu, to śmiem twierdzić z całą pokorą, że w tych sprawach mam większe doświadczenie. Przygotujcie południowe skrzydło pałacu dla gości.

Saiki więcej nie protestował. Był samurajem starej szkoły, więc nie zamierzał sprzeciwiać się rozkazom swego pana.

— Tak jest, książę — odparł z ukłonem.

Podczas tej krótkiej rozmowy Heiko zdążyła wypić jeszcze dwie czarki sake. Przez cały wieczór ostro piła. Gdyby Genji chciał pójść w jej ślady, już dawno zwałiłby się nieprzytomny.

Heiko chwiejnie siedziała na piętach, w tradycyjnej postawie służebnicy. Nie dość, że się kołysała, to jeszcze mrugała sennie, jakby zaraz miała się przewrócić. Genji był gotów ją podtrzymać, choć wiedział, że to niepotrzebne. Nie stosowała tak ogranych sztuczek. W ciągu tych kilku minut znajomości zdążył zrozumieć, że nigdy nie robi tego, czego się po niej spodziewa. Nawet pijana była niezwykła. Inne kobiety — choćby najbardziej doświadczone gejsze — traciły wiele uroku, będąc pod wpływem alkoholu. Niechlujny wygląd i zachowanie sprawiały, że z postaci z baśni stawały się zwykłymi ludźmi.

W przypadku Heiko nadmiar sake wywołał efekt wręcz odwrotny. To prawda, wciąż się kołysała — w przód, w tył, w prawo, w lewo — ale nie opadł jej najmniejszy kosmyk włosów. Makijaż, dyskretniejszy od tradycyjnego, też pozostawał bez zarzutu. Kimono spowijało ją tak samo jak w chwili, kiedy tu przybyła. Zdobiony pas i kokarda były jak zawsze elegancje. Niektóre gejsze po kilku głębszych zapomniały o konwenansach. Heiko przeciwnie, stała się sztywna. Poprawiła kołnierz kimono i wygładziła fałdy na biodrach. Nadal siedziała w oficjalnej pozycji. Co w tym wypadku mógł zrobić mężczyzna, aby skruszyć tak doskonały mur obojętności? Zbyt duża ilość sake powodowała, że twarze kobiet na ogół wydawały się lekko nabrzmiałe. Heiko miała jedynie ślicznie zaróżowione uszy i powieki, co dodatkowo podkreślało jej bladą karnację i kierowało myśli ku sypialni. Genji był ogromnie ciekaw, gdzie jeszcze spąsowała.

Nie zaprosił jej na noc do swojej komnaty. Na pewno by mu odmówiła. Nawet pijana, była zbyt szykowna, aby bezwiednie kleić się do mężczyzn. Książęcy tytuł również nie robił na niej większego wrażenia. Z drugiej strony należy jednak przyznać, iż Genji wcale nie zamierzał prosić ją o cokolwiek. Doszedł do wniosku, że w tej sytuacji byłoby to zwyczajnym chamstwem.

Ich związek — jeśli miał mieć przyszłość — wymagał taktu i rozwagi. Genji już od dwunastu lat grał rolę lekkoducha. Dziś po raz pierwszy z fascynacją myślał o kobiecie. Jeżeli chce ją bliżej poznać, musi zapomnieć o pośpiechu. A gdyby była trochę brzydsza, też by tak za nią gubił oczy? Nie, nie... Za dobrze siebie znał. Być może ma cierpliwość bodhisattwy, ale na pewno nie jest świętym.

— Panie?

Służąca, która rozkładała pościel, popatrzyła na niego pytająco. Genji zrozumiał, że mimo woli roześmiał się do własnych myśli.

— Nie, nic takiego — odparł.

Pochyliła głowę w ukłonie i wróciła do przerwanej pracy. Dwie inne pomogły Genjiemu się rozebrać. Później wszystkie trzy skromnie uklęły pod drzwiami i ukłoniły się do samej ziemi. Czekwały cierpliwie na dalsze polecenia. Jak wszystkie pokojówki w wewnętrznym pałacu, były bardzo ładne. Genji nosił tytuł książe i miał ogromną władzę, więc stał wyżej od zwykłych ludzi. Lecz poza wszystkim był człowiekiem i mężczyzną. Od pokojówek wymagano, aby prócz zwykłych obowiązków spełniały też bardziej intymne żądania swego pana. Jednak dziś Genji nie wybrał żadnej. Myślał o Heiko.

— Dziękuję — powiedział krótko.

— Dobranoc, książe — odparła najstarsza z pokojówek. Nie wstając z kolan, pojedynczo, wycofały się na korytarz. Ostatnia cicho zamknęła drzwi.

Genji przeszedł na drugą stronę sypialni i otworzył drzwi wychodzące na wewnętrzny ogród. Do świtu pozostała zaledwie godzina. Lubił patrzeć, jak wschodzące słońce muska promieniami starannie przystrzyżone krzewy i budzi mozaikę cieni na pieczołowicie zagrabionym kamiennym „jeziorze”. Lubił słuchać śpiewu pierwszych ptaków. Usiadł w pozycji *seiza*, złożył dłonie w medytacyjną mudrę, charakterystyczną dla buddyzmu zen, i przymknął oczy. Zamierzał oczyścić umysł ze wszystkich zbędnych myśli i zmartwień. Wiedział, że słońce jak zwykle wyrwie go z odrętwienia, kiedy wzniesie się dość wysoko, by zaświecić mu prosto w twarz.

Gdyby ktoś teraz na niego patrzył, mógłby nie uwierzyć, że to ten sam podpity próżniak, który zaledwie parę minut temu zabawiał się z gejszami. Genji siedział wyprostowany, z kamiennym spokojem, jak przystało na samuraja. Wyglądał, jakby szykował się do bitwy lub zamierzał popełnić rytualne *seppuku*.

Mimo to wciąż dręczył go niepokój. Za każdym razem, kiedy zaczynał medytować, zamiast uwolnić się od myśli, wkraczał do krainy marzeń i fantazji.

Najpierw oczywiście pomyślał o Heiko. O tym, że w tej chwili jest niedostępna... więc szybko powrócił do trzech pokojówek, które nie tak dawno odprawił. Najbardziej podobała mu się pyzata i wesoła Ume. Przeżył z nią kilka miłych nocy. Może za szybko ją przegonił?

To przypomniało mu rozmowę, którą odbył niedawno z pewnym misjonarzem. Chrześcijanin z powagą podkreślał obowiązek zwany przezeń „wiernością”. Twierdził, że po ślubie bogobojny człowiek sypia tylko z żoną. Genji słuchał tego z bezbrzeżnym zdumieniem. Ani trochę nie wierzył słowom misjonarza, bo to po prostu było niemożliwe. Nikt, nawet cudzoziemcy, chociaż strasznie dziwni, nie mogli wyznawać tak nieżydciowych zasad. Gorzej, że ów misjonarz upierał się, iż mówi szczerą prawdę. No dobrze, wszyscy kłamią, ale tylko głupcy opowiadają brednie, w które nikt nie wierzy. Cóż więc nim kierowało? — zastanawiał się Genji.

Dziadek nigdy nie borykał się z podobnymi kłopotami. Pierwszą wizję miał w piętnastym roku życia. Przez minione lata przewidywał wszystko z żelazną konsekwencją. Kiyori po prostu wiedział, o nic nie musiał pytać. Kiedyś wspomniał, że jego wnuk będzie miał trzy wizje. Tylko trzy — i to wystarczy. Genji do dzisiaj nie rozumiał, jak w ciągu tych trzech razy może osiągnąć oświecenie na całą resztę życia. Ale ufał dziadkowi, bo ten był nieomylny. Mimo to nie pozbył się wątpliwości. Przecież całkiem niedawno skończył dwadzieścia cztery lata i do tej pory nie widział nawet skrawka przyszłości.

Och... Znowu myślał, a miał uwolnić umysł. Na szczęście w porę zdołał nad sobą zapanować. Zaczerpnął głęboko tchu, zrobił pełny wydech i z wolna zaczął zapadać się w nicość.

Minęła godzina lub minuta. Gdy medytował, czas płynął inaczej. Genji poczuł na twarzy ciepłe promienie słońca. Otworzył oczy — i zamiast ogrodu...

...ujrzał przed sobą tłum wrzeszczących ludzi, odzianych w nieforemne stroje cudzoziemców. Nikt nie nosił samurajskiego czuba, wszyscy mieli skołtunione włosy niczym więźniowie lub wariaci. Wbrew przyzwyczajeniu Genji rozejrzał się, szukając jakiejś broni mogącej mu zagrażać. Niczego nie zobaczył. Nikt nie był uzbrojony. To znaczy, że nie znalazł się wśród samurajów. Próbował sięgnąć do swoich mieczy, lecz nie potrafił z własnej woli poruszyć ręką, nogą, głową lub jakkolwiek inną częścią ciała. Jak lalka kroczył środkiem ogromnej hali. Był pasażerem we własnym ciele. A przynajmniej myślał, że tak, ponieważ kątem oka widział swoje dłonie. Podszedł do podestu.

Siwowłosy starzec walił w pulpit drewnianym młotkiem.

— Spokój! Spokój! Przywołuję parlament do porządku!

Jego głos ginał wśród dochodzących zewsząd gniewnych okrzyków, adresowanych do Genjiego.

— Niech cię piekło pochłonie!

— Banzai! Ocaliłeś naród!

— Pokaż, że masz honor! Sam się zabij!

— Niech cię błogosławi Budda i wszyscy bogowie!

Uświadomił sobie, że jest jednocześnie uwielbiany i znienawidzony. Wiwaty dobiegały z lewej, przekleństwa z prawej strony. Uniósł rękę, aby pozdrowić swoich sojuszników. Pasażer Genji dostrzegł w tym momencie, że to naprawdę jego dłoń, chociaż widać było na niej upływ czasu.

Chwilę później rozległ się głos z prawej:

— Niech żyje cesarz!

Do Genjiego podbiegł jakiś młodzieniec. Miał krótko ostrzyżone włosy i nosił granatowy mundur, bez żadnych znaków, herbów i dystynkcji. Dłonie zaciskał na rękojeści krótkiego miecza *wakizashi*.

Genji chciał się cofnąć, ale nie mógł. Patrzył, jak młody człowiek wbija mu ostrze w pierś. Chociaż był tylko pasażerem,

wyraźnie poczuł tępe uderzenie, potem ukłucie, jakby żądłem gigantycznej osy. Fontanna krwi bryznęła na twarz zamachowca. Genji zrozumiał, że to jego krew. Nagle zwiotczał i osunął się na podłogę.

W tłumie, który go otaczał, ujrzał twarz zachwycająco pięknej dziewczyny. Wyglądała niezwykle... Jej włosy lśniły kasztanowo, a oczy były raczej orzechowe niż czarne. Ostre rysy pasowały bardziej do cudzoziemki. Kogoś mu przypominała. Ale kogo? Nie bacząc na krew, uklękła przy nim i wzięła go w ramiona.

Uśmiechnęła się przez łzy.

— Zawsze będziesz dla mnie Promienistym Księciem — szepnęła. Gra słów nawiązująca do jego imienia. Genji. Tak samo nazywał się bohater klasycznej powieści.

Genji nie mógł wydobyć głosu. Coś błysnęło na jej długiej i gładkiej szyi. Srebrny medalion z wygrawerowaną lilijką, *fleur-de-lis*. Potem już niczego nie widział, nie słyszał i nie czuł...

— Panie! Panie!

Otworzył oczy. Tuż przy nim klęczała wystraszona Ume. Genji powoli oparł się na łokciu. Najwidoczniej stracił przytomność i stoczył się z werandy do ogrodu.

— Wszystko w porządku, panie? Wybacz, że przybiegłam nieproszona. Byłam w pobliżu i usłyszałam hałas, więc zawołałam, ale nie odpowiadałeś.

— Nic mi nie jest — odparł Genji. Wstał, opierając dłoń na jej ramieniu, i usiadł na werandzie.

— Może lepiej wezwać doktora Ozawę. Tak na wszelki wypadek.

— Masz rację. Poślij po niego.

— Tak jest, panie. — Ume podbiegła do drzwi, szepnęła coś drugiej pokojówce i natychmiast wróciła do Genjiego.

— Zaparzyć ci herbaty, panie?

— Nie. Po prostu usiądź przy mnie.

Co to było? Zapaść? A może nareszcie jedna z tych trzech wizji, które mu obiecano? Nie. Niemożliwe. Dlaczego miałby

ogłądać własną śmierć? Co z tego za pożytek? Ogarnęło go dziwne, niespotykane przedtem przerażenie. Chyba nie będę jasnowidzem, myślał. Prędzej wpadnę w obłąd. To też zdarzało się w rodzinie. Nadal kręciło mu się w głowie, częściowo pewnie po upadku, częściowo zaś po tajemniczej wizji, śnie lub halucynacji. Znów stracił równowagę.

Ume go podtrzymała.

Genji oparł się o nią nadal przestraszony. Obiecał sobie, że jeszcze dzisiaj pchnie posłańca do Akaoki z prośbą, by dziadek jak najszybciej wyruszył w podróż do Edo. Tylko Kiyori może wyjaśnić, co się tutaj stało. Tylko Kiyori zna odpowiedź na wszystkie pytania. O ile oczywiście odpowiedź istnieje...

Ale zanim posłaniec zdążył wyjść z pałacu, przybył inny z Chmary Wróbli.



2

Amerykańska róża

Ulubione przysłowie samurajów mówi: „Pierwsza myśl po przebudzeniu — śmierć. Ostatnia myśl przed zaśnięciem — śmierć”. To słowa głupców, którzy nie wiedzą, czym są narodziny.

Zamiast słabeusza, który widzi jedynie krwawą śmierć, znajdź sobie kogoś, kto dostrzega życie.

Pierwsza myśl po przebudzeniu — życie!

Ostatnia myśl przed zaśnięciem — życie!

Tylko ten wie, że śmierć przychodzi zbyt wcześnie.

Tylko ten umie zajrzeć w głąb kobiecego serca.

Aki-no Hashi

(1311)

Cichy Żuraw, Edo, 1867

Emily Gibson bardzo tęskniła za domem. Każdego ranka po przebudzeniu czuła niesiony wiatrem zapach kwitnących jabłoni. Ale nie było to wspomnienie Apple Valley z dzieciństwa. Nie był to także wyimaginowany zapach sadów na brzegach rzeki Hudson. Tęskniła za całkiem inną Doliną Jabłek, w której rosło zaledwie sto jabłoni, położoną nie dalej niż strzał z łuku od zamku Chmara Wróbli.

To, że brakowało jej jakiegoś miejsca w Japonii, było świadectwem, jak bardzo oddaliła się od Ameryki. Minęło już sześć lat, odkąd wyjechała ze Stanów Zjednoczonych, i niemal

tyle samo, odkąd ostatni raz nazwała je ojczyzną. Miała wtedy szesnaście lat. Teraz ma dwadzieścia trzy... i czuje się dużo starsza. Zdażyła stracić narzeczonego oraz najlepszą przyjaciółkę. Gorzej, że straciła także poczucie przyzwoitości. Wiedzieć a robić, co najlepsze, to dwie zupełnie różne sprawy. Uczuć nie można kontrolować rozumem i logiką. Zakochała się, choć nie powinna.

Wstała z wielkiego łoża z baldachimem. Attache wojskowy ambasady Stanów Zjednoczonych, Robert Farrington, zapewnił ją, że to w Ameryce najnowsza moda. Zamówiła je, idąc za jego radą. Z konieczności przemogła wstyd, żeby rozmawiać o tak intymnym meblu z obcym mężczyzną. Nie miała się do kogo zwrócić. Żony i córki kilku Amerykanów mieszkających w Edo unikały jej towarzystwa. Tym razem nie z powodu jej urody, ale głównie ze względu na to, iż związała się z Azjata. Porucznik Farrington powiedział, że wśród zachodnich dyplomatów krążą plotki o skandalu.

— Jaki to skandal? — zapytała Emily. — Jestem misjonarką, która krzewi słowa Chrystusa pod opieką księcia Genjiego. W naszej znajomości nie ma niczego zdrożnego.

— To pani punkt widzenia.

— Bardzo przepraszam, poruczniku Farrington — powiedziała, lekko prostując ramiona — nie znam innego.

— Błagam... Przecież już ustaliliśmy, że będziemy zwracać się do siebie po imieniu. Ty jesteś Emily, a ja Robert. „Porucznik Farrington” brzmi zbyt oficjalnie i... cóż, po wojskowemu.

Byli w gabinecie, którego okna wychodziły na wewnętrzny dziedziniec pałacu Cichego Żurawia. Pokój został umeblowany w zachodnim stylu, najpierw ze względu na Emily, a ostatnio, na jej cudzoziemskich gości.

— Czy to rozsądne, drogi panie? A może znów wybuchnie skandal?

— Ani trochę nie wierzę plotkom — odparł. — Lecz z drugiej strony sama musisz przyznać, że w tych okolicznościach...

— W jakich?

— Nie rozumiesz? — Przystojną twarz Roberta wykrzywił niemal chłopięcy grymas niepewności.

Emily miała ochotę się roześmiać. Niemało ją to kosztowało, aby zachować powagę.

— Nie — odpowiedziała.

Robert wstał i podszedł do otwartych drzwi wiodących do ogrodu. Nieznacznie kulał. Kiedyś lekceważąco wspomniał, że to tylko pamiątka z wojny. Emily wiedziała jednak od ambasadora, że porucznik Farrington został ranny podczas działań bojowych na Missisipi. Oprócz tego dostał wiele pochwał i wyróżnień za odwagę. Był ujmujący w swej skromności. W ogóle przypadł jej do gustu, choćby ze względu na to, że mówił po angielsku. Bardzo jej tego brakowało przez wszystkie długie lata pobytu w Japonii — dźwięku ojczystej mowy.

Robert stanął w drzwiach i odwrócił się do dziewczyny. Z pewnością chciał być nieco dalej od niej, zanim dopowie rzecz do końca. Nadal się krzywił.

— Jesteś młoda i niezamężna. Bez opieki ojca, męża lub brata zamieszkałaś w pałacu wschodniego satrapy.

— Robercie... Księżę Genji nie jest satrapą. To szlachcic, ktoś w rodzaju europejskiego diuka.

— Emily, proszę, daj mi skończyć, póki mam na to dość odwagi. Jak już mówiłem, jesteś młoda i piękna. Bardzo piękna, a to wystarczy, żeby złośliwym ludziom dać powód do plotek. Gorzej, że „diuk” — jak go nazywasz — który przyjął cię pod swój dach...

— Ujęłabym to w inny sposób — przerwała mu Emily.

— ...ma reputację bezwstydnika nawet wśród swoich grzesznych ziomeków. W imię Boga, Emily...

— Nie wzywaj imienia Pana Boga swego nadaremno.

— Przepraszam. Zapomniałem się. Lecz chyba już rozumiesz, co to znaczy.

— Ty też tak myślisz?

— Wiem, że jesteś kobietą cnotliwą i o niezachwianych zasadach moralnych. Nie krytykuję twojego zachowania, ale boję się o ciebie. To niemal cud, że do tej pory nic ci się nie stało. Zostałaś sama, w mocy człowieka, którego słowo jest rozkazem dla fanatycznych popleczników. Wszystko się może zdarzyć w takim miejscu. Powtarzam: wszystko, a ty zostaniesz bez żadnej pomocy.

Emily uśmiechnęła się łagodnie.

— Dziękuję, że się o mnie martwisz, ale nie musisz się obawiać. Nie ma do tego żadnych podstaw. Zapewniam cię, że Japończycy nie podzielają twego zdania o mnie. Dla nich jestem równie okropna, jak ziejące ogniem demony, które czasami występują w baśniach. Nikt z nich nie będzie mi się narzucał z jakąś niewczesną namiętnością.

— Nie chodzi mi o wszystkich Japończyków — podkreślił Robert — ale o jednego.

— Pan Genji jest prawdziwym przyjacielem i dżentelmenem w każdym calu — zapewniła Emily. — W całym Edo nie znalazłabym bezpieczniejszego miejsca niż tu, w murach jego pałacu.

— Dżentelmenem? Przecież regularnie spotyka się z prostytutkami!

— Gejsze to nie prostytutki. Rozmawialiśmy o tym wiele razy, a ty uparcie nie wierzysz w moje wyjaśnienia.

— Modli się do złotych bałwanów.

— Nie. Kłania się wizerunkowi Buddy, żeby okazać szacunek przodkom i nauczycielom. To też ci już mówiłam.

Ale Robert jakby jej nie słyszał.

— Zabijał ludzi, nawet kobiety i dzieci. Jeszcze więcej posłał na śmierć. Nie tylko godzi się na samobójstwa, co samo w sobie jest strasliwym grzechem, ale czasami zmusza swych poddanych do popełnienia tak wstrętnego czynu! Sam ściał lub kazał stracić co najmniej kilku politycznych wrogów. Mało tego — z jego rozkazu głowy skazańców trafiły do rąk ich krewnych lub przyjaciół! Trudno uwierzyć w takie okrucieństwo. Boże... A ty uważasz go za dżentelmena?

— Uspokój się. Chcesz herbaty? — Emily potrzebowała choćby krótkiej przerwy. Prawdę mówiąc, bez trudu zdołałaby odeprzeć wszystkie oskarżenia. Wszystkie, oprócz jednego: wymordowania chłopów. Może pominąć to milczeniem i skierować uwagę Roberta na inne tory?

Farrington usiadł. Ciężko dyszał zmęczony wyliczaniem najgorszych grzechów Genjiego.

— Wybacz, że zapytam... — zaczął. — Nie masz przy padkiem kawy?

— Niestety, nie. Wolisz ją od herbaty? — To była kolejna nowość, modna w Stanach po zakończeniu wojny. — Moim zdaniem jest kwaśna i powoduje rozstrój żołądka.

— To kwestia przyzwyczajenia. Podczas wojny o wiele łatwiej było o brazylijską kawę niż angielską herbatę. Kawa ma tę przewagę, że w ciągu paru minut pobudza do działania. W herbacie tego nie znajdziesz.

— Tobie brak energii akurat nie grozi — zauważyła Emily. — Może powinieneś zrezygnować z kawy?

Robert z uśmiechem wziął filiżankę.

— Może — mruknął. Wciąż się uśmiechał, i to w taki sposób, że Emily, gdyby tylko chciała, mogłaby bez większego trudu zmienić temat rozmowy. W tym jednak kryło się inne niebezpieczeństwo — czego już doświadczyła podczas poprzednich spotkań. Woląла więc pozostać na znanym sobie gruncie.

— Znów mam wygłosić wykład o gejszach i buddyzmie?

— Nie. Przyznaję, że twoje wyjaśnienia brzmią przekonująco... o ile są zgodne z prawdą. — Uniósł dłoń, żeby zawnocześnie uciszyć protesty dziewczyny. — Dla dobra sprawy przyjmijmy, że są w pełni prawdziwe.

— Dziękuję. Idźmy dalej. Jako żołnierz na pewno potrafisz zrozumieć, czym jest dla samurajów tradycja wojskowa. To właśnie ona czasami zmusza ich do samobójstwa. Z chrześcijańskiego punktu widzenia popełniają śmiertelny grzech. Co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości. Ale nie możesz wymagać od nich zmiany obyczajów, dopóki nie nawrócą się na prawdziwą wiarę. Nasza tradycja jest dla nich równie wstrętna.

— Masz w sobie wiele tolerancji jak na prawdziwą misjonarkę.

— Nie zgadzam się z ich poglądami, ale próbuję je zrozumieć. Niczego więcej od ciebie nie wymagam.

— Dobrze. Mów dalej.

— Przejdźmy zatem do świętych głów... — Emily głęboko zaczerpnęła tchu i bez większego powodzenia usiłowała zapamiętać nad swoją wyobraźnią. Zbyt często oglądała podobne widoki. — To po prostu kwestia poczucia honoru. Gdyby pan

Genji tego nie zrobił, złamałby zasady japońskiego kodeksu rycerskiego.

— Rycerskiego? Jak możesz używać tego słowa w odniesieniu do bestialskich czynów gwałtu i przemocy?

— Bardzo przepraszam, lady Emily. — Hanako uklękła w drzwiach i ukloniła się do samej ziemi. Prawą dłoń położyła na podłodze. Pusty rękaw nosiła starannie upięty na lewym ramieniu. — Ma pani kolejnego gościa. Prosiłam go, żeby poczekał, ale on okazał się strasznie uparty...

— Proszę, proszę... Co za miły widok! Pan admirał zażywa wypoczynku. Nie sądzi pan, że to strata czasu? — Charles Smith uśmiechnął się złośliwie do Roberta. Jak zwykle w jego obecności przesadnie akcentował słowa na sposób mieszkańców Georgii. — Nie musi pan rabować, palić i strzelać do bezbronnych mieszczan?

Robert zerwał się na równe nogi.

— To potwarz! Nie zniosę takich obelg z ust zdrajcy pańskiego pokroju!

— Panowie, proszę — wtrąciła się Emily, ale żaden z nich nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

Charles ledwie dostrzegalnie skinął głową.

— Jestem do pańskich usług o dowolnej porze. Wybór broni także pozostawiam panu.

— Robercie! — krzyknęła Emily. — Charlesie! Natychmiast przestańcie!

— Wyzwanie padło z mojej strony — odparł Robert — więc pan wybiera rodzaj broni.

— Przykro mi, ale odmawiam. To byłoby nie fair. Nie chcę mieć nad panem miażdżącej przewagi — powiedział Charles. — Wybrałbym szpadę albo pistolety, a pan zapewne woli, jak pańscy krajanie, dalekosiężne moździerze, bomby zapalające i długie oblężenie.

Pobiliby się, gdyby Emily w ostatniej chwili nie stanęła między nimi. Na szczęście zachowali choć tyle rozsądku, że zatrzymali się na jej widok.

— Wstyd mi za was — prychnęła, mierząc ich nadąsanym wzrokiem. — Co to za chrześcijanie? Jaki dajecie przykład naszym gospodarzom? Zachowujecie się jak barbarzyńcy. Trudno was odróżnić od tutejszych mętów!

— Zostałem znieważony, mam prawo się bronić! — wykrzyknął Robert, ze złością łypiąc na Charlesa. Ten oczywiście bez zmruczenia oka gapił się na niego.

— Bierze pan prawdę za zniewagę? — spytał, powoli cedząc słowa. — A może nie chce pan pamiętać o wszystkich popełnionych zbrodniach?

— Nie wyobrażam sobie gorszej rzeczy od niewolnictwa! — odciął się Robert. — Zupełnie słusznie położono kres tej potworności. Przy okazji stłumiono zdradziecką rebelię.

Charles zaśmiał się urągliwie.

— Nie uwierzę, że zależało panu na czarnuchach. To tylko pretekst.

— Albo skończycie tę rozmowę — powiedziała Emily — albo poproszę was, żebyście stąd wyszli. I nie chcę słyszeć o żadnym pojedynku. W przeciwnym razie więcej się nie zobaczymy. Nigdy!

Robert Farrington i Charles Smith wyglądali tak, jakby za chwilę mieli się na siebie rzucić. Szybko im to nie przejdzie, pomyślała Emily. Ale z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że ta nienawiść nie ma nic wspólnego z polityką ani nawet z minioną wojną. Wprawdzie rodzina Charlesa rzeczywiście pochodziła z Georgii, lecz od pokoleń już tam nie mieszkali. On sam urodził się w stolicy królestwa Hawajów, czyli w Honolulu. Podobnie jego rodzice. Mieli spore stado bydła i plantację trzciny cukrowej. Charles nigdy nie był w Georgii. Co więcej, z wcześniejszych rozmów wynikało, że nienawidzi niewolnictwa i nieraz wykladał spore sumy na działalność abolicjonistów. Z Robertem kłócił się o coś innego. O względy Emily.

Co sprawia, że mężczyzna dyszy żądzą mordu, myśląc, iż to najlepsza droga do kobiecego serca? Mogłoby się wydawać, że nawet w najbardziej cywilizowanej piersi drzemie brutalna pierwotna siła, czyhająca tylko, aby przejąć władzę nad ciałem i rozumem. Prawdę mówiąc, gdyby nie łagodzący wpływ płci pięknej, najlepsi chrześcijanie pokroju Roberta Farringtona i Charlesa Smitha stoczyliby się z powrotem na dno barbarzyństwa. Emily dała im jasno do zrozumienia, że każdy gwałt, choćby niegroźny w skutkach, przekreśli szanse na dalszą znajomość, nie wspominając o konkurach.

Prawdę mówiąc, jeszcze nie zdecydowała, który z nich jest lepszym kandydatem na męża, lecz w głębi duszy nie chciała zbyt długo zwlekać z decyzją. Powód był bardzo prosty — ten sam, który przedtem kazał odrzucać jej myśl o małżeństwie. Miłość. Miłość najgłębsza i najtrudniejsza do zwalczenia. Ale niestety — to uczucie nie dotyczyło żadnego z dwóch obecnych tutaj dżentelmenów.

Na jej życzenie wyszli w odstępie kwadransa. Jakiś czas potem Emily zasiadła w swoim gabinecie, aby na nowo podjąć przekład tajnych kronik, zawierających dawne przepowiednie i historię rodziny Genjiego, klanu Okumichi z lenna Akaoka. Tytuł zwojów brzmiał *Suzume-no kumo*, czyli „Chmara Wróbli”.

Na biurku leżała samotna czerwona róża. Pojawiała się tam każdego ranka po wiosennej równonocy. W klanie Genjiego znana była jako *American Beauty* — „Amerykańska Piękność”. Dziwna nazwa dla kwiatów rosnących wyłącznie w wewnętrznych ogrodach zamku Chmara Wróbli. Emily ostrożnie musnęła ustami delikatne płatki. Właśnie w imię miłości musiała jak najszybciej poślubić Roberta lub Charlesa, chociaż żadnego z nich nie kochała. Włożyła różę do specjalnie przygotowanego wazonika i postawiła go na rogu biurka.

Dzisiaj chciała zasiąść do nowego zwoju. Żaden nie miał numeru ani tytułu lub innych oznaczeń, więc czasami dopiero w połowie pracy mogła się domyślić jego datowania. Przed sześcioma laty zupełnie przypadkowo zaczęła tłumaczenie od pierwszej księgi z 1291 roku. Druga pochodziła z 1641, a trzecia z 1436 roku. Trudno było rozpoznać, które części kroniki następują po sobie w porządku chronologicznym. Genji wyjaśnił jej, że książęta, czytając stare dokumenty — co było ich obowiązkiem — chętniej sięgali po pewne zwoje niż po inne. W rezultacie po kilku wiekach zapanował zupełny chaos. Nikt nie pamiętał dawnej kolejności. Może w ogóle nie istniała? Emily początkowo uznała to za trudność, lecz później z coraz większym zainteresowaniem wertowała pozostałe zapiski. Miało to w sobie coś z nastroju świątecznej niespodzianki; zdawało jej się, że rozpakowuje prezent ukryty pod choinką.

Podwójnie miłe bywały takie dni jak dzisiejszy, kiedy musiała sięgnąć do nowego kufra w poszukiwaniu następnej księgi.

Balagan, którym cechowała się historia klanu, potęgowany był sposobem jej przechowywania. Różne zwoje z różnych stuleci leżały w skrzyniach wszelkiej wielkości i kształtu. Brakowało w tym logiki, więc Emily za każdym razem błędziła wzrokiem po wszystkich kufrach zgromadzonych w kącie pokoju i wybierała ten, który w danej chwili najbardziej jej się spodobał.

Duży czy mały? Taki, na którym widać już patynę czasu, czy też odrobinę nowszy? A może ten w europejskim stylu, zamknięty na zardzewiały skobel? Lub eleganckie owalne pudro, pewnie chińskie, powleczone czarną laką? Albo koreańska skrzynia z wonnego drewna sandałowego? W tej samej chwili wzrok dziewczyny padł na przedziwne pudło obszyte skórą. Wiedziała już, gdzie sięgnąć, by zaspokoić swą ciekawość. Wierzch kufra pomalowany był mocno spłowiała farbą, ale zachował się rysunek czerwonego smoka, błędzącego pośród niebieskich górskich szczytów. Przez minione lata Emily dość dużo dowiedziała się o sztuce orientalnej i bez trudu potrafiła rozpoznać kraj pochodzenia większości przedmiotów. To pudło wyglądało jednak jakoś inaczej.

Przy bliższych oględzinach okazało się, że wieko było przyklejone woskiem, pokrywającym także resztę kufra. Drobne rysy i zadrapania wyraźnie wskazywały na to, że ktoś niedawno zaglądał do środka. Dziwne, stwierdziła Emily. Genji powiedział jej, że kolejni władcy Akaoki przed objęciem lenna czytali wszystkie zwoje. On przejął schedę po dziadku dosyć dawno temu. Może zalepił pudło, a potem je otworzył, żeby przypomnieć sobie jakiś fragment tekstu? Później go o to spytam, postanowiła dziewczyna.

Zawartość kufra była przykryta strzępem szorstkiej tkaniny. Druga warstwa była z pięknego jedwabiu. Emily powoli zaczęła go rozwijać i jej oczom ukazały się cudowne róże, gęsto wyhaftowane czerwoną, białą i różową nicią na tle skłębionych chmur, płynących po błękitnym niebie. Wszyscy wiedzieli, że „Amerykańska Piękność” jest nieoficjalnym herbem klanu. Zaskakujące więc, że dopiero teraz Emily znalazła ten wzór na tkaninie zawsze chroniącej dokumenty.

Wyjęła pierwszy zwój. W odróżnieniu od innych, które czytała przedtem, ten był spisany prostym japońskim pismem

hiragana, *la.* pomocą fonetycznych znaków, dużo łatwiejszych od chińskich *kanji**. Ideogramy zawsze sprawiały jej niemało trudu, choćby ze względu na ich wieloznaczność. *Hiraganę* znała na pamięć. Szybko przebiegła wzrokiem pierwszą linijkę tekstu.

Przybysz wyjawiał panu Narahirze, że amerykańska piękność...

Zatrzymała się zdumiona, pokręciła głową i zaczęła czytać od początku. Nie... To nie błąd. Było wyraźnie napisane *American* — w fonetycznej wersji: *a-me-ri-ka-nu*. Skoro tak, to zwój musiał powstać stosunkowo niedawno, w czasach, gdy Japończycy dowiedzieli się o istnieniu Nowego Świata. Poprzedni fragment, który tłumaczyła, obejmował część drugiej połowy XVIII wieku. Zapewne ten spisano w tym samym okresie. Czytała dalej.

Przybysz wyjawiał panu Narahirze, że amerykańska piękność obecna na zamku zwiastować będzie ostateczny triumf klanu Okumichi. Narihira był głupcem, więc czym prędzej rozkazał posadzić róże w wewnętrznym ogrodzie Chmary Wróbli i nadal im nazwę American Beauty, myśląc, że w ten sposób spełni przepowiednię. Mężczyzna często chce na siłę zmienić bieg rzeki, zamiast spojrzeć uważnie w nurt i bez większego trudu skierować ją we właściwe miejsce. Prawda, że trudno sobie wyobrazić tak głupią kobietę? Bogowie mieli w niebie dobrą zabawę, kiedy oddali Ziemię we władanie mężczyznom.

Narracja odbiegała od ceremonialnego stylu, w którym spisane były inne zwoje, przetłumaczone przedtem przez Emily. Archaiczny język stanowił nie lada wyzwanie, lecz z pomocą słownika, który sporządziła przy udziale Genjiego, mogła względnie łatwo przeczytać dalsze wiersze, wdzięczna, że nie musi borykać się z *kanji*. Nie robiła nawet szkicu przekładu. Na to przyjdzie czas potem. Teraz jest zbyt przejęta.

Skończyła koło południa, przed wizytą Genjiego, który przyszedł jak zawsze zjeść z nią lekki obiad. Już wiedziała, że w tajemniczym pudle z dawnym rękopisem jest coś zupełnie innego niż *Suzume-no kumo*. Dzieje klanu od 1291 roku spisywali kolejni książęta. Autorką tego zwoju na pewno była kobieta.

* *Kanji* — znaki chińskie używane do zapisu języka japońskiego.

Pamiętnik rozpoczynał się mniej więcej od tego samego momentu, co oficjalne dokumenty.

Opisywała w nim, jakby z własnego doświadczenia, gros wydarzeń, które miały miejsce setki lat przed jej narodzeniem.

Chmara Wróbli, 1281

— Nic z tego nie rozumiem — powiedziała pani Kiyomi i z nadąsaną miną spojrzała na męża. — Niby dlaczego masz pomagać książętom Hakaty? Przecież to nasi wrogowie od wielu pokoleń!

Masamune pogładził tańczącego rumaka. Chętnie by weschnął, lecz nie mógł tego zrobić w obecności pięciuset wojowników na koniach, którzy czekali wokół niego. To nie byłoby męskie. Pluł sobie w brodę, że nie posłuchał ojca i nie wziął sobie brzydszej, ale mniej pyskatej niewiasty za żonę.

— Już ci to wyjaśniałem. Horda Mongołów napadła na naszą świętą ziemię.

— Owszem, słyszałam to wiele razy. Ale co z tego, mój świątły panie? Hakata wcale nie jest „naszą świętą ziemią”. Co nas obchodzą jacyś Mongołowie czy jak tam ich nazwałś? Niech się tłuką. Jednego wroga mniej, tym lepiej dla nas.

Masamune z nadzieją zerknął na swego szambelana, ale ów mądry i doświadczony mąż już od kilku minut z zainteresowaniem patrzył na rząd drzew widoczny hen, na horyzoncie.

— Jeśli Hakata padnie, to mongolskie wojska lada dzień staną na naszej granicy.

Kiyomi się roześmiała.

— Chyba żartujesz. Hakata jest na Kyushu, a my na Shikoku. — Powiedziała to takim tonem, jakby nie musiała niczego więcej wyjaśniać.

Masamune poślubił ją przed dziesięcioma laty. Dochowali się trójki dzieci, ale w jego oczach wciąż wyglądała młodo, zwłaszcza gdy się śmiała. Nie umiał się na nią złościć, chociaż w ogóle nie znała się na polityce.

Uklonił się z wysokości siodła.

— Przywiozę ci głowy Mongołów.

— Skoro tak, to przywieź mi raczej ich skarby. Nie mam pojęcia, co jest interesującego w ściętych głowach.

Tym razem Masamune westchnął mimo woli. Szarpnął wodze i skierował konia w stronę bramy.

— Żegnaj.

Najstarsza dworka odezwała się dopiero wtedy, gdy wszyscy wojownicy wyjechali z zamku.

— Wprawdzie rozumiem twoje zachowanie, pani, ale sama powiedz, czy to najmądrzejsze? Bardziej pomogłabyś mężowi dobrą radą, niż udając głupią.

— Pewnie zgodziłabym się z tobą, gdybym tylko wiedziała coś, czego on nie wie — odparła pani Kiyomi. — Ale na szczęście pan Masamune ma mądrych doradców. Moje rady nie są mu potrzebne. Lepiej niech będzie przekonany, że nic z tego nie rozumiem. Nie chcę, żeby na próżno się martwił. Kiedy pomyśli o mnie, to najwyżej uśmiechnie się z rozbawieniem. Całą uwagę skupi na czekającym go zadaniu. Kto wie, może w ten sposób pomogę mu do nas wrócić?

— Co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości — odezwała się inna dworka. — Pan Masamune jest najdzielniejszym wojownikiem na całej Shikoku.

— Shikoku to maleńka kropka na ogromnym morzu — stwierdziła pani Kiyomi. — Inne japońskie wyspy są niewiele większe. Wielki chan Mongołów ma pod swoją komendą ogromną armię złożoną z milionów żołnierzy. Zdobył dziesiątki królestw większych od naszego kraju. Nasz pan prędzej zginie w bitwie, niż wróci do domu.

W milczeniu przeszły na dziedziniec, na którym bawiła się grupka dzieci. Przyłączyły się do zabawy i już więcej nie mówiły o wojnie.

* * *

— Masamune! — Gengyo, książę Hakaty, ze zdumieniem spojrział na swego odwiecznego wroga, który właśnie przybył z posiłkami.

Masamune uśmiechnął się szeroko i pochylił głowę w ukłonie. Opłaciła się mu długa podróż. Widok niechęci na twarzy Gengyo był dla niego najlepszym zadośćuczynieniem za poniesione trudy.

— Chcę ci pomóc w walce z bezczelnym najeźdźcą.

— Najgłębsze podziękowania. Niestety, nasze siły są ciągle za małe. Może razem z wami zdołamy zatrzymać ich do czasu, aż przybędzie shogun na czele głównej armii.

— Po co? Wystarczył jeden atak przed siedmioma laty, żeby Mongołowie byli w rozsypce. — Prawda wyglądała trochę inaczej, ale Masamune nie wdawał się w szczegóły. Walka była zacięta i wyjątkowo krwawa. Gdyby nie sztorm, który rozpedził okręty napastników, większe szanse na zwycięstwo mieli Mongołowie. Dziś wielu wojowników widziało to inaczej, wierząc w legendy, które wszystko wyolbrzymiały.

— Tym razem jest ich dużo więcej — powiedział Gengyo. — Bardzo dużo.

— I co z tego? Lepiej daj sygnał do ataku. Nie wierzę, aby jakiś nędzny barbarzyńca powstrzymał szarżę samurajów na koniach.

Gengyo ruchem ręki poprosił go, by szedł za nim. Podeszli do nasypu wzniesionego na wzgórzu, opodał wybrzeża.

— Sam zobacz.

W zatoce Hakata kotwiczyło kilkaset okrętów. Dalsze wciąż wypływały zza horyzontu. Oddziały Mongołów żwawo budowały warowne obozy, okalane wałami. Siłę przeciwnika Masamune oceniał na dwadzieścia tysięcy. Tyle przynajmniej widział. Ale inne grupy obozowały dalej, wzdłuż całego brzegu, nawet za pasmem gór sterczących na zachodzie. Ilu więc było tych, którzy zeszli z pokładu? Pięćdziesiąt tysięcy? A tymczasem morzem wciąż przybywali nowi.

— Konie — mruknął Gengyo. — Widzisz? Mają konie, i to całkiem sporo. Z tego, co słyszałem, ich kawaleria podbiła Chiny, Koreę i nieznane królestwa Dalekiego Wschodu. Musi być w tym ziarno prawdy. Stoczyliśmy z nimi dwie, trzy potyczki. Aż dziw bierze, co potrafią zrobić, siedząc w siodle. Nie pamiętam, żeby walczyli tak poprzednim razem. — Gengyo najwyraźniej miał własne wspomnienia, które też wymagały pewnego sprostowania. — Nasi dzielni żeglarze z Choshu i Satsumy zakradli się nocą na tutejsze okręty. Zginęło wielu wrogów, ale to za mało. W miejsce każdego zabitego przychodzi dziesięciu następnych.

— Co oni wynoszą na brzeg?
— Te rury i beczki? — Gengyo zrobił zakłopotaną minę. — Nie mam pojęcia. Ale celują nimi w naszą stronę.
— Kiedy przybędą wojska shoguna? — Zapytał Masamune.
— Jutro. Albo pojutrze. Atak Mongołów nastąpi zapewne dziś w nocy.
Przez kilka minut bez słowa patrzyli na krzątanie wroga. Wreszcie Masamune zerknął na swego porucznika.
— Odprowadźcie konie na bezpieczną odległość — rozkazał. — Dajcie łuczników na pierwszą linię.
Odwrócił się do Gengyo.
— Przed nami rozpościera się szmat pustej przestrzeni. Skosimy ich, zanim dojdą do połowy drogi.

* * *

— Ty! — Mongoł wskazał na Eroghuta. — Skrzyknij swoich ludzi. Pójdziecie w pierwszym szeregu.
— Mongolskie psy — mruknął Eroghut do brata. — Posyłają nas na pewną śmierć. Potem będą na naszych trupach świętowali wielkie zwycięstwo.
— Nie umrzemy — padła odpowiedź. — Pamiętaj, co powiedziała matka. Nasza krew przetrwa dłużej niż krew Kubilaja Grubego. Orda Nurdzeńów powróci po upadku Mongołów.
Eroghut milczał. Wiara młodszego brata w przepowiednie matki bywała wzruszająca. Podobnie jak cała reszta ocalałych Nurdzeńów uważał ją za wiedźmę z legendarnego rodu słynnej Tangolhun, która ponoć kazała wielkiemu Attyli iść na zachód, za słońcem, do nowej ojczyzny Hunów. Ta sama legenda łączyła Nurdzeńów z Hunami, czyli odwiecznymi wrogami Mongołów. To wszystko bzdury i bajki dla dzieci, myślał Eroghut. Nie było Tangolhun ani nawet Attyli o tak wielkiej sławie. A orda Nurdzeńów? Jak miałyby wrócić, skoro pozostała ich zaledwie garstka, niezasługująca na miano plemienia? Orde stanowiło nie mniej niż sto plemion. Nie, nie... Eroghut i jego kuzyni, ostatni z Nurdzeńów, jacy kiedykolwiek chodzili po ziemi, mieli umrzeć w tym przeklętym miejscu nazywanym Japonią. Przegrali, pokonani przez znienawidzonych Mongołów. Ale nie umrą sami.

— Każą nam podejść pod fortyfikacje widoczne na wzgórzu — powiedział. — Z nami poślą Ujgurów, Kałmuków i Kitanów. Kryjcie się za nimi tak dobrze, jak umiecie. Mongołowie pociągną z tyłu niczym psy gównojady. Gdy dotrzemy na wzgórze, zamiast atakować, rzucimy się na nich.

— A co z Japończykami? — Zapytał któryś z krewnych. — Pomyślą, że uciekamy, i ruszą do kontrataku.

— Nie — odparł Eroghut, choć ani przez chwilę nie wierzył w swoje słowa. — Zobaczają, że jesteśmy wrogami ich wrogów, więc będą walczyli ramię w ramię z nami.

— Jesteś naszym dowódcą i zawsze cię słuchamy — zapewnił inny kuzyn — ale ci szaleńcy to naród dzikusów, wynajających kult śmierci. W szale zabijania tracą resztki rozumu. Zgadzam się z naszym krewnym. Zaatakują nas, myśląc, że jesteśmy słabi.

— Wolisz zginąć, walcząc za sprawę Mongołów, czy też kilku z nich zabrać ze sobą do grobu? — Spytał Eroghut. To uciszyło dalsze protesty. Potomkowie wielkiej ordy Nurdzenów podeszli do koni, poprawili uprzęże, sprawdzili zbroje i wyjechali na czoło ciężkiej kawalerii. Z tyłu chińscy puszkarze i artylerzyści szykowali się do otwarcia ognia.

* * *

Ziemia drżała pod kopytami mongolskich szwadronów. Jeźdźcy ciągnęli pełnym galopem, ale w ordynku, kierując włącznie prosto przed siebie.

— Nie strzelać, dopóki nie znajdą się u stóp wzgórza! — Rozkazał Masamune swoim ludziom.

Zanim jednak horda dotarła w to miejsce, bluznęły ogniem rury stojące na plaży. Buchnął dym i rozległo się przenikliwe wycie, niczym wściekłego wiatru. Chwilę później — choć wydawało się to niemożliwe — na dziennym niebie eksplodowały gwiazdy i całe konstelacje. Oddziały Masamune stały na swoich miejscach. Wśród innych samurajów wybuchła panika.

— Strzelać! — Zawołał Masamune.

Jego łucznicy powalili dziesiątki Mongołów, ale ustępowali liczebnie wrogowi. Jeźdźcy bez trudu przełamali obronę samurajów. Byli bliscy zwycięstwa, kiedy na prawej flance powstało

zamieszanie. Część wojowników zatoczyła koło i rzuciła się na swoich pobratymców. Ich zawołanie brzmiało zupełnie inaczej niż reszty Mongołów. Krzyczeli coś, co Masamune słyszał jako: *O-ru-da-nu-ru-dzie-nu-fu!*

Nagła zdrada wywołała chaos w szeregach Mongołów. Mimo przewagi liczebnej i ogniowej przerwali atak i zaczęli się cofać. W chwili spokoju, która nastąpiła potem, Masamune ujrzał koło siebie obcego wojownika. Renegat uderzył się pięścią w pierś.

— Nie Mongoł — powiedział łamaną chińszczyzną. — Tak, Nurdzen. — Po tych słowach wskazał swoich towarzyszy, którzy dokładnie powtórzyli jego gest, uderzając się w piersi.

— Nurdzen — powtórzył.

— Mówią, że nie są Mongołami, panie? — Upewnił się porucznik.

— Chyba tak. To... — Masamune z trudem powtórzył skomplikowaną barbarzyńską nazwę. — *Nu-ru-dzie-nu.*

— Co to jest *nu-ru-dzie-nu!*

Nad ich głowami z hukiem wybuchły nowe gwiazdy. Samuraje płasko przypadli do ziemi. Masamune wypluł garść piasku.

— Wrogowie Mongołów — odparł. — Jeszcze chcesz coś wiedzieć?

Tym razem gwiezdny błyskom towarzyszył ogłuszający huk. Coś niewidzialnego świsnęło w powietrzu i wpadło w szeregi Japończyków. Całym wzgórzem wstrząsnął potężny wybuch.

— Wstawać! — Krzyknął Gengyo. — Znów atakują!

Wielu samurajów zerwało się nie po to, żeby bronić wału, ale do ucieczki. Nie odbiegli daleko. Grad pocisków zmieniał ich w poszarpane strzępy mięsa i zgruchotanych kości. Ginęli zarówno ci, co uciekli, jak i ci, co zostali.

Druga fala Mongołów wdarła się w gromadę słabnących obrońców. Jeźdźcy trzymali w rękach miecze albo włócznie. Za nimi postępowali piesi, uzbrojeni w dziwaczne łuki miotające krótkie strzały. Jedna z nich ugodziła księcia Akaoki w pierś i z łatwością przebiła zbroję.

— Ach! — Najpierw poczuł ból, a potem nic, z wyjątkiem przedziwnej lekkości oraz ośpienia. Jakiś Mongoł na koniu

chciał go przebić włócznią. Masamune nie miał już siły, żeby bronić się uniesionym mieczem. Wtem pierwszy *Nu-ru-dzie-nu* odbił śmiercionośną włócznię i wbił krótki obosieczny miecz pod pachę napastnika. Trysnęła krew i jeździec zwałił się na ziemię.

Nu-ru-dzie-nu uśmiechnął się i powiedział:

— Nie bać się. Żyjesz! Żyjesz!

Masamune stracił przytomność.

Kiedy znowu otworzył oczy, porucznik kończył bandażować mu ranę.

Mongołowie zniknęli. Samuraje krążyli po poboju, zbierając rannych i dobijając wrogów. W tej chwili zwycięstwo było po ich stronie. Masamune zobaczył poległych *Nu-ru-dzie-nu*. Zginęli chyba wszyscy... Nie, jeden wciąż oddychał. Jego pierś unosiła się lekko przy każdym wdechu. Jakiś wojownik z oddziałów Gengyo stanął nad nim z mieczem.

— Stój! — Powstrzymał go Masamune. — To nie Mongoł.

— Wygląda na Mongoła.

— Śmiesz wątpić w moje słowa, głupcze?!

— Ależ skąd, jaśnie panie. — Samuraj pochylił głowę.

— Lepiej opatrzcie jego rany.

— Tak, panie, ale źle z nim. Nie wiem, czy wyżyje.

— Jeżeli umrze, pomodlimy się za spokój jego duszy. Ale postaraj się, żeby nie umarł. — Ten *Nu-ru-dzie-nu* ocalił życie księcia Akaoki. O ile to możliwe, Masamune chciał mu odpłacić tym samym.

* * *

Eroghut nie umarł, choć inni zginęli. Nie miał już brata ani kuzynów, ani dalszych krewnych. W bólu i gorączce uśmiechał się do siebie, wieszony gdzieś w nieznane trzęsącym się wozem. Jego matka uważana była za wróżbitkę i czarownicę. Po prostu miała trochę szczęścia, sprytu i rozumu. Umiała o siebie zadbać. Wpadała w trans i rzucała klątwy i zaklęcia, zamiast zająć się mężem i dziećmi. Teraz już tylko on, Eroghut, został z całej ordy Nurdzeńów. On, syn Tanghuta z Nurdzeńów znad Rzeki Czerwonego Smoka i z Gór Niebieskiego Lodu. Ale nie było Rzeki Czerwonego Smoka i Gór Niebieskiego Lodu. Mon-

gołowie nadali im nowe nazwy, kiedy zagarnęli ziemie wolnych plemion. Wkrótce też zaginie ślad po Nurdzenach. Eroghut chciał jeszcze raz zobaczyć matkę i roześmiać się jej prosto w twarz.

Łodzią przewieziono go na drugą wyspę. Później poznał jej nazwę: Shikoku. Samuraj, którego spotkał na polu bitwy, Masamune, okazał się wielkim księciem Akaoki. Zachowywał się niczym chan, ale jego „księstwo” nie zasługiwało na tak szumną nazwę. Nawet Mongoł — a Eroghut uważał, że ich zdolności jeździeckie są mocno przeceniane — w jeden dzień przejechałby te ziemie w poprzek.

Początkowo rozmawiał ze swoim nowym panem łamaną chińszczyzną.

— Ja Masamune — mówił samuraj. — Ja księżę lenno Akaoka. Ty?

— Ja Eroghut. Ja kraj Nurdzenów. Teraz kraj nie ma.

— Twój imię? — z zakłopotaniem spytał Masamune.

— Eroghut.

— Ee-ho-go-hu?

— Eroghut.

— E-lo-ku-ho?

Japończycy byli beznadziejni. Posługiwali się tak nieskomplikowanym językiem, że nie potrafili prawidłowo powtórzyć nawet najprostszego obcego słowa.

— Ghut — powiedział Eroghut, posługując się zdrobniałą formą.

— Och... — Masamune natychmiast się rozchmurzył. — Go.

— Tak — westchnął Eroghut. — Mój imię Go. — I tak już zostało.

Go bardzo szybko uczył się japońskiego. Z łatwością składał słowa, bo zawierały tylko kilka dźwięków. Na swój sposób Japończycy byli podobni do Mongołów. Kochali wojnę. Gdy tylko Mongołowie zniknęli z wybrzeża rozpędzeni przez sztorm, tak jak za pierwszym razem, Masamune natychmiast wdał się w zbrojną potyczkę najpierw z sąsiadem ze wschodu, a potem z północy. Go nic z tego nie rozumiał. Wyglądało na to, że u Japończyków honor liczy się bardziej niż ziemia, niewolnicy, konie i szlaki handlowe. Zresztą nie mogło być

inaczej, bo ich metoda walki — seria pojedynków, w których każdy szukał przeciwnika co najmniej równego sobie rangą — nie dawała gwarancji na pewne zwycięstwo. Ich armia nie była armią w pojęciu Nurdzeńów, lecz dzikim, odważnym i niesfornym tłumem.

Kiedy jakiś samuraj opowiadał o bitwie, to podkreślał nie tylko swoją odwagę, ale wymieniał także czyny przeciwnika i szlochał nad zabitym wrogiem nie mniej niż nad przyjaciółmi. Podczas drobnej potyczki pewien wrogi książę — gruby przyszczaty młodzian lat może dwudziestu — zginął w chwili ucieczki, przygnieciony koniem. W późniejszych relacjach stał się cherubinem o niezwyklej urodzie i odwadze tak wielkiej, że starczyłoby jej, by wypełnić piersi co najmniej tysiąca dzielnych wojowników. Jego śmierć była tragedią, która pograżyła wszystkich w niewypowiedzianym smutku. Go patrzył, jak Masamune i jego podkomendni pili ryżowe wino i płakali po śmierci bohatera. A przecież wszyscy znali poległego księcia, nieraz z nim walczyli i dobrze wiedzieli, że wcale nie był piękny ani nawet przystojny, a jego odwaga... No cóż, jakiej trzeba odwagi i zdolności, aby tak szarpnąć koniem, żeby się przewrócił i upadł na jeźdźca, łamiąc mu kręgosłup?

Go pędził zatem żywot wśród tych egzaltowanych, chociaż bez wątpienia dzielnych barbarzyńców. Brał udział w bezsensownych, zwykle nierozstrzygniętych bitwach, pił sake, śpiewał i czasami powtarzał te same kłamstwa o ogromnej odwadze, nieziemskiej piękności i nieustraszonej buntowniczej śmierci. Ci ludzie żyli wojną, pijaństwem i własną legendarną sławą.

Czuł się u nich jak w domu. Zanim dziad Kubilaja Grubego, Czyngis-chan Przeklęty, zgromadził wokół siebie wszystkie stepowe ludy, zrobił z nich Mongołów i wysłał na podbój świata, szczerp Nurdzeńów podobny był do Japończyków. Może matka Eroghuta jednak się nie myliła? Może ci wyspiarze, chociaż prymitywni, mieli być załączkiem nowej ordy Nurdzeńów? Go często bawił się tą myślą. Sprawiała mu przyjemność.

Pan Masamune cenił jego znajomość koni. Za sprawą Nurdżena samuraje z Akaoki dość szybko porzucili dawne obyczaje i zamiast samotnie, jeździli zwartymi szwadronami, z których

zręczny dowódca mógł w miarę potrzeby utworzyć większy oddział lub mniejsze patrole. W ciągu dnia do komunikacji na dalsze odległości używano flag sygnałowych. Nocą w tym samym celu zapalano lampy i wypuszczano z łuków płonące strzały. Tak przez całe wieki robili Hunowie, kiedy jeszcze władali azjatyckim stepem. Później przejął to spokrewniony z nimi lud Nurdzeńów, a na koniec pomysł skradli Mongołowie i wykorzystali przeciwko swoim wrogom.

Wiosną, drugiego roku pobytu wśród Japończyków, Go mógł z zadowoleniem stwierdzić, że jego uczniowie radzą sobie w siodle nie gorzej od dawnych Nurdzeńów. Los chciał, że w tym czasie wojska Akaoki starły się z dziesięciokrotnie silniejszą armią regenta Hojo. Bitwa zakończyła się straszną masakrą żołnierzy regenta na brzegach Shikoku, nad Morzem Wewnętrznym. Wdzięczny Masamune oddał Nurdzeńowi za żonę swą najmłodszą i najpiękniejszą konkubinę. Następnej jesieni przyszedł na świat syn, któremu Go nadał imię Chiaki. Pierwszy znak, *chi*, czyli „krew”, mówił, że w żyłach dziecka płynie krew Nurdzeńów, drugi zaś, *aki*, „jesień”, związany był z porą roku.

Wszystko szło dobrze do czasu, kiedy w Japonii urodziło się drugie dziecko Nurdzeńów. Wtedy Go nagle uświadomił sobie, że jest potomkiem nie tylko matki czarownicy, ale też żyjącej przed wiekami Tangolhun.

Pałac Cichego Żurawia, 1867

— Widzę, że wciąż ciężko pracujesz — zagadnął Genji.

Zatopiona w lekturze Emily nawet nie zauważyła, kiedy wszedł. Podejrzała, że przyglądał jej się od dłuższej chwili, zanim się odezwał.

— Mam wrażenie, że to mało — odpowiedziała i niedbałym ruchem zwinęła rękopis. Kobieca intuicja podpowiadała jej, że na razie lepiej nie mówić o odmiennej naturze tego dokumentu.

Genji prawie się nie zmienił przez te sześć lat ich znajomości. Wydawał się nieczuły na rany odniesione w bitwie, na stres związany z polityką w tych niespokojnych czasach, na nieustan-

ne spiski i zamachy na dworze cesarza w Kioto, w pałacu shoguna w Edo i wśród buntowniczo nastawionych książąt na zachodzie i północy kraju. A przecież wciąż istniała groźba obcej interwencji, bowiem okręty Anglii, Francji, Rosji i Stanów Zjednoczonych nieustannie pływały po japońskich wodach. Jakby tego jeszcze było mało, musiał myśleć, co począć z Kawakamim Saemonem.

Saemon był najstarszym synem jego dawnego wroga, Kawakamiego Eiichiego. W chwili śmierci — z ręki Genjiego — Eiichi pełnił funkcję szefa tajnej policji shogunatu. Saemon, jako dziecko splotzone z podrzędną konkubiną, na pozór szczerze nienawidził ojca. Już po tamtym nieszczęsnym wydarzeniu, podczas kolejnych spotkań zapewniał Genjiego o swojej przyjaźni. Zgadzał się z nim też w kwestii restauracji władzy. Obaj opowiadali się za zniesieniem shogunatu i ponownym przekazaniu rządów — po tysiącletniej przerwie — bezpośrednio w ręce cesarza. Genji chyba nawet mu uwierzył. Emily wręcz przeciwnie.

Saemon na dwa sposoby przypominał ojca. Po pierwsze, z wyglądu. Był przystojny i próżny, Emily zaś nigdy nie ufała ludziom, którzy zbyt wielką wagę przykładali do swej aparycji. Po drugie, zachowywał się niemal jak Eiichi. Sprawiał takie wrażenie, jakby nigdy naprawdę nie wierzył w to, co mówi, lub nie mówił, w co wierzy. To nie znaczy, że kłamał. Chodziło raczej o poczucie czegoś jakby śliskiego i skłonnego do zdrady. Żadnych namacalnych faktów. Może niechęć Emily brała się skądinąd? Może najzwyczajniej w świecie wynikała z pytania, co to za syn, który żywi ciepłe uczucia do zabójcy ojca?

Ciepłym uśmiechem odpowiedziała na uśmiech Genjiego. Książę wciąż zachowywał się beztrosko. Nadal wyglądał na młodzieńca bez żadnych zmartwień ani zobowiązań, troszczącego się jedynie o to, gdzie spędzić wesoły wieczór. Ale to były pozory. Wielu wrogów spoglądało nań z lekceważeniem. Kilku z nich przypląciło tę pomyłkę życiem. Śmierć towarzyszyła mu na każdym kroku i to także stało się powodem, dla którego Emily chciała jak najszybciej pożegnać Japonię.

Nie mówiła mu jeszcze o swoich małżeńskich planach ani o wyjeździe. Bała się, że jakimś nieopatrzonym słowem sprowokuje go do takiej odpowiedzi, która skruszy słaby mur

determinacji i skłoni ją do zmiany zdania. Miłość kazała jej uciekać, lecz równie dobrze mogła ją zatrzymać. Była bezpieczna, dopóki Genji nie odwzajemniał jej uczucia. Życie czasem sprawiało ból, ale to jeszcze dawało się wytrzymać. Najważniejsze, że go widywała.

Potem zjawiła się pierwsza róża, a po niej następne. Czyżby Genji poczuł do Emily to samo, co ona już od dawna czuła do niego? Nie martwiła się, co ją spotka. Mogła popełnić każdy grzech i narazić się na potępienie, byle tylko być przy nim i skierować go na drogę chrześcijaństwa. Lecz z drugiej strony nie zamierzała przysparzać mu dodatkowych cierpień. Dobrze wiedziała, co by się stało, gdyby uległa podszeptom serca. Genji miałby same kłopoty, wśród Japończyków i wśród białych, zbulwersowanych nawet myślą, że Azjata — obojętnie, księżę czy nie księżę — mógłby wziąć sobie białą żonę. To zaś z kolei oznaczałoby koniec wielkich planów wprowadzenia Japonii do rodziny „państw cywilizowanych”. Gdyby chociaż ktoś mnie zapewnił, że w ten sposób uratuję jego nieśmiertelną duszę... — pomyślała. Na tym właśnie polegał jej dylemat. Czy ich związek przyniósłby zbawienie, czy też zepchnąłby go na dno piekła?

— Twój tajemniczy adorator dał ci kolejną różę — zauważył Genji.

— To prawdziwy mistrz kamuflażu. Nikt go nigdy nie widział, nikt go tutaj nie zna. — W tym momencie powinna przerwać, lecz mimo to dodała:

— Chyba brak mu odwagi.

— Z tego, co mi wiadomo, takie oznaki uwielbienia są wysoko cenione w społeczeństwie Zachodu. Czyżbym się mylił?

— Anonimowość bywa miła tylko na krótką metę. Po pół roku zaczyna drażnić.

— Niby dlaczego?

— Przychodzi chwila zastanowienia: co kryje się za tą tajemnicą? Może to coś zdroźnego?

— A może twój cichy wielbiciel ma powody, żeby się nie ujawniać? — Powiedział Genji. — Może podziwia cię jedynie z daleka, nie licząc na nic więcej?

Emily zbyt późno ugryzła się w język.

— W takim razie jest tchórzem — wypaliła.

Genji się uśmiechnął.

— Taki popis odwagi w niewłaściwych okolicznościach, niewłaściwym czasie i miejscu miałby o wiele gorsze skutki niż tchórzostwo.

— Większość samurajów jest innego zdania, księżę — odparła Emily, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

— To prawda. Chyba powinienem już dawno ściąć włosy i odłożyć miecze.

— Lecz nie dzisiaj.

— Nie dzisiaj...

Emily wstała i podeszła do okna, udając, że patrzy w niebo. Na pewno byłoby jej dużo łatwiej, gdyby zmusiła go do szczerych wyznań. Być może przez pryzmat własnego uczucia błędnie brała przyjaźń za kochanie? Jeżeli tak, to romantyczny kryzys też istniał wyłącznie w jej wyobraźni.

— Znosi się na deszcz — powiedziała. — Zjemy tutaj?

— Jak sobie życzysz.

Przygotowała kilka kanapek z ogórkami. Całkiem niedawno po raz pierwszy jadła coś takiego w angielskiej ambasadzie. Okazało się, że cienko krojone warzywa, w połączeniu z domowym sosem, zrobionym z żółtek i śmietany, smakuja wyśmienicie i odświeżająco w przesyconej wilgocią atmosferze wczesnej japońskiej jesieni. Podczas posiłku Genji był zadziwiająco milczący. Albo dzielnie próbował przełknąć wstrętne kęsy, albo wciąż zastanawiał się nad różą. Emily postanowiła w duchu, że w przyszłości na wszelki wypadek skreśli kanapki z menu.

Tymczasem w żaden sposób nie zdołała przekonać Genjiego do zachodnich potraw i przysmaków. Prawdę mówiąc, ona też nie przepadała za japońską kuchnią. Za dużo znajdowała w niej morskich dziwolągów, często jadanych na surowo i krojonych jeszcze za życia. Sama myśl o tym sprawiła, że ogórek nabrał dziwnego smaku. Szybko przełknęła go i popiła herbatą, żeby powstrzymać mdłości.

— Co się stało? — Zapytał Genji.

— Nic takiego — odpowiedziała Emily, odkładając kanapkę. — Po prostu nie jestem głodna.

— Ja też — odparł z widoczną ulgą.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Ciekawe, o czym teraz myśli? — Zastanawiała się Emily. Prawdopodobnie o tym samym... To mogło nawet być zabawne, ale nie miało najmniejszego sensu. Zwykła fantazja. Emily wolała spytać o coś innego, mniej krępującego w takiej sytuacji.

— Mam pytanie dotyczące *Suzume-no kumo*. Podyktowane jest bardziej ciekawością niż próbą tłumaczenia. Czy te domniemane „wizje” nachodzą was tylko we śnie?

— Przeczytałaś dziesiątki różnych przepowiedni, nawet takich sprzed kilku wieków. Wiele z nich się spełniło, a ty wciąż uważasz je za „domniemane”?

— Powtarzałam ci już niezliczoną ilość razy, że jedynie prorocy Starego Testamentu...

— ...mogli spoglądać w przyszłość — spokojnie dokończył Genji. — Tak, wiem. Rzeczywiście powtarzałaś mi to mnóstwo razy. Nie rozumiem jednak, jak potrafisz pogodzić to z treścią zwojów.

— Jeżeli nie chcesz odpowiadać, to po prostu powiedz — burknęła, trochę ostrzej, niż zamierzała.

— Dlaczego miałbym coś ukrywać? Odpowiedź brzmi: tak. Każdy strzęp przyszłości jest widziany we śnie.

— Nigdy nie przychodzą nieproszeni goście?

— Goście? — Powtórzył Genji. Emily pierwszy raz widziała go tak zdziwionego.

— Tak. Ktoś w rodzaju gońca lub posłańca.

— A co on miałby wiedzieć o przyszłości?

— Pewnie nic. Ale ktoś mógłby na swój sposób zinterpretować jego słowa.

— Kilka razy czytałem *Suzume-no kumo* — odparł Genji. — Nie ma tam mowy o posłańcach.

— Pewnie masz rację — powiedziała Emily. — Sprawdzę to dokładnie ze słownikiem.

Z korytarza dobiegło echo szybkich kroków. To zawsze zwiastowało kłopoty.

W drzwiach stanął dowódca straży przybocznej, Hide. Ukłonił się.

— Panie, przed chwilą dokonano kolejnego zamachu na cudzoziemców. Tym razem na Anglików.

— Są ofiary?

— Wśród obcych, nie. Mieli przy sobie rewolwery. Zginęło pięciu samurajów z Yoshino. Mimo to ambasador Anglii wystosował oficjalny protest do shoguna i księcia Yoshino.

— Książę to głupiec. Nigdy się nie nauczył? A już myślałem, że pan Saemon przekonał go, żeby choć na chwilę powstrzymał swoje zapędy. Przynajmniej do posiedzenia rady.

— Najwyraźniej tego nie zrobił.

— Ciągłe masz wątpliwości, czy można mu zaufać?

— Nie, panie. Jestem przekonany, że nie można — odparł Hide. — To człowiek niegodny naszej przyjaźni.

— Skąd wiesz?

— Jest synem Kawakamiego Lepkiego Oka — powiedział Hide takim tonem, jakby chciał wypluć to nazwisko. — Za nic nie wolno wierzyć słowom syna takiego ojca.

— Powinniśmy zmienić sposób myślenia — zauważył Genji. — Jeżeli chcemy, by Japonia dołączyła do grupy wielkich mocarstw świata, trzeba zapomnieć o genealogii i skupić się na człowieku. Nie należy potępiać synów za grzechy zmarłych ojców.

— Tak, panie — odpowiedział bez przekonania Hide. Przed sześcioma laty, jako jeden z niewielu ocalał z zasadzki, którą Kawakami zdradziecko zastawił w klasztorze Mushindo. Z racji nauki i upodobań był samurajem starej szkoły. Uznawał tylko pojęcie zemsty i trwał w przeświadczeniu, że inni myślą w ten sam sposób — oprócz Genjiego, w którym widział wielkiego mędrca i proroka, niemożliwego do naśladowania.

— Chciałbym się spotkać z panem Saemonem — oznajmił Genji. — Musimy działać w miarę szybko, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli. Brakuje tylko, aby kilku najgorszych wartogłowow doszło do wniosku, że pora rozpocząć wojnę przeciw cudzoziemcom.

— Tak, panie. Zaraz zwołam ludzi.

— Nie trzeba. Wystarczy, że pójdziesz ze mną.

— Panie...—Zaczął Hide, ale Genji przerwał mu w pół słowa.

— To będzie dowód wiary w siebie. Niepewność bywa czasem gorsza niż brak uzbrojonej straży. — Przeniósł wzrok na Emily. — Zrozumiałaś? — Spytał po angielsku.

— Tak, zwłaszcza najważniejsze rzeczy — odparła. —
Uważaj na siebie.

— Jak zawsze — z uśmiechem odpowiedział Genji, uklonił się i odszedł.

Emily wróciła do zwoju i z pomocą słownika jeszcze raz przeczytała początkowy fragment. Wszystko się zgadzało. *Przybysz wyjawiał panu Narihirze, że amerykańska piękność, obecna na zamku, zwiastować będzie ostateczny triumf klanu Okumichi.* Przedtem zwróciła uwagę na słowo „amerykańska”. Teraz jednak — po tym, jak usłyszała od Genjiego, że wizje przychodzą w snach — dużo większą ciekawość obudził w niej „przybysz”. Tych, którzy odwiedzali Pałac Cichego Żurawia, zwano na ogół *okyaku-sama*, czyli „goście”. Autorka zwoju używała określenia *homonsha*. Emily przetłumaczyła to jako „przybysz”, chociaż dokładny przekład brzmiał: „ten, który zwraca się do innych”.

Przy okazji odkryła jeszcze jedną różnicę, i z niewiadomych powodów zimny dreszcz przebiegł jej po plecach.

Gość mógł być zaproszony lub przynajmniej oczekiwany.
Przybysz niekoniecznie.

Podczas wszystkich spotkań książęcej rady Genji nieustannie myślał o Emily.

Oczywiście to on po kryjomu kładł róże na jej biurku. Choć na ten temat nie padło między nimi ani jedno słowo, był przekonany, iż domyśla się, że wie o jej uczuciach. Pewnie podejrzewała, że z jego strony może liczyć tylko na przyjaźń. Wynikało to z jej zachowania. Może zbyt wiele od niej oczekiwał? Gdyby była Japonką, dałby sobie radę. Ale nie była, nawet trochę, więc niczego nie mógł powiedzieć na pewno. No, prawie niczego. Wiedział, że go kocha. W przeciwieństwie do niego w ogóle nie umiała maskować się przed ludźmi.

Ale ta maskarada nie mogła trwać wiecznie. Dziś w południe, podczas wspólnego posiłku z Emily, Genji był podniecony samym jej widokiem. Nie mógł się napatrzeć, jak poruszała

ustami, z jaką gracją sięgała po kanapkę, jak rozchylała wargi nad brzegiem filiżanki, żeby wypić herbatę. Skoro zaniemówił, widząc takie rzeczy, to znaczy, że pomału traci kontrolę nad swoim zachowaniem.

Gdyby Emily wiedziała o jego uczuciach, nie musiałaby dłużej ukrywać swojej miłości. Lecz to z kolei, zgodnie z przepowiednią, stałoby się przyczyną jej przedwczesnej śmierci. Genji widział ją we śnie, konającą w połogu. Dzięki niej klan przetrwał, ale ona zmarła. Nie mógł się z tym pogodzić. Nie dopuszczał myśli, że to, co zobaczył, jest nieuniknione, tak jak w wizjach dziadka. Swój sen potraktował jako ostrzeżenie, którego nie powinien i nie chciał zlekceważyć. Postanowił więcej nie zbliżać się do Emily i kochać ją tylko w duchu, skrycie.

Wkrótce miała otrzymać dwie propozycje małżeństwa. Jedną od amerykańskiego attache marynarki wojennej, porucznika Farringtona, drugą zaś od bogatego ranczera i plantatora, Charlesa Smitha z królestwa Hawajów. Emily nie wiedziała, że Genji zna ich obu. Mało tego, że zna — zaprzyjaźnił się z nimi, ponieważ uważał, że obaj warci są jej ręki. Był też pewny, że młoda misjonarka musi im się spodobać. Już dawno zrozumiał, że wśród cudzoziemców, którzy coraz liczniej zjeżdżali do Japonii, Emily uważana jest za prawdziwą piękność. Zupełnie na odwrót niż wśród Japończyków. Bardzo to wszystko dziwne... Teraz, kiedy ją kochał, bez względu na urodę, przez tę właśnie urodę miał ją stracić. Z ogromnym smutkiem myślał, że już się nie zobaczą, nawet jeśli pozostaną tylko przyjaciółmi. Wolał jednak to, niż stać się jej mimowolnym katem.

— Zgadzasz się, panie? — Spytał księżę Saemon.

Genji nie mógł się przyznać, że niczego nie słyszał, bo w ten sposób śmiertelnie obraziłby Saemona, a siebie postawił w niezręcznej sytuacji. Powiedział więc, że chciałby najpierw wysłuchać jeszcze kilku mówców, zanim wyrazi opinię. Udało mu się zażegnać kłótnię i uniknąć zakłopotania. Zmusił się, żeby do końca narady nie myśleć o Emily, chociaż przychodziło mu to z ogromnym trudem.

Saemon widział jego rozterkę, ale nie skomentował tego ani słowem. Po zakończeniu spotkania podziękował Genjiemu za

cenne uwagi dotyczące ostatnich wydarzeń i przeprosił za to, że nie zdołał w porę powstrzymać zapalczego księcia Yoshino. Potem odszedł, aby natychmiast wprowadzić w życie postanowienia rady.

Saemon swoje zdanie zachował wyłącznie dla siebie. Prawdę mówiąc, komu miał bardziej wierzyć? Kto poza nim umiał tak dobrze ocenić sytuację, że czasami zakrawało to na jasnowidztwo? Wiele się nauczył od swego ojca, tragicznie zmarłego pana Kawakamiego, zdrajcy i obłudnika, a zarazem dowódcy najstraszniejszej ze służb rządowych, tajnej policji shogunatu.

— Nikomu nie ufaj — powtarzał Kawakami. — Nawet tym, których na pozór przejrzałeś na wylot.

Saemon był nad wyraz bystrym chłopcem, więc zapytał:

— A kiedy będę sam?

Myślał, że ojciec uzna to za dowcip, ale Kawakami powiedział poważnie:

— Wtedy popatrz na siebie. Nie wstydz się podejrzeń, ale zastanów się nad motywami swojego postępowania, sprawdź znajomości i przez chwilę pomyśl, skąd możesz spodziewać się zdrady. Jeśli dowiesz się tego wcześniej niż twoi wrogowie, wtedy zdążysz się ukryć albo jeszcze lepiej, wykorzystasz tę wiedzę jako przynętę i w ten sposób zyskasz na tym, co w oczach innych wygląda na słabość.

Saemon sam był chodzącą pułapką. Kawakami tak ustawił sprawy, aby przekonać wszystkich, że naprawdę pokłócił się z własnym synem. Saemon, jako najstarszy, powinien być następcą i z czasem przejąć tytuł wielkiego księcia Hino. Tytuł w zasadzie bez pokrycia, ponieważ Hino należało do najmniejszych i nieznaczających ziem wśród wszystkich dwustu sześćdziesięciu japońskich księstw feudalnych. Z drugiej jednak strony rola daimyo łączyła się z prestiżem i honorem. Saemon jednak nie dostał i tego zaszczytu, gdyż rozniosła się wieść, że nie jest synem żony Kawakamiego, ale podrzędnej nałożnicy. Dorastał w małym dworku na prowincji, niewiele lepszym od zwykłej chłopskiej chaty. Nie hołubiono go z takim oddaniem jak jego przyrodnych braci, którzy zostali w głównym zamku. Oczywiście w tej sytuacji miał pełne prawo zniechęcić ojca.

Ale Saemon wcale nie był dzieckiem konkubiny, tylko najstarszym synem Kawakamich, i od najmłodszych lat brał udział w starannie obmyślonym spisku. Wszyscy wiedzieli, że źle wyraża się o swoim ojcu. Niemal dyszy żądzą mordu. Niektórym się to podobało, więc próbowali przeciągnąć go na swoją stronę. W ten sposób trafił do opozycji wymierzonej przeciw shogunowi. To było bardzo sprytne, wręcz błyskotliwe posunięcie, typowe dla Lepkiego Oka. Jedyne błędem polegało na tym, że Saemon zagrał swoją rolę dużo lepiej, niż Kawakami to zaplanował.

Nienawiść była prawdziwa. Saemon miał swoje powody, aby życzyć ojcu jak najgorzej.

Od dziecka uwikłany w szatańską intrygę, praktycznie nie znał swojej czulej, kochającej i szlachetnie urodzonej matki. Już jako malec trafił w ręce pięknej, lecz leniwej i niechlujnej konkubiny, która uważała go za niepotrzebne brzemię. Kiedy płakał, uciszała go za pomocą najbardziej wyuzdanych praktyk seksualnych. Po latach uznał, że to właśnie tamte okropne doświadczenia uczyniły z niego potwora i odmieńca. Gdy skończył szesnaście lat, otruł swoją dręczycielkę powoli działającą i bolesną chińską trucizną. Nie sprawiło mu to większej satysfakcji, chociaż nadal lubił wspominać, jak kokota umierała przez okrągły miesiąc. Przez ten czas postarzała się o dwadzieścia lat. Na koniec nie zostało nic z jej słynnej urody, a charakterystyczny erotyczny zapach, którym wabiła mężczyzn, zmienił się w tak straszliwy smród, że doglądała jej najpośledniejsza służba — i to też nie zawsze.

Ojciec i macocha nauczyli chłopca, że w życiu może liczyć wyłącznie na siebie. Teraz, w czasach kolejnych kryzysów politycznych, najwięcej szans mieli właśnie ci, którzy potrafili zachować trzeźwe spojrzenie.

A kto był do tego lepiej przygotowany niż ten, któremu nie ciążyły fałszywe ideały posłuszeństwa, honoru, miłości, szacunku, szczerości, tradycji i rodziny?

Saemon wychodził z założenia, że tylko on ucieleśnia prawdziwy wizerunek „człowieka przyszłości”.

Jeszcze nie podjął żadnych działań, ale wiedział, że właściwy moment nadciąga wielkimi krokami. Genji oszczędził mu

kłopotu ojcobójstwa. Sam też miał zginąć, zgodnie z pierwotnym planem Kawakamiego, choć Saemon nie żywił wobec niego żadnych wrogich uczuć. Po prostu zdawał sobie sprawę, że po upadku władzy Tokugawów to właśnie Genji stanie mu na drodze, jako jeden z kilku wielkich daimyo. Chodziło zatem tylko o względy praktyczne.

Saemon miał własną wizję przyszłości — dużo prawdziwszą niż mrzonki otumanionych słabeuszy. Z tego też względu już od wielu lat pilnie słuchał wszystkich plotek dotyczących Genjiego. Większość z nich były to zwykłe bajki i chłopskie zabobony. Zawsze w przypadku zagrożenia wojną, głodem, plagą, trzęsieniem ziemi lub tsunami przesądna ludność domagała się magicznej interwencji. Nic innego jej nie pozostawało. Ale dwie rzeczy zwróciły uwagę Saemona.

Pierwsza dotyczyła tajemniczej masakry dokonanej przed sześcioma laty na mieszkańcach wsi leżącej na ziemiach Hino. Podobno Genji brał w tym udział. Dlaczego ktoś tak wysokiego rodu i z tak wielkimi ambicjami miałby zniżyć się do zwykłej zbrodni? Tego nikt nie wiedział.

Drugą zagadką był nagły wyjazd kochanki Genjiego, słynnej gejszy Mayonaka-no Heiko. Podobno uciekła do Ameryki z niejakim Matthew Starkiem w tym samym roku, w którym spacyfikowano wioskę. Stark w dalszym ciągu utrzymywał ścisłe kontakty z księciem. Saemon wiedział także o wielkim ładunku złota, które wraz z „uciekinierką” trafiło za ocean. Nikt nie zdołałby wywieźć takiego skarbu bez zgody i wiedzy Genjiego. A bez złota tych dwoje nie miało środków do życia...

Co było prawdą, a co kłamstwem?

Saemon postanowił znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Nawet pozornie drobne wydarzenie albo nic nieznaczący człowiek mogły pomóc w zniszczeniu Genjiego.

San Francisco, 1862

Ocean ten sam, ale poza nim wszystko było zupełnie inne. Zatoka San Francisco w niczym nie przypominała wód okalających Edo. Zimny wiatr, który owionął Heiko, nasuwał myśl

o jesieni. Ale jesień w Japonii była dużo cieplejsza niż tutaj, w Kalifornii.

Tylko odwieczny ruch morskich fal sprawił, że dziewczyna wróciła wspomnieniami do innego miejsca, w zupełnie innym czasie, do dni, kiedy cieszyła się sławą najpiękniejszej gejszy w wielkiej stolicy Tokugawów. Wydawało jej się, że od tamtej pory minęły całe wieki, zwłaszcza wtedy, gdy liczyła czas według japońskiego kalendarza. Jedenasty miesiąc czternastego roku panowania cesarza Komei. Słowa i liczby brzmiały dziwnie głucho, jakby pochodziły z odległej przeszłości.

Naprawdę minęły zaledwie dwa lata, odkąd po raz pierwszy widziała Genjiego?

Pomyliła się co do niego — jak wszyscy, którzy go znali. Nie było w tym nic dziwnego. Mimo zamętu panującego w kraju Genji nie zachowywał się jak przystało na wysokiego rangą samuraja. Uśmiechał się nader często, nawet w takich chwilach, kiedy nikt poza nim nie miał ochoty do śmiechu. Ubierał się jak dandys. Jego kimono pasowało bardziej aktorowi, choć przyznać trzeba, że ze swoją urodą mógłby śmiało występować na deskach teatru kabuki. Aktorem jednak nie był. Nosił tytuł księcia, wielkiego daimyo Akaoki i — jeśli wierzyć plotkom — miewał prorocze wizje. Choćby z tego względu powinien zachować trochę więcej powagi.

Jej mocodawca, szef tajnej policji shogunatu pan Kawakami, opisywał Genjiego jako zepsutego i zniewieściałego utracjusza, któremu w głowie tylko kobiety i wino, a nie jakieś tam rycerskie tradycje samurajów. Heiko początkowo zgadzała się z tą opinią. Później jednak, kiedy dała się uwieść księciu, zrozumiała, że Kawakami był w błędzie. Z wyglądu oraz zachowania Genji wydawał się mięczakiem, lecz jego ciało ujawniło skrzętnie skrywaną tajemnicę. W kimonie mógł udawać słabeusza i przybierać niemęskie pozy, ale jego twarde ścięgna i wytrenowanie mięśni miały w sobie coś z cięciwy, zmieniającej niegroźny kawałek drewna w śmiercionośny oręż. Heiko, która od dziecka trenowała sztuki walki i choćby przez to dobrze poznała budowę ludzkiego ciała, już po pierwszej nocy spędzonej w objęciach Genjiego domyśliła się, że przez całe lata uprawiał jeździectwo, strzelanie z łuku i walkę mie-

czem, nożem oraz włócznią. Skoro nie wiedział o tym nawet ktoś tak wścibski jak Lepkie Oko, to znaczyło, że księżę Genji ćwiczył w tajemnicy, a swoim gnuśnym zachowaniem próbował zmylić przeciwnika. Przykład Kawakamiego świadczył o tym, że mu się to udało.

Heiko nie powiedziała nic swojemu patronowi. Wmawiała sobie, że te informacje nie mają żadnego znaczenia. Co z tego, że klan Okumichi spiskował przeciw shogunowi? Przecież to znana prawda. Od trzystu lat stronnicy shoguna wadzili się z opozycją. Nieważne, że przez te trzysta lat w kraju panował pokój. Intrygom i knowaniom nie było końca, bo jedna strona uparcie chciała zniszczyć drugą. Niestety, żaden klan nie miał najmniejszej szansy na pełny i zdecydowany triumf, więc należało sądzić, że spiski nie ustaną, póki słońce nie spadnie z nieba. Sprawa Genjiego nie wносиła zatem niczego nowego. Tak przynajmniej uważała Heiko. Zanim poznała całą prawdę, nie była już narzędziem Kawakamiego, ale kochanką księcia.

Dawne dzieje... Może dlatego, że miesiące spędzone w Ameryce dłużyły jej się jak nigdy w życiu. Czas płynął wolniej, bo wciąż miała nadzieję, że lada dzień Genji wezwie ją z powrotem.

— Heiko — usłyszała za sobą łagodny głos Matthew Starka. Nie wiedziała, kiedy się do niej zbliżył. Zatopiona we wspomnieniach, na chwilę zatraciła poczucie rzeczywistości.

— Mgła nadciąga od strony morza. Powinniśmy wracać do domu.

— Tak. Dziękuję, Matthew. — Heiko ciężko wsparła się na jego ramieniu i rozpoczęła powolną wspinaczkę. Ścieżka prowadząca do głównego traktu wydawała jej się teraz bardziej stroma, niż gdy szła w dół.

— Nie powinnaś się przemęczać — powiedział Stark. — Doktor Winslow mówił mi, że kobieta w twoim stanie w ogóle nie powinna wstawać z łóżka.

To było tak głupie, że Heiko z trudem powstrzymała się od śmiechu. Cudzoziemcy dużo wiedzieli o nauce, lecz z drugiej strony przejawiali zupełną ignorancję w najbardziej podstawowych sprawach związanych z ludzką naturą.

— Miesiąc w łóżku bardziej by mnie osłabił, niż wzmocnił — odparła. — A przecież muszę mieć siłę na sam koniec.

— Czasami bardziej przypominasz samuraja niż kobietę — mruknął Stark, pomagając jej wsiąść do powozu.

Uśmiechnęła się.

— Uznam to za komplement, Matthew. Dziękuję.

— Nic z tych rzeczy — odparł, ale też się uśmiechnął, zanim szarpnął lejcami, by popędzić konia.

Heiko starała się nie myśleć o Amerykanach jak o cudzoziemcach. To był ich kraj. To ona tutaj była cudzoziemką. Ale już niedługo. Jej wzrok złagodniał, sennie przymknęła oczy. Spała głęboko na długo przedtem, zanim dotarli do San Francisco. Snił jej się zamek Chmara Wróbli.

Chmara Wróbli, 1308

Shizuka miała szesnaście lat, gdy uratował ją pan Hironobu i przywiózł ze sobą jako żonę na zamek Chmara Wróbli. Tuż po przyjeździe bez wahania minęła kręte korytarze i wyszła na ukryty wewnętrzny dziedziniec. Pan Hironobu przyglądał jej się ze zdziwieniem. Wszystkie zamkowe przejścia zostały tak zaplanowane, aby zmylić potencjalnego wroga, który w przypadku oblężenia przedarłby się przez obronę.

— Skąd znasz drogę do tego miejsca?

Shizuka rozglądała się z przejęciem.

— Gdzie one są?

— Co?

— Kwiaty.

— Kwiaty? — Roześmiał się Hironobu. — Nie ma tu miejsca dla kwiatów. To jest twierdza groźnych wojowników. Spójrz, jeden z nich właśnie tutaj idzie. Go, poznaj moją nową żonę. Shizuko, to mój wierny Go.

Gwardzista był potężny i ponury. Nie odezwał się ani słowem. Nawet się nie przywitał.

— Nie powinieneś tego robić, panie.

— Za poważnie podchodzisz do tej sprawy. Tu nie chodzi o wojnę ani politykę, lecz o miłość. Nie martw się. — Hironobu zwrócił się do Shizuki. — Go pełnił rolę mojego opiekuna, kiedy byłem dzieckiem. Chyba myśli czasami, że nic się nie zmieniło.

Ale ona nie zwracała najmniejszej uwagi na starego wojaka. Wyszła na środek dziedzińca.

— Powinny być właśnie tutaj.

— Co? — Powtórzył Hironobu.

— Kwiaty — odpowiedziała jak przedtem Shizuka. — Róże. „Amerykańska Piękność”.

— Jakie róże?

— „Amerykańska Piękność”.

— Co to znaczy „amerykańska”?

Shizuka niecierpliwie wzruszyła ramionami.

— Gdzie jest pan Narihira? Pewnie posadził je w złym miejscu.

Hironobu spoważniał. Miał wyraźnie zatroskaną minę.

— Kto to jest pan Narihira?

— Pan na tym zamku — odparła Shizuka.

— Shizuko... Ten zamek należy do mnie — wyjąkał Hironobu.

Po kilku latach z rozbawieniem wspominała to zdarzenie. Wtedy zupełnie nie zdawała sobie sprawy, że jej świat jest całkowicie inny od świata zwykłych ludzi. Była bardzo rozżalona. Przecież przez tyle dni marzyła, że zobaczy cudne, czerwone, białe i różowe kwiaty. Po jej policzkach potoczyły się łzy.

Hironobu próbował ją pocieszyć.

— Nie chciałam zrywać ich z gałązek — zaszlochała. — Wystarczyłoby, gdybym mogła na nie patrzeć. Na „Amerykańską Piękność”.

Mongolski kufer

— *Myślisz zapewne, że rzut oka w przyszłość to nie to samo, co spojrzenie w przeszłość?*

— *Owszem, tak myślę — odparł książę.*

— *Po prawdzie nie ma żadnej różnicy.*

— *Bzdura — rzekł książę. — Przeszłość już była.*

Przyszłość dopiero będzie. Gdzież tu podobieństwo?

— *Skoro znasz przeszłość, możesz ją zmienić?*

— *Jasne, że nie — odpowiedział książę.*

— *Czymże więc różni się wiedza o tym, co nieuniknione, od wiedzy o tym, co już kiedyś zaszło?*

Aki-no Hashi
(1311)

Pałac Cichego Żurawia, 1867

Hanako ostrożnie zajrzała do gabinetu lady Emily. Przy biurku nikogo nie było, więc weszła, żeby posprzątać. Co prawda mogła to zostawić młodszym pokojówkom, ale nie miała do nich zaufania. To nie to co dawniej. Dzisiejsze dziewczęta są zbyt ciekawskie, nie słuchają starszych i wciąż plotkują. Wszyscy w pałacu wiedzieli, że Emily pracuje nad angielskim przekładem *Suzume-no kumo*, czyli tajnej historii rodu Okumichi. Gdyby przypadkiem zostawiła gdzieś rozpieczętowany zwój — albo nawet zwinięty, ale nieschowany —

to któraś z dziewcząt mogła nie oprzeć się pokusie, żeby go nie przeczytać. Lepiej nie dawać im do tego sposobności, pomyślała Hanako, biorąc się do pracy, chociaż żadna dworka o jej pozycji w klanie nie musiała sprzątać. Przecież była żoną głównego dowódcy straży, pana Hide, i też przysługiwał jej tytuł „pani”. Ale stare zwyczaje trudno wykorzenić. Hanako pochodziła z biednej chłopskiej rodziny, mieszkającej w dolinie, nieopodal słynnego klasztoru Mushindo — tam, gdzie od sześciu wieków chowano wszystkich wielkich daimyo Akaoki. Straciła rodziców, gdy miała dziewięć lat. Dobry opat Zengen ulitował się nad nią i oddał ją na służbę do pana Kiyoriego, dziadka i poprzednika obecnego księcia. W dwudziestym drugim roku życia, bez rodziny, krewnych i posagu, sądziła, że czeka ją życie starej panny. Wtedy Genji niespodziewanie zabawił się w swata. Mężem Hanako został Hide — młody samuraj, który już dawno wpadł jej w oko.

Ciągle nie mogła w to uwierzyć. Teraz miała niespełna dwadzieścia dziewięć lat, była matką wspaniałego syna, żoną zaufanego oficera książęcej gwardii i najlepszą przyjaciółką lady Emily, Amerykanki, która dziwnym zrządzeniem losu żyła się z klanem tak bardzo, jak to było możliwe w przypadku cudzoziemki. Wszystkim nam dopisało szczęście, pomyślała Hanako, bo pan Genji, w odróżnieniu od zwykłych ludzi, umie wejrzeć w przyszłość. Jego decyzje zawsze będą słuszne, choćby z początku wydawały się dziwne.

Upięła na ramieniu pusty rękaw kimona, żeby nie przeszkadzał jej w pracy. Kiedy nie była sama, nie robiła tego, aby nie podkreślać, że brak jej lewej ręki. Nie chciała zwracać na siebie uwagi. Zaledwie sześć krótkich lat minęło od potyczki w klasztorze, a ludzie z przejęciem powtarzali legendy o Wielkiej Bitwie w Mushindo. Hanako, Hide, książę Genji i lady Emily należeli do grupy niedobitków, którzy cało wyszli z zasadzki zastawionej przez sześciuset wrogich strzelców. Mało tego. Wygrali, choć wydawało się to niemożliwe. Oczywiście ich czyny zostały upiększone przez tych, którzy sami nigdy nie wachali prochu. Wychwalano zwłaszcza odwagę Hanako, straciła bowiem rękę, broniąc swego pana. Ale jej wcale nie tęskno było do zaszczytów. Z tego powodu kryła swą

ułomność, ponieważ nie chciała, aby ktoś pomyślał, że się przechwala.

Zwoje leżały wszędzie, jedne już otwarte, inne zwinięte. Ten bałagan był niepodobny do schludnej Emily. Może musiała odpowiedzieć na czyjeś pilne wezwanie? Dobrze, że tutaj przyszłam, pomyślała Hanako. Za wiele dokumentów wala się na wierzchu. Tylko ktoś taki jak ona, wierny dawnym zasadom, sprzątnie papiery, niczego nie czytając.

Żeby zająć czymś myśli, Hanako próbowała przypomnieć sobie, jak brzmi po angielsku tytuł *Suzume-no kumo*. Emily już kiedyś jej to mówiła. Angielskie słowa bardzo różniły się od japońskich. Zaraz, jak to było?

Hanako zwinęła następny rękopis i położyła obok poprzedniego. Nie przekładała ich, żeby Emily mogła bez trudu wrócić do lektury w tym samym miejscu, w którym ją przerwała.

Och, tak, przypomniała sobie. *Cloud of Sparrows*. Chmara Wróbli. Powtórzyła to na głos, aby jej usta przywykły do każdego słowa, i aby lepiej zapamiętać dźwięki.

— *Cloud of Sparrows* — powiedziała bardzo z siebie zadowolona. Jej zdaniem zabrzmiało to zupełnie czysto.

— Słucham? — Zapytała Emily, wyjrawszy zza stołu po drugiej stronie pokoju. Chyba siedziała na podłodze.

— Przepraszam — zmitygowała się Hanako. — Nie wiedziałam, że tutaj jesteś. Zobaczyłam, że nie ma cię przy biurku, więc weszłam, aby trochę posprzątać.

Ukloniła się i zamierzała odejść.

— Nie, zaczekaj — zatrzymała ją Emily. — Właśnie chciałam cię poszukać. Spójrz na to. — Wskazała na stojący obok mały kufer obciążony skórą, z wyblakłym malowidłem na pokrywie.

— Ach, otworzyłaś nowe pudło ze zwojami. To musi być ekscytujące.

— Te papiery są zupełnie inne. Nawet kufer jest trochę inny. To japoński motyw?

Hanako popatrzyła na smoka wijącego się jak czerwony dym wokół górskich wierzchołków pokrytych niebieskim lodem.

— Nie — odparła. — Na pierwszy rzut oka wygląda na chiński, ale jest dużo dzikszy i jakby... barbarzyński. Chyba mongolski.

Emily pokiwała głową. Wyglądała na wystraszoną, przejętą lub po prostu zmęczoną. Hanako знаła ją od kilku lat i przez ten czas niejednokrotnie widywała innych cudzoziemców, ale wciąż nie umiała rozpoznać ich emocji. W odróżnieniu od Japończyków biali nie kryli uczuć — i właśnie ten brak samokontroli powodował, że tak trudno było ich zrozumieć. Wyrazista mimika zaciemniała obraz, a niektóre sygnały budziły zgorzelenie. Hanako dobrze pamiętała wizyty dwóch Amerykanów, którzy bywali u Emily, oficera marynarki Roberta Farringtona i ranczera Charlesa Smitha. Czasami aż się skrycie czerwieniła, widząc na ich twarzach odbicie intymnych myśli, skierowanych pod adresem jej przyjaciółki. Emily wydawała się o tym nie wiedzieć. Rozmawiała dalej, bez gniewu, urazy czy zakłopotania. W takich chwilach Hanako nie była nawet pewna, czy cudzoziemcy w ogóle potrafią się porozumieć.

W tym momencie Emily najwyraźniej myślała o stu rzeczach naraz i dlatego miała tak speszoną minę. Potwierdziły to zresztą jej słowa, zupełnie niezwiązane z poprzednim pytaniem.

— Słyszałaś o przybocznym księcia Hironobu? — Zagadnęła. — Miał na imię Go.

— Oczywiście — odparła Hanako, zadowolona, że dalsza rozmowa nie dotyczy zwojów. Tylko kolejni książęta — i to w prostej linii — mieli prawo wglądu do tych kronik. Genji zrobił wyjątek jedynie dla Emily. Ona mogła to czytać. Hanako nie.

— To jeden z największych bohaterów w historii naszego klanu. Gdyby nie on, pan Hironobu umarłby w dzieciństwie i w ogóle nie byłoby książąt Akaoki.

— Był Mongołem?

— Och, nie! — Wykrzyknęła Hanako, przerażona tak strasznym podejrzeniem. — Jestem pewna, że nie.

— Więc skąd pochodził?

— Jak to skąd? Z Japonii.

— A dokładnie?

Hanako zastanawiała się przez chwilę.

— Nie wiem. Prawdę mówiąc, nie słyszałam o jego młodości... Chyba tylko to, że umiał jeździć konno, zanim jeszcze na dobre nauczył się chodzić. — Uśmiechnęła się. — Ale to stały wątek wszystkich baśni. Go był gwardzistą pana Hironobu. Opiekował się nim od początku i został do samego końca.

— Aż do końca... — Powtórzyła Emily w zamyśleniu. — Jak wyglądał ów koniec?

— Obaj zginęli w bitwie. Zatrzymali oddziały Hójó tak długo, aby młodociany syn pana Hironobu zdołał dotrzeć w bezpieczne miejsce. Musiał żyć, żeby dopełnić zemsty. — To też był słynny fragment dziejów klanu. — Pod imieniem Danjuro zdobył wielką sławę jako drugi z kolei daimyo Akaoki. Ledwo wyrósł z chłopięcych lat, a już przyczynił się do ostatecznej klęski regentów z rodu Hojo. — Nagle przyszła jej do głowy okropna myśl. — *Suzume-no kumo* mówi coś innego? — Zapytała, nie mogąc się powstrzymać.

Emily pokręciła głową.

— Nie. Wszystko się zgadza.

— Ach... — Hanako westchnęła z ulgą. W każdym klanie czasami zdarzało się, że ci „na samej górze” wiedzieli coś innego od tych, co „na dole”. W takim rodzie jak Okumichi, rządzonym przez wróżbitów, wymienione różnice mogły być jeszcze większe. Ale Hanako wcale nie chciała o tym rozmawiać. Szczerze zmieszana swoim zachowaniem, postanowiła odejść. Ukłoniła się.

— Chyba ci przeszkadzam, Emily. Bardzo przepraszam. Wracaj do pracy.

— Ale ja właśnie miałam prosić cię o pomoc.

Hanako zawahała się.

— Bardzo chętnie, ale wiesz przecież, że nie wolno mi czytać tych zwojów ani rozmawiać o ich treści.

— O tym spokojnie możesz. — Emily podała jej dokument, który trzymała w dłoniach.

Hanako ukłoniła się ponownie, ale nie wyciągnęła ręki.

— Nie mogę.

— To nie jest *Suzume-no kumo*.

Podczas pobytu w pałacu Emily poczyniła znaczne postępy w nauce japońskiego. Jednak Hanako nie była do końca przekonana, czy cudzoziemka umie odróżnić rodowe tajemnice od zwykłych opowieści. Skoro zwój pochodzi z nowo otwartej skrzyni, to na pewno zawiera jakieś sekretne zapisy. Hanako nie mogła odmówić przyjaciółce, gdyż byłoby to bardzo niegrzeczne. Z drugiej strony nie chciała naruszyć podstawowych zasad, obowiązujących wszystkich członków klanu. Strach przed obrazą okazał się silniejszy. Z wahaniem wyciągnęła rękę po dokument. Postanowiła go odłożyć, gdy tylko zauważyła pomyłkę Emily.

Ale wystarczył jeden rzut oka na falujące linie miękkiej *huragany* i zupełny brak skomplikowanych znaków *kanji*, aby przekonać się, że tym razem Amerykanka miała rację. Nikt nie napisałby historii klanu w tak nieformalny sposób. Jednak już w pierwszym zdaniu znalazła wzmiankę o panu Narihirze i dobrze znaną anegdotę o amerykańskich różach. Natychmiast odwróciła wzrok od rękopisu.

— Nie mogę, Emily.

— To jakiś rodzaj pamiętnika — przekonywała ją przyjaciółka. — Plotki, a nie sprawdzone fakty.

— Cokolwiek to jest, mówi o wielkim księciu i o przepowiedni. Nie wolno mi dalej czytać. Emily się uśmiechnęła.

— Nikt w całym pałacu nie wie o przepowiedniach? A książkę Genji nigdy nie był obiektem plotek?

Hanako też musiała się uśmiechnąć. Oczywiście. Przepowiednie, myśli oraz czyny wszystkich książąt były tematem częstych rozmów, kłótni i dociekań w klanie Okumichi. Co z tego, że nie pochwalala takiego zachowania? Przecież nie mogła występować przeciwko ludzkiej naturze. Zaczęła czytać od początku. Pod koniec pierwszego akapitu nie potrafiła powstrzymać się od śmiechu.

— Tak — powiedziała Emily. — Też mnie to rozbawiło. Poczekaj, przetłumaczę: *Bogowie mieli w niebie dobrą zabawę, kiedy oddali Ziemię we władanie mężczyznom.*

— Znakomicie!

— To pisała kobieta — zauważyła Emily.

— Bez wątpienia — odparła Hanako. — Świadczy o tym charakter pisma, styl i podejście do tematu. — Przeczytała jeszcze kawałek i znów się uśmiechnęła. Teraz wiedziała na pewno, że nie złamała żadnego tabu. — To brzmi jak romans. Jak opowieść o zakazanej i tragicznej miłości.

— Między innymi.

— Jak ten zwój znalazł się wśród starych kronik?

— „Znalazł” to raczej niewłaściwe słowo. — Emily otworzyła kufer z czerwonym smokiem. — Wszystkie są utrzymane w podobnym stylu.

— W takim razie kufer trafił tu przez pomyłkę.

— Nie jestem tego taka pewna... — westchnęła Emily. Odsunęła na bok zgrzebne płótno i pokazała przyjaciółce wstęgę jedwabiu haftowanego w kolorowe róże na tle białych kłębiastych chmur płynących po błękitnym niebie. — Te kwiaty noszą u was nazwę „Amerykańska Piękność”, prawda?

— Chyba tak — odparła Hanako. Znów poczuła się trochę niepewnie. — Przecież nie może być inaczej, skoro jest o nich mowa w rękopisie...

— Zasadził je pan Narihira — wyjaśniła Emily.

— Tak.

— Kiedy to było?

— W osiemnastym roku panowania cesarza Ogimachiego — odrzekła Hanako.

— A według zachodniego kalendarza?

Szybko obliczyła w myślach.

— Mniej więcej w tysiąc pięćset siedemdziesiątym piątym roku.

Emily skinęła głową.

— Też mi tak wyszło, ale myślałam, że się pomyliłam. Cudzoziemcowi łatwo się pogubić w chronologii panowania japońskich cesarzy. — Przez chwilę spoglądała na malowany kufer. — Czytałam to przez dwa tygodnie. Skończyłam wczoraj. Od tamtej pory myślę tylko o tym. — Chciała coś dodać, ale umilkła.

— Skąd przyszło ci do głowy, że się pomyliłaś? — Zapytała wreszcie Hanako.

— Z powodu róż. Są wymienione w manuskrypcie i wyhaftowane na jedwabiu.

— Tak? — Hanako nie rozumiała jej rozterki. Najbardziej znanym godłem klanu był wizerunek wróbla umykającego przed czterema strzałami. Umieszczano go nawet na bojowych sztandarach rodu Okumichi. Ale od dwustu lat równie chętnie sięgano po różę. Ich kwiatami zdobiono proporce, kimona, zbroje, główne i rękojeści mieczy. Cóż więc dziwnego, że pojawiły się także w pamiętniku i na tkaninie, w którą ktoś kiedyś zawinął rękopisy?

— Pierwsze różę zasadził pan Narihira w tysiąc pięćset siedemdziesiątym piątym roku — powiedziała Emily. — Przedtem nie było ich na zamku, więc przed tą datą nikt nie powinien o nich pisać.

— To prawda — potwierdziła Hanako.

— A jednak są tu — oznajmiła Emily. — W zwoju napisanym, wedle słów autorki, w czwartym roku panowania cesarza Hanazono.

Hanako prędko przebiegła w myślach cesarską chronologię.

— To niemożliwe. Czwarty rok Hanazono to tysiąc trzysta jedenasty chrześcijańskiego kalendarza.

— Muszę jechać do Chmary Wróbli — powiedziała Emily.

Hanako była przerażona. Skąd ten zwariowany pomysł? Zamek jest trzysta mil od Edo. Na prowincji krążą zbrojne bandy, coraz śmielej występujące przeciw cudzoziemcom. Wśród nich rej wodzą tak zwani Mężowie Opatrzności. Mnożą się napady na obcokrajowców. Na szczęście jak dotąd nie atakowano kobiet. Jeszcze nie doszło do najgorszego. Z drugiej strony wszyscy wiedzieli, że Emily od dłuższego czasu gości u Genjiego, on zaś znajduje się na samej górze listy wrogów państwa, sporządzonej przez Mężów Opatrzności.

— Co cię skłania do tej podróży? — Zapytała Hanako.

Emily popatrzyła jej głęboko w oczy.

— Jesteś moją przyjaciółką — powiedziała. — Najlepszą przyjaciółką, prawda?

— Tak — zapewniła Hanako. — To prawda.

Emily patrzyła na nią jeszcze przez dłuższą chwilę, a potem schyliła się do kufra i zaczęła wyjmować zwoje. Kiedy wyjęła

wszystkie, wydobyla reszte jedwabiu. Uniosla go na wyciagnietych rekach. Hanako zobaczyła, że jest to kimono.

— Zauwazyłaś coś dziwnego? — Spytała Emily.

— Całkiem współczesny krój — odpowiedziała Hanako. To rzeczywiście mogło trochę dziwić, jeśli zwoje były tak stare, jak mówiła data. Chyba że ktoś przepakował je całkiem niedawno.

Emily przyłożyła do siebie kimono.

— Jeszcze coś?

— No cóż... Bardzo szykowne — westchnęła Hanako. — Zapewne przeznaczone na szczególną okazję. Na jakąś uroczystość, a może na święto...

— Albo na ślub? — Podsunęła Emily.

— Tak, zwłaszcza na ślub. Ale nie dla gościa. Jest zbyt piękne. Tylko panna młoda powinna je nosić. — Spojrzała na pęki wyszywanych róż. Trzeba oblubienicy niezemskiej urody, żeby goście patrzyli na nią, a nie na kimono, pomyślała. — Brakuje specjalnego *obi*.

Emily ponownie sięgnęła do kufra.

— Takiego jak to?

Wyjęła wspaniałą szarfę, równie bogatą jak reszta stroju, w odpowiednim kolorze, przetykaną złotą i srebrną nicią.

— Och, tak — zająknęła się Hanako. — Pasuje idealnie. — Ale kto i po co włożył ślubne kimono do skrzyni pełnej starych rękopisów? — Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach.

— Ten kufer przysłano mnie — powiedziała Emily słabym głosem, jak przez ściśnięte gardło.

Hanako nie rozumiała jej zdenerwowania. Przecież służba wiedziała, że to książę Genji prosił ją o przełożenie kronik na angielski. Sam wydał rozkaz, aby wszystkie zwoje zostały dostarczone bezpośrednio do niej. Ktoś znalazł kufer i kazał natychmiast zawieźć go do pałacu, tak jak w minionych latach inne paki i skrzynie. Od trzydziestu pokoleń księżęta Okumichi czytali te zwoje. To szmat czasu. Mogło się zdarzyć, że część dokumentów nie trafiła z powrotem na właściwe miejsce. Chmara Wróbli to wielki zamek, pełen ukrytych komnat i tajnych korytarzy. Niektóre skrytki pewnie zostały zapomniane. Zwoje były dostępne tylko dla pana zamku i jego powierników.

Reszta mieszkańców nie mogła ich czytać, więc skąd ktoś miał wiedzieć, że ten czy ów manuskrypt w ogóle nie pasuje do kanonu? (Bywali też książęta, którzy nie traktowali poważnie historii i zakazów, więc udostępniali księgi różnym niepowołanym osobom — kochankom, gejszom, kompanom od kieliszka albo mnichom. Z tego powodu historia klanu była powszechnie znana — a mówiąc ściślej, stała się podstawą do wielu niestworzonych plotek). Kufer miał pełne prawo trafić do rąk Emily. A jednak wyglądało na to, że jest tym bardzo przejęta.

— Pewnie znalazł go ktoś ze służby i przysłał tutaj zgodnie z poleceniem księcia — powiedziała Hanako.

— Nie o tym mówię — jęknęła Emily. — To niemożliwe... To zakrawa na bluźnierstwo, ale... — Zmęczona usiadła na podłodze i przycisnęła kimono do siebie. — Muszę jechać do zamku. To jedyny sposób... aby udowodnić, że jednak się myłę. Że to nieprawda...

— Ale co? — dopytywała się Hanako.

— Że ten kufer był przeznaczony dla mnie.

Główna wieża zamku Chmara Wróbli, 1311

Pani Shizuka uśmiechnęła się do wiernej Ayame. Zawsze dziwiło ją, że w tak młodym wieku jedne dziewczęta były już „dworkami”, inne zaś nosiły tytuł „księżnej pani”. Sama miała dopiero dziewiętnaście lat i pozostało jej niewiele życia. Ayame była młodsza od niej o dwa lata, ale posępny wyraz twarzy sprawiał, że wyglądała na dużo starszą.

— Zaklinam cię, żebyś to jeszcze przemyślała, pani — powiedziała. Siedziała zgodnie z regułami dworskiej etykiety. Wydawała się dziwnie krucha, mimo zbroi, krótko obciętych włosów i długiej *naginaty* leżącej tuż przy niej. — Sama podeszłam pod linie wroga. Jest tak, jak mówiła Fumi. Źle zostawili strażę. Połowa wojska się spiła i w szeregach są duże luki. Jeśli odwrócę ich uwagę, na pewno zdołasz uciec.

— Nie mogę odejść — odparła Shizuka, kładąc dłoń na wydatnym brzuchu. W ostatnich dniach robiła to coraz częściej.

Obfite szaty ukrywały jej stan przed wzrokiem przypadkowych osób, a szczupła twarz nie pozwalała domyślić się całej prawdy.

— Do porodu zostało półtora miesiąca — przekonywała ją Ayame. — A dziecku najwyraźniej wcale się nie spieszy. Za linią wroga będziesz bezpieczna. Pan Chiaki na pewno wie, co tutaj zaszło, i maszeruje nam na pomoc na czele zbrojnych oddziałów. Spotkacie się, zanim dotrzesz na przylądek, pani.

— Nie o to chodzi. Po prostu muszę tutaj zostać.

Ayame pochyliła głowę, wsparła obie ręce o podłogę i ukłoniła się głęboko.

— Błagam cię o wybaczenie, pani, ale w tym momencie będę z tobą całkowicie szczerą.

— Wcale nie musisz mnie przeproszać. Dobrze wiesz, że zawsze chętnie cię wysłucham.

— Mam nadzieję, że tak będzie nadal. Ludzie mówią, że nie jesteś inna. Że to nie wizje ani duchy, lecz twoje własne urojenia skłaniają cię do różnych działań. Że miałaś odrobinę szczęścia, gdy przepowiednie się spełniały. Powinnaś chyba jednak wiedzieć, że ja sama od początku służby ani przez chwilę w ciebie nie wątpiłam. Nigdy nie mówisz niczego bez przyczyny. Jesteś mądrzejsza, niż to wynika z twojego wieku i doświadczenia. Nieważne, czy naprawdę wiesz, czy nie wiesz, co się zdarzy. Jedno jest pewne — jeśli stąd nie uciekniesz, nie przeżyjesz dzisiejszej nocy.

Shizuka położyła dłonie płasko na podłodze i pokłoniła się swojej dworce.

— Byłaś mi wierna, niezawodna i tak mężna jak legendarni samuraje. Za to dziękuję ci z całego serca. Ale dziś musisz być jeszcze dzielniejsza. Przeżyjesz noc i najczarniejsze godziny przed świtem. Będziesz żyła nadal, Ayame. Będziesz żyła długie, długie lata. To twoja przyszłość — i z czasem się przekonasz, że pod tym względem miałam całkowitą rację. Wyjdiesz za mąż za odważnego i honorowego samuraja. Zaznasz wielu dni szczęścia i odrobiny smutku. Będziesz miała pięcioro dzieci. Twój najstarszy syn poślubi córkę pana Hiro-nobu, którą teraz noszę w swoim łonie, i przejmie władzę w Akaocce.

— Pani... — wyszeptwała zdumiona Ayame. Sama myśl o tym, że ktoś inny miałby przejąć rolę zarezerwowaną dla potomków pana Hironobu, była zdradą. W innych rodach za takie podejrzenia karano śmiercią, a tu tymczasem żona księcia...

— Moja córka ma na imię Sen. Twój syn zaś... — Shizuka urwała w pół zdania. Niech Ayame sama o tym zdecyduje, pomyślała, chociaż wiedziała, że w odpowiedniej chwili chłopiec otrzyma imię Danjuró. Ci, których przeszłość była kategorycznie oddzielona od przyszłości, nie rozumieli takich rzeczy. Ayame mogła poczuć się gorzko zawiedziona, gdyby właśnie teraz poznała imię syna.

— Twój syn zasłynie pod własnym imieniem. Pod nieobecność pana Hironobu oznajmiam, że już dzisiaj został przyjęty do naszego rodu. Od urodzenia przysługuje mu nazwisko Okumichi.

— Jeżeli to, co mówisz, jest zgodne z prawdą, pani, to błagam cię, użyj swojej wiedzy, żeby się ratować! To grzech tak bezwolnie iść na spotkanie śmierci.

— Stań w oknie i spójrz na wschód — powiedziała Shizuka.

Ayame zawahała się na mgnienie oka, ale zaraz posłusznie spełniła polecenie.

— Co tam widzisz?

— Fale łamiące się na brzegu, pani.

— Niech będą cicho — rozkazała Shizuka.

— Pani?

— Zatrzymaj fale, Ayame. Ucisz szum morza.

— Nie mogę.

— Idź zatem do zachodniego okna. Popatrz najdalej, jak potrafisz. Co tam jest?

— Przejrzyste niebo — powiedziała Ayame. — Jasny księżyc... a na horyzoncie widać górę Tosa.

— Sprowadź ją tutaj.

Ayame popatrzyła na Shizukę. Czyżby strach i smutek sprawiły, że oszalała? Na twarzy dworki widniał wyraz szczerzego zatroskania.

— Nawet najpotężniejsza czarownica nie poruszy tak wielkiej góry, pani.

— Widzisz morze, ale nie zdołasz go uciszyć. Widzisz Tosę, ale nie zdołasz jej przesunąć. Ja w ten sam sposób widzę przyszłość, ale nie mogę jej ani trochę zmienić. — Shizuka uśmiechnęła się. — Ty przeżyjesz dzisiejszą noc. Ja też. Ty przeżyjesz jutrzejszy ranek. Ja nie. Mówię o tym, jakbym mówiła o falach, które w bryzgach piany biją o przybrzeżne skały. Jakbym mówiła o zboczach Tosy skąpanych w księżycowym blasku. To tylko opis świata, nie motyw działania.

— Wszystko wiesz, ale nie możesz nic zrobić. Po cóż ci taki dar?

Nigdy tego nie zrozumiesz, pomyślała Shizuka. Danjuro też nie. Lecz Sen... Dłonią wyczuła ruchy dziecka.

— Umieściłaś zwoje tak, jak prosiłam? — Zapytała.

— Tak, pani, zgodnie z poleceniem. Żadnych śladów, znaków ani mapy.

— A jednak czymś się martwisz, Ayame.

— Zrobiłam wszystko, żeby nikt mnie nie zobaczył — odpowiedziała dworka. — Ale to było za murami, więc wróg może znaleźć skrytkę, gdy przerwie oblężenie.

— Nie znajdzie — zapewniła ją Shizuka.

— Jest jeszcze jeden mały kłopot — westchnęła Ayame. — Jeżeli zamek wpadnie w ręce nieprzyjaciół...

Owszem, za kilka godzin wpadnie.

— ...i żadne z nas tutaj nie wróci...

Nie wróci. Sen i Danjuro odzyskają zamek w dwunastym roku panowania cesarza Go-Murakamiego. Ale wtedy Go i Ayame już dawno będą w grobie.

— ...to kto odnajdzie zakopane zwoje?

— Tym się nie przejmuj — powiedziała Shizuka. — Zostaną znalezione we właściwym czasie i we właściwy sposób. Dobrze spełnią swoje zadanie.

Ayame najwyraźniej miała ochotę spytać, co to za zadanie, lecz powstrzymała się w ostatniej chwili. To bardzo dobrze. Wprawdzie Shizuka nie robiła z tego żadnej tajemnicy, ale wiedziała, że dziewczyna i tak nic nie zrozumie.

Ayame ukloniła się i wzięła broń do ręki.

— Za twoim pozwoleniem, pani, wrócę na posterunek.

— Dobranoc, Ayame.

Mój gość przyjdzie dopiero za dobre pół godziny, pomyślała Shizuka. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie idealną pustkę. To pomagało jej odpocząć.

Główna wieża, 1860

Sentymentalny głupiec, pomyślał o sobie pan Kiyori, lecz mimo to kazał zanieść jadło do górnej komnaty. Nie tknął żadnego z dań. Shizuka też nie jadła, ale do tego zdążył się już przyzwyczaić. Pożegnalna wieczerza stała przed nią niczym ofiara na ołtarzu przodków. W zasadzie nie powinno to dziwić Kiyoriego, bo przecież rzeczywiście była jego odległą prababką. Lecz z drugiej strony wiedział, że nie rozmawia z widmem, a jedynie z wytworem swojej chorej wyobraźni.

— Milczysz — odezwała się Shizuka. — Milczysz, bo nie wierzysz w to, co ci powiedziałam. Myślisz, że jestem halucynacją albo złośliwym duchem. Ponieważ jednak nigdy nie wierzyłeś w duchy, uważasz mnie za oznakę choroby umysłowej. Z drugiej strony wyczuwasz, że twoje szaleństwo nie jest aż tak głębokie, abyś musiał rozmawiać z urojoną postacią. No cóż... Przypomnij sobie, że spotykaliśmy się przez całe lata. Przecież bez względu na to, czy jestem prawdziwa czy nie, ten ostatni wieczór niczego nie zmieni. Może spróbuj udawać, że rozmyślasz na głos? Ach, już wiem... Masz ostatnią szansę, żeby potraktować mnie jak zwykłą mrzonkę. Wolisz nie odpowiadać. To prawdziwy dylemat, panie...

— Mam uwierzyć, że umiesz czytać w moich myślach? — Spytał Kiyori. — Tak łatwo mnie nie zwiedzisz. Każda złuda doskonale zna umysł, który ją stworzył.

Shizuka uśmiechnęła się.

— Och, panie... Jednak do mnie przemówiłeś.

Kiyori ze zdenerwowania trzepnął palcami w udo. Nigdy nie uważał się za myśliciela, więc z góry wiedział, że przegra z nią walkę na słowa. Oczywiście, to także było żenujące.

— Tylko z przyzwyczajenia. Sama powiedziałaś... Nie, to ja mówiłem: mogę myśleć na głos.

Shizuka położyła dłonie płasko na podłodze i skłoniła się uroczyście.

— Wszak jestem tobą — wyrecytowała — więc muszę przyznać ci rację. — Przez chwilę wyglądała niezmiernie poważnie, lecz nie umiała długo powstrzymać wesołości. Uśmiechnęła się w najważniejszym momencie ukłonu. Uniosła głowę i schowaną w rękawie dłonią zasłoniła usta.

— Nie patrz na mnie tak groźnie — zachichotała. — Jestem tobą.

— Ile razy jeszcze to powtórzysz? — Burknął Kiyori, zły, że znów wyszedł na głupca, chociaż przez cały czas miał się na baczności. W dodatku mógł za to winić tylko siebie. Skoro Shizuka naprawdę była nim, to jej słowa były jego słowami. Och, do diabła, po co te wszystkie komplikacje? Istna tortura dla umysłu. Lepiej rozmawiać tak jak dawniej, wariat i zjawa, ostatnie starcie.

— Powiedziałaś, że dziś odchodzisz, i że już więcej tu nie wrócisz — westchnął. — To prawda?

— A czy cię kiedyś okłamałam, panie?

— Raczej nie.

— To niesamowite. Od sześćdziesięciu czterech lat rozmawiasz sam ze sobą za moim pośrednictwem i ani razu nie skłamałeś. Niewielu mężczyzn to potrafi. Och, przepraszam. Przecież nie mogłeś tak powiedzieć! A jednak mogłeś, bo to twoje słowa. Ja mówię, więc ty mówisz, a to z kolei znaczy...

— Błagam! — Kiyori zgiął się w ukłonie. — Ustalmy, że to świat duchów. Tak będzie łatwiej.

— Zgoda... — Powiedziała Shizuka — z jedną małą poprawką.

— Proszę bardzo — bez mrugnięcia okiem szybko odparł Kiyori, tak się śpieszył, by wreszcie zakończyć tę szaradę. Widząc minę Shizuki, od razu pożałował swej pochopnej decyzji, zanim jeszcze usłyszał, o co naprawdę chodzi.

— Duchem będziesz ty, panie.

— To niedorzeczne.

— Czyżby? — Z twarzy Shizuki zniknął wyraz rozbawienia. — Czytałeś pisma Konfucjusza, Buddy i taoistów. Mimo to przez pół wieku postrzegałeś naszą znajomość tylko z jednej

strony. Odrzuciłeś sen, o którym mówi Czuang-tsy, *Sutrę Kwiatowej Girlandy* i wielką naukę Konfucjusza.

— Czuang-tsy miał wiele snów — odpowiedział Kiyori. — W *Sutrze Kwiatowej Girlandy* jest siedemset tysięcy znaków, a Konfucjusz udzielał niezliczonych nauk. Postaraj się wyrażać odrobinę jaśniej.

— Przecież to chyba oczywiste.

Kiyori czekał, co będzie dalej. Shizuka przypatrywała mu się w milczeniu. On nadal czekał, a ona wciąż milczała. Kiyori był księciem. Nikt nie śmiał patrzeć mu prosto w oczy, więc nie przywykł do takich pojedynków. Przemówił pierwszy:

— Pewnego razu Czuang-tsy zasnął i przyśniło mu się, że jest motylem. Gdy się obudził, nie wiedział, czy jest człowiekiem, któremu śniło się, że był motylem, czy też motylem, któremu nadal śni się, że jest człowiekiem. — Czyżby Shizuka uśmiechnęła się na znak zwycięstwa? A może mu się przywidziało? Skąd te pytania? Oczywiście. To przecież tylko gra wyobraźni.

Shizuka ukloniła się.

— *A Sutra Kwiatowej Girlandy?* — Zapytała.

Kiyori za młodu nie należał do najpilniejszych uczniów, sutra zaś była wyjątkowo długa i skomplikowana. Ale jeden obraz na zawsze utkwiał mu w pamięci jako zadziwiająco piękny i niezrozumiały.

— Sutra powiada, że Sieć Indry składa się z nieskończonej liczby diamentowych luster, tak ułożonych, że gdy patrzysz w jedno, widzisz odbicie wszystkich pozostałych. Tak samo wygląda rzeczywistość: nieskończona w przestrzeni, nieskończona w czasie i nieskończenie różna.

Shizuka z radością klasnęła w dłonie.

— Wspaniale, książę Kiyori! Widzę, że nie zawsze spałeś z otwartymi oczami na wykładach świątobliwego Koike.

— Nie, nie zawsze. — Stary nudny Koike, westchnął w duchu Kiyori. Nie myślałem o nim całe lata.

— Powiedz mi zatem o Konfucjuszu. Jak dobrze pójdzie, to pierwszy raz odpowiesz na trzy pytania z rzędu, związane z filozofią. Wspaniałe osiągnięcie.

To prawda. W walce na miecze, pałki albo gołe pięści

Kiyori nie miał sobie równych, lecz nie był mistrzem kaligrafii, deklamatorem i poetą. Mistrzem? Ha, dobre sobie! Ledwie uważał się za średniaka. Myśl! Nauka Konfucjusza. Co to było? Kiyori doskonale zdawał sobie sprawę z absurdalności swoich poczynań. Z uporem chciał zaimponować komuś, kto nie istnieje. Powiedzmy raczej, że to ćwiczenie samodyscypliny. Był samurajem, więc powinien naostrzyć myśli niczym miecz i jednym cięciem rozwiązać wątpliwości.

Wielka nauka Konfucjusza...

Co też ta baba wymyśliła?

Szanuj starszych?

Idź drogą przodków?

Bądź posłuszny swemu ojcu, a jako ojciec dawaj przykład synom?

Szukaj mądrego towarzystwa, nie zadawaj się z głupimi?

Krytykuj siebie, nie zaś innych?

Zatrzymał się. To nic nie da. Zwykle szukanie po omacku. Zejdź głębiej. Stań się mieczem. Rozetnij zasłonę niepewności.

Oprócz nauki Konfucjusza Shizuka wymieniła jeszcze dwa inne przykłady. Cóż więc wspólnego mają stary mędrzec, motyl imieniem Czuang-tsy i nieskończone lustro Indry? Z jednej strony pragmatyk, z drugiej marzyciel i fantasta?

— Konfucjusz nie miewał snów — zaczął powoli Kiyori — i nie szukał kosmicznych łamigłówek. Interesował się człowiekiem. Chciał mu pomóc, więc stworzył zbiór uniwersalnych zasad prawidłowego zachowania.

— Zatem?

Zatem — co? Już miał się poddać, kiedy nagle znalazł rozwiązanie. Możliwości są nieskończone (lustro Indry), a wyobraźnia umie zmienić każdą odpowiedź w kolejne pytanie (motyl Czuang-tsy). Człowiek rozumny nie powinien bez końca pomnażać treści, lecz zredukować je do odpowiednich proporcji (konfucjański wzór ojciec—syn). Ale jak to ubrać we właściwe słowa? Shizuka otwierała usta, żeby coś powiedzieć. Widać nie chciała dłużej czekać.

Nie może jej na to pozwolić!

— Zatem najbardziej realne jest to, co uznajemy za realne — rzucił szybko.

Jej porozumiewawczy uśmiech popsuł mu smak zwycięstwa.
— Podła sztuczka. Zmusiłaś mnie, żebym powiedział to, co najbardziej chciałaś usłyszeć.
— Sam doszedłeś do słusznego wniosku. Nie było w tym podstępu z mojej strony.
— Tylko że wcale w to nie wierzę — mruknął. — Widząc błysk ostrza nad swoją głową, wiem, że muszę się bronić. W przeciwnym razie padnę trupem, choćbym pomyślał, że miecz nie istnieje.
— Uderz mnie swoim mieczem, panie.
Zawsze wiedziała, czym go zirytować.
— Nie mogę.
— A to dlaczego?
— Nie bądź śmieszna. Dobrze wiesz, że cię nie ma. Miecz przetnie twoje ciało jak powietrze.
— Nie ma mnie tutaj?
— Tak.
— Znow patrzysz na to tylko z jednej strony, panie?
— Oczywiście, że nie. Znam drugą możliwość. To mnie tu nie ma. — Ledwo skończył mówić, zrozumiał, że znow dał się nabrać.
Shizuka z aprobatą pochyliła głowę.
— Wziąwszy pod uwagę lustra i motyle, nie można powie dzieć, które z tych rozwiązań jest prawdziwe. Prawdę mówiąc, nie wiemy, czy się wykluczają. Może to ty jesteś moim duchem, a ja twoim?

Główna wieża, 1311

— Dobrze więc, załóżmy, że mnie tutaj nie ma — zgodził się pan Kiyori. — Ale to tylko założenie. Słowa są tak niewiarogodne, że można mówić prawie wszystko. Kłopot w tym, że ja tu jestem. To ciebie nie ma, i nic tego nie zmieni, pomimo różnych luster i motyli.

Sięgnął po coś, czego Shizuka nie widziała. Ze sposobu, w jaki trzymał to „coś” w dłoniach, domyśliła się, że to czarka herbaty. Wszystko tam było niewidzialne, oprócz Kiyoriego —

choć on też wyglądał jak smuga dymu, przez którą prześwitywały ściany. Sama komnata się nie zmieniła, ale meble i sprzęty stały w innych miejscach. Kiyori ciągle przechodził przez ciężkie parawany, ikebanę i ludzi, którzy w jego czasach po prostu nie istnieli. Shizuka była przekonana, że w tamtym świecie ona zachowywała się tak samo.

Dobrze, że Kiyori jeszcze nie zjadł zupy zatrutej przez jego syna jadem z ryby *fugu*. Shigeru był szaleńcem i mordercą, ale nie lubił okrucieństwa. Dał tyle trucizny, by Kiyori najpierw popadł w odrętwienie. Potem nastąpi paraliż, a na końcu — śmierć. Prawie żadnego bólu.

Książkę odstawił czarzę.

— Nawet gdybym był duchem, nie wiedząc, że nim jestem... — zaczął powoli — to dlaczego mnie widzisz? Zmarłaś pięćset lat przed moim urodzeniem.

— Podałam ci jedynie proste możliwości — odparła Shizuka. — Nigdy nie mówiłam, że znam wyjaśnienie.

— Logicznie rzecz biorąc, to ty jesteś duchem.

Kiyori wstał i podszedł do zachodniego okna. Nocne niebo kontrastowało z jasno oświetloną komnatą. To, w połączeniu z księżycowym blaskiem, rozmywało jego kontury. Shizuka w ogóle nie widziała jego twarzy.

— Na pewno łatwiej ci tak myśleć — stwierdziła.

— Zastanówmy się głębiej nad wspomnianą logiką — ciągnął Kiyori. — Czas mija i nie wraca. Przyszłość nadchodzi po przeszłości. Jest jak wodospad, który płynie tylko w jedną stronę.

— To prawda — przyznała Shizuka. — Ale nie dla wszystkich.

— Nie musimy się o to spierać. I tak mnie nie przekonasz. — Odszedł od okna, więc jego twarz znów stała się widoczna na tle ściany. Nie wyglądał na zagniewanego. Już prędzej czymś się martwił. — W gruncie rzeczy to nie ma żadnego znaczenia. Możesz być duchem albo zwykłą uludą, ale to ty ukazałaś mi przyszłość. Nigdy nie miałem prawdziwych wizji, które mi przypisywano. Wszystko wiedziałem tylko od ciebie. Jeżeli znikniesz, to oznacza definitywny koniec przepowiedni.

— Czyżbyś się tym przejmował, panie?

— Nie. Przepowiedziałem więcej zdarzeń niż ktokolwiek inny z rodu Okumichi. Już zajmuję za dużo miejsca w *Suzume--no kumo*.

— Zatem...

— Do tej pory mój wnuk nie miał żadnej wizji. Uprzedziłem go — tak jak mi mówiłaś — że będą zaledwie trzy. Jak ich doświadczy? We śnie?

Shizuka doskonale zdawała sobie sprawę, co naprawdę kryje się za tym pytaniem. Chcesz wiedzieć, panie, czy w przyszłości będę nawiedzała Genjiego? — Pomyślała. Kiyori na pewno ubolewał nad swoim życiem, udużnionym przez ciągłe spotkania ze zjawą. Miał nadzieję, że Genji uniknie takiego losu. Shizuka popatrzyła na niego uważnie. Był dla niej tylko wątłym cieniem, bezcielesnym i niematerialnym, a jednak czuła coś na kształt współczucia, poruszona jego serdeczną troską. Nie zamierzała popsuć mu ostatnich godzin życia, mówiąc o sprawach, na które żadne z nich nie miało wpływu.

Dla Kiyoriego czas płynął niczym górski strumień, w jednym kierunku, w stronę oceanu. Shizuka postrzegала to zupełnie inaczej. Zmarła pięćset lat temu i dzisiejszego ranka znów miała umrzeć. A teraz jest tutaj — najzupełniej żywa — żeby towarzyszyć mu w chwili śmierci.

— Jesteś jedynym z rodu, który mnie zobaczył — odparła. Pierwszy raz odkąd się poznali musiała go okłamać. — Tak też pozostanie.

Drugie kłamstwo. Ale w najważniejszej kwestii powiedziała prawdę. Nie spotka się z Genjim.

Kiyori westchnął głęboko i uklonił się.

— Rad jestem, że to słyszę, pani. Mam wrażenie, jakby ktoś zdjął mi z ramion przeogromny ciężar. Przez te wszystkie lata udawało mi się zachować pozory, że jestem normalny, ale tylko dlatego, że byłem samurajem dawnego pokolenia i w sta roświeckim stylu. Wbrew wszelkim przesłankom umiałem wmówić ludziom, że białe jest czarne. Pod tym względem Genji jest zupełnie inny. Brak mu doświadczenia. Ma dociekliwy umysł, lubi dużo pytać i wciąż rozmyśla — na pewno pod wpływem cudzoziemskich nauk. Dużo mniej dba o tradycję. Gdyby cię zobaczył, natychmiast by się zgubił w gąszczu

wątpliwości nieuchronnie zrodzonych z powodu twojej obecności.

W odpowiedzi Shizuka również się ukloniła.

— W takim razie powiadam: nie obawiaj się, książę. Genji pozna smak życia. Z uporem, lecz z otwartą głową będzie dążył do wyznaczonego celu. Jak przystało na prawdziwego samuraja z mieczem w dłoni poprowadzi klan do wielkiej bitwy, godnej heroicznym czasów. Nienarodzone jeszcze pokolenia usłyszą o jego zwycięstwach. Zdobędzie miłość niezrównanie pięknych i szaleńczo odważnych kobiet. Jego następcy też staną się bohaterami. Zachowaj pokój w sercu, panie. Twój ród trwać będzie dużo dłużej, niż potrafię to zobaczyć.

Kiyori osunął się na kolana. Z trudem łapał oddech, szlochał, ramiona drżały mu jak w febrze. Nagle kilka gorących łez kapnęło na podłogę. Wyżej cenił honor potomków niż własną rycerską dumę. O swoich synów tak się nie troszczył, jak o przyszłość całego klanu. Shizuka powiedziała to, co najbardziej chciał usłyszeć.

— Pani?

Głos Ayame dochodził zza drzwi. Shizuka cicho przeszła obok płaczącego księcia i wysliznęła się na korytarz.

— Słucham?

Zanim zniknęła drzwi, Ayame zdążyła szybko zerknąć w głąb komnaty. Nikogo tam nie zobaczyła, choć była święcie przekonana, że jej pani z kimś rozmawiała.

— Nieprzyjaciel sformował szyki i ciągnie w stronę zamku — oznajmiła. — Nocny atak. To na pewno robota Go. Zawsze był niecierpliwy. Za kilka minut dotrą do bramy i zewnętrznego muru. Jest nas za mało, żeby ich powstrzymać. Kenji i jego samuraje kończą zastawiać pułapki na dziedzińcach i w korytarzach wewnątrz zamku. Moje dziewczęta staną u stóp wieży. Wróg własną krwią zapłaci za każdą piędź zdobytej ziemi. Lecz nie zdołamy go pokonać. Wedrze się tutaj. — Ayame mimo woli spojrzała na brzuch Shizuki, a potem uniosła głowę i w jej oczach odbiło się błaganie. — Powiedziałaś, że twoje dziecko nie umrze dzisiejszej nocy.

— Tak, to prawda.

— Cóż więc mam zrobić, żeby ta przepowiednia się spełniła, pani?

— Bądź dzielna, Ayame, tak jak zawsze byłaś. Przelej krew zdrajców. Zaufaj moim słowom i nie bój się przyszłości. To wystarczy.

— Jest tam u ciebie „przybysz”, pani?

Shizuka się uśmiechnęła.

— Zawsze myślałam, że nie wierzysz w duchy.

Łzy zabłysły w oczach Ayame i migoczącą strużką spłynęły po jej dziecinnej twarzy.

— We wszystko jestem skłonna uwierzyć, jeżeli tylko to cię uratuje.

— Przez całe lata byłaś mi wierną i kochającą przyjaciółką. Pamiętaj o mnie, kiedy odejdę. Z czasem opowiedz mojej córce, co się naprawdę tutaj zdarzyło. Ale poczekaj, aż będzie duża, żeby dobrze rozumiała. Zrobisz to?

— Tak — wyszeptała drżąc z emocji Ayame. Schyliła głowę i umilkła. Nie mogła już więcej mówić.

Shizuka weszła do komnaty, w której wciąż czekał pan Kiyori. Przestał płakać. Usiadł prosto i uniósł coś do ust. Odległość między jego dłońmi wskazywała na to, że trzyma większą czarkę lub miseczkę. Pił zupę zaprawioną jadem *fugu*.

Za oknem ciszę nocy przerwał bojowy ryk wydobywający się z tysięcy gardeł.

Przyszłość spotkała się z przeszłością w śmierci.

Patac Saemona, 1867

— Dziwne rzeczy działy się dzisiaj na porannym posiedzeniu rady — powiedział pan Saemon do swego szambelana. — Książę Genji przedłożył wniosek o ustalenie nowego prawa.

— Znowu? — Jęknął szambelan. — Chyba zaraził się od cudzoziemców. Oni wciąż tworzą nowe przepisy z braku rzetelnych norm postępowania. Książę tak pilnie ich naśladuje, że zapomina o nakazach przodków.

— Bez wątpienia masz rację. Ale mimo wszystko jego propozycja jest bardzo ciekawa.

— Och?

— Chciał, żeby zniesiono kasę „nietykalnych”. Ba, domagał się unieważnienia nazwy *eta*.

— Co takiego?! — Twarz szambelana gwałtownie pociemniała, jakby nagle skoczyło mu ciśnienie.

— To, co słyszałeś. Zaproponował nową nazwę: *burakumin*. „Ludzie ze wsi”. Ładne, prawda?

— Panie... i on to wszystko mówił podczas zgromadzenia?

— Owszem. — Saemon z nutą przewrotnej satysfakcji przypomniał sobie wyraz wstrętu i niedowierzania malujący się na twarzach zebranych. Tylko on jeden siedział z uprzejmą miną, jakby wstępnie zgadzał się z rozmówcą. Taki miał zwyczaj.

— Nikt nie zaprotestował?

— Gaiho, Matsudaira, Fukui i jeszcze inni po prostu wyszli z sali. Genji narobił sobie nowych wrogów, a starych znów do siebie zraził.

— Co go podkusiło? Czyżby do reszty oszalał?

— Mówił całkiem rozsądnie, że zachodnie państwa, zwłaszcza najpotężniejsza Anglia, nigdy nas nie przyjmą do swojego grona, jeżeli zachowamy wewnętrzne podziały. To ponoć pogwałcenie tak zwanych praw człowieka i obywatela. Z tego samego powodu Anglicy z pogardą patrzą na mieszkańców Indii, pomimo ich prastarej i wspaniałej kultury.

Szambelan wyglądał na zakłopotanego.

— Mam nadzieję, że go nie poparłeś, panie.

— Oczywiście, że nie. Jako przewodniczący rady nie mogę opowiadać się po żadnej stronie. Stwierdziłem tylko, że powinniśmy dobrze zastanowić się nad motywami postępowania cudzoziemców, włączając w to Anglików.

— To było bardzo mądre, panie.

— Zbadałeś może sprawę, o której ci mówiłem?

— Tak, panie. Są dowody na to, że pięć lat temu księżę Genji z oddziałem samurajów wjechał na ziemie Hino. Z drugiej strony, brak świadków jakiegokolwiek napaści. Jakiś czas potem przypadkowo odkryto ponure zgliszcza. Wieś została spalona, chłopcy wymordowani. Wnioski nasuwają się same. Co ciekawsze, wieś była zamieszкана przez *eta*. Wiedziałem, że uznasz to za zabawne, panie.

— Rzeczywiście, ciekawe — przyznał z namysłem Saemon. Genji domagał się praw dla tych samych ludzi, których jeszcze niedawno bez litości zabijał. Gdzie tu sens, gdzie logika? A jednak coś musiało łączyć te wydarzenia.

— Znajdź i przesłuchaj wszystkich niedobitków. Odpowiedź jest zapewne ukryta tak głęboko, że bez dodatkowej wiedzy nigdy nie zdołamy zadać właściwych pytań.

— Nikt nie ocalał, panie. Chaty poszły z dymem. Podobnie stodoły. Sto dziewięć ciał złożono do grobów. Tylu tam mieszkało.

— Pochowano ich?

— Tak, panie.

— Pochowano... — Saemon urwał i uśmiechnął się do siebie. Postanowił, że zamiast *eta* w tym wypadku użyje słowa, które zaproponował Genji. — Pochowano *burakuminów*

— Tak, panie.

— Mam uwierzyć, że ktoś wygrzebał zwłoki „nietykalnych” spod ruin i popiołu? Po co miałby zadawać sobie tyle trudu? Widać mu zależało. Odszukaj tych, którzy to zrobili. Tacy zwykle wiedzą najwięcej.

— Tak jest, panie.

— Zaczekaj. Jeszcze jedno. Straż portowa doniosła mi, że statek Genjiego, parowiec „Przyłodek Muroto”, wypłynął wczoraj z Edo w stronę Akaoki. Na pokładzie była amerykańska przyjaciółka księcia, pan Taro, pani Hanako i oddział samurajów. Załadowano też tajemniczą skrzynię, podobno bardzo starą, obcego pochodzenia. Nikt nie wie, co zawiera. Postaraj się ustalić, dlaczego wyjechali i co mogło być w skrzyni. Obawiam się, że Genji odesłał przyjaciółkę w bezpieczniejsze miejsce, bo sam coś knuje w Edo.

— Może chce wywołać rebelię *burakuminów* — podsunął szambelan.

Saemon zmarszczył brwi.

— Ja wcale nie żartuję.

— Tak, panie. — Szambelan skłonił się pospiesznie. — Zaraz spełnię rozkazy.

Kiedy wyszedł, Saemon przypomniał sobie jego słowa i roześmiał się na całe gardło. Rebelia *burakuminów*... Tylko Genji

mógłby wymyślić coś tak niedorzecznego. Jak to się stało, że klan Okumichi przetrwał całe wieki, skoro od pokoleń rządili nim głupcy? A może naprawdę spoglądali w przyszłość? To by ich tłumaczyło. Przy takiej przewadze mogli sobie pozwolić na ciągłe popelnianie politycznych błędów.

Pan Saemon znów się roześmiał.

Prorocze wizje. Przecież to tak zabawne i wysrane z palca jak bunt nietykalnych.

Parowiec „Przylądek Muroto”, w pobliżu południowego brzegu wyspy Shikoku

Gdy statek okrążał cypel, Emily, Hanako i Taro stali przy relingu. Niskie wzgórza pozostały z tyłu, a przed nimi rozpostarły się wody zatoki, dalej zaś, nad gęsto zalesionym brzegiem, wznosiła się wysoka na siedem kondygnacji główna wieża zamku Chmara Wróbli.

Emily po raz pierwszy widziała ją w 1861 roku, wkrótce po swoim przyjeździe do Japonii. Była wtedy bardzo rozczarowana. Zamek wydawał jej się niesłychanie kruchy i zbyt elegancki. Oczami wyobraźni widziała kamienną fortecę w europejskim stylu, zamieszkiwaną przez rycerzy takich jak Wilfryd z Ivanhoe. Och, jaka była wtedy głupia i naiwna! Po sześciu latach pobytu w Japonii przekonała się, że piękno może iść w parze z potęgą. Wystarczyło popatrzeć właśnie na Chmarę Wróbli. Samuraj był rycerzem, a daimyo — księciem, diukiem albo jakimś innym arystokratą starej Europy. Zwykle jesteśmy ślepi, gdy nas coś zaskoczy, pomyślała Emily. Postanowiła, że następnym razem — a przecież taki kiedyś musi nastąpić — będzie miała oczy szeroko otwarte.

Hanako także patrzyła na zamek, lecz jej myśli mąciła nuta melancholii. Dawniej za każdym razem, gdy wracała do Akao-ki, widok dachów ulatujących w niebo niczym stado ptaków budził żywsze bicie jej serca. Ale nie dzisiaj. Spoglądając na zamek, myślała o tajemniczych zwojach odkrytych przez Emily. Niewiele z nich przeczytała. Początkowo, za zgodą i namową Emily, chciała to zrobić na statku, później jednak stwierdziła,

że stary papier mógłby ulec zniszczeniu na słonym powietrzu. Mimo to dowiedziała się wystarczająco dużo, żeby poczuć niepokój, który nieuchronnie zmienił się w przerażenie, zanim jeszcze na dobre dobili do brzegu.

„Przybysz”.

W pierwszym zdaniu pierwszego zwoju była mowa o jakimś „przybyszu” sprzed wieków. To słowo, użyte przez autorkę zamiast zwyczajowego „gość”, sprawiło, że Hanako wróciła myślami do swojego ostatniego spotkania z panem Kiyorim. To było sześć lat temu, tuż przed jego śmiercią. Także rozmawiał z kimś, kogo nie zdołała nigdy usłyszeć ani zobaczyć. Po przeczytaniu zwoju nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, że dawny „przybysz” jest tym samym niewidzialnym cieniem, który odwiedzał pana Kiyoriego.

Jeżeli tak, to na pewno chodziło o osobę, której imienia lepiej nie wymieniać nawet w myślach, a co dopiero na głos. Emily powinna raczej unikać tego miejsca, a nie szukać niepotrzebnych wrażeń.

Wszyscy mówili, że pan Kiyori został otruty przez swojego syna, obłąkańca Shigeru, który dodał mu do zupy jad ryby *fugu*. Straż zamkowa natychmiast pojmała obie pokojówki, usługujące przy wieczerzy. Za tak potworną zbrodnię — choćby nieświadomą — groziła im kara śmierci w straszliwych męczarniach. Ale księżę Genji w porę przybył do zamku i kazał medykwini dokładnie obejrzyć ciało. Po krótkiej naradzie nowy daimyo ogłosił, że jego dziadek zmarł na zawał serca. To normalne w tym wieku. Uwolnił pokojówki i zgodnie z życzeniem Kiyoriego wziął Hanako do siebie. W ten sposób uniknęła ostracyzmu wywołanego podejrzeniem.

Prawdę mówiąc, Shigeru naprawdę otruił ojca, ale Genji za wszelką cenę chciał uniknąć skandalu i nie szukał zemsty na stryju. Wiedział też, że dziewczęta są niewinne. Wiedziony współczuciem, wymyślił oficjalną wersję mówiącą o zawale.

Przez długi czas Hanako wierzyła, że to prawda. Jednak gdy przeczytała fragment zwoju, opadły ją wątpliwości. Była pewna, że tajemniczy przybysz przyczynił się do śmierci pana Kiyoriego. Co gorsza, jako nieśmiertelne i złośliwe widmo, zapewne wciąż czaił się w zamglonej przestrzeni pomiędzy światem

realnym i nierealnym. Cierpliwie czekał na nową ofiarę, by na zawsze zatruć jej myśli i uczucia.

— Czy zamek od początku miał siedem kondygnacji? — zapytała Emily.

— Tylko dwie, kiedy zawładnął nim pan Masamune, ojciec pierwszego daimyo, Hironobu.

— Jak to „zawładnął”? Myślałam, że to rodowa własność klanu Okumichi.

— Od tamtej pory tak było. Wszystko musi mieć swój początek... — „...i koniec”, dodała w myślach Hanako, ale nie powiedziała tego na głos. — Pan Masamune kazał dobudować cztery piętra, a ostatnie wznosił Hironobu.

— A więc to on był prawdziwym twórcą głównej wieży.

Hanako wzdygnęła się, chociaż nad wodą wiał wyjątkowo ciepły, prawie letni wietrzyk. Chyba ostatnio stała się bardziej wrażliwa na chłód.

Taro nie brał udziału w rozmowie. W ogóle nie zwracał na kobiety najmniejszej uwagi. Myślał o czymś zupełnie innym.

O morderstwie.

Porwaniu.

Zdradzie.

Jak mógł popełnić wszystkie te rzeczy i wciąż uważać się za samuraja? A może, pozostając bierny, dopuściłby się gorszej zdrady?

Taro wkroczył w wiek męski w burzliwym 1861 roku. Książę Kiyori zmarł nagle i pozostawił lenno w rękach swojego nie-doświadczonego wnuka, pana Genjiego. Wróg niemal natychmiast skorzystał z tej okazji, żeby podjąć próbę zniszczenia całego klanu. Dwaj główni wodzowie nie mieli zaufania do rządów Genjiego, więc przeszli na drugą stronę. Najsłynniejszy wojownik rodu, syn Kiyoriego i stryj Genjiego, pan Shigeru, wybrał sobie najmniej odpowiedni moment, by zwariować. Sytuacja wyglądała na beznadziejną. Ale Taro i jego dobry przyjaciel Hide pozostali wierni przysiędze. Brali udział w krwawych bitwach na przełęczy Mie i w klasztorze Mushin-do. Z ich pomocą pan Genji pokonał nieprzyjaciół. Obaj zostali za to sownie wynagrodzeni i z wolna wspinali się po szczeblach kariery. Hide został dowódcą straży i nowym szambelanem.

Dwudziestopięcioletni Taro objął dowództwo oddziału jeźdźców klanu Okumichi — od pięciu wieków uważanych za najlepszych w całej Japonii.

Ale czy to miało jeszcze jakieś znaczenie? Cudzoziemcy przywieźli do Japonii kanonierki, armaty i obcą naukę. Świat, którym od niepamiętnych czasów rządili samuraje, rozwiewał się niczym mgła w porannym słońcu. Mężowie Opatrzności znali rozwiązanie: należy przegnać barbarzyńców i zamknąć granice kraju. W miarę upływu czasu Taro coraz bardziej przyznawał im rację.

Wątpliwości dręczyły go już od początku. Jako samuraj powinien wiernie stać po stronie Genjiego. Jednak młody książę nie miał rycerskiego ducha i w ogóle nie przestrzegał kodeksu wojowników. Nie hołdował tradycji tak starej jak historia rodu. Szukał logiki w każdym posunięciu. Logiką chciał zastąpić odwieczne nakazy. Pod tym względem podobny był do cudzoziemców. Prawdziwy samuraj nigdy nie pytał: dlaczego?, tylko szedł drogą przodków i bez wahania słuchał zaleceń *bushido**. Taro raz o tym wspomniał, ale książę Genji tylko się roześmiał.

— *Bushido!* — powtórzył. — „Droga wojownika”? Chyba nie myślisz, że dawniej ktoś wierzył w te bzdury?

Taro oniemiał ze zdumienia. Z otwartymi ustami wpatrywał się w księcia.

— Wierność jednemu panu — ciągnął Genji — bez względu na to, czy jest łajdakiem czy głupcem. W imię jego honoru masz poświęcić siebie, żonę, rodziców, a może nawet dzieci. Z takiego zła chcesz stworzyć szlachetną filozofię? Jeśli kiedyś zażądam, byś zabił własne dzieci, to w tym samym momencie możesz ściąć mi głowę. Dziś ci na to pozwalam.

— Nie mam dzieci, panie.

— To sobie zrób. Mój dziadek zawsze powtarzał, że ten, kto nie ma dzieci, nie rozumie niczego, co warto zrozumieć.

— Ty też jesteś bezdzietny, panie.

— Lecz doszedłem do wniosku, że pora to zmienić. O czym to ja mówiłem? Ach, prawda... o zemście. Nigdy nie zapominaj

* *Bushido* (droga wojownika) — niepisany moralny kodeks japońskich samurajów.

nawet najmniejszego zła i mścij się, choćby do dziesiątego pokolenia. To nie są nauki naszych przodków, Taro. To wymyślono dopiero w czasach Tokugawów. Shogunowie stworzyli własną mitologię w nadziei, że na zawsze zachowają władzę. Że nikt nie zrobi tego, co oni zrobili, z krzywoprzysięstwem i zdradą włącznie. Myślą tylko o sobie, a swoim poddanym każą patrzeć w przeszłość, żeby im nie wadzili w nadchodzących czasach.

— Książę... — wyjąkał Taro, kiedy już odzyskał zdolność mówienia — przecież wiesz, że to nieprawda. Nasi szlachetni przodkowie...

— ...byli okrutni i gwałtowni — dokończył Genji. — Żyli bowiem w okrutnym i gwałtownym świecie, notabene bardzo podobnym do naszego. Ale tym światem rządziło *budo* *, nie jakies tam *bushido*. *Budo*, czyli „droga wojny”. To nie żadna tradycja, tylko maksimum skuteczności. Na tym opierała się cała nasza wiedza, zanim liznęliśmy nauki Zachodu. Jeźdźcy okazali się lepsi od piechoty, więc dosiedliśmy koni. Długi prosty miecz *tachi* sprawiał wiele kłopotów w walce z wysokością siodła, więc odszedł w niepamięć, zastąpiony przez krótszą, wygiętą *katana*. Kiedy walki toczono w zamkach — wstyd powiedzieć, ale najczęściej z zaskoczenia — obok *katany* zatknęliśmy za pas *wakizashi*, dużo przydatniejsze w ciasnych korytarzach. W starciu z bliska, na przykład do zdradzieckiej napaści podczas posiłku, ceremonii herbaty lub orgii, niezastąpiony był nóż *tanto*.

— Nieprawda! — Wykrzyknął Taro tak poruszony słowami Genjiego, że zapomniał o uprzejmości. — Samuraj nosi *tanto*, żeby w razie potrzeby mógł sobie zadać śmierć i umrzeć z honorem...

Genji uśmiechnął się, jakby miał do czynienia z niezbyt mądrym, ale lubianym dzieckiem.

— Tak właśnie każą nam myśleć shogunowie z rodu Tokugawa. Lepiej, żebyś poniósł śmierć z własnej ręki, niż targnął się na ich władzę.

Do wspomnianej rozmowy doszło tuż przed podróżą.

* *Budo* — *bu* — walka, wojna; *do* — metoda, sposób postępowania.

— Gdybyśmy byli tacy sami, jak nasi przodkowie — po wiedział Genji — to chcielibyśmy jak najwięcej nauczyć się od cudzoziemców. Starsze i mniej przydatne rzeczy poszłyby w zapomnienie. Żadnego wahania ani sentymentów. Liczy się tylko postęp.

Gniewny i przerażony Taro wołał nic nie mówić, więc po prostu pochylił głowę. Księżę chyba uznał to za akceptację. Pomylił się.

Przecież zdrada Genjiego była dużo gorsza niż wszystko, co zamysłał Taro. Księżę zamierzał zniszczyć „drogę samuraja”. Chciał zmienić wojowników w groteskową, bezduszną i niehonorową karykaturę cudzoziemców. Po co komu rycerska wierność, skoro mowa wyłącznie o zyskach? Po co odwaga, skoro już nie będzie szermierczych pojedynków, toczonych na odległość miecza i ramienia, tylko wymiana ognia z niewidocznym wrogiem, oddalonym o całe mile, prowadzona wśród kłębow dymu i huku artylerii?

Taro spojrział na dwie kobiety powierzone jego opiece. Był dowódcą oddziału najślawniejszych jeźdźców, ale jak długo taki oddział mógł przetrwać w świecie, który próbował stworzyć księżę Genji? Co z tego, że Hanako została żoną Hide, skoro ten sam Hide, wierny swemu panu, ze ślepym uporem stoi po stronie reform? A Emily? Jest cudzoziemką z dawnej przepowiedni. Wprawdzie uratowała klan przed zagładą, ale... No właśnie. Jest cudzoziemką.

Pewnego dnia...

Taro nie dobył miecza, chociaż w myślach zacisnął dłoń na rękojeści.

Rozległ się głośny grzechot łańcucha. Kotwica z pluskiem wpadła w płytką wodę.

— Jesteśmy w domu — oznajmiła Hanako.

Chmara Wróbli

Taro siedział w komnacie, z której było widać różankę na środkowym dziedzińcu fortecy. Przed nim stały nietknięte napoje i smakołyki. Pogrążony w zadumie zupełnie zapomniał,

że po drugiej stronie cicho czeka Tsuda. Dopiero widok strachu na twarzy architekta wyrwał go z niewesołych myśli. Przez ponad pół godziny siedzieli w milczeniu. Taro prawie zawsze miał marsową minę, ale tym razem niewątpliwie wyglądał jeszcze groźniej.

— Pani Hanako i lady Emily poszły na główną wieżę — powiedział tylko po to, żeby chociaż trochę rozwiać niepokój architekta. — Dołącz do nich.

Wstał. Chciał pojechać na sam kraniec cypla i tam, w samotności, zebrać myśli.

— Tak, panie.

Tsuda bezskutecznie próbował zrozumieć, co jest powodem tej nagłej wizyty. Obie damy, Taro i oddział samurajów przybyli bez zapowiedzi porannym statkiem z Edo. Oczywiście Tsuda od razu wpadł w panikę. Czego może chcieć dostojnik tak wysokiej rangi, jak pan Taro? Obecność dwudziestu strasznych, posępnych samurajów budziła podejrzenia, że na mieszkańców zamku spadną jakieś kary, łącznie z egzekucją. Być może książę Genji zaczął się niecierpliwić żółwim tempem prac budowlanych? Może złościły go rosnące koszty albo odrzucił projekt, chociaż początkowo był zadowolony? Wiadomo, że łaska pańska na pstrym koniu jeździ, a skutki tego zawsze ponosi ktoś inny. Taro nie był zbyt rozmowny. Zrozpaczony Tsuda próbował poznać parę szczegółów, choć zdawał sobie sprawę, czym grozi taka śmiałość.

— Książę ma zamiar przebudować wieżę, panie? — Spytał.

Taro zerknął na niego spode łba. Cóż to za niedorzeczny pomysł?

— Niby dlaczego?

Wystraszony Tsuda zmieszał się, czując na sobie groźne spojrzenie samuraja. Zaczął się jąkać.

— Myślałem... może... tylko z tego powodu, że pani Hanako i lady Emily... są na wieży... panie... a przecież pierwszy projekt... no właśnie... to lady Emily...

I co dalej? Dalej?! Bielizna architekta stała się lepka i mokra od gorącego potu. Miał nadzieję, że to naprawdę pot, a nie coś gorszego. Smród uryny na pewno byłby wyczuwalny. Gdybym zamoczył matę... — pomyślał ze zgrozą Tsuda. Ocal mnie,

o wielka i dobrotliwa Kannon! Po co się odzywałem? Taro zamierzał wyjść, a ja, skończony głupiec, musiałem go zatrzymać! Nie mógł już dalej mówić; w głowie mu szumiało od nieskładnych myśli. Oczy miał pełne łez. Wiedział, że za chwilę zacznie głośno płakać, a to na pewno wzbudzi podejrzenia. Już pewnie zdradził się swoim zachowaniem... Zaraz podejmą śledztwo, pytania, pytania... a potem tortury, ból i poniżenie! Przyznaj się! Przyznaj i błagaj o litość! To tylko jedno *ryo.No*, nie więcej niż dwa... Na pewno nie więcej! Spłacę je! Co mnie podkuśiło, żeby oszukać księcia? Chyba upadłem na głowę! Przecież Genji nie musi sam doglądać budowy! Wszędzie ma swoich szpiegów, którzy donoszą mu dosłownie o wszystkim. Przyznaj się!

— Za dużo myślisz, Tsuda — burknął Taro. — Masz myśleć tylko na wyraźny rozkaz i bez wahania spełniać wszelkie polecenia. Pójdiesz teraz na wieżę i odpowiesz na każde pytanie, które padnie z ust pani Hanako lub lady Emily. Zrozumiano?

Tsuda przycisnęła czoło do podłogi. Żeby skłonić się głębiej, musiałby przebić głową twardą matę *tatami*. Mało nie posikał się z ulgi, że nie grozi mu natychmiastowa kara. Prawdę mówiąc, nie zrobił tego, bo już wcześniej miał mokro w spodniach.

— Dziękuję, panie — wybełkotał. — Bardzo dziękuję. Wszystko, co każesz. Jak najbardziej.

Usłyszał stuk zamykanych drzwi, lecz jeszcze długo nie podnosił głowy.

Nieco później, czekając na dostojne damy, z dużo większym spokojem myślał o tej rozmowie. W gruncie rzeczy nie zrobił nic złego. Owszem, teoretycznie dopuścił się defraudacji, a to — jak każda szkoda na rzecz księcia — było karane torturami i śmiercią. Ale kto wymógł na nim tak śmiesznie niską cenę? Przecież to gorsza zbrodnia. Musiał kraść, żeby wyjść na swoje. Co było naprawdę złe — to że drżał ze strachu, czy też to, że ów strach budziła absolutna władza dzierzona przez daimyo, a w rzeczywistości przez wszystkich samurajów? W jaki sposób Japonia ma wyjść z zacofania, skoro wciąż panuje tak wielka niegodziwość? Obecność samu-

rajów podobno dyktowały względy bezpieczeństwa. Ale dzie-
sięć lat temu przybycie cudzoziemców zadało jawny kłam po-
dobnym twierdzeniom. Wielcy wojownicy nie umieli wyrzucić
nawet Holendrów i Portugalczyków, którzy — jak wiedział
Tsuda — zamieszkiwali małe państwa gdzieś na obrzeżach
Europy. W obliczu dużo potężniejszych wrogów — Anglii,
Francji, Rosji i Ameryki — drżeli jak krzewy szarpane wia-
trem. Byli już niepotrzebni. Ale jak ich usunąć? Ha, dobre py-
tanie... Cała broń znajdowała się w rękach samurajów. Co
więcej, mogli bezkarnie zabijać.

Jednak Tsuda także miał broń, na wskroś nowoczesną i groź-
niejszą od stali. Broń, dzięki której, gdyby tylko zechciał,
zdołałby ukatrupić każdego rycerza wymachującego staroświec-
kim mieczem. Był to amerykański kolt, kaliber 44, z sześcioma
komorami, w których tkwiło sześć śmiertelnych naboju! Oczywiście nigdy nie nosił go przy sobie. Rewolwer leżał w
domu, ukryty pod podłogą, w holenderskim sejfie. A gdybym
tak go zabrał? — Pomyślał nagle Tsuda. Miałbym dość odwagi,
żeby strzelić do Taro? Przez chwilę próbował to sobie wyob-
razić, ale natychmiast poczuł, że coś ściska go w dołku.

Nie, nie, nie! Można złać się ze strachu i udawać, że spodnie
są mokre od potu. Ale w gorszym przypadku? Przecież kupa to
kupa! Nikogo nie oszukam! Mają mnie ukrzyżować za to, że
nasrałem pod siebie w zamkowych komnatach? Nie dość, że
umrę w mękach, to jeszcze przy okazji najem się okropnego
wstydu!

Żeby powstrzymać nieprzyjemne parcie, zaczął myśleć o pie-
niądzach. Złoto sprawiało, że czuł się silniejszy. Wszystkie
bogactwa należały do kupców i bankierów. Ten stan rzeczy
ostatnio zyskał na znaczeniu. Tsuda, szacowny kupiec i zarazem
bankier, dobrze pasował do tej sytuacji. Był potężny, nie słaby.
Pieniądz zawsze górował nad mieczem.

Czy aby na pewno? Wystarczyło dotknąć ostrej jak brzytwa
główni...

— Och, to pan Tsuda — powiedziała Emily. — Miło znów
pana widzieć.

— Lady Emily... — wybąkał Tsuda, gwałtownie wyrwany
z marzeń. — Za każdym razem, gdy się spotykamy, coraz

lepiej mówi pani po japońsku. To na pewno efekt wysiłku włożonego w naukę...

Skrzywił się w duchu, chociaż na jego twarzy nadal widniał doprowadzony do perfekcji wyraz łagodnej uprzejmości, połączonej z tępym zadowoleniem. Z doświadczenia wiedział, że to najlepszy i najbezpieczniejszy sposób prowadzenia rozmów z „lepszymi” od siebie, zwłaszcza z samurajami. Skrzywił się, bo zanim skończył mówić, już sobie zdał sprawę ze swojej niezręczności. Z jego słów wynikało, że lady Emily bardzo się wysiła, żeby coś powiedzieć. Pewnie miał rację, ale w tym momencie prawda nie była najważniejsza.

Co za głupiec! Obraził Emily — to znaczy „lady” albo „panią” Emily, ponieważ z jakichś tajemniczych względów, o których Tsuda nie miał bladego pojęcia, tej cudzoziemce przysługiwał tytuł wielkiej damy. Nawet myśl o niej, nieoprzędzona stosownie ugrzecznionym zwrotem, była zniewagą — zupełnie jakby obraził jej protektora, księcia Akaoki, Okumichino kami Genjiego, czyli człowieka, który w swoim ręku dzierżył absolutną władzę nad życiem i śmiercią wszystkich mieszkańców Ienna! Jak mogłem być tak głupi? — Rozpaczwał w duchu Tsuda. Lady Emily świetnie mówiła po japońsku, chyba nawet lepiej niż rdzenni Japończycy z odległych rejonów na obrzeżach kraju. Tam niektórzy znali tylko własną gwara, przypominającą jakiś obcy język. Tsuda głowił się gorączkowo nad zręcznym komplementem, który mógłby go wybawić z opresji. Na szczęście w tej samej chwili odezwała się pani Hanako:

— Gdzie jest pan Taro? — Zagadnęła.

— Wyjechał dobrą chwilę temu — odparł Tsuda. Hanako była wyraźnie nie w humorze. Jej twarz złościły głębokie bruzdy i gdy pytała o Taro, w jej oczach pojawił się błysk.

Może to spisek? Tsuda poczuł, że znów ogarnia go przerażenie. W przypadku zdrady, bez względu na to, kto ją zaplanował, jego życie wisiało dosłownie na włosku. Spiskowcy w zamku? O bogowie... Gdyby zostali przyłapani, podejrzenie padłoby na wszystkich. A więc tortury, śmierć, i tak dalej. Brak winy nie jest dowodem niewinności.

Och, nie! A do tej pory wszystko szło tak dobrze! Tsuda był

wierny i oddany księciu Genjiemu, panu Taro i potężnemu mężowi pani Hanako, panu Hide. Bez względu na to, który z nich spiskował, węszył lub sromotnie przegrał — a przecież tego Tsuda nie mógł wiedzieć — on nie ponosił żadnej winy. Jednak to jego umęczone zwłoki miały zawisnąć na ostrym palu. To jego chciano ukrzyżować! Cała jego rodzina zostanie zgładzona, dobra skonfiskowane. To niesprawiedliwe! Kiedy wreszcie skończą się te okrucieństwa, wyczyniane przez chciwych samurajów?

— Dziękujemy, że znalazłeś czas, żeby się z nami spotkać — powiedziała lady Emily. — Na pewno jesteś bardzo zajęty na budowie.

— Zawsze znajdę dla pani czas, lady Emily... i oczywiście dla pani Hanako. Zawsze do dyspozycji. Wprawdzie nie wiem, czy moje usługi na coś się przydadzą, ale postaram się...

— Dziękujemy, Tsuda — wtrąciła Hanako. Gdyby mu nie przerwała, paplałby bez końca, w zasadzie o niczym. Wszyscy parweniuse pocili się ze strachu, gdy przyszło im rozmawiać z kimś lepszym od nich. Zwłaszcza ci, którzy tak jak Tsuda, mieli na co dzień do czynienia z wielkimi pieniędzmi. Działo się tak dlatego, że wszyscy samuraje, a w szczególności daimyo, tkwili po uszy w długach, bez przerwy zaciąganych u kupców i bankierów. Niektórzy z nich „anulowali” swoje zadłużenie, mordując wierzycieli pod byle pretekstem. Nawet shogun uciekał się do tej metody.

Tsuda miał dodatkowe powody do strachu, bowiem od lat fałszował rachunki w ten sposób, żeby za każdą pracę zarobić dodatkowo przynajmniej dziesięć procent. Biedaczysko nie wiedział, że zawierał umowy z pełnomocnikami dalszych prokurentów, którzy to z kolei działali na zlecenie zastępcy przedstawiciela właściwej osoby. W rezultacie nie był, jak mu się zdawało, właścicielem banku, lecz raczej pomocnikiem głównego zarządzającego. Prawdziwym właścicielem był oczywiście Genji. Dzięki proroczym wizjom kolejnych seniorów rodu klan Okumichi już dawno poznał prawdziwą moc pieniądza, chociaż inni książęta wciąż obliczali wartość swoich majątków miarą ryżu zebranego z pola w ciągu roku.

Hanako o tym wiedziała, ponieważ z rozkazu Genjiego od

pięciu lat była asystentką szambelana i zajmowała się rachunkami klanu.

— Nie zajmujemy ci więcej cennego czasu, niż potrzeba — powiedziała do Tsudy. — Chcemy tylko dowiedzieć się czegoś więcej o kufrze pełnym zwojów, który ostatnio wysłałeś do lady Emily, do Edo.

— Ach... tak. Lady Emily, pani Hanako... — Architekt skłonił się kolejno obu damom. Nie bardzo wiedział, do której ma się zwracać. — Spodziewam się, że przesyłka dotarła bez szwanku, to znaczy... eee... nikt jej nie otwierał?

Z jednej strony rozmawiał z panią Hanako. Z drugiej pytania pochodziły na pewno od lady Emily. Ale pani Hanako była przecież Japonką i w dodatku żoną głównego generała — strasznego człowieka, groźniejszego chyba nawet od pana Taro — a tymczasem lady Emily, chociaż nosiła tytuł „damy”, nie miała z Japonią nic wspólnego. Ale niestety, to nie wszystko. Lady Emily była przyjaciółką księcia — bliską przyjaciółką, może nawet najbliższą, jeśli wierzyć plotkom, w które on, Tsuda, oczywiście nie wierzył ani trochę, ani też nieprzyzwoitą myślą nigdy nie zamierzał...

— Wskaż nam miejsce na zamku, w którym ukryto kufer — poprosiła lady Emily.

— Och... Najpokorniej błagam o wybaczenie, jeżeli w moim liście lub słowach posłańca znalazła się sugestia, że kufer istotnie znaleziono na zamku. Prawdę mówiąc, spoczywał w bardzo dziwnym miejscu i został odkryty w dość niezwykły sposób.

Emily spojrzała porozumiewawczo na Hanako. Tsuda nie domyślał się, co to może znaczyć. Jeszcze jedno zmartwienie... Ale o tym później, gdy to straszne spotkanie dobiegnie końca.

— Może raczej powiedzmy: w bardzo obiecującym miejscu i w szczęśliwy sposób. Nie mam prawa osądzać...

— Gdzie to było? — chciała wiedzieć Hanako.

* * *

Tsuda z trudem nadażał za dwoma kobietami. Nie umiał jeździć konno. Owszem, stać go było na dobrego wierzchowca — a nawet na dziesięć — lecz rzadko siedział w siodle. Na

wszelki wypadek wolał nie zwracać na siebie uwagi. Tradycyjnie koni dosiadali tylko samuraje, nigdy chłopci czy mieszczaństwo. A wojownicy z Akaoki już od kilku wieków cieszyli się zasłużoną sławą znakomitych jeźdźców. Co by sobie pomyślał któryś z nich na widok prostaka na koniu? Zwłaszcza gdyby akurat sam szedł pieszo... i miał niemały dług wobec jeźdźcy. W takim przypadku zwykła niechęć mogła przerodzić się w żądę mordy. Ale był jeszcze inny, co prawda mniej groźny, jednak męczący powód, dla którego Tsuda unikał konnych wycieczek. Widząc samuraja, musiałby zsiąść z konia i nisko się uklonić, bo nie mógł trzymać głowy wyżej od kogoś od siebie lepszego. Łatwiej mu było spełnić ten warunek, kiedy obiema nogami stał mocno na ziemi.

Obie panie przebrały się w szerokie spodnie *hakama* i jechały na koniach po męsku, na wzór samurajów, a nie bokiem, jak damy dworu. Zaraz za bramą zamku czekał na nie pan Taro na czele zbrojnego oddziału. Skąd wiedział, że wyjeżdżamy?—Zastanawiał się Tsuda. Denerwowały go niektóre zwyczaje wojowników. Zwłaszcza zdolność przewidywania pewnych rzeczy i zdarzeń.

Już prawie dojechali do placu budowy koło Doliny Jabłek. Tsuda poczuł, że znów się poci, ale zupełnie się tym nie przejmował. Choćby miał całkiem mokre spodnie, zawsze mógł zwalić winę na wierzchowca. Konie to przecież wiecznie spocone, cuchnące zwierzęta. Był za to inny kłopot. Co zrobić, jeśli ktoś z przyjezdnych zacznie kręcić nosem na stan robót? Prace idą za wolno? A może nie w tym miejscu? Wejście z zupełnie innej strony? Źle odczytane plany? Wycięto za dużo drzew? A może jednak za mało?

Jakiś samuraj podjechał bliżej i krzyknął ostro:

— Hej, ty! Nie ociągaj się! Mamy na ciebie czekać?

Wyglądał tak, jakby miał ochotę ściąć Tsudzie głowę.

— Tak, panie... Nie, panie... Ogromnie przepraszam... Nie przywykłem do konnej jazdy. Konie nie są dla nisko urodzonych...

Samuraj wyciągnął rękę, wyrwał mu wodze z dłoni, kopnięciem zmusił wierzchowca Tsudy do galopu i pognali w kierunku wzgórza, na którym przystanęła reszta kawalkady. Zanim tam dojechali, Tsuda nabrał podejrzeń, że rozbił intymną część

ciała o twarde jak kamień siodło. Nigdy już nie zaznam rozkoszy z żadną gejszą... — jęczał w duchu.

— Zsiadaj — warknął Taro. — Pokaż pani Hanako i lady Emily, gdzie znalazłeś kufer!

— W tej chwili, panie — odparł Tsuda i niemal zleciał z siodła, tak się spieszył, żeby spełnić polecenie. Po jakie лихо w ogóle brał się do tej budowy? Mógł ją powierzyć komuś innemu. Uniknąć ryzyka. Tak właśnie powinien zrobić.

— Zaczęliśmy dokładnie trzy tygodnie temu — powiedział.

* * *

— Możemy kopać, panie Tsuda? — Zapytał robotnik. Stu takich jak on, uzbrojonych w szpadle, kilofy oraz inne narzędzia do prac budowlanych, od godziny czekało na znak architekta. Po diabła ta zwłoka? Co ten Tsuda wyprawia, stojąc jak w transie na samym szczycie wzgórza? Przecież mieli postawić dom, a nie odprawiać jakieś czary.

Tsuda słyszał zniecierpliwienie w głosie robotnika. To zrozumiałe. Głupi prostak nie znał potęgi feng shui, czyli sztuki wyboru i planowania miejsca, bez której żaden architekt nie byłby architektem, lecz zwykłym wyrobnikiem zbijającym deski. Poza tym kopaczom płacono za robotę, a nie za godziny spędzone na placu, więc mogli narzekać. On był stworzony do wyższych celów. Punkt, w którym pierwszy szpadel zostanie wbity w ziemię, zdecyduje o całej przyszłości budowlanej, a co za tym idzie, mieszkańców i budowniczych. Gdyby pomylił się chociaż o pół kroku, to zamiast pomyślności, ściągnąłby nieszczęście na siebie i innych.

Z wielu różnych domów, które Tsuda zaprojektował i postawił w ciągu dziesięciu lat swojej kariery architekta, żaden nie przyniósł pecha właścicielom ani lokatorom. Co więcej, dwa z nich — pewien dom gejsz w Kobe i odbudowany pałac księcia Genjiego w Edo — okazały się wyjątkowo szczęśliwe. Dom gejsz zyskał niepoślednią sławę w całej okolicy i mówiono o nim, że śmiało może konkurować z niejednym słynnym przybytkiem w Kioto albo w Edo. Było w tym oczywiście troszeczkę przesady, ale Tsuda czuł się szczególnie wyróżniony takim porównaniem. Książę Genji miał więcej wrogów niż

przyjaciół i należał do „zewnątrznych” daimyo, a jednak, gdy zamieszkał w odnowionym pałacu, bardzo szybko zdobył pełne zaufanie na dworze cesarskim w Kioto i stał się szanowanym członkiem tak zwanej pogodzonej rady shogunatu.

Oczywiście Tsuda nie przypisywał sobie żadnej zasługi. Z drugiej strony Genji docenił jego starania i niejako w nagrodę zawarł z nim umowę na budowę „kaplicy”. Pod tą nazwą kryła się chrześcijańska świątynia. Przy projekcie Tsuda ściśle współpracował z cudzoziemską przyjaciółką księcia, lady Emily. Jej propozycja wydawała mu się zbyt surowa: rzędy drewnianych ławek, podest dla religijnych śpiewaków, nazywanych „chórem”, i małe podium, skąd kapłan miał zapewne przemawiać do wiernych. A oprócz tego dzwon, jak w świątyni buddyjskiej, ale zawieszony wysoko na wieży i niedostępny dla ludzi. Nie dało się weń uderzać dostojnie i powoli za pomocą świętego młota. Należało gdzieś z dołu pociągać za sznur, a wtedy odzywało się żelazne serce wewnątrz klosza. Dźwięk był głośny, ale dość przypadkowy.

— Będzie pora obiadu, zanim się na dobre weźmiem za robotę — mruknął inny robotnik.

Tsuda uniósł rękę, nakazując ciszę. Nie pozwoli się poganiać. Może i nie jest samurajem, ale do swoich obowiązków podchodzi z taką samą powagą jak oni do wojaczki. Przez tydzień wracał na plac przyszłej budowy i medytował o wschodzie słońca i tuż przed zmierzchem. W domu pytał o radę I-Ching, używając na przemian gałązki krwawnika i monet. Pozostał tylko jeden krok. Tsuda odrzucił wszelkie uprzedzenia, bojaźń i marzenia. Otworzył duszę na wrodzoną naturę tego miejsca i mocniej zacisnął dłonie na trzonku szpadla. W tej samej chwili poczuł lekkie tchnienie wiatru. Zamiast słonawej woni oceanu doleciał go zapach kwiatów jabłoni. Wciągnął powietrze w płuca. Zrobił wydech, otworzył oczy i wbił szpadel w ziemię.

Rozległ się głośny stuk. Szpadel trafił na jakiś twardy przedmiot.

* * *

— Przebiłem wieko drewnianej skrzyni — powiedział Tsuda. — Ale w niej była jeszcze jedna, przepięknie malowana. Mam nadzieję, że nikt jej przypadkiem nie zniszczył? — Już

nieraz słyszał, że lady Emily czasami mdleje w najmniej spodziewanej chwili, więc nie zdziwił się, widząc, że pobladła. Ale pani Hanako także wyglądała na wstrząśniętą.

— Skąd ci przyszło do głowy, żeby to wysłać do lady Emily? — Zapytała.

— Ależ ja nigdy bym się nie ośmielił sam podjąć takiej decyzji! — Wykrzyknął Tsuda. — Z rozmiarów i wagi kufra wynikało, że nie zawierał skarbu, lecz jakieś dokumenty. Wszystkim wiadomo, że ksiązę Genji rozkazał przetłumaczyć historię klanu na angielski...

— Cicho! — Huknął Taro. — Masz odpowiadać na pytania. Dlaczego wysłałeś kufer do lady Emily?

— Nie zrobiłem tego, panie Taro. — Tsuda mimo woli dygotał coraz mocniej, aż ubranie na nim zatrzęsło się, jak poruszone nagłym wiatrem. — Kurier dostał ode mnie wyraźne polecenie, że przesyłka ma trafić do pana Genjiego. Jeśli zrobił inaczej, to niestety muszę...

Taro wpadł w gniew.

— Pchnąłeś posłańca do księcia?! A dlaczego najpierw nie poszedłeś na zamek, do dowódcy straży? To on powinien podjąć decyzję w tej sprawie!

Tsuda tak mocno przyciskał czoło do ziemi, że poczuł skurcze w plecach.

— Otrzymałem rozkaz od księcia, że we wszystkich sprawach związanych z budową kaplicy powinienem się zwracać wyłącznie do niego.

— Masz mnie za głupca? — Taro położył dłoń na rękojeści miecza. — Żaden prostak nie dostaje takich przywilejów!

— Wybacz, panie — wtrąciła lady Emily. — Pan Tsuda mówi prawdę. Byłam przy tej rozmowie.

Z jej ust padły najpiękniejsze słowa wypowiedziane po japońsku z angielskim akcentem! Tsuda nigdy nie słyszał czegoś tak cudownego. Ocaliła mu życie. Zawsze będzie jej wdzięczny.

— Nie mógł zlekceważyć takiego polecenia — dodała Emily.

Taro burknął coś pod nosem i puścił rękojeść miecza.

— Kto był twoim posłańcem? — Spytał. — Zawołaj go tu.

Po kilku minutach goniec rzucił się na ziemię koło Tsudy. Pędził tak szybko, że był spocony jak mysz.

— To ty dostarczyłeś kufer do komnat lady Emily? — Zapytał Taro.

— Nie, panie — wyjąkał goniec. — Pan Tsuda kazał mi go zanieść wprost do księcia. Jego wysokość uchylił wieko, zerknął na to, co było w środku i powiedział, żeby całość złożyć w gabinecie lady Emily.

— A co tam było? — Warknął Taro.

— Nie wiem, panie — odparł goniec. — Przez cały czas trwałem w pokłonie. Usłyszałem tylko głuchy stuk, księżę powiedział, że to jakieś zwoje, i zamknął kufer. Potem poszedłem do lady Emily. Zgodnie z rozkazem. To wszystko.

— Możesz odejść — powiedział Taro. Spojrzał na Emily. — Masz jeszcze jakieś pytania do Tsudy, pani?

— Nie — odrzekła. — Nie do niego.

Tsuda westchnął z ogromną ulgą — oczywiście, wyłącznie w duchu — i odszedł przekonany, że jednak jest szczęściarzem.

II

W górze i w dole

4

Przełożona opactwa Mushindo

*Najwyższą cnotą samuraja jest ponoć bezwarunkowa wierność.
Nietrudno znaleźć tego powody. Dla jednych będzie to zaledwie po-
bożne życzenie. Inni znajdą na pewno mniej oględne miano.*

*Prawdziwe dzieje wszystkich klanów są wypisane krwią i zdradą.
Lecz z drugiej strony, kiedy czytasz to, co znalazło się w kronikach,
myślisz o wielkich bohaterach, którzy powracają z dawnych legend.*

*Cóż w tym dziwnego, że karmieni kłamstwem, sami stajemy się
kłamcami?*

Aki-no Hashi
(1311)

Opactwo Mushindo w górach na zachód od Edo,
1882

Czcigodna przełożona opactwa Mushindo, Jintoku, klęczała na podwyższeniu w wielkiej sali medytacji. Ukłoniła się nisko i trwała pochylona, czekając na dzisiejszych gości. Najpierw weszły dwie młode kobiety, ubrane jak buddyjskie mniszki z dawno minionych czasów. Na głowach miały kaptury ze zgrzebnego płótna, tej samej brązowej barwy, co reszta odzienia. Czcigodna przełożona nosiła podobną szatę, lecz trochę droższą, bo z jedwabiu, jak przystało na kogoś jej rangi. Kaptury

były nieodzowne, ponieważ mniszki, na przekór buddyjskim zwyczajom, nie goliły głów. Przełożona odkryła, że wierni mniej chętnie proponują datki mniszkom o długich i pięknie lśniących włosach. Sama jednak nie zamierzała paradować łyśsa, więc nie wymagała tego od swoich podopiecznych. Uważała, że nakaz musi być poparty odpowiednim przykładem. W przeciwnym razie nie ma mowy o przestrzeganiu zasad moralnych, a zasady były podstawą jej władzy i autorytetu, jakim cieszyła się w opactwie Mushindo.

Dzisiaj przyszło czterdzieści osób. Wczoraj było czterdzieści jeden, a przedwczoraj trzydzieści siedem. Kobiety ubierały się w japońsko-zachodnim stylu, popularnym zwłaszcza w dużych miastach. Kimono, angielski kapelusz i francuskie pantofelki. Czasem płaszcz o amerykańskim kroju. Mężczyźni hołdowali jednej modzie; albo zachodniej — od trzewików po czubek cylindra — albo rodzimej, czyli kimono i drewniaki. Nikt nie nosił samurajskiego czuba ani mieczy. Obie te rzeczy dawno zostały zakazane. A gdyby nawet nie, to co z tego? Tylko samuraj mógł używać miecza, a samurajów już nie było.

Od trzech lat, czyli od czasu, kiedy przełożona zaczęła oprowadzać gości po świątyni, liczba zwiedzających systematycznie rosła. Za to musiała podziękować nowym cesarskim władzom. Ludzie jeździli do klasztorów w poszukiwaniu śladów przeszłości, jakby na przekór oficjalnym hasłom o szybkiej modernizacji. Ale mniej było to dziwne, niżby się zdawało. „Modernizacja” oznaczała przyjęcie zachodnich wzorców w nauce, przemyśle, wojsku, polityce — i oczywiście w modzie. Z drugiej strony nie mniej nacisku kładziono na zachowanie tradycji. „Cudzoziemska nauka i orientalne cnoty” — brzmiał oficjalny slogan. Tylko czy ktoś naprawdę wiedział, co to są „orientalne cnoty”?

Tutaj czcigodna przełożona miała poważne wątpliwości. Przecież nie można stawiać za wzór skompromitowanego i obalonego przed kilkoma laty reżimu Tokugawów. Zgodnie ze zdaniem nowego rządu shogunat przez dwa i pół wieku trzymał kraj w marazmie i wymyślał tylko nowe kary, aby zniszczyć i obłupić tych, którzy śmieli mu się przeciwstawić. Konfiskaty, aresztowania, tortury, niewolnictwo, wygnania

i morderstwa były na porządku dziennym. Nowa władza całkowicie odżegnywała się od takich rzeczy. Oczywiście, nie potępiono w czambuł wszystkich obyczajów, bo wiele było naprawdę cennych, pochodziły z najdawniejszych czasów, chociaż część z nich shogunowie wykorzystywali do własnych doraźnych celów. Renegocjowano zatem uprzednio zawarte traktaty, stworzono wojsko i flotę, skonfiskowano bogactwa i ziemie Tokugawów i w pośpiechu tworzone nowe przepisy i prawa, wychodzące naprzód żądaniom państw zachodnich, które domagały się jak najszybszych reform. Nowy rząd chciał także odgórnie ustalić, co jest, a co nie jest tradycją narodu. W oficjalnych decyzjach zadziwiająco często powtarzały się te same dwie frazy:

„Od pradawnych wieków...”.

„Od niepamiętnych czasów...”.

Czcigodna przełożona na tyle znała kłamstwa, że umiała rozpoznać, jakimi słowami można bardziej zaciemnić niż rozjaśnić prawdę. Widziała w tym raczej inwencję urzędników, a nie prawdziwą troskę o dobra przeszłości. Na pewno łatwiej było uspokoić naród, odwołując się do szlachetnych wzorców, niż tworząc zupełnie nowe. Pomimo to była wdzięczna, że rząd, zatwierdzając tak zwane zabytki historii narodu, pomyślał też o Mushindo. To na pewno pomogło jej w interesach.

— Szanowni goście — powiedziała — z całego serca dziękujemy wam, że przybyliście właśnie tutaj, do tak odległej i prostej świątyni.

Opactwo Mushindo istotnie wciąż było „proste”, lecz już na pewno nie odległe. Pobliską dolinę przecinała zupełnie nowa droga, wiodąca z wybrzeża Pacyfiku nad Morze Japońskie. Do świątyni łatwo było dojechać, choć dla mieszczuchów taka wyprawa miała coś z pielgrzymki. Nie odczuwali tego w żadnej ze słynnych wielkemiejskich świątyń. Ta sytuacja była na rękę przełożonej, więc zupełnie świadomie kreowała nastrój pewnej izolacji.

— Zewnętrzny świat ulega nieustannym przemianom. Tutaj, w Mushindo, żyjemy tak, jak przez sześć stuleci żyły pokolenia mnichów pustelników. Kroczymy Ścieżką Buddy.

Ściśle mówiąc, opactwo nie było zamieszkiwane stale, ale to

nie miało większego znaczenia. Świątynia zawsze pozostaje świątynią.

— Na zakończenie dzisiejszej wizyty wszystkich chętnych zapraszam do stołu. Nasz posiłek jest bardzo prosty: kasza, zupa sojowa i marynowane warzywa.

Jej dzisiejsi goście do niedawna jadali to samo. W tamtych latach byli zwykłymi wieśniakami, bez praw, majątków i nazwiska. Zmiany w kraju wywoływały masowy zanik pamięci.

— Podzielę państwa na dwie grupy. Pierwsza zacznie zwiedzanie od wnętrza świątyni, a potem przejdziemy do ogrodów. Druga odwrotnie. — Znów się ukloniła. — Życzę wielu miłych wrażeń. Jeżeli będą mieli państwo jakieś pytania, proszę pytać. Z chęcią udzielimy wszelkich odpowiedzi.

Odczekała chwilę, aż goście wyszli z sali, wstała i poszła do zamkniętej części opactwa, po wschodniej stronie murów. To było jedyne miejsce w całym Mushindo, w którym bez przerwy prowadzono medytację. Jedyne nieobjęte programem wycieczki. Przełożona skłoniła się z szacunkiem przed bramą i przestąpiła próg mieszkania dozorczy.

Jak zwykle o tej porze, krzątał się w ogrodzie. Przełożona w myślach nazywała go Świętym — z początku żartobliwie, a potem, ku swojemu wielkiemu zdumieniu, zupełnie poważnie. Zawsze było wiadomo, gdzie można go znaleźć. Sumiennie i bez żadnych odstępstw wypełniał porządek dnia, nakreślony przed ponad dwudziestu laty przez cudzoziemskiego mnicha Jimbo.

Sześć godzin medytacji przed wschodem słońca. Potem miska kaszy i jedna marynowana jarzyna. Całodzienny posiłek. Pozostawało tajemnicą, jak ktoś tak potężnej postury może przeżyć na tak skromnej stawie. A jednak jemu się to udawało. Cały ranek spędzał tu, gdzie był teraz, w ogrodzie, pieląc grządki i delikatnie usuwając insekty. Uważał przy tym, żeby nie zrobić im żadnej krzywdy. Później zmiatał zeschnięte liście. Kłaniał im się, kiedy dorzucał je na stos kompostu. Zbierał warzywa do kiszenia i w południe, przez dwie godziny, medytował w swojej chacie. Wieczorem sprzątał resztę świątyni, naprawiał ściany pawilonów, mury i chodniki. Przed kąpielą szedł do głównej bramy, żeby rozdać cukierki i ciasteczka

dzieciakom z pobliskiej wsi Yamanaka. Maluchy go uwielbiały. Tak jak wszyscy nie mogły się nadziwić, że taki olbrzym jest tak cierpliwy i łagodny.

A on był dla nich cierpliwy i łagodny, bo w ten sam sposób postępował Jimbo, którego naśladował zawsze i we wszystkim. Jimbo nie robił jednak cukierków i ciasteczek. Święty nauczył się tej sztuki podczas włóczęgi, ze dwadzieścia lat temu. Było to, zanim przełożona została przełożoną, zanim on stał się Świętym, zanim klasztor zmieniono w opactwo i zanim ostatni shogun z rodu Tokugawa oddał władzę w ręce zwycięskich daimyo z zachodnich prowincji Japonii.

— Piękny ogród — odezwała się przełożona. Rozmawiała ze Świętym przy każdej okazji, bardziej z przyzwyczajenia niż oczekiwania, że kiedyś odpowie inaczej niż zazwyczaj. — To niezwykle, jak rosną warzywa i kwiaty. Przecież na dobrą sprawę nie tępisz szkodników.

Święty uśmiechnął się — to znaczy, uśmiechnął jeszcze szerzej, bo uśmiechał się zawsze. A potem wypowiedział jedno z dwóch słów, które stanowiły cały jego słownik.

— Kimi.

Klasztor Mushindo, 1861

Wiejska dzieciarnia schowała się za drzewami. Starsi zabraniali im podchodzić zbyt blisko kilkuset muszkieterów ukrytych w Mushindo. Mieli dużo racji, ponieważ w samurajskich bitwach przypadkowo ginęli niewinni ludzie, a Kimi wiedziała, że będzie tu bitwa. Oczywiście, nie chciała opuścić przedstawienia. Choć była dziewczynką i miała osiem lat — a więc nie należała do najstarszych w grupie — to wrodzona bystrość i energia czyniły z niej przywódczynię. Poza tym tylko ona wiedziała, jak postępować z Goro. Słuchał jej bez zastrzeżeń. Syn wiejskiej wariatki odznaczał się nieprzeciętnym wzrostem i ogromną siłą. Nie zamierzał nikogo krzywdzić, choć czasem zdarzało się, że robił to niechcący. Ale nie przy Kimi. To na pewno był zwykły zbieg okoliczności, jednak dzieci, przesądne jak wszyscy ludzie, uważały, że Kimi w jakiś

dziwny sposób wywiera na niego kojący wpływ. Ta opinia przyłgnęła do niej na resztę życia.

Goro był dużo większy od najteższego chłopca. Ba, większy nawet od pewnego cudzoziemca, który zamieszkał w klasztorze, został mnichem i pobierał nauki u starego opata Zengena. Przedtem jedynie Zengen na stałe mieszkał w Mushindo. Imienia cudzoziemca nikt nie umiał powtórzyć. Jako mnich, kazał mówić do siebie „Jimbo”. To okazało się łatwiejsze. Nawet Goro, który nigdy w życiu nie powiedział nic zrozumiałego, teraz paplał niemal bez przerwy:

— Jimbo, Jimbo, Jimbo, Jimbo, Jimbo, Jimbo...

— Cicho, Goro! — Wołały dzieci. — Przecież on wie, jak się nazywa! Ciebie też zna.

— Jimbo, Jimbo, Jimbo...

I tak w kółko. Jimbo zupełnie tym się nie przejmował. Był cudzoziemcem, ale kroczył Ścieżką Buddy.

— Dosyć, Goro — mówiła Kimi. — Daj innym coś powiedzieć.

— Jimbo — ostatni raz powtarzał Goro i milkł. Przynajmniej na kilka minut.

Gdy przybyły oddziały strzelców, Jimbo przebywał gdzieś wysoko w górach. Nie wrócił do przyjazdu księcia.

Okazało się, że żołnierze shoguna czekali na pana Genjiego. Niewielka grupa jeźdźców została otoczona i wpadła w pułapkę. Ci, którzy szukali schronienia w klasztorze, zginęli od wybuchu ładunków z czarnym prochem. Na pozostałych padł taki grad pocisków, że zabite konie, służące im za osłonę, zmieniły się w olbrzymią krwawą masę poszarpanego mięsa. Na samym końcu, gdy niespodziewana odsiecz zmiotła oddziały wroga, ukazała się garstka niedobitków. Wszyscy byli od stóp do głów zalani krwią ludzi i zwierząt.

Jimbo zjawił się parę dni później. Początkowo dzieci go nie poznały. Zobaczyły zupełnie obcego człowieka ubranego tak samo, jak pewien cudzoziemiec z orszaku księcia Genjiego. Tamten też nosił za pasem dwa rewolwery zamiast samurajskich mieczy i niczym wściekły demon z piekielnej otchłani mordował nieprzyjaciół. Strzelał do nich, ciął mieczem wyrwanym z rąk trupa, a na koniec dusił rękami.

Dzieciarnia uciekła z krzykiem. Został tylko Goro.

— Jimbo, Jimbo, Jimbo! — Zawołał i podbiegł do obcego.

Kimi stwierdziła, że to naprawdę Jimbo. Zdjął szaty mnicha, otrzymane kiedyś od starego Zengena, i ubrał się po dawnemu, w to samo ubranie, w którym przybył do wioski. U pasa miał rewolwer, a w rękach trzymał broń o długiej podwójnej lufie.

— Po co się tak ubrałeś? — Zapytała Kimi.

— Bo muszę zrobić coś, do czego nie pasują żadne inne ubrania — odparł Jimbo i spojrzał na ruiny świątyni. Po kilku dniach wszyscy dowiedzieli się, co to było.

Wrócił demon od księcia Genjiego. Kimi zaprowadziła dzieci do klasztoru. Ukryły się za resztkami ścian zniszczonej wielkiej sali. Patrzyły, jak demon powoli przekrada się wzdłuż muru. W dłoniach ścisnął dwa rewolwery. Jimbo wyszedł z cienia za jego plecami i przystawił mu lufę do głowy. Powiedział coś po angielsku, czego dzieci nie zrozumiały. Nie było to jednak skuteczne zaklęcie, bo demon nie zniknął ani też nie uciekł, tylko rzucił się w bok, odwrócił i wypalił z obu rewolwerów. Jimbo też strzelił, ale raz, niecelnie i o wiele za późno. Chwilę później zwałił się ciężko na ziemię. Demon stanął nad nim i wciąż strzelał mu prosto w twarz, aż w bębenkach zabrakło nabojów.

Kiedy odszedł, dzieciaki podbiegły do Jimbo. Stanęły jak wryte, widząc, co z niego zostało. Tylko Goro i Kimi podeszli jeszcze bliżej. Goro z rozdzierającym jękiem osunął się na ziemię i zaczął głośno płakać. Kimi wzięła go w ramiona. Próbowwała pocieszyć i siebie, i jego.

— Nie płacz, Goro. To już nie jest Jimbo. Prawdziwy odszedł do Czystej Ziemi, do Sukhawati. Kiedyś też tam pójdziemy, a wtedy wyjdzie po nas, żebyśmy się nie bali. Wszystko będzie dobrze.

Prawdę mówiąc, myślała, że Goro nigdy nie otrząśnie się po tej stracie. Ale z czasem doszedł do siebie. Całe dni przesadywał w ruinach. Sprzątał gruz i palił szczątki, które mogły być zwęglonymi kawałkami ludzkiego ciała. Zасыpywał ogromny lej po wybuchu, zamiatał rozdeptane ścieżki i cierpliwie zbierał setki kul, wystrzelonych w bitwie poprzedzającej pojedynek Jimbo i Starka. Dzieci nie miały zbyt wiele do roboty,

więc zaczęły go naśladować. Zanim ktokolwiek zauważył, zabrały się do odbudowy klasztoru Mushindo.

Goro znów zaczął powtarzać jedyne znane sobie słowo.

— Jimbo.

Ale teraz wypowiadał je tylko raz i bardzo cicho.

Klasztor pomału dźwigał się ze zniszczeń, a wraz z nim w pewnym sensie powrócił też Jimbo. Goro zaczął nosić jego szatę i przestrzegać rozkładu dnia, jak przystało na prawdziwego buddyjskiego mnicha. Budził się bladym świtem, szedł do starego pawilonu opata Zengena i nie wychodził stamtąd aż do wschodu słońca. Kimi pewnego razu go podejrziała. Siedział nieruchomo w pozycji lotosu, z przymkniętymi oczami — zupełnie jak Jimbo w głębokim buddyjskim *samadhi*. Oczywiście, głupek nie był w stanie osiągnąć spokojnej błogości bliskiej oświeceniu. Nie szedł tą samą Ścieżką, którą podążał Jimbo. Ale przynajmniej dobrze udawał. Znalazł w tym ulgę i pocieszenie, więc Kimi mu nie przeszkadzała.

* * *

Pewnego dnia, po kolejnych zniwach, do wsi przyjechał bogaty kupiec na czele bandy samurajów. Kimi w tym czasie pracowała w polu razem z rodzeństwem i rodzicami. Samuraje na pewno nie służyli na zamku ani w oddziałach daimyo. Każdy z nich zasługiwał raczej na miano „człowieka fali”, bo w istocie był niczym fala oceanu, bez korzeni, bez pana i bez żadnego celu, a jednak istniejąca i czasami zdolna siać zamęt i zniszczenie. Takich ludzi przybyło zwłaszcza w ostatnich latach, kiedy kraj, pod naciskiem cudzoziemców, stanął w obliczu poważnego konfliktu wewnętrznego.

Kimi nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło od bitwy i pojedyńku, w którym zginął Jimbo. Dla chłopów jeden rok nie różnił się od drugiego. W każdym razie na pewno było to dość dawno, bo odbudowa klasztoru dobiegała końca, a Kimi też widziała u siebie pewne zmiany. Trochę się tym martwiła, bo nieodparcie kojarzyły jej się z ciężą. I co dalej? Poród, namolny mąż, rozwrzeszczane dzieciaki, i tak dalej... Widziała swoją przyszłość równie wyraziście jak święta wizjonerka. Wiedziała, że niedługo stanie się zmęczoną, przedwcześnie postarzałą

matką, a ktoś zupełnie inny — zapewne któreś z dzieci — będzie jej młodszym wcieleniem, równie sprytnym i pełnym życiowej energii. Tak bowiem wyglądała reinkarnacja w wersji dla biedaków. Być może wielcy daimyo, pokroju księcia Genjiego, lub urodziwe gejsze, takie jak pani Heiko, rodzili się na nowo w piękniejszych postaciach, gdzieś w egzotycznych i odległych krajach. Chłopi żyli odwiecznym cyklem, powtarzając to samo, co całe pokolenia robiły przed nimi. Nie musieli w tym celu się odradzać.

— Nadchodzą nowe czasy! — Zapał kupiec z wysokości siodła. — Czasy niespotykanych dotąd możliwości!

— Daj sobie spokój! — Odkrzyknął któryś z chłopów. — Jesteśmy biedni. Jak chcesz wyłudzić od nas coś, czego nie mamy?

Inni się roześmieli. Ci, którzy stali najbliżej mówcy, nie szczędzili kupcowi dalszych cennych porad.

— Idźcie do Kobayashi! Tam są bogatsi od nas!

— O właśnie. Można im coś ukraść! A u nas same pustki!

Gruchnęła nowa salwa śmiechu. Kupiec uśmiechnął się, sięgnął za pazuchę, wyjął dużą jedwabną sakiewkę i potrząsnął nią lekko. Rozległ się brzęk monet. Dużych, ciężkich monet. Śmiechy ucichły jak nożem uciął.

— Który oszust chciałby rozdawać pieniądze, zamiast liczyć na szybki i spory zarobek? — Spytał. — Który kłamca nie czeka na to, żebyście uwierzyli w jego słowa?

— Ołów w sakiewce bywa tak samo ciężki jak złoto — odezwał się chłop. — A słowa to tylko słowa. Potrafimy z daleka rozpoznać oszusta.

Jeden z roninów ze świty kupca, zapewne herszt, podjechał bliżej i burknął groźnie, wyniosłym tonem, charakterystycznym dla wszystkich samurajów, bez względu na ich prawdziwy status:

— Schyl niżej głowę, chamie! — Położył dłoń na rękojeści miecza. — I uważaj, bo rozmawiasz z dużo lepszymi od siebie!

— To wieś Yamanaka — odparł chłop, który zupełnie nie przejął się jego zachowaniem. — Jesteśmy poddanymi pana Hiromitsu, a nie jakąś bezpańską bandą.

Samuraj dobył miecza.

— Hiromitsu! Już się boję!

— Pan Hiromitsu jest dobrym przyjacielem wielkiego dai-myo Akaoki, księcia Genjiego — ciągnął chłop. — Tego samego, który nie tak dawno pokonał wojska shoguna. Na pewno słyszeliście o klasztorze Mushindo?

— Klasztor Mushindo? — Ronin opuścił miecz i przeniósł wzrok na kupca. — Myślałem, że jest dalej na zachód.

— Odwróć się — powiedział chłop — i spójrz na wzgórze. To tam.

— Schowaj miecz — wtrącił się kupiec. — Nie mówmy już o przeszłości. Przybyłem do was jako zwiastun nowych, lepszych czasów. Widzę przed wami bogatą przyszłość. Mam mówić dalej czy odjechać?

Włożył rękę do sakiewki, wyjął garść monet i pokazał je na otwartej dłoni. Wcale nie były ołowiane. Przed oczami chłopów błysnęły kwadratowe złote *shu*, opatrzone charakterystycznym znakiem mennicy Tokugawów. Szesnaście *shu* równało się jednemu *ryo* — a tyle nawet najbogatszy wieśniak nie zarabiał w ciągu całego roku. Na dłoni kupca leżała prawdziwa fortuna. Aż dziwne, że nie zginął, zabity przez roninów. Na widok takiego bogactwa chłopci zamarli w nabożnym milczeniu.

— Ostatnio shogun uchylił zakaz podróżowania za granicę — oznajmił kupiec. — Uznał, że nasza obecność w świecie przyniesie korzyść innym krajom. W swojej mądrości wydał dekret zezwalający Japończykom na osiedlanie się wśród cudzoziemców. Na Tajwanie, Filipinach, w Syjamie, Kochinchinie i na Jawie wciąż powstają nowe zajazdy i gospody, przygotowane na przyjęcie narastającej fali podróżników. Brakuje za to japońskiej służby. Tak być nie może. Przecież nie chcemy, żeby rodacy trafili w ręce barbarzyńców! Zostałem zatem upoważniony do zatrudnienia wszystkich młodych dziewcząt z tutejszej wsi. Każda z nich może zostać kucharką, praczką albo pokojówką! Kontrakt opiewa na trzy lata. Krewni dziewczyny otrzymają za to jedno *shu* rocznie. Płatne z góry! To znaczy, że dziś, w tej chwili, wypada po trzy złote *shu* dla rodziny! Pomyślcie tylko, co za okazja dla was i dla waszych córek! Trzy złote *shu*!

Gdy tylko pojawiło się złoto, Kimi już widziała się gdzieś

na Jawie albo Filipinach, gdziekolwiek. Ani przez chwilę nie wierzyła w to, co ten łajdak mówi o shogunie, nowych dekretach i podróżach. Prawdopodobnie nikt nie wierzył. Lecz z drugiej strony żaden wieśniak nie mógł odrzucić takiej szansy. Za dużo było gąb do wyżywienia.

— Sami powiedzcie... — zachęcał kupiec, wciąż brzęcząc monetami. — Kto z was przypuszczał, że dożyje dnia, w którym zarobi tyle złota na szczęściu niezamężnej córki? To są dopiero niezwykle czasy!

Kimi miała trzy siostry, lecz wszystkie powychodziły już za mąż i doczekały się maleńkich dzieci. Żadna z nich nie mogła opuścić rodziny. Została więc tylko ona. Sprzedano ją, wraz z sześcioma innymi dziewczętami. Nawet nie miała czasu pobiec do Mushindo i pożegnać się z Goro.

Dwa tygodnie później znalazła się w wielkiej zagrodzie w porcie Yokohama. Sto młodych kobiet miało odpłynąć statkiem do miejsca o nazwie Luzon. Od dawna nikt nie opowiadał im kłamstw o pokojówkach i kucharkach. Starsze dziewczęta były gwałcone przez strażników. Niektóre nawet wielokrotnie. Młodsze, wśród nich Kimi, na razie uniknęły tego losu, bo kupiec ciągle powtarzał roninom, że można za nie wziąć podwójną cenę, pod warunkiem, że będą nietknięte. Chciwość okazała się silniejsza od żądzy, więc Kimi była chwilowo bezpieczna. Mimo to straciła wszelką nadzieję. Wreszcie dotarło do niej, że została sprzedana przez własnych rodziców.

Przez kilka dni myślała tylko o ucieczce. Potem przyszło opamiętanie. Dokąd ma uciec? Do rodzinnej wioski? Przecież tam ją znajdą. Co wtedy zrobi ojciec? Odda z powrotem. Na pewno nie zwróci złota! To było niemożliwe. Kimi pamiętała miny swoich rodziców, kiedy brali do ręki błyszczące monety. Nie mogła wrócić do wsi. Cóż więc jej pozostało? Z pewnością nie przeżyłaby tutaj, w Yokohamie, wśród obcych ludzi, z których połowa niczym nie różniła się od roninów.

Kimi wpadła w apatię. Straciła poczucie czasu.

Od tej pory tak będzie wyglądać całe moje życie, pomyślała. Puste, tępe, zamglone. Dopóki będę młoda, komuś na coś się przydam. A potem umrę. To prawdziwe przekleństwo urodzić

się kobietą. Gdybym na przykład była psem — nawet suką — chroniłby mnie dawne przywileje, ustanowione przez shoguna. Kobietom nie przysługiwały żadne prawa.

Z zamyślenia wyrwał ją krzyk dziewczyny siedzącej najbliżej wejścia. Szybko odsunęła się pod najdalszą ścianę. Wciąż była dziewicą wartą wiele sztuk złota, więc zapewne nie miała powodów do obaw. Mimo to wolała nie ryzykować. Nie wierzyła tym ludziom. Nie wierzyła nawet w ich chciwość. Tacy jak oni są zdolni do wszystkiego. Wystarczyła chwila słabości... a te chwile zdarzały się dość często. Kimi wcisnęła się w kąt.

— Krzycz, krzycz... — rozległ się głos strażnika. Reszta zarechotała głośno. — Prawdziwe monstrum, prawda? Następna z was, która nie będzie grzeczna, dostanie się w jego łapy! I co wy na to? Hej, ty! Do ciebie mówię! Kogo wybierasz? Mnie czy jego?

Kimi nie widziała, co się dzieje. Zresztą w ogóle nie musiała patrzeć. Usłyszała donośny śmiech, pomruk strachu, skrzypienie otwieranych drzwi i szmer kroków. Wystraszone dziewczęta napierały na nią z całej siły. Każda próbowała odsunąć się od wejścia.

— Zostawiamy go tu na straży! — Zawołał ronin. — Niech no tylko któraś spróbuje nie usłuchać...

Wartownicy odeszli, zabierając z sobą tę nieszczęsną dziewczynę, którą upatrzyli na wieczorną „zabawę”. Mimo to ścisk wokół Kimi nie zelżał ani trochę. Nowy strażnik naprawdę musiał być okropny, skoro budził o wiele większe przerażenie niż pozostałe bestie, z którymi miała do tej pory do czynienia. Chyba przechadzał się wzdłuż zagrody i zaglądał przez szpary w płocie, bo tłum dziewcząt falował raz w jedną, raz w drugą stronę. Wszystkie były bliskie paniki. Niektóre już płakały na myśl o tym, co będzie przy następnej wizycie zwyrodniałych strażników. Znowu się przesunęły i Kimi przez moment widziała potwora. Właściwie dojrzała tylko czubek łysej głowy górującej nad tłumem. Olbrzym krążył w milczeniu, wpatrując się w kobiety. Wielki bezwłosy gigant, zapewne z obcych krajów, przywieziony tutaj właśnie po to, żeby zrobić z nich potulne niewolnice.

Zagrzechotała zamknięta brama — najpierw ostrożnie, potem z dziką furją. Dziewczęta z cichym jękiem stłoczyły się pod ogrodzeniem. Coś pękło z metalicznym brzękiem. Kimi zobaczyła, że górna krawędź zapory odsuwa się na zewnątrz. Potwór wszedł do środka. Wystraszone branki kulily się w kątach. Kimi też próbowała uciec, ale już po chwili z przerażeniem stwierdziła, że wokół niej zrobiło się pusto.

Potwór szedł właśnie po nią!

Ostatnio coraz częściej myślała o samobójstwie, ale nie mogła się na to zdobyć. Życie jest jednak trochę lepsze od śmierci. Dopóki żyje, ma jakąś szansę. Po śmierci nie zostaje nic. Ale w grę wchodziły także inne względy, dużo bardziej przyziemne. Jak ma się zabić? Zagłodzić? Nic z tego. Strażnicy zmusiliby ją do jedzenia. Jedna z dziewcząt już wcześniej wpadła na ten pomysł. Kimi nie mogła patrzeć na to, co z nią robili. Nigdy nie przypuszczała, że zwykły posiłek może być taką torturą.

Nie miała na czym się powiesić. Płot był trochę za niski, a śmierć przez uduszenie stanowczo zbyt powolna. Inna z jej towarzyszek też tego próbowała. Najpierw nadwyrężyła sobie mięśnie szyi, a potem się poddała. Teraz chodziła z przekrzywioną głową, więc jej cena spadła. Pewnie czeka ją udreka w najgorszych zaułkach Luzonu.

Kimi nie mogła rzucić się w przepaść ani wbić sobie noża w gardło. Czasami chciała uderzyć głową w ziemię tak mocno, żeby rozbić czaszkę. Nie miała jednak dość siły... i chyba odwagi.

Pozostawał jeden sposób. Okropny, ale skuteczny. Kilka razy naprawdę niewiele brakowało, a Kimi mimo wszystko uległaby pokusie. Jednak coś ją powstrzymywało. Życie było mimo wszystko trochę lepsze od śmierci. Aż do teraz.

Potwór majaczył przed nią coraz bliżej. W mroku nie mogła zobaczyć jego twarzy. Widziała tylko zwałistą sylwetkę. Do-myślała się, że za chwilę złapie ją i rozedrze, udusi i zmiżdzy w przypiływie bestialskiej żądy. A potem skona... — przemknęło jej przez głowę. Samotna i opuszczona, w obcej Yokohamie...

Odwróciła się, ukłękła, wysunęła język najdalej jak mogła

i mocno zacisnęła zęby. Zamierzała uderzyć brodą o ziemię i odgryźć sobie ten kawałek ciała, który przysparza ludziom największych kłopotów. Chciała wykrwawić się na śmierć. Miała serdecznie dość swojego ponurego życia. Tylko mnich Jimbo — cudzoziemiec — wniósł w nie troszeczkę światła. Ale to było dawno temu. Zamknęła oczy i uniosła głowę, przygotowując się do ostatniego ruchu. Suchy język stanął jej kołkiem w ustach.

— Kimi — rozległ się głos potwora.

Opactwo Mushindo, 1882

— Goro — powiedziała czcigodna przełożona Jintoku.

— Kimi — odparł Święty.

— Goro.

— Kimi.

— Goro.

— Kimi.

Ta zabawa mogła trwać bardzo długo. Czasami brzmiało to wręcz jak litania — i zdarzało się, że przełożona zupełnie bezwiednie wchodziła w stan głębokiej medytacji. Gdy się budziła, znów widziała przed sobą Świętego. Ale nie zawsze. Często odchodził do swoich zajęć, zgodnie z rozkładem dnia, który zostawił Jimbo. Raz obudziła się w ulewnym deszczu. Obok niej siedziała młoda mniszka z parasolem. Oczywiście przysłał ją Święty.

Przed pamiętnym spotkaniem w Yokohamie Goro nigdy nie wypowiedział jej imienia. Teraz, po dwudziestu latach, wciąż znał tylko te dwa słowa: Goro i Kimi. Jak ją odnalazł? Nie wiedziała. Jak wkupił się w łaski strażników? Nie wiedziała.

Rzekł: „Kimi”, wziął ją za rękę i wyprowadził z magazynów, z portu, z Yokohamy. Wrócili do Mushindo. Przedtem zdarzało się, że błądził po drodze ze wsi do klasztoru, chociaż było to stosunkowo blisko. Jak teraz przebył taki kawał drogi i z łatwością wrócił? Tego też nie wiedziała.

Większość dziewcząt była zbyt wystraszona, żeby uciec z nimi. Przyłączyło się tylko kilka. Większość z nich na zawsze

została w Mushindo. Nikt ich nie gonił. Dlaczego? Nie wiedziała. Już nigdy nie spotkała kupca ani tamtych roninów.

Zamrugła gwałtownie.

Goro zniknął.

Ile czasu siedziała tu samotnie ze swymi wspomnieniami? Popatrzyła na niebo. Minęło południe. Wycieczka dobiegła końca, goście zjedli skromny klasztorny posiłek i odeszli. Przełożona także wróciła do opactwa, żeby zasiać do ksiąg rachunkowych. Oprócz darów pozostawianych przez turystów były jeszcze ofiary składane buddom w sali medytacji, w kuchni niewielkie datki na jedzenie, i zapłata za święte relikwie, którymi były zwęglone kawałki drewna, pociski i podarte zwoje.

Poczerniałe drzazgi pochodziły z ruin głównego budynku świątyni, wysadzonego podczas słynnej bitwy. Od samego początku budziły niesłychaną ciekawość pątników, którzy wierzyli, że są obdarzone mocą dającą nagły „wybuch” oświecenia. Inni kupowali ołowiane kule jako amulety, skutecznie chroniące przed wrogiem — prawdziwym albo urojonym. Przecież wystrzelono ich tutaj tysiące, a księżę Genji nawet nie został draśnięty. Na pewno zawierały w sobie cząstkę jego siły, odpierającej każdy atak.

Ale to wszystko wypadło blado w porównaniu z pieniędzmi płaconymi przez tych, którzy chcieli nabyć fragment starego zwoju. Wśród wiernych panowało powszechne przekonanie, że kupują resztki sławnej *Chmary Wróbli*, zawierającej objawienia klanu Okumichi. Szczęśliwy posiadacz jednego z takich skrawków nie musiał już martwić się o przyszłość. Zło się go nie imać. Z kolei inni byli dogłębnie przekonani, że mają do czynienia z jeszcze większą mocą, zdolną urzeczywistnić najskrytsze marzenia. Uważali, że strzępy papieru to zbiór przywołań i zaklęć, znany pod nazwą *Jesienny Most* i spisany niegdyś przez księżniczkę wiedźmę imieniem Shizuka.

Przełożona nigdy nie potwierdzała tych domysłów. Z drugiej strony niczemu nie zaprzeczała. Ołowiane pociski naprawdę wystrzelono we wspomnianej bitwie. Potem starannie wybierał

je Goro. Drewniane szczątki, tak jak wierzyli ludzie, istotnie pochodziły z ruin dawnej świątyni. Kawalki papieru sama przełożona oddzierała od starych pustych zwojów, przekazanych na rzecz opactwa przez panią Emily przed piętnastu laty. Zwojów było dwanaście. Jintoku nie wiedziała, co miały zawierać. Prawdę mówiąc, niewiele ją to obchodziło. Najważniejsze, że opactwo zarabiało na sobie i na utrzymanie mniszek, a nawet ich rodzin. Goście mogli myśleć, co im się podoba, jeżeli to dawało im spokój i nadzieję. Tych dwóch rzeczy na świecie zawsze brakowało.

Zamierzała zdjąć kaptur, bo dzień był upalny, kiedy nagle spostrzegła, że nie wszyscy wyszli. Jeden z gości pozostał samotnie w centralnym ogrodzie. Młody człowiek, wyjątkowo przystojny, o jasnych oczach i długich, niemal dziewczęcych rzęsach. Na szczęście nosił wąsy — co przydawało mu niezbędnej męskości. Ubrany był według najnowszej zachodniej mody w czarny kapelusz o szerokim rondzie, szarą jedwabną kamizelkę, czarną wełnianą marynarkę i ciemnoszare spodnie. Tylko wysokie buty — pasujące bardziej do jeźdźca niż mieszczucha — wydawały się nieco nie na miejscu. Przełożona pochylała głowę, złożyła dłonie w buddyjskim geście *gassho* i zamierzała odejść.

— Przewodniczka dużo opowiadała nam o bitwie — odezwał się młodzieniec.

Trochę dziwnie wymawiał słowa, jakby nieczęsto miał okazję rozmawiać po japońsku. Może ostatnio większość czasu spędzał za granicą?

— Traktujemy to jako ostrzeżenie — odparła przełożona. — Krwawa bitwa w tak świętym miejscu jest dla nas wszystkich przypomnieniem, że niewiele dzieli spokój od chaosu. Mam nadzieję, że pan się tym nie zmartwił.

— Nie — powiedział, chociaż po jego minie można było poznać, że jest czymś zakłopotany. — Chodzi o to... że słyszałem przedtem trochę inną wersję tej opowieści.

Uśmiechnął się, jakby trochę drwiąco. Kogoś jej teraz przypominał, ale nie mogła sobie uświadomić kogo.

— Dowiedzieliśmy się, że to pan Taro przybył na odsiecz obleżonym. Podobno stał na czele słynnych jeźdźców z Aka-

oki — ciągnął. — Ale pan Taro nie dowodził wtedy jazdą. Mało tego, był tu, w opactwie, razem z księciem i jego świtą. Prawdziwa odsiecz przyszła z północy. To pan Mukai sprowadził swoich samurajów.

— Ach tak? — Przełożona była wyraźnie zaskoczona jego wiedzą. Młodzieniec znał rzeczywisty przebieg wypadków, nieco różniący się od relacji na użytek gości i turystów. W oficjalnej wersji Taro zajął miejsce Mukaia. Chodziło o to, aby trochę go zrehabilitować i usunąć z legendy dwuznaczne elementy. Taro źle skończył, a Mukai znany był z upodobań, które rzucały cień na reputację księcia Genjiego. Wciąż powtarzane kłamstwo po dwudziestu latach stało się historyczną prawdą. W jednym z mniejszych budynków wzniesiono nawet ołtarz ku czci pana Taro. W oczach wiernych powoli zyskiwał uznanie jako boddhisatwa „ratunku i pomocy”. Nie pozostały po nim żadne pamiątki, więc przełożona zbytnio nie zachęcała gości do modlitwy w jego intencji.

— To nieważne, kto czego naprawdę dokonał — powiedziała. — Warto raczej pomyśleć o ulotności życia. Każda chwila, którą nam dano, zasługuje na naszą wdzięczność.

— Chyba tak.

Młodzieniec wydawał się rozczarowany, jakby to miało dla niego ogromne znaczenie.

— Ciekawi pana ta bitwa?

— Chciałbym znać całą prawdę — odparł. Wciąż uśmiechał się nieco ironicznie, ale teraz bardziej do siebie. — Miałem nadzieję, że właśnie tutaj dowiem się czegoś więcej. Czegokolwiek.

— Kto panu o tym opowiadał? — Spytała przełożona.

— Moi rodzice. Byli tutaj. Przynajmniej tak słyszałem.

Jintoku znała wszystkie dzieci, które wraz z nią, ukryte w lesie, obserwowały krwawe starcie. Znała te, które już zmarły, i te mieszkające we wsi. Znała ich dzieci, a nawet wnuki. Tego młodzieńca nie pamiętała. Z całej świty księcia Genjiego ocalało tylko jednaście osób: cztery kobiety i siedmiu mężczyzn. Trzy pary się pobrały, przekonane zapewne, że postępują zgodnie z wyrokami losu. (Ludzie myślą najczęściej, że ich marne życie jest czymś niezwykle ważnym w oczach niebios.

Przełożona po cichu podziękowała Buddzie, że chociaż ją uchronił od tego złudzenia). Rodzice młodzieńca powiedzieli mu prawdę o przebiegu bitwy, ale skłamali, twierdząc, że także tu byli. Niegroźne oszustwo, jak wszystkie małe kłamstwa. Młody człowiek był jednak wyraźnie przejęty.

— Kim są pańscy rodzice? — Zapytała Jintoku.

Nie spodziewała się takiej reakcji młodzieńca.

Roześmiał się.

— Dobre pytanie — mruknął. — Naprawdę, bardzo dobre.

Ucieczka „Bandyty z Chinatown”

*Mc nam nie sprawia większego bólu niż miłość. Tak dzieje się zarówno w tym, jak i w przyszłym życiu.
Jeśli ktoś mówi coś innego, to zwyczajnie kłamie.
Albo nie ma w tych sprawach żadnego doświadczenia.
Albo dopisywało mu niezwykle szczęście w wyborze ukochanych.
Jak dotąd.*

Aki-no Hashi
(1311)

Chinatown, San Francisco, 1882

Matthew Stark zatrzymał się przed chińską pralnią na rogu Waszyngtona i Duponta. Głęboko zaczerpnął tchu. Jego znajomi często rozmawiali o charakterystycznej woni unoszącej się w chińskiej dzielnicy. Ponoć śmierdziało tutaj jak z zakażonej rany. Stark odwrotnie — czuł całą mieszankę zapachów, które jego zdaniem wcale nie były nieprzyjemne. Nie potrafił powiedzieć, co mu się w tym podoba, ale chłonał tę... płodność, tę niezwykłą witalność. Zawsze miał wtedy w sercu nadzieję, że stanie się coś dobrego, choć z doświadczenia wiedział, że złe rzeczy zdarzają się o wiele częściej. Myślał także o roku spędzonym w Japonii. To było już całe dwadzieścia lat temu... Wprawdzie Chinatown wcale nie pachniało Japonią, ale miało ów orientalny posmak.

Stark był ubrany w modny czarny surdut z obciągniętymi aksamitem guzikami i lamowany czarnym aksamitem. Do tego biała jedwabna koszula, ciemnoczerwona kamizelka, wełniane spodnie, błyszczące bawełniane szelki, miękki filcowy kapelusz i luźno zawiązany czarny krawat. Włosy nosił dość długie, lecz starannie przycięte. Na jego skroniach srebrzyły się pasemka siwizny. Mógł wyglądać jak każdy zamożny dżentelmen z bogacącego się San Francisco, gdyby nie lekkie wybrzuszenie surduta na prawym biodrze i w okolicach lewej piersi. Trzymał tam dwa rewolwery kalibru .38; jeden z pięciocalową lufą, drugi z dwucalową. Pierwszy służył do precyzyjnych strzałów, drugi na krótki dystans. Stark sprawdził oba, zanim przeszedł na drugą stronę placu, gdzie stał Nefrytowy Lotos, czyli główny przybytek rozrywki w tej dzielnicy.

Co prawda nie spodziewał się żadnych kłopotów — zwłaszcza z użyciem broni — ale stare nawyki trudno wykorzenić. Za młodu Stark uciekł z sierocińca w Ohio i jako siedemnastolatek próbował być kowbojem w Teksasie. Wtedy omal nie zginął z rąk pewnego szulera, którego przyłapał na karcianym oszustwie. Zabił go, bo rewolwer szulera nie wypalił. Od tamtej pory nosił dwa kolty, tak na wszelki wypadek. W Japonii cztery razy przyszło mu strzelać oburącz. Trzykrotnie ratował siebie i przyjaciół. Czwarty raz nie był podyktowany koniecznością. Wpakował wszystkie kule z czterdziestkiczwórki i wszystkie z trzydziestkidwójki w człowieka, który i tak odniósł śmiertelną ranę. Co za ironia losu, że miłość może doprowadzić do takiej nienawiści... — pomyślał Stark. A nienawiść zmusza do nierozważnych czynów, podejmowanych bez wahania.

Teraz szedł na spotkanie z jednym z najbogatszych ludzi w San Francisco, niejakiem Wu Chun Hingiem. Jako Chińczyk pan Wu miał niezwykle przywilej wynajmowania lokum przy Portsmouth Square, w bezpośrednim sąsiedztwie dwudziestu tysięcy rodaków. W odróżnieniu od Amerykanów żył raczej skromnie i nie afiszował się swoim majątkiem. Stark słyszał, że pan Wu pochodził z wpływowej rodziny i przyjechał do Stanów jako młody człowiek, aby podjąć studia. Nieco później został zupełnie sam. Jego krewni zginęli w jednej z tych rebelii, które z tragiczną regularnością wybuchały w Chinach. Jednak

bez względu na to, co się wtedy stało, dzisiaj Wu był właścicielem licznych restauracji, kasyn, domów publicznych i palarni opium. Starka to nie interesowało. Z wyjątkiem kuchni nie gustował w chińskich przyjemnościach, nic więc dziwnego, że dotąd nigdy się nie spotkali. Nie miał pojęcia, dlaczego Wu nalegał na tę rozmowę.

— Mam nadzieję, że wybaczy mi pan to nieoczekiwane zaproszenie — powiedział Chińczyk.

Stark wszedł do małego salonu na pierwszym piętrze. Pokój przypominał prywatną bibliotekę jakiegoś profesora albo naukowca. Pełno w nim było książek. Równie dobrze mógłby należeć do bogatego amerykańskiego intelektualisty. Wrażenie potęgował wygląd pana Wu, ubranego nie gorzej od gościa. Oprócz rysów, nie było w nim nic z Azjaty. Nawet włosy miał starannie ostrzyżone — rzecz jasna, bez warkocza.

— W obecnych czasach wolę nie wychodzić poza swoją dzielnicę.

— Ze względu na „Bandytę z Chinatown”? — Zapytał Stark.

— Owszem — odparł Wu, nie maskując niechęci. — Ale on nie jest z Chinatown.

— Tak piszą o nim we wszystkich gazetach — zauważył Stark.

— Gazety! — Prychnął ze złością Wu. — Przyświecają im tylko dwa zasadnicze cele. Po pierwsze, żeby sprzedać jak największy nakład, po drugie, żeby przysłużyć się swoim mowcom. Dzięki gazetom mamy chiński podatek od powietrza, chiński podatek od kopalń, chiński podatek od policji. Dlaczego tacy Meksykanie nie muszą płacić za powietrze, Niemcy za węgiel, a Irlandczycy nie łożą centa na policję? W dodatku teraz, dzięki „Bandyście”, znów mamy wszystkich przeciw sobie.

— To wprawdzie przykre, ale zrozumiałe — powiedział Stark. — Są tacy, którzy szukają jedynie pretekstu. Na pana miejscu już dawno usunąłbym stąd tego przestępcę.

— Zrobiłbym to, gdyby był Chińczykiem. Żaden Chińczyk się przede mną nie ukryje.

— Nie chciałbym być niegrzeczny, panie Wu, ale świadkowie zgodnie opisują go jako Chińczyka. Wszyscy się myślą?

— Pewnie tak, skoro... — Wu urwał nagle, pomyślał chwilę i zaczął od początku: — Zbrodniarz napada na bogaczy, grozi im nożem i rewolwerem...

— Raczej tasakiem — wtrącił Stark. — Takim, jaki na pewno można znaleźć we wszystkich chińskich restauracjach.

— Prawda. To wyjątkowo cwany łobuz. Ma zatem tasak i rewolwer — i za każdym razem żąda od kobiet biżuterii. Jeśli mężczyzna stawia opór, krzyczy coś, co zapewne w uszach ofiary brzmi po chińsku. Kopie obrońcę albo bije go płazem tasaka. — Wu się skrzywił. — Z dnia na dzień wzrasta nienawiść do Chińczyków. Cztery lata temu wściekły tłum palił i plądrował nasze domy. Myślałem wtedy: gorzej już być nie może, lecz okazało się, że otchłań jest o wiele głębsza. Tak głęboka, że nie dostrzegam dna. Władze miasta i stanu wprowadziły przepisy prawne wymierzone przeciwko Chińczykom. Teraz Kongres pracuje nad ustawą o wysiedleniu. Co z nami będzie? Wyrzucą nas stąd? Zamkną w więzieniach? Odbiorą nam nasze liche dobra? Przecież w podobnej sytuacji żaden Chińczyk nie popełniłby tak niecznych czynów!

— Żaden Chińczyk przy zdrowych zmysłach — sprostował Stark. — Może to szalenieć?

Wu pokręcił głową.

— To nie jest Chińczyk.

Stark wzruszył ramionami.

— Wierzę panu na słowo. Mam nadzieję, że go złapią, zanim sprawy na dobre wymkną się spod kontroli. A teraz, jeśli pan pozwoli, chciałbym, abyśmy przeszli do powodu naszego spotkania.

Przez dłuższą chwilę Wu przyglądał mu się w milczeniu.

— Cały czas o tym mówimy, panie Stark.

Amerikanin zmarszczył brwi.

— Obawiam się, że nie rozumiem.

— Moje liczne zajęcia wymagają dosyć częstych kontaktów z wymiarem sprawiedliwości — zaczął Wu. — Współpracuję z policją. Od samego początku pomagam im w śledztwie, a w zamian otrzymuję niezbędne informacje. Ustaliliśmy kilka dziwnych faktów. „Bandyta” zna nazwiska swoich ofiar. Wie, gdzie mieszkają. Mało tego, potrafi podać niemal dokładny

opis wnętrza ich domów! W jednym przypadku wspomniał o tym, co znajdowało się w sypialni. Wniosek stąd, że przed napadem był w upatrzonych domach. Ofiary są przerażone. Policja nie chce, żeby dotarło to do prasy. Jeżeli sprawa wyjdzie na jaw, mordercza tłuszcza wtargnie do Chinatown i zafunduje nam powtórkę siedemdziesiątego siódmego roku.

— W dalszym ciągu nie pojmuję. Co ja mam z tym wspólnego?

— Niech pan pozwoli mi dokończyć, panie Stark. To trudna sprawa, wymagająca przemyślenia. Cóż zatem wiemy o tym człowieku? Zakrada się do obcych domów i znika bez śladu. Działa w tak zwanej dobrej dzielnicy. Może najlepszej? Wśród samych białych — a jednak nikt go nigdy nie widział. Przecież ze względu na swoje rysy powinien rzucać się w oczy jak rodzzynek w cieście.

— Może potrafi się maskować?

— Zatem dopiszmy to do długiej listy jego niezwykłych umiejętności. Nie od rzeczy będzie dodać, że podczas włamań nic nie ginie. Można odrzucić motyw rabunkowy. Ciężka, prawda? Zwłaszcza wtedy, kiedy mówimy o groźnym bandycie wymachującym bronią. Swoim ofiarom, czyli kobietom, zabiera tylko coś z biżuterii. Powtarzam: coś. Zatem nie wszystko.

— Dobrze, przyjmijmy, że ma pan rację — westchnął Stark. — Nadal nie widzę rozwiązania.

— Na tym nie koniec — ciągnął Wu. — Policja dostarczyła mi dokładny opis wszystkich przedmiotów, które zostały zrabowane. Proszę posłuchać. Państwu Dobson zabrano platynową broszkę o średnicy sześciu cali, wysadzaną dwudziestoma siedmioma brylantami o łącznej wadze trzynastu i pół karata, trzynastoma szafirami o wadze dziewięciu i trzech czwartych karata i z szafirowym oczkiem o wadze pięciu karatów.

Mówiąc to, położył na biurku klejnot pasujący do opisu.

— Państwu Merrill skradziono pierścionek z osiemnastokaratowego złota ze szlifowanym brylantem o wadze trzech i pół karata.

Wspomniany pierścionek spoczął obok broszki.

— Państwo Hart... Naszyjnik o długości dwudziestu czterech

cali, z podwójnym łańcuszkiem z dwudziestjednokaratowego złota i srebra, na który były nanizane perły o średnicy od ćwierć do jednego cala.

Naszyjnik też znalazł się na biurku.

— Nie mam jeszcze pary bransoletek ze złota i kości słoniowej, które „Bandyta” zabrał państwu Berger — dodał Wu. — Ale to było zaledwie wczoraj, więc ta kradzież... jakby to powiedzieć... nie włączyła się w bieg wypadków.

— Teraz już jestem zupełnie w kropce — przyznał Stark. — Jeżeli pan odzyskał łupy, to schwytał pan także przestępcę.

Chińczyk pokręcił głową.

— Nie.

— Zatem współnika?

— Też nie. Nic nie wskazuje na to, żeby „Bandyta” miał współników.

— Zatem gdzie były te klejnoty?

— Zostały znalezione wczoraj, podczas zwykłego przeszukiwania w pokojach kobiet. Ponoć nikt nie wie, skąd się wzięły.

— Mówiąc „pokoje” ma pan na myśli dom publiczny?

— Tak.

— Więc jedna z dziewcząt ma klienta albo kochanka, który w rzeczywistości jest „Bandytą”. Dość łatwo będzie go odzyskać. — Stark spojrzął chłodno na Chińczyka. — Wciąż nie wiem, czemu zawdzięczam tę rozmowę.

— Ponieważ sprawa nie jest taka prosta. Liczyłem na to, że pan pomoże mi w miarę szybko i bezboleśnie rozwiązać całą tę zagadkę.

— W czymże ja mogę być pomocny? Przecież wiem dużo mniej od pana.

— Najpierw zestawmy pewne fakty i poszukajmy odpowiedzi. Wszyscy mówią, że jest pan mądry. Może pan dojrzy coś, co do tej pory umykało mojej uwadze. Punkt pierwszy: nasz „Bandyta” jest doskonałym włamywaczem. Musiał trenować lub ma za sobą długą praktykę. Punkt drugi: nikt nie widział, jak zakrada się do jakiegoś domu. Jest tak sprytny jak Japończycy, którzy ćwiczą... no, tę tajemną sztukę. Jak oni się nazywają?

— Ninja — odparł Stark.

— O właśnie. Z tego, co wiem, to pani Stark też przeszła odpowiedni trening w swojej ojczyźnie.

— Wypraszam sobie. Zakłada pan, że moja żona jest „Bandytą z Chinatown”?

— Ależ skąd! Serdecznie błagam o wybaczenie, jeśli tak to zabrzmiało. Chodzi mi tylko o podobieństwa.

— Nie wiem, czy w całym San Francisco znajdzie się chociaż stu Japończyków — stwierdził Stark. — Wątpię, żeby był wśród nich ninja.

— Oczywiście. Idźmy więc dalej. Punkt trzeci: „Bandyta” nie rabuje dla pieniędzy. Po prostu nie ma takiej potrzeby. Pokrótce mówiąc, jest bogaty. Może tak samo, jak ofiary. Może bogatszy?

— To się wydaje trochę naciągane — mruknął Stark. Do czego zmierza ta rozmowa? — Zastanawiał się w duchu. Nie wiedzieć czemu, poczuł się nieswojo. — Po co ktoś taki miałby być „Bandytą”?

— Nie z konieczności, lecz dla przygody — wyjaśnił Wu. — Żeby popisać się przed dziewczyną. Żeby jej dawać cenne podarki.

Stark parsknął śmiechem.

— Kto tak traktuje prostytutkę?

— Nikt z nas — padła odpowiedź. — To pewne. Jesteśmy dorosłymi ludźmi, pozbawionymi niepotrzebnych złudzeń. Ale bywają romantyczni chłopcy, bardzo młodzi, pobudliwi... niemający doświadczenia z dziewczętami. Ktoś taki byłby do tego zdolny.

— Domyśla się pan, kto to może być? Sam mi pan powie czy mam zgadywać?

Wu tylko wzruszył ramionami.

— Miałem nadzieję, panie Stark, że umie pan poskładać fakty i że wyciągnie pan wnioski. Jeżeli znajdzie pan rozwiązanie, nie musimy angażować władzy ani osłaniać tych, którzy przypadkiem mieliby cierpieć za cudze grzechy. Niech pan poszuka kogoś, kto zna sztuczki, jakie stosują ninja. Kogoś młodego, majątnego, o romantycznych namiętnościach i dużo mniejszym doświadczeniu. Kogoś, kto dotąd żył pod kloszem i zaczął marzyć o przygodzie. — Wu skłonił się, zanim podjął

przerwany wątek. — Kogoś, kto wprawdzie nie jest Chińczykiem, ale w oczach przypadkowych osób na Chińczyka wygląda. Stark słuchał tego ze ściśniętym sercem. Tylko Japończyk mógł być uznany za Chińczyka. A on, Stark, dość dobrze znał pewnego młodzieńca, który pasował jak ulał do słów gospodarza. Wu z premedytacją nie wymawiał jego imienia, by nie narazić gościa na „utrata twarzą”. To przecież niemożliwe... — myślał Amerykanin. Czyżbym był tak zajęty pracą, że nie widziałem tego, co dzieje się tuż koło mnie? No tak... Wu nigdy nie podjąłby tej kwestii, gdyby nie miał dowodów. Jest na to za ostrożny.

— Szczerze doceniam pańską dyskrecję — powiedział w końcu.

Wu znowu się uklonił.

— Jeżeli chodzi o mnie, panie Stark, tej rozmowy nie było.

— Z chęcią wyrównam wszystkie straty, które pan poniósł.

— To absolutnie niepotrzebne. — Wu uniósł ręce. — Wystarczy, że powstrzyma pan tę falę zbrodni. — Ani słowem nie wspomniał o odzyskanych łupach, które miał u siebie. Musiał pokazać je Starkowi, żeby przekonać go do swoich racji, ale nie zamierzał ich oddawać. Przecież Stark nie mógł o tym nikomu powiedzieć, jeżeli chciał uniknąć poważnych kłopotów. Cały ów drobny majątek w złocie i klejnotach — oczywiście kamienie należało wyjąć — należał do znalazcy. Wu uznał to za rekompensatę za poniesione trudy. W dodatku wyświadczył Starkowi przysługę — zawsze lubił pomagać potężnym i bogatym. Teraz Amerykanin stał się jego dłużnikiem. To nie znaczy, że Wu chciał z tego skorzystać. To byłoby raczej poważne *declassé*. Wystarczyła mu sama przyjemna świadomość.

— W takim razie dziękuję — powiedział Stark. Zatrzymał się przed drzwiami. — Nie sprawi panu kłopotu, jeżeli przed wyjściem jeszcze o coś spytam?

— Słucham.

— Chodzi mi o imię wspomnianej dziewczyny.

* * *

— Przyjechałem tu z twoją matką w sześćdziesiątym drugim — powiedział Stark. — W San Francisco mieszkało wtedy sześćdziesiąt tysięcy ludzi. Dziś jest ich ćwierć miliona. Miasto

bez przerwy rośnie i nie brak w nim okazji dla szybkich i zuchwałych.

— Okazji w biznesie. To chciałeś powiedzieć. — Makoto Stark spoglądał przez okno w salonie na rozciągające się w dole San Francisco.

— A są jakieś inne? Makoto popatrzył na ojca.

— To świetnie, tato. Świetnie dla biznesmenów.

— Nie widzisz w tym niczego ciekawego?

— Dochody i straty, wpływy i wydatki, debity i pożyczki — wyrecytował Makoto. — Fascynujące.

— Papiery to nie biznes — odparł Stark. — To tylko suchy zapis określonych działań.. Wiesz chociaż, czym się zajmuje spółka Red Hill?

— Oczywiście. Cukier, wełna, górnictwo. Kilka fabryk.

— Mamy kopalnię rudy żelaza w Kanadzie i srebra w Meksyku. Stada owiec tu, w Kalifornii, i plantacje trzciny cukrowej w Królestwie Hawajów. Dolicz do tego największą cukrownię na całym Zachodnim Wybrzeżu i największy bank w San Francisco.

Makoto wzruszył ramionami.

Stark nieco wygodniej rozsiadł się w fotelu.

— Chyba do tej pory byliśmy razem z matką trochę zbyt dla ciebie pobłażliwi.

Pomyślał o Heiko — a kiedy o niej myślał, nigdy nie potrafił gniewać się na syna.

— Przecież robię wszystko, co mi każecie. Myślę wyłącznie o nauce. Chyba mam dobre wyniki? Zwłaszcza z angielskiego i literatury.

— Z angielskiego i literatury... — Aż tyle się zmieniło w tak krótkim czasie? Ojciec — poganiacz bydła, syn — intelektualista. I to wszystko w ciągu jednego pokolenia? — W tym roku skończysz dwadzieścia lat. Powinieneś poważnie pomyśleć o przyszłości. Co ci da angielski i literatura?

Makoto się uśmiechnął.

— A ty jak w moim wieku planowałeś przyszłość?

— To były inne czasy — odparł Stark. Rabowałem faktorie w Kansas i banki w Missouri. Kradłem konie w Meksyku

i było w Teksasie. Pokochałem dziwkę z El Paso. Zabijałem ludzi. Zastrzeliłem dziewięciu, zanim z tym skończyłem. — Wtedy jeszcze nie było mowy o karierze.

— Więc poszczęściło ci się, kiedy wszedłeś w spółkę z panem Okumichi.

— Chyba tak. Trafiło się jak ślepej kurze ziarno.

Pan Okumichi. Na ogół nie myślał o nim w ten sposób. Okumichi-no kami Genji, książę Akaoki, pan życia i śmierci wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci zamieszkujących jego lenno. Władca uczesany w staroświecki sposób i odziany we wspaniałą szatę — o kroju, który wymyślono tysiąc lat temu. Bitny wojownik z dwoma mieczami za pasem, dowodzący dziesięcioletnią armią samurajów, czekających na każde jego skinienie. Naczelnik klanu, od trzech stuleci toczącego walkę z shogunatem. To już przeszłość. Nie ma wojennych czubów, zbroi ani mieczy. Nie ma księstw, samurajów, daimyo i shogunów. Ostatni raz Stark i Genji widzieli się przed dwudziestu laty, choć wymienili kilka fotografii i regularnie pisywali do siebie długie listy. Stark co roku jeździł na Hawaje, na plantację trzciny cukrowej. Nie zapuszczał się dalej na zachód. Genji jakiś rok temu odwiedził Stany Zjednoczone, ale przyjechał z drugiej strony, przez starą Europę. Był w Nowym Jorku, Bostonie, Waszyngtonie i Richmondzie. Nawet nie zajrzał do Kalifornii. Jak to możliwe, że mimo tak długiej rozłąki wciąż prowadzili wspólne interesy i łączyła ich niewzruszona przyjaźń? Powodów należało upatrywać w przeszłości, która odcisnęła na nich niezatarte piętno. Złączyła ich i zarazem oddaliła od siebie. Ze wszystkich przygód, jakie razem przeżyli, ze wszystkich osób, które zdążyli kiedyś pokochać lub znienawidzić, liczyła się tylko jedna. Heiko. Zawsze Heiko.

Kiedy Stark o niej myślał, widział ją taką, jak za pierwszym razem. Wytworną, pełną wdzięku, piękną i delikatną, w jedwabnym kimonie haftowanym w wierzby kołysane wiatrem. Mówiła po angielsku z potwornym akcentem. Ledwie mógł ją zrozumieć. Ale uczyła się szybko, i zanim wyjechali, wysławiała się lepiej niż niejeden Teksaszczyk, znany mu z czasów młodości. Ciekawe, jak też zapamiętał ją Genji?

Wiele razy chciał powiedzieć o tym synowi. Chciał, ale nie mógł. Przysiągł, że będzie milczał.

— Wtedy mało Amerykanów jeździło do Japonii — zauważył Mako to.

— To prawda.

— Ciebie zaprosił kompan jeszcze z kowbojskich czasów. Ethan Cruz.

— Tak — odparł Stark. Najpierw odnalazł to, co Cruz pozostawił na wzgórzach Teksasu. Później pojechał za nim. Gonił go przez pustynie i stepy Zachodu, przez Meksyk i Kalifornię, aż wreszcie przez Pacyfik, do brzegów Japonii. Spotkali się w górach, graniczących z wielką równiną Kanto. Stark strzelił mu prosto w serce, a potem wpakował w twarz wszystkie kule z dwóch rewolwerów. — Miał nawet kilka ciekawych pomysłów, lecz rozchorował się i umarł, zanim wzięliśmy się do interesów. Pan Okumichi zajął jego miejsce. Opowiadałem ci to z dziesięć razy.

— Chyba tak — zgodził się Makoto. — Nawet w ten sam sposób.

Stark spojrzał na niego.

— Co to znaczy?

— Mama uczyła mnie, że w *ninjutsu* mniej liczy się sama walka, a dużo bardziej czujność. Ninja musi natychmiast odróżnić prawdę od fałszu — i w słowach, i w czynach. Mówiła mi, że są dwa sposoby poznania kłamcy. Pierwszy jest bardzo prosty. Kłamca bywa za głupi, żeby wszystko spamiętać, więc ciągle coś zmienia. Z drugim jest trochę gorzej. Spryciarze powtarzają dokładnie to samo, z najdrobniejszymi szczegółami. Ale to właśnie ich słabość. Uporczywie trzymają się tylko jednej wersji wyuczonej na pamięć.

— Prawda jest tylko jedna.

— Prawda tak, ale nie sposób mówienia. Do tego trzeba by mieć fotograficzną pamięć.

— Dlaczego miałbym kłamać na temat tamtych wydarzeń?

— Nie wiem — odparł Makoto. — Może robiłeś coś, czego się teraz wstydzisz? Być może przemycałeś opium albo niewolników?

— Nigdy nie byłem przemytnikiem — burknął Stark. — Dajesz się ponieść wyobraźni.

— W zasadzie to mi nie przeszkadza — ciągnął Makoto. — Lecz jestem ciekaw, co się stało. Kłamiesz jedynie w dwóch przypadkach: kiedy pytają cię o Teksas, i o Japonię. Wiesz już, dlaczego mnie to dziwi?

— Jesteś ekspertem od wykrywania kłamstw?

Makoto wzruszył ramionami.

— Przecież to twoje życie, tato. Jeżeli nie chcesz, to nic nie mów.

— Skoro poruszyliśmy temat kłamstwa... — zaczął Stark. — Co mi opowiesz o Siu-fong?

Makoto zamarł jak skamieniały. Stark w milczeniu odczekał chwilę.

— Chyba jest jeszcze trzeci sposób, o którym nie wspomniała mama — mruknął wreszcie, nadal nie słysząc odpowiedzi. — Kłamca tak się zapłaczę w kłamstwie, że nie może wydusić słowa.

— W nic się nie zaplątałem. Nigdy mnie o nią nie pytałeś. Skąd o niej wiesz?

— Odbyłem dzisiaj małą rozmowę z panem Wu Chun Hingiem. — Stark obserwował zachowanie syna. Makoto czekał w napięciu, co będzie dalej. — Padło jej imię.

— To nie przeszkadza mi w nauce! — Krzyknął chłopak. — Spytaj któregoś z profesorów. Uczę się dobrze, tak jak dawniej.

— Proszę, znalazł się naukowiec — prychnął Stark. — Pewnie zbierałeś materiały do studiów literackich? Albo uczyłeś ją angielskiego?

— Nie. Traktowałem to jako odpoczynek — zaperzył się Makoto. — Ale życiowe doświadczenia znajdują odbicie w książkach!

— Więc zamierzałeś o niej pisać?

— Myślałem o tym.

— No to posłuchaj. Mam pewien pomysł. Nie wątpię, że ci się spodoba.

Chłopak się roześmiał.

— W życiu niczego nie czytałeś poza tą twoją księgą rachunkową!

— Jeśli coś napiszesz, przeczytam. Już nawet wymyśliłem tytuł.

— Czyżby?

— Tak. Co powiesz na *Ucieczkę „Bandyty z Chinatown”!*

— Owszem, chwytliwe — przyznał Makoto. Nadal nie wiedział, jak głęboko sięgają wiadomości ojca. — Zachęca do lektury.

— Najciekawsza jest puenta — ciągnął Stark. — Czytelnik dowiaduje się z wielkim zdziwieniem, że „Bandyta” w ogóle nie był Chińczykiem.

— Naprawdę?

— Tak. Są dwa możliwe zakończenia. Lepsze: „Bandyta” wpada w ręce policji i dostaje co najmniej dziesięć lat więzienia. Nie wiadomo tylko, czy wytrzyma tak długo. Wątpliwe, żeby w San Quentin spotkał literatów.

— Lepsze? — Powtórzył Makoto. — Brzmi raczej paskudnie. A jakie jest gorsze?

— Ginie zamordowany przez mściwych Tongów. Ćwiartują go żywcem za pomocą tasaka. Są źli, bo mają poważne kłopoty. „Bandyta” niepotrzebnie udawał Chińczyka. Takim samym tasakiem groził swoim ofiarom.

— Chiński tasak... Ciekawy pomysł — powiedział z kamienią twarzą Makoto. — Nie wiedziałem, że masz tak bujną wyobraźnię.

— Zdarza mi się.

— Twoja opowieść wyraźnie zmierza do tragicznego zakończenia — zauważył Makoto. — Powinienem trochę nad nią popracować. Znajdziemy jakieś lepsze rozwiązanie. Czytelnicy wolą *happy end*.

— Tym się nie przejmuj — odparł Stark. — Wymyśliłem już wszystko do końca.

— Ach, tak? I co wybrałeś? Śmierć czy więzienie?

— Ani jedno, ani drugie. Mam w zanadrzu kolejną niespodziankę. Troskliwy ojciec naszego „Bandyty” w ostatniej chwili ratuje niemądrego syna i wysyła go do Kanady, z dala od Tongów i policji.

— Do Kanady?

— Właśnie. Ale nie na daleką północ, słynną z widoków. „Bandyta” spędzi rok w Ontario i będzie uczył się górnictwa.

Makoto teatralnym gestem potarł podbródek, jakby się nad czymś zastanawiał.

— Z pisarskiego punktu widzenia o wiele lepszy byłby Meksyk. Romantyczny, tropikalny klimat... No i kopalnia srebra. Posmak przygody. To bardziej działa na czytelników niż kanadyjska ruda żelaza.

— „Bandyta” miał już dość przygód — uciął Stark. — Kiedy sprawa przycichnie, wróci do San Francisco i zajmie należne miejsce w zarządzie spółki Red Hill Consolidated. Czy to jasne?

— To kwestia do dyskusji. Synowie czasem różnią się od ojców.

Makoto zerknął ukradkiem na Starka. Czyżby się skrzywił? Nigdy nie lubił mówić o podobieństwach — albo raczej różnicach — w ich rodzinie.

— Żadnych dyskusji. I zanim się spakujesz, przynieś mi bransoletki, które skradziono pani Berger.

— Tak jest, ojcze. Co mogę zabrać?

— Co tylko zechcesz. Wyjeżdżasz za godzinę.

— Naprawdę muszę się tak spieszyć?

— Owszem, Makoto. — W głosie Starka po raz pierwszy zabrzmiała nuta zniecierpliwienia. — Może myślisz, że żartowałem, mówiąc o Tongach i policji?

Chłopak westchnął i podszedł do drzwi.

— Jedno pytanie — powiedział Stark.

— Słucham.

— Dlaczego?

* * *

Synowie czasem różnią się od ojców. To mało powiedziane. A może lepiej będzie zamienić to na pytanie? Dlaczego syn tak bardzo różni się od ojca? Oczywiście profesor Dykus zaraz by powiedział, że pytanie zawarte jest w stwierdzeniu. Choćby dlatego ojciec tak bardzo się obruszył. Odruchowe reakcje również pomagają odróżnić prawdę od fałszu. Tak uważa matka.

Kiedy Makoto po raz pierwszy stwierdził, że jest inny? Chyba w późnym dzieciństwie. Nagle zauważył, że bardziej przypomina matkę niż ojca.

To dlatego, że jesteś na pół Japończykiem, powiedziała matka. Nasza krew jest silniejsza.

Zaakceptował to wytłumaczenie, bo nie miał innego wyjścia. Matka, gdy skończył pięć lat, zaczęła uczyć go tajemnej sztuki japońskich wojowników. Jak dotąd nie okłamała syna. Dopiero później przyszło mu do głowy, że była mistrzem, a on tylko uczniem. Pewne rzeczy musiała zachować dla siebie. Jeżeli ktoś potrafi wykryć każde kłamstwo, to umie doskonale kłamać.

A potem przyszła na świat Angela Emiko i pojawiły się nowe wątpliwości. Dwa lata później Makoto z rozterką w sercu patrzył na swoją najmłodszą siostrę, Hope Naoko. Dziewczynki też miały w sobie połowę orientalnej krwi, a jednak w przeciwieństwie do niego zdradzały pewne podobieństwo do obojga rodziców: amerykańskiego ojca i japońskiej matki. Ich włosy były barwy dojrzałych kasztanów. Angela miała piwne oczy, Hope — niebieskie jak ojciec. Rysy zdradzały pewne przemieszanie. Makoto zdecydowanie wyróżniał się z całej trójki. Miał czarne włosy i ciemnobrązowe oczy, tak jak matka. Był wyższy od niej, ale o wiele drobniejszy od ojca.

Krew jest słabsza u kobiet niż u mężczyzn, usłyszał od matki.

Wydawało się, że mówi prawdę, a mimo to nie mógł jej uwierzyć. Po pierwsze, był już trochę starszy. Po drugie, wiedział więcej o świecie. Pan Strauss, który uczył go matematyki i przyrody, okazał się gorliwym zwolennikiem teorii swojego krajana, naukowca i zakonnika, Gregora Mendela z Austrii. Makoto dowiedział się, że wspomniany Mendel prowadził doświadczenia z krzyżowaniem roślin. Wyniki pasowały do jego obserwacji. Dziwne, naprawdę dziwne... Aż wreszcie trzy miesiące temu poznał Siu-fong — i wyjaśnienia matki uznał za niemożliwe do przyjęcia.

Siu-fong była szatynką o zielonych oczach. Mój ojciec Anglik, powiedziała. Krew jest słabsza u kobiet, oznajmiła matka. Wygląd Siu-fong na pozór potwierdzał tę tezę. Widać w niej było wpływy angielskie i chińskie. Ale później Makoto zobaczył jej brata, Hsi-jiana. Okazał się męską wersją Siu-fong. Co teraz powiedziałaaby matka? Że chińska krew jest słabsza od japońskiej? Mendel twierdził zupełnie coś innego.

Podczas rozmów o genetyce pan Strauss ostrzegał swojego wychowanka, że ta gałąź nauki jest jeszcze w powijakach, zwłaszcza w odniesieniu do wyższych organizmów. W takich przypadkach sprawa dominacji niektórych cech osobniczych jest wyjątkowo trudna, mawiał. Nie da się porównać człowieka z fasolą. Aż w głowie szumi, gdy pomyśleć, ile różnych rzeczy może mieć zasadniczy wpływ na te lub inne zmiany, prawda? Makoto nawet się z tym zgadzał, ale...

W pierwszej chwili chciał porozmawiać z rodzicami, ale szybko odrzucił ten pomysł. Wiedział, że matka stanowczo zaprzeczy, a ojciec — lub raczej ojczym — poprze ją w tym kłamstwie. O ile to było kłamstwo... Tak czy owak — nie wyciągnąłby od nich całej prawdy.

Ciągła niepewność doprowadzała go do rozpaczliwej złości. Ale na kim miał szukać zemsty? Co się naprawdę stało? Kto zawinił? Skąd w ogóle pomysł, żeby mówić o winie? Makoto był bogaty — zapewne najbogatszy ze wszystkich młodych ludzi w San Francisco. Owszem, zdawał sobie sprawę, że ze względu na kolor skóry część establishmentu traktuje go z pogardą. Nikt mu jednak wyraźnie tego nie powiedział. Na przeszkodzie jak zwykle stał majątek Starków i polityczne koneksje Matthew Starka. A może chodziło też o zwykły strach?

Pięć lat temu w zatoce znaleziono ciało jednego z rywali Starka na rynku cukrowniczym. Zwłoki były częściowo pożarte przez rekiny, ale korpus ocalał — przynajmniej na tyle, że zobaczono ranę na wysokości piersi. Kula przeszła przez serce. Stark oczywiście zyskał na śmierci konkurenta, lecz nie istniały nawet najmniejsze poszlaki łączące go z tą tragiczną i tajemniczą sprawą. Mimo to jeden z lokalnych brukowców opublikował serię złośliwych artykułów o innych zbrodniach, pośrednio łączonych ze Starkiem, które też nie zostały wyjaśnione. Znalazły się tam nawet wyssane z palca „relacje” o jakichś strzelaninach na Dzikim Zachodzie i morderstwach w Japonii. Oczywiście w gazecie nie padło nazwisko Starka, ale każdy i tak wiedział, o kogo chodzi. Zaledwie dwa tygodnie po pierwszym artykule redakcja spłonęła — z redaktorem wydawcą w środku. Wszystko wskazywało na to, że był to wypadek.

Redaktor pił na umór. Zdaniem straży pożarnej tamtej fatalnej nocy też musiał być pijany, przewrócił się i zasnął, nie wiedząc, że niechcący zrzucił zapaloną lampę naftową. Wystarczył jednak maleńki, złowrogi cień podejrzenia, żeby ludzie zamknęli usta. Wszyscy byli uprzejmi, choć nie zawsze wylewni.

Przed trzema laty Makoto porzucił guwernerów i zaczął studiować na Uniwersytecie Kalifornijskim. Mniej więcej w tym samym czasie uczelnię przeniesiono do Berkeley Hills. Dla młodego Starka był to pierwszy tak długi pobyt w gronie rówieśników. Niestety, znalazł się tam również pewien jurny byczek, niejaki Victor Burton, syn jakiegoś ważniaka z Working Man's Party, czyli ugrupowania, które ostro występowało przeciwko Chińczykom i zamierzało wygrać następne wybory. Burton najwyraźniej nie umiał odróżniać Japończyków od innych nacji — nawet od Murzynów — ponieważ uparcie nazywał Makoto Starka „Chinolem” albo „żółtym czarnuchem”. Makoto, za radą ojca, puszczał to mimo uszu, ale Burton czasami był nie do wytrzymania. Pewnego dnia nie przyszedł na zajęcia. Wśród studentów zapanowało niezwykle poruszenie. Okazało się, że poprzedniej nocy kilku nieznanych sprawców zaatakowało Burtona, gdy wracał z tawerny. Napastnicy, których Burton nie widział i nie słyszał, złamali mu prawą nogę w kolanie, prawą rękę w łokciu i szczękę pośrodku. Nie mógł chodzić nawet o kulach ani wyraźnie mówić. W rezultacie porzucił studia.

Kiedy zniknął, wszyscy znów byli, hmm... uprzejmi.

W spółce Red Hill pracowało dwóch Japończyków, Shoji i Jiro. Makoto spytał ich, czy wiedzą, co stało się z Burtonem. Zrobił to podczas treningu walki wręcz, na który chodził co tydzień. Shoji i Jiro potrafili znakomicie walczyć; przed przybyciem do Kalifornii byli samurajami u pana Okumichi. Makoto rozmawiał z nimi po japońsku, tak jak z matką.

— Owszem, słyszałem o tym — odpowiedział Shoji. — Przykra sprawa.

— Właśnie — potwierdził Jiro. — Ale krążą plotki, że ów młody człowiek był bardzo grubiański. Tacy miewają pecha.

— Nie tak, Makoto-san. Źle trzymasz. — Shoji ujął młodzieńca za rękę. — Rozluźnij się. Kiedy jesteś spięty, czuję

twój dotyk. Musisz tak złapać przeciwnika, żeby o tym nie wiedział.

— Macie z tym coś wspólnego? — Zapytał Makoto.

— Niby z czym? Z Burtonem? — Shoji spojrział na Jiro. Wzruszyli ramionami. — Dlaczego? Nawet go nie znamy.

— Spójrz na to z innej strony — powiedział Jiro. — To był zły człowiek. Teraz możesz studiować w dużo lepszych warunkach.

— Uwaga! — Krzyknął Shoji i rzucił młodzieńca na ziemię. Dobrze, że w ostatniej chwili go przytrzymał. Gdyby tego nie zrobił, Makoto złamałby ramię — a tak, tylko głośno huknął w twardą *tatami*. Aż mu dech zaparło.

— Widzisz? — Spytał Shoji. — Nie czułeś, że cię chwytam, i dałeś się zaskoczyć. Zapamiętaj tę lekcję, Makoto-san.

— Zapamiętam — obiecał Makoto.

W ten sposób narodził się „Bandyta z Chinatown” — nawet nie z chęci zemsty, ale z potrzeby walki na własnych warunkach.

Włamania stały się dla niego najlepszym dowodem na to, że ludzie są bezbronni — zwłaszcza ci, którzy myślą że sława i majątek chroni ich przed rabunkiem. Makoto miał rękawice i specjalne sandały z zaczepami umożliwiającymi wspinaczkę po ścianie. Ubrany na czarno, niczym nocne widmo przeszukiwał sypialnie, słuchał cichych rozmów dochodzących z jadalni, przetrząsał portmonetki, puzderka i szafy. Zaprzestał nocnych wypraw, kiedy przypadkowo zobaczył Meg Chas-tain — dziewczynę, którą znał niemal przez całe życie — wychodzącą z kąpieli. Tak się zawstydził, że czerwieniał jak burak, kiedy tylko pomyślał o następnym włamaniu.

Skoro jednak zaczął, nie potrafił przestać. Domy zostawił w spokoju. Przeniósł się na ulice. Ale co miał tam robić? Stać się Robin Hoodem? Okradać bogatych i pomagać biednym? Bogatych, owszem, z ochotą pozbawiłby majątku. Co jednak z biednymi? Biedni byli Chińczycy i biali robotnicy, z nienawiścią patrzący na biednych Chińczyków. Ani ci, ani tamci nie zasługiwali na pomoc „Bandyty”.

Wreszcie pewnego dnia, w Nefrytowym Lotosie, Makoto zobaczył młodzieńką dziewczynę, której w pierwszej chwili

o mało nie wziął za swoją siostrę Angelę, dziwacznie ubraną w chiński *cheong-sam*. Gdy lepiej się przyjrzał, dostrzegł u niej cechy wyraźnie zdradzające mieszane pochodzenie. To wzbudziło jego ciekawość. W gruncie rzeczy nie myślał o miłości i seksie. Próbował wyciągnąć wnioski z wyglądu dziewczyny — a później jej brata — i szukał podobieństw łączących jego siostry z tą parą. On sam był zupełnie inny. Pytał: jak to możliwe, skoro podobno jestem synem Matthew Starka? Przecież miał żywe dowody na to, że jednak nim nie jest.

Siu-fong nie znalazła miejsca ani wśród Anglików, ani wśród Chińczyków. Wreszcie została sprzedana do domu publicznego. Teoretycznie mogła wykupić swój kontrakt, ale nigdy nie odłożyła tak dużej sumy. Gorzej, wciąż rósł jej dług wobec Wu Chun Hinga. Wolność stała się odległym marzeniem.

W tym momencie Makoto mógł z czystym sumieniem zabawić się w Robin Hooda.

To dzięki Burtonowi wpadł na pomysł, by wcielić się w Chińczyka. Burton nie odróżniał jednej nacji od drugiej. W zupełności wystarczył więc jakiś chiński drobiazg — na przykład tasak do mięsa — i groźne okrzyki „w chińskiej intonacji”. Kto mógłby wtedy zdemaskować oszusta? Chyba jedynie Chińczyk, a przecież Makoto nigdy nie zamierzał napadać na Chińczyków. Policja szukała sprawcy gdzieś w Chinatown. Nikt nie podejrzewał cichego młodzieńca, żyjącego spokojnie wśród zdenerwowanych bogaczy z Nob Hill.

Ale zabawa się skończyła. Makoto wrzucił do podróżnej torby kilka ubrań. Myśłami błędził zupełnie gdzie indziej.

— Nie rozrabiaj w Kanadzie — powiedziała matka.

— Na pewno nie będę — odparł Makoto. — A co mógłbym nabroić w kopalni rudy?

— Wszędzie są kłopoty. Jeśli nie będziesz ostrożny, na pewno cię znajdą. Uważaj na siebie.

— Zawsze uważam.

— Pisz do mnie często. Najlepiej po japońsku.

— Chyba tylko w *kana* — powiedział Makoto. Chodziło mu o uproszczony zestaw fonetycznych znaków. Nigdy w pełni nie opanował podstawowej liczby dwóch tysięcy kanji, niezbędnych, by poprawnie czytać i pisać.

— Zabierz słownik. Będziesz miał dobrą okazję, by poćwiczyć znaki.

Makoto spojrział na matkę. Wciąż zdumiewała go swą dziewczęcą urodą i delikatnością rysów. Zawsze mówiła cicho i jakby z wahaniem. Wydawała się taka krucha... To wszystko złudzenie. Chociaż mogła uchodzić za jego młodszą siostrę, w rzeczywistości była dwa razy starsza od niego. Ta filigranowa postać kryła nieugiętą siłę. Jeśli zaś chodzi o uczucia, to Makoto nie przypominał sobie, aby jego matka chociaż raz okazała strach czy wątplenie. Teraz, gdy zastanawiał się nad swoim życiem, stwierdził nagle, że zupełnie nic o niej nie wie. Znał ją mniej niż ojca, czyli prawie wcale.

— Ile miałś lat, kiedy przyjechałaś do Kalifornii?

— Dwadzieścia. Mówiłam ci to kilka razy. — Popatrzyła na niego pytająco.

— Bałaś się?

Z lekkim uśmiechem wyjęła koszulę, którą Makoto wpakował przed chwilą do torby, wygładziła ją i złożyła po swojemu.

— Chyba nie miałam na to czasu. Ledwie zdążyłam zejść na ląd, a już się urodziłeś.

— Tęskniłaś za Japonią?

— Za dużo pytasz.

— Przecież wyjeżdżam. To normalne, że takie rzeczy chodzą mi po głowie. Różnica w tym, że ciebie nikt nie zmuszał do wyjazdu. Nawet nie pomyślałaś o powrocie. Ja odchodzę, bo muszę, ale na pewno wrócę.

— Słyszałaś znane powiedzenie: „Smutek jest strawą dla poetów”? Nigdy nie pisywałam wierszy.

— Pani Stark... — Jiro uklonił się od progu. — Jesteś gotowy, Makoto-san? Mam jechać z tobą do Kanady.

— Świetnie — mruknął Makoto. — Dostałem nawet niańkę.

— Bądź ostrożny — poprosiła matka. — I wracaj zdrowy.

— Nie bój się. Rok szybko zleci. Wrócę, zanim się obejrzysz.

- Pilnuj go, Jiro.
— Tak jest, pani Stark.

Niestety, Jiro nie mógł spełnić obietnicy. Makoto dobrze zapamiętał lekcję o „niewyczuwalnym chwycie”. Wykorzystał moment nieuwagi swojego opiekuna i wymknął mu się już na dworcu. Po godzinie zdyszany Jiro pędem wpadł do domu.

— Panie Stark! Makoto zniknął!

Przeszukali calutki dworzec i wy pytali wszystkich, kogo tylko się dało. Na próżno. Nikt nie zauważył samotnego chłopaka choć trochę podobnego do młodego Starka. Było to tym dziwniejsze, że przecież Azjata, w dodatku o wyglądzie zamężnego studenta — którym w istocie był — powinien chyba budzić zainteresowanie. Stark wszczął poszukiwania w innych częściach miasta, choć zdawał sobie sprawę, że jest już za późno.

Kanada okazała się po prostu nieciekawa. Makoto miał lepsze plany. Pewnie pojechał do Meksyku, zgodnie z tym, o czym wspominał w ostatniej rozmowie z ojcem.

Jiro z nisko pochyloną głową klęczał na podłodze. Trwał tak bez ruchu, w pokornej postawie, od chwili, kiedy zgubił Makoto na dworcu. Chociaż nosił współczesne europejskie ubranie, zachowywał się jak samuraj, który nie dopełnił obowiązków. Dwadzieścia lat w Ameryce nie zmieniło jego natury. Stark musiał postępować z nim bardzo ostrożnie. Jiro mógł w każdej chwili popełnić samobójstwo, aby w ten sposób zmazać haniebne przewinienie.

— Nie siedź tak, Jiro! — Ostro krzyknął Stark. — Urządzasz sobie odpoczynek? Pędź na pocztę i nadaj depeszę do Mendosy. Potem wracaj i przygotuj się do podróży. Mam nadzieję, że wkrótce dogonisz Makoto. Tylko tym razem lepiej go przypilnuj.

— Tak, panie — odpowiedział Jiro. Zwymyślany przez Starka, odzyskał chęć do życia. Z pokorą przyjął karę i znów poczuł się potrzebny. — Co ma być w tej depeszy?

— Jeszcze pytasz, na Boga? Napisz mu, że Makoto jest w drodze do niego.

— Tak jest, panie Stark. W jednej chwili. — Jiro odwrócił się, żeby odejść.

— Zaczekaj. — Do pokoju wszedł Shoji. Trzymał w ręku jakiś papier. — Od Wu Chin Hinga. Podobno pilne.

Stark domyślił się treści listu, zanim zaczął czytać. Dziewczyna. Zapomniał o niej. Ale Makoto wciąż pamiętał.

Mały pokój w Nefrytowym Lotosie był przesiąknięty krwią. Leżało tam sześć trupów. Cztery mężczyźni zostali zabici z rewolweru. Trzech postrzelono w pierś, jednego w twarz. Ślady prochu świadczyły o tym, że wszystkie cztery strzały oddano z bliskiej odległości. Piątego ktoś zadźgał nożem, chyba jego własnym. Narzędzie zbrodni nadal tkwiło w ciele denata, tuż pod mostkiem. Ostrze rozpruło mu cały brzuch, zanim trafiło w serce. Flaki wały się po podłodze. Paskudna śmierć. Stark popatrzył na Siu-fong. Chyba zginęła z rąk właśnie tego, który dostał nożem. Była ładna — o nieco europejskich rysach — i bardzo młoda, może szesnastoletnia. Na jej szyi ziała głęboka rana, ciągnąca się aż do obojczyka.

— Tamten ją zabił, nie Makoto — powiedział Stark.

Wu skinął głową.

— Powiedział, że „zwróci jej wolność”. Tak się wyraził. Kłopot w tym, że dziewczyna była, hm... nieodwołalnie ranna.

— Gdzie się ukrywa?

— Nie wiem. Na dobrą sprawę już jest martwy — odparł Wu. — Nie ma ucieczki. — Spojrzał na sześciu policjantów, kręcących się po pokoju. — Agent akurat siedział w restauracji. Usłyszał strzały. Przybiegł tutaj, ledwie Makoto zdążył zniknąć.

— Raniono go?

— Chyba nie. Ten był najbliżej. — Wu wskazał nieboszczyka z osmaloną twarzą. — Tam leży jego nóż, bez śladów krwi na ostrzu. Przykro mi, panie Stark. Myślałem, że już po kłopotach. Kto by przypuszczał, że ten chłopak poświęci się dla prostytutki? Przecież to niemądre.

Kto? Ja, westchnął w duchu Stark. Ja powinienem wiedzieć, co się stanie. W jego wieku zrobiłem dokładnie to samo — tyle że w El Paso, a nie w San Francisco. Też przeze mnie zginęła,

dużo gorszą śmiercią. „Synowie czasem różnią się od ojców”, powiedział Makoto. Niestety, w pewnych chwilach są bardzo podobni.

Jeden z policjantów, ubrany po cywilnemu, zbliżył się do Starka i lekko uchylił kapelusza. Był to agent, o którym wspominał Wu.

— Panie Stark...

Stark spotykał go już przedtem przy różnych okazjach, związanych najczęściej z kradzieżami w porcie. Jowialny, korpulentny Irlandczyk, bardziej przypominał dobrotliwego barmana niż stróża prawa. Agent Mulligan. Ulysses Mulligan.

— Agencie Mulligan...

— Straszna masakra — westchnął Mulligan.

— Ale dla pana to prawdziwa gratka — stwierdził Stark. — O ile wiem, był pan tutaj pierwszy.

— To prawda, panie Stark. — Mulligan spojrzął na niego spod oka. — Właśnie wszedłem do knajpy, żeby coś przekąsić. Wie pan, ten ich makaron z wieprzowiną.

— Doskonały wybór, agencie Mulligan. Dzięki temu jest pan prawdziwym bohaterem. Przyłapał pan „Bandytę z Chinatown” i zakończył jego krwawe rządy.

Agent przez chwilę wodził wzrokiem po nieruchomych ciałach, a potem znów spojrzął na Starka.

— Jeden z nich to „Bandyta”, proszę pana?

— Ten, któremu strzelił pan prosto w twarz, kiedy skoczył na pana z tasakiem.

Mulligan zmarszczył brwi i ponownie zerknął na trupy.

— Więc to był gang? Rozbiłem całą bandę?

— Nie. „Bandyta” działał sam. Prawdopodobnie był obłąkany. — Stark wyjął z kabury trzydziestkęósemkę, obrócił ją w dłoń i podał Mulliganowi kolbą do przodu. — Miał przy sobie rewolwer i tasak. Świadkowie potwierdzą, że tej samej broni używał podczas napadów. A ci czterej i ta dziewczyna... nie mieli z tym nic wspólnego. Zginęli przypadkiem.

Mulligan dokładnie obejrzał rewolwer.

— Wszystkie komory są pełne.

— To się zmieni, nim broń jako dowód rzeczowy dotrze na posterunek — zapewnił Stark. — Przypuszczam, że zostanie

pan promowany co najmniej na inspektora. Jutro komisarz Winslow je ze mną kolację. Na pewno nie omieszka powiedzieć coś na ten temat.

— Nic z tego nie rozumiem...

— A musi pan, inspektorze?

Twarz agenta powoli rozjaśnił szeroki uśmiech. Mulligan wesoło błysnął oczami.

— Nie, panie Stark. Myślę, że nie muszę. Moja żona ogromnie ucieszy się z podwyżki, którą dostanę wraz z awansem.

— Pozwoli pan, że pogratuluję panu jako pierwszy.

Uścisnęli sobie dłonie.

— Aha... Skoro mówimy o „Bandycie z Chinatown”, to gdzie podziały się jego łupy?

Stark spojrział na Chińczyka.

— Zakopał je w nieznanym miejscu? — Podsunął Wu.

Stark jednak pokręcił głową.

— To byłby srogi zawód dla poszkodowanych, gdyby policja nie znalazła skradzionych kosztowności. Zabrał je pan do przechowania jedynie po to, żeby z chęcią oddać panu Mulliganowi.

Wu się skrzywił.

— Tak.

— Zadowoleni biznesmeni wręczą panu małą nagrodę za pomoc w odzyskaniu łupów. Powiedzmy, tysiąc dolarów.

— Według mnie, zadowoleni biznesmeni powinni być hojniejsi. Pamiętajmy o stratach, jakie poniosłem jako pomocny obywatel. Powiedzmy, dwa tysiące.

— Załatwione — oznajmił Stark. Ten kłopot miał już z głowy. Pozostawała tylko jedna kwestia: gdzie podział się Makoto? Do Meksyku na pewno nie pojechał. Zatem dokąd?

— To była chyba najgorsza kolacja w moim życiu — westchnęła Hope, idąc za swoją starszą siostrą Angela na górę, do sypialni. Miała zaledwie jedenaście lat, ale lubiła dużo mówić. — Słyszałaś, co się działo? Wciąż tylko „panie Stark” i „pani Stark”. Od razu widać, że się o coś kłóć.

— Makoto ma kłopoty — powiedziała Angela. — Na pewno o to im chodzi.

— Nigdy nie miał kłopotów! — Wykrzyknęła Hope. — To przecież chłopak. Chłopaki ze wszystkiego zawsze się wywiną.

— Jiro i Shoji mówili między sobą o policji. Coś złego stało się w Chinatown.

— „Bandyta z Chinatown”? — z nagłym przestrawieniem zapytała Hope. — Napadł na Makoto?

Angela pokręciła głową. Wyraźnie chciała powiedzieć coś więcej, ale się zawahała.

— Nie wygłupiaj się! Powiedz!

— Trochę za mało znam japoński — odparła Angela — więc mogłam się pomylić. W dodatku rozmawiali dialektem z Akaoki. To już zupełna klęska.

— O co chodzi?

Angela wzięła głęboki oddech.

— Zdaje się, że Makoto kogoś zabił.

— Co?! Rozpląkała się.

— On chyba już nigdy nie wróci do domu.

* * *

Makoto obudził się na pokładzie parowca „Hawaiian Cane”. Mdlilo go, ale nie dlatego, że poprzedniej nocy wypił morze wódki. To i tak w niczym mu nie pomogło. Nie był chory z powodu silnego kołysania statku na wzburzonej fali. W każdym razie nie tylko. Nie chodziło o strzelaninę, krew ani wspomnienie śmierci. Nawet śmierci Siu-fong. Nie potrafił jednak zapomnieć jej oczu, patrzących na niego ze zgrozą i rozpaczą w momencie, gdy kulis podcinał jej gardło. Czekala na wolność... — pomyślał Makoto. Uwierzyła mi, a ja nie dotrzymałem słowa. Nie tak wyobrażał sobie heroiczne zakończenie *Ucieczki „Bandyty z Chinatown”*.

A poza tym, nigdzie nie uciekł. Wiedział, że policja depcze mu po piętach — do spółki z chińską mafią. Matthew Stark nie miał racji, mówiąc, że istnieją wyłącznie dwa rozwiązania, z których jedno jest tylko trochę lepsze od drugiego. Było

trzecie, pośrednie. Bandyta wpadł w pułapkę, lecz bohaterstwo walczył do samego końca, aż wreszcie zginął.

Ale przedtem miał jeszcze coś do załatwienia.

Makoto zwał się z koi i wyszedł na pokład. Spojrzał na wschód, na wąty promień światła nad linią horyzontu.

Kraj wschodzącego słońca.

To zależało wyłącznie od punktu widzenia. W tej chwili patrzył na Kalifornię. Zerknął na zachód, na ciągle mroczne niebo. Tam leżały Hawaje, a dalej — Japonia.

Ciekawe, czy Genji zdziwi się na mój widok? — Myślał Makoto. Ciekawe, co mu powiem, kiedy go zobaczę? Miał gotowe pytanie, z którym się wybierał w podróż przez Pacyfik. Pytanie, które Matthew Stark zadał w zupełnie innej sytuacji.

Dlaczego?

Dzikię spojrzeńie

Żona księcia powiła córkę. Minęły lata i żadna inna żona ani konkubina nie dała mu więcej dzieci. Wśród dworzan narastały oznaki niepokoju. Bez męskiego potomka klan był skazany na zagładę. Shogun z pewnością zagarnąłby ich ziemię. Książę nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Po-smutniał dopiero wtedy, kiedy wyszło na jaw, że jego córka stanie się dziewczęciem nieziemskiej urody.

— Jest tylko jedna rzecz na świecie gorsza od pięknej córki — powiedział do dowódcy gwardii. — Wiesz jaka? Oficer nie wiedział.

— Brzydka córka — rzekł książę.

Dowódca nie był pewien, czy jego pan żartuje, czy mówi poważnie, więc tylko w milczeniu skinął głową na zgodę.

Aki-no Hashi
(1311)

Opactwo Mushrindo, 1882

— Kim są pańscy rodzice? — Zapytała czcigodna przełożona Jintoku.

Młodzieniec się roześmiał.

— Dobre pytanie — mruknął. — Naprawdę bardzo dobre.

— Nie wątpię. Jestem tu przełożoną. Na ogół zadaję poprawne pytania. Jak się pan nazywa?

— Makoto.

Podał jej tylko imię. Nie szkodzi. Nie zamierzała go osądzać ani domagać się czegoś więcej. Jego sprawa, jeżeli chce pozostać incognito.

— Wydaje mi się, Makoto-san, że myśli pan o wyrzeczeniu.

— Niby dlaczego? — Spytał gwałtownie. — Czeka mnie inna przyszłość.

— Potrafię wejrzeć w ludzką duszę — odpowiedziała mniszka, choć wcale tego nie umiała. Widziała tylko drogi garnitur oraz starannie przystrzyżone włosy. Wyczuła także pewną godność, świadczącą o tym, że jej rozmówca nie cierpiał w życiu biedy. Opactwo Mushindo — jak każde opactwo — korzystało z rozmaitych datków. Małe pochlebstwo nigdy nie zaszkodzi. Nawet ci, którzy nie czuli żadnego powołania, chętniej sięgali do portfela, słysząc, że są uduchowieni.

— Och, naprawdę? — Uśmiechnął się Makoto. — Mówiłaś, pani, że na ogół zadajesz pytania. Zawsze myślałem, że przywódcy religijni bardziej skłaniają się do odpowiedzi.

— Nie mam zadatków na przywódcę. Na dobrą sprawę, jestem zwykłą sprzątaczką. Po prostu sprzątam. Mówiąc w przenośni, odkładam pewne rzeczy tam, gdzie powinny leżeć. Zapraszam pana na herbatę. Porozmawiamy nieco dłużej.

— Bardzo dziękuję, czcigodna pani sprzątaczo — odparł Makoto. Ukłonił się, składając ręce na buddyjską modłę. — Następnym razem. Niestety, muszę wracać do Tokio.

— Żeby odnaleźć swoich rodziców? — Spytała przełożona. — Czy też siebie?

— A jeśli jedno wiezie do drugiego?

— Dobrze pytanie, Makoto-san. Naprawdę, byłby pan świetnym sprzątaczem.

— Bardzo dziękuję za komplement — odrzekł. Pożegnał ją, odwrócił się i odszedł ścieżką wiodącą do wrót opactwa.

Jintoku patrzyła za nim, dopóki nie zniknął jej z oczu. Kogoś jej przypominał. Ale kogo? Och, na to przyjdzie czas później. Albo nie. Wszystko jedno. Była pewna, że wkrótce znowu się spotkają. Z tego, co Makoto powiedział o bitwie, wynikało, że lepiej od innych pielgrzymów zna historię Mushindo. Tak, tak, pomyślała, wrócisz tu, młodzieńcze. Może

nawet staniesz się hojnym dobroczyńcą? Odwróciła się tyłem do bramy i poszła do warsztatu.

Ze wszystkich obowiązków, związanych z jej funkcją, czciogodna przełożona najbardziej lubiła wyrabiać relikwie. Zanim kule lub osmalone drzazgi trafiły do sklepu, należało je włożyć do niewielkich tubek, wykonanych z kawałków cienkiego bambusa. Tubki były niewiele grubsze od małego palca i z pozoru podobne do zmumifikowanej części ludzkiego ciała. Miało to przypominać wszystkim zwiedzającym, że życie jest ulotne i że wszelkie istoty czeka taki sam koniec. Kupujący oglądał relikwię i wnosił stosowną ofiarę. Wtedy otwarty koniec tubki na powrót zatykano bambusowym kołkiem. Początkowo relikwie sprzedawano za z góry ustaloną cenę, ale Jintoku miała wrodzony talent do interesów i dobrze знаła ludzi. Od pewnego czasu żądała za ledwie „co łaska”, przewidując, że wpływy będą znacznie większe. Nie pomyliła się. Zysk wzrósł dziesięciokrotnie. Pielgrzymi, mogący sami decydować, nie skąpili pieniędzy za złudną nadzieję pomocy z innego świata. A może bali się, że skapstwem obrażą jakieś duchy?

Ostatnio przełożona zaczęła dzielić kule i wkładała do tubek coraz mniejsze kawałki drewna i starych zwojów. Popularność relikwii sprawiła, że ich zapasy zaczęły gwałtownie maleć, chociaż niedawno wydawały się niewyczerpane. Ale Jintoku zamierzała wkrótce zrobić nowe — dla niej ważniejsza była silna wiara niż domniemana moc przedmiotów. Dopóki mogła, korzystała tylko z oryginałów. Tak było po prostu łatwiej. W głębi ducha gardziła przesadną szczerością. Brak relikwii oznaczał mniejszą liczbę pielgrzymów, a to z kolei odbiłoby się niekorzystnie na poziomie życia wielu chłopów ze wsi Yamanaka. W oczach miejscowej społeczności wielbna Jintoku była niekwestionowaną duchową przywódczynią. Przecież nie mogła zawieść takiego zaufania.

Praca, którą wykonywała całymi latami, miała ustalony rytm i uwalniała ją od brzemienia myśli. W lewej ręce Jintoku trzymała bambusową tubkę, w prawej skrawek zwoju. Widziała obie swoje dłonie, bambus i strzęp papieru. Słyszała bicie swego serca, cichy oddech i odległy śmiech dzieci. Zamknęła tubkę bambusowym kołkiem, dopasowanym niezbyt ciasno,

ale tak, żeby papier nie wypadł ze środka. W każdej chwili można go było wyjąć i pokazać zawartość pielgrzymom. Jintoku odłożyła tubkę do pudełka na relikwie z fragmentami zwojów. Potem sięgnęła po następną.

Lewą ręką ujęła ułamek bambusa, kiedyś rosnącego w gaju za świątynią.

W prawą wzięła kawałek wiekowego zwoju, przekazanego na rzecz klasztoru przez panią Emily.

Serce w jej piersi szemrało niczym morskie zwierzę, leniwie pływające w przyjaznej toni.

Oddech szumiał spokojnie, zwalniał i przygasał, aby chwilę później powrócić własnym rytmem.

Znów rozległ się śmiech dzieci, tym razem dużo dalej, od strony doliny.

Tak mijało kilka oddechów, minut, godzin... Każda tubka stawała się zaczątkiem pracy pozbawionej wszystkich zbędnych myśli. Przełożona wcale nie czuła upływu czasu. Dopiero potem, gdy skończyła i zerknęła na pełne pudło, zauważała długie cienie albo spojrzała w mrok na zewnątrz, jej umysł z wolna wracał do rzeczywistości. Wtedy szła do świątyni na wieczorną medytację przed nocnym spoczynkiem.

Jednak dzisiaj było inaczej. Wielebna Jintoku nie potrafiła bez reszty oddać się ulubionej pracy. Ciągle myślała o przystojnym gościu, który mówił z tak dziwnym akcentem. Wróciła wspomnieniami do wizyty lady Emily i pani Hanako. To właśnie w tamtych smutnych i tragicznych dniach zrujnowany klasztor Mushindo stał się żeńskim opactwem. Albo raczej powrócił do roli opactwa. Ze słów obu pań wynikało bowiem, że Mushindo przed sześciuset laty najpierw było świątynią zajęta przez mniszki. Dwukrotnie doszło tu do przedziwnych zdarzeń, w które trudno było uwierzyć, lecz wyjaśniających jedną z wielu tajemnic otaczających klasztor.

Natłok myśli i wspomnień sprawiał, że przełożona nie mogła osiągnąć spokojnego stanu kontemplacji, który zazwyczaj towarzyszył jej przy pracy. To prawda, że wszelkie myśli są niczym bańki w strumieniu. Jintoku nieopatrznie zaczęła im się przyglądać, więc już nie płynęła z prądem. W takich chwilach najlepiej było zrezygnować. Jintoku odłożyła zwoje,

drzazgi i kule do komory, zabrała kilka tubek, które zdążyła zrobić, i poszła do świątyni. Przed wejściem do głównej sali zatrzymała się przy stoliku, skromnie ustawionym nieopodal progu. Tam we właściwym miejscu położyła relikwie.

Wieczorna medytacja mniszek z Mushindo była dobrowolna. Rano i w południe działo się inaczej, ze względu na obecność gości. W pewnym sensie chodziło o małe przedstawienie — dowód na to, że opactwo wciąż pełni swoją rolę. W nocy nie zaglądał tutaj nikt niepowołany. Z początku wieczorami sala świeciła pustką. Po latach to się zmieniło. Teraz zaglądała tu każda mniszka, choćby na krótką chwilę. Nawet te, które wracały do wsi, do rodziny, siadały przed ołtarzem, zanim po całym dniu zdjęły mniszą szatę i poszły do domu.

Yasuko jako pierwsza wprowadziła ten zwyczaj.

Jeżeli tylko będę uparta i szczerą, powiedziała, to dobrotliwy Budda na pewno mnie wysłucha i uwolni od kalectwa. Prawda, czcigodna przełożona?

Yasuko była tą, która kiedyś, w dalekiej Yokohamie, próbowała się powiesić i nadwyrężyła szyję. Zawsze pragnęła wrócić do rodzinnej wioski, wyjść za mąż, mieć dużo dzieci i prowadzić normalne życie. Ale nikt nie chciał pojąć za żonę kobiety chodzącej z dziwnie przekrzywioną głową. Zrozpaczona Yasuko każdą wolną godzinę spędzała w świątyni na medytacji.

Budda nigdy jej nie naprawił, ale chyba usłyszał żarliwe modlitwy i na swój sposób udzielił stosownej odpowiedzi. Pewnego dnia, nagle, Yasuko zapomniała o zapiekłej złości, żalu i pogardzie do samej siebie. Spłynął na nią łagodny spokój.

„Czcigodna przełożona, powiedziała, chcę przyjąć święcenia”.

Jintoku z trudem przypominała sobie fragmenty ceremonii, którą odprawił stary opat Zengen w dniu, kiedy Jimbo stawał się buddystą. W zasadzie pamiętała tylko Cztery Ślubowania. Kazała więc Yasuko i wszystkim pozostałym sto osiem razy powtórzyć tekst całej przysięgi. Po każdym przyrzeczeniu kładły się na ziemi.

Słowa brzmiały:

Niezliczone istoty ślubuję wyzwolić.

Nieskończone ślepe namiętności ślubuję wykorzenić.

Niezliczone bramy prawdy ślubuję przeniknąć.

Wielką Drogę Buddy ślubuję osiągnąć.

Uroczystość zajęła im większość przedpołudnia, spowodowała chrypkę i ogólne zmęczenie, w kilku przypadkach połączone z głębokim wzburzeniem. Przełożona postanowiła zatem, że w przyszłości wystarczy powtórzyć przysięgę trzy razy ze zwykłym ukłonem. Czyż nie powiada się, że szczerą wiarą, a nie rytuał jest kluczem do zbawienia?

Mimo wątpliwej oprawy wspomnianej ceremonii, ślubowanie odniosło skutek. Zwłaszcza Yasuko od tamtej pory zachowywała się zgodnie z przyrzeczeniem. Pod tym względem przypominała Goro. Z wolna inne dziewczęta poszły za jej przykładem.

Przełożona zdawała sobie sprawę z niedorzeczności całej sytuacji. Wzorem postępowania w opactwie Mushindo był głupiec niemowa, któremu pomagała niedoszła samobójczyni. Mimo to ona też zaczęła coraz częściej brać udział we wspólnej medytacji, nawet gdy nie było gości.

W milczeniu zajęła swoje miejsce wśród mniszek.

Pomyślała o poczerniałych drzazgach, ołowianych pociskach i zetłanych skrawkach papieru. Zastanawiała się, na jak długo starczy jej relikwii. Najbardziej bała się o zwoje. Najtrudniej było je podrobić. Jedna kropla ołowiu jest podobna do drugiej, to samo można powiedzieć o nadpalonym drewnie. Stary papier ma jednak w sobie coś takiego, czego do tej pory nie umiała odtworzyć. Nie po raz pierwszy i nie ostatni zadawała sobie pytanie, czy resztki zwojów rzeczywiście pochodziła z *Aki-no Haski*, zbioru zaklęć spisanych przez czarownicę, księżniczkę Shizukę. W gruncie rzeczy nie miało to żadnego znaczenia. Liczył się zapas ksiąg, a nie ich zamierzchłe dzieje. Teraz martwiła się raczej niepotrzebnie. Z dwunastu zwojów pozostało jeszcze prawie dziewięć. Lecz nikt nie bronił jej myśleć o przyszłości. Od tego więc zaczęła swoją medytację — ale nie po to, żeby znaleźć jakieś rozwiązanie. Sformułowała myśl i spokojnie odsunęła ją na bok.

Potem wsłuchiwała się w głosy Mushindo.

Gdy była mała, tak jak wszystkie dzieci bała się tych ponurych zgrzytów, świstów oraz jęków. Tam na pewno miesz-

kają duchy, powtarzano we wsi. Posłuchajcie... To są głosy torturowanych duchów i demonów. Rzeczywiście — kiedy ktoś słuchał, zdawało mu się, że rozróżnia słowa. Ale musiał naprawdę uważnie słuchać. Z drugiej strony choćby nastawiał ucha, to i tak nic z tego nie rozumiał. W trakcie zabawy albo zajęć dzieci słyszały tylko wiatr w gałęziach, śpiew ptaków, czasem poszczekiwanie lisa, plusk strumienia i głosy drwali nawołujących się w innej dolinie.

W uszach medytującej przełożonej też brzmiało to jak dźwięki wiatru, zwierząt, wody i odległe głosy. Tak było na początku. Potem, kiedy jej oddech stał się wolniejszy, a umysł nabrał większej jasności, powróciły strachy dzieciństwa. Czyżby dlatego, że nadśluchiwała? A może jednak rzeczywiście docierały do niej wołania mieszkańców zupełnie innych światów, którzy starali się przypomnieć jej o ulotności ziemskiego życia? Zawsze tak było, czy od sześciu wieków, kiedy przybyła tu pani Shizuka? Czy to znaczy, że Shizuka kiedyś parała się czarami? Może te dźwięki, dziwne lub znajome, były jedynie zwykłym wstępem do każdej głębszej medytacji?

Jintoku porzuciła te puste domysły — i tak nie miały żadnych odniesień do realnego świata. Bez wysiłku strząsnęła z siebie więzy myśli i pogrążyła się w wibrującej pustce.

Chmara Wróbli, 1291

Latem na klan spadło ogromne nieszczęście, a pani Kiyomi pogrążyła się w głębokim smutku. Jej mąż, pan Masamune, niespodziewanie wpadł w pułapkę na przyłasku Muroto i poległ w walce z przeważającymi siłami przeciwnika. Razem z nim zginął jej ojciec, dwaj najstarsi synowie i niemal wszyscy samuraje. Ocalał zatem tylko Hironobu — i to on miał zostać nowym władcą Akaoki. Szybka inwestytura poprzedzała jego jedyny czyn w roli naczelnika klanu. Oczekiwano, że popęlni rytualne samobójstwo, zanim triumfujący wróg przekroczy bramy zamku. Przecież i tak nie mógł spodziewać się litości. Po śmierci ojca i dwóch braci stawał się księciem, a księżęta nigdy nie idą do niewoli. To, że skończył zaledwie sześć lat,

dla nikogo nie miało znaczenia. Zabici bracia liczyli sobie dziesięć i osiem wiosen, ale to ich nie ocaliło. Ojciec zabrał ich, żeby po raz pierwszy zobaczyli z daleka prawdziwą potyczkę. W rezultacie zginęli.

Teraz pani Kiyomi miała do zrobienia jeszcze dwie ważne rzeczy. Po pierwsze, musiała być obecna przy kaźni ostatniego syna. Wierny gwardzista Go zamierzał ściąć mu głowę, kiedy chłopiec sztyletem przebije sobie skórę brzucha. Po drugie, czekała ją śmierć z własnej ręki. Nie chciała zaznać poniżenia z rąk zwycięzców. Nie użalała się nad swoim losem, ale ze smutkiem rozmyślała o małym Hironobu. Miała dwadzieścia siedem lat, więc nie zdążyła zostać babką. Zaznała jednak blasków i cieni życia kochanki, żony, matki. Jej syn został księciem Akaoki, choć zaledwie na parę godzin przed nieuchronną śmiercią.

Ale Hironobu nie umarł, podobnie jak jego matka. Zanim sięgnął po nóż, żeby rozplatać sobie trzewia, z wyschłego koryta potoku zerwały się tysiące wróbli. Trzepot ich skrzydeł zabrzmiał niczym szum fali bijącej o dalekie brzegi. Wielką chmurą przemknęły nad głową Hironobu. Migotliwy ruchomy cień sprawił, że sylwetka chłopca też zaczęła migotać — stała się bezcielesną widmową zjawą, niczym duch widziany kątem oka. Widzieli to wszyscy. Kilka osób krzyknęło. Wśród nich chyba też pani Kiyomi.

To był znak. Bogowie nie wyrazili zgody. Nikt nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Hironobu porzucił myśl o samobójstwie. Zebrał garść ocalałych samurajów i chciał jeszcze tej samej nocy wyruszyć na wroga. Zamiast pokornie umrzeć, wołał zginąć na polu bitwy. To była odważna śmierć, a bóg wojny, Hachiman, lubił odważnych żołnierzy. Go obiecał, że dopilnuje, aby chłopiec żywy nie dostał się w ręce nieprzyjaciół.

Pani Kiyomi uklękła, żeby poprawić dziecięcą zbroję. Nawet w tej pozycji wydawała się wyższa od swojego syna, chociaż Hironobu nosił wojskowe buty i hełm ze stylizowanymi żelaznymi rogami. Pani Kiyomi z trudem powstrzymywała się od płaczu. Miniaturowy kirys, zmniejszone miecze, długie rękawice i lakierowane nagolenniki — wszystko to syn nosił

wyłącznie z okazji świąt. Nie było przeznaczone do prawdziwej walki, która już niedługo musiała nastąpić. Duma na twarzy chłopca wzruszała ją do głębi.

— Pamiętaj, że jesteś księciem — powiedziała szybko, żeby powstrzymać łzy. — Nie narób nam wstydu.

— Pamiętam. Jak wyglądam, mamó? Jak prawdziwy samuraj?

— Twoim ojcem był Masamune, książę Akaoki, ten sam, który zmiażdżył mongolskie zastępy chana Kubilaja nad zatoką Hakata. Jesteś samurajem. A prawdziwy samuraj bardziej przejmuje się swoim postępowaniem niż wyglądem.

— Wiem, mamó. Ale we wszystkich opowieściach o dawnych bohaterach zawsze jest mowa o tym, jak się ubierali. Są tam zbroje, sztandary, jedwabne kimona, miecze i rumaki. Słyszałem, że pan Yoshitsune samą swoją postawą budził strach w sercach wroga. Napisano też, że był bardzo urodziwy. To ważne dla bohaterów.

— W opowieściach najczęściej jest sporo przesady — westchnęła pani Kiyomi. — Bohaterowie zawsze są przystojni i waleczni, a ich damy piękne i wierne. To tylko fikcja.

— Ale mój ojciec był przystojny i waleczny, ty zaś jesteś piękna i wierna — odparł Hironobu. — Kiedyś napiszą o was szczerą prawdę.

Nie powiedziała mu, że w oczach małych chłopców wszystkie matki są piękne, a ojcowie przystojni. Nie mogła, bo nie chciała wybuchnąć głośnym płaczem.

Hironobu dumnie wypiął pierś i zrobił nadąsaną minę groźnego wojownika.

— Budzę strach w sercu wroga, mamó?

— Trzymaj się blisko Go — odrzekła — i rób wszystko, co ci powie. Jeśli masz umrzeć, umrzyj bez wahania, bez strachu i bez żalu.

— Dobrze, mamó. Ale coś mi mówi, że nie zginę w tej bitwie. — Wsunął paluszek pod hełm, żeby podrapać się po głowie. — Sto lat temu, w bitwie pod Ichinotani, książę Yoshitsune miał ze sobą tylko stu żołnierzy. Przeciwników było tysiące. Teraz jest tak samo. Stu dwudziestu jeden przeciwko pięciu tysiącom. Yoshitsune zwyciężył, więc ja też zwyciężę.

Będą kiedyś o mnie tak samo opowiadali? Mam nadzieję, że tak.

Pani Kiyomi odwróciła się szybko i otarła łzy rękawem jedwabnego kimona. Potem z uśmiechem popatrzyła na syna. Szukała odpowiednich słów, które zabrzmiałyby jak z baśni.

— Kiedy wrócisz, zmyję z twojego miecza krew wrażeń wojowników.

Buzia chłopca pojaśniała z radości. Niczym rycerz na polu bitwy, uklęknął na jedno kolano i skłonił się z powagą.

— Dziękuję, matko.

Pani Kiyomi położyła dłonie na podłodze i odpowiedziała mu głębokim ukłonem.

— Wiem, że będziesz bardzo dzielny, mój księżę.

— Księżę? — Powtórzył Hironobu. — Mówisz do mnie „mój księżę”?

— A nie jesteś nim?

— Chyba jestem. — Wstał. Znow mogli patrzeć sobie prosto w oczy. — Tak, jestem.

Pani Kiyomi była przekonana, że już nigdy go nie zobaczy. Kiedy przybędzie kurier z wieścią o jego śmierci, pomyślała, podpale zamek i wbiję sobie sztylet w gardło. Nie będzie baśni o zwycięstwie ani legendy o odwadze. A jednak mamy coś wspólnego z bohaterami dawnych opowieści. Nigdy nie dosięgnie nas starość.

Kilka dni później istotnie zjawił się posłaniec, lecz już z daleka wołał o zwycięstwie. Pan Hironobu jednak nie zginął. Lato zaczęło się od tragedii, lecz zakończyło wielkim triumfem. Garść samurajów wycięła w pień większą część wielotysięcznej armii.

* * *

Wieść o niezwykłej wiktorii księcia Hironobu w lasach Muroto szybko rozeszła się po całym kraju. Do Akaoki ze wszystkich stron ściągali goście. Wszyscy słyszeli już o wróblach i chcieli na własne oczy ujrzeć cudownego chłopca. W małym zamku, od niedawna znanym jako Chmara Wróbli, zrobiło się bardzo ciasno. Pod sam koniec trwającego tydzień biesiadowania, kiedy przyjezdni feudałowie z wolna zaczęli

trzeźwieć, nagle zerwał się przeciwny wiatr, a huk gromów i błyskawice zapowiedziały pierwszą jesienną burzę. Ci, którzy mieli już wyjeżdżać, postanowili zostać nieco dłużej. Może zabrzmi to niewiarygodnie, ale upili się jeszcze bardziej. To cud, że nikt nie umarł.

Tylko Go pozostawał trzeźwy. Od dziecka wychowany na mocnym kumysie pędzonym z kobyłego mleka, nie gustował w ryżowej wódce, choć mieszkał w Japonii od dziesięciu lat. Kiedy przechodził, podchmieleni goście witali go okrzykami:

- Go!
- Panie generale!
- Panie Go!

Go pozdrawiał ich uśmiechem, chociaż wcale nie było mu wesoło. Nie lubił tłumów i ciasnoty. W głębi serca wciąż pozostawał koczownikiem. Kochał otwartą przestrzeń i nie znosił zamknięcia. Źle się czuł w takiej cizbie, za murami zamku. Coś dławiło go w gardle, nie mógł złapać oddechu i pocił się, jak we wczesnym stadium jakiejś śmiertelnej choroby.

Ale nie to było główną przyczyną jego udreki. Najbardziej przejmował się burzą. Nigdy nie widział takiego zamętu na niebie. Ani na swoich rodzimych stepach, ani na wielkich równinach Państwa Środka, ani w górach Japonii. Czarne chmury raz po raz błyszczały w świetle błyskawic, a po błysku rozlegał się głuchy tętent tysięcy widmowych koni. Go krzywił się w sekundzie ciszy, która następowała po każdym rozbłysku. Zjawisko było tym dziwniejsze, że na ziemi nic się nie działo. Żadnego deszczu ani wichru, choć na górze szalała burza. Kolejny omen. Bez wątplenia. Pytanie: co to może znaczyć? Narodziny nowej Tangolhun? Niemożliwe. Go był ostatnim z rodu i miał jedyne syna, Chiakiego. Tymczasem klątwa działała tylko na kobiety. Żona Nurdżena najpierw powiła córkę, potem syna, a później jeszcze dwie dziewczynki. Go zabił wszystkie trzy tuż po urodzeniu. Żona płakała, ale nie zadawała pytań i nie próbowała powstrzymać męża. Przysięgała, że jego szczęście jest dla niej najważniejsze. Go był pewny, że żadna wiedźma więcej się nie narodzi. Dlatego zatem drżał ze strachu na widok każdej błyskawicy i kulił się, słysząc huk niebiańskich kopyt?

Dla Nurdzeńów burza po zwycięskiej bitwie miała ogromne znaczenie. Uważali, że to znak. Japończycy traktowali to zupełnie inaczej. Dla nich burza była przejawem gniewu boga piorunów, którego zawsze można było ułagodzić odpowiednią modlitwą, zmówioną przez kapłanów, obfitością jadła dla kobiet i dzieci lub pijaństwem. To ostatnie było w modzie. Każda ważniejsza uroczystość kończyła się libacją, podczas której sake lała się strumieniami. Samuraje już od najmłodszych lat zdradzali pociąg do ryżowej wódki. Gdyby lud Nurdzeńów pił tyle co oni, to nigdy by nie władał wielkimi pastwiskami od Gór Niebieskiego Lodu do Rzeki Czerwonego Smoka. Podobnie Mongołowie — gdyby ciągle pili, nie wygraliby z Nurdzeńami i Go mógłby nadal żyć wśród rodaków na rozległych stepach Azji Środkowej.

— Go! Chodź, napij się z nami!

— Wielki generale! Prosimy, prosimy!

— Od dziś będziesz jednym z największych bohaterów Yamato!

Puste pochwały. W oczach samurajów był tylko cudzoziemcem. Nie musieli się go obawiać. Nie mógł obalić swego pana, nie szukał dla siebie lenna i nie zamierzał iść do Kioto na czele wielkiej armii, żeby domagać się od cesarza nominacji na shoguna. Obcokrajowcy nie mieli własnej ziemi. Nie mogli rządzić krajem. Tytuł shoguna był zastrzeżony dla niewielkiej garstki wybrańców, w których żyłach płynęła krew rodu Minamoto, wywodzącego się od legendarnego Yoshitsune. Hironobu był spokrewniony z tą rodziną poprzez babkę ze strony matki. Może kiedyś o tym pomyśli. Ale nie Go. On nawet nie był Japończykiem. Samuraje chwalili go więc głośno i zupełnie szczerze.

Nurdzeń nie wiedział, co oznacza burza, ale przypatrywał jej się z niepokojem. Przypomniawszy sobie, co mówili starzy członkowie plemienia. Z ich opowieści wynikało, że tętent niebiańskich koni ostatni raz tak głośno rozlegał się w chmurach w przeddzień narodzin najsłynniejszej wiedźmy w całej ordzie.

Chodziło o Tangolhun.

Prapraprababkę jego matki.

Tę, która przed wiekami kazała sławnemu Attyli iść śladem

zachodzącego słońca. Ponoć Attyła jej posłuchał i zabrał ze sobą Hunów. Znaleźli sobie nową ojczyznę, gdzieś na zachodnim krańcu świata i tam żyją do dzisiaj, chronieni przez łańcuch gór, wypasając stada wśród bujnych traw, porastających brzegi wielkiej rzeki.

Go zawsze się upierał, że całą tę historię zmyśliła jego matka, dla uzasadnienia własnej „czarodziejskiej mocy”. Starzy mu nie wierzyli.

Mongołowie nie wycięli w pień wszystkich Hunów, słyszał w odpowiedzi. Ci z nich, którzy powędrowali za Attyłą, schronili się za Uralem. Kiedyś plemię Nurdzeńów też tam trafi.

Każda wiedźma znała prastare sekrety. Ich duchy krążyły w chmurach na niebiańskich koniach. Ta, która dostąpi wiedzy, również dosiędzie burzy.

Twoja matka, mówili starzy, nigdy się nie myli w swoich przepowiedniach. Nikt nie lekceważył potęgi jej zaklęć. Pewnego dnia przyjdzie na świat nowa czarownica, której słowa rozwiążą wszystkie tajemnice.

Go śmiał się z tych zabobonów. Jego matka była zwyczajną oszustką. Egoistką dążącą do władzy.

Ale teraz, w dalekiej Japonii, kiedy słyszał nad głową łomot kopyt tysięcy niewidzialnych dzikich koni, wcale nie było mu do śmiechu. Wiedział, że coś się stanie.

Na pewno nic dobrego.

— Och... — Usłyszał nagle cichy okrzyk, a chwilę potem zderzył się z czymś miękkim. Spojrzał w dół i zobaczył leżącą na ziemi dziewczynę.

— Przepraszam — mruknął. W duchu przeklinał swoją niezgrabność. Na otwartej przestrzeni — zwłaszcza w siodle — był zręczny niczym jeden ze smoczyczych tancerzy, dokazujących wokół ognisk w obozach wielkiej ordy. Wśród czterech ścian błędził jak wół na uwięzi. — Zamyśliłem się.

Wyciągnął rękę, chcąc jej pomóc. Dziewczyna cofnęła się z nieśmiałym jękiem.

Była ładna... i bardzo młoda. Go tylko dlatego, że przez krótką chwilę poczuł jej pełne kształty, wiedział, że ma do czynienia z kobietą, a nie z dziewczynką. Z kobietą, która niedawno rozwinęła się z pąka. Jej ubiór i delikatność ruchów

wskazywały, że była szlachcianką, prawdopodobnie córką jakiegoś księcia. Wielu ich obecnie bawiło na zamku. Zwycięstwo sprawiło, że sześciolatek pan Hironobu stał się najlepszą partią na południe od Morza Wewnętrznego.

— Nic ci się nie stało, pani? — Spytał Go.

Zderzyli się niezbyt mocno. Żadna córka Nurdzeńów po tym by nie upadła — a już na pewno nie leżałaby tak długo na ziemi. Dziewczęta z jego plemienia świetnie jeździły konno i strzelały nie gorzej od mężczyzn. Dopuszczały do siebie tylko tych młodzieńców, którzy lepiej siedzieli w siodle i lepiej szyli z łuku. Żony i córki samurajów były zupełnie inne. Wręcz podkreślały swoją słabość. Prawdę mówiąc, wydawały się o wiele słabsze, niż były w rzeczywistości. Go widział kiedyś, jak jego przyszła żona — czyli ówczesna faworyta pana Masamune — złamała obojczyk pewnemu pijakowi. Podchmielony samuraj nie wiedział, z kim rozmawia, i złapał ją za nadgarstek. Dziewczyna szybko machnęła ręką. Pijak poleciał na łeb, na szyję i huknął w drewniany słup. Cał w prawo i skończyłby ze złamanym karkiem.

— Jak to zrobiłaś? — Zapytał Go.

— Co, panie?

— Jak nim rzuciłaś?

— Rzuciłam? — Zasłoniła usta rękawem i zachichotała. — Jestem drobna i słaba, panie. Nie dałabym mu rady. Był pijany, potknął się i przewrócił. To wszystko.

Nie, to nie wszystko, pomyślał Go. Niestety, nie dowiedział się od niej niczego więcej, nawet wtedy, kiedy została jego żoną. Teraz też, po dziesięciu latach, po narodzinach syna, nie chciała o tym mówić.

— To tajemnica?

Roześmiała się.

— Sądzisz, panie, że coś, co dotyczy kobiet, może być tajemnicą?

— A gdybym chciał zmusić cię do czegoś, co ci się nie podoba? — Spytał Go.

— Wszystko mi się podoba, panie. Jesteś moim mężem.

— Nawet, jeżeli sprawię ci ból?

— Ten ból będzie moim szczęściem.

— A jeśli będę chciał cię zabić?

— Umrę z rozkoszą, panie.

Go roześmiał się na całe gardło. Nie mógł się powstrzymać. Nie wierzył, że naprawdę jest do tego zdolna, ale śmieszyła go jej powaga.

— Poddaję się — powiedział. — Wygrałaś.

— Jak mogłam wygrać, panie, skoro jestem tak uległa? — Zapytała.

— Zupełnie nie wiem — westchnął Go. — Zawsze wygrywasz, prawda?

Uśmiechnęła się.

— Chcesz powiedzieć, że ustępuję, aby zwyciężyć, panie? Przecież to nie ma sensu.

Go zastanawiał się, czy ta dziewczyna też mogłaby przewrócić rosnącego mężczyznę. Wydawało się to niemożliwe. Pominąwszy japońską skłonność do przesady, i tak miała bardzo delikatny wygląd. Zaczekała, aż Go odsunie się od niej, i dopiero wtedy wstała z wyraźnym trudem. Chyba coś jej się stało w prawe biodro. Zrobiła niepewny krok, zachwiała się — i była by upadła. Ale Go nie czekał. Podtrzymał ją.

— Och... — powiedziała tak cicho jak przedtem.

Złapała go za rękę i całym ciężarem ciała oparła się na jego piersi. Nie ważyła zbyt dużo. Była piękna, młodziutka i nadzwyczaj lekka. Może, w odróżnieniu od innych Japonek, naprawdę jest tak słaba, na jaką wygląda? Z konieczności musiała oprzeć się o Nurdżena, lecz patrzyła na niego z niekłamany strachem, jakby wolała uciec niż szukać pomocy.

— Nie bój się, pani — powiedział. — Jestem Go, dowódca straży przybocznej pana Hironobu. Możesz mi zaufać tak samo jak jemu.

— Och... — wyszeptała po raz trzeci.

Go uśmiechnął się.

— Przepięknie mówisz „och”, moja pani. Ale spróbuj innego słowa. Sprawdźmy, czy zabrzmii równie słodko, czy jednak lepiej zostać przy „och”.

Wreszcie skłonił ją do uśmiechu. Zerknęła na niego nieśmiało.

— Jestem córką pana Bandana — powiedziała. — Nowaki.

W tej samej chwili po komnatach zamku przetoczyło się echo gromu. Lekki skurcz przebiegł przez twarz Nurdżena.

— Boisz się grzmotów? — Zapytała pani Nowaki nieco rozbawiona. — A już myślałam, że Mongołowie nie boją się niczego.

— Nie jestem Mongołem.

— Więc to nie ty byłeś wśród najeźdźców, którzy dziesięć lat temu przyплыnęli do zatoki Hakata?

— Tak, to ja. Ale byłem i jestem Nurdżenem.

— A to nie Mongołowie?

— Czy ty jesteś Chinką, pani?

Roześmiała się.

— Oczywiście, że nie.

— Zatem nie każdy, kto chodzi w jedwabiach, pije herbatę i stawia znaki *kanji*, jest Chińczykiem. Tak samo nie każdy, kto dosiada konia, pilnuje stada i kocha wolność, jest Mongołem.

— Rozumiem, panie Go. Drugi raz nie popełnię tego błędu.

Ukloniła się.

Ponieważ stała bardzo blisko, jej pochylona głowa znalazła się tuż przed jego piersią. Go poczuł delikatny zapach jej kunsztownie ułożonych włosów. Przypomniało mu to woń polnych kwiatów, utraconą aż do przyszłego roku. Tylko ktoś bardzo młody może wciąż pachnieć wiosną na progu jesieni. Ta dziecięca naiwność miała w sobie posmak niewinnej świeżości.

— Mogę cię odprowadzić do komnat twojego klanu, pani?

* * *

Nowaki opierała głowę o pierś Nurdżena. Wsłuchiwała się w głos, który dochodził z góry i jednocześnie dudnił gdzieś w głębi jego ciała. Serce waliło jej jak młot. Bała się, że Go może to zauważyć, więc zamknęła oczy i próbowała uspokoić oddech. Przecież na dobrą sprawę nie ma najmniejszych powodów do obaw. Wszystko idzie zgodnie z planem. Bez trudu pozbyła się opiekunki. Biedna staruszka z biegiem lat stawała się coraz słabsza i coraz łatwiej było ją oszukać. W ten sam sposób wczesnym latem Nowaki wymykała się spod jej kontroli na schadzki z dwoma młodymi samurajami. Nobuo i Koji...

Przystojni, i to wszystko. Jeszcze rok, dwa — i na pewno staną się podobni do swoich ojców. Będą nudni, pyszałkowaci, grubiańscy i wiecznie pijani. Zwykle prowincjonalne chamstwo.

Na szczęście to już przeszłość. Teraz w ramionach trzymał ją Go! Nie zauważył, że poszła za nim. Tymczasem ona chwilę później zebrała się na odwagę, wpadła na niego, klapnęła na ziemię i udawała, że się potłukła. Nie wiedziała tylko, czy starczy jej śmiałości, aby doprowadzić swój zamiar do końca.

Już w dzieciństwie słyszała liczne opowieści o nieustraszonego barbarzyńcy z plemienia Mongołów, który służył na dworze pana Masamune. Kiedy jej ojciec był sojusznikiem księcia, wszyscy żołnierze wychwalali niezwykłą odwagę Go, jego nadludzką siłę i magiczną władzę nad końmi. Kiedy stawali się wrogami — a zdarzało się to równie często, jak chwile dozgonnej przyjaźni — oskarżano „Mongola” o bezduszną brutalność, zwierzęcy spryt i monstualną perwersję. Nowaki słuchała tego z ogromną ciekawością. Jej życie było niesłychanie nudne, a co gorsza, dobrze zdawała sobie sprawę, że tu, w tej zapadłej dziurze rządzonej przez ojca, już zawsze będzie nudno. Bandan był typowym prowincjuszem o wąskich horyzontach. Pod tym względem niczym nie różnił się od sąsiadów. Jej starsze siostry wyszły za mąż za podobnych bufonów jak ojciec i bracia — władców kawałka piaszczystej ziemi, gnojówki i stęchłych ryb. Ledwie umieli czytać i pisać. Żaden nie przypominał wykształconych, wrażliwych i romantycznych bohaterów *Wspomnień spod wezgłowia* i *Opowieści o księciu Genjim*.

Wprawdzie Go też nie pasował do tego wizerunku, ale był odrobinę lepszy. U boku wielkiego chana mongolskiej hordy, Kubilaja, mknął na koniu przez azjatyckie stepy. Widział bogate miasta Chin, ziemie lodowych ludzi na północy, egzotyczne bestie z południowych dżungli i wysokie góry Tybetu. Nowaki nigdy nie zawędrowała dalej na południe niż do brzegów Morza Wewnętrznego. Na zachodzie znała tylko Akaokę. Gdyby zawsze słuchała ojca, dziś byłaby zaręczona z jednym z tych gamoni. Najlepszym kandydatem miał być Hironobu. Sześciolatekni smarkacz! Przez kilka lat będę go niańczyła, myślała Nowaki, potem pokażę mu, co nosi w spodniach, dam mu

potomka i na tym koniec. Do końca życia każe mi słuchać swoich pijackich przechwałek. Znała to już z własnego domu. Ale Bandan miał jeszcze inne plany — zamierzał wysłać córkę na dwór do cesarskiego Kioto, w roli oblubienicy albo konkubiny jakiegoś arystokraty. Widziała kiedyś takiego księcia, który przyjechał do nich po pomoc. Był wątły, blady, miał mocno upudrowaną twarz i ubierał się lepiej od niej. Mówił zniewieściałym, jakby śpiewnym głosem, tak wyszukaną japońszczyzną, że trudno go było zrozumieć. Najpierw powiedział, że podróż ze stolicy była tak męcząca, iż omal go nie zabiła. Potem zasłonił usta rękawem i zachichotał jak dziewczyna. Nowaki wołałaby raczej umrzeć niż pozwolić, żeby taki degenerat jej dotykał, bez względu na to, jakich ma wspaniałych przodków.

Wreszcie, pewnego letniego dnia, wybrała się na nieco dłuższą wycieczkę do jednej z większych wsi na ziemiach ojca. Dla ochrony towarzyszyli jej Nobuo i Koji. Było to nawet trochę śmieszne ze względu na jej zakazany romans. Z nudów postanowiła wstąpić do chaty pewnej staruchy, uważanej powszechnie za wróżbitkę. Stara oszustka urządziła niezły pokaz. Kiedy tylko Nowaki przestąpiła próg, pozornie ślepa wiedźma zwróciła twarz w jej stronę, otworzyła usta ze zdumienia, upuściła garnek i chwiejnym krokiem cofnęła się pod samą ścianę.

— To ty — wybełkotała.

— Pewnie, że ja — odpowiedziała Nowaki. Próbowwała powstrzymać się od śmiechu, ale nie bardzo jej się to udało. — Wiesz, kim jestem?

— Jestem ślepa, ale widzę niejedno — odparła starucha najbardziej złowróżbnym głosem, na jaki potrafiła się zdobyć.

— Tak? A co widzisz?

— Nie tyle, co ty zobaczysz.

To nareszcie wzbudziło ciekawość dziewczyny.

— Dużo zobaczę?

— Dużo — padła odpowiedź.

— Ale co? — Nowaki spodziewała się, że stara wiedźma powie jej coś o dalekich krajach. Gdyby tak się stało, uznałaby, że naprawdę ma do czynienia z wieszczką. — Mów szybko, nie ociągaj się!

— Zobaczysz... — Stara umilkła z otwartymi ustami. Wargi jej drżały, mrugała nerwowo i wydymała zapadłe policzki.

Nowaki czekała cierpliwie. Doszła do wniosku, że domniemanej wiedźmie należą się pewne względy. Być może stara nie umie wróżyć, lecz doskonale gra swoją rolę, zatem jak każdy dobry aktor, ma własne poczucie czasu. Dziewczyna nie chciała jej przeszkadzać. Pomyślała tylko, że wróżka marnuje się w tej zapadłej dziurze. W Kioto, Kobe lub Edo zrobiłaby karierę.

— Zobaczysz coś, czego nikt inny — z jednym jedynym wyjątkiem — oprócz ciebie nie widział — powiedziała stara. — I nigdy nie zobaczy.

Nowaki zaklaskała z radości. Była pewna, że ten „jedyny”, o którym mówi wieszczka, to właśnie Go. Przecież poza nim nikt nie oglądał tylu wspaniałych rzeczy. Dopiero ona będzie miała okazję je ujrzeć!

— Dziękuję, dziękuję bardzo — mamrotała Nowaki, kłaniając się jak najniżej. — Po powrocie do zamku każę ci przysłać ryż, sake i ryby.

Stara czarownica uniosła ręce i potrząsnęła głową. Ciągle siedziała w kucki, oparta o ścianę.

— Nie, nie... Nic mi nie jesteś winna, pani.

— Nieprawda — odparła Nowaki. — Sprawiasz mi ogromną radość.

Od tamtej pory myślała tylko o tym, jak podejść i uwieść „Mongola”. Co prawda była jeszcze bardzo młoda, ale z uwagą przeczytała wszystkie podręczniki mówiące o miłości. Część sposobów wypróbowała przy chętej pomocy Nobuo i Kojiego. Oczywiście Go był trudniejszym wyzwaniem. Mimo to wiedziała, że znajdzie jakiś sposób — i spokojnie czekała na właściwy moment.

Taką okazją stały się huczne obchody zwycięstwa pana Hironobu w lasach Muroto.

* * *

— Nie chcę iść do komnaty — zaproponowała Nowaki. — Tam wszyscy są pijani i wciąż powtarzają te same głupoty, które mówią zawsze, kiedy są pijani.

— Cieszą się ze zwycięstwa — odpowiedział Go. — Mają prawo się upić.

— Przecież to ty wygrałeś, nie oni — zauważyła, unosząc głowę. — Dzięki mongolskiej taktyce i mongolskiej odwadze. — Go lekko zeszywniał. Och, nie... Znów popełniła ten sam błąd i nazwała go Mongołem. Kim on właściwie jest? Te cudzoziemskie słowa bywają takie trudne... Nu-lu-cośćtam. Nie chciała, żeby się pogniewał, bo to zniweczyłoby jej plany. Szybko udała, że omdlewa, i zawisała mu na ramieniu. Podstęp chyba okazał się skuteczny, gdyż Go odezwał się bez cienia złości w głosie:

— Pan Hironobu jest zwycięzcą. — Mocniej przygarnął ją do siebie, żeby przypadkiem się nie przewróciła.

— Pan Hironobu to jeszcze dziecko — odpowiedziała. — Ma dopiero sześć lat. Ledwie potrafi sam dojść do wychodka.

Go się roześmiał.

— Ale zwycięstwo jest naprawdę jego. Wiecznie nie będzie dzieckiem. Spróbuj pomyśleć o nim trochę inaczej. Jest księciem i niedługo stanie się mężczyzną. Zacznie szukać żony. Został naznaczony niezwykłym symbolem, przyniesionym na skrzydłach setek ptaków.

— Nie wierzę w żadne przepowiednie — ucięła Nowaki. — A ty?

Rozległ się trzask pioruna, a potem nastąpiła chwila upiornej ciszy.

Zamigotało widmowe światło.

Ruchome cienie zatańczyły w długim korytarzu i znikły, wchłonięte przez czarną plamę mroku, która zdawała się szybko sunąć w ich stronę.

Wreszcie niebo pękło na dwoje i nieziemskie góry z gigantycznym hukiem zwały się w otchłań.

* * *

Po kilku tygodniach od wielkiej uczy na zamku pana Hironobu stało się oczywiste, że pani Nowaki jest w ciąży. Choć zawsze była cichą i posłuszną córką, tym razem nie zdradziła imienia kochanka, bo wiedziała, że ojciec i bracia go zabiją. Kiedy kazali jej usunąć dziecko, zagroziła, że zaraz

potem popełni samobójstwo. Pan Bandan kazał zabić starą piastunkę, za to, że nie dopełniła swoich obowiązków. Nowaki nadal odmawiała odpowiedzi. Zginęło też dwóch samurajów, których Bandan podejrzewał, że kochają się w jego córce. Dziewczyna wciąż trwała w zaciętym milczeniu.

— Brak mi konceptu — przyznał pan Nowaki.

Mocno zafrasowany postępowaniem córki, coraz częściej odwiedzał Chmarę Wróbli i szukał rady u pani Kiyomi. Wprawdzie był tylko trochę starszy od niej, ale większość życia spędził na wojaczce i z wyglądu oraz zachowania przypominał posiwiąłego weterana walk toczonych jeszcze w poprzednim pokoleniu. Kobiety interesowały go jedynie jako potencjalne matki i opiekunki spadkobierców rodu. Prawdę mówiąc, nic o nich nie wiedział — może z wyjątkiem paru podstawowych rzeczy z anatomii. Był przerażony zachowaniem i uporem córki. Jego żona zmarła w połogu, a oprócz niej nie miał dosłownie nikogo, z kim mógłby otwarcie porozmawiać o tych sprawach.

— Dlaczego nie chce mi powiedzieć, kto jest ojcem? Przecież nie żądam od niej nic więcej! To za wiele?

— A co zrobisz, panie, gdy się tego dowiesz? — Zapytała pani Kiyomi.

Bandan huknął pięścią w stolik. Służące rzuciły się, żeby przytrzymać czarki z herbatą i uchronić matę przed zalaniem.

— Zabiję go — burknął posepnie. — Powoli i dokładnie.

Pani Kiyomi zasłoniła usta rękawem kimona i roześmiała się.

— To cię śmieszy? — Bandan z zakłopotaniem zmarszczył brwi. — Wcale nie żartowałem.

— Panie... Spodziewasz się, że młoda dziewczyna powie ojcu, z kim spała, z góry wiedząc, że jej kochanek poddany zostanie torturom? Przecież dziecko będzie sierotą, zanim się urodzi.

— Sprowadziła hańbę na nas wszystkich.

— Pani Nowaki wcale nie myśli o honorze. Dla niej liczy się tylko miłość. Jak możesz żądać, żeby ów młodzian przyszedł i poprosił cię o spóźnione błogosławieństwo, panie, skoro ciągle się złości, grozisz i narzekasz?

— Wiesz, że to młodzian?

— Nic nie wiem, ale twoja córka ma zaledwie czternaście lat. Wątpliwe, żeby pokochała kogoś dużo starszego. — Pani Kiyomi nieco posmutniała. — Mam nadzieję, że to nie był jeden z tych dwóch samurajów, których kazałeś zabić.

— Na pewno nie. Wprawdzie Nowaki płakała, kiedy pokazałem jej głowy, ale nie wpadła w rozpacz.

Pani Kiyomi zamruwała gwałtownie.

— Pokazałeś jej głowy, panie?

— No tak, choćby na dowód, że dotrzymałem słowa. Nie chciałem, by pomyślała, że udaję.

— Ten, kto cię choć trochę zna, panie, nigdy nie myśli, że udajesz. Nie musiałeś stosować tak ponurych metod wobec własnej córki.

— Nie przyzna się, kto jest ojcem dziecka?

— Nie.

— Więc co mam zrobić? Przecież to straszna hańba! Moja córka zaszła w ciążę z człowiekiem, o którym nic nie wiem. Na wszystkich bogów i buddów, czymże zawiniłem w tym lub tamtym wcieleniu, że tak mnie pokarali? Mogę zbudować świątynię i modlić się dnie i noce. W tej chwili nic więcej nie przychodzi mi na myśl.

— To nawet niezłe rozwiązanie — stwierdziła pani Kiyomi.

Teraz Bandan wybuchnął śmiechem.

— Tym razem żartowałem. Nie jestem mnichem, tylko wojownikiem. Nie będę błagał o łaskę niebios. Swoje sprawy załatwiam własnymi rękami. Na pewno coś wymyślę.

— Już wymyśliłeś, panie. Zbuduj świątynię.

Bandan popatrzył na nią spode łba.

— Skoro bogowie dopuścili, aby Nowaki straciła cnotę, to nie wskażą mi winowajcy, choćbym nawet zbudował dziesięć świątyń, nie jedną!

— Zbuduj świątynię, ale nie dla siebie — odparła pani Kiyomi. — Dla pani Nowaki. Niech sobie tam zamieszka, powiedzmy na dwa lata. Zabierze dziecko z oczu plotkarzy i będzie miała wystarczająco dużo czasu, żeby odzyskać równowagę i poświęcić się macierzyństwu. Kiedy wróci, nikt już nie będzie patrzył na nią złośliwie ani z ciekawością. Do tego czasu pewnie poznamy ojca. Podejrzewam, że ucieknie, wy-

straszony twoimi pogroźkami o torturach i karze śmierci, panie. Wtedy...

— Dopadnę go jak psa i zatłukę! — Wykrzyknął pan Bandan.

— ...wybaczysz im obojgu. Wykażesz pełne zrozumienie dla ich młodzieńczych romantycznych uczuć.

— Wybaczyć? Nigdy!

— Zrozumiesz bowiem, że tylko wtedy, kiedy przyjmiesz go do rodziny — ciągnęła pani Kiyomi o wiele twardszym tonem — wszyscy zapomną o skandalu i związanym z tym zakłopotaniu.

Bandan już, już otwierał usta, żeby upierać się przy swoim, ale w porę ugryzł się w język. Pomyślał chwilę i się uklonił.

— Masz rację, pani Kiyomi. To jedyny sposób. Dziękuję ci, że tak prosty wojownik jak ja mógł zasięgnąć twojej mądrej rady. Znam nawet odpowiednie miejsce. Mój kuzyn, pan Fumio, włada niewielkim lennem na północy, wręcz znakomitym dla naszego celu.

* * *

Tej zimy panią Kiyomi zaczęły nawiedzać sny. Najdziwniejsze, że niczego z nich nie pamiętała, z wyjątkiem niezmiernie pięknej młodej dziewczyny, która zwracała się do niej „pani matko”. W ten sposób przemawiały synowe do teściowych. Pani Kiyomi była przekonana, że widzi we śnie przyszłą żonę księcia Hironobu. Przyglądała się więc wszystkim dziewczynom w przekonaniu, że u którejś z nich rozpozna znajome rysy. Sen powtarzał się kilkakrotnie, ale choć usilnie próbowała, nie mogła sobie nic z niego przypomnieć. Poszukiwania wśród dziewczynek także nie przyniosły rezultatu.

Następnej wiosny, kilka tygodni przed dniem siódmych urodzin, pan Hironobu odniósł drugie wielkie zwycięstwo, tym razem na zboczach góry Tosa. W tym samym czasie, w sąsiedniej prowincji, pani Nowaki powiła córkę. Dziecko było niezwykle ciche — tak ciche, że obawiano się, iż nie przeżyje. Dziewczynka otrzymała imię godne jej szlacheckiego rodu, ale wszyscy i tak mówili na nią Shizuka — Cicha.

Nie umarła, a jej milczenie nie trwało długo. W drugim tygodniu życia zaczęła niemal bez przerwy płakać i przeraźliwie

krzyczeć. Cisza zapadała tylko wtedy, gdy mała zasypiała ze zmęczenia albo zachłannie ssała pierś matki. Ale to nigdy nie trwało długo. Była niemowlęciem, a niemowlęta w jej wieku jeszcze nic nie widzą, lecz to, czego nie widziała, musiało być okropne. Z przerażeniem strzelała oczkami na wszystkie strony.

Krzyczała.

Nie umarła i nie przestawała krzyczeć.

Wciąż mówiono na nią Shizuka — czasami z nadzieją, niemal zawsze z rozpaczą, i coraz częściej w formie przekleństwa.

* * *

Minał rok i pani Kiyomi odwiedziła opactwo Mushindo. Miała dobrą okazję, by pomyśleć o niedawnej przeszłości. Minione cztery pory roku wyznaczały najdziwniejszy i chyba najbardziej trudny okres w jej życiu. Zrozumiała wtedy, dlaczego niektórzy ludzie nagle odsuwają się od świata i na zawsze zostają w klasztorze. Gdyby ona nosiła się z tym zamiarem, to Mushindo byłoby dla niej odpowiednim miejscem. Leżało za daleko, by często składano wizyty, ale nie tak daleko, by nikt nie przyjeżdżał. Rzadko widywałąby krewnych i przyjaciół, a więc nie było mowy, aby ich obecność mogła osłabić w niej rzeczywistą potrzebę nabożnej samotności. Z drugiej strony nie zerwałaby z dawnym życiem. Chodziło o współczucie. Takie rozstania są zazwyczaj cięższe dla tych, co zostają, niż dla tego, który odchodzi.

Opactwo powstało na tyle blisko północnej granicy, żeby obudzić w mniszkach poczucie zagrożenia — a co za tym idzie, potrzeby tak ważnej dla każdego, kto szuka wstępu na Ścieżkę Buddy. Jednak napaść ze strony barbarzyńców Emishi wydawała się mało realna. Najbliższa wieś, Yamanaka, leżała w dolinie, godzinę drogi ze świątyni stojącej na niskim wzgórzu. To także było dobrze pomyślane. Świątyni nie brakowało zapasów i rąk do pracy, lecz obie społeczności mijały się. Wieś była na tyle duża, że bez większego trudu mogła utrzymywać niewielkie opactwo.

Świątynia powstała w wyniku nieszczęścia — chociaż istniały gorsze rozwiązania. Niby niewiele, ale jednak...

W ogrodzie, w którym pani Kiyomi czekała na panią Nowaki, słychać było dochodzący z lasu cienki głos księcia Hironobu i stłumione odpowiedzi Nurdżena.

Właśnie mijało kolejne lato... Wszystko się zmieniło. Zaledwie rok temu jej mąż, władca Akaoki, był właścicielem paru zagród i wsi rybackich, praktycznie bez znaczenia, w małym zakątku wyspy Shikoku. Teraz jej syn Hironobu, zaledwie siedmioletni, zagarnął ziemie po obu stronach Morza Wewnętrznego. Odebrał lenną przysięgę od Bandana i Hikariego i zyskał status daimyo. W dwóch szybkich kampaniach rozbił wrogą armię i tak poturbował swoich przeciwników z rodu regentów Hojo, że przewidywano ich szybki upadek.

Rok temu pani Nowaki miała czternaście lat i była dziewczyną. Dzięki urodzie budziła nadzieję wśród krewnych, że dostanie się na dwór cesarski w Kioto. Teraz była matką upośledzonego dziecka, od miesięcy zamkniętą w odległym opactwie, zbudowanym specjalnie po to, żeby usunąć ją sprzed oczu poddanych. Ze względu na chorobę małej Shizuki nikt już nie miał nadziei, że kiedyś stamtąd wyjdą.

Rok temu pani Kiyomi nawet nie myślała, aby wybrać się w podróż tak daleko na północ. Prawdę mówiąc, pierwszy raz przepłynęła przez Morze Wewnętrzne w drodze na ślub z ojcem Hironobu. Potem co roku bywała w Kobe z krótką wizytą u rodziny. Ostatnio obiecała panu Bandanowi, że każdej wiosny i jesieni pojedzie do Mushindo, by sprawdzić, co słychać u pani Nowaki. Ponieważ była matką księcia i w tych podróżach towarzyszył jej sam daimyo, pan Bandan uważał to za wielki zaszczyt. Zwykła uprzejmość wystarczyła, żeby na stałe przylgnął do księcia Hironobu — bo tego wymagała wdzięczność i honor wojownika.

Pani Kiyomi była de facto regentką swojego syna, więc bez przerwy musiała myśleć o takich sprawach. Oficjalny regent, generał Ryusuke, miał dużo dobrych chęci, lecz nie grzeszył rozsądkiem. Piastował swą funkcję wyłącznie dlatego, że był najstarszym oficerem ze sztabu dawnej armii — i na tyle mądrym, aby wiedzieć, że brak mu właściwych kompetencji, aby w pełni korzystać z władzy. Gdyby go nie wybrano,

musiałby zginąć, bo byłaby to dla niego tak wielka obraza, że w oczach ludzi od razu stałby się przeciwnikiem pani Kiyomi i księcia Hironobu. Chcąc nie chcąc, musiałby zawiązać spisek. Oczywiście pani Kiyomi by go nie zabiła. Jedyne wiedźmy mordowały swoich nieprzyjaciół, najczęściej za pomocą zdradliwej trucizny, cienkiego drutu lub igły wbitej w skroń, tuż przy nasadzie włosów, albo przez uduszenie. Najczęściej uciekały się do dwóch ostatnich metod, zwłaszcza jeżeli sypiały z ofiarą. W takich przypadkach wykrycie zbrodni było praktycznie niemożliwe. Pani Kiyomi skrzywiła się na myśl, że miałaby wejść do łóżka takiego ciemni, jak generał Ryusuke. Już samo to powstrzymałoby ją od morderstwa, nawet gdyby istotnie była czarownicą. Na szczęście miała Go — a ten bez wahania spełniał jej rozkazy. Chociaż pochodził z ludu barbarzyńców, cechowała go wierność godna samuraja. Dobrze, że stoi po stronie księcia.

Z opactwa dobiegały rozdzierające krzyki niemowlęcia. Shizuka się obudziła.

* * *

Hironobu wspiął się na wysokie głazy otaczające świątynię.

— Co byś najpierw zrobił, gdybyś miał się tu bronić przed atakiem wrogów? — Zawołał.

— Przede wszystkim nie stawałbym na tych kamieniach — odparł Go. — To za łatwy cel dla łuczników.

— Ale tu nie ma żadnych łuczników — zauważył Hironobu. — Pytałem tak na przyszłość.

— Jesteś księciem — powiedział Go. — A skoro troszczysz się o takie rzeczy, to powinieneś wiedzieć, że wciąż grozi ci niebezpieczeństwo.

Hironobu ze zgnębioną miną zszedł z głazu.

— Zawsze muszę się martwić, że ktoś mnie zabije?

— Martwić? Nie, panie. Ale byłoby dobrze, gdybyś o tym pamiętał. Z bronią w ręku zdobyłeś piętnaście majątków. W ten sposób dorobiłeś się niezliczonych wrogów wśród krewnych i samurajów piętnastu magnatów, którym pomogłeś przenieść się do Czystej Ziemi.

— Przysięgali mi wierność w zamian za darowanie życia.
— Naprawdę jesteś tak młody, panie?
— Mam siedem lat — powiedział Hironobu. — To całkiem sporo.

Nagle murami świątyni wstrząsnął przeraźliwy wrzask. Hironobu przysunął się do Nurdżena.

— Kogoś wzięli na tortury — szepnął. — W takim świętym miejscu?

— To nie tortury. To dziecko płacze.

— Dziecko? — Hironobu przysłuchiwał się temu przez chwilę z wyraźnym powątpiewaniem. — Słyszałem już płacz dzieci. To brzmiało zupełnie inaczej.

— Dziecko — powtórzył Go. Niemal usłyszał echo tego słowa w zimnej pustce, wypełniającej jego piersi. Dziecko, powiedział, chociaż na usta cisnął mu się zupełnie inny wyraz: czarownica.

Jak to się stało? Nie wiedział. W kółko myślał o tamtej nocy i nie był ani trochę mądrzejszy.

Jeszcze przed chwilą szedł z córką pana Bandana do komnaty. Teraz oboje leżeli w ruinach dawnego fortu dzikich Emishi, jakąś godzinę jazdy konnej od zamku. Go doskonale zdawał sobie sprawę, że bez skrupułów wykorzystał naiwność młodzietkiej dziewczyny. Sęk w tym, że wcale nie miał takiego zamiaru. Najpierw poszli po prostu na spacer, później odbyli krótką przejażdżkę, wreszcie schronili się w ruinach przed nagłą ulewą. A potem było już za późno — stało się, co się stało.

Go nie myślał o śmierci. Dziesięć lat temu był pewny, że zginie na plaży Hakata, do której przybił z wojskami Mon-gołów. Od tamtej pory żył na kredyt. Każdą chwilę traktował jak dar od bogów. Teraz śmierć wydawała się tylko kwestią czasu. Wprawdzie dziewczyna obiecała, że nic nie powie, ale była dziewczyną. Wkrótce wszyscy o wszystkim się dowiedzą. A jak wszyscy, to także ojciec. Głowa Go zostanie zatknięta na włóczni przed bramą zamku. Na tę myśl gorzki uśmiech zagrościł na ustach Nurdżena. Przynajmniej będę wiedział, że

krwój mojej matki wyginie wraz ze mną... — pomyślał. Dla wiedźmy najważniejsza była ciągłość rodu. Skoro Go nie miał córki, to dzieci Chiakiego ani następne pokolenia już się nie liczyły. Kłątwa została przerwana.

Ale mijały dni, a do księcia nie przybył ani jeden posłaniec od pana Bandana z żądaniem głowy Nurdżena. Najwyraźniej Nowaki była bardziej słowna, niż można było przypuszczać. Umiała strzec tajemnicy. Go pomyślał, iż może ich małe przewinienie nigdy nie wyjdzie na jaw. Jednak wkrótce dowiedział się czegoś nowego, chociaż nie od posłańca, tylko w formie plotki. To było gorsze od wyroku śmierci. Pani Nowaki zaszła w ciążę. Go od razu wiedział, co się stało. Wyczuwał w tym robotę matki. Jeszcze z za grobu go wykorzystała, by utorować drogę nowej wiedźmie.

Musi pospiesznie zgładzić czarownicę. Najprościej było zabić Nowaki, żeby przeklęty płód sześc w jej łonie. Po urodzeniu będzie dużo trudniej. Każda wiedźma — nawet niemowlę — ma władzę nad otoczeniem. Ludzie bezwiednie wypełniają jej nieme rozkazy. Z jego dziadka i ojca, potężnych wojowników, pozostały jedynie wyschnięte łupiny, tak wyssała ich ta, którą jeden nazywał córką, a drugi żoną. Jako dziecko, wyrostek i dorosły mężczyzna Go musiał znosić docinki współplemieńców. Syn czarownicy. Pies wiedźmy. Nasienie eunucha. W obecności matki wszyscy byli nadzwyczaj grzeczni i układni. W duchu nienawidzili jej i dręczyli jej syna. Ale kiedy przepowiadała przyszłość, czujnie słuchali i znosili dary. Od jej zaklęcia zdrowieli chorzy i umierali nawet najzdrowsi. Głusi odzyskiwali słuch, wrogowie ślepli. Przynajmniej tak się wszystkim wydawało. To nam wystarczy, powtarzała matka, żeby ognisko nigdy nie wygasło, abyśmy mieli zapas paszy, zawsze napojone konie i nie chodzili spać o pustym brzuchu.

Jak zabić Nowaki? To trudne pytanie. Była córką wielmoży i zajmowała pokoje w odległej części zamku, której zupełnie nie znał. Musiałby się tam zakraść. Niestety, nie potrafił. Był urodzonym jeźdźcem. Znał tylko atak z siodła, najlepiej w pełnym galopie, z najmniej oczekiwanej strony. Ale w ten sposób nie może wdrzeć się do kobiecych komnat. Czekał na jakąś

sposobność. Nic z tego nie wyszło. Dziecko przyszło na świat dwa miesiące wcześniej, niż powinno.

I jak się z lękiem spodziewał, była to dziewczynka.

* * *

— To dziecko — powiedział Go.

— Jesteś pewny? — Hironobu nie pozbył się wątpliwości.

— Tak.

— Widziałeś je?

— Nie.

— Ja też nie — powiedział Hironobu. — Ani moja matka. Nikt nie widział. Nie sądzisz, że to trochę dziwne?

Go pokręcił głową.

— Jeśli dziecko jest chore, to rodzina zazwyczaj ukrywa je przed ludźmi. Nie ma w tym nic dziwnego.

Chłopiec spojrzał na niego z nagłym zainteresowaniem. —

Myślisz, że jest potworkiem? To byłoby straszne.

— Nie jest — odparł Go. Tu raczej chodzi o szaleństwo, a to dawało mu pewną nadzieję. Rzecz jasna każda wiedźma jest po trochu obłąkana, ale nie objawia tego w tak wyraźny sposób. Miałaby mniejszą władzę nad ludźmi, gdyby uznali ją za wariatkę. W takim przypadku obłąd jest lepszy od szpetoty. Czarownica może być brzydka. Tego od niej oczekiwano. Ale matka Go wręcz przeciwnie, szczyciła się swoją urodą. Dzięki temu łatwiej oszukiwała całe plemię.

— Lepiej pędź już do swojej matki, książę. Pani Nowaki zaraz przyjdzie.

— Muszę? — Hironobu zrobił ponurą minę. — Dzieci mnie nie ciekawią, nawet małe potworki. Chociaż może potwórka to bym jeszcze zobaczył... Ale zupełnie nie chce mi się słuchać matki ani pani Nowaki. W kółko mówią to samo, o dzieciach i macierzyństwie.

— Pan Bandan jest twoim najpotężniejszym wasalem, panie. To dla niego ogromny zaszczyt, że osobiście zechcesz odwiedzić jego córkę i wyrazić współczucie dla jej sytuacji. W ten sposób wzrośnie dług wdzięczności Bandana wobec ciebie. To sprawa honoru i rozsądnej decyzji, a nie rozmów o dzieciach.

— Łatwo ci mówić. Ty tam nie musisz siedzieć. — Mimo to Hironobu zrobił, co mu kazano, i poszedł w stronę świątyni. W bramie odwrócił się i zawołał przez ramię:

— A ty dlaczego nie idziesz?

— Nie wolno mi — odpowiedział Go. — Pani Nowaki słubowała żyć w odosobnieniu.

— To dlaczego ja mogę? Bo jestem jeszcze dzieckiem?

— Bo jesteś księciem, panie.

Chłopiec nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Od razu poweselał i z uśmiechem wszedł do opactwa.

— Właśnie idzie — zauważyła pani Kiyomi.

Hironobu zobaczył je w otwartej izbie, wychodzącej na świątynny ogród. Pani Nowaki nadal była tą samą No-chan, która zeszłego lata uczyła go puszczać latawce, bawiła się z nim w chowanego i zamiast spać, opowiadała mu dziwne historie o duchach. Ale to było, zanim został księciem. Zanim ona z kolei tak bardzo urosła. Teraz wyglądała zupełnie inaczej niż roześmiana dziewczyna z jego wspomnień. Nie chodziło tylko o ubiór, chociaż jej szary habit rażąco kontrastował z kolorowym kimonem, które kiedyś nosiła. Twarz, okolona zawojem mniszki, była twarzą pięknej kobiety.

Pani Nowaki ukłoniła się.

— Przykro mi, że przeze mnie musisz znosić niewygodę, panie.

Hironobu oddał jej ukłon.

— Rad jestem, że znowu cię widzę, pani. — Próbował powiedzieć coś jeszcze, ale nie mógł niczego wymyślić. Poczzerwieniał, kiedy dziewczyna uśmiechnęła się do niego. Kiedy tak wypiękniała?

— Patrzcie państwo... — westchnęła pani Nowaki. — Strasznie urósł od ostatniego razu.

— Tak — odparła pani Kiyomi. — Dzieci... — zająknęła się, a potem dokończyła zbyt pośpiesznie: — Tak, dzieci rosna bardzo szybko.

— Masz wiele przed sobą, pani — powiedziała Nowaki. — Młodego księcia czeka świetlana przyszłość... — Miała łzy w oczach, ale pokryła to uśmiechem i nie zapłakała.

Hironobu nie słyszał już krzyków niemowlęcia. Na pewno zasnęło. Na krótko przed wyjazdem przypadkowo podsłuchał rozmowę dwóch pokojówek. Jedna ponoć słyszała od służącej Bandana, że dziecko nie płacze tylko wtedy, gdy usnie. Z kolei druga jakoby znała siostrę jednego z tamtejszych koniuszych. Dowiedziała się, że konie, słysząc krzyki, wpadają w dziki popłoch i próbują rozwalić stajnię. Żadna z nich nie słyszała o kimś, kto znałby kogoś, kto by to widział, ale obie były porządnie wystraszone.

Korzystając z tego, że matka wdała się w dłuższą rozmowę z panią Nowaki, Hironobu, jak gdyby nigdy nic, zajrzał w głąb pokoju. Myślał, że może dziecko leży gdzieś tam z tyłu, lecz niczego nie zobaczył. Szkoda... Wprawdzie Go mówił, że niemowlę wygląda normalnie, ale Hironobu do końca mu nie wierzył. Przecież normalne dziecko nie mogłoby wrzeszczeć tak upiornie nieludzkim, niemal zwierzęcym głosem. Nie straszyloby koni, zwłaszcza bojowych rumaków, których dosiadał pan Bandan i jego samuraje.

Jak też może wyglądać? Na pewno ma wielkie usta... Może pysk, jak niedźwiedź? Ostre zęby. Nie, chyba jeszcze jest za małe na zęby, ale później na pewno będą bardzo ostre. W kilku rzędach, jak u rekina. A oczy? Węża. Nieruchome. Do tego gruba sierść borsuka albo szczecina jak u dzika. Długi ogon, który myśli... Koty też taki mają. Okropny mały potwór! Nic dziwnego, że pan Bandan wygnał córkę z domu. Ciekawe, kim jest ojciec?

Przed rozwiązaniem dworki wymieniały imiona wielu młodych samurajów ze świty pana Bandana, pana Hikarięgo, a nawet Hironobu. Ale teraz już nikt ze służby w to nie wierzył. To musiał być jakiś duch albo demon. No dobrze, mógł posłużyć się człowiekiem. Kim? Nieważne. Pytanie brzmiało: jaki duch? Jaki demon? Bez tego nie można było znaleźć stosownych modlitw ani odprawić egzorcyzmów. Kapłan musiał znać imię zjawy. Niewłaściwe zaklęcie, na przykład dobre na duchy, w przypadku demonów mogło mieć zgubne skutki. Wystarczyło choć jedno nieopatrzne słowo, aby złośliwy upiór nabrał większej mocy i stał się groźniejszy. Dworki zgadzały się, że nad całym zamkiem zawisła straszliwa groźba,

i chwaliły pomysł odesłania dziecka do odległej świątyni na północy kraju. Były przekonane, że upiór pójdzie za nim.

— Co ty wyprawiasz, Hironobu? — Chłopiec drgnął, słysząc głos matki. Myślał, że nikt nie zwraca na niego uwagi. — Zachowujesz się jak mały złodziej.

— Nic nie wyprawiam, mamó. Go kazał mi do was przyjść, więc przyszedłem.

— Ale nie kazał ci tu wiecznie siedzieć. Przywitałeś się z panią Nowaki? No to wracaj do Go.

Hironobu zrobił naburmuszoną minę. Zamiast posłuchać pani Kiyomi, zmarszczył brwi i powiedział:

— Nic z tego. Nie będę łąził z kąta w kąt, wciąż przepędzany przez dowódcę gwardii i rodzoną matkę. To nie przystoi księciu.

Pani Kiyomi uśmiechnęła się.

— Pod pewnym względem masz rację. Nie zapominaj jednak, że skończyłeś dopiero siedem lat. Weź więc to pod uwagę i zrób, co mówię.

Skłoniła się, ale był to zdawkowy ukłon matki przed synem, a nie damy rozmawiającej z księciem.

— To nie pasuje jedno do drugiego — burknął Hironobu. — Jeżeli jestem księciem, to tylko księciem. Jeżeli chłopcem, to tylko chłopcem.

— Owszem — westchnęła pani Kiyomi. — To dwie różne role. Ale spróbuj do tego przywyknąć. Za kilka lat, kiedy przejmiesz zwierzchnictwo nad klanem, będziesz musiał robić dwie, trzy, albo nawet cztery rzeczy naraz. Rzeczy całkowicie do siebie niepodobne. Jeżeli tego nie dokonasz, jeśli nie stworzysz harmonii tam, gdzie pozornie jest to niemożliwe, nigdy nie staniesz się prawdziwym księciem. Będziesz nim tylko z imienia. — Matka skłoniła się ponownie, ale tym razem dużo głębiej, jak przystało w obecności księcia. — Mam nadzieję, że weźmiesz to sobie do serca, panie — dodała z nisko pochyloną głową.

Hironobu także skłonił się głęboko.

— Zapamiętam sobie twoje słowa, pani — odparł równie oficjalnym tonem. — Dziękuję bardzo.

Na odchodnym usłyszał za sobą głos pani Nowaki.

— Świetnie go wychowałaś, pani. To prawdziwy mały mężczyzna, a nie chłopiec.

Hironobu wyszedł ze świątyni jeszcze weselszy niż przedtem. Zupełnie nie przejmował się, że nie zobaczył dziecka. To nieważne, pomyślał. Na pewno jeszcze trafi się okazja. Przekonany o swojej racji, obiecał sobie, że następnym razem przywiezie na zamek skrawki dziwnej sierści.

* * *

Go właśnie skończył czujny obchód świątyni, kiedy zobaczył wracającego Hironobu. Pod nieobecność księcia szukał jakiejś szczeliny, przez którą mógłby, pod osłoną nocy, wśliznąć się do opactwa. Niczego nie znalazł. Pan Bandan zmienił Mushindo w niewielką fortecę. Nurdzen domyślał się, że wszystkie „mniszki” do niedawna służyły w komnatach pani Nowaki, więc doskonale władały bronią: halabardą o długim ostrzu, krótkim mieczem i nożem. Wiedziały też, jak obezwładnić i okaleczyć przeciwnika. A może nawet coś gorszego? Było jeszcze trzech mężczyzn o wojskowej postawie, zamieszkujących chatę po drugiej stronie murów. Go nie mógł ich rozpoznać, ale podejrzewał, że są to samuraje, a nie ogrodnicy.

— Nie widziałem dziecka — oznajmił Hironobu.

— Już ci mówiłem, książę — odparł Go — że pani Nowaki schroniła się tu z niemowlęciem, żeby być z dala od ludzi, a nie po to, by je pokazywać.

— Nadal myślę, że to odmieniec. Co robisz? — Spaceruję. A co miałbym robić?

— Nie wiem. Nie wygląda na to, że tylko spacerujesz. Go się uśmiechnął. Hironobu widział dużo więcej niż inni chłopcy w jego wieku. To było obiecujące. Może pewnego dnia dorówna swojej sławie, zrodzonej przez stado ptaków i pasmo niezwykłych zwycięstw?

— Go?

— Słucham, panie.

— Jaka jest różnica między duchem i demonem?

— Dlaczego pytasz?

— W ten sposób można by ustalić, kto jest ojcem dziecka pani Nowaki.

Go zatrzymał się i spojrzał na niego.

— A kto mówi, że to sprawka duchów?

— Wszyscy. Ale nie wiedzą, czy bać się ducha, czy demona. Na czym polega ta różnica? Przecież tu chodzi o upiory.

— Demon przybywa z innego świata — wyjaśnił Go — a duch jest cieniem człowieka żyjącego kiedyś na ziemi.

— Który z nich łatwiej wejdzie w ludzkie ciało?

— Co takiego?!

— Myślę, że duch — powiedział Hironobu. — Upiór z innego świata zadusiłby kochanka i sam zajął się dziewczyną. Ale duch nie ma własnego ciała, więc musi korzystać z ludzi. Chyba się nie mylę?

Przez chwilę czekał na odpowiedź Nurdżena, ale ten gapił się na niego w milczeniu. Wyglądał na przestraszonego. Nie... to niemożliwe. Przecież Go nie boi się niczego.

* * *

Smutek młodej matki poruszył czułą strunę w sercu pani Kiyomi. Sama straciła synów w wyjątkowo tragiczny sposób, ale to było niczym w porównaniu z tragedią tej pięknej dziewczyny, której przyszło zajmować się upośledzoną córką. Każda kobieta dostaje od bogów niezwykły dar w postaci niezmiernych pokładów miłości do dziecka. Dzięki temu bez skargi znosi wszelkie cierpienia, ból i kłopoty związane z macierzyństwem. Mała istotka tuż po narodzinach znajduje ciepłe i przytulne schronienie w ramionach szczęśliwej matki. Ale gdzie znaleźć ujście dla tych wszystkich uczuć, jeśli na świat przychodzi coś tak dziwaczного, jak to się przydarzyło pani Nowaki? Smutne przeżycie i rozczarowanie po miesiącach czekania i wielkich nadziei... Nie ma co liczyć na to, że ojciec przyzna się do takiego dziecka. Pani Nowaki musi cierpieć w samotności. Nawet teraz walczy z płaczem, a to sprawiło, że pani Kiyomi także poczuła łzy pod powiekami. Szybko otarła oczy rękawem kimona.

— Strasznie tu dużo kurzu — powiedziała. — Pewnie dlatego, że świątynia stoi na wierzchołku góry, z dala od gęstych krzewów.

— To prawda — przytaknęła pani Nowaki i też otarła twarz

w podobny sposób. Była głęboko wdzięczna swojej rozmówczyni za ten pretekst. Oczywiście, nie powiedziała tego na głos. — W dodatku wiatr przynosi chmury pyłu z sąsiednich szczytów.

Pląkały obie, pani Kiyomi i młoda nieszczęśliwa matka, choć udawały, że nic się nie stało. Pani Kiyomi myślała o dziewczynce. W duchu modliła się do bogów i buddów, aby jak najszybciej zabrali dziecko z tego świata i dali mu wieczny spokój. Spokój, którego nie mogło zaznać na ziemi.

Opactwo Mushindo, 1308

Zanim doszło do wielkich zmian w życiu dziewczynki, już tylko wielebna przełożona Suku mówiła o niej „Shizuka”. Inni nazwali ją „Szalone Oczy”, bo niemal bez przerwy strzelała błędnym wzrokiem na wszystkie strony. Patrzyła w lewo, patrzyła w prawo — jej oczy były w nieustannym ruchu, z wyjątkiem chwil, kiedy z napięciem spoglądała na coś, co tylko ona potrafiła dostrzec. Krzyczała rzadziej niż w dzieciństwie, chociaż bywało, że jej rozpaczliwy głos całymi dniami błędził donośnym echem po świątyni. Z tego też względu w murach opactwa pozostały jedynie najgorliwsze mniszki, którym krzyki nie przeszkadzały w drodze do oświecenia. Inne uciekły, choć dzięki szczodrym darom pani Kiyomi i pana Bandana w Mushindo żyło im się znacznie lepiej niż w innych miejscach kultu objętych surową dyscypliną. Jedna z nich zauważyła, że oczy Shizuki drgają w taki sam sposób, jak oczy śpiących. To dało asumpt do nowych podejrzeń, że dziewczynka przez cały czas pozostaje w stanie pół snu, pół jawy. Po pewnym czasie pozostałe mniszki zgodziły się z tym zdaniem, ponieważ nie umiały sobie inaczej wytłumaczyć, jak to się dzieje, że Shizuka widzi różne rzeczy, których nie ma. Przez sen także ciągle wierciła się, mamrotała i wykrzykiwała niezrozumiałe słowa. Chyba na jawie była nawet trochę spokojniejsza, bowiem zdarzało się, że stała, siedziała lub leżała zupełnie nieruchomo, patrząc przed siebie martwym wzrokiem, jakby przykuta do jakiegoś miejsca.

Zmiana przyszła nieoczekiwanie, bez najmniejszego ostrzeżenia.

Dwie mniszki, które tego dnia miały nakarmić i przebrać dziewczynkę, ociągały się z przystąpieniem do swoich obowiązków. Psi skowyt, przerywany napadami szloch, dawał im znać, że nie muszą za bardzo się spieszyć. Właśnie zastanawiały się, czy zawiadomić o tym przełożoną, czy zaczekać, kiedy wycie nagle ustało. Zwykle szalone krzyki przygasały powoli, zastępowane cichymi jękami i dławiącym kaszlem, jakby ktoś się krztusił. Tym razem umilkły jak ucięte nożem.

— Coś tam się stało? — Szepnęła pierwsza mniszka.

— Pewnie umarła — szepnęła druga.

Pierwsza skinęła głową. Prawdę mówiąc, wszyscy od dawna się dziwili — bo rzeczywiście w tych okolicznościach graniczyło to niemal z cudem — że Shizuka wciąż żyje. Jej szaleństwo było tak głębokie, trwałe i przerażające, że zachowała zdolność jedynie do najprostszych czynności, ale i te wykonywała przy troskliwej pomocy mniszek, kroczących Ścieżką Buddy. Z logicznego punktu widzenia stanowczo za mało jadła, za mało spała i za mało o sobie dbała. Wyglądało na to, że wreszcie jej czas dobiegł końca.

Obie mniszki pobiegły do celi Shizuki. Myślały, że zobaczą na podłodze trupa. W pierwszej chwili wydawało im się, że tak jest w istocie. Dziewczynka siedziała bezwładnie, wciśnięta w kąt izby. Mniszki nabrały tchu, wstrzymały oddech, żeby choć przez chwilę nie czuć okropnego smrodu, i otworzyły drzwi.

— Trzeba o tym powiedzieć wielebnej przełożonej.

— A może najpierw zobaczymy, co jej się naprawdę stało?

— Jak chcesz. Zbadajmy ciało.

Złożyły dłonie w buddyjskim geście szacunku i akceptacji, zwanym *gassho*, i weszły do celi.

— Zaczekaj — powiedziała pierwsza.

Nie musiała nic mówić. Druga mniszka stanęła jak wryta. Obie jednocześnie zobaczyły to samo. Oczy dziewczynki były nieruchome, ale nie wзираła z nich martwota. Wręcz przeciwnie, błyszcząły jakby wewnętrznym światłem — i patrzyły prosto na mniszki.

— Okropne.
— Przez chwilę myślałam...
— Ja też. Ale to nieprawda. Zmarli nie widzą. Spójrz, ile tutaj krwi na podłodze.
— Zapewne wykrwawiła się na śmierć.
— Choroba pokonała jej umysł i ciało.
— Obejrzyjmy ją.
Podeszły z wahaniem, dużo wolniej niż przedtem. Czekwała je kolejna niespodzianka.
Shizuka się uśmiechnęła.
Pierwsza mniszka omal nie upadła. Na szczęście druga, która szła tuż za nią, zdążyła ją podtrzymać.
— Biegnij po przełożoną — powiedziała pierwsza.

* * *

Tuż przed przemianą Shizuka słyszała tyle głosów, że nawet nie zdawała sobie sprawy z własnego zachowania. Nie wiedziała, że jęczy. Nagle krzyki ucichły, ale jeden z nich nabral nowego brzmienia i klarowności. Nigdy przedtem czegoś takiego nie słyszała. Minęło kilka sekund, zanim zrozumiała, co się dzieje.

To był jej głos.

Do tej pory ginał w straszliwej kakofonii innych dźwięków, wypełniających jej duchowy wszechświat. Samotny krzyk przestraszył ją tak bardzo, że umilkła. I wtedy stało się coś jeszcze dziwniejszego.

Zapadła cisza.

Nie słyszała już żadnych wrzasków, śmiechu, płaczu, błagania, przekleństw ani rozmów. Nie było huku ogromnych maszyn, które czasami przelatywały przez jej izdebkę. Nie było stada ogromnych zwierząt... Nie było ludzi w mundurach i w łachmanach... Karnych oddziałów i rozwścieczonego tłumu...

Podobnej zmianie uległy jej pozostałe zmysły. Wszystko stało się dziwnie... pojedyncze. Do tej pory nie odczuwała tego w taki sposób. Chwile mijały jedna po drugiej, spokojnie i bez pośpiechu, nie gubiąc się w natłoku zdarzeń. Panował w tym pewien porządek: przyszłość następowała po przeszłości. Nigdy na odwrót. Zawsze widziała miliardy ludzi — wesołych, smut-

nych lub obojętnych. Niektórzy bardziej przypominali widma. Jedni radośni, inni beznamiętni. Młodzież i starcy, szkielety i nienarodzone dzieci... Żywi i martwi. Wszyscy odeszli.

Została zupełnie sama.

W pierwszej chwili ta nieoczekiwana i niezwykła pustka przeraziła ją.

Poczuła smród. Później dowiedziała się, że to odór jej niedomytego ciała, potu, fekaliów i wymiotów. Wyczuła go, ale nie dlatego, że wydał jej się nieprzyjemny — najzwyczajniej w świecie w ogóle nie pasował do feerii wszystkich lepszych i gorszych zapachów, które otaczały ją od dzieciństwa. Tamte mieszały się do tego stopnia, że nie odróżniała poszczególnych woni. Równie dobrze mogłoby ich wcale nie być

Po uszach i nosie przysłała kolej na oczy. Na pewno byłoby na odwrót, gdyby trzymała je otwarte, ale siedziała z zamkniętymi. I tak widziała zawsze to samo, więc nie musiała ich otwierać. Teraz z przejęciem popatrzyła na cztery ściany, sufit i podłogę. Wydawały jej się niezwykle trwałe, mocne i stabilne. Nic innego — z tego albo obcego świata — nie psuło ich zarysów, jak to się działo do niedawna.

A jednak te doznania, choć nowe i okropne, okazały się niczym w porównaniu z następnym, które nagle przykuło całą jej uwagę.

Coś ją ścisnęło. Całą.

Próbowała uciec, lecz gdy się ruszyła, tajemniczy potwór podążył w ślad za nią.

Zrozumiała, że „coś” siedzi jej pod ubraniem. Niewiele brakowało, a znowu by wrzasnęła, tak jak przez wszystkie lata kontaktów ze światem. Nie krzyknęła, bo z chwilą, gdy otworzyła usta, potwór dotknął jej twarzy. Przyłożyła dłoń do policzka... i wreszcie zrozumiała, co do niej przylega.

To była jej skóra.

Powoli wodziła po sobie rękami — najpierw bardzo ostrożnie, a później z podnieceniem. Pod palcami poczuła to samo, co na dłoni. Skóra wyznaczała zewnętrzny zarys jej ciała. Tworzyła coś, co przed chwilą jeszcze nie istniało.

Granice, która oddzielała ją od całej reszty.

Niebywałe odkrycie. Rodzaj wyzwolenia.

Nie była wszechświatem.

Znow coś się poruszyło, tym razem gdzieś w środku, w alarmujący sposób rozpychając żebra. Shizuka złękła się, że za moment pęknie, lecz to nagle uciekło i zapanował spokój. Rozejrzała się po niewielkiej celi. Pusto. Czyżby ktoś tylko po to uwolnił ją od klątwy mnogich wizji, żeby w zamian obdarzyć częściową ślepotą? Ale nie — stwór wrócił nie wiadomo kiedy i ponownie zaczął ją rozsadzać od środka.

— Achhh... — zająknęła się i poczuła, że płuca wypchnęły na zewnątrz haust powietrza.

Oddychała.

Oczywiście robiła to od urodzenia. W rozpasanym zamęcie przeróżnych wydarzeń, dziejących się jednocześnie, nie zdawała sobie sprawy, że oddycha. Na chwilę zamknęła oczy i nasłuchiwała wdechów i wydechów. Teraz oddychała wolniej, z przepony, a nie z piersi. Uspokoila się. Oddech w dziwny sposób połączył ją z otoczeniem.

Zatem skóra nie stanowiła zbyt szczelnej przegrody. Shizuka nie była i zarazem była fragmentem tego świata.

Usłyszała skrzypienie drewna i otworzyła oczy. Z przerażeniem zobaczyła, że część ściany przesuwa się do środka celi. Zamarła w bezruchu. Tak szybko miała stracić klarowność widzenia? Znowu pogrążyła się w chaosie wielorakich, jednoczesnych zdarzeń?

Przez otwór w ścianie weszły dwie postacie — na tyle materialne, że Shizuka nie mogła przebić ich spojrzeniem. To się czasem zdarzało, ale dosyć rzadko. Zazwyczaj majaczyły przed nią półprzejrzyste widma. Co za różnica? — Pomyślała. Trwale czy bezkształtne... Wkrótce wrócą do mnie niezliczonym tłumem i zniszczą tę małą oazę spokoju.

— Zaczekaj — powiedziała pierwsza postać. Stały obie i popatrzyły na nią.

— Okropne — przemówiła druga.

Shizuka słuchała ich z przejęciem. Bała się poruszyć. W napięciu spodziewała się, że zaraz usłyszy chór milionowych głosów, dobiegających do niej z każdej strony. W takich przypadkach zawsze krzyczała, żeby je zagłuszyć. Ale w tej chwili do jej uszu dobiegała jedynie przyciszona rozmowa

dwóch tajemniczych istot, które przed nią stały. Kiedy zbliżyły się powoli, zobaczyła za nimi podwójną czarną plamę, sunącą po podłodze. Rzuciły cień — tak jak ona. Miała więc do czynienia z ludźmi, nie zaś kolejnym przywidzeniem. Nie utraciła jasności myśli. Wręcz przeciwnie, jej umysł stawał się silniejszy.

Uśmiechnęła się.

Obie istoty stanęły jak wryte. Pierwsza wpadła na drugą, próbując się cofnąć.

— Biegnij po przełożoną — powiedziała.

Shizuka zachodziła w głowę, co je tak przestraszyło?

Może widziały coś, czego ona już nie dostrzegала?

* * *

Jasność umysłu nie trwała wiecznie. Trzy dni później Shizuka znowu usłyszała tajemnicze głosy. Znowu zobaczyła to, czego nie było, i miała wrażenie, że płynie pod prąd czasu. W tej samej przestrzeni przenikały się setki ludzi i przedmiotów. Zanim minął tydzień, znowu zapadła się w otchłań chaosu.

Minął miesiąc, wstał nowy księżyc i wszystko zniknęło. Czy te okresy ciszy były dziełem przypadku, tak samo jak szaleństwo? Nie, tu tkwiła wyraźna różnica. Już za pierwszym razem Shizuka poczuła, że jej piersi stały się lekko nabrzmiące. Nawet trochę bolały, gdy ich dotykała. Później wypływała z niej życiodajna krew. Już wiedziała, że to świadczy o jej dojrzeniu. Ta krew na pewien czas odpędzała wizje. Na pewno tak było, bo inne objawy nie zapowiadały odrobiny wytchnienia.

Każda przerwa kończyła się równie prędko jak pierwsza. Shizuka korzystała z najmniejszej okazji, aby starannie przemyśleć swoje postępowanie. Co powoduje natłok niechcianych wizji? Jak może przedłużyć chwilę wyciszenia?

W pierwszym przypadku chodziło głównie o emocje, takie jak strach, złość lub zachłanność.

W drugim, najskuteczniejszy był sam proces oddychania — w pełni świadomy, lecz niewymuszony.

Bez wątpienia istniały też inne sposoby, ale jeszcze musiały poczekać na swój moment. Kiedy chaos powrócił, Shizuka próbowała spokojnie oddychać i zdarzały jej się krótkie prze-

błyski świadomości. Trwały zaledwie chwilę — ale naprawdę były. Przedtem w ogóle się to nie zdarzało.

Uczyła się. Do tej pory była we władzy chaosu. Teraz znalazła sposób, żeby go pokonać i wyrwać się na wolność.

Minął kolejny miesiąc, a wraz z nim znowu wezbrała fala krwi. Shizuka pilnie próbowała pogłębić swoją wiedzę. Z każdą następną przerwą szło jej coraz lepiej. Po skończonym krwawieniu wsłuchiwała się w oddech. Nie odczuwała strachu ani gniewu, nie miała żadnych pragnień. Wizje wciąż napływały, ale przestały ją przytłaczać. Nie potrafiła ich odrzucić, jednak okresy wyciszenia stały się jeszcze dłuższe.

Powoli zaczęła myśleć o ucieczce.

Tak było do połowy ósmego przypiływu. Nagle jakaś wątła zjawą, przejrzysta niczym smużka dymu, ujrzała ją i do niej przemówiła.

Ruiny klasztoru Mushindo, 1867

Kimi zaprowadziła gości do nowo zbudowanego pawilonu medytacji i z dumą otworzyła drzwi. Pani Hanako i lady Emily zajrzały do środka.

— Tak samo, jak przed wybuchem, prawda? — zapytała Kimi.

— Nie mam pojęcia — przyznała pani Hanako. — Pierwszy i jedyny raz byłam w klasztorze Mushindo tylko w czasie bitwy.

— Och... — bąknęła Kimi. To niedobrze. Od chwili powrotu z Yokohamy z zapalem przystąpiła do usuwania zniszczeń. Oczywiście pomagał jej w tym Goro i grupa dziewcząt, które wraz z nią wyrwały się z niewoli. Wprawdzie praca dla Buddy już jest cenną nagrodą, ale czasami dobrze usłyszeć pochwałę...

Damy zamieniły ze sobą kilka zdań w cudzoziemskiej mowie. Potem pani Hanako zwróciła się do Kimi:

— Korzystałaś ze starych planów podczas odbudowy?

— Nie, pani — odpowiedziała Kimi. — To zasługa Goro. Ma doskonałą pamięć.

Hanako przekazała te słowa Emily, która co prawda pokiwała głową, lecz wyglądała na rozczarowaną.

— Dziękuję, Kimi — powiedziała pani Hanako. — Jeśli pozwolisz, chcemy tutaj przenocować.

— Oczywiście, pani. Ten pawilon nie służy już do medytacji. Zbudowaliśmy go, bo... bo stał tu przedtem. Szkoda tylko, że reszta klasztoru jeszcze nie jest gotowa. Dawne kwatery mnichów były znacznie większe. Byłoby wam wygodniej.

— Tutaj też jest wygodnie, Kimi. Dziękujemy.

— Proszę bardzo, pani Hanako. Pani Emily...

Kimi wyszła.

— Doprawdy szkoda, że nie wiemy, gdzie dawniej była cela — odezwała się Emily. — Łatwiej byłoby nam ustalić, czy zwoje mówią prawdę. Ponoć został tam jakiś ślad jej pobytu.

— Myślę, że nawet plan w niczym by nie pomógł — odparła Hanako. — Tamten budynek mógł rozpaść się już przed wiekami.

— Ale przynajmniej miałybyśmy jakiś punkt zaczepienia. Brak znaku byłby dowodem na to, że zwoje zwyczajnie kłamają. — Emily przerwała na chwilę. — I tak im nie wierzę.

Otworzyła torbę podróżną i wyjęła jeden ze zwojów. Razem z Hanako uklękły na podłodze i pochyliły się nad tekstem. Przez minione lata Emily zdążyła się już przyzwyczaić do siedzenia na piętach, czyli „po japońsku”. Co prawda nadal nie umiała wytrzymać tak paru godzin, ale przez kilkanaście minut dawała sobie radę.

— Być może źle to zrozumiałam — powiedziała.

— Nie — odparła Hanako i przeczytała na głos: — *Zobaczysz mnie w opactwie Mushindo, kiedy wejdiesz do mojej celi. Ty przemówisz, ja będę milczała. Jeśli mnie będziesz szukać, na pewno nie znajdziesz. Jak to możliwe? Nie odgadniesz, dopóki nie będzie dziecka. Wtedy pozbędziesz się wątpliwości.*

— W takim razie to tylko przepowiednia — westchnęła Emily. — Może być fałszywa.

— Dla nas tak. Ale autorka zwoju pisała o tym w czasie przeszłym, jakby już tego doświadczyła.

Emily z powątpiewaniem pokręciła głową.

— Jak ktoś, kto przypuszczalnie zmarł sześćset lat temu,

mógłby w ten sposób opisywać przyszłość? Nie, nie... Moim zdaniem to zwykle fałszerstwo, żeby narobić zamieszania.

— Zaczynasz myśleć tak jak my, Emily — uśmiechnęła się Hanako.

— No cóż... Do pewnego stopnia to nieuniknione — odparła Amerykanka. — Żyjemy w niespokojnych czasach, a książkę Genji ma wielu wrogów. Niektórzy z nich nie mają skrupułów. Nie zawahają się przed niczym, byle go raz na zawsze zniszczyć.

— Przykro mi, ale mimo najszczerzych chęci nie mogę się z tobą zgodzić. Taki spisek wyglądałby całkiem inaczej. Po pierwsze, dostałaś te zwoje od kogoś, kto bez wątpienia stoi po stronie księcia. Po drugie, zostały spisane po japońsku. Ktoś musiał pomóc ci je odczytać, a nikt nie wątpi, że właśnie we mnie masz najwierniejszą przyjaciółkę. Moja lojalność wobec księcia także jest powszechnie znana. Treść zwojów pozostaje zatem tajemnicą. Na czym miały polegać spisek?

— Uważasz więc, że są prawdziwe?

— Myślę, że niepotrzebnie przyjechałaś do Mushindo.

— Musiałam — powiedziała Emily z zaciętą miną. — Musiałam znaleźć jakiś dowód, że to wszystko nieprawda. Chyba się nie boisz?

— Niepotrzebnie tutaj przyjechałaś — powtórzyła Hanako.

— Pani — zza drzwi dobiegł głos Taro — zgodnie z rozkazem rozstawiłem ludzi wokół klasztoru. Sam będę dzisiaj w nocy czuwał na dziedzińcu.

— Wejdz, Taro — powiedziała Emily.

Samuraj rozsunął drzwi, ale pozostał w korytarzu. Skłonił się.

— Powiniennem jeszcze obejść warty, pani Emily. W razie potrzeby wystarczy krzyknąć i zaraz ktoś się zjawi.

— Dziękuję, Taro.

— Poprzednim razem, kiedy tu byłam, nurzaliśmy się w końskiej krwi — westchnęła Hanako.

— Stare dzieje — powiedział Taro. — Wiele się zmieniło od tamtej pory.

— I wciąż się zmienia — zauważyła Hanako. — Musimy być bardzo ostrożni.

— Tak, pani — z ukłonem odparł Taro.

Zamknął drzwi. Hanako przez chwilę słuchała jego cichnących kroków.

— Co się stało? — Spytała Emily.

— Nic takiego — uspokoiła ją Hanako. Nie chciała martwić przyjaciółki swoimi domysłami. Zwłaszcza że w gruncie rzeczy były bezpodstawne. W czasie podróży wydawało jej się, iż zauważyła pewną zmianę w zachowaniu Taro. Nie potrafiła tego jednak precyzyjnie określić. Może coś w jego spojrzeniu, głosie lub postawie... Pewnie jak wszyscy był zmartwiony sytuacją w kraju. Ale istniało także inne, groźniejsze wytłumaczenie. Taro zabrał ze sobą jedynie swoich samurajów. Nie było wśród nich żadnego z podkomendnych jej męża. Zapewne dawniej nie zwróciłaby na to najmniejszej uwagi. Teraz jednak Taro obudził w niej czujność i zmusił do myślenia.

Emily jeszcze raz odczytała wspomniany fragment zwoju.

— *Zobaczysz mnie w opactwie Mushindo, kiedy wejdiesz do mojej celi. Ty przemówisz, ja będę milczała. Jeśli mnie będziesz szukać, na pewno nie znajdziesz. Jak to możliwe? Nie odgadniesz, dopóki nie będzie dziecka. Wtedy pozbedziesz się wątpliwości.*

Po plecach Hanako przebiegł zimny dreszcz.

— To zupełnie bez sensu — orzekła Emily. — Co to za „ty”? Jakie dziecko? Przecież tu nie ma żadnej celi, a w Mushindo żyli tylko mnisi.

— Nie zawsze. Świątynię zbudowano w tysiąc dwieście dziewięćdziesiątym drugim roku. Na początku była żeńskim opactwem.

— Co takiego? — Emily poczuła, że cała krew odpływa z jej policzków.

— Mushindo dwa razy uległo zniszczeniu. Raz podczas ostatniej bitwy z udziałem księcia Genjiego i raz w czasie wojny domowej. To właśnie wtedy założyciel naszego klanu, książę Hironobu, zginął z rąk zdrajców. Mordercy podłożyli ogień pod opactwo i spalili wszystkich, którzy tu zostali. Przez całe wieki nikt tu nie zaglądał. Stary opat Zengen, który zmarł tuż przed twoim przyjazdem do Japonii, odbudował świątynię własnymi rękami. To on sprowadził tutaj mnichów.

Emily nie wierzyła własnym uszom.

— Mimo to nadal nie znamy odpowiedzi na inne pytania.
— Nie — przyznała Hanako — ale dość łatwo się domyślić, o co chodzi.

— Ja nie umiem. A ty?

Hanako się zawahała. Początkowo nie chciała zdradzać swych podejrzeń, ale w końcu doszła do wniosku, że to nikomu nie zaszkodzi. Od chwili kiedy w Pałacu Cichego Żurawia zobaczyła Emily pochyloną nad zwojem, miała poczucie, że pewne rzeczy dzieją się bez niczyjej zgody. Nie potrafiła zmienić przebiegu wypadków.

— Dziecko, o którym mówią zwoje — zaczęła — to kolejny potomek rodu. „Ty” oznacza adresata. Tę, dla której zwoje spisano.

Emily popatrzyła na nią.

— Hanako, chyba nie myślisz o mnie?

— Jesteśmy tutaj — odparła Hanako. — Wkrótce same się przekonamy.

— Albo też nie — powiedziała Emily bardziej przejęta, niżby chciała. — Shizuka była bardzo sprytna, ale nie miała czarodziejskiej mocy. Wiedźmy po prostu nie istnieją.

— Wolę, żebyś nie wymawiała głośno jej imienia — szepnęła Hanako, z trudem panując nad drżeniem głosu.

* * *

Tej nocy żadna nie mogła zasnąć. Jedna czekała na to, co nieuniknione, druga zaś trwała w przeświadczeniu, że to niemożliwe. Nadszedł świt, ale żaden niezwykle gość nie zajrzał do ich pawilonu. Obie wyraźnie poweselały. Zwłaszcza Hanako pozbyła się złych przeczuc, które towarzyszyły jej w podróży. Nie miała już podejrzeń wobec Taro.

— Teraz wiem, że się nie myliłaś — powiedziała. — Ogromnie się cieszę. Japończycy są zbyt przesądni. Od tak dawna słuchamy dziwnych opowieści, że w końcu wbrew logice zaczęliśmy w nie wierzyć.

— To też się wkrótce zmieni — odparła Emily. — Japonię dzieli tylko krok od wejścia do wielkiej rodziny krajów cywilizowanych. Pewnego dnia, całkiem niedługo, staniecie się tak samo mądrym i nowoczesnym państwem jak Stany Zjednoczo-

ne, Wielka Brytania i inne mocarstwa świata. Naszym hasłem jest wiedza, a nie baśnie i mity.

Po południu Hanako wybrała się z Kimi do ogrodu, który uprawiał Goro. Kimi wspomniała jej, że Goro oprócz zwyczajnych warzyw hoduje też jadalne kwiaty. Ponoć podpatrzył dzikie zioła zbierane przez mnicha cudzoziemca Jimbo.

— Piękny dziś dzień — powiedziała Emily. — Chyba przespaceruję się po łące.

Poszła powoli w stronę lasu rosnącego za murem świątyni. Za nią, w dyskretnej odległości, podążało dwóch samurajów, których przydzielił jej Taro. Po tej stronie nie było śladów bitwy. Chociaż od tamtych wydarzeń minęło sześć lat, Emily wciąż wzdragała się stąpać po ziemi, w którą wsiąkła krew tyłu poległych. Wciąż dręczyły ją wspomnienia. Zamyślona niemal minęła kępę sosen, kiedy spostrzegła młodą kobietę spoglądającą na nią z cienia. Kontrast pomiędzy jasno oświetloną łąką i półmrokiem, który zalegał pod drzewami, był tak duży, że postać dziewczyny wydawała jej się efemeryczna. Nieznajoma stała nieruchomo. Cud, że w ogóle ją zauważyłam, pomyślała Emily.

Dziewczyna była bardzo młoda, bowiem zamiast „dorosłej” fryzury miała luźno związane włosy, opadające na plecy. Śliczna, o delikatnych rysach i oczach wcale nie tak wąskich, jak u większości Japończyków. Emily pomyślała, że to na pewno jedna z branek, które uciekły z Yokohamy razem z Kimi i Goro. Dziewczyna patrzyła na nią z lekkim rozbawieniem. Być może nigdy nie widziała z tak bliska żadnej cudzoziemki. Emily uznała to za dobrą okazję, żeby porozmawiać po japońsku z kimś, kto jeszcze nie przywykł do jej akcentu.

— Dzień dobry — powiedziała z odpowiednim ukłonem, tak jak to było w zwyczaju mieszkańców tego kraju. Dziewczyna, zamiast odkłonić się w podobny sposób, nadal stała w milczeniu, ale jej twarz wykrzywiło przerażenie.

— Przyjechałam z bardzo daleka — dodała Emily. — Mam na imię Emily.

— Pani Emily? — Rozległ się gdzieś z tyłu głos Taro. — Wszystko w porządku?

— Ćwiczę japoński. Ale niestety, chyba bez powodzenia. — Odwróciła się do dziewczyny, lecz ta zdążyła uciec.

Emily uśmiechnęła się.

— Straszę ludzi moją wymową. Dobrze, że chociaż nikt z was nie ucieka. Ktoś widział, dokąd ona poszła?

Taro popatrzył na samurajów, którzy chodzili za Emily. Obaj wzruszyli ramionami.

— Nie — odparł Taro. — Bardzo mi przykro.

— Pewnie wróciła do świątyni — westchnęła Emily. — Poproszę Kimi, żeby przedstawiła mnie we właściwej formie. Nie chcę budzić niepotrzebnych obaw.

Taro znów zerknął na samurajów.

— Widzieliście jakąś dziewczynę?

— Nie, panie.

— To bardzo źle — mruknął gniewnie. — Jaki z was pożytek? Przecież to mógł być zabójca!

— Nikogo nie zauważyliśmy, panie — powiedział jeden z samurajów, niepewnie zerkając na drugiego.

— O tym właśnie mówię! — Warknął Taro. Nie przyjmował żadnych usprawiedliwień.

Emily potknęła się o coś wystającego z trawy. Musiała oprzeć się o sosnę, żeby nie upaść. Spojrzała w dół. Był to dość duży, płaski kamień, do połowy zagrzebany w ziemi.

— Część podmurówki — wyjaśnił Taro.

— Słucham? — Zaskoczona Emily bezwiednie przeszła na angielski.

Wprawdzie Taro nie był poliglotą, ale w minionych latach nauczył się obcej mowy mniej więcej w takim stopniu, co Emily japońskiego.

— Część podmurówki — odpowiedział. — Chyba bardzo starej. Kiedyś stał tu jakiś budynek. Czasami, podczas odbudowy, niektóre domy przenoszone są na inne miejsce, na przykład po to, żeby oddalić od nich nieprzychylną karmę. Po latach nikt już nie pamięta, gdzie stały.

— Budynek? — Powtórzyła Emily.

— Tak. — Taro patrzył na trawę. — Raczej nieduży. O, tam jest jeszcze jeden kamień. Mały pawilon.

— Albo cela — powiedziała Emily i zemdląła.

Kiedy ponownie otworzyła oczy, zobaczyła nad sobą zatroskaną twarz Hanako. Obok siedziała Kimi.

— Obudziła się — zauważyła pierwsza.

— Jak się czujesz? — Spytała Hanako.

— Dobrze. — Emily usiadła. — To pewnie ze zmęczenia. Nic mi nie będzie. — Rozejrzała się i zobaczyła może z dziesięć kobiet stojących dokoła. Nie było wśród nich tej, którą spotkała w lesie. — Wszystkie tu przyszły?

— Z wyjątkiem jednej — odpowiedziała Kimi. — Wybrała się do wsi po zakupy. Czasami wraca dłuższą drogą i włóczy się po okolicy.

Emily westchnęła z ulgą.

— To ją widziałam. — Uśmiechnęła się do Hanako. — Chyba poniosła mnie wyobraźnia. Zobaczyłam dziewczynę, która nagle zniknęła. Potem potknęłam się o kawałek muru i pomyślałam, że to była... — Przypomniała sobie wcześniejszą prośbę Hanako, żeby nie wymawiać na głos imienia domnianej wiedźmy. — Że to ta, którą miałam spotkać. Jest nieśmiała, prawda? — Zwróciła się do Kimi.

— Tak — padła odpowiedź. — Bardzo, bardzo nieśmiała.

— To nie dziwne u ładnych dziewcząt — powiedziała Emily.

— Ładnych? — Kimi wyglądała na szczerze zdziwioną.

— Właśnie idzie! — Wtrąciła jedna z pozostałych kobiet. — Yasuko! Chodź tutaj! Pani chce cię poznać. Po co uciekałaś?

Emily ujrzała dużą i silnie zbudowaną chłopkę. Wyglądała niezgrabnie, miała przekrzywioną głowę. Ciasno splecione włosy tylko podkreślały jej dziwne kalectwo. Nie było w niej nic z gracji, piękna lub zwiewności.

— Uszkodziła sobie kręgi szyjne jeszcze w Yokohamie — odezwała się Kimi. — Teraz nie może wyprostować głowy.

Emily znów zrobiło się słabo, ale tym razem nie zemdlała.

— Opactwo Mushindo — wyszeptała.

— Majaczy — zawyrokował Taro.

— Obawiam się, że jednak nie — powiedziała Hanako.

Tajemnicze dziecko

Stare porzekadło powiada, że mężczyzna to symbol odwagi, a kobieta czułości. Jest w tym przyjemny posmak harmonii i kontrastu, ale jak wszystkie przyjemności, fałszuje rzeczywistość.

Odwaga zawsze łączy się z czułością.

Strzeż się, jeżeli jedno istnieje bez drugiego.

Masz wtedy do czynienia z okrucieństwem podszytym tchórzostwem.

Aki-no Hashi
(1311)

Ruiny klasztoru Mushindo, 1867

Dwaj wojownicy, których Taro wyznaczył do pilnowania Emily podczas spaceru, najmniej nadawali się do takich zadań. Właśnie dlatego zabrał ich z Edo. Wiedział, że zlekceważą swoje obowiązki. I rzeczywiście tak się stało. Zamiast rozglądać się po okolicy, prowadzili głupią pogawędkę. Żaden nie podszedł na tyle blisko, żeby zobaczyć go za drzewami, choć Taro wcale nie był mistrzem niełatwej sztuki kamuflażu.

Dobry samuraj gardził podstępem. Wolał stanąć na otwartym polu, nie ukrywając swoich intencji. Taro serdecznie bolał nad swoją zdradą i nad sposobem działania. Pan Saemon jednak zdołał go przekonać, że to nie pora na popisy. Musiał udawać przyjaciela i czekać na właściwy moment. Teraz nie dość, że

zamierzał zgładzić kobietę, której przyrzekł bronić, to jeszcze czekał na nią w zasadzce. Potrójna hańba. A przecież robił to dla ochrony dawnych tradycji honoru i odwagi, ignorowanych przez Genjiego. Co za ironia losu, że jego pierwszy czyn w tak wielkiej sprawie nacechowany jest tchórzostwem... Choć z drugiej strony całą winę mógł przypisać cudzoziemcom. Gdyby przez chwilę pomyślał głębiej nad meandrami życia, zapewne śmiałby się sam z siebie.

Był jednym z dwóch najbardziej zaufanych ludzi księcia, drugim dowódcą bitnej armii. Wielokrotnie ryzykował głową, broniąc swojego pana. Chociaż pochodził z ubogiego rodu samurajów, Genji wyniósł go do rangi feudała. Nikt nie wyświadczył mu tak wielkiej łaski. Winien był księciu posłuszeństwo, miłość i niezachwianą wierność. Tymczasem zdradził go i bez skrupułów przeszedł na stronę Saemona — człowieka, który zapewne był dużo gorszy od swego ojca, znanego niegdyś jako Lepkie Oko Kawakami. Ów Kawakami pełnił funkcję szefa tajnej policji shogunatu.

Lepkie Oko poniósł zasłużoną karę. Ścięto go tutaj, w murach Mushindo, tuż po pamiętnej bitwie. Wśród garstki ludzi, którzy ocaleli z całego orszaku księcia, znalazł się Taro... i Emily. Był „weteranem spod Mushindo”. Latami słuchał tych trzech słów, wypowiedzianych z uwielbieniem — i był wtedy bardzo dumny. Ale za chwilę miało to się skończyć. Może szkoda, że nie zginął w bitwie? Co prawda walczył o słuszną sprawę, lecz od razu wiedział, że pamięć zdrady będzie go gnębić do końca życia, choćby żył tylko kilka dni lub całe lata.

Pani Hanako, którą także zdradził, broniąc męża, straciła rękę. Hide — najlepszy przyjaciel Taro — teraz także miał własne ziemie i był naczelnym generałem. Taro nie pragnął jego śmierci. Nie chciał też skrzywdzić Hanako. Zamierzał trzymać ją w niewoli i w ten sposób skłonić przyjaciela, by przeszedł na jego stronę. Przecież nawet ktoś tak uparty i ślepo wierny jak właśnie Hide, przyznałby mu rację, gdyby zmusić go do zastanowienia.

Taro stał w cieniu, w gęstych zaroślach, tyłem do słońca, które świeciło za drzewami. Każdy, kto spojrzałby w jego stronę, musiałby zmrużyć oczy. Emily niedbałym krokiem

skierowała się w stronę sosen. Przy kępie drzew dzieliło ją od niego zaledwie pięćdziesiąt długości strzały. Nawet przeciętny łucznik, jakim był Taro, nie mógł spudłować z tej odległości — zwłaszcza że cel poruszał się powoli. Strzelba dawała większą pewność, lecz nie zamierzał z niej skorzystać, z czysto praktycznych oraz politycznych względów. Huk i kłęb dymu od razu zdradziłby pozycję strzelca. Poza tym łuk jest tradycyjną bronią, nieużywaną przez obcokrajowców. To także miało znaczenie.

Śmierć Emily będzie prawdziwym dobrodziejstwem, myślał Taro. Po pierwsze, wzbudzi złość obcych. Jeśli zareagują tak jak zwykle i znów postawią jakieś żądania, tym samym dadzą broń do ręki swoim największym przeciwnikom. Genji zostanie napiętnowany za niestosowną przyjaźń z cudzoziemką. Jego pozycja — i tak już dość słaba — ulegnie dalszemu osłabieniu. Kara śmierci dla dwóch samurajów, zaniedbujących swoje obowiązki, wstrząśnie chwiejnymi podstawami klanu. W momencie próby większość lenników opuści księcia i zapewne stanie po stronie opozycji. Wciąż nieznana tożsamość zdrajcy podsyci strach i oburzenie. To dobrze. Wiadomo przecież, że podejrzliwi ludzie o wiele łatwiej popełniają błędy.

Jak dotąd wszystko szło zgodnie z planem. Dwaj samuraje wciąż gadali jak najęci. Emily kroczyła wolno. Taro napiął cięciwę. Już miał rozewrzeć palce i wypuścić strzałę, gdy Emily nagle zatrzymała się i powiedziała coś swoją fałszywie brzmiącą japońszczyzną. Z kim ona rozmawia? Taro nie może strzelić, dopóki się tego nie dowie. Tajemniczy intruz musi stać głębiej w cieniu, bo go nie widać.

Chwila minęła. Taro nie zamierzał niepotrzebnie igrać z losem. Wiedział, że okazja wkrótce się powtórzy. Rzucił łuk w trawę, wyszedł z krzewów i powoli zbliżył się do Emily. Czujnie spoglądał ponad jej ramieniem, ale nikogo nie wypatrzył. Wyglądało na to, że dziewczyna mówi coś do drzewa.

— Pani Emily? — Spytał. — Wszystko w porządku?

Chyba nie czuła się najlepiej, bo w połowie krótkiej i niewinnej rozmowy o kamieniach ukrytych w bujnej trawie, nagle zbladła i zemdlna osunęła się na ziemię. Może dlatego księżę się z nią związał? — Pomyślał Taro. Może też miewa halucyna-

cje i dziwne przywidzenia? Ale to tylko utwierdzało go w mocnym przekonaniu, że bez względu na posmak zdrady postąpił słusznie, odchodząc od Genjiego. Czuł się w pełni odpowiedzialny za wszystkie dalsze czyny. Księżę Genji sam jest sobie winien, że traci zwolenników.

W zeszłym miesiącu, podczas narady, posunął się za daleko.

* * *

— Wszyscy nasi samuraje dostali broń palną — powiedział Genji. — Wkrótce będziemy mieli armaty, w dodatku na lawetach, przewożone wraz z oddziałami.

— Tak, panie — odparł Hide. — Ale żołnierzom się to nie podoba.

— Co, armaty?

— Nie tylko, panie. Narzekają także na strzelby.

— Nie lubią strzelb? — Genji był szczerze zaskoczony. — To czym chcą walczyć w nadchodzącej wojnie? Mieczami?

— Tu nie chodzi o względy praktyczne — powiedział Hide. — Wśród żołnierzy panuje przekonanie, że broń palna jest zaprzeczeniem samurajskiego ducha.

— Duch może sobie istnieć w czasach pokoju — rzekł Genji. — Niepoparty rzeczywistą siłą, nie sprawdza się na polu bitwy.

— Pomówmy zatem o bitwie, panie — wtrącił się Taro. — Ludzie są zdania, że na przykład w klasztorze Mushindo to właśnie miecz udowodnił swą niezaprzeczną wartość.

— Niby dlaczego? Przecież przewaga była wyraźnie po stronie strzelców. Na co przydały się nasze miecze?

— Podczas szturmego doszło do walki wręcz — odparł Taro. — Wygraliśmy za pomocą mieczy.

— Pamięć cię chyba zawodzi. Przypomnij sobie, jak leżeliśmy w błocie, chowając się przed pociskami. Całą osłonę stanowiły porozrywane końskie trupy.

— Taro ma jednak trochę racji, panie — zaproponował Hide.

— W takim razie mówimy o dwóch różnych bitwach. Może opiszecie mi swoją?

— Spadły na nas tysiące kul — zaczął Hide — a jednak nic nam się nie stało. W końcu musieli zdobyć mieczy.

— Byłeś tam i mimo to wciąż opowiadasz takie bzdury? To właśnie jest najlepszy przykład, że samuraje są przeżytkiem. Wcale nie chodzi o prawdziwe miecze, ale o te, które nosicie w głowach.

— Samuraje przez tysiąc lat bronili tej ziemi — odezwał się Taro.

— Powiedz raczej, że ją łupili.

— To niezbyt dobry dowcip, panie — mruknął Taro.

— Dowcip? Nieprawda. Przez tysiąc lat zabijaliśmy i dręczyliśmy ludzi, których mieliśmy chronić. A gdyby tak zabici stanęli pospołu naprzeciwko morderców? Których byłoby więcej?

— Toczyliśmy walki jedynie między sobą — upierał się Taro. — Nikt z nas nie napadał na wieśniaków.

— Tak? No to policz sobie, ilu chłopów zostało wdeptanych w ziemię, ilu zmarło z głodu, ilu przebito włócznią, ilu ścięto mieczem, a ilu zapędzono do morderczej pracy. Ilu ich przypada na jednego zabitego w walce samuraja? Pięciu? Dziesięciu? Nie, raczej stu lub dwustu. My tylko wymachiwaliśmy bronią. To głównie oni umierali.

— Taki już jest los chłopów — stwierdził Hide. — Powinni znosić to w pokorze.

— Wątpię. Francuscy chłopci wznieśli bunt i obalili swoich panów. — Genji uśmiechnął się, jakby ubawił go ten pomysł.

— Takie rzeczy są u nas na pewno niemożliwe — orzekł Taro. — Jesteśmy cywilizowani. Nasi chłopci stoją o wiele wyżej od obcych. Nie pomyślą o buncie.

— Hmm... Pewnie masz rację. Ale na swój sposób to trochę smutne, prawda?

— To kwestia dumy, a nie smutku — powiedział Taro.

— Może tak, może nie... Lepiej ustąpmy, zamiast beczynnienie czekać na rewolucję i rządy terroru. Oddajmy państwu nasze dobra i zrezygnujmy z dawnych tytułów i podziałów.

— Panie! — Chórem krzyknęli Hide i Taro.

Genji się roześmiał.

— Jest takie cudzoziemskie powiedzenie, że coś stanowi „pokarm dla umysłu”. Życzę wam dużo mniej zmartwień, a więcej dobrej stawy.

Jego słowa były trucizną, nie zaś strawą. Co prawda śmiał się, ale Hide i Taro wiedzieli, że nie żartuje.

Po pewnym czasie Taro uświadomił sobie, że to właśnie wtedy postanowił na dobre porzucić sprawy księcia.

Za pierwszym razem nie zabił Emily. Ale na pewno zrobi to za drugim.

* * *

— Na pewno czujesz się na tyle dobrze, aby usiąść? — Zapytała Hanako.

— Oczywiście — odparła Emily. Kiedy wróciły do pawilonu, było jej głupio, że zemdlała. Bo tak naprawdę, czego się zlekła? Pięknej dziewczyny, stojącej w lesie? To, że nie było jej wśród chłopek zamieszkujących zrujnowany klasztor, nie oznaczało, że jest duchem. Mogła przyjść ze wsi... choć nie nosiła się jak wieśniaczka. A zatem dama albo służąca, zapewne z jakiejś grupy podróżnych.

— Dziękuję. — Emily wzięła z rąk Hanako czarbkę herbaty. — Mówiłam już, że była piękna — powiedziała — i miała niezwykle oczy. Nie wyglądała raczej na Azjatkę. Lecz z drugiej strony, co w tym dziwnego? Wszyscy jesteśmy ludźmi. Tak bardzo znowu się nie różnimy.

— Wspomniałaś przedtem o jej włosach. Sięgały aż do samej ziemi?

— Chyba tak. Stała w cieniu, a ja na słońcu. Nie widziałam jej zbyt wyraźnie.

— Nie wydawała ci się... — Hanako szukała właściwego słowa. — Nie wydawała ci się... jakby zamglona?

— Raczej nie. W takich warunkach wzrok często płata figle. Na domiar złego, to jej kimono...

— Co z nim?

— Cóż... — Emily była wdzięczna za okazaną troskę, lecz pytania stały się zbyt szczegółowe... i co najmniej dziwne. — Było pokryte osobliwym wzorem, jakby gałęzi okolicznych krzewów. Niemal zlewała się z otoczeniem. Pewnie dlatego potem zniknęła.

Hanako zbladła. Zachwiała się i potoczyła wkoło nieprzytomnym wzrokiem. Przez krótką chwilę wydawało się, że też

zemdleje. Nie upadła, ale podparła się ręką o podłogę, aby utrzymać równowagę.

— Co się stało? — Zapytała Emily.

Hanako milczała. Nie wiedziała, co ma powiedzieć. Prawdę? Co to da? Była przekonana, że Emily widziała panią Shizukę — słynną księżniczkę, która albo uratowała klan przed zagładą, albo ściągnęła klątwę na dalsze pokolenia. Być może nawet i jedno, i drugie. Duże oczy, długie włosy, ulotna postać — to, co Emily wzięła za wzór na kimonie, naprawdę było gałęziami. Po prostu patrzyła przez nią. Wszystko zgadzało się z tym, co napisano w zwoju. Spotkały się w opactwie Mushindo, w celi, w której Shizuka żyła przed wiekami. Zatem następne przepowiednie też mogły zawierać prawdę.

Tylko ci, w których płynęła krew rodu Okumichi, widywali panią Shizukę. Skoro Emily ją spostrzegła, istniał ku temu jeden powód, choć wydawało się to niemożliwe.

— Pani Heiko wyjechała stąd sześć lat temu — powiedziała Hanako.

— Tak. Dobrze to pamiętam — odparła Emily. Od tamtej pory nie widziała Heiko i Matthew Starka. Z rannym odpływem popłynęli statkiem do Kalifornii.

— Powiedziała mi coś, w co początkowo nie wierzyłam... — Hanako zawahała się. — Teraz wierzę.

* * *

Było to w dzień Nowego Roku według japońskiego kalendarza, w pierwszym nowiu po zimowym przesileniu, w szesnastym roku panowania cesarza Komeia. Heiko ani przez chwilę nie wierzyła, że kiedyś wróci do swojego kraju.

— Niech odpływ was poniesie naprzód — powiedział Genji — a wspomnienia przywiodą do nas. — Przy tych słowach spojrzął jej prosto w oczy.

Szóstka przyjaciół spotkała się w przeddzień rejsu „Gwiazdy Betlejemskiej”. Genji, Heiko, Hide, Hanako, Emily i Stark wymienili ukłony i wypili ceremonialną czarkę sake. Aż dziw brał, że tak wiele się zmieniło w ciągu roku.

Hide — dawniej hulaka, łobuz i hazardzista — piastował funkcję dowódcy gwardii. Przedtem odważnie walczył w krwa-

wych bitwach na przełęczy Mie i pod murami klasztoru Mushindo. Nikt nie przypuszczał, że w tym obwiesiu kryje się tak szlachetna dusza. Nikt, oprócz księcia, który niespodziewanie wręczył mu patent oficera.

— Pan Hide — powiedział Genji. — Ładnie brzmi, prawda?

Awans do rangi dowódcy gwardii łączył się z nadaniem ziemi. Majątek był wprawdzie nieduży, ale Hide stał się feudałem.

Twarcz młodzieńca poczerwieniała niczym pośladki górskiej małpy.

— Nie przywyknę do tego, panie. Czuję się jak oszust.

Pozostali wybuchnęli śmiechem, tylko Genji zachował powagę.

— Nie ma tu mowy o żadnym oszustwie — przemówił cichym i spokojnym, podkreślającym wagę wypowiedzi głosem. — Nie znam nikogo, kto w tym życiu był wobec mnie bardziej uczciwy, panie Hide. W przyszłym zapewne też nie poznam, może z wyjątkiem Buddy i bogów.

Hide tym razem pobladł, zgarbił się i pociągnął nosem. Nieustraszony w bitwie, w życiu codziennym był tak podatny na wzruszenia, że podkomendni po cichu przezywali go „Komendant Kabuki”.

Hanako pospieszyła mu z pomocą, żeby powstrzymać wybuch płaczu. Dawniej służąca, dzisiaj była żoną Hide i matką maleńkiego chłopca imieniem Iwao. Pod Mushindo straciła rękę, lecz zachowała wdzięk. Jeśli syn odziedziczył po niej mądrość, po ojcu zaś odwagę, czekała go niezwykła przyszłość. A kto ich do siebie zbliżył? Genji. Mało tego, sam odegrał rolę swata.

Heiko dostrzegła w tym gorzką ironię losu. Jej kochanek uszczęśliwił ludzi, którzy przedtem nawet nie myśleli o małżeństwie, a ją samą wysłał za granicę. Tylko tyle mógł dla niej zrobić.

— Zamiast tytułów, lepiej dałbyś mu teatr, książę — powiedziała Hanako. — Mój utalentowany mąż płacze częściej niż romantyczne bohaterki. — W kabuki wszystkie role grali mężczyźni. Wielcy aktorzy, specjalizujący się w postaciach kobiet, uważani byli za gwiazdorów.

— Hide jako gejsza! — Wykrzyknął Genji. — Co na to powiesz, Heiko?

Teraz już wszyscy się roześmieli, nie wyłączając Hide, który natychmiast zapomniał o płaczu, kiedy zobaczył siebie w groteskowej roli, przywołanej słowami księcia.

— Jesteś wspaniałym przyjacielem, Hide — odezwał się Matthew Stark — więc przepraszam, że ci powiem, iż widziałem w Panhandle kilka krów ładniejszych od ciebie.

Stark był chrześcijańskim misjonarzem, który przyjechał do Japonii, żeby kogoś zabić, a gdy tego dokonał, postanowił wrócić do Ameryki. Odpływał tym samym statkiem, na którym Heiko opuszczała swoją ojczyznę. Co osiągnął swoją zemstą? Znalazł upragniony spokój? Chyba nie. Widać to było w jego oczach, kiedy przypadkiem usłyszał dziecięcy śmiech albo zobaczył roześmianą buzię. Bolesna strata, którą kiedyś poniósł, była tak wielka, że wciąż pamiętał głosy zmarłych i widział ich twarze wyraźniej niż twarze żywych. Nawet teraz, gdy się uśmiechał, Heiko wiedziała, że jest martwy, chociaż serce z tępym uporem wciąż biło w jego piersi. Tacy ludzie nie żyją długo. Każdy mógł to potwierdzić. Każdy, z wyjątkiem Genjiego, który powierzył Starkowi ogromną fortunę w złocie i uczynił go swoim przedstawicielem handlowym w Ameryce.

Stosunki Heiko z Matthew Starkiem oparte były na stabilnej, ale przygnębiająco smutnej równowadze. On już stracił wszystko, co kiedykolwiek kochał, a ją w najbliższej przyszłości czekało to samo.

— Jeżeli jest tam popyt na jakieś ładne krowy, to może powinienes jednak się tym zająć — zauważył Genji.

— Na pewno — obiecał Stark. — Jeżeli tylko znajdę trochę czasu.

— Przed nami jeszcze całe lata wspólnych interesów — powiedział Genji. — Będziemy mieli czas na wszystko. Kto wie, może nadejdzie taki dzień, w którym zaczniemy płynnie mówić ja po angielsku, ty po japońsku?

Stark znowu się uśmiechnął, lecz jego oczy pozostały smutne.

— Prawdę mówiąc, w angielskim też popełniam błędy. Za wiele lat spędzonych w siodle, za mało ludzi do rozmowy.

A co z Heiko? W dwudziestym roku życia była piękniejsza niż kiedykolwiek. Otaczała ją aura najsłynniejszej gejszy w stolicy shogunatu, czyli w Edo. Ludzie opowiadali o niej w ten sam sposób, w jaki mówiono o legendarnych kurtyzanach, księżniczkach i wojowniczkach. Wszędzie chwalono jej odwagę, niespotykaną urodę, zadziwiający takt i grację, z którą wykonywała każdą, choćby najprostszą czynność. Co najdziwniejsze — nie było w niej wyniosłości, tak często cechującej mniej sławne ślicznotki. Wszyscy gubili za nią oczy. Wszyscy, z wyjątkiem Genijego, który odsyłał ją do Ameryki w towarzystwie Starka. Oficjalnie miała tam zadbać o interesy klanu, ale w praktyce chodziło o separację.

Dlaczego?

Tego Heiko niestety nie wiedziała. Przecież Genji ją naprawdę kochał. Wyrażał miłość czułym spojrzeniem, miękką pieśczętą każdego gestu, nutą zadumy w każdym słowie. Tęsknotą, z którą zanurzał się w wirze namiętności. A mimo to odepchnął ją od siebie.

Coś się zmieniło tam, w Mushindo. Genji zachowywał się trochę inaczej, kiedy wrócił z ostatniej rozmowy z Lepkim Okiem Kawakamim. Nie, jego uczucia nadal były gorące. Nie unikał kochanki. Zmiana była zbyt subtelna, żeby łatwo ją odkryć i sklasyfikować. Na pozór nic się nie zdarzyło. Heiko wyczuła, co się dzieje, tylko dlatego, że już od dziecka kształcono ją w sztuce oszustwa. Nie chodziło także o uczucia. Wręcz przeciwnie, w ciągu minionego roku ich miłość stała się jeszcze silniejsza. Nurt był bardziej wartki, lecz zamiast zbliżać, paradoksalnie, oddalał ich od siebie.

Dlaczego? Genji znał powód tego stanu rzeczy. Wiedział coś, o czym inni nie mieli pojęcia. Lecz nic nie mówił. Udawał, że nie rozumie jej pytań.

Kłamca.

Książę, bohater, prorok, kochanek, kłamca.

Przede wszystkim kłamca.

W Ameryce znów będziemy razem, powiedział.

Kłamca.

Wprawdzie świat zmieniał się w błyskawicznie i Heiko była zdolna uwierzyć w różne rzeczy, które do niedawna wydawały

jej się niemożliwe, ale nie wyobrażała sobie Genjiego w Ameryce. Był feudalnym księciem. Mało tego — był księciem, którego od historycznego zwycięstwa nad odwiecznym wrogiem, shogunem z rodu Tokugawa, dzieliły tylko chwile. Wpływy dyktatora słabły z dnia na dzień. Nikt jeszcze nie wiedział, kto przejmie po nim władzę, ale wymieniano kilku kandydatów. Genji też znalazł się na tej liście. W takim momencie nie mógł jechać do Ameryki.

Heiko wyjeżdżała. Genji zostawał tutaj — teraz i na zawsze. Wiedziała, że już nigdy się nie zobaczą.

Dlaczego?

Nie wiadomo. Heiko przeprowadziła swoje własne śledztwo, ale wyniki były mizerne. Kilka tygodni po bitwie pod Mushindo Genji najechał dawne ziemie Kawakamiego w Hino. Chyba czegoś szukał —jakiegoś talizmanu albo dokumentu. A może raczej kogoś? Możliwości było bardzo wiele. Chodziły słuchy, że wymordowano wszystkich chłopów z odległej wsi. To wydawało się mało prawdopodobne. Prędzej wybito maruderów z dawnych oddziałów Lepkiego Oka, którzy próbowali umknąć przed sprawiedliwością. A poza tym nic się nie stało. Heiko wiedziała tyle co przedtem. Domyślała się jednak, że Kawakami powiedział księciu coś strasznego. Genji zaś mimo wszystko mu uwierzył.

— Twoje dawne życie składało się wyłącznie z obowiązków — zauważył. — W Ameryce zachłyszysz się wolnością. Zobaczysz.

Heiko skłoniła się.

— Miło mi, że chociaż jedno z nas jest o tym przekonane, panie — powiedziała wesoło i uśmiechnęła się, choć wcale nie było jej do śmiechu. Genji nawet najmniejszym gestem nie dał po sobie poznać, że coś zauważył. Odpowiedział jej uśmiechem. Ostatni raz grali w tę grę.

Po przyjęciu Heiko wróciła do siebie, żeby zabrać bagaże.

Chwilę później zjawiła się Hanako.

— Chciałaś mnie widzieć, pani?

— Tak, Hanako. Wejdz, proszę. — Heiko zamknęła za nią drzwi. Już od dawna zastanawiała się, co zrobić. W zasadzie powinna milczeć, bo to nie była jej tajemnica, lecz Genjiego.

Ale teraz, w przeddzień podróży, z której mogła już nie powrócić, postanowiła podjąć stosowne kroki.

— Pamiętasz, jak ubiegłej wiosny ksiązę Genji zemdlął w różanym ogrodzie zamku Chmara Wróbli? — Spytała.

— Tak, nawet bardzo dobrze. Dokuczały mu rany i był przemęczony.

— Nie. Miał wizję.

— Och... — zająknęła się Hanako. Oczywiście, wiedziała o tym. Wszyscy wiedzieli. Poczta pantoflowa działa dużo sprawniej niż siatka szpiegowska stworzona przez shogunat. Hanako do niedawna była zwykłą służącą, więc wciąż miała przywilej dostępu do plotek. Mówiono o wizji, ale nikt ze służby nie wiedział tak naprawdę, czego dotyczyła.

— Ksiązę Genji opisał mi to, co zobaczył — powiedziała Heiko. — Będzie miał dziecko z Emily.

Hanako osłupiała.

— Zobaczył to?

— Niezupenie. Ale wszystkie wskazówki wydają się oczywiste.

— Naprawdę? — Hanako pokręciła głową. — A może źle go zrozumiałaś? Przecież Emily jest cudzoziemką.

— I kobietą — podkreśliła Heiko. — Taką jak każda z nas. Może rodzić dzieci.

— Ksiązę nie powinien się z nią wiązać. Co powiedzą członkowie klanu? Straci zwolenników... o ile w ogóle jacyś mu zostali.

— Wiem o tym. Niestety, nie zmienimy wizji. Mamy ją zlekceważyć?

Hanako nieco ochłonęła. Nie chciała rozpraszać się zbędnymi myślami. Prawdopodobnie Heiko po prostu się pomyliła. A jeśli nie?

— Nie — odparła Hanako. — To zbyt poważna sprawa.

— Świetnie. Powierzam ci zatem opiekę nad Emily.

— Byłoby znacznie lepiej, gdybym miała pomoc.

— A kto spokojnie przyjmie tę wiadomość?

Przede wszystkim był mąż Hanako, Hide — człowiek ze wszech miar godny zaufania. Niestety, w trudnych sytuacjach wpadał w rozterkę. Wtedy się gubił. Gdyby dowiedział się

czegoś tak strasznego, mógłby narobić więcej szkody niż pożytku.

Jego najlepszy przyjaciel, Taro, miał podobne plusy i minusy. Zresztą, jak mogła wyznać obcemu mężczyźnie coś, czego nie chciała powiedzieć mężowi?

Wszystkie jej przyjaciółki, jeszcze z dawnych czasów, służyły w pałacu w Edo lub w zamku w Akaoce. Emily nie stałaby się przy nich żadna krzywda. Ale służba lubiła plotki. Niczego nie udałoby się zachować w tajemnicy. To, co wiedziała jedna pokojówka, po chwili wiedziały wszystkie. Tylko czekać, aż wieść o tym, co się stało, dotarłaby do uszu wrogów księcia Genjiego.

Nie, nikt jej nie mógł pomóc.

— Zrobię, co w mojej mocy — obiecała Hanako z głębokim ukłonem.

— Dziękuję. Teraz mogę wyjechać ze spokojem w sercu.

— Wszyscy będziemy czekali na twój rychły powrót.

— Ja już nie wrócę — oznajmiła Heiko.

— Oczywiście, że wrócisz, pani. Nasz pan nie wytrzyma zbyt długiej rozłąki. Wszyscy znamy jego uczucia.

Heiko spojrzała na nią ze łzami w oczach. Jej oficjalna poza zniknęła. Kobieta pochyliła się i podparła ręką.

— Domyślam się, że czymś go uraziłam! — Wykrzyknęła. — Ale czym? Wiesz coś o tym?

— Nie, pani. Na pewno się mylisz.

— Może słyszałaś coś od służby?

— O tobie, pani? Same pochwały. Wszyscy tylko czekają, kiedy pan Genji oficjalnie wprowadzi cię do swego rodu. Na pewno szybko wrócisz, pani. Niektórzy mówią, że już na wiosnę, kiedy świat budzi się do nowego życia. Ja jednak myślę, że na jesieni. Chłodne dni rozpalają gorące uczucia.

Heiko nareszcie się roześmiała, tak jak pragnęła tego Hanako.

— Służba naprawdę o tym rozmawia?

— Tak, pani. Gubią się w domysłach. Planują wszystko, nawet datę narodzin waszego pierwszego dziecka. Przeważa pogląd, że stanie się to najwyżej rok po twym powrocie, czyli

licząc od dzisiaj, za niecałe dwa lata, bo nikt nie wierzy, by książę wytrzymał bez ciebie ponad rok. Niektórzy wybierają już imię dla syna.

— Dla mojego syna? Aż do tego doszło? — Głos Heiko znów pobrzmiwał cichym szczęściem.

— Och, tak. Jedna z dziewcząt, Mitsuko... pamiętasz ją, pani? ...poszła nawet do wróżki w Yokohamie.

Obie zakryły usta i wybuchnęły śmiechem. Sama myśl o tym, że jakaś zwykła uliczna oszustka ma zdecydować o imieniu dla książęcego syna, wydała im się okropnie głupia. Przecież Genji sam jest wizjonerem...

— Co usłyszała?

— W zasadzie nic — wykrztusiła Hanako, z trudem powstrzymując się od dalszego śmiechu. — Ponoć to była cudzoziemka. Nie знаła japońskiego. Miała przy sobie dziwne karty z małymi rysunkami. Dwie z nich wskazała palcem i pokiwała głową. To miało znaczyć „tak”. Przystojny książę i piękna księżniczka. Mitsuko zrozumiała, że chodzi o ciebie i Genjiego, pani. Wróżka zamknęła oczy, wpadła w trans...

— W trans! — Heiko nie mogła usiedzieć ze śmiechu. Łzy jak grochy płynęły po jej policzkach.

— Otworzyła księgę ze znakami *kanji* i położyła palec na stronie, na której widniał znak *ko*, czyli „dziecko”. Potem wskazała drugi: *makoto* — „prawda”.

Kiedy wreszcie przestały chichotać, Heiko zaprosiła Hanako na herbatę. Charakterystyczny błysk w oczach pokojówki, która weszła z tacą, zdradzał, że dziewczyna słyszała ostatnią część rozmowy i bawiła się nie gorzej od swojej pani.

— Jak widać, nawet cudzoziemcy wiedzą, że wasza rozłąka jest tylko chwilowa — podsumowała Hanako. — Gdy tylko wypełnisz powierzoną ci misję, książę wezwie cię z powrotem, pani. Nie mógł tam wysłać kogoś innego, bo tylko ciebie darzy największym zaufaniem.

— Miło wierzyć w takie rzeczy, prawda? — Szepnęła Heiko, popijając herbatę.

— Łatwiej uwierzyć w twój szybki powrót niż w to, że Emily zajdzie w ciążę z księciem.

— Ale czuwaj nad nią.

— Obiecuję. — A jednak Hanako wcale nie myślała o dziecku Emily. Choć na pozór śmiała się z ulicznej wróżby, w głębi serca wierzyła, że tak będzie naprawdę. Wybrańcy bogów miewali przeróżne postacie — wystarczyło popatrzeć choćby na Genjiego. Dlaczego to nie dotyczyło cudzoziemskiej wróżki z Yokohamy? Hanako była święcie przekonana, że Heiko szybko wróci do Japonii. A potem... Ile czasu minie, zanim pojawi się wyczekiwany dziedzic? Najwyżej rok, pomyślała. Jeśli stanie się inaczej, będzie bardzo zdziwiona.

* * *

Hanako skończyła mówić. Emily milczała przez dłuższą chwilę.

— Nie było mnie we śnie Genjiego — powiedziała w końcu.

Nie umiała powiedzieć „wizji”, gdyż to zakrawało na bluźnierstwo. Tylko wielcy prorocy Starego Testamentu mieli dar patrzenia w przyszłość. Jeśli Hanako rzeczywiście wierzyła w zdolności księcia, to stawała się heretyczką, skazaną na potępienie. Ale teraz nie było czasu na uczone rozmowy dotyczące wiary. Z tym muszą poczekać.

— Tak — odparła Hanako.

— Skąd zatem wiadomo, że chodzi o mnie?

— Genji wspomniał o medalionie, który zawsze nosisz. O tym z lilijką. Zobaczył go na szyi dziecka.

— To jeszcze nic nie znaczy. — Emily odruchowo dotknęła medalionu ukrytego pod bluzką. — Takich rzeczy może być więcej. A gdyby nawet... Mógł w inny sposób trafić do obcego dziecka.

— Na przykład w jaki? — Zapytała Hanako.

— Mogłam dać go Genjiemu, a on z kolei...

— Chcesz mu go oddać?

— Cóż... Nie myślałam o tym.

— Ale dopuszczasz taką możliwość?

W złotym medalionie w kształcie małego serca krył się miniaturowy portret pięknej młodej kobiety o złocistych włosach. To była babka Emily. Nie znały się, lecz każdy, kto patrzył na jej wizerunek, mówił, że są niesłychanie do siebie podobne. Emily spoglądała na nią co najmniej raz dziennie,

przy wieczornym pacierzu. Myślała wtedy o matce, która zginęła tragiczną śmiercią. Emily miała wtedy zaledwie czternaście lat. Z tamtych czasów zostały jej tylko dwie rzeczy: egzemplarz ulubionego przez matkę *Ivanhoe* i złote serce z portretem babki. To były wszystkie jej wspomnienia.

— Nie — przyznała. — Ten medalion zbyt wiele dla mnie znaczy. Za żadne skarby bym go nie oddała. Ale to jednak za słaby dowód na potwierdzenie twoich wniosków.

— Sęk w tym, że nie chodzi tylko o medalion — powiedziała Hanako. — Pamiętaj o drugiej wizji.

— Drugiej?

— Tak. Twojej.

— Nie miałam wizji — zaprzeczyła Emily. — To była prawdziwa dziewczyna.

— I przez przypadek wszystko odbyło się tak samo, jak to zostało zapisane w zwojach? — Hanako zaczęła czytać na głos: *Zobaczysz mnie w opactwie Mushindo, kiedy wejdiesz do mojej celi. Ty przemówisz, ja będę milczała. Jeśli mnie będziesz szukać, na pewno nie znajdziesz.* Było inaczej?

— Dotychczas jej nie znalazłyśmy — zauważyła Emily. — Jednak nie szukałyśmy zbyt dokładnie. Dopiero jutro Taro zabierze nas do wioski.

Ale Hanako czytała dalej:

— *Jeśli mnie będziesz szukać, na pewno nie znajdziesz. Jak to możliwe? Nie odgadniesz, dopóki nie będzie dziecka. Wtedy pozbędziesz się wątpliwości.*

Emily pokręciła głową.

— To nie ma sensu. Mowa o dwóch zupełnie różnych wydarzeniach.

— Nieprawda. Pytanie brzmi: *Jak to możliwe, że się spotkałyśmy?* Zaraz potem mamy odpowiedź: *Wszystko zrozumiesz, gdy będzie dziecko.*

— W chwili narodzin?

— Myślę, że wcześniej. U was liczy się wiek od dnia narodzin. U nas noworodek ma już rok za sobą. Rok, który spędził w łonie matki.

— Och... Ale jak mogę zobaczyć coś, czego nie ma, tylko dlatego, że kiedyś znajdę w ciąży?

— Podobno dama, o której mówimy, od wieków ukazuje się członkom swego rodu.

— Bogu dzięki! — Westchnęła Emily. — Teraz zaprzeczasz sama sobie. Jeśli tak, to nie mogłam jej dzisiaj widzieć i nigdy więcej nie zobaczę. Bez względu na to, co się stanie, do śmierci będę z domu Gibson.

Poczuła ulgę. Przedtem co prawda upierała się, że nie widziała ducha, ale nie była tego pewna. Trochę za bardzo przypominało to sytuację opisaną w zwojach.

Jednak Hanako nie podzielała jej zadowolenia, a wręcz odwrotnie, wyglądała na jeszcze bardziej zatroskaną.

— Dziecko Genjiego będzie potomkiem rodu Okumichi — powiedziała. — Gdy zajdziesz w ciążę, będziesz miała w sobie krew księżniczki więdźmy.

Emily spiekła raka.

— Nie jestem w ciąży ani z księciem, ani z kimkolwiek innym.

— Nie. Jeszcze nie.

* * *

Kimi była tak podniecona tym, co usłyszała, że od razu chciała podzielić się tą nowiną z innymi dziewczętami. Niestety, nie mogła tego zrobić z uwagi na strażników. Musiała czekać, aż odejdą. Usłyszała nad sobą skrzypienie podłogi. Obie damy powoli udały się na spoczynek. Miały za sobą wyjątkowo ciężki dzień, więc nic dziwnego, że chciały położyć się trochę wcześniej.

Lady Emily zapominała się jedynie w chwilach zdenerwowania. Poza tym znakomicie mówiła po japońsku. Znała o wiele więcej słów niż Kimi i dużo lepiej radziła sobie z gramatyką. Nic dziwnego — Kimi była tylko nieuczoną chłopką. Pani Emily uczyła się języka w zamkach i pałacach, wśród szlachetnie urodzonych dam i wielkich panów. Niemal zupełnie zatraciła amerykański akcent. Kimi nie zrozumiała zaledwie kilku słów z całej jej wypowiedzi.

Już. Wartownicy poszli na obchód wzdłuż wewnętrznego muru. Kimi odczekała kolejną minutę. Kiedy zniknęli z pola widzenia, wyczołgała się spod pawilonu i po cichu odpęzła

jak najdalej. Potem zerwała się z ziemi i pobiegła do swoich przyjaciółek.

— Jesteś pewna, że książę Genji będzie miał z nią dziecko? — Zapytała któraś z dziewcząt.

— Tak — odpowiedziała Kimi. — Na pewno.

— Dlatego że Shizuka to przewidziała?

— Ciii! — Natychmiast rozległ się chór głosów. — Nie wymieniajcie jej imienia! Pomyśli sobie, że ktoś ją wzywa, i się zjawi!

Stłoczone w chacie dziewczęta zbiły się w gromadkę.

— To niemożliwe! — Wykrzyknęła Kimi i odepchnęła od siebie tę, która znalazła się najbliżej. — Chyba że jesteś z rodu Okumichi. A jeśli jesteś, to co robisz w tej zapyziałej wiosce? Wracaj do Chmury Wróbli. Tam jest twoje miejsce.

— Kimi ma rację. Wszystkim wiadomo, że ukazywała się tylko swoim potomkom.

— Wariatka Odo też ją widywała. Dlatego pomieszało jej się w głowie. A ona przecież nie jest ze szlachty.

— Gdybyś była od nas — powiedziała Kimi — to pewnie byś wiedziała, o co chodzi z Odo. Jej matkę uwiódł któryś z przodków księcia. Zdaje się, że pradziadek. Tak myślę. Moja babcia wie lepiej albo raczej wiedziała. Zglupiała na starość i wszystko zapomniała.

— To znaczy, że Odo też jest Okumichi.

— Nie wierzę. Który samuraj chciałby przespać się z brudną chłopką, skoro ma wokół siebie same piękne damy?

— A myślisz, że samuraj jest lepszy od chłopca i trzyma swój mały pług tylko w jednej bruździe? — Spytała Kimi.

Dziewczęta zachichotały.

— Cicho! — Syknęła Kimi. — Strażnicy nas usłyszą.

— Jeśli Wariatka Odo jest z klanu Okumichi, to każda z nas może mieć tam jakichś przodków. Lepiej nie wymieniajmy imienia księżniczki.

— Shizuka, Shizuka, Shizuka — powiedziała Kimi. — Shizuka, Shizuka, Shizuka.

— Przestań, Kimi!

— Shizuka, Shizuka — powtarzała Kimi. — Shizuka, Shizuka, Shizuka...

Wszystkie wstrzymały oddech.

— Widzicie? — Mruknęła Kimi. — Zapewne każda z nas chciałaby być damą, a nie zwykłą wieśniaczką. Niestety, nic z tego. Książę Genji nie uzna żadnej z nas za kuzynkę i nie weźmie do siebie.

— Właśnie! — Krzyknęła jedna z dziewcząt, odzyskując rezon.

— Ha! Tak samo bałaś się wymienić jej imię!

— Chcecie w końcu usłyszeć to, czego się dowiedziałam? — zniecierpliwiła się Kimi.

— Tak, tak! Opowiadaj!

— Nie rozumiem — odezwała się któraś. — To w końcu lady Emily jest w ciąży czy nie jest?

— Jeszcze nie! Chyba mnie nie słuchałaś. Dopiero za jakiś czas prześni się z naszym księciem.

— Nie nosi dziecka w brzuchu?

— Nie. A to znaczy, że nie zaszła w ciążę.

— Jak nie zaszła, to nie ma w niej krwi rodu Okumichi. Niemożliwe, by mogła zobaczyć księżniczkę!

— Dla Shizuki wszystko, co będzie, już było — przypomniała Kimi.

— Nie rozumiem. Jak coś, co ma być dopiero kiedyś, stało się sześćset lat temu i w dodatku dzisiaj? Przecież to bez sensu!

— Nie mów, że coś jest bez sensu tylko dlatego, że nic nie rozumiesz! — Zaperzyła się Kimi. — Rozumiesz wszystkie słowa Buddy? Wszystkie wskazówki patriarchów zen? Takaś mądra?

Dziewczęta wybuchnęły śmiechem.

— Patriarchowie zen mówią wyłącznie zagadkami — powiedziała jedna. — Nie można ich zrozumieć.

— Właśnie — odparła Kimi. — Dla nas, prostych ludzi, życie też jest zagadką. Tylko tacy jak książę Genji coś z tego pojmują. — Dziewczęta popatrzyły na nią z napiętą uwagą. Kimi zrobiła dramatyczną pauzę. — Czas jest naszym więzieniem — dodała. — Shizuka była wolna. Dla niej przeszłość i przyszłość jawiły się tak samo. Jeśli coś miało się zdarzyć, to już kiedyś było.

— Mówiłam wam, że to wiedźma!

— Nie — powiedziała Kimi. — Shizuka była księżniczką. Urodziwą księżniczką z kraju leżącego daleko za Chinami. Znała czary, znane tam wszystkim księżniczkom. — Pamiętała nazwę tego miejsca. Słyszała, jak mówiły o tym Hanako i Emily. To była piękna cudzoziemska nazwa.

— Królestwo Gór Niebieskiego Lodu i Rzeki Czerwonego Smoka.

Opactwo Mushindo, 1308

Shizuka co sił w nogach uciekła ze swojej celi. Już ponad miesiąc zachowywała się w miarę normalnie, więc przełożona Suku nie kazała jej zamykać. Był to szczęśliwy traf, bo gdyby nie uciekła przed tym strasznym demonem, który z nią rozmawiał, znowu wpadłaby w obłąd. Och, nie... A jeśli poszedł za nią? Bała się obejrzeć.

Ale strach przed nieznanym był jeszcze silniejszy. Odwróciła się — i westchnęła z ulgą. Nic jej nie goniło.

Demon — jak wiele z tych, które widywała przedtem — różnił się wyglądem od mieszkańek opactwa. Miał inne oczy i włosy, wyrazistsze rysy i przesadnie krągłą sylwetkę. Shizuka wiedziała już, że jej dziwni „goście” pochodzili z odległych czasów, z przyszłości lub przeszłości. Takich ludzi po prostu teraz tu nie było. Umiała też oddzielić rzeczywistość od wizji. Wydawało jej się, że jest względnie bezpieczna.

Ale ten ją zobaczył!

Odezwał się do niej!

Co to mogło znaczyć? W tej chwili Shizuka była zbyt wzburzona, żeby spokojnie pomyśleć. Potrzebowała ciszy i chwili medytacji. Bała się wrócić do celi. Poszła więc do świątyni i usiadła blisko ołtarza, gdzie podobno najsilniej działała opiekuńcza siła Buddy.

8

Mężowie Opatrzności

Najgorsi zdrajcy, tchórze i renegaci nie uważają siebie za złoczyńców. W swoim mniemaniu są bohaterami, którzy na przekór wszelkim przeciwnościom dokonują heroicznych czynów.

Myszą tak, bowiem widzą jedynie to, co chcą widzieć, odzierają słowa ze znaczenia, gloryfikują fałsz i lekceważą prawdę. Pod tym względem niewiele różnią się od bohaterów.

Na czym więc polega różnica?

Bohaterowie są po naszej stronie.

Zdrajcy, tchórze i renegaci to bohaterowie naszych wrogów.

Aki-no Hashi
(1311)

Pałac Saemona w Edo, 1867

Saemon zawsze wierzył w siebie, ale tym razem miał dodatkowy powód do zadowolenia. Genji już przegrał, bez względu na dalsze losy Emily Gibson. Kluczowym elementem całej układanki była zdrada Taro. Oczywiście sam Taro nic o tym nie wiedział. Jako naiwny tradycjonalista wierzył, że najważniejsza jest śmierć cudzoziemki. Bezkrytycznie podchodził do starych opowieści o bogach i herosach — i uważał, że można zachować Japonię w jej dawnej postaci. Przedtem jednak musieli odejść wszelcy „reformatorzy”, czyli odszczepieńcy

pokroju Genjiego. Tymczasem Japonia już odniosła rany. Agonia mogła potrwać jeszcze rok lub dwa, lecz śmierć była nieunikniona. Nowy kraj, który miał się potem narodzić, nie odbiegał od wizji Genjiego. Inaczej by nie przetrwał.

Anglicy, Amerykanie, Rosjanie, Francuzi, Hiszpanie, Portugalczycy i Holendrzy panoszyli się wszędzie, z jednakowym skutkiem. Co zrobili w Afryce? Z Murzynów uczynili zwykłych niewolników. Wielkie chanaty Azji Środkowej cierpiały pod butem cara. Królowa Anglii — kobieta! — Rzuciła na kolana indyjskich maharadzów. Kto miałby uwierzyć, że w Japonii, o dziwo, będzie inaczej? Oczywiście, że nie! W Chinach już zaczęli palić i rabować.

Genji wiedział, co robi, domagając się reform. W tej kwestii Saemon podzielał jego zdanie, że Japonia nie wyszłaby cało z masakry, rozpętanej prędkiej czy później przez podstępnych cudzoziemców. Rzecz jasna głośno tego nie mówił. Czekał spokojnie, aż tacy jak Genji pierwsi podejmą trudne, lecz niezbędne kroki i tym samym ściągną na siebie gniew narodu. A po idealistach przyjdą realiści... i przejmą całą schedę. Tradycja była z góry skazana na zagładę. Mimo to Saemon widział siłę wciąż tkwiącą w zwolennikach starego porządku.

To naprawdę śmieszne. W starych bajkach o samurajskiej dumie, wierności i honorze nie było więcej prawdy niż w europejskich bajkach o chrześcijańskiej cnocie. Wielkie przykazanie ich Boga brzmiało: „Nie zabijaj”. Pod tym hasłem przez tysiąc lat mordowali, grabili i palili na pięciu kontynentach. Nie potępiał ich za to. Hipokryzja w każdej kulturze stanowiła narzędzie władzy. Mała grupka spryciarzy robiła to, co chciała, narzucając reszcie niechciane przepisy, na które oni sami patrzyli z pogardą. Chrześcijańscy królowie i wielcy książęta zawsze mieli pod ręką Dziesięć Przykazań. W ten sam sposób legendy o rycerskiej odwadze i wielkiej ofiarności stanowiły przykrywkę dla najgorszych zbrodni popełnianych z chciwości przez samurajów.

Prawdziwy samuraj nie był ślepo lojalny i skory do poświęceń. Nie myślał o honorze. Był pragmatycznym, zręcznym i niesłychanie sprytnym geniuszem polityki. Innymi słowy, bardzo podobnym do Saemona.

Taro stanowił tylko część tajnej kampanii przeciwko Genjiemu. Chodziło też o projekt zupełnie nowego prawa, które zakładało równość obywateli, łącznie ze zniesieniem kasty „nietykalnych”. Genji nazywał ich *burakuminami*, wszyscy mówili *eta*. Taka ustawa była niezbędna, aby pokazać cudzoziemcom, że Japonia przejęła dziwne ideały „wolności” i „braterstwa”. Ale z drugiej strony wciąż krążyły uparte pogłoski o udziale Genjiego w pacyfikacji pewnej wsi w okręgu Hino. Ponoć wieś tę zamieszkiwali *eta*. Czy to nie dziwny zbieg okoliczności? Taro na pewno coś o tym wie, chociaż na razie nic nie mówi. Trzeba go jakoś podejść. Pytanie tylko jak?

Ale Saemon się nie spieszył. Po mistrzowsku potrafił odkryć słabe punkty u każdej ofiary. Dobrze wiedział, że znajdzie się też coś na Taro. Tymczasem wysłał swoich ludzi aż do Kalifornii, żeby sprawdzili inną ciekawą pogłoskę. Wprawdzie była to tylko plotka, ale z rodzaju tych kuszących...

Podobno piękna gejsza Mayonaka-no Heiko, dawna kochanka Genjiego jeszcze sprzed Mushindo, wyjechała do Ameryki i tam jakiś czas potem wydała na świat syna. Ile miesięcy później — tego Saemon nie wiedział. Nie ustalił także, kto jest ojcem chłopca. Wszystko wskazywało na to, że to Matthew Stark, towarzysz broni Genjiego i partner w interesach. Ale w grę wchodził także sam książę — i ta myśl najbardziej rozbudzała wyobraźnię Saemona.

Jeśli ojcem jest Genji, to co jego syn porabia w Kalifornii? To, że jest dzieckiem gejszy, nie ma znaczenia. Z chwilą narodzin stał się jedynym następcą rodu Okumichi. Reputacja matki działała na jego korzyść. Piękna i sławna Heiko, znana ze swych talentów, na pewno dałaby mu dobre wychowanie. Nawet nie musiała być żoną Genjiego, wystarczyła jej rola pierwszej konkubiny. Tak się jednak nie stało. Pytanie dla czego?

Czy istniał jakiś związek pomiędzy propozycją zniesienia dóbr feudalnych, złożoną przez Genjiego, zrównaniem obywateli i wygnaniem gejszy, która nosiła w łonie jego spadkobiercę? Saemon nie doszukał się w tym nic wspólnego. Z drugiej strony od dawna wiedział z doświadczenia, że gdy czegoś nie

widać na pierwszy rzut oka, to wcale nie znaczy, że wspomniane „coś” w ogóle nie istnieje.

Domysły były z góry skazane na przegraną. Pozostawało zatem drobiazgowo śledztwo — w tym przypadku nawet sięgające w przeszłość. Gejsza Heiko nie wróciła do Japonii. Jeżeli rzeczywiście miała coś do ukrycia, to prawdy należało szukać w Ameryce. Saemon wysłał do San Francisco dwóch swoich najlepszych agentów. Sam postanowił pilniej popracować nad Taro. Dobrze wiedział, że w końcu z jednej albo drugiej strony dobierze się do Genjiego. A może z obu naraz?

Klasztor Mushindo

— Nie możemy już dłużej zwlekać, panie Taro.

— Nie ma mowy o żadnej zwłoce — powiedział Taro. — Przyjechaliśmy tutaj z panią Hanako i lady Emily. Od nich zależy, jak długo jeszcze tu zostaniemy.

Oficer przysunął się bliżej i powiedział ściszym głosem:

— Ludzie zrobili się nerwowi. Coraz trudniej nimi dowodzić. Lepiej zostawmy to wszystko i zajmijmy się prawdziwą misją.

— Tak? Czym się denerwują?

Taro był wściekły, że w ogóle doszło do tej rozmowy. Gdzie się podziała słynna karność i posłuszeństwo samurajów? Za jego czasów wyglądało to całkiem inaczej. Żaden z młodych ludzi — takich, jak on i Hide — ani przez chwilę nie pomyślał o tym, by dyskutować z przełożonym. Tak, panie. Zrozumiano. To wszystko, nic dodać, nic ująć. Ciekawe, co by zrobił stary szambelan Saiki, gdyby któryś z nich wyrwał się z jakąś radą? Wygrzmociliby ich płazem miecza. Dlaczego Taro nie ukarał swojego porucznika? Bo też zmiękł, jak cała reszta przez minione lata.

— Czują się tu nieswojo.

— Gdzie? W Mushindo? Powinni być raczej dumni, że znaleźli się w miejscu, w którym nasz klan odniósł chwalebne zwycięstwo.

— Ależ są dumni, panie. Nie twierdzą, że jest inaczej. Chodzi o plotki.

— Jakie plotki?

— O duchach i demonach.

Taro zamknął oczy. Wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić. Miał ochotę krzyknąć ze złości. Wdech, wydech... Jeszcze raz. Powoli rozwarł powieki.

— Po powrocie do Edo — powiedział cichym głosem, jak zawsze, gdy był rozgniewany — przypomnij mi, żebym wziął na służbę prawdziwych samurajów. Te płaczliwe smarkule niech wracają do matek.

— Panie... — jęknął porucznik. Skłonił się na znak przeprosin i jednocześnie chyłkiem cofnął na bezpieczną odległość od swego pana. — Wiem, że to strasznie głupie, ale przecież nie chodzi wyłącznie o pogłoski. Dziwne głosy dochodzą z ruin, z głębi lasu i nawet spod ziemi. Nie można winić naszych ludzi.

— W tych okolicach jest pełno podziemnych strumieni — wyjaśnił Taro. — Pan Shigeru mówił mi kiedyś, że czasami woda wypływa na powierzchnię w postaci gorących źródeł. Lubił się w nich kąpać.

— Pan Shigeru... — powtórzył oficer.

Taro znowu zaczerpnął tchu.

— Chyba mi nie powiesz, że jego też się boją? — Zapytał bardzo spokojnie.

— Podobno chłopci widzieli go parokroć w pobliskich lasach. Był w towarzystwie małego chłopca. Mieli latawiec w kształcie wróbla.

— Czyżbyśmy żyli w tak nienormalnych czasach, że samuraje wierzą w brednie zabobonnych chłopów? Pan Shigeru nie żyje. Na własne oczy widziałem jego głowę. To było tutaj, sześć lat temu, nie dalej jak sto kroków od miejsca, w którym siedzimy. Brałem udział w uroczystościach spalenia zwłok. Byłem przy tym, jak jego prochy przewieziono do zamku Chmara Wróbla.

— Tak, panie. Źle się wyraziłem. Chłopi nie widzieli żywego pana Shigeru.

— Aha — mruknął Taro. Gniew wyrwał mu z płuc głębokie westchnienie. — Chodzi o ducha.

— Tak, panie.

— Odejdź — burknął Taro, straciwszy cierpliwość. Nie otwierał oczu, dopóki nie usłyszał cichego stuknięcia drzwi zamykających się za porucznikiem. Jeśli ci ludzie mają być najlepsi w swoim fachu — i tacy są — to kto ma stawić czoło obcej armii? Duchy, demony, tajemnicze głosy... Czysta głupota.

Tylko jedna rzecz z całej tej paplaniny budziła w nim lekki niepokój. Ponoć oprócz ducha zmarłego pana Shigeru był tam jeszcze chłopiec z latawcem w kształcie wróbla. Taro też widział kiedyś podobną scenę. Pan Shigeru siedł z synem. Bawili się latawcem zrobionym przez Genjiego.

Latawcem w kształcie wróbla.

Skąd chłopcy mogli o tym wiedzieć? Synek pana Shigeru nigdy nie był w Mushindo. Aż dziw bierze, iż plotki sięgają tak daleko... Ale dość o tym. Ważniejsza jest prawdziwa misja. Tutaj porucznik miał zupełną rację. Taro musiał obmyślić nowy plan i zrealizować go jak najszybciej, zanim ludzie wpadną w panikę. Poza tym bał się, że lada chwila obie damy zarządzają rychły powrót do Edo.

Jutro. Trzeba zrobić to jutro. Pozostała mu cała noc na przemyślenie działań.

* * *

Wprawdzie Emily zarzekała się, że nie wierzy w żadne przepowiednie zawarte w starych zwojach, lecz mimo to nie mogła zasnąć. Hanako chętnie ujęłaby jej zmartwień, ale wiedziała, że to na nic. Lepiej, żeby Emily знаła całą prawdę. W ten sposób mogła do niej przywyknąć. Kiedy oddech Amerykanki stał się spokojniejszy, Hanako wstała, uchyliła drzwi i odsłoniła fragment srebrnej nocy. W cieniu muru widziała jednego z tak zwanych strażników. Drugi pokasływał gdzieś z tyłu, za domem. Ciekawe, czy są lepsi od tych dwóch fajtlapów, których Taro wysłał na spacer z Emily? Chyba tak, bo z powagą traktowali swoje zadanie. Hanako musiała przemknąć się koło nich w ten sam sposób, jak przedtem zrobiła to niesforna Kimi.

Księżyc w ostatniej fazie był jedynie wąziutkim sierpem na czarnym nieboskłonie. Wątle cienie z ledwością odbijały od

słabej poświaty. Jakaś chmura na moment przesłoniła niebo. Hanako szybko wymknęła się przez drzwi i ukryła w ciasnej przestrzeni pod pawilonem. Tutaj czekała, zupełnie jak Kimi. Z uśmiechem pomyślała o zuchwałej wieśniaczce. Oj, ta mała na pewno kiedyś się doigra... Chyba powinna raczej urodzić się chłopakiem, bowiem od chłopców wymagano sprytu i odwagi. Dziewczynki musiały być bardziej powściągliwe. Yin i yang. Równowaga między mężczyzną i kobietą.

Hanako nawet nie była zła, że Kimi podsłuchiwała fragment rozmowy. Oczywiście wiedziała, że wścibska dziewczyna nie potrafi utrzymać języka za zębami. Na pewno pobiegła już do przyjaciółek. Aura legend i plotek, które otaczały praktycznie każdego księcia Akaoki, zostanie wzbogacona o nowe elementy. Ale to, że Kimi schowała się pod chatką, miało też bez wątpienia swoje dobre strony. W ten sposób nikt inny tam się nie ukrywał. To, że wiejskie dziewczęta słyszały, o czym Hanako rozmawiała z Emily, było zupełnie niegroźne. Gorzej, gdyby słyszeli to wrogowie Genjiego — a tych nigdzie nie brakowało. Nawet wśród gwardzistów. Tak przynajmniej podejrzewała Hanako.

Ucieczka wydawała się raczej niemożliwa. Co prawda Hanako mogła prześliznąć się przez kordon straży, ale musiałaby zostawić Emily. Tymczasem Emily jest najważniejsza. Dziwne... Więc jednak Heiko się nie pomyliła. Los miał połączyć księcia i Emily. Piękną gejszę — wbrew wszelkim znakom na niebie i ziemi — czekało całkiem inne, nieznanne przeznaczenie. Nie wróciła do Japonii z Kalifornii. Jej syn też nie. Nie był zatem potomkiem Genjiego, bo w przeciwnym razie ojciec bez wątpienia wzięłby go do siebie, choćby miał powody, by oddalić matkę. Co się naprawdę stało? — Myślała Hanako. Czy kiedyś się tego dowiem?

Rzecz jasna Emily już od bardzo dawna kochała Genjiego. Wszyscy to widzieli. Tylko ona jedna wciąż była przekonana, że jej uczucia pozostają głęboką tajemnicą. Miłość wyczierała z każdego jej spojrzenia, z lekkiej, ale wyraźnej zmiany zachowania, która w niej zachodziła zawsze na widok księcia, z brzmienia głosu, nie tylko, gdy z nim rozmawiała, lecz nawet wtedy, gdy wymieniała jego imię. Jeżeli wszyscy cudzoziemcy

są aż tak przewidywalni, to ich romanse wyglądają jak przedstawienia teatralne. Ciekawe, skąd ten rozwiązły brak pozaszanowania dla intymnych uczuć i emocji?

Książę Genji nawet najdrobniejszym gestem nie dał po sobie poznać, że w jego sercu jest coś więcej niż przyjaźń. Wprawdzie od lat umiał się maskować, lecz Hanako była przekonana, że nie odwzajemnia miłości Amerykanki. Ma wyrafinowany gust — nawet jak na wielkiego pana — więc cóż mogła mu zaproponować jakaś cudzoziemka? Emily nic nie wiedziała o prawdziwej sztuce kochania. Jeżeli jednak wierzyć zwojom, to zawarta w nich przepowiednia musi się w przyszłości spełnić w jakiś najmniej oczekiwany sposób.

Hanako znów usłyszała przyciszone głosy. Wartownicy stali teraz razem. Szybko przeczołgała się na drugą stronę pawilonu i cicho pomknęła do lasu.

Od razu znalazła dwa kamienie z dawnej podmurówki. W odróżnieniu od innych dam dworu nigdy nie umiała zapamiętać słynnych wierszy. Zawsze jednak bez trudu wracała do miejsca, w którym już kiedyś była. Obmacała ziemię przy pierwszym kamieniu, ale niczego nie znalazła. Przeszła więc do drugiego. Nie wiedziała, czego właściwie szuka, lecz była przekonana, że na pewno coś znajdzie. Shizuka napisała przecież, że zostawi jakiś wyraźny znak dla Emily. Początkowo Hanako myślała, że mowa o kamieniach. Ale nie... To przecież tylko pozostałość po dawnej celi, opisana w zwojach, więc zupełnie bez znaczenia. Chodziło o coś innego. Drugi kamień niczym nie różnił się od pierwszego. Był ciężki, płaski i wkopany w ziemię. Hanako, powoli stąpając po trawie, poszła tam, gdzie powinien wciąż leżeć trzeci. Leżał. Lecz nie poza tym. Hanako powędrowała zatem dalej, wzdłuż domniemanej ściany. Znalazła czwarty kamień. W przeciwieństwie do trzech poprzednich, dawał się poruszyć. Sześćset lat temu teren był tutaj całkiem płaski, potem jednak, na skutek ruchów we wnętrzu góry, ziemia się osunęła i na przedwiośniu płynął tędy wąski strumyk. Woda spowodowała niewielką erozję.

Hanako wsunęła rękę pod fundament. W pierwszej chwili

wyczuła jedynie piasek i drobne kamyki. Macała dalej, bezskutecznie. Było zbyt ciemno, żeby mogła coś dostrzec.

Nagle zamarła w bezruchu, słysząc czyjeś kroki. Ktoś ostrożnie przedzierał się przez gęste poszycie. Samuraj — na tle nieba widziała włosy związane w węzeł na czubku głowy. Pochylił się i wyciągnął z krzaków jakiś przedmiot. Nieświadomie stanął profilem do Hanako. W ręku miał łuk i kołczan. W gęstym mroku nie potrafiła go rozpoznać, więc poszła za nim aż do Mushindo. Było późno, zatem w klasztorze paliło się już niewiele świateł. Przy głównych wrotach wisiała samotna latarnia. Samuraj minął ją i zręcznie wspiął się po nieoświetlonej części muru. Mimo to jego twarz na krótką chwilę znalazła się w kręgu światła.

Taro.

Hanako wróciła myślami do minionych zdarzeń. Emily widziała Shizukę na pobliskiej polanie. Taro zabrał broń z takiego miejsca, które zapewniało mu kryjówkę i dobrą widoczność, mógł więc oddać strzał. Nawet marny łucznik nie zdołałby spudłować. Emily uniknęła śmierci jedynie z powodu dziwnego zachowania.

Hanako czym prędzej wróciła do śpiącej przyjaciółki. Nie było czasu na dalsze kontakty z duchami. Pierwsza próba zawodła, ale Taro na pewno szykuje nowy zamach — i to jeszcze zanim opuśczą Mushindo. Chciał pozostać w ukryciu, przynajmniej na razie. To daje nam pewną szansę, pomyślała Hanako. Pytanie tylko: jak najlepiej z niej skorzystać?

* * *

Taro uznał, że najlepiej będzie zamordować Emily, kiedy tylko ruszą z powrotem do Edo. Jego ludzie mieli pochwycić i związać Hanako, żeby nie sprawiała kłopotów. Gdyby bowiem zginęła, to Hide już nigdy nie przeszedłby na stronę przeciwników księcia, choćby nawet działali w najśluszniejszej sprawie. Taro postanowił dłużej się nie chować. Zamierzał dobyć miecza i zabić cudzoziemkę na oczach podwładnych.

— Pani Hanako, pani Emily... — Stanął przed drzwiami pawilonu. — Jesteśmy gotowi zaraz wyruszyć w drogę...

Najpierw poczuł, że kula rozcięła mu czoło, a dopiero potem usłyszał huk wystrzału.

— Zdrajco! — Krzyknęła Hanako zza zamkniętych drzwi. Strzeliła na słuch, celując w miejsce, gdzie powinna znajdować się głowa samuraja. Nie spodziewała się, że go trafi. To byłoby zbyt wielkie szczęście.

Taro na czworakach rzucił się do ucieczki. Oślepiła go krew. A może stracił oko? Nawet nie wiedział, że Hanako nosi rewolwer.

— Pani Hanako! — Wrzasnął. — Co się stało? Przecież to ja, Taro!

— Wiem — padła odpowiedź — i dobrze wiem też, kim jesteś. — Na długo przed świtem Hanako zakradła się do chaty dziewcząt. Kimi obiecała jej pchnąć wiadomość do Edo. Wokół byli wrogowie.

— Sama pójde — powiedziała Kimi. — Najszybciej biegam.

— Przecież nie będziesz biegła przez całą drogę do Edo.

— To niepotrzebne. Pan Hiromitsu jest przyjacielem księcia. Jeden z jego lenników ma tutaj posiadłość. Na pewno nam pomoże.

Sprytna dziewczyna była ich jedyną nadzieją. Gdyby zawiodła i nie przybyła w porę z posiłkami, Taro bez wątpienia wdarłby się do chaty i zabił Emily. Tymczasem Hanako, oprócz broni palnej — inkrustowanego srebrem rewolweru kaliber .32, który dostała z Kalifornii w prezencie od Starka — miała dla nich jeszcze jedną niespodziankę. Z tym jednak wiązało się pewne ryzyko. Wolą więc poczekać.

— Na pewno się nie mylisz? — Zapytała Emily. — Taro dziesiątki razy stawał w mojej obronie. Dlaczego miałby mnie skrzywdzić?

— A jak myślisz, po co zabierał łuk i strzały? — Hanako podniosła matę z podłogi. Emily pomogła jej zatarasować drzwi. — To powinno ich na moment zatrzymać. Mam nadzieję, że na wystarczająco długo.

— Może polował? — Zastanawiała się Emily.

— W nocy? Na co? Na sowy?

— Za dnia poszedł na polowanie, potem zobaczył, co się ze mną dzieje... Zdenerwował się, kiedy zemdląłem, i zapomniał o swoim łuku.

— Widziałś kiedyś samuraja, który zapomniałby o broni?
— Spytała Hanako. To było nie do pomyślenia. Razem podniosły drugą matę i postawiły ją tuż za pierwszą.

* * *

— Odstrzeliła ci spory kawałek brwi, panie — stwierdził porucznik.

Taro odepchnął jego rękę i sam przyłożył do rany strzęp tkaniny.

— Przeprowadźcie dziewczynę.

Stał na czele oddziału pięćdziesiąt kroków od chaty. Szczerze mówiąc, chciałby, żeby Hanako poddała się bez walki. W przeciwnym razie musiałby dać rozkaz do szturm. Nie wiedział, czy Hanako umie dobrze strzelać. Nie przypominał sobie, by ćwiczyła, więc zapewne nie miała wprawy. To, że pierwsza przelała krew, było tylko dziełem przypadku. Z drugiej strony w ciasnej przestrzeni, przygotowana do obrony, mogła stać się naprawdę niebezpieczna. Taro w ogóle nie dbał o własne straty. Nie obchodziło go nawet to, czy zginie. Bał się jednak, że Hanako polegnie, broniąc Amerykanki. Właśnie dlatego postanowił działać z zaskoczenia, kiedy już będą w drodze. Na nieszczęście Hanako przewidziała zdradę.

— Mam ją. — Porucznik brutalnie popchnął Kimi naprzód. Dziewczyna miała ręce związane na plecach.

— Grozi wam zguba! — Krzyknęła do samurajów. — Lepiej się poddajcie, to może uratujecie głowy.

— Cicho! — Porucznik uderzył ją wierzchem dłoni i powalił na ziemię. Szarpnął sznur, którym była związana, postawił ją na nogi i zamachnął się do następnego ciosu.

Taro powstrzymał go ruchem ręki. Dziewczyna lekko zatoczyła się od uderzenia, ale nie wyglądała na przestraszoną, chociaż z jej ust i rozbitego nosa płynęła krew. Albo była bardzo odważna, albo głupia jak ten olbrzymi mnich, który codziennie z uśmiechem włóczył się po Mushindo.

— Czyżbyś była przebraną księżniczką — zakpił Taro — że chcesz okazać nam łaskę?

— Nie ja, tylko księżę Genji — odpowiedziała. — Wszyscy wiedzą, że ma miękkie serce.

— Ty mała źmijo! — Porucznik dobył miecza.
— Stój — mruknął Taro. — Jej głowa jest dla nas cenniejsza, dopóki jeszcze tkwi na swoim miejscu. Przynajmniej na razie. — Chciał przekonać Hanako, że odsiecz nie nadejdzie. Chłopka nie przedarła się przez kordon straży.
— I tak nie wygracie — powiedziała Kimi.
— Rozumiem — westchnął Taro. — Wcale nie jesteś księżniczką, lecz wróżbitką.
— Ja? — Zapytała Kimi, buńczucznie wysuwając brodę. — Nie. Pani Shizuka.
Natychmiast umilkły pogardliwe szmery pośród wojowników. Wszyscy mieli w pamięci tajemnicze dźwięki, które nocami rozlegały się w murach Mushindo. Tak jak mówił porucznik, ludzie byli nerwowi, a imię czarownicy w niczym tu nie pomogło.
— Umarła dawno temu — uciał Taro. — Na pewno nie ożyje.
— Być może... — przytaknęła Kimi. — Ale jej proroctwa zawsze się spełniają. Chyba słyszeliście o *Jesiennym Moście!*
— Bzdura! — Zaśmiał się Taro. — Bajki dla niegrzecznych dzieci. Nic więcej.
— A zwoje, które czytają pani Hanako i lady Emily?
Taro wybuchnął śmiechem.
— Emily tłumaczy kronikę naszego klanu. Nawet wieśniacy o tym wiedzą.
— Ach, tak? I jest tam mowa o tym, że lady Emily spotka panią Shizukę? Posłuchajcie zatem: *Pojawię się w Mushindo, gdzie stała moja chata. Tylko ty mnie zobaczysz. Inni będą szukać, lecz niczego nie znajdą. Mimo to przyjdę.* — Kimi nie pamiętała dobrze, jak brzmi wspomniany fragment. Powtórzyła go, jak umiała — ale to wystarczyło, żeby niektórzy z samurajów zaczęli się trwożnie rozglądać. — Przecież sam znalazłeś kamienny fundament.
— Skąd wiesz, co tam napisano? W ogóle umiesz czytać?
— Mam uszy. Słyszałam rozmowę.
— Dość! — Porucznik szarpnął sznur i przewrócił dziewczynę na ziemię. Pociągnął ją w stronę chaty, na otwartą przestrzeń. — Pani Hanako! Złapaliśmy twoją wysłanniczkę!

Złóż broń, a nie stanie ci się żadna krzywda! Masz na to moje słowo!

— A cóż jest warte słowo zdrajcy? — Spytała Hanako. — Waży o wiele mniej niż strzep łabędziego puchu. — Drugi raz nacisnęła spust. Taro nie widział, żeby kiedyś ćwiczyła się w strzelaniu. Najwyraźniej robiła to w tajemnicy, bo z pleców porucznika buchnął strumień krwi. Samuraj padł martwy. Kimi zerwała się na równe nogi i ciągnąc za sobą sznur, pobiegła do pawilonu.

— Musicie pojmać panią Hanako! — Rozkazał Taro. — Tylko nie zróbcie jej krzywdy. Cudzoziemkę zostawcie dla mnie. — Dobyli mieczy i skoczyli naprzód. Huknęły jeszcze cztery strzały. Dwóch samurajów zważyło się na ziemię. Taro rzucił się w stronę drzwi.

W tej samej chwili znalazł się w samym środku ognistej eksplozji. Hanako podpaliła chatę. Taro odskoczył do tyłu i zaczął tarzać się po piasku, żeby zdusić płomienie na ubraaniu.

— Nie stójcie tak! — Ryknął do swoich ludzi. — Łapać je! — Kilku z nich podbiegło do drzwi płonącej chaty.

— Nie tam, idioci! — Wprawdzie Hanako nie cofnęłaby się przed samobójstwem, ale teraz musiała myśleć o Emily. — Szukać z drugiej strony!

* * *

— Tędy! — Krzyknęła Kimi do Hanako i Emily. — Prędkiej! — W lesie mogły uciekać jedną ze stu ukrytych ścieżek prowadzących z Mushindo w góry i doliny. Tam będą bezpieczne.

Niestety, Emily opóźniała ucieczkę. Ludzie Taro odcięli im drogę, zanim zdążyły dotrzeć do najbliższego drzewa. Hanako wyciągnęła krótki miecz i własnym ciałem zasłoniła przyjaciółkę.

— Głupcze! — Krzyknęła. — Myślałam, że chociaż ty jesteś mądrzejszy!

— Los całego narodu jest dla mnie ważniejszy niż dobro jednego człowieka! — Odparł Taro. Zastanawiał się, jak ją rozbroić, przy okazji jej nie zabijając. To mogło być trudne.

Widział ją w walce, w tym samym miejscu. Lepiej władała mieczem od niejednego z jego samurajów.

— Przyszłość jest dla nas tajemnicą! — Odparła Hanako. — Dla ciebie, dla mnie i dla wszystkich innych. Dla wszystkich, oprócz księcia Genjiego. Dlaczego chcesz mu się sprzeciwić?

— Ludzie powinni tworzyć historię — krzyknął — a nie powtarzać w kółko stare bajki. — Rzucił się w lewo, potem w prawo. Hanako pewnie by się poddała, gdyby potrafił zabić Emily. Po co miałyby dalej walczyć?

Hanako spokojnie odczekała kilka sekund, a potem przesuwała się w stronę przeciwnika, jakby chciała mu zastąpić drogę. W tej samej chwili, tak jak przewidywała, z tyłu ruszyli dwaj wojownicy. Odwróciła się szybko i pierwszego cięła od dołu do góry, a drugiego przez głowę, powrotnym ruchem miecza. Gdyby użyli broni, zapewne by zginęła. Lecz oni próbowali ją tylko pochwycić. Nie byli zbyt groźni. Został jednak Taro. Hanako stała teraz plecami do niego. Skoczył i ciasno oplótł ją ramionami.

— Nie szarp się — warknął. — Już po wszystkim.

Samuraje natychmiast otoczyli Emily, ale wciąż trzymali się w pewnej odległości. Taro przedtem rozkazał im złapać Hanako, sam zaś zamierzał zabić Amerykankę. Jednak wszystko potoczyło się inaczej. To on trzymał Hanako. Nie wiedzieli, co zrobić. Bez nowego rozkazu byli bezradni. Od dziecka uczono ich słuchać poleceń. Z uporem tłumiono każdą inicjatywę, więc gdy dowódca zawiódł, wpadli w rozterkę.

Status Emily też miał niemały wpływ na ich wahanie. Jeszcze przed chwilą traktowali ją z wielkim szacunkiem, należnym bliskiej przyjaciółce księcia oraz kobiecie, której dotyczyły proroctwa. Trochę za szybko stała się zwykłą cudzoziemką, przeznaczoną na krwawą ofiarę. Wciąż pamiętali, co działo się w nocy w klasztorze Mushindo. Upiorne dźwięki, podsycane groźnymi legendami związanymi z tym miejscem, sprawiały, że niejeden z nich widział i słyszał niestworzone rzeczy. Nikt nie chciał zadać śmiertelnego ciosu. To było zmartwienie Taro.

— Przytrzymajcie panią Hanako — powiedział Taro. Zanim jednak podeszli bliżej, ciężki kamień spadł prosto na jego prawą nogę. Taro zwinął się z bólu dosłownie w tej samej

chwili, kiedy Hanako próbowała wyrwać się z jego objęć. Upadł, lecz wciąż ją trzymał. Kimi usiłowała znowu uderzyć go kamieniem, ale musiała umknąć przed szybkim ciosem miecza. Cudem uniknęła śmierci. Drugie cięcie skosiło wysoką trawę. Kimi zniknęła.

Upadek sprawił, że Taro mimo woli poluznił uchwyt. Hanako ciągle trzymała miecz. Obróciła się lekko i ze wszystkich sił napała ostrzem na tułów przeciwnika. Błyszcząca stal weszła głęboko pod żebra.

— Ach! — Taro odskoczył od niej.

Hanako wyrwała miecz z jego ciała, dźgnęła najbliższego stojącego samuraja i wyrąbała sobie drogę do Emily. Wojownikom nie wolno było zrobić jej krzywdy, więc cofnęli się.

— Panie! — Kilku z nich rzuciło się w stronę Taro.

— Z drogi! — Wycharczał ranny.

Ubranie miał przesiąknięte krwią. Przycisnął dłoń do rany. Na pewno odniósł poważne wewnętrzne obrażenia, ale przynajmniej zdołał powstrzymać upływ krwi. Wszystko wróciło do punktu wyjścia. Znowu stali kręgiem wokół obu kobiet. Hanako wyciągnęła przed siebie miecz, gotowa umrzeć w walce. W ciągu zaledwie kilku minut Taro stracił aż sześciu ludzi. A kogo miał za przeciwnika? Cudzoziemkę, wiejską dziewczynę i jednoreką żonę wiernego przyjaciela.

Dość tego.

Taro dźwignął się z ziemi.

Nie zważał na ból. Jego rana mogła być śmiertelna. Gdyby więc mimo wszystko nie zabił Emily, cały plan zostałby zniewieczony już na samym początku. Amerykanka musi umrzeć, bez względu na okoliczności. Taro zrobił krok w stronę kobiet.

— Pani Hanako... — zaczął — po co się tak poświęcasz? Pomyśl, co będzie z twoim małym synkiem, jeżeli straci matkę? — Wiedział, że nie zniechęci jej do dalszej walki, lecz chciał w ten sposób chociaż na chwilę odwrócić jej uwagę od pozostałych wojowników.

Hanako wycelowała sztychem między jego oczy.

— Zostanie dzielnym samurajem jak jego ojciec — od powiedziała — i kiedyś umrze honorową śmiercią. Ty nie

doczekasz takiej nagrody. — Emily nie może zginąć! Pani Shizuka przepowiedziała bowiem, że będzie matką książęcego dziecka. A jeśli wróżba się nie spełni? Aż strach pomyśleć o tragicznych skutkach. Hanako bez przerwy zmieniała pozycję, starając się widzieć wszystkich przeciwników.

Nagle jeden z nich krzyknął zaskoczony i osunął się na kolana. Przyłożył rękę do głowy. Zobaczył krew na dłoni. Oczy zaszyły mu mgłą.

Drugiemu nadlatujący kamień głęboko rozciął policzek.

Trzeci pocisk świsnął tuż koło twarzy Taro.

* * *

— Bardzo dobrze, Goro — pochwaliła Kimi. — Bardzo dobrze.

— Kimi — powiedział Goro i podniósł następny kamień.

— Pamiętaj, gdyby zaczęli nas gonić, uciekaj do gorących źródeł Przy Grzybach — pouczyła go. — O mnie się nie martw. Jestem mała. Mogę schować się w trawie.

— Kimi — powtórzył Goro.

— Goro — odpowiedziała Kimi.

Goro cisnął kamieniem. Potrafił niezwykle celnie rzucać na pięćdziesiąt kroków. Zanim zaczął na dobre naśladować mnicha, polował na króliki na strawę dla matki. Ona też była wariatką. Tylko z tego powodu buddyści z ich wioski nie czynili im wstępow za sprzeczne z prawem Buddy zabijanie żywych istot. Wariatów i tak omijano z daleka. Jedną rzecz matka Goro robiła lepiej niż chłopki. Gotowała. Przyrządzała wspaniałą potrawkę z królika. Teraz Goro już nie zabijał, bo przecież udawał mnicha. Od śmierci matki nikt nie poczęstował go królikiem. Nikt zresztą nie przynosił ich więcej do wioski.

Zdrajcy zauważyli Goro i zaczęli uchylać się przed kamieniami. On jednak rzucał nadal, bo w ten sposób odpędzał ich od okrążonych kobiet. Jak to się stało, że zwrócili się przeciwko księciu? Kiedy Kimi była małą dziewczynką, razem z innymi wiejskimi dziećmi obserwowała słynną bitwę. Wokół Genjiego stały setki strzelców. Wystrzelono tysiące kul. Wciąż znajdowano je w ruinach Mushindo. Mimo to księżę pozostał

nietknięty. Oczywiście. Jak ktoś mógł trafić człowieka, który zna przyszłość? Przecież wystarczyło, żeby uchylił się przed każdym lecącym pociskiem.

W innych okolicznościach Kimi nie miałaby odwagi nawet rozmawiać z samurajami, a co dopiero rzucać w nich kamieniami. Teraz jednak było zupełnie inaczej. Pomagała księciu. Książę Genji zawsze wygrywał. Spoglądał w przyszłość, więc nigdy nie bał się nikogo. Bez wątpienia przewidział także i tę zdradę. Zapewne już podjął odpowiednie kroki, żeby pokonać wrogów. Za chwilę zjawi się na czele oddziału swoich sławnych jeźdźców. Załopoczą sztandary, błysną ostrza włóczni i w powietrzu rozlegnie się bojowy okrzyk wiernych samurajów. To będzie wspaniały widok.

Rzecz jasna do zwycięstwa prowadzą różne drogi. Są też i takie, których Kimi nie potrafiła sobie wyobrazić. Jak brzmi znane powiedzenie? Starzy bez przerwy je powtarzają, żeby uchodzić za bardzo mądrych. Ach... prawda.

„Książę Genji powiedział: Wszystko, co przewidziane, objawia się w najbardziej nieprzewidywany sposób”.

Ponoć wyrzekł te słowa chwilę po zakończonej bitwie, w której garść jego wojowników pokonała dużo liczniejsze oddziały Lepkiego Oka. Tak przynajmniej twierdzili starcy. Kimi nieraz zastanawiała się, czy to prawda. W przeciwieństwie do innych mieszkańców wsi, na własne oczy widziała księcia Genjiego i słyszała jego rozmowy. Nie wypowiadał wzniosłych maksym. Z doświadczenia wiedziała, że w takiej sytuacji wolałby się uśmiechnąć tym swoim dziwnym uśmieszkiem i powiedzieć coś zabawnego.

— Celuj w tego, który przycisnął dłoń do boku — mruknęła Kimi.

— Kimi — odparł Goro.

— Goro — powiedziała.

— Kimi — powtórzył i rzucił kamień.

* * *

— Przestańcie się uchylać, idioci! — Wrzasnął Taro. — Od czego macie luki? Ty! Wykończ tego wiejskiego głupka. Dziewczynę też. A ty... zastrzel cudzoziemkę. — Co prawda wolałby

sam zająć się Emily, ale z powodu rany nie mógł tego zrobić. — Uważaj, żeby przypadkowo nie trafić pani Hanako.

— Tak jest, panie — odpowiedzieli obaj wojownicy. Wyciągnęli strzały z kołczana, założyli je na cięciwę i napięli łuki.

Pałac Cichego Żurawia, Edo

Charles Smith zobaczył kilku samurajów czekających przed boczną bramą. Przyjechał konno, gdyż księżę Genji wspominał o wycieczce. Samuraje skłonili się na widok gościa. Smith zsiadł z konia. Jeden z wojowników wziął od niego wodze i z kolejnym ukłonem wygłosił jakąś dłuższą przemowę po japońsku. Smith zrozumiał z tego tylko tyle, że troskliwie zajmą się jego wierzchowcem.

— Dziękuję — odparł, pochylając głowę. Wprawdzie nie wiele wiedział o Japonii i Japończykach, jednak uznał, że grzeczność wszędzie jest rozumiana dużo lepiej niż słowa. Otworzono bramę i wszyscy samuraje znów pochylili się w ukłonie. Dowódca ruchem ręki pokazał Smithowi, że powinien wejść pierwszy. Główna brama zarezerwowana była wyłącznie dla Genjiego i wyższych rangą książąt, którzy czasami składali mu wizyty. Smith nie czuł się obrażony. Wychodził z założenia, że dawne kultury są bardzo przywiązane do wiekowych tradycji. Jeśli coś w tym się psuło, to niedługo potem następował upadek całych cywilizacji.

Tak przecież było z Aztekami w Meksyku oraz z Inkami w Peru po przybyciu Hiszpanów. W Ameryce Północnej, pod rządami Anglików i Francuzów, zginęły bitne plemiona Huroków, Moheganów i Czirokezów. Teraz to samo działo się ze Siuksami, Czejenami i Apaczami. Kiedy jego przodkowie na przełomie wieków dotarli na Hawaje, żył tam okrągły milion Hawajczyków, którzy zbierali taro, łowili ryby na morzach i modlili się do przeróżnych bogów, nakazujących im żyć w harmonii z przyrodą. Teraz rdzennych wyspiarzy została jedna dziesiąta, wycieńczona przez różne choroby przywiezione przez Amerykanów i Europejczyków, zdemoralizowana upadkiem dawnych wierzeń i bliska zagłady i asymilacji. Stary

Świat był niewiele lepszy od Nowego. Rosyjskie wojska zgniotły Tatarów i Kazachów, czyli pozostałość wielkiego państwa Mongołów, które przed laty zajmowało większą część dwóch kontynentów, rozciągając się od Pacyfiku po Bałtyk i Morze Czarne. Anglicy, Francuzi, a nawet Holendrzy podzielili Afrykę na kolonie. W Azji rozległe Indie stały się częścią Imperium Brytyjskiego. Anglia, Francja i Rosja patrzyły na Chiny. A z Chin przecież już blisko do Japonii, prawda? Owszem, Japończycy byli wojownikami — ale przecież to samo mówiono o Aztekach i Inkach, którzy jednak przegrali. W Japonii mieszkało czterdzieści milionów ludzi, ale Indie i Chiny były dużo większe, a mimo to upadły. Japończycy nie zapadali na obce choroby — pod tym względem różnili się od Hawajczyków — lecz do obrony mieli zaledwie włócznie i miecze, nie licząc kilku wiekowych muszkietów. Tymczasem zachodnie mocarstwa dysponowały najpotężniejszą bronią stworzoną przez człowieka. Dla Japończyków cudzoziemska broń była o wiele gorsza od zarazy.

Prawo przyrody, odkryte przez Darwina, pasowało do zwierząt, ludzi i narodów. Przeżywał najsilniejszy.

Smith to wiedział. Wiedział, że Japończycy są skazani na zagładę, więc nie przejmował się ich napuszoną dumą i źle skrywaną wzdą. Postrzegał ich niczym gromadę duchów, które nie zdają sobie sprawy, że już są na tamtym świecie.

Klęska Japonii była oczywista jak blask wschodzącego słońca. Wszystkie cywilizacje Wschodu przeżywały kiedyś okres potęgi i rozkwitu. Na dobrą sprawę wystarczyło spojrzeć choćby na Tadź Mahal, Wielki Mur Chiński albo gigantycznego złotego Buddę w Kamakurze. Smith widział to na własne oczy. Ale dni chwały Wschodu dawno już minęły. Indie, Japonia, Chiny i pozostałe kraje zamarły w stagnacji. Niezmiennność rzeczy stała się wschodnim ideałem. Nikt tu nie dążył do postępu, więc nie wiedziano, jak się bronić. Już nie chodziło o potęgę pary, armaty, wojska i armady. To była, jak wszystko co ludzkie, kwestia pewnej wiary. Zachód wierzył, że „złoty wiek” dopiero nadejdzie. Wschód uważał, że to już przeszłość. Ot, cała różnica.

Mimo wrogiego nastawienia większości japońskich wodzów Smith nie pałał zbyt dużą niechęcią do samych Japończyków. Domyślał się, że nie potrafią uciec od stagnacji oraz zwyrodnienia, w którym żyli przez całe wieki. Można powiedzieć, że jak każdy cywilizowany człowiek spoglądał na nich nieco z góry, ale ze współczuciem należnym ludziom skazanym na zagładę. Oczywiście nie był też wrogiem Genjiego. Wręcz przeciwnie, nawet go trochę lubił. Niechętnie myślał o tym, że japoński książę zginie wraz z całym narodem, choć z drugiej strony musiał akceptować fakty. Szkoda, gdyż w głębi serca Genji był bardzo postępowy. Należał do tej wąskiej grupy Japończyków, którzy chcieli wprowadzić na olbrzymią skalę zachodnią myśl techniczną i zachodnie metody działania. Ale to było za mało i stanowczo za późno. Japonia tkwiła w tym miejscu, w którym Europa znajdowała się przed pięciuset laty. Nie da się w krótkim czasie nadrobić zaległości pięciu wieków. Za niecałe trzydzieści lat, na początku dwudziestego stulecia, cały kraj — tak jak reszta Azji — znajdzie się pod butem jednego z zachodnich mocarstw. Pytanie brzmi: którego? Przy odpowiednich posunięciach Waszyngtonu mogłyby to być Stany Zjednoczone. Dlaczego nie? A kto powiedział, że założenia *Manifest Destiny* kończą się na zachodnich krańcach Ameryki Północnej? Za cesarów Morze Śródziemne było sadzawką Rzymu. Teraz Pacyfik może być sadzawką dla Amerykanów. Smith nie widział żadnych przeszkód.

Samuraj zaprowadził go nowym korytarzem do wewnętrznych ogrodów pałacu. Smith ze zdumieniem spojrzął na Genjiego, siedzącego na krześle w otwartym salonie. Mało tego, cały pokój umeblowany był w europejskim stylu. Genji wprawdzie nosił tradycyjne kimono, ale zamiast sandałów włożył angielskie buty do jazdy konnej.

— Ależ książę.. — przemówił Smith — widzę, że postanowiłeś w końcu całkowicie przejąć zachodni tryb życia.

— „Całkowicie” to może za dużo powiedziane — roześmiał się Genji. — To tylko mała próba. — Wskazał pokój. — Podoba się panu?

— Oczywiście! Wygląda niemal jak mój salon w Honolulu.

Genji znów się uśmiechnął.

— To bardzo dobrze. Korzystałem z pańskich opisów i wskazówek. Z tego, co mi pan mówił, klimat na Hawajach jest taki jak w Japonii w niektórych porach roku.

— Tak, to prawda. Nie mówiąc o zimie.

— Zimą chcę zmienić wystrój — oznajmił Genji. — Porucznik Farrington opisał mi swój dom w Ohio.

Na wspomnienie Farringtona dobry nastrój Smitha ulotnił się jak zdmuchnięty.

— Zupełnie niepotrzebny kłopot — mruknął. — O wiele lepiej trzymać się jednego stylu.

Był zły, bo w głębi serca nosił podejrzenie, że Emily trochę bardziej woli Farringtona. Co prawda w krótkich chwilach, kiedy widział ich razem, nie zauważył żadnych ukradkowych spojrzeń ani innych oznak świadczących o romansie. Emily traktowała go jednak nieco chłodniej. Konkluzje były niewesołe — zwłaszcza że kiedyś dość wyraźnie dała im do zrozumienia, iż sama wybierze sobie męża. Smith nie wycofał swej oferty, bo nie zamierzał się poddawać. Póki decyzja nie zapadła, zawsze miał jakąś szansę.

W gruncie rzeczy nawet nie kochał Emily Raczej pożądał — tak jak jeszcze niczego w życiu. Bez wątpienia była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział na oczy, na portrecie albo w wyobraźni. Brak głębszych uczuć wcale go nie peszył. Miłość jest dobra dla kobiet i dzieci. Niewiasta słaba i uległa, mężczyzna silny i dominujący. To też zgadzało się z Darwinem. Zdrowy krzepki mężczyzna — jak zdrowy dynamiczny naród — wciąż parł naprzód, w poszukiwaniu władzy i majątku.

— Tego zupełnie nie rozumiem w zachodniej architekturze — powiedział Genji.

— To znaczy? — Zapytał Smith.

— Sztynność. Każdy pokój ma tylko jedno przeznaczenie. Nikt w nim nie zmienia mebli. Czy to logiczne?

— Owszem. Nasze pokoje są niezmiennie, bo mamy sporo mebli i grube solidne mury. U was mebli jest jak na lekarstwo, a zamiast ścian stawiacie cienkie przesuwne parawany.

— Temu nie przeczę. Pytałem raczej, którą logikę pan wybiera?

— Jeżeli mam być zupełnie szczery, to bez obrazy... — zaczął Smith i przerwał.

— Szczerość mnie nigdy nie obraża — zapewnił Genji. — Po prawdzie staram się zachować spokój nawet w obliczu złośliwości — dodał z uśmiechem.

— Przepraszam pana, ale słyszałem, że samuraje chętnie dobywają mieczy, jeśli poczują się obrażeni...

— Tak, tak... Ale to tylko głupia strata czasu, energii i ludzkiego życia. Oddałby pan rewolwer komuś, kto w każdej chwili może pociągnąć za cyngiel?

— Oczywiście, że nie.

— Ja też nie. — Genji skłonił się lekko. — Niech pan mówi dalej.

— Nasze mieszkania są lepsze od japońskich, choćby z tej prostej przyczyny, że mamy normalne meble. Nasze krzesła i stoły pozwalają nam siedzieć w dużo zdrowszej i całkiem naturalnej pozycji, a nie kulić się na podłodze i męczyć napięte mięśnie. Grube mury chronią nas przed złą pogodą, robactwem i szkodnikami. Poza tym są bez porównania lepsze od papierowych ścianek w przypadku ataku. To chyba powinien pan dobrze zrozumieć, ponieważ przede wszystkim jest pan samurajem.

— Bezpieczeństwa nie mierzy się grubością murów — odpowiedział Genji — ale wiernością podkomendnych. Gdyby nie oni, nie uchroniłaby mnie nawet stalowa płyta.

— Panie... — Na dziedzińcu zjawił się dowódca gwardii i jeden z generałów księcia, Hide. Obok niego stał attache marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych i rywal Smitha do ręki Emily Gibson, porucznik Robert Farrington.

— Bardzo przepraszam, że przeszkadzam — powiedział Farrington i ze złością łypnął na Smitha. — Chyba źle zrozumiałem pańskie zaproszenie, książę.

— Ależ skądże! — Wykrzyknął Genji. — Zapraszam!

— Proszę wybaczyć, książę, ale w tej chwili wolałbym być gdzieś indziej niż w towarzystwie pańskiego gościa.

— Właśnie jedziemy „gdzieś indziej”. Zapraszam do nas.

Smith wstał, ukłonił się Genjiemu i przeciągle spojrzął na Farringtona.

— Niech pan się czuje jak u siebie w domu, drogi admirał. Zawsze marzyłem, że znów zobaczę któregoś z bohaterów Unii. — Sposób, w jaki to wypowiedział, więcej dawał do zrozumienia niż same słowa.

Genji od razu zauważył, że Hide odsunął się na bok, aby móc szybciej wydobyć miecz i jednym cięciem zabić Farringtona. Dwaj samuraje, którzy czekali w korytarzu, wbili wzrok w Smitha. Obaj Amerykanie nosili rewolwery. Mogli mieć przy sobie broń podczas wizyty, ponieważ Genji — wbrew dobremu radom — nadal uważał ich za przyjaciół. Jego gwardziści wcale nie byli tym zachwyceni. Wystarczał im sam widok Farringtona lub Smitha, żeby byli gotowi do walki. To stawało się niebezpieczne. Biali machali rękami, w przeciwieństwie do powściągliwych Japończyków. Nawet najmniej-szy, lecz nieprzewidziany ruch z ich strony powodował, że samuraje chwyтали za rękojeść miecza. Genji pomyślał, że w przyszłości nie będzie wpuszczał gości z bronią. Nie troszczył się o siebie. Chodziło o ich bezpieczeństwo.

— No cóż... — mruknął — jeżeli jeden z was, panowie, nie wybierze się dziś na przejażdżkę, to znacznie uprości sprawę. Zwłaszcza dla Emily. Słyszałem, że amerykańskie damy lubią mieć prawo wyboru. — Obaj popatrzyli na niego zaskoczeni. Tego się spodziewał. Na krótką chwilę zapomnieli o animozjach.

— A skąd w tym wszystkim wzięła się Emily? — zdziwił się Smith.

— Od początku grała główną rolę — odpowiedział Genji. — Ja występuję jako jej przyjaciel, a panowie jako konkurenci.

— Przepraszam, ale wciąż nie rozumiem, książę — odezwał się Farrington. — Co to ma wspólnego z naszą dzisiejszą przejażdżką? Obaj jesteśmy pańskimi przyjaciółmi. Obaj staramy się o Emily. Ale to wcale nie znaczy, że chcemy się widywać.

— Chociaż raz się z panem zgadzam — dodał Smith. — Nasze kontakty, choćby przypadkowe, powinny ograniczać się wymiany ukłonów. Po tym poznać dżentelmena.

Farrington skłonił się po europejsku.

— Pan był tu pierwszy. W takim razie nie przeszkadzam panu w dalszej rozmowie z księciem — powiedział.

— Wręcz przeciwnie — zaproponował Smith, w identyczny sposób kłaniając się rywalowi. — To ja jestem zmuszony pożegnać obu panów, ponieważ miałem już okazję zamienić kilka słów z księciem.

— To zbytńia uprzejmość, proszę pana — sprzeciwił się Farrington.

Genji westchnął. Znowu nie zwracali na niego uwagi. Był cierpliwy, ale to ich gadanie powoli doprowadzało go na skraj rozpaczę. Amerykanie różnili się od Japończyków. Gdyby ci dwaj należeli do kasty samurajów, już dawno doszłoby do pojedynku. Sprawa byłaby załatwiona. Oni jednak woleli szermierkę na słowa. Z drugiej strony żaden rozsądny samuraj nie trwoniłby tyle energii i czasu, walcząc o kobietę. Zwłaszcza o taką jak Emily — bez pozycji, majątku i koneksji.

— W takim razie zostawiam panów — powiedział Genji. — Żegnajcie się, jak długo chcecie i gdzie chcecie. Na mnie pora. Emily czeka. Jeżeli pozwolicie, to przekażę jej wasze uszanowanie.

— Chwileczkę, książę! — Zawołał Farrington. — Z tego, co mi wiadomo, Emily wyjechała z miasta.

— Tak, to prawda.

Smith się roześmiał.

— Aha... Wszystko już zrozumiałem. Mamy pojechać na spotkanie.

Genji przytaknął ruchem głowy.

— Po drodze zaś... — ciągnął Smith, patrząc na Farringtona — okaże się, który z nas powinien pojąć ją za żonę.

Genji ponownie się uklonił. Nie wymyślił innego rozwiązania. Minęło już ponad pół roku, odkąd Emily po raz pierwszy spotkała się ze Smithem i Farringtonem. Mimo to w dalszym ciągu nie mogła podjąć decyzji. Przecież musi wreszcie kogoś wybrać i jak najszybciej opuścić Japonię.

— Chyba zapomniał pan o ostrzeżeniu? — Powiedział Farrington. — Jeśli zaczniemy o nią walczyć, obaj stracimy wszelkie szanse.

— Wszak jej tu nie ma — zauważył Smith. — Więc skąd się dowie?

— Wszystkiego może się domyślić, kiedy jednego z nas zabraknie.

Smith wzruszył ramionami.

— To już zależy od zwycięzcy. Zawsze znajdzie się jakaś historyjka.

— Mamy kłamać?

— Dlaczego nie? Przecież to nie boli.

— Kłamstwo to kłamstwo, proszę pana — prychnął Farrington. — Nie zniżę się do tego.

— Na pewno nie będzie pan musiał — uśmiechnął się Smith.

— Ani pan. Z góry odmawiam uczestnictwa w tym haniebnym planie.

Smith złośliwie wyszczerzył zęby.

— Dobrze się składa, admirale. W przeszłości strzelał pan do bezbronnych kobiet, zatem to całkiem zrozumiałe, że nie chce pan ich oszukiwać.

— Zawsze słyszałem, że Japończycy zachowują się wbrew logice — wtrącił Genji, zanim Farrington zdążył odpowiedzieć. — Jeżeli pan postępuje zgodnie z zachodnią logiką, to muszę przyznać, że zupełnie tego nie dostrzegam. Przecież pan Smith podał gotowe, całkiem logiczne rozwiązanie.

— Logika czasem kłóci się z etyką — odparł Farrington. — Dobrze, powiedzmy, że jeden z nas zastrzeli drugiego. W ten sposób wybór zostanie dokonany bez udziału Emily. Ale ona jest przekonana, że tego nie zrobimy. Z czysto etycznych względów nie możemy zawieść jej zaufania. Jednak to jeszcze nie wszystko. Kocham Emily. Dobrze wiem, że pan Smith nie żywi do niej żadnych głębszych uczuć. Choćby z tego powodu nigdy nie da jej takiego szczęścia, jakiego mogłaby zaznać z ukochanym. Niestety, obawiam się, że Emily wciąż tego nie dostrzega. Pan Smith na pozór stanowi bardzo atrakcyjną partię. Jest przystojny, bogaty i ogromnie czarujący. Logicznie rzecz biorąc, powinienem natychmiast podjąć jego wyzwanie, zwyciężyć w pojedynku i ocalić Emily przed nieszczęśliwym życiem u boku złego męża. Z drugiej strony przyrzekłem, że tego nie zrobię. Przyznaję się, że jestem w kropce.

Smith poczerwieniał, słuchając Farringtona.

— Jak pan śmie mówić o moich uczuciach? Skąd pan może coś o tym wiedzieć? — Spytał.

— To akurat nietrudno zgadnąć — odciął się Farrington. — Człowiek, który z łatwością ucieka się do kłamstwa w rzekomo szlachetnej intencji, skłamie i w gorszej sytuacji. Emily nie zasłużyła na to, żeby mieć męża kłamcę.

— Panowie — wtrącił się Genji, chcąc przerwać tę nużącą jałową dyskusję. — Lepiej już jedźmy. Nawet jeżeli nie znajdziemy żadnego rozwiązania, to przynajmniej będziemy bliżej Emily.

Mimo oporów Farringtona, który odrzucił propozycję Smitha, Genji wyszedł z założenia, że po drodze do Mushindo problem zostanie rozwiązany. Obaj panowie z trudem wytrzymywali ze sobą choćby kilka minut. Jak zatem zniosą dwudniową podróż? Chyba nie zniosą, pomyślał Genji

* * *

Farrington leżał na plecach i gapił się w mrok między gwiazdami. Podczas wojny niejedną noc spędzał samotnie, pod bezkresną kopułą nieba. W tamtych latach nie znosił życia w zamknięciu. Zapewne widział zbyt wiele poczerwiałych trupów w ruinach domów na południu Stanów, po zakończeniu blokady i ostrzału. Pozbył się tej fobii wraz z zakończeniem wojny. To było tak, jakby koniec zmagania usunął z niego załączek strachu. A może nie? Tego nie wiedział.

Genji, Smith i cała reszta zostali daleko z tyłu. Prawdopodobnie zatrzymali się na nocleg w jakiejś chacie we wsi, którą minął przed wieczorem. Smith na pewno był wściekły, wiedząc, że jego rywal wyprzedza kawalkadę. Farrington uśmiechnął się. Już na samym początku postawił warunek, że pojedzie sam, z daleka od Smitha. Smith oczywiście się temu sprzeciwiał.

— Jaką mamy gwarancję, że nie wyrwie pan naprzód, aby dotrzeć pierwszy i zgarnąć całą pulę? — Spytał.

— Moje słowo — odparł Farrington.

— Pańskie słowo? — Zapytał Smith.

— To zupełnie wystarczy — wtrącił Genji.

— Może wyśle pan z nim choćby generała Hide — za-

proponował Smith. — Chyba nie chcemy, żeby chłopak, powiedzmy... zablądził.

— Już byłem w Mushindo — odpowiedział Farrington. — Wiem, jak tam dojechać. Może spotkamy się na polanie, na wschód od klasztoru? — Zwrócił się do Genjiego.

— Znakomicie — odparł książę.

— Zatem do zobaczenia. — Farrington zasalutował księciu i odjechał. Właściwie spodziewał się, że Smith strzeli mu w plecy. W gruncie rzeczy niewiele dzieli kłamcę od tchórza, a tchórz przecież nigdy nie cofa się przed niczym, żeby osiągnąć cel. Z tyłu rozległy się gniewne okrzyki Smitha. Strzał jednak nie padł.

Po prawdzie istniał jeszcze jeden powód, dla którego Farrington chciał odłączyć się od kawalkady. Potrzebował odrobiny ciszy i spokoju, żeby uporządkować myśli. Oczywiście ani przez chwilę nie wąpił w swoje uczucia do Emily. Kochał ją. To było pewne, ale nie przynosiło ukojenia — choćby dlatego, że nie dawało jasnej odpowiedzi na niezliczoną ilość trudnych pytań.

Pierwsza z miliardów wątpliwości dotyczyła natury związku Emily z japońskim księciem. Plotki pokrywały się tylko w głównych kwestiach. Każdy spotkany przybysz niemal bez tchu zaczynał opowiadać o pięknej pannie, młodej misjonarce, Emily Gibson, mieszkającej w pałacu nad wyraz rozwiązłego księcia Genjiego. Tu zaczynały się różnice.

Gwałcą wszelkie ludzkie oraz boskie prawa, żyjąc w grzechu, wbrew podziałom religijnym i rasowym.

Połączyła ich wiara w Boga, on stał się dobrym chrześcijaninem i od tej pory zamieszkali razem, ale jak mnich i zakonnica.

Ona od dawna zażywa opium, a on dostarcza jej to szatańskie ziele.

On jest dewiantem i uwiódł ją w najbardziej wyuzdany sposób, znany jedynie władcom Orientu. Od tamtej pory stała się jego nędzną i poniżoną niewolnicą.

Ona nie jest wcale misjonarką, ale agentką rządu Francji, Rosji, Anglii, Holandii, Stanów Zjednoczonych albo papieża. Spiskowała na rzecz shoguna lub cesarza. Być może przeciw.

W każdym razie zdradziecko chciała oddać Japonię w ręce Francji, Rosji, Anglii, Holandii, Stanów Zjednoczonych albo papieża.

On jest nie tylko dekadentem, ale też szaleńcem, który uważa, że posiadał moc dawnych proroków. Upadła dziewczka mu uwierzyła. On stał się piewą nowej wiary i chce usunąć w cień cesarza, shoguna, Buddę i dawnych bogów. Jest przekonany, że cały naród fanatycznie opowie się po jego stronie.

Te i podobne niestworzone plotki, które w dniach wojny ciągle krążyły wśród marynarzy i żołnierzy, okazały się niczym w porównaniu z tym, co Farrington usłyszał w pierwszym tygodniu swojego pobytu w Edo. Nie dość, że Amerykanka wprowadziła się do pałacu azjatyckiego władcy, to wkrótce potem wybuchł skandal związany z sektą Światłości Prawdziwego Słowa Proroków Chrystusa, z którą Emily przybyła do Japonii jako misjonarka. Kościół Prawdziwego Słowa rozpadł się trzy lata wcześniej, w atmosferze oskarżeń o takie zbrodzenia, że ludziom trudno było w to uwierzyć. Nawet oszczędne w słowach oficjalne źródła wspominały o perwersji i zgubnym cudzołóstwie, niemal rodem z serajów Sodomy i Gomory.

Farrington nigdy nie ufał plotkom, ale też zdecydowanie ich nie odrzucał. Wojna nauczyła go, że czasami w najstraszniejszych pogłoskach tkwi jednak ziarno prawdy. Ludzie bywali gorsi nawet od dzikich bestii, zamieszkujących afrykańskie dżungle. Sęk w tym, że zwierzęta żyły według odwiecznych praw natury. Człowiek, który zatracił człowieczeństwo, nie uznawał żadnych reguł ani zasad.

Największy niepokój Farringtona budziły plotki dotyczące opium. Co prawda wtedy jeszcze nie znał Emily Gibson ani jej japońskiego gospodarza, więc jego wiedza brała się tylko ze sprzecznych opowieści. Był jednak w portach Azji Wschodniej, łącznie z Hongkongiem, i tam napatrzył się na makabryczne rzeczy. Jeśli miss Gibson rzeczywiście uzależniła się od opium, to była zdolna zrobić wszystko za nową porcję narkotyku. Właśnie w Hongkongu, w brudnych palarniach i burdelach, Farrington widział, jak kobiety w różnym stopniu oszołomienia ulegały najwymyślniejszym żądzom i zachciankom tych, którzy

płacili odpowiednią cenę. Bolało go, że amerykańska dama, do tego misjonarka, mogłaby upaść aż tak nisko.

Mimo to nadal nie żywił do niej żadnych głębszych uczuć, poza zupełnie zrozumiałym współczuciem dżentelmena do kobiety, której zdarzyło się nieszczęście. Świat był padołem łez. Farrington już od dawna nie łudził się nadzieją, że może pomóc wszystkim biednym ludziom, którzy przypadkiem staną mu na drodze. Tego nauczył się w czasie wojny. Owszem, było mu żal panny Gibson, ale nic więcej.

A potem ją zobaczył.

Stało się to podczas przyjęcia w ambasadzie, zorganizowanego z myślą, aby wciąż rosnąca grupa amerykańskich biznesmenów poznała kilku wpływowych japońskich notabli. Wrogie nastroje wśród Japończyków spowodowały, że teren ambasady został otoczony przez uzbrojony kontyngent piechoty morskiej Stanów Zjednoczonych.

— Szkoda — powiedział ambasador. — Trochę to zakłóci przyjazną atmosferę naszego przyjęcia.

— Raczej nie, panie ambasadorze — sprzeciwił się Farrington. — Taka spokojna demonstracja siły powinna wyrzucić na nich wrażenie. Wszystkie drogi patrolowane są przez oddziały shoguna. Każdy gość przybędzie ze zbrojnym orszakem. Zauważyłem, że w odróżnieniu od Chińczyków Japończycy lubią pokazywać się z wojskiem.

— Miejmy nadzieję, że pan się nie myli — odparł ambasador. W tej samej chwili przybył jeden z gości. — Dobry Boże! A to bezczelność... Nawet tutaj ją przyprowadził.

— Słucham?

— To właśnie jest książę Genji, jeden z najważniejszych doradców shoguna. Wspominałem panu o nim.

— Proszę wybaczyć, ekscelencjo, lecz jestem tutaj zaledwie tydzień i przez ten czas słyszałem tyle japońskich nazwisk, że trochę się w tym pogubiłem. Nie przypominam sobie, co pan mówił.

— A pamięta pan tak zwaną misjonarkę? Emily Gibson?

— Och, tak. To niezwykła i smutna historia.

— To właśnie ta kobieta, która stoi obok księcia Genjiego.

Farrington najpierw zobaczył jej włosy, połyskujące niczym

żyła złota pośród ciemnych głów Japończyków, potem całą postać, zadziwiająco zgrabną w raczej prostej i niemodnej sukni. W Ameryce już od dziesięciu lat nikt się tak nie ubierał.

— Nie mamy wyjścia — westchnął ambasador. — Nie chciałbym go obrazić. — Skinął na Farringtona i podszedł do gości.

— Dobry wieczór, ambasadorze Van Valkenburgh — odezwał się Genji. — Szczerze dziękuję za zaproszenie.

Wbrew oczekiwaniom Farringtona nie było w nim nic ponurego. Wręcz przeciwnie, wciąż się uśmiechał. Zachowaniem też nie przypominał groźnego wojownika. Można powiedzieć, że wyglądał na lekko zniewieściałego. Najdziwniejsze, że doskonale mówił po angielsku.

— Cała przyjemność po mojej stronie, książę — odparł ambasador i uprzejmie skłonił się jego towarzysze. — Miło mi znowu panią widzieć, panno Gibson. Dużo czasu minęło, od kiedy się widzieliśmy.

— Dziękuję panu — odpowiedziała Emily.

— Przedstawiam państwu nowego attache marynarki wojennej, porucznika Roberta Farringtona.

Nastąpiły dalsze uprzejmości, ale Farrington nic z tego nie słyszał. Słowa ulatywały mu z pamięci z chwilą, kiedy je wypowiadał. Kiedy ostatnio patrzył na tak nieskazitelną piękność? Nigdy. O tym był święcie przekonany. Ale to nie uroda panny Gibson urzekła go najbardziej. Mówiąc ściślej: nie tylko. Za-uważał bowiem, że w jej szczerym spojrzeniu i kuszącym uśmiechu kryje się jakiś smutek. Ze wzruszeniem pomyślał o tajemniczej krzywdzie, która ją spotkała. Od tamtej pory wiedział, że ją kocha, chociaż nie doszło jeszcze między nimi do żadnej poważnej rozmowy o uczuciach.

Często o tym rozmyślał. Ciekawe, czy tak samo rwałby się na pomoc, gdyby panna Gibson była trochę brzydsza? Gdyby była ułonna lub całkiem zwyczajna? Co wtedy? Wciąż chciałby ją pocieszyć? Czy jego uczucia wytrzymają próbę głębszej analizy? Może tak zwana miłość niczym nie różni się od przyziemnej żądzy, którą przypisywał wyłącznie Smithowi?

Na koniec zawsze odpowiadał: tak. Tak, kocha ją właśnie

dlatego, że ów wewnętrzny smutek przydaje jej urody. Wydawało mu się, iż zdoła ją uleczyć wierną i niezachwianą miłością. Od pewnego czasu wierzył tylko w miłość. Wszystko inne zabiła w nim wojna.

Spodziewał się, że Genji stanie mu na drodze, ale nie — japoński książę od pierwszej chwili był po jego stronie. Inna sprawa, że w ten sam sposób odnosił się do Charlesa Smitha, o czym jednak Farrington początkowo nie wiedział. Tak czy siak nic nie wskazywało na to, że ma romans z Emily. Z drugiej strony ich związek nie musiał być niewinny. Farrington zdążył już na tyle dobrze poznać pannę Gibson, aby wiedzieć, że z własnej woli nie popełniłaby niczego zdrożnego. To nie znaczy, że była zupełnie bezpieczna. Genji wywodził się z rodu orientalnych władców, posiadających absolutną władzę nad swymi lennikami. W jego pałacach albo zamkach musiały być ukryte przejścia, fałszywe ściany i tajne komnaty. Oprócz tego, nie był chrześcijaninem. Wprawdzie Emily zarzekała się, że przekonała go do prawdziwej wiary, ale Farrington miał na ten temat własne zdanie. Podczas licznych rozmów, które prowadził z księciem w ciągu minionych kilku miesięcy, dowiedział się, że Genji nadal hołduje dawnym buddyjskim zasadom. Obca mu jest wszelka moralność, skromność i etyka, a w zamian chwali mistyczną wolność, odrzucającą prawa ustanowione przez Boga i ludzi. Taki człowiek jest zdolny do wszystkiego.

Farrington przewrócił się na bok i zamknął oczy. Próbował zasnąć. Wiedział, że nie powinien patrzeć w niebo i wciąż powracać do tych samych myśli. Jutro będziemy już w Mus-hindo, westchnął w duchu. Jutro spotkamy Emily i wszystko się skończy. Jeszcze nie wierzył w to, że wygra. Ale nawet jeśli wybierze Smitha, będzie musiała odejść od Genjiego... Prawdę mówiąc, Farrington stawiał na rywala. Mimo usilnych starań nigdy nie doczekał się od Emily czegoś więcej niż oznak uprzejmej przyjaźni, z jaką dama powinna zwracać się do dżentelmena. Skoro nic do niego nie czuje, to z pewnością woli Smitha. W takim razie, dlaczego zwleka z decyzją? No cóż... Wiedział, że jest delikatna. Może nie chce zranić jego uczuć, ale czeka, że stanie się coś, co uwolni ją od rozterki? Lecz nie myśli o pojedynku. Tego Farrington był zupełnie

pewien. Raczej liczy na to, że sam zrozumie, co się święci i zrezygnuje z dalszych zalotów.

Sennie pomyślał, że może przecież istnieć zupełnie inny powód jej zachowania... To było jednak zbyt okropne. Kiedy zbudził się następnego ranka, zdążył o tym zapomnieć.

* * *

— Oficer jedzie zupełnie sam, pięć minut drogi galopem od czoła kawalkady — zameldował zwiadowca. — Księżę Genji podróżuje z drugim cudzoziemcem. Mają ze sobą pana Hide i dwudziestu czterech samurajów.

Dwudziestu czterech, pomyślał Saemon. Ciekawe dlaczego? Genji na ogół jeździł z niewielką obstawą. Po co tym razem zabrał tylu ludzi? Przecież droga wiodąca z Edo do Mushindo nie jest trudna ani niebezpieczna. Może coś podejrzewa? Zresztą nieważne. W żadnym wypadku nie może znać planów Saemona. Ten zaś wziął ze sobą tylko dziesięciu wojowników. Prawdę mówiąc, oni też byli mu zupełnie zbędni. Nie potrzebuje pomocy, żeby wykonać to, co zamierza. Ma sojuszników wśród samurajów, którzy nie chcą zachodnich reform, jak też i tych, którzy żądają ścisłej współpracy z cudzoziemcami. Jest popularny pośród wrogów oraz przyjaciół cesarza i shoguna. Nie musi otaczać się kordonem straży. Tych tutaj zabrał tylko na pokaz. Żaden daimyo nie powinien wędrować w pojedynkę.

Saemon doskonale wiedział, dlaczego Farrington i Smith nie chcieli podróżować razem. Pokłócili się już dawno temu, z chwilą gdy zaczęli zabiegać o względy Emily Gibson. To było bardzo śmieszne. Dobry oficer winien myśleć o karierze wojskowej, a biznesmen o zyskach. Tymczasem ci dwaj trwonią cenny czas i siły na umizgi do jakiejś pospolitej dziewczki, która nie dość, że nie ma żadnych koneksji, to nie cieszy się sympatią nawet wśród rodaków. Niewiarygodne, lecz prawdziwe.

— Widział cię ktoś?

— Nie, panie. Na pewno nie.

Saemon miał ochotę zwymyślać zwiadowcę, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Co to da? Dwieście lat spokoju wyraźnie przytępiło zdolności samurajów, lecz z drugiej strony wzmogło ich pychę. Skąd ten człowiek może wiedzieć, że nikt

go nie zobaczył? A jednak z uporem twierdzi, że to niemożliwe. Genji był dużo sprytniejszy, niż na to wyglądał. Tak samo Hide. Obaj należeli do niewielkiej grupy współczesnych samurajów, którzy brali udział w prawdziwej walce. Genji na pewno nie dał po sobie poznać, że widzi zwiadowcę.

— Przyłączymy się do nich — oznajmił Saemon. — Jedź naprzód i zawiadom księcia o naszym przybyciu.

* * *

— Nie uważam plotek za powód do obrazy — powiedział Genji do Smitha. — Każda plotka z natury rzeczy ma w sobie posmak skandalu.

— To prawda — zgodził się Smith. — Ale z drugiej strony trudno dziwić się ludziom, że zachodzą w głowę, co pan robił z Emily przez te wszystkie lata.

— Właśnie — przytaknął Genji. Uśmiechnął się, ale nie dodał nic więcej.

Smith wybuchnął śmiechem.

— Więc jak to było? Chyba mam prawo wiedzieć, skoro jestem jej potencjalnym mężem.

Hide w milczeniu przysłuchiwał się ich rozmowie. Trochę się zżymał, że tak leniwie jada do Mushindo. Jakiś czas temu, w innej dolinie, wypatrzył szpiega. Pewnie od Saemona. Spodziewał się zasadzki i dlatego chciał wziąć ze sobą przynajmniej dwudziestu czterech ludzi.

— Saemon nie napadnie na nas w drodze do Mushindo — orzekł Genji.

— Chciałbym w to wierzyć, panie — odparł Hide.

— Stu ludzi to za dużo — powiedział Genji.

— Nie, jeśli Saemon będzie miał ich dwustu.

— To ma być zwykła przejazdka, a nie wyprawa — zauważył Genji. — Stu ludzi zwraca uwagę. Ryzyko wzrośnie, zamiast się zmniejszyć.

— W takim razie wystarczy pięćdziesięciu — odparł Hide. — Uzbrojonych w strzelby.

— Dwudziestu pięciu — powiedział Genji. — Łącznie z tobą. Łuki powinny wam wystarczyć.

— Dwudziestu pięciu ze strzelbami.

Genji westchnął z rezygnacją.

— Dobrze, dwudziestu pięciu ze strzelbami.

Teraz, tuż przed spodziewanym napadem, Hide pogratulował sobie, że wprawdzie wziął mniej ludzi, lecz za to lepiej uzbrojonych. Zerknął na oddział. Samuraje czujnie patrzyli w jego stronę. Bez rozkazu przygotowali się do walki. Smith niczego nie zauważył. Zachowywał się, jakby był na wycieczce.

— Postępowaniem kobiety i mężczyzny powinny rządzić prawa natury, a nie zbiór zasad stworzonych przez człowieka — powiedział.

— Tak mówią chrześcijanie? — spytał Genji.

— Tak mówią fakty. Obserwowałem to przez całe życie podczas pobytu na Hawajach.

— Każde z nas miało wiele do zrobienia na własny rachunek. Emily krzewiła swoją wiarę, ja zaś musiałem stawić czoło paru kryzysom politycznym.

— I to trwało sześć lat?

— Sześć lat wypełnionych różnymi zdarzeniami.

— Panie... — odezwał się Hide, podjeżdżając do księcia. Ze wschodu zbliżał się samotny jeździec.

Był to wysłannik pana Saemona.

* * *

— Ci dwaj wyraźnie się nie lubią — stwierdził Saemon, wskazując Smitha i Farringtona, którzy jechali obok siebie w milczeniu i z ciekawością rozglądali się na wszystkie strony, ale żaden nie spojrzął na drugiego.

— W ostatniej wojnie w Ameryce walczyli po przeciwnych stronach barykady — wyjaśnił Genji.

— Ciekawe zatem, czy ich niechęć przetrwa dwieście sześćdziesiąt lat, jak w Japonii.

— Amerykanie wolą patrzeć w przyszłość. Nie popełnią naszego błędu.

— Pod warunkiem, że obie frakcje będą dążyły do jednego celu — zauważył Saemon.

— Właśnie — przytaknął Genji. — Miejmy nadzieję, że tak się stanie.

— Miejmy nadzieję — powtórzył Saemon.

Hide szybko popatrzył w bok, żeby nikt nie zauważył jego miny. Zdenerwowała go ta pozornie błaha rozmowa, pełna aluzji do dawniejszych waśni. Genji wyraźnie stracił czujność. To, że Saemon Śliski jechał w ich orszaku, ani na trochę nie zmniejszyło grożącego im niebezpieczeństwa. Zdradziecki atak mógł nastąpić lada chwila. Każdy samuraj Saemona obserwowany był przez dwóch ludzi Genjiego. Hide zamierzał sam zabić Saemona przy najmniejszej próbie prowokacji.

— O ile wiem, rywalizują też o względy twego gościa, książę — odezwał się Saemon. — Mam na myśli pannę Gibson.

— Podziwiam twoje wiadomości, panie.

— To niepotrzebne. O panie Gibson dużo się mówi...

— I pewnie o mnie także?

Saemon skłonił się.

— Niestety, to nieuniknione, panie. Szczerze ci radzę, jako twój sojusznik i przyjaciel, abyś oddalił ją od siebie. Im szybciej, tym lepiej. W kraju panuje zamęt. Jej obecność może pozbawić cię wielu sprzymierzeńców.

Hide nie zdołał powstrzymać się od zduszonego śmiechu. Saemon, sojusznik i przyjaciel?

— Chcesz coś powiedzieć, Hide? — Zapytał Genji.

— Nie, panie. To był tylko kaszel. Nałykałem się kurzu z drogi.

— Nie dbam o sprzymierzeńców, którzy odejdą z jej powodu — powiedział Genji do Saemona. — To świadczy o tym, że są małostkowi. Zresztą, już niedługo panna Gibson ogłosi swoje zaręczyny i wkrótce potem wyjedzie z kraju.

— Naprawdę? — To były zdumiewające wieści i Saemon nie bardzo wiedział, czy powinien w nie uwierzyć. Co prawda słyszał, że Farrington i Smith zabiegają o rękę Emily, lecz podejrzewał — i pod tym względem nic się nie zmieniło — że to jedynie gra mająca ukryć jakiś spisek. Nie martwiło go, że do tej pory nie przeniknął prawdziwej natury zмовy. Przy tak dużej liczbie spiskowców nie dawało się zbyt długo utrzymać tajemnicy. Dlatego on zwykle działał sam, bez pomocników.

Nie wierzył także w udawaną niechęć obydwu „rywali”. Jeśli zaś chodzi o kobietę — no cóż, udaje głupią, ale nikt na świecie nie może być aż tak ślepy i naiwny. Od samego

początku siedziała w tej aferze, cokolwiek się za tym kryło. Prawdopodobnie jest szpiegiem amerykańskiego rządu. Dobry wybór... Po pierwsze, nie wzbudza zbyt wielu podejrzeń, po drugie, ma łatwiejszy dostęp do istotnych informacji. Amerykanie na pewno znają lekceważący stosunek Japończyków do kobiet. Nikt — z wyjątkiem samego Saemona — nie przypatrywał się jej poczynaniom. Dzięki temu może działać zupełnie bezkarnie. (Od swoich ludzi, których miał w pałacu Genjiego, wiedział, że Emily zupełnie zarzuciła początkową działalność misyjną i z zapałem tłumaczy tajną historię klanu Okumichi na angielski. Najwyraźniej nie ma wysokiego mniemania o mieszkańcach Japonii, skoro korzysta z tak niepewnych i niedorzecznych źródeł. A poza tym, jak można poniekąd tajne księgi, przeznaczone wyłącznie dla potomków rodu, tłumaczyć na obcy język, na użytek gawiedzi? W tym samym czasie weszła w zażyłość z wpływowym księciem i politykiem, który na zmianę spędzał czas w wielkiej stolicy shogunatu, Edo, i w swoim zamku w lennie Akaoka, na zachodniej wyspie Shikoku. Stamtąd najczęściej dochodziły głosy o konieczności zmiany rządu. Wybór był sprytny. Farrington służył w marynarce, a Smith prowadził różne interesy. Bez trudu mogli przesłać każdą wiadomość za ocean. Zapewne dostawali listy od Emily, zręcznie udając zalotników. Ciekawe tylko, jaką rolę odgrywa Genji? Jeśli istotnie bierze udział w spisku, to jest to zdrada najgorszej miary. W Indiach niektórzy władcy, noszący miano maharadzów, przekazywali swoje dobra Anglikom, prosząc ich w zamian o „ochronę”. Czyżby Genji próbował tego samego z Amerykanami?

— Którego z nich woli panna Gibson? — Spytał Saemon.

— Jeszcze nie wybrała — odparł Genji.

Nie wybrała! Kolejna sprytna sztuczka. Niezła wymówka, żeby wciąż zwlekać z wyjazdem. Saemon był pełen podziwu dla przebiegłości swego przeciwnika. Genji potrafił wszystko przemyśleć. Okazał się konspiratorem pierwszej wody. Nic więc dziwnego, że pokonał samego pana Kawakamiego, choć ten był przecież szefem tajnej policji shogunatu i przy okazji ojcem Saemona. Lecz Kawakami musiał coś odkryć... Coś związanego z gejszą Heiko. Saemon postanowił pójść tym

właśnie tropem. Syn we właściwy sposób poszedł w ślady ojca. Spodziewał się, że lada dzień nadejdzie raport z Kalifornii.

— Kobiety są z natury rzeczy raczej niechętne do wyborów — zauważył Saemon. — Czasem udają, że to nie ich sprawa.

— Owszem, czasami właśnie tak jest.

Jeździec na szpicy nagle zaciął konia. Ktoś biegł od strony klasztoru Mushindo. Jakaś kobieta, z głową pod dziwnym kątem przechyloną w prawo. Biegąc, tak mocno kołysała szyją, jakby jej kark miał zaraz pęknąć.

Klasztor Mushindo

— Przestańcie się uchylać, idioci! — Krzyknął Taro. — Od czego macie łuki? Ty! Wykończ tego wiejskiego głupka. Dziewczynę też. A ty... zastrzel cudzoziemkę. Uważaj, żeby przypadkowo nie trafić pani Hanako.

— Tak jest, panie — odpowiedzieli obaj wojownicy. Ale strzały chybiły celu. Przeciwnicy niczym zdmuchnięci zniknęli w wysokiej trawie. Strzelcy znowu napięli cięciwy. Jak dotąd nikt się nie pokazał.

— Szukać ich! — Warknął Taro. Z mieczem w ręku ostrożnie postąpił naprzód. — Panią Hanako weźcie żywcem. Resztę możecie zabić.

Sama Hanako pewnie by uciekła, ale musiała bronić Emily. Nie mogły odejść zbyt daleko.

Dzień był bezwietrzny. Taro wypatrywał w trawach jakiegoś prześwitu albo nagłego ruchu, który mógłby zdradzić obecność uciekinierek.

Tam.

Nie ciął mieczem na oślep, by nie zranić Hanako. Podszedł bardzo powoli i rozgarnął łądygi. Trawa była zgnieciona przez kogoś, kto zdążył umknąć. Za to z prawej strony ostrożnie wysunęła się cienka gałązka. Taro wbił wzrok w trawę. Zobaczył dziewczęcą rękę. To ona poruszała długimi łądygami. Szczwana chłopka. Taro chlasnął mieczem, lecz nie trafił. Ostrze trafiło w ziemię. Dziewczyna była nie mniej szybka i zwinna od wygłodniałego szczura.

— Panie!

Jego ludzie znaleźli Hanako. Otoczyli ją, a ona ciągle zmieniała pozycję, chcąc mieć ich na oku. Nigdzie nie było widać Emily. Prawdopodobnie wciąż leży w trawie.

Taro podszedł bliżej i opuścił miecz.

— Pani Hanako — powiedział. — Nie zamierzam cię skrzywdzić. Zejdź mi z drogi.

— Zdrajca!

Rzuciła się w jego stronę. W tej samej chwili jeden z samurajów chciał osaczyć ją z tyłu. Oczywiście, wiedziała, że tak będzie. Odwróciła się, tnąc jednocześnie mieczem. Samuraj padł na ziemię. Z przeciętej tętnicy szyjnej buchnęła struga krwi. Hanako natychmiast zamierzyła się na następnego wojownika i zmusiła go do odwrotu.

Taro skoczył na nią, lecz nagle znalazł się oko w oko z głupim olbrzymem, który także wychynął z trawy i z całej siły uderzył go kamieniem w czoło. Taro usłyszał trzask podobny do trzasku pękającej kości. Ogarnęła go dziwna słabość. Oszołomiony, prawie nic nie widział przez zasłonę krwi spływającej z rany. Wydawało mu się, że dostrzega błysk słońca w ostrzu nadlatującego miecza, więc odruchowo zadał cios w tamtym kierunku. Trafił kogoś, ale nie wiedział kogo. Cofnął się chwiejnym krokiem i otarł krew z oczu. Ziemia drżała mu pod stopami. Pomyślał, że to także skutek uderzenia kamieniem, ale nagle ktoś krzyknął:

— Książę Saemon!

Rzeczywiście był to Saemon pędzący na czele oddziału samurajów. Zatem plan się powiódł. Gdzieś tam, na trakcie wiodącym do Edo, Saemon zastawił sidła na Genjiego i go zabił.

Taro poświęcił honor dla sprawy. By dochować wierności „drodze samurajów”, zdradził swojego pana, którego nade wszystko szanował i podziwiał, a wszedł w sojusz z człowiekiem, którym gardził. Nie mógł powstrzymać się od myśli, że to już szczyt ironii losu. Zaprzedał święte, namacalne i historyczne więzy na rzecz abstrakcji — jakiejś idei. Przecież dokładnie w ten sam sposób postępowali cudzoziemcy! Wszystko robili dla idei, gardząc tradycją i narodem. Swoim sposobem

myślenia zarazili nawet tych, którzy stanowczo im się sprzeciwiali. Czyżby podbili już Japonię? Przecież myśl zawsze poprzedza czyny. Więc Genji jednak się nie mylił...

Usłyszał kobiecy krzyk. Olbrzymi głupek zniknął. Na jego miejscu stała Emily, zakrywając rękami usta. Patrzyła na coś z przerażeniem.

Taro zrobił krok w tył. Czekał na Saemona. Niech on dokończy tę robotę.

* * *

Genji i Saemon jechali na czele oddziału. Tuż za nimi galopował Hide. Kobieta ze skrzywą szyją bełkotała coś niezrozumiale. Zawsze mówiła niewyraźnie, ale teraz, zmęczona biegiem i przerażona obecnością wielkich daimyo, wyrzucała z siebie oderwane słowa.

— Panie!... Pani Hanako!... Żle!... Bardzo źle!... Zdrada!... Błagam!... Prędko!...

Przez resztę drogi do klasztoru Hide nie spuszczał wzroku z Saemona. Był przekonany, że dziewczyna została wynajęta po to, aby odwrócić ich uwagę od prawdziwych intencji zdrajcy. Przecież Hanako i Emily są pod opieką Taro! Hide miał pełne zaufanie do swego najlepszego przyjaciela. Ktoś taki nigdy by nie zdradził. Niebezpieczeństwo groziło im ze strony Saemona. Hide w napięciu czekał, co się zaraz stanie. Był przekonany, że lada chwila mogą spodziewać się ataku. Wprawdzie pan Saemon miał przy sobie tylko dziesięciu samurajów, ale w pobliżu bez wątpienia czaiło się ich więcej. Ojciec Saemona, zmarły pan Kawakami, zastawił na Genjiego pułapkę w Mushindo. Przegrał. Teraz syn chciał w tym samym miejscu pomścić jego klęskę. Genji nie posłuchał przestrogi oficera i wysforował się przed kawalkadę. Hide był bezradny. Nie mógł obronić swego pana, więc postanowił, że zginą razem. W duchu jednak po-przysiągł sobie, że Saemon również nie dożyje chwili, w której mógłby świętować swój triumf.

Wypadli z lasu na niewielką polanę pod klasztorem. Hide natychmiast zapomniał o wszystkim. Zobaczył swoją żonę, Hanako, otoczoną przez kilku samurajów. Widział, jak cięła jednego mieczem. Widział, jak drugi doskoczył do niej. W po-

wietrze trysnęła czerwona fontanna. Hanako osunęła się na ziemię.

— Hanako!

Saemon skorzystał z nieuwagi gwardzisty i wyszarpnął rewolwer ukryty za pazuchą. Hide zobaczył to kątem oka, ale było za późno. Padł strzał. Hide zamierzył się na Saemona, lecz powstrzymał cios w ostatniej chwili. Saemon nie strzelił do Genjiego. Pocisk ugodził samuraja, który poprzednio walczył z Hanako, a teraz biegł w stronę Emily.

Tym samurajem był Taro.

* * *

Emily siedziała w trawie, tuląc do siebie Hanako. Obie były zbryzgane krwią. Hanako niewidzącym wzrokiem patrzyła w przestrzeń, a z jej oczu zniknął blask, który odróżnia żywych od umarłych. Emily była zbyt oślepiała tym, co się przed chwilą stało, żeby jej zamknąć powieki. Nie wierzyła, że jej przyjaciółka odeszła tak nagle, bez jednego słowa pożegnania. Obok siebie usłyszała dziecięcy głos Kimi.

— Księżę Genji przybywa! — Triumfalnie krzyczała chłopka. — Od początku wiedziałam, że tak będzie. Ostrzegałam was, zdrajcy! Prawda?

— Kimi — powiedział Goro. — Kimi, Kimi, Kimi...

Jeźdźcy zatrzymali rozpedzone konie i zeskoczyli z siodeł. Emily nawet nie uniosła głowy. Rozpaczliwie szukała w myślach jakiejś modlitwy i znalazła: *aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne**. Nie były to właściwe słowa, bo Hanako nie wierzyła w Boga, ale przez całe życie czciła Buddę Amidę, źródło Nieskończonego Światła. Nie wierzyła też w niebiosą obiecaną przez Pana i Stworzyciela, lecz w Czystą Ziemię Sukhawati, przeznaczoną dla wyznawców Amidy. Teraz musiały rozstać się na zawsze, bez nadziei na przyszłe spotkanie w życiu wiecznym, bo niebo i Sukhawati nie mogą wspólnie istnieć, tak jak Jezus Chrystus nie może stanąć obok Buddy Amidy. Ale czy to nie było straszliwe

* J 3,16. Wszystkie cytaty pochodzą z Biblii Tysiąclecia, wydawnictwo Pallotinum, Poznań 2003.

bluźnierstwo, że Emily chciała, aby jej przyjaciółka weszła do buddyjskiego raju? Przecież zasługiwała na to. Tyle w niej było dobra, współczucia, odwagi i chrześcijańskich cnót...

Genji podszedł do nich. Emily wiedziała, że to na pewno on, bo Kimi i Goro padli na kolana i przycisnęli czoła do ziemi. Poczula jego dłoń na swoim ramieniu.

— Emily — powiedział.

W ciągu lat, które spędziła w Japonii, jej poczucie czasu uległo stopniowej, niemal niezauważalnej zmianie. Teraz myślała zupełnie inaczej niż przedtem. Nie było dla niej mijających dni, tygodni, miesięcy i lat. Pozostały jedynie chwile, przypadkowo rozsiane po całym kalendarzu i zamknięte w pamięci jako dowód zdarzeń, które w innym przypadku znikłyby bez śladu. Te momenty, zebrane niczym rzadkie i cenne ziarna, składały się na wiedzę o jej przyjaciółkach — trzech najbliższych osobach: Heiko, Hanako i Genjim. Znała ich naprawdę, czy to tylko złudzenie? Już sześć lat minęło, odkąd ostatni raz widziała Heiko. Hanako nie żyła. A Genji? Czy naprawdę chociaż w połowie czuje to, czego ona pragnie — i czego tak bardzo się boi?

— Emily — powtórzył Genji.

Wciąż czuła jego dłoń na swoim ramieniu... i wreszcie się rozplakała.

Genji skinął głową do Hide.

Samuraj zabrał ciało Hanako z rąk Emily. Zrobił to tak delikatnie jak potrafił. Wydawało się, że Emily nawet tego nie zauważyła. Milczała i tylko łzy płynęły jej z oczu. Jej pierś poruszała się przy każdym oddechu, ale z ust nie wydobyło się najlżejsze westchnienie. Hide spoglądał na nią ze współczuciem. Hanako była jej jedyną przyjaciółką. Teraz Emily została zupełnie sama. Swoje uczucia trzymał na wodzy. Nie myślał o małym synu, pozbawionym matki. Nie myślał o sobie, chociaż stracił jedyną osobę, której mógł szczerze opowiedzieć o swoich słabościach i wątpieniu. Zawsze mógł na nią liczyć w najtrudniejszych chwilach, i chciał, żeby pozostała przy nim przez wszystkie następne lata. Wziął Hanako na ręce i skłonił się księciu.

— Panie... — zduszonym głosem odezwał się jeden z jego samurajów.

— Na co się gapisz? — Spytał ostro Hide. Teraz nie czas na próżne żale. — Pilnujcie naszego księcia i pani Emily?

Samuraj przyjął bardziej bojową postawę.

— Tak, panie. Kilku z naszych ludzi bez przerwy obserwuje księcia Saemona.

Hide mruknął z aprobatą.

— Jeżeli jacyś zdrajcy jeszcze żyją, to na razie ich nie dobijajcie. Trzeba im zadać kilka pytań.

— Tak, panie. Już wydałem rozkaz.

— W takim razie co tu jeszcze robisz?

— Myślałem... — Samuraj spojrzał na Hanako.

— Potrafię sam unieść ciało — burknął Hide. — Odejdź.

Wojownik skłonił się i odbiegł.

Hide zamknął oczy Hanako. Wciąż była ciepła. Z bezchmurnego nieba zaczął padać deszcz. Hide bezwiednie otarł krople z twarzy żony. Miał twardą i sękatą dłoń, zrogowaciałą od wojaczki. Nieraz przeproszał za swoją szorstkość. Hanako brała wtedy jego dłoń w swoje ręce i mówiła ze śmiechem: „Musisz być szorstki, żebym ja mogła być łagodna. Musisz być twardy, żebym ja była miękka”.

Porucznik wrócił biegiem.

— Pan Taro wciąż oddycha — oznajmił.

* * *

Saemon patrzył na Taro i modlił się w duchu, żeby rychło skonał. Rewolwerowa kula nie od razu zabiła chwilowego sprzymierzeńca. Szkoda, bo jak dotąd wszystko przebiegało niemal doskonale. Taro dał się wciągnąć w fałszywy spisek, a księżę Genji stracił cennego sojusznika. W klanie narastał niepokój i legły się podejrzenia. Byłoby dobrze, myślał Saemon, gdyby Taro zabił Emily i sam zginął z ręki Genjiego. Ale teraz wyszło chyba jeszcze lepiej. Saemon strzelił do Taro w chwili, gdy ten zamierzał zabić cudzoziemkę. Genji powinien być mu wdzięczny. W tym właśnie tkwiło sedno planu. Ojciec Saemona popełnił poważny błąd, pokładając wszystkie nadzieje w pięknej gejszy Heiko. Wprawdzie podsunął ją Genjiemu, lecz nie spełniła swego zadania. Saemon uczył się na błędach. Ponieważ ufał tylko sobie, postanowił, że to jemu przypadnie rola przyja-

cielą księcia. Śmierć Hanako również była mu na rękę. Bez żony Hide tracił rezon i stawał się mniej groźny. Lecz pozostawał jeden kłopot: Taro. Jeśli wygada się przed śmiercią, cała intryga na nic.

Hide ukłęknął obok rannego.

— Kto jeszcze? — Spytał.

Saemon przez krótki moment myślał, że Taro spojrzy w jego stronę. To wystarczyłoby za oskarżenie. Podejrziwy Hide nawet nie czekałby na rozkaz ani znak swego pana. Dobyłby miecza i ściął głowę zdrajcy. Ale Taro wciąż patrzył na dawnego przyjaciela. Wykrztusił tylko jedno słowo:

— Samuraje.

— Ja jestem samurajem — odparł Hide — a ty zwykłym odszczepieńcem. Spróbuj naprawić swoją zbrodnię. Powiedz, kto jeszcze?

— Samuraje — powtórzył Taro i skonał.

— Odetnijcie mu głowę — rozkazał Hide. — Ciało niech tu zostanie. Chłopi je pochowają. — Sześć lat temu, prawie w tym samym miejscu, walczył u boku Taro z setkami zbrojnych z prywatnej armii Kawakamiego Lepkiego Oka. Wtedy odnieśli wielkie zwycięstwo. Dziś Taro zginął jako zdrajca, zabity przez syna dawnego wroga. Było w tym coś dziwnego. Bardzo dziwnego.

— Szkoda, że nie zdążyliśmy uratować pani Hanako — odezwał się Saemon.

— Zdążyliśmy ocalić panią Emily — odparł Hide — i położyć kres zdradzie. To wystarczy. — Ukłonił się i odszedł. Wiedział, że Saemon musi mieć z tym coś wspólnego. Po prostu wiedział. Ale dlaczego bronił Emily, skoro nie cierpiał cudzoziemców? Nowa zagadka... — rozmyślał Hide. Jedno nie ulegało wątpliwości: Saemon lubił skomplikowane sytuacje. Nigdy nie postępował wprost — a to znaczyło, że Genji wciąż nie jest bezpieczny.

* * *

Saemon niewiele sobie robił z podejrzeń samuraja. Jako dowódca gwardii, Hide miał obowiązek nie ufać nikomu, zwłaszcza tym, którzy mienili się sprzymierzeńcami księcia.

Zdrada z definicji zawsze dotyczyła kogoś z kręgu przyjaciół. Choćby z tego powodu Saemon wierzył tylko sobie. Wprawdzie był jednym z pomniejszych daimyo, ale jedynym, który nie musiał obawiać się zdrady.

Genji czynił usilne starania, aby pojednać przychylnego cudzoziemcom shoguna z dworem cesarskim, domagającym się natychmiastowego wydalenia wszystkich obcych z granic kraju. Pod tym względem Saemon był cichym wspólnikiem Genjiego. Z drugiej strony popierał Mężów Opatrzności, którzy wzywali do ponownej izolacji Japonii i ukarania „renegatów”, zarówno książąt, jak i ludzi z gminu. To były oczywiście przeciwstawne nurty i oba nie mogły wygrać. Saemon chciał znaleźć się po stronie zwycięzców, a Genjiego na zawsze zepchnąć z piedestału. Nie obchodziło go, kto odniesie ostateczny triumf. Gdyby zwycięstwo przypadło Mężom Opatrzności, Genji i tak byłby pogrążony. Gdyby do głosu doszli ugodowcy, nie brakowało wśród nich tradycjonalistów. Tych po pewnym czasie można by przekonać, że to właśnie Genji odegrał główną rolę w zdławieniu opozycji, a tym samym wspomnianych Mężów Opatrzności. I tak był solą w oku wielu polityków za niezrozumiały upór, z którym dążył do zniesienia kasty nietykalnych. Sam się prosił o kłopoty.

Saemon był cierpliwy. Nie musiał się spieszyć. Ci, którzy za szybko pędzą do celu, najczęściej dążą jedynie do zguby.

* * *

Genji zostawił Emily pod opieką dwóch dziewcząt mieszkających w Mushindo. Pomogły jej się wykapać i zdjąć zakrwawioną suknię. Na dziedzińcu zastał Smitha i Farringtona.

— Jak ona się czuje? — Zapytał Farrington.

— Nic jej się nie stało — odpowiedział Genji. — Ale z drugiej strony, nie można powiedzieć, że nie ucierpiała. Patrzyła na śmierć swojej najbliższej przyjaciółki.

— Mordercą był jeden z pańskich samurajów, prawda? — Spytał Smith. — Nazywał się Taro.

— Tak, Taro.

— Pełnił funkcję dowódcy jazdy? — Wtrącił Farrington.

— Owszem.

— W takim razie dlaczego chciał zabić panią Hanako? — Dopytywał się Smith. Podejrzał jakiś romans. O ile samuraje z pozorną pogardą traktowali kobiety, jako istoty niegodne uwagi wojownika, to przecież wszyscy byli tylko ludźmi, podatnymi na różne słabości i przywary. Sam nie był od nich lepszy. Uczucie, które żywił do Emily, odciągało go od handlu bydłem, ziemią — od wszystkiego, na czym mógłby pomnożyć majątek. A co zyskiwał w przypadku Emily? Nic, poza chwilową satysfakcją. Rzeczywiście to głupie — lecz gdy chodzi o kobiety, mężczyźni bardzo rzadko grzeszą rozumem.

— Nie chciał — odparł Genji. — Chodziło mu o Emily. Hanako uchroniła ją od niechybnej śmierci.

— Emily? — Powtórzył Farrington. — Dlaczego?

— Opozycja wobec cudzoziemców jest na tyle silna, że, jak widać, szerzy się nawet w szeregach moich najbardziej zaufanych lenników.

Farrington nie zaakceptował takiego wyjaśnienia. Odkąd przed trzynastu laty komandor Perry otworzył Japonię, było wiele napadów na obcokrajowców. Mnożyły się zabójstwa, ale żaden atak nie został skierowany przeciwko kobiecie. Dumnym samurajom taki czyn wydawał się jeszcze wstrętniejszy niż ludziom Zachodu. To, by wojownik w randze generała z przyczyn politycznych myślał o zabójstwie bezbronnej cudzoziemki, najzwyczajniej w świecie nie było możliwe. W dodatku Emily nie wzięła się znikąd, lecz mieszkała na dworze i ponoć cieszyła się opieką i przyjaźnią możnego feudała, u którego na służbie pozostawał Taro. Genji podał ohydny przyczynę zamachu, ale prawda zdawała się jeszcze okropniejsza.

Jedynie bezpośredni rozkaz suwerena mógł zmusić samuraja do popełnienia czynu, który na zawsze splamiłby honor wojownika. Cała podróż do Chmary Wróbli była wobec tego zaledwie przygrywką do ważniejszych wydarzeń. Genji chciał zabrać Emily daleko od ludzkich oczu i podstępnie zabić. Ale dlaczego? Farrington wolał nawet nie myśleć o możliwych powodach. Napawały go wstrętem. Emily była niewinna i bardziej bezbronna, niż jej się zdawało, pod rzekomą opieką despotycznego władcy. Zapewne bezwiednie stała się ofiarą jego wyuzdania.

A jeśli jest już za późno, by obronić ją przed losem gorszym od śmierci? — Myślał Farrington. Co ma teraz zrobić?

— Niektórzy na Zachodzie widzą w samurajach japońskich rycerzy — odezwał się Smith. — Jeśli to, co pan mówi, odpowiada prawdzie, wasz kodeks rycerski jest zupełnie do niczego.

Genji skłonił się.

— Trudno nie zgodzić się z pańskim stanowiskiem.

Z komnaty, w której leżała Emily, wyszły dwie młode dziewczyny. Ukłoniły się księciu i szybko odeszły, zabierając zakrwawioną suknię.

— Chcę was prosić, panowie, byście poczekali tutaj na Emily. Kiedy dojdzie do siebie, będzie spokojniejsza w towarzystwie rodaków.

— Oczywiście — powiedział Smith.

Farrington w milczeniu skinął głową. Dręczyło go, po jakie licho Genji zabrał ich na tę wycieczkę. Chciał mieć świadków? Czego? Że zrobił dosłownie wszystko, aby uratować nieszczęsną Emily, ale niestety zawiódł? Bohaterska Hanako, która z poświęceniem broniła przyjaciółki, zniweczyła te plany. Ale czy to nie znaczy, że teraz całej trójce — jemu, Smithowi i Emily — grozi śmierć?

— Może zawrzemy tymczasowy rozejm? — zaproponował Smith.

— Proszę bardzo. — Farrington wyciągnął rękę. Podali sobie dłonie. — Przede wszystkim musimy zadbać o Emily. — Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powiedzieć Smithowi o swoich podejrzeniach. Nie, lepiej nie. To wymagałoby wielu wyjaśnień, prowadzących do raczej nie milej konkluzji.

Genji poszedł poszukać Kimi. Znalazł ją w ogrodzie. Z pomocą Goro spulchniała ziemię pod sadzonki. Podczas pracy prowadzili coś jakby „rozmowę”, ale nie w dokładnym znaczeniu tego słowa. Była to raczej litania albo śpiew łączący grupę celebrantów.

— Kimi.

— Goro.

— Kimi.

— Goro.

Byli tak pochłonięci pracą, że nawet nie zauważyli obecności Genjiego.

— Kimi.

— Goro.

— Kimi — włączył się Genji.

— Książę Genji! — Wykrzyknęła Kimi.

Rzuciła się na kolana i przycisnęła czoło do ziemi. Goro poszedł za jej przykładem, lecz nie wymienił imienia księcia, ale zamruczał po swojemu:

— Kimi.

— Ciiii...

Co za cudowny kraj ta Japonia, pomyślał Genji. Nawet wiejski głupek próbuje zachować się właściwie w obecności pana. Sam nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać.

— Kimi... Goro... Oddaliście mi dzisiaj ogromną przysługę. Jestem wam wdzięczny.

Słyszając swoje imię, Goro uniósł głowę na tyle, żeby ostrożnie zerknąć na Genjiego.

— Kimi — powiedział.

Dziewczyna szybko złapała go za ręce i zmusiła, żeby zakrył usta.

— Siedź tak i nic nie mów — rozkazała. Ponownie pochyliła się przed Genjim.

— Przepraszam, panie książę. Czasami sprawia mu to trudność.

— Goro ratował moją przyjaciółkę. Z łatwością mogę mu wybaczyć drobne odstępstwa od zasad etykiety.

— Dziękuję, panie książę.

— Wiem, dlaczego to zrobił. Po prostu mu kazałaś. Ale dlaczego sama narażałaś życie?

Kimi klęczała z pochyloną głową i milczała.

— Odpowiedz, proszę. Na pewno się nie pogniewam.

— Ludzie mówią, że znasz przyszłość, panie książę — z ociąganiem odrzekła Kimi.

— A ty w to wierzysz?

— Mogę? — Spytała cicho.

W Japonii wszystko miało swoje miejsce — nawet wierzenia. Chłopi nie mogli nawet marzyć, że kiedyś znajdą się w pobliżu

cesarza albo shoguna. To samo dotyczyło wiary. Prosty lud, taki jak wszyscy mieszkańcy wsi Yamanaka, słuchał nauk Honena i Shinrana, którzy w przystępny sposób wyjaśniali, jak kroczyć Ścieżką Buddy Amidy do Czystej Ziemi Sukhawati. Wielcy książęta pokroju Genjiego byli zwolennikami zen i postępowali w myśl niemych wskazówek dawnych patriarchów, niezrozumiałych dla wieśniaków i przeciętnych mieszczan. A może wiara w niezwykle zdolności Genjiego też była zastrzeżona wyłącznie dla szlachty? Kimi zadygotała. Usiłowała nad tym zapanować, ale nie bardzo jej się udało.

Genji roześmiał się. Nie był to uragliwy ani okrutny śmiech. Brzmiał raczej wesoło.

— Nie siedzę w twojej głowie, Kimi. Możesz wierzyć, w co tylko zechcesz. Ale pamiętaj, że na tym świecie są o wiele ciekawsze rzeczy niż wiara w moje zdolności. Ludzie nie wiedzą, co to znaczy mieć dar przewidywania.

Zatem naprawdę jest prorokiem! Przed chwilą sam się do tego przyznał. Kimi miała ochotę podskoczyć z radości. Co za szczęście... W czasach, kiedy praktycznie nikt nie był pewien jutra, jej pan dokładnie wiedział, co się stanie. To znaczy... wieś nie należała do Genjiego. Lennem Yamakawa rządził pan Hiromitsu. Ale klasztor Mushindo już od sześciu wieków stanowił dziedziczną własność rodu Okumichi, a Hiromitsu i tak we wszystkim słuchał księcia. Zatem Genji praktycznie pozostawał jej panem.

— Dziękuję, panie książę — powiedziała.

— Dziękujesz mi przedwcześnie. Nie dostałaś nagrody. A poza tym, wcale nie musisz mówić „panie książę”. Wystarczy jedno albo drugie.

— Tak, książę. Dziękuję, ale nagroda jest całkiem niepotrzebna.

— Mimo to ją otrzymasz.

— Tak, książę. Dziękuję.

— Czego pragniesz?

— Panie?

— Nagroda już należy do ciebie. Wystarczy, że ją wymienisz.

Kimi znów zadrżała niczym w febrze. Miała sama wyznaczyć

stosowną nagrodę?! Przecież to niemożliwe! Ale z drugiej strony, nie mogła odmówić... Jeśli czegoś zażadam, pomyślała, to z pewnością ściagnę na swoją głowę surową i zasłużoną karę. Kimże jestem, aby w bezczelny sposób korzystać z hojności księcia?

Jednak odmowa byłaby przejawem buntu, a to oznaczało śmierć — nie tylko dla niej, ale dla wszystkich członków jej rodziny, a może i dla reszty chłopów.

A gdyby tak jej prośba była bardzo skromna? Skutek ten sam — śmierć! Wielki książę nie daje małych nagród. Poczytałby to raczej za obrazę. Nie stać go na to, żeby być szczodrym?

Kimi dygotała tak gwałtownie, że oddech uwiązał jej w piersiach. Co za rozpacz urodzić się w chłopskiej rodzinie... Jeszcze gorzej obcować z feudalnym księciem. Wszystko jedno czy się pogniewa, czy będzie zadowolony. Skutek jest taki sam: zagłada. Kimi pomodliła się w duchu: *Nembutsu*, jak wszyscy ci, którzy zmierzają na ścieżce. Chciała, żeby po śmierci dobry Budda Amida od razu zaprowadził ją do Czystej Ziemi. Nie wiedziała, że mówi na głos, dopóki Genji także się nie odezwał.

— *Namu Amida Butku* — powtórzył jej słowa. — Prosisz Buddę Amidę o właściwą radę?

— Panie... — Kimi nie mogła wykrztusić nic więcej.

— To może chwilę potrwać. Wiem z doświadczenia, że Budda i bogowie nie spieszą się z odpowiedzią na wezwania wiernych. Jesteś religijna?

— Panie...

— Oczywiście, że jesteś, bo w przeciwnym razie nie chciałabyś na nowo postawić klasztoru.

Milczał przez dłuższą chwilę. Wreszcie Kimi zebrała się na odwagę i ostrożnie uniosła głowę. Genji patrzył na odbudowane skrzydło świątyni.

— Coś ci zaproponuję — rzekł w końcu. — Chcę, żebyś została tutaj przełożoną. Dostaniesz odpowiednich ludzi oraz środki, aby przyspieszyć odbudowę. Mushindo będzie żeńskim klasztorem.

— To chyba niemożliwe, panie... — Kimi nie chciała mu się sprzeciwiać, lecz z drugiej strony była przerażona na myśl

o gniewie prastarych duchów, opiekujących się klasztorem. — Tylko sam główny opat sekty Mushindo mógłby dokonać takiej zmiany.

— Tak się składa, że to właśnie ja jestem dziedzicznym opatem, w prostej linii potomkiem twórców tej świątyni. Na początku w Mushindo żyły tylko mniszki. Dopiero stary mistrz Zengen założył tu męski klasztor. Ja przywracam opactwo, wielbna przełożona.

— Panie, nic nie wiem o naukach Mushindo.

— Nie ma tego zbyt dużo. To zawsze była dziwna i odmienna sekta. Główny mnich Tokuken przebywa teraz w górach. Kiedy wróci, spokojnie poproś go o radę, a na razie, za moim przyzwoleniem, praktykujcie *nembutsu* lub co tam tylko chcecie.

— Będą tu mieszkały wyłącznie kobiety? — Upewniła się Kimi.

— Tak. — Genji popatrzył na Goro. — Ach, rozumiem. Chata ogrodnika stanie tuż za murem. W ten sposób nie stracisz swojego pomocnika.

— Dziękuję, książę Genji — powiedziała Kimi. Ciężar spadł jej z serca. Najwyraźniej książę potrafi czytać w myślach równie dobrze, jak przepowiadać przyszłość. Goro, Kimi i reszta dziewcząt zbiegłych z Yokohamy znaleźli prawdziwy dom. Tu będą bezpieczni pod opieką wielkiego księcia Akaoki.

— Proszę bardzo, czcigodna przełożona — odparł Genji. Ukląkł i złożył przed nią niski pokłon, jak przed prawdziwą mniszką. — Pamiętaj, zerknij do świętych tekstów i znajdź sobie odpowiednie imię. Ten, kto wkracza na Ścieżkę Buddy, musi się odrodzić.

— Tak, panie. Tak właśnie zrobię.

— To dobrze.

Kimi długo klęczała, schylona do samej ziemi. Gdy się podniosła, Genji już odszedł. Podniecona doniosłością chwili, zupełnie zapomniała powiedzieć mu o zwoju.

Dwa tygodnie temu, szukając pocisków na łące za murem, natknęła się na duży, luźno leżący kamień. Była to pozostałość dawnych fundamentów po jakimś budynku. Zwój spoczywał pod kamieniem, w pudle pokrytym woskiem, które przez wiele

lat, a może nawet wieków, nie uległo zniszczeniu przez aurę. Zajrzała do pudła, lecz samego zwoju nie rozwijała, ponieważ nie umiała czytać. I tak nie zaspokoiłaby swojej ciekawości. Zamierzała powiedzieć o tym pani Hanako, ale pani Hanako zginęła. Księżciu także nie mogła oddać znaleziska, bo stał przy nim ten drugi, którego nie знаła. Budził w niej niechęć. Coś w jego zachowaniu, spojrzeniu i uśmiechu sprawiało, że przypominał żabę ukrytą w błocie podczas pory deszczowej. Tylko oczy błyskały chytrze, wypatrując chrząszczy.

Teraz było za późno. Książę Genji wrócił do swoich samurajów. Nie mogła do niego podejść, nie mówiąc, z czym przychodzi — a nie chciała przed nikim zdradzić tajemnicy. To mogło być niebezpieczne. Skoro pan Taro zdradził, kto wie, o czym myśli reszta wojowników? Musi działać rozsądnie, wszak jest przełożoną. Postanowiła poczekać na odpowiedni moment.

Koło niej rozległ się czyjś stłumiony głos. Goro nadal zakrywał usta.

- Możesz opuścić ręce, Goro
- Kimi — powiedział Goro.
- Goro — powiedziała Kimi.
- Kimi.
- Goro.
- Kimi.

San Francisco

W mieście było niewielu japońskich imigrantów, zaledwie garstka, więc nic dziwnego, że dwaj nowi wzbudzili powszechną ciekawość wśród swoich rodaków. Nie wyglądali na kupców, uczonych ani chłopów. Mimo europejskich ubrań i braku dwóch mieczy — z którymi przecież nie mogli pokazać się w Ameryce — od razu było wiadomo, że są samurajami.

Przedstawiciel księcia Genjiego z Akaoki, pan Stark, dowiedział się, że dwóch nowo przybyłych Japończyków, w dodatku samurajów, wypytuje o niego, młodego Makoto i o panią Heiko. Oczywiście wiadomość nie dotarła bezpośrednio do pana Star-

ka, ponieważ nie znał japońskiego. Jak zwykle odebrała ją pani Stark. Podziękowała uczynnym ludziom i wynagrodziła ich za tę informację, choć zarzekali się, że to nic takiego. Cieszyło ich, że mogą chociaż w taki sposób przysłużyć się księciu Genjiemu, który co prawda nigdy nie zjawił się w tych stronach, ale był najbliższy. Ameryka to nie Japonia, więc w Kalifornii nie obowiązywały dawne zależności, lecz mądrzy ludzie przestrzegali ustalonych zasad. Czekali, aż wszelkie zmiany przyjmą się na dobre. Każdy słyszał o nieszczęśniku, który nieco za wcześnie ogłosił świt nowej ery, zapomniał o manierach i pożegnał się z głową. Wprawdzie nie zdarzyło się to w Ameryce, lecz po co głupio ryzykować?

Po tygodniu obaj przybysze gdzieś zniknęli. Prawdopodobnie pojechali dalej, nową koleją transkontynentalną albo statkiem, na północ, na przykład do Kanady. A może do Meksyku albo jeszcze dalej?

Dziwnym zbiegiem okoliczności, mniej więcej w tym samym czasie, fale wyrzuciły na brzeg zatoki San Francisco dwa okaleczone ciała. W zasadzie były to jedynie nędzne resztki. Czego nie zjadły rekiny, przegniło w morzu. Nie sposób było ustalić tożsamości ofiar ani przyczyny zgonu. Grabarz, sprowadzony przez lokalne władze, powiedział tylko tyle, że chodzi o dwóch mężczyzn, bo ogryziony tułów w ogóle nie pasował do rąk ani do nogi. No, chyba że była to jakaś kreatura pokazywana w cyrku. Dwóch mężczyzn — o ile rzeczywiście było ich dwóch — albo też kobieta o silnie męskich cechach. Cała reszta wkraczała w sferę domysłów. Grabarz stwierdził, że mogli to być Meksykanie, Chińczycy, Indianie, Irlandczycy, Murzyni albo Niemcy. Na pewno nie Hawajczycy. Kiedyś miał do czynienia z trupem Hawajczyka, podziurawionym kulami z rewolweru, posiekany nożem i pobitym pałą. Było to sześć lat temu, w pokoju hotelowym. Grabarz wychodził z założenia, że wszyscy Hawajczycy są do siebie podobni — to znaczy ogromni. Znalezione zwłoki wydawały mu się o wiele za małe jak na Hawajczyka. Tego był zdecydowanie pewny.

Wziąwszy pod uwagę stan szczątków i to, że grabarz zawsze miał trochę w czubie, nikt nie mógł oczekiwać lepszej odpowiedzi.

Opactwo Mushindo, 1882

— Goro — powiedziała czcigodna przełożona Jintoku.

Otworzyła oczy. Tym razem to nie jęk dzwonu wyrwał ją z medytacji, ale echo własnego głosu, docierającego z przeszłości.

Inne mniszki wciąż nieruchomo siedziały w milczeniu. Doskonale wiedziały, że u tych, które bez sprzeciwu idą za miłosiernym Buddą, często ujawniają się skrywane emocje, obawy i wspomnienia. Z ust medytujących padały pojedyncze słowa, dawał się słyszeć płacz, śmiech i chrapanie, jeżeli mniszka straciła czujność. W razie potrzeby dyżurna uzbrojona w kij dbała o to, żeby jej podopieczne zbyt nie rozpraszały.

Przełożona z szacunkiem skłoniła się przed ołtarzem i swoim towarzyszkom. Cicho podziękowała Buddzie i opiekuńczym duchom świątyni, że napełnili ją łaską medytacji. Potem wyszła na zewnątrz. Noc właśnie minęła. Na wschodzie pojawiła się biała jutrzienka. Przełożona z głębokim ukłonem powitała błogosławieństwo nadchodzącego dnia.

„Opactwo Mushindo”... — przed wieloma laty powiedziała pani Emily, kiedy dawny klasztor jeszcze leżał w ruinach. Teraz znów był opactwem. Jak szybko ten czas mija...

Jeden oddech — wszystko, co było.

Drugi oddech — wszystko, co jest.

Zaczął padać, kiedy przełożona szła na drugą stronę dziedzińca.

Tokio

Makoto Stark siedział na parapecie i skręcał papierosa. Pokój był na trzecim, najwyższym piętrze wielkiego i w zasadzie pustego hotelu w dzielnicy Tsukiji, w tej części miasta, którą zarezerwowano wyłącznie dla cudzoziemców. Przez okno widać było ciężkie szare chmury, zbierające się nad górami na północno-zachodnim skraju rozległej równiny Kanto. O ile się nie myłę, pomyślał Makoto, nad Mushindo już pada, a wkrótce

będzie padać w Tokio. Teraz papieros zwisał mu niedbale z kącika ust, jak u rewolwerowców z tanich zeszytowych powieści, którymi zaczytywał się w dzieciństwie.

Czego spodziewał się po wizycie w Mushindo? Chyba czegoś innego niż to, co otrzymał. Same rozczarowania i nowe wątpliwości. Przecież to niby drobiazg, że oficjalna relacja o bitwie różniła się od tej, którą przekazali mu matka i Matthew Stark. Ale każda różnica urastała teraz do olbrzymich rozmiarów. Przyjechał do Japonii dowiedzieć się prostej prawdy — kim są jego rodzice? Teraz czuł, że ta prawda może być najmniej ważna.

Z papierosem wciąż zwisającym z ust wyszedł z hotelu i zagłębił się w gąszcz ulic Tsukiji. Trudno uwierzyć, że przed dwunastu laty, kiedy cesarskie Tokio nosiło nazwę Edo i pełniło rolę stolicy shogunatu, stały tutaj pałace wielkich daimyo, feudalnych władców, od ponad dziesięciu wieków rządzących Japonią. Teraz pałace zniknęły, zastąpione przez hotele, liczne restauracje i sklepy przeznaczone dla obcokrajowców. Takie były pierwotne plany. Niestety, wbrew oczekiwaniom nowego rządu, cudzoziemcy zaglądali tu dość rzadko. Woleli siedzieć dwadzieścia mil na zachód, w tłumnym i ruchliwym porcie Yokohama. Puste Tsukiji wydawało się czymś niezwykłym w tętniącej życiem metropolii. Policjant na rogatce, umundurowany na zachodnią modłę, uklonił się, kiedy Makoto mijał główną bramę. Japończycy nie mieli zakazu wstępu do Tsukiji, ale obecność policjanta nie działała zbyt zachęcająco.

Podczas podróży przez ocean Makoto początkowo myślał tylko o „panu Okumichi”. O ojcostwie i porzuceniu. Parowiec płynął dużo szybciej niż dawne żaglowce, ale rejs i tak trwał wiele tygodni. Gniew i rozgoryczenie były krótkotrwałe. Czas leczył rany. W ten sam sposób działało świeże morskie powietrze, oczyszczające deszcze i słońce, ogrom oceanu i niczym niezmacona linia horyzontu, rytmiczne kołysanie statku... Zupełnie niespodziewanie Makoto poczuł przyływ optymizmu. Nie z powodu Genjiego. Ten odrzucił syna przed dwudziestu laty i nadal odrzucał. Istniały niewielkie szanse, że spotkanie coś zmieni.

Największe nadzieje Makoto wiązał z samą Japonią.

Na dobrą sprawę nie pamiętał czasów, kiedy nie w pełni mógł korzystać ze wszystkich ulg i przywilejów, jakie dawało mu bogactwo i polityczne wpływy Matthew Starka. Zawsze pod ręką miał ochronę i czujną służbę. Gdzie się nie zwrócił, spotykały go tylko dowody szacunku. Obracał się wśród rówieśników o takim samym pochodzeniu — nie licząc dzieci domowników. Pod tym względem należał do nielicznej elity San Francisco. Kiedy był dzieckiem, rzecz jasna nawet nie myślał o różnicach. Dopiero potem, w latach młodości, nieomal w ciągu jednej nocy odkrył, że zamiast dawnych zabaw modne są bale i zaloty. Od tamtej pory siłą rzeczy musiał utrzymać pewien dystans, zwłaszcza wobec dziewcząt — łącznie z tymi, które znał praktycznie przez całe życie. Nigdy nie pytał o powody. Nigdy nie szukał zbyt daleko — wystarczyło, że przejrzał się w lustrze.

Najpierw próbował się nie przejmować. Ale to nie pomagało. Popadł w rozterkę, spotęgowaną krótką, tragiczną, lecz pełną przygód karierą „Bandyty z Chinatown”. Czuł dziką radość, kiedy wydawał fałszywy chiński okrzyk i wymachiwał chińskim tasakiem. Widział strach w oczach ludzi, którzy brali go za kogoś, kim nigdy nie był — za pomyleńca i kulisa, nurzającego się w oparach opium. Przecież na co dzień ci sami ludzie z premedytacją go nie dostrzegali, bo nie pasował do ich społeczności. Cudownie. Bali się potwora, nie wiedząc nawet, że nie istnieje.

Ale wspomniana satysfakcja również była raczej krótkotrwała. Cierpka mieszanina żartu i zemsty zamiast osłabić, potęgowała jego poczucie alienacji. Nadal się bawił, lecz przecież nie mógł wiecznie być „Bandytą z Chinatown”. Po prawdzie sam nie wiedział, co ze sobą począć w dniu, kiedy Matthew Stark odkrył tę kryminalną farsę i nakazał mu natychmiastowy wyjazd do Kanady. Miał szczęście, że w ogóle trafił na parowiec płynący do Japonii. Najpierw zamierzał uciec do Meksyku — śniade dziewczęta nie pogardzały nim, bo myślały, że mają do czynienia z bogatym *mestizo*. Przybył do portu w tej samej chwili, kiedy SS „Hawaiian Cane” zamierzał odbić od nabrzeża. Wtedy liczył się przede wszystkim pośpiech.

Podczas podróży z wolna zblakły obrazy śmierci, które

zostawił za sobą. Przygasła złość wobec człowieka, którego przecież wcale nie znał. Zaczął wspominać dawne historie. Matthew Stark, matka, niemal cała służba i goście z Tokio albo Akaoki opowiadali mu o Japonii. Opisywali społeczeństwo wierne tradycji i zwyczajom, ceniące wierność i porządek. Zwłaszcza porządek. Ponoć istniała tam niezwykle trwała i nienaruszalna hierarchia, w której każdy znał swoje miejsce. W końcu Makoto doszedł do wniosku, że nie mógł dobrze czuć się w Kalifornii, skoro jego prawdziwy dom jest gdzie indziej. Zanim statek dobił do portu w Yokohamie, nadzieja przerodziła się w oczekiwanie.

Ale niestety, widok Tokio przypomniawszy chłopakowi zeszłoroczną wycieczkę do Montany. Na polecenie Matthew Starka pojechał wtedy do kanadyjskich kopalń Red Hill Company. Nie mógł oprzeć się pokusie, aby nie skręcić nieco na południe i nie odwiedzić rezerwatów Siuksów i Czejenów. Czuł dreszcz emocji. Od dziecka czytał powieści o rewolwerowcach i krwawych wojnach z Indianami. Przecież zaledwie sześć lat minęło od słynnej bitwy pod Little Bighorn, w której generał Custer poległ w walce z wojownikami Szalonego Konia i Siedzącego Byka. Teraz Makoto rozczarowany patrzył na nieuzbrojonych, byle jak ubranych i chorych Indian, włóczących się po zapyłonym rezerwacie. Żadnych koni, wojennych barw i pióropuszy... Żadnej dzikości. Nie potrafił sobie wyobrazić, że ci sami ludzie pokonali sławną na cały kraj Siódmą Kawalerię. To z ich powodu był ten cały raban?

W Tokio to samo — rozczarowanie. Nikt już nie upinał włosów w węzeł ani nie chodził z dwoma mieczami. Jediną białą bronią, jaką widział, były regulaminowe szable, noszone przez umundurowanych po europejsku oficerów. Większość ludzi wciąż ubierała się w kimona, czasami strojne, zwłaszcza u kobiet. Ale do tego niemal zawsze dodany był jakiś zachodni akcent: zwykle kapelusz, buty, pantofelki, pasek lub rękawiczki. Wiele kobiet paradowało z parasolkami. Wyglądało to co najmniej dziwnie. Nie wiem, kim jestem, myślał Makoto, ale ci ludzie też tego nie wiedzą. Cały kraj stracił tożsamość. Tak to przynajmniej wyglądało. Japonia, o której tyle słyszał, okazała się równie nierealna jak Dzikie Zachód z tanich powieści zeszytowych.

Makoto nagle obrócił się na pięcie i pomaszerował z powrotem do hotelu. Genji przeprowadził się z Pałacu Cichego Żurawia do nowej rezydencji nad brzegiem Tamy, na peryferiach Tokio. Chłopiec nie wahał się dłużej. Spytał w recepcji, jak tam dojechać.

— To będzie trudne — odparł recepcjonista. — Zresztą, niewiele pan zobaczy. Książę urządził się raczej skromnie. W zamian polecam Pałac Cesarski. Wprawdzie nie można wejść do środka, ale widok z zewnątrz jest wspaniały.

— Książę? — Powtórzył Makoto. — Myślałem, że zniesiono system feudalny i odebrano dawne tytuły.

— Tak, ziemia przeszła w ręce państwa, ale niektórzy z byłych daimyo zostali nobilitowani. Część z nich, z tytułem gubernatora, nadal mieszka w dawnych majątkach. Książę Genji należy właśnie do tej grupy. Pomógł odzyskać pełną władzę Jego Cesarskiej Mości.

— Nie ma daimyo — z namysłem powiedział Makoto — i nie ma feudalnych włości. Mimo to książę Genji wciąż pozostaje księciem i włada swoją dawną ziemią, którą nazwano teraz „prowincją”.

— Właśnie — przytaknął recepcjonista. — Japonia szybko się modernizuje. W tym tempie dogonimy Zachód najpóźniej na przełomie wieków.

— No pewnie — zgodził się Makoto. — Ale zwiedzanie to nie dla mnie. Chciałbym spotkać się z księciem Genjim.

Recepcjonista obrzucił go przeciągłym spojrzeniem.

— To będzie trudne. Poza tym książę wyjechał z Tokio. Jest teraz w zamku Chmara Wróbli w prowincji Muroto.

— Jak rozumiem, nowa „prowincja Muroto” to dawne lenno Akaoka?

— Tak.

— A Chmara Wróbli wciąż jest Chmarą Wróbli?

— Tak.

— Dobrze wiedzieć, że pewne rzeczy się nie zmieniają — westchnął Makoto.

9

Władca Jablek

Młody panicz zapytał:

— Jak znajdę słowa, aby wyrazić to, co czuję w sercu?

— Najgłębszych uczuć nie da się wysławić. Można je jedynie okazać.

— To beznadziejne — odparł panicz. — W ten sposób nikt mnie nie zrozumie. Ja także nie rozumiem innych.

— Nieprawda. Ci, którzy znajdują się najbliżej ciebie, zrozumieją to, czego nie powiesz. Ty tak samo.

Aki-no Hashi
(1311)

Chmara Wróbli, 1867

Smith wolno wyjechał z zamku. Wodze trzymał luźno i nie kłopotał się tym, dokąd jedzie. Koń zaniósł go na brzeg morza i tam stanął, zwrócony pyskiem na południowy wschód, w stronę Hawajów. Smith od razu to zauważył, ale myśl o domu nie wywołała u niego cieplejszych wspomnień. Ma teraz dużo ważniejsze sprawy. Po pewnym czasie trącił wierzchowca piętami i pogonił do dalszego biegu. Koń odwrócił się tyłem do wody i potruchtał w głąb lądu. Wjechał na pagórek, wciągnął powietrze w nozdrza i dość nieoczekiwanie się zatrzymał.

Smith także poczuł nieznaną woń. Dorastał w tropikalnych lasach, więc doskonale znał zapachy różnych egzotycznych

owoców, zwłaszcza papai, mango i guawy. Bardzo je lubił. Ten zapach był zupełnie inny, choć też pochodził od owocu. Smith wiedział o tym, ale nie dlatego, że miał tak czułe powonienie. Po prostu dostrzegł sad w dolinie. Niewielki sad, może sto drzewek. Podjechał bliżej, aby go obejrzeć.

Jabłka. Kiedyś, w Wirginii, zjadł jedno jabłko, które kuzyn przywiózł mu w prezencie aż z Nowej Anglii.

„Nowojorczyacy twierdzą, że ich jabłka są najsmaczniejsze na całym świecie, powiedział kuzyn. Moim zdaniem o wiele lepsze rosną w Vermoncie. Spróbuj, Charlesie”.

Smith spróbował i musiał bardzo się wysilać, żeby z jabłkiem w ustach zachować miły wyraz twarzy. Nie poczuł miękkiej, mokrej i kleistej miazgi, do której przywykł na Hawajach. Kuzyn obiecał mu, że jabłko będzie słodkie i soczyste. W najlepszym razie było kwaśne. Może soczyste — ale nie tak, jak ociekające sokiem dojrzałe mango. Soczyste, jeśli porównać je na przykład z suszoną figą. Smith powstrzymał się od narzekania, ale zachwyty nie udawał.

„Trochę za długo przebywałeś w tych pogańskich tropikach, stwierdził kuzyn. Lepiej przyjeżdż do Williama i Mary, zanim twój smak i gust ulegną zupełnej degeneracji”.

Krótko przed Bożym Narodzeniem Smith był z powrotem na Hawajach. Wmówił rodzicom, że nie mógł wytrzymać chłodnej i ponurej zimy w Wirginii. Po prawdzie nudziły go jałowe wykłady i dyskusje ciągnące się w college’u. Jego dziadek zdobył majątek pod rządami pierwszego króla Kamehamehy, chociaż sprzeczali się w kwestiach wiary. Ojciec, świeć Panie nad jego duszą, był doradcą Kamehamehy IV i pomógł mu obronić królestwo przed zakusami europejskich imperialistów. Dlaczego wnuk i syn tak dzielnych ludzi miałby tkwić w odległym Williamsburgu, tylko myśleć i gadać, zamiast zajmować się czymś pożytecznym?

W tamtych latach przeczytał — przynajmniej co lepsze fragmenty — *Oliver a Twista*, *Opowieść o dwóch miastach* i *Wielkie nadzieje*. Dickensa wszyscy uważali za największego żyjącego pisarza kultury anglosaskiej. Smith traktował jego twórczość wyłącznie jako rozrywkę. Nie zyskał przez to szerszych horyzontów, wysublimowanego smaku ani umiejętności

pisania eleganckich listów. Książki Dickensa wydawały mu się raczej płytkie. O wiele bardziej wolał Austen, choć nigdy głośno nie przyznał, że kobieta w czymś może być lepsza od mężczyzny. Tak naprawdę, nikt oprócz Genjiego nie wiedział, że w ogóle czytywał jej powieści.

— Kobiety lepiej znają nasze rozterki — zauważył Genji. — Pierwszą japońską pisarką była kobieta. Do tej pory żaden mężczyzna nie dorównał jej przenikliwością.

— Nie spodziewałem się, że w Japonii ktoś może przyznać palmę pierwszeństwa jakiejś kobiecie — powiedział Smith. — Nie sprawujecie absolutnych rządów? Słowo mężczyzny nie stanowi prawa?

— Trzeba odróżniać prawo od wartości — odparł Genji. — Ród męski rządzi w Japonii cnotą miecza, a nie cnotą własnej cnoty.

Smith przeczytał — a ściśle mówiąc, przekartkował — ważniejsze rozdziały *Zmierzchu i upadku cesarstwa rzymskiego* Gibbona. Zaciekały go historia najazdu barbarzyńców, a zwłaszcza dzieje cesarzowej Teodory. Znalazł w nich pewne ostrzeżenie: trzeba uważać na kobiety, bowiem ich zemsta bywa najstraszniejsza. Z drugiej strony nie widział żadnego związku pomiędzy upadkiem Rzymu i własnym życiem.

Nigdy nie poznał greckich rozważań Arystotelesa czy Platona. Nawet się do nich nie zabrał. Gdyby chciał, też by nie mógł, bo przede wszystkim nie znał greki. Zaś angielski przekład odrzucał. Cóż to, powiadał, mam być jakimś amerykańskim Ateńczykiem? Kompletna bzdura.

Ostatniego dnia na uczelni przysłuchiwał się, jak inni studenci z wielką swadą rozprawiali o *Wyznaniach angielskiego opiumisty* De Quinceya. Właśnie wtedy podjął decyzję, że porzuci beznadziejne studia. Świat jest pełen różnych przygód i wspaniałych możliwości. Młody Smith nie chciał stracić swojej szansy i nie lękał się żadnych niebezpieczeństw.

Kiedy myślał o tamtych latach, zawsze czuł ulgę pomieszaną z żalem. Niecały rok po jego wyjeździe w Karolinie Południowej ogłoszono secesję, a już następnego lata wojska Unii wkroczyły do Wirginii. Gdyby został na uczelni, na pewno

trafiłby do wojska. Ale był przecież na Hawajach. Rodzice twardo sprzeciwiali się jego błaganiom o rychły powrót na kontynent. Mieli jednego syna i pięć córek. Smith ryzykowałby nie tylko życie, ale zagładę całego rodu. Został więc w domu i przegapił największą przygodę swoich czasów. Przegapił także krwawą masakrę, w której zginęło sześćset tysięcy jego rodaków. Na dobrą sprawę mógł być jednym z nich. Co gorsza, gdyby się zaciągnął, walczyłby pod tym samym sztandarem, co porucznik Farrington. Wprawdzie Smithowie pochodzili z Georgii, ale należeli do zagorzałych abolicjonistów. W oczach Boga wszystkie Jego dzieci były sobie równe. Dlaczego zatem jedne miały być własnością drugich?

Oczywiście Smith nigdy nie rozmawiał o tym z Farringtonem. Twardo udawał, że stoi po przeciwnej stronie. Tak było mu o wiele łatwiej rywalizować o względy Emily Gibson. Jednak ostatnio tyle się zdarzyło... że już sam nie wiedział, co o tym myśleć.

Farrington zmienił stosunek do Emily. Starał się tego nie okazać, lecz zachowywał się inaczej. Nie zrezygnował ze swych pretensji, chociaż wyraźnie spuścił z tonu. Może ktoś tego nie zauważył — a wszyscy sprawiali takie wrażenie — ale Smith wiedział swoje. Płomienna miłość Farringtona wyparowała po zdarzeniach, w których brali udział pod Mushindo.

Dlaczego?

Jedna rzecz miała znaczący wpływ na Farringtona. Porucznik zbladł, słysząc, że to Emily, a nie Hanako, była właściwym celem napadu. Co gorsza, głównym zamachowcem okazał się jeden z najbardziej zaufanych ludzi księcia Genjiego. Jakie wnioski wysnuł Farrington z takiego połączenia faktów i domysłów? Co zniweczyło jego uczucia?

Strach? Nie. Smith na tyle dobrze znał swego przeciwnika, aby odrzucić takie podejrzenie. Nie bez kozery wciąż przypominał mu o wojnie. Skoro nie strach... Pozostawał więc tylko honor. Jedyna rzecz godna dżentelmena. W innych okolicznościach nie mniej ważną rolę odgrywałby brak rodziny i majątku u panny Gibson. Któż chciałby żonę bez posagu? Smith o to nie dbał, ale z Farringtonem mogło być całkiem inaczej. Kłopot w tym, że zamożny opiekun Emily pewnie nie skąpiłby podar-

ków dla nowożeńców. Kwestia posagu była więc raczej wy-
dumana.

Co odmieniło Farringtona? Gdzie tkwił haczyk, którego
Smith nie zauważył?

Musiał wczuć się w myśli rywala.

Celem ataku była Emily.

Na czele spisku stał oddany dowódca kawalerii księcia
Genjiego, generał Taro.

Zatem...

Zatem co?

Smith nadal nie potrafił przeniknąć rozumowania Farring-
tona. Za co obraził się na Emily? Za to, że Taro chciał ją zabić?
W takim przypadku powinien raczej zadziałać instynkt opiekuń-
czy. Przecież Farrington jest żołnierzem.

Zdrada lennika? To też nie powód. W ostatnich latach za-
bójstw było coraz więcej, a zamachowcy częściej niż zwykle
wywodzili się z najbliższego kręgu znajomych i przyjaciół ofiar.
W nowej Japonii kwestia wierności stała pod znakiem zapytania.

Smith westchnął ze zniecierpliwieniem. Wolał pokonać Far-
ringtona. Nie chciał, by rywal się wycofał. Może zaprosić go
na obiad i przy stole poddać starannej obserwacji?

Zawrócił konia w stronę zamku.

* * *

Emily stała we wschodnim oknie głównej wieży i spoglądała
na Pacyfik. Dzisiaj ocean był spokojny, tak jak głosiła jego
nazwa. Ale kto wie, jak dzikie prądy i gwałtowne burze szaleją
gdzieś głęboko w jego wnętrzu? Ta mała wyspa i wszystkie
inne, które składają się na Japonię, są czubkami wielkich wul-
kanów. Teraz wygasłych, chociaż trzęsienia ziemi, które wciąż
wstrząsały archipelagiem, niosły ze sobą twarde ostrzeżenie,
żeby nie myśleć o spokoju. Trwałość jest tylko złudzeniem.
Uspione morze w każdej chwili może zahuczeć falą przyboju,
góra wystrzelić płynną skałą, a ziemia zadrzeć pod stopami.
Potężny zamek mógłby runąć, grzebiąc jego mieszkańców.
Nic nie jest takie, jak się zdaje, pomyślała Emily. Niczemu nie
wolno ufać. Czyżby wiara w niezmiennosc rzeczy była naj-
większą naiwnością?

Nie, nie. Skąd te myśli? Błuznierstwo. Czyż nie napisano: *Trawa usycha, więdną kwiat, lecz słowo Boga naszego trwa na wieki**! Tak, to prawda. Amen.

Jednak to nie przyniosło jej pocieszenia.

Straciła najlepszą przyjaciółkę.

Miała pożegnać się z człowiekiem, którego skrycie pokochała.

Wkrótce będę zupełnie sama, pomyślała. Gorzej niż sama. Zanurzona w kłamstwie, obiecana, a później wydana za mężczyznę, do którego nie czuła nic, oprócz przyjaźni i szacunku. Obojętnie, czy będzie to Charles Smith czy Robert Farrington. Wciąż wmawiała sobie, że robi to z miłości, aby uchronić Genjiego przed niebezpieczeństwem, związanym z jej osobą. Mimo to nadal była smutna. Zamiast się cieszyć, miała bolesne poczucie straty. To zakrawało na samolubstwo. Ciekawe, co by w takiej chwili powiedział Zephaniah?

Przez ostatnie lata w ogóle nie myślała o swoim zmarłym narzeczonym. Teraz wrócił, chyba zwabiony jej przygnębieniem i nastrojem chwili. Co by rzekł? Na pewno coś o piekle i wiecznym potępieniu. Był kaznodzieją i lubował się w takich obrazach.

— Pomyśl o innych, zamiast o sobie, Emily.

— Tak, proszę pana.

— Trochę to dziwne, że mówisz „proszę pana” do przysięgłego męża. Możesz zwracać się do mnie po imieniu.

— Dobrze.

— *Bo szeroka jest brama i przestronna ta droga, która prowadzi do zguby**.*

— Amen.

Zawsze mówiła „amen”, kiedy cytował wersety z Biblii. Robił to często, więc często powtarzała „amen”.

— *Kto nie uwierzy, będzie potępiony***.*

— Amen.

W miarę jak mówił, jego głos niebezpiecznie zbliżał się do

* Iz 40,8.

Mt7:13—14. *

Mk 16,16.

krzyku, żyły występowały mu na czoło, jakby za chwilę miały pęknąć, a oczy wychodziły z orbit. Wołał z prawdziwą pasją:

— *Wężo, plemię żmijowe, jak wy możecie ujść potępienia w piekle?**

— Amen!

Ale Zephaniah już od sześciu lat leżał w grobie. Nie zjawi się, żeby postraszyć ją karą Opatrzności. A przecież chętnie by go wysłuchała, byle tylko przepędzić inne, o wiele bardziej niebezpieczne myśli, nadzieje i plany. Gdyby żył, byłaby teraz panią Cromwell. Nie mieszkałaby w zamku, nie padłaby ofiarą niechcianej miłości i nie czułaby się tak bardzo nieszczęśliwa.

Strach sprowadził ją na tę wieżę. Strach i nadzieja. W klasztorze, a teraz opactwie Mushindo wydawało jej się, że zobaczyła ducha. To musiała być gra wyobraźni, bo w przeciwnym razie *Jesienny Most*, choć wydawało się to niemożliwe, przedstawiał prawdziwą wizję jej przyszłości. Poszła na wieżę, bowiem tam najczęściej widywano zjawę. Rzuciła jej wyzwanie. Jeżeli duch istnieje, to niech się pokaże. On albo ona... Nieważne. Demon jest bezpłciowy, więc może przybierać kształt mężczyzny lub kobiety. Emily, święcie przekonana, że duchów po prostu nie ma, nawet nie pomyślała o tym, co powinna zrobić, gdyby przypadkiem jakiś jednak się pojawił. Teraz ów brak przygotowania — ale jak miała się przygotować? — wprawił ją w przerażenie. Wciąż wydawało jej się, że ktoś na nią patrzy. Nie chciała szybko się odwracać, żeby broń Boże czegoś nie zobaczyć. Gdy jednak spoglądała w bok, widziała ścianę, okno, drzwi — i pomieszczenie z urnami, w których spoczywały prochy przodków Genjiego.

Nikogo tu nie ma. A skoro ona nie widzi ducha, to duch przecież też jej nie widzi. O to chodzi, prawda? Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. To straszne, kiedy ktoś na ciebie patrzy, sam pozostając niewidzialnym... Popelniła błąd, że tutaj przyszła. Odwróciła się w stronę drzwi — i w tej samej chwili usłyszała skrzypnięcie na schodach. Jakby odległe echo kroków. Czyich? Może to tylko wiatr szemrze w korytarzu, ulatując

* Mt 23,33.

pod sam dach? Ale pogoda była bezwietrzna. Żadnego wiatru. Jedyna droga na szczyt wieży wiedzie schodami.

Emily cofnęła się. To niemożliwe...

Oczywiście, że niemożliwe. W drzwiach stanął Charles Smith.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam — powiedział.

— Ani trochę — odparła Emily, dużo radośniej, niż zamierzała. — Cieszę się, że cię widzę, Charlesie.

— Wszystko gotowe. Możemy ruszać w każdej chwili.

— Gotowe?

— Do pikniku.

— Ach, prawda...

— Jeżeli nie chcesz jechać dzisiaj, zrobimy to innym razem.

— Nie, nie... Tak nie można. Zwłaszcza ze względu na pogodę. — Z tym piknikiem to był jej pomysł. Charles i Robert wciąż się martwili jej przygnębieniem, postanowiła więc zrobić coś, żeby ich pocieszyć. Wolała jednak, aby wyglądało na to, że propozycja wyszła od nich, a nie odwrotnie. Tak było dużo lepiej. Charles złapał przynętę. — Pozwól, że wezmę swoje rzeczy.

Smith spojrział na urny.

— Doprawdy dziwne miejsce do lektury, nawet starych zwojów.

— Owszem, zabrałam je, ale nie czytałam. Przyszłam tutaj, żeby pomyśleć.

— Jeżeli widok ziemskich szczątków zawsze pomaga ci w myśleniu, to może bardziej nadajesz się na zakonnicę niż na żonę.

— Wiem, że to pierwsze nie jest dla mnie. Co do drugiego... Nie mam pojęcia. Może mi brak kwalifikacji?

— Rzadko kto nadaje się do świątobliwego życia. Nawet ci, którzy je wybrali. Były zakonnik z Monte Cassino opowiadał mi, że nigdy przedtem nie miał do czynienia z taką zawiścią i politykierstwem jak za grubymi murami klasztoru. Należy dodać, że pochodził z Rzymu.

— Kiedy poznałeś tak fascynującą postać?

— Byłem akurat w Honolulu, kiedy wybierał się do Kochinchiny.

— Jako misjonarz?

Smith uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Jako handlarz bronią. Powiedział tak: „Skoro nie zbawię własnej duszy, to chociaż może za moją sprawą kilka innych dusz znajdzie drogę do Stwórcy”.

Emily zmarszczyła brwi. Nie bawiła jej ta historia.

— To okropne, Charlesie! Mam nadzieję, że już więcej tego nie powtórzysz.

— Niestety, chyba będę musiał — odparł Smith z udawanym smutkiem. — Historia jest prawdziwa, więc ktoś może z niej skorzystać. — Jeżeli ta ślicznotka ma jakąś wadę, to jest nią brak poczucia humoru. Smith czerpał z tego perwersyjną radość, ale zachował pozory powagi.

— Nie widzę w twojej opowieści żadnego morału.

Za to jej oburzenie było aż nadto widoczne. Lekki rumieniec na policzkach tylko podkreślał śnieżną biel jej aksamitnej skóry. Widok krwi prześwitującej przez delikatne ciało wywołał dziwne mrowienie w łydźwiach Smitha. W barbarzyńskich czasach — lub bardziej rozwiązłych — od razu dałby upust instynktom, a dopiero później, w sprzyjającej chwili, pomyślał o ślubie. Taka myśl tylko dlatego przyszła mu do głowy, że ostatnio znowu przeczytał ulubione rozdziały *Upadku cesarstwa rzymskiego*, poświęcone wyczynom i podbojom Attyli. Jakże wolnym był ten dziki Hun! Cywilizacja wyprodukowała samych niewolników, tłumiąc ich naturalną wolę, instynkty i siłę. Ideałem stał się rycerski dżentelmen, w ogóle niepodobny do Huna. W takich chwilach jak ta zapatrzony w Emily — tym piękniejszą, że niewinną i pozbawioną choćby odrobiny kokieterii — przeklinał czasy, miejsce i zwyczaje, które z reguły bardzo chwalił.

Złapany w pułapkę żądy, Smith o sekundę dłużej niż potrzeba wpatrywał się w dziewczynę. Podniosła wzrok i w jej oczach odmalowało się zdumienie.

— Nie dostrzegasz morału, bo nie należysz do tych, którzy są w potrzebie — powiedział szybko, w ten sposób chcąc ukryć emocje. — *Nie potrzebują lekarza zdrowi, ale ci, którzy się źle mają**.

* Mt 9,12.

— Amen — odparła, ale wciąż patrzyła na niego z powagą i powściągliwością.

Miał nadzieję, że chodzi jej wyłącznie o moralność, nie zaś o wyraz twarzy, na którym go przyłapała.

* * *

Duży namiot, zazwyczaj używany podczas łowów, miał zapewnić księżtom stosowne wygody. Tym razem posłużył Emily na pikniku. Genji, Smith, Farrington i Emily spokojnie jechali na koniach. Za nimi podążała pieszo grupa służących, niosąca sprzęt i inne potrzebne rzeczy.

— Tutaj — powiedziała Emily. — To odpowiednie miejsce. — Wskazała na piękną łąkę w pobliżu wybrzeża. Wychoodzący w morze przylądek Muroto osłaniał ją od wiatru.

Genji nie potrafił zmusić się do tego, aby powiedzieć jej prawdę o tym zakątku. Emily ostatnio wiele przeszła. Widziała gwałtowną śmierć. Chciał jej oszczędzić dalszych przykrych przeżyć. Bał się, że jakimś nieopatrzonym słowem zniweczy pozytywne zmiany, które zaszły w niej w ostatnich tygodniach.

Wspomniana łąka była polem bitwy, zakończonej masakrą wrogów klanu. Wprawdzie zdarzyło się to przed sześciuset laty, ale przykre wspomnienia wciąż wracały. Genji miał cichą nadzieję, że dziś już nikt — zwłaszcza Emily — nie przeżyje podobnej tragedii. Na szczęście nic nie musiał mówić swoim ludziom. Kiedy Emily wybrała łąkę, na ich twarzach nie drgnął żaden mięsień. Widząc, że Genji skinął głową, szybko i dyskretnie sprawdzili teren, rozstawili namiot i przygotowali wszystko do posiłku. Pamięć o zmarłych skłaniała do przejścia w inne miejsce. Genji jednak wołał pamiętać o żywych. Poza tym nie znał żadnej łąki, pagórka ani kawałka plaży w odległości dnia jazdy od zamku, na których nie toczyłyby się jakieś walki. Tu przynajmniej klan odniósł zwycięstwo.

— Wspaniałe miejsce — pochwalił Smith, kiedy czekali, aż służba zakończy swoją krzątalinę. — Dziw bierze, że nie przyjeżdżacie tutaj częściej.

— Naród księcia Genjiego to rasa wojowników — odparł Farrington. — Nie w głowie im pikniki i tym podobne rzeczy.

— Prawdę mówiąc — odezwał się Genji — mamy sporo

wolnego czasu. Przez ostatnie dwieście pięćdziesiąt lat w Japonii nie było wojny. Z drugiej strony, prawo *sankin-kotai* wymagało od wszystkich daimyo, aby część roku spędzali w Edo. Żyliśmy tam w zaniknięciu. — Z uśmiechem rozejrzał się po łące. — Dobrze czasem nacieszyć się przyrodą.

— Nie było wojny, ale trudno mówić o spokoju — zauważył Farrington.

— Niestety, to prawda — westchnął Genji. — Milion wojowników dostało od nas miecze i garść przesadzonych opowieści o historii, obowiązkach i honorze. Mieli zabijać i umierać. A potem kazaliśmy im siedzieć grzecznie i cicho. Jedno z drugim trochę się kłóci.

— Musimy mówić o zabijaniu? — Zapytała Emily.

— Nie — odpowiedział Smith. — Chodź, pomożemy służbie rozłożyć nakrycia. Niech sobie żołnierze gadają o wojnie.

Wśród samurajów panowało powszechne przekonanie, że białych łatwo rozgryźć, bo wszystkie skrywane uczucia i tak mają wyraźnie wypisane na twarzach. Podczas posiłku Genji doszedł do wniosku, że to raczej chybiony pogląd. Uważnie obserwował Farringtona i Smitha, pogrążonych w rozmowie z Emily. Zauważył, że coś ich gnębi, ale nie wiedział, o co chodzi. Tym razem to na pewno nie miało nic wspólnego z oskarżeniami o kryminalną przeszłość i zbrodnie popełniane podczas amerykańskiej wojny secesyjnej. Nie, nie... To było bardziej skryte, obecne, ale nieuchwytnie.

Tylko Emily, tak jak zwykle, zachowywała się pogodnie, nie tając swoich uczuć. Chyba już otrząsnęła się ze smutku po śmierci Hanako. Ze smutku tak, lecz nie z poczucia straty. Takiej tragedii się nie zapomina. Można ją tylko przyjąć lub odrzucić.

Jedno z najwcześniejszych wspomnień Genjiego związanych z dziadkiem dotyczyło spotkania tuż po śmierci matki. Pan Kiyori cieszył się zasłużoną sławą twardego wojownika, więc Genji też starał się być wojownikiem. Siedział prosto i powstrzymywał łzy. Uważał, że jest bardzo dzielny.

— Dlaczego nie płaczesz? — Spytał dziadek.

— Samuraje nie płaczą — odpowiedział Genji.

Dziadek zmarszczył brwi.

— Nie płaczą bandyci — rzekł. — Bohaterowie płaczą. A wiesz dlaczego?

Genji pokręcił głową.

— W sercu bandyty jest poczucie zysku. W sercu herosa jest poczucie straty.

Ku zdziwieniu młodego księcia, pan Kiyori ciężko padł na kolana i wybuchnął gwałtownym płaczem. Nawet z nosa nieprzystojnie mu ciekło. Głośny szloch wstrząsał całym jego ciałem. Genji podbiegł, żeby go pocieszyć. „Dziękuję”, powiedział dziadek. Padli sobie w ramiona i razem bezwstydnie płakali. Muszę być bohaterem, pomyślał wtedy Genji. Ronię łzy, a moje serce jest przepełnione poczuciem straty.

Od tamtej pory nie płakał tyle, co powinien. Zapewne nie należał do największych bohaterów.

Spojrzał na Emily. Miał cichą nadzieję, że jej smutek odpędzą weselsze wspomnienia.

Zauważyła, że na nią patrzy, i odpowiedziała mu lekkim uśmiechem. Genji także się uśmiechnął. W tej samej chwili, w czasie krótszym niż dziesięć uderzeń serca, rozegrał się ostatni akt tajemniczego dramatu między Smithem i Farringtonem.

Zaczął Farrington. Zerknął na Genjiego i na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz, jakby gniewu i roztargnienia. Oczy błyszczały jawną niechęcią.

Smith spostrzegł to, zmarszczył brwi z nagłym zdumieniem i lekko wykrzywił usta.

Farrington oderwał oczy od księcia i przeniósł wzrok na Emily. Patrzył na nią z nieukrywanym smutkiem.

Smith ciągle się na niego gapił. Farrington podchwycił jego spojrzenie i zrobił coś nieoczekiwanego. Spuścił głowę i poczerwieniał.

W tym momencie Smith doznał nagłego i niespodziewanego objawienia. Wybałuszył oczy i bezwiednie otworzył usta.

— Ty... — warknął i zaraz umilkł, bo nie potrafił lub nie chciał powiedzieć nic więcej. Zerwał się z miejsca i doskoczył do Farringtona z wyraźnie groźnym zamiarem.

Dwaj gwardziści obezwładnili go, zanim zdołał cokolwiek zrobić. Genji nie wiedział, czy Smith chciał sięgnąć po rewol-

wer, czy po prostu uderzyć rywala. W każdym razie Farrington nie zamierzał się bronić.

— Puśćcie mnie — wydyszał Smith.

— Najpierw musi mi pan obiecać, że zachowa się pan spokojnie — powiedział Genji.

— Obiecuję.

Smith przeprosił Emily i Genjiego, ale powstrzymał się od wyjaśnień. Na Farringtona w ogóle nie zwracał uwagi. Ten zaś próbował podtrzymać rozmowę z Emily, ale ona była zbyt wstrząśnięta tym, co się przed chwilą stało, i jej dobry nastrój gdzieś się ulotnił. Piknik definitywnie dobiegł końca.

Co się stało? Genji nie miał pojęcia. Okazało się, że pozornie czytelne intencje cudzoziemców były... właśnie, tylko pozorem.

Smith podniósł się pierwszy, krótko skinął głową i pomaszzerował do swojego konia stojącego po drugiej stronie łąki. W połowie drogi zaczepił o coś nogą. Rozległo się głośnie chrupnięcie. Dwaj służący z przerażeniem spojrzeli na Genjiego i uklonili się pospiesznie, jakby poczuli się winni. Smith, wciąż pod wrażeniem ostatnich wydarzeń, na nic nie zwracał uwagi.

W miejscu, w którym się potknął, Genji zauważył prawy oczodół i część kości policzkowej. Wśród pobielających szczątków, pokruszonych twardym amerykańskim butem, leżał fragment czaszki.

* * *

Od tamtej pory Smith unikał Farringtona. Nie było to specjalnie trudne, ponieważ porucznik zachowywał się w identyczny sposób. Smith był bardzo zakłopotany. Wiele by dał, byle tylko nie znać myśli Farringtona. Jeszcze bardziej żałował, że się na niego rzucił. Nie w tym rzecz, że go poniosło, co nie licowało z postawą dżentelmena, ale w tym, że Farrington nie próbował się bronić. Tylko ktoś, kto naprawdę wstydzi się swoich myśli, mógł postąpić w taki sposób.

Smith już wszystko rozumiał.

Farrington był przekonany, że wierny wasal księcia chciał zabić Emily z rozkazu Genjiego. Dlaczego? Bo stan dziewczyny, jeszcze niewidoczny, niebawem mógł wywołać spore zamieszanie. Genji próbował uniknąć dalszych zobowiązań.

Ów stan był wynikiem — jakże by inaczej? — niemoralnej i wstrętnej intymnej zażyłości. Nieważne, czy Emily na to przystała, czy uległa Genjiemu zmuszona siłą lub podstępem. Wbrew zamiarom księcia pan Saemon niechcący ocalił jej życie. Ale tylko chwilowo. Śmierć czyhała nadal. Dlatego Farrington kręcił się przy Emily... Już nie chciał jej za żonę, ale jako oficer i dżentelmen czuł się w obowiązku chronić ją przed kolejnym zamachem ze strony gospodarza.

Tak rozumował Farrington.

To było bolesne i niesamowite. Gdyby Smith trochę wcześniej, przed swoim odkryciem, usłyszał choćby słowo o tych podejrzeniach, głośno by się roześmiał. Emily miała szczerość wypisaną na twarzy. Nie potrafiłaby tak długo udawać niewiniątka. Jej cechy charakteru, nawet bardziej niż wiara, wystarczyły za cały zbiór zasad moralnych. A Genji? No cóż... Farrington na pewno widział w nim lubieżnika, który kierował się nieposkromioną żądzą. Takie zwyczaje — jeśli w ogóle istniały — mogły panować w Zakazanym Mieście cesarza z dynastii mandżurskiej lub w seraju tureckiego sułtana, ale nie tutaj, w kraju wojowników.

Pomyłka Farringtona nie miała żadnego wpływu na uczucia, jakie Smith żywił do Emily. Ale to sprawiło, że nagle ujrzał siebie w nieco innym świetle — i zobaczył coś, co go przeraziło bardziej niż absurdałne podejrzenia porucznika. Dostrzegł prawdę, czy zbyt łatwo ulegał złudzeniom?

* * *

Smith znalazł Emily w pokoju przylegającym do rozarium. Ściana była otwarta, więc do wnętrza wpadał chłodny powiew wiatru i nic nie mąciło widoku pięknych kwiatów. Emily rozłożyła przed sobą kilka starych zwojów. Nie czytała ich ani nie patrzyła na róże. Zamyślona spoglądała na wysoką wieżę po drugiej stronie ogrodu.

— Widzę, że jesteś tutaj, ale myślami przebywasz tam, wśród nieboszczyków — powiedział Smith. — Na pewno nie chcesz zostać pustelniczką?

— Kto wie, czy kiedyś tego nie zrobię? Jeśli tak dalej pójdzie...

- Co to znaczy?
- Robert wrócił do Edo.
- Na pewno dostał list od ambasadora.
- Tak mi powiedział.
- A jaki mógłby być inny powód? Jest ci oddany nie mniej niż ja.
- Naprawdę tak myślisz?
- Siedział tutaj przez trzy tygodnie, pilnując, żebyś wydobrzała. Ma jednak swoje obowiązki.
- Nie wyczuwałam w nim żadnego ciepła. Miałam wrażenie, że mnie obserwuje. Przez cały czas mi się przyglądał.
- U pewnych ludzi wyobraźnia zbyt miesza się z rzeczywistością. Zwłaszcza gdy chcą być sprawiedliwi.
- Chyba nie powiesz, że zmuszałam go do takiego zachowania? Poza tym Robert nie jest sprawiedliwy. To, że ktoś szybko feruje wyroki, wcale nie czyni go sprawiedliwym.
- Spieszył się tylko przez wzgląd na ciebie. — Smith się uśmiechnął. — Zauważyłaś, że od kilku minut próbuję usprawiedliwiać porucznika Farringtona? Ironia losu...
- O właśnie. Zwłaszcza tym, jak próbowałeś go pobić przed dwoma dniami.
- Bardzo mi przykro. Jeszcze raz przepraszam.
- Nie chodzi tylko o to, Charlesie. Tamtego dnia coś między wami zaszło. Ciebie poniosła złość, a on się zmieszał. Co to było?
- Smith ostrożnie dobierał słowa.
- W pewnym momencie dotarły do mnie jego myśli.
- Tyle to i ja wiem.
- Nie chciałbym rozwijać tej kwestii. To nie uchodzi wobec damy.
- Emily zmarszczyła brwi.
- Nagle pomyślałeś to samo co Robert... Podejrzewam, że było to związane ze mną. Poderwałeś się, żeby go uderzyć, a teraz nie chcesz o tym mówić? Wybacz, ale taka odpowiedź mi nie wystarcza.
- Nic na to nie poradzę, Emily — odrzekł Smith, kłaniając się.
- Ale to godzi w moje uczucia.

— Sprawa przestanie mieć znaczenie, kiedy będziesz zaręczona. Po co więc mówić o niej teraz?

— Kiedy będę zaręczona... Wybacz, że zwodzę was tak długo, ale to nie ma nic wspólnego ani z Robertem, ani z tobą. Powodem są moje wady.

— Nie nazwałbym miłości wadą — odparł Smith.

Emily zaczerwieniła się po same uszy. Smith od razu wiedział, że jego domysły są celne. Zdradziła ją wrodzona szczerłość. Bezskutecznie usiłowała ukryć prawdę.

— Byłoby prościej, gdybym naprawdę pokochała ciebie lub Roberta — westchnęła. — Obu was bardzo szanuję, lecz kłopot tkwi gdzie indziej. Nie potrafię podjąć decyzji. To dla mnie za trudne.

— Owszem, trudne — przyznał Smith. — Ale decyzja już dawno zapadła. Jesteś zakochana. — Teraz, gdy to powiedział, poczuł nagły przypływ współczucia dla tej dziewczyny. Droga, którą wybrała, była najeżona setkami niebezpieczeństw, których ona sama nie potrafiła sobie nawet wyobrazić. Zamach Taro — przynajmniej pod tym względem Farrington miał rację — był tylko pierwszym z wielu. — Powinnaś pójść za głosem serca. Cóż innego ci pozostało? Pytanie tylko, czy on odwzajemnia twoje uczucia? Jeśli nie, to zamiast szczęścia miłość przyniesie ci jedynie zgryzotę. Może zatem poprzestać na cichym uwielbieniu?

— Chyba mówimy o dwóch różnych sprawach — bąknęła Emily.

— Kochasz księcia Genjiego — stwierdził Smith. Dobrze, że siedziała, bo chyba by upadła.

— Boże, pomóż... — jęknęła. — Tak bardzo to widać?

— Nie. Nic o tym nie wiedziałem aż do teraz. Myślę, że inni też nie wiedzą.

— Nawet Robert?

— On podejrzewał coś innego.

Na szczęście Emily nie dopytywała się o nic więcej. Schyliła głowę i ukryła twarz w dłoniach.

— Co mam robić? — Spytała po pewnym czasie.

— Bądź cierpliwa. Po naszym wyjeździe księżę zrozumie, co się stało. Co prawda nie wiem, jak zareaguje, ale na pewno poznasz jego odpowiedź.

Emily miała oczy pełne łez, lecz uśmiechnęła się do Smitha.

— Dziękuję, Charlesie. Jesteś bardzo dobrym i szczerym przyjacielem.

Smith skłonił się.

— Jeśli twoje nadzieje okażą się płonne, zawsze możesz mnie odszukać. Z chęcią wezmę na siebie rolę kogoś więcej niż przyjaciela. Będę w Japonii jeszcze przez miesiąc, żeby zakończyć pewne interesy. Odwiedzę cię, zanim wyjadę.

— Nie zasługuję na tyle troski.

— Nic na to nie poradzisz. — Uśmiechnął się. — Ale bądź ostrożna. Twoja znajomość z księciem już stała się powodem wielu złośliwych plotek w kręgach cudzoziemców. Słyszałem rzeczy, które podważają twoją dobrą reputację.

— Napisane jest: *Nie możemy niczego dokonać przeciwko prawdzie, lecz dla prawdy**. Temu ufam.

— Amen. Ale inny werset wspomina: *jad żmijowy pod ich wargami***.

— Amen — odparła Emily. — Nie zrobiłam nic złego. Księżę Genji też nie.

— Nigdy o was w ten sposób nie myślałem — zapewnił Smith. W odróżnieniu od Farringtona, pomyślał — lecz zachował to dla siebie.

* * *

— Najpierw porucznik Farrington — powiedział Genji — a teraz pan, panie Smith. Szkoda. Myślałem, że znajdziemy jakieś rozwiązanie. Mam nadzieję, że nie stało się nic złego. Pan porucznik wydawał mi się trochę bardziej markotny niż zazwyczaj.

— Wpadł w pułapkę błędnych przekonań — odparł Smith. — Z czasem mu przejdzie.

— Błędnych?

— Błędne przekonania prowadzą na ogół do błędnych wniosków.

* Drugi List do Koryntian 13,8. **
List do Rzymian 3,13.

— To wiem — powiedział Genji. — Ale nie rozumiem kontekstu.

— Naprawdę? Przecież niezwykle piękna młoda dama w wieku stosownym do zamążpójścia, panna Gibson, od kilku lat mieszka pod pańskim dachem, bez towarzystwa przyzwoitki, kuzynki albo przyjaciółki. Chyba nietrudno dojść do wspomnianych wyżej błędnych wniosków.

— Przez ten czas Emily była pod troskliwą opieką — zapewnił Genji. — Miała też dość czasu dla siebie. Zarówno tutaj, jak i w pałacu w Edo, jej pokoje są daleko od moich. Bardzo daleko. Są dni i tygodnie, kiedy w ogóle się nie widujemy. Z tego, co mi wiadomo, całkiem podobne obyczaje panują także w innych krajach, i to w najbardziej szanowanych domach.

— Rzecz w tym, że nie było przy niej nikogo z jej rodaków — zauważył Smith. — Jedyne pańska służba i wasale. Każdy, kto trafił do Japonii na dłużej niż godzinę, dobrze wie, że rozkaz samuraja jest tutaj najwyższym prawem. To zaś oznacza, że Emily pozostawała bez ochrony. W domach, o których pan wspominał — zwłaszcza w Anglii — goście bywają ze swoimi służącymi i pod opieką przyzwoitek.

Genji pokiwał głową.

— Głupiec ze mnie. Powinienem spytać o radę kogoś innego niż Emily. Jej niewinność sprawia, że na pewne rzeczy nie potrafi spojrzeć oczami obcych ludzi. Domyślam się, że porucznik Farrington oskarża mnie o jakieś nieczne czyny.

— Mówiąc wprost, tak.

— A pan?

Smith się uśmiechnął.

— Porucznik Farrington ma brzydki zwyczaj tłumienia swoich myśli i emocji, jakby to byli buntownicy. Nie uznaje ich, lecz chętnie widzi je u innych. Ja jestem inny, książę. A poza tym, gdyby chciał pan coś zrobić, zrobiłby pan to otwarcie, bez względu na konsekwencje. Przecież taka jest „droga samuraja”, prawda?

— Taką lubimy ją postrzegać i przedstawiać na zewnątrz — odparł Genji. — W rzeczywistości nieustannie martwimy się o konsekwencje. Nieraz tak bardzo, że zniechęcamy się do

wszelkich działań. Kiedy ktoś milczy, nikt z nas nie wierzy, że nie ma nic do powiedzenia. Doszukujemy się ukrytych znaczeń, które istnieją tylko w naszych głowach. Przykro powiedzieć, ale najczęściej wymigujemy się od podejmowania decyzji.

— Zatem pozwoli pan, że go uwolnię choćby od części tego balastu i będę mówił zupełnie jasno i zdecydowanie — zaczął Smith. — Wrócę tutaj pod koniec przyszłego miesiąca, przed wyjazdem do domu. Jeśli Emily nadal będzie wolna, ponowię oświadczyzny. Mam nadzieję, że za drugim razem zdobędę jej rękę. Ona jednak liczy na coś innego. Bez względu na to, co się stanie, chcę, żeby była szczęśliwa.

— „Ona liczy na coś innego”. Czy to znaczy, że bardziej lubi porucznika Farringtona?

— Oczywiście, że nie. A jej uczucia wykraczają poza ramy zwykłej przyjaźni. Jest zakochana. Sądzę, że od dłuższego czasu. Podejrzewam, że pan doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Smith czekał na reakcję Genjiego. Czego naprawdę się spodziewał? Złości? Zaskoczenia? Pogardy? Śmiechu? Być może trochę się zagalopował.

Genji zachował niezmacony spokój. Wciąż się uśmiechał, tak jak zwykle, i mówił tym samym tonem.

— Zawsze zastanawiałem się, czy jej uczucia są równie czytelne dla Amerykanów, jak dla Japończyków — powiedział. — Chyba nie, bo w przeciwnym razie żaden z was nie zapędziłby się tak daleko. Czasami z zewnątrz więcej widać niż ze środka. Mogę spytać, co pana skłoniło do takich wniosków?

— Czysty przypadek, proszę pana. — Smith odetchnął z ulgą, słysząc wyważoną odpowiedź Genjiego. — Trochę obserwacji, kilka słów, fragmenty zdarzeń... Nagle, w ułamku sekundy, wszystko złożyło się w logiczną całość. Niech pan pamięta, że wśród cudzoziemców dużo się mówi o Emily. Nie są to zbyt chwalebne rzeczy. Przeciwnie, huczy od wstrętnych plotek.

— Panna Gibson jest pruderyjna i bardzo dobrze wychowana.

— Ale jest także bardzo piękna.

— Tak mi mówiono.
— Jak to: mówiono?! Zatem pan tego nie dostrzega?
— Po prawdzie, nie. Widzi pan, nasze ideały piękna są tak odległe, że uroda może wydawać się brzydota.
Teraz Smith spojrział na niego zaskoczony.
— Zatem Emily jest dla pana brzydka?
— „Brzydka” to chyba zbyt mocne słowo. Powiedzmy raczej... nieatrakcyjna.
Smith westchnął głośno, jakby na chwilę wstrzymał oddech.
— To dla mnie wielka ulga, książę. Gdyby pan odwzajemniał jej uczucia, to podejrzewam, że w krótkim czasie sytuacja stałaby się nie do zniesienia. Niech pan pomyśli o niebezpieczeństwach. Obie nacje z dużą rezerwą odnoszą się do mieszanych związków. Poza tym pan musi mieć następcę, a Emily nigdy nie pogodzi się z rolą konkubiny. Dla niej to niemal prostytutka.
— Chciał pan ponowić swoje oświadczenia.
— I tak też zrobię, kiedy wrócę.
— Po co z tym zwlekać? Proszę iść do niej.
— Zakochanej kobiecie potrzeba nieco czasu, zanim odda serce innemu. Lepiej uzbroić się w cierpliwość. Proszę powtórzyć jej naszą rozmowę. Tylko przypadkiem niech się pan nie zdradzi, że wie o jej uczuciach. Wystarczy, że pan szczerze poprze moje starania o jej rękę. To na pewno odniesie skutek. Będzie miała miesiąc, żeby przygotować się do mojego powrotu.
— Dziękuję panu, panie Smith, za mądrą radę.
Smith wyszedł. Genji został sam. Owszem, może pójść za jego radą i porozmawiać z Emily. Wprawdzie nie obyłoby się bez drobnego kłamstwa, ale rym akurat zupełnie się nie przejmował, bo potrafił kłamać dużo lepiej od niej. Od lat ukrywał przed wszystkimi swoje prawdziwe uczucia. Spokojnie może wytrzymać jeszcze miesiąc. Znał jednak lepszy sposób od rozmowy. O wiele bardziej przekonujący. Jak mawiają cudzoziemcy: Czyny mówią więcej niż słowa.

* * *

W całym zamku panowało ogromne podniecenie. Książę nareszcie podjął odpowiednie kroki, by zachować ciągłość rodu.

— Słyszałaś? — pytała jedna pokojówka drugą, niosącą tacę do komnaty księcia.
— Oczywiście! Wszyscy już o tym wiedzą.
— Kogo wybierze?
— Podobno jeszcze się nie zdecydował.
— Damę dworu — wtrąciła trzecia, nadchodzącą z przeciwnej strony.
— Cesarza czy shoguna?
— Obu!
— Polityka i seks — westchnęła pierwsza.
Druga z powagą pokiwała głową.
— Zawsze jest tak samo.
— Ale nie dla nas — powiedziała pierwsza i obie za chichotały. Roześmiałyby się dużo głośniej, gdyby nie były tak blisko komnat, w których przebywali dostojni panowie.

* * *

Tydzień po wyjeździe Charlesa Smitha na zamek przybyły dwie damy z koneksjami na dworze shoguna w Edo. Emily nie została zaproszona na ceremonię powitania. Od swojej pokojówki imieniem Masami dowiedziała się, że jedna z dam jest kuzynką wiernego sprzymierzeńca księcia, pana Hiromitsu z Yamanaki. Druga okazała się daleko spokrewniona z panem Saemonem.

— Na razie pozostaną tutaj jako konkubiny — paplała Masami. — Może później nasz pan którąś z nich weźmie za żonę. Zwłaszcza tę, która powije mu syna. Ale ten zaszczyt jest raczej zarezerwowany dla jeszcze wyżej urodzonej damy, z najlepszymi koneksjami. Żona na pewno adoptuje dziecko konkubiny. Moim zdaniem kimkolwiek będzie, przyjdzie z błogosławieństwem od cesarza. Cesarz wyraźnie pnie się w górę, a shogun traci na znaczeniu.

Masami gadała jak najęta. Emily uśmiechała się i w milczeniu kiwała głową. Uważny obserwator na pewno by zobaczył, że jej oczy połyskują jakimś dziwnym blaskiem. Ale oczywiście nikt tego nie zauważył.

Genji wiedział, że musi pomówić z Emilią, jednak nie palił się do tego. Spodziewał się potoku łez i milczących oskarżeń. Milczących, bo przecież nie mogła powiedzieć niczego głośno. Zresztą, o czym tu mówić? Przecież na dobrą sprawę nie zna jego uczuć i nie wie o rozmowie ze Smithem. Jak dotąd nic nie wyszło na jaw. Ale z drugiej strony, była to prawdziwa, koszmarna tortura. Genji znał tylko jeden sposób, aby pocieszyć Emilię — zawsze mógł otwarcie przyznać się, że ją kocha. Nie chciał jednak tego zrobić. Dla jej dobra. Gdyby powiedział prawdę, zostałaby w Japonii, a gdyby została, wkrótce by umarła. Nie chciał jej śmierci, wołał więc ją odejść.

Życie jest o wiele ważniejsze niż miłość.

* * *

Miesiąc minął szybko. Genji obiecywał sobie, że porozmawia z Emilią, ale wciąż tego nie zrobił. Powinien ją zaprosić na małą uroczystość, związaną z przyjazdem pani Fusae i pani Chiyo. W ten sposób dałby jej wyraźnie do zrozumienia, że wszystko się zmieniło. Ale nie mógł się na to zdobyć. To byłoby zbyt okrutne. Nie chciał jej krzywdzić jeszcze bardziej. Może już nie potrzeba więcej słów? — Pomyślał. Wolał unikać jej do powrotu Charlesa Smitha. Przecież to już niedługo... Smith znowu się oświadczy i tym razem na pewno zostanie przyjęty. Genji z cierpkim rozbawieniem wrócił myślami do ich ostatniej rozmowy. Był przykładem samuraja, który w trudnych chwilach nie umie podjąć decyzji.

Jak zwykle w takich razach wybrał się na samotną przejażdżkę do Doliny Jabłek. Widok drzew, zasadzonych przed laty przez matkę, działał na niego kojąco. Tam przynajmniej znajdował ciszę i błogi spokój, jeśli nie odpowiedzi na swoje pytania. Hide wydał ścisłe rozkazy, by księżę nie poruszał się bez ochrony nawet na własnych włościach i widziany z murów zamku. Za dużo zabójstw było ostatnio, powiedział, żeby ktośkolwiek mógł czuć się bezpieczny. Genji na próżno przypominał mu, że przecież widział scenę swojej śmierci. Wiedział, kiedy i gdzie zginie — i to nie było tutaj ani teraz. Hide pozostał niewzruszony. Kto wie, spytał, co się stanie, jeśli

stracimy czujność? Wizje na pewno nie mówią wszystkiego. Pod tym względem Genji musiał przyznać mu rację.

Zręcznie uciekał swoim ludziom w poszukiwaniu chwili samotności. Wiedział, że w końcu go znajdą, ale przez pewien czas miał spokój. Żeby było im trudniej, porzucił drogę wiodącą z zamku i wjechał do doliny wąską ścieżką wijącą się wśród pagórków.

Na widok drzew jak zwykle pomyślał o matce. Kłopot w tym, że z roku na rok jej obraz coraz bardziej zacierał się w jego pamięci. Luki wypełniała wyobraźnia. Matka zmarła w połoгу, kiedy miał niecałe cztery lata. Od tamtej pory minęło dwadzieścia siedem. To bardzo długo, jeśli ktoś tęskni za kimś, kogo właściwie nie pamięta.

W koronie drzewa rozległ się jakiś szelest. Genji natychmiast zaciął konia i pomyślał o ostrzeżeniach Hide. Wszędzie czają się zabójcy... Dobył miecza i spojrzał w górę, w oczekiwaniu, że zobaczy jakąś złowrogą postać lub nadlatującą strzałę. Czekał na huk strzelby. Nic nie zobaczył... z wyjątkiem skrawka kraciastej bawełny.

Ściągnął wodze, zawrócił konia i podjechał pod drzewo.

Emily popatrzyła na niego z góry.

— Gdybym się nie zachwiała, nie wiedziałbyś, że tu jestem! — Krzyknęła.

Na dobrą sprawę mogłaby się zabić, spadając z takiej wysokości. Genji wiedział, że jej religia nie dopuszcza samobójstwa. Ale wypadek to co innego... Emily stała chwiejnie na dwóch cienkich gałęziach, niemal na czubku drzewa. Jedną ręką trzymała się pnia — który w tym miejscu był już nie grubszy od łodygi — a drugą, jak przystało na prawdziwą damę, skromnie zgarnęła suknię. O ile damy w ogóle wspinają się na drzewa...

— Co ty wyprawiasz?

— Chodzę po drzewach. Świetny dzień na takie rzeczy.

— Złaż na dół.

Roześmiała się.

— Nie. To ty wejdź na górę.

Genji popatrzył na nią uważnie. Wyglądała na zadowoloną. Uśmiechała się, a błysk w jej oczach świadczył raczej o zdrowiu niż rozpacz.

— Myślę, że będzie lepiej, jak zejdziesz.
Ze śmiechem pokręciła głową.
— Nie dogadamy się. Lepiej niech każde z nas pozostanie przy swoim zdaniu i nie wtrąca się w sprawy drugiego.
— Taka postawa wiedzie do anarchii. Przystąpmy do negocjacji. Wejdę tam pod warunkiem, że zejdziemy razem.
— Ale musisz dotrzeć aż tutaj.
— To byłoby niemądre. Gałęzie uginają się nawet pod tobą. Nie wytrzymają mojego ciężaru.
— W takim razie zostań na ziemi, a ja zostanę tutaj.
Genji nie miał wyboru. Nie mógł się na to zgodzić. Prosto z siodła podciągnął się na najniższą gałąź i szybko wspiął się na górę. Przystanął tuż poniżej dziewczyny.
— Przecież widzisz, że gałąź trzaśnie, jeśli wejdę jeszcze wyżej.
— Bardzo możliwe — odpowiedziała Emily.
— Nie „możliwe”, tylko na pewno.
— No, dobrze... Uznam, że spełniłeś swoją misję, jeżeli odpowiesz mi na jedno pytanie.
Więc o to chodzi... Teraz, gdy są już na czubku drzewa, może spokojnie wpaść w histerię. Jak ma ją złapać, żeby nie spaść? To niemożliwe. Najwyżej mógłby ją pochwycić i pokierować dalszym upadkiem. Z dwudziestu stóp? To wymagało dużej biegłości w sztukach walki, której zapewne nie posiada. Ach, te kobiety... Dlaczego wszystko tak niepotrzebnie utrudniają? Pod pewnym względem nie ma między nimi różnic kulturowych.
— Spytasz, gdy już będziemy na dole — zaproponował, choć z góry znał odpowiedź.
— Nie — ucięła.
Nie może jej zmusić, żeby zesła.
— A zatem słucham — westchnął, bo nic innego mu nie pozostało. — Co to za pytanie?
— Napisałeś bardzo dobry słownik angielsko-japoński — zaczęła. — Z jednym wyjątkiem. Brak w nim szerszego opisu słowa „miłość”. Dlaczego?
Chyba spodziewał się czegoś innego, lecz dobrze wiedział, co się za tym kryje.

— Przecież wszyscy znają znaczenie tego słowa. Wystarczy prosty przykład. Definicja jest zupełnie niepotrzebna. Schodzimy.

— Taka odpowiedź mi nie wystarczy. Powiedziałaś, że wszyscy znają definicję. Ty też? No to czym jest miłość?

— Tak nie wolno. Miało być tylko jedno pytanie. Usłyszałaś odpowiedź, więc złaż.

— Mówisz jak kupiec, a nie samuraj — mruknęła, ale posłusznie zesła z drzewa. — Chyba nic nie wiesz o miłości, księżę — dodała, kiedy znaleźli się na ziemi.

— Oczywiście, że wiem... ale nie muszę o tym pisać w żadnym słowniku.

Emiły zrobiła taką minę, jakby miała ochotę się roześmiać.

— Tak mówią tylko ci, którzy nie wiedzą.

Zamek Białych Kamieni, Shiroishi, 1830

Pan Kiyori cieszył się ze spotkania z dawnym przyjacielem, panem Nao, ale z niechęcią myślał o powodach, które skłoniły go do podróży tak daleko na północ.

— Co cię tak martwi? — Spytał pan Nao. — Przecież chcesz, żeby moja córka poślubiła twojego najstarszego syna. Nasze rody zostaną połączone. To wspaniale! Emi, zabierz herbatę i przynieś sake.

— Zaczekaj — przerwał mu Kiyori. — Nie powiedziałem jeszcze wszystkiego.

— O czym tu dłużej gadać?! — Wykrzyknął Nao. — Moja córka zostanie żoną przyszłego daimyo Akaoki. Mój wnuk — oby niebiosy zesłały go jak najprędzej — odziedziczy tytuł księcia. Emi! Gdzie ta sake?

— Emi już po nią poszła, panie — odpowiedziała druga służąca.

— Nie siedź tak tutaj. Idź jej pomóż.

— Posłuchaj, Nao — z ponurą miną odezwał się Kiyori. — Owszem, w imieniu Yorimasy poprosiłem cię o rękę twojej córki, ale jako przyjaciel radzę ci, żebyś odmówił.

— Co takiego? Przecież to nonsens. Najpierw mnie prosisz, a potem radzisz, żeby się wycofać?

— Miałem wizję — oznajmił Kiyori.

— Och — westchnął Nao i usiadł. Znali się od ponad trzydziestu lat. Kiyori nieraz opowiadał mu o swoich wizjach. Wszystkie się sprawdziły. Niektórzy powątpiewali w proroczy zdolności książąt Akaoki. Ale nie Nao.

— Z tego związku zrodzi się syn — ciągnął Kiyori. — Jedyny potomek obu naszych klanów, który przeżyje nadchodzące zmiany. Twoja córka nigdy nie dojdzie do siebie po pierwszym porodzie. Umrze w połogu przy następnym dziecku.

Nao spuścił wzrok. Wziął kilka głębokich oddechów, ale wciąż nic nie mówił i nie unióś głowy.

— Można to zmienić — odezwał się Kiyori. — Cofnij swoją zgodę i niech ktoś inny boryka się z tym wszystkim.

— Mówisz poważnie? Przecież to była wizja.

— Domniemany obraz przyszłości — wyjaśnił Kiyori. — Czyli nic pewnego.

— Pamiętasz, żeby któraś z twoich wizji kiedyś się nie sprawdziła?

— Nie.

— W takim razie dlaczego ta ma być inna?

— W przeszłości zawsze postępowałem zgodnie z przeznaczeniem. A jeśli teraz tego nie zrobię? Przecież to nie wizja, tylko nasze czyny tworzą przyszłość.

— Jesteś tego pewny?

— Nie — przyznał Kiyori. — W tym właśnie cały kłopot. Jeśli nastąpią jakieś zmiany, nic już nie będzie pewne. Nawet śmierć, którą widziałem.

Nao pokręcił głową.

— A więc nikt z nas nie będzie wiedział, co naprawdę stanie się z naszym wnukiem... Musimy go ratować. Najważniejsza jest ciągłość klanu. Dużo ważniejsza od czyjegoś życia. Przecież przed chwilą sam mówiłeś, że to w nim zbiega się przyszłość obu naszych rodzin.

— Nakłonisz córkę, by wyszła za męża, wiedząc, że to stanie się przyczyną jej przedwczesnej śmierci?

— Wszyscy umrzemy — stwierdził Nao. — Taki nasz los. Jeśli w ten sposób zachowamy ciągłość obu rodów, to jej ofiara

nie pójdzie na marne. Umrze jak prawdziwa córka samuraja. Żadne z nas — ani ja, ani ona — nie będzie tego żałowało. Kiyori skinął głową.

— Dobrze wiedziałem, że tak powiesz.

— Więc skąd się wzięły twoje obiekcje? — Roześmiał się Nao.

— Panie! — Rozległ się głos służącej. Dziewczęta przyniosły sake. Nao wziął czarkę. Za jego namową Kiyori zrobił to samo, chociaż z ociąganiem.

— Bo to był tylko jeden powód mojej prośby.

— Zdziwiający. Jest więc inny?

— Owszem... i w połączeniu z pierwszym moje ostrzeżenie nabiera wagi.

Nao czekał, co będzie dalej, ale Kiyori nagle zamilkł. Długo siedział z ponurą miną, coraz bardziej posepniejąc. Nao wychylił swoją czarkę sake i wciąż czekał. Kiyori musi mieć swoje powody, żeby milczeć.

— Mój syn, Yorimasa, jest nic niewart — powiedział wreszcie, kiedy Nao już stracił nadzieję, że dowie się czegoś więcej. — To pijak, łajdak i rozpustnik.

— Małżeństwo na pewno go zmieni, tak jak wszystkich.

— Być może źle się wyraziłem — podjął Kiyori — kiedy nazwałem go pijakiem, łajdakiem i rozpustnikiem. Jest gorszy. Dużo gorszy. Już dawno powinienem zmusić go do samobójstwa. Chyba nie jestem dobrym ojcem, skoro dotychczas tego nie zrobiłem.

— Co się stało?

— Wiele rzeczy, o których nawet nie chcę myśleć, a co dopiero opowiadać... — westchnął Kiyori.

* * *

Yorimasa od dawna czekał na dwie rzeczy. Na to, że przejmie władzę w lennie Akaoka i na swoją pierwszą wizję. Pierwsze należało mu się niejako z urodzenia, ponieważ był najstarszym synem pana Kiyoriego. Drugie, ponieważ wierzył, że jest kimś szczególnym. Od najmłodszych lat żył z tą myślą, mimo powtarzających się ostrzeżeń ojca, że w życiu nie ma niczego pewnego i że nie każdy może być prorokiem. Yorimasa upierał

się przy swoim. Mówił: „Tak, ojcze”, lecz w głębi duszy myślał co innego.

Najbliżsi krewni i znajomi podzielali jego przekonania. Zresztą nie mogło być inaczej, skoro był pierwszym wnukiem obu stron znakomitego rodu. Wszyscy patrzyli w niego jak w obrazek. Początkowo zdawało się, że spełnia pokładane w nim nadzieje. Był energicznym i wesołym dzieckiem. Zanim skończył pierwszy rok życia, mówił pełnymi zdaniami. W wieku lat trzech znakomicie pisał. Jako pięciolatek z dużą zręcznością wymachiwał miniaturowym mieczem, dobrze strzelał z łuku i bez najmniejszego strachu jeździł na kucyku. Służba go rozpieszczała. Był bardzo ładnym chłopcem, więc zwracał powszechną uwagę.

Po narodzinach jego brata, Shigeru, właściwie nic się nie zmieniło. Malec okazał się nieśmiały, cichy i niestety, brzydzy od Yorimasy. Każdemu, kto sięgał pamięcią wstecz, wydawało się, że wszystko, co robi Shigeru, starszy brat robił dużo wcześniej, lepiej i dokładniej. Shigeru górował nad nim tylko krzepą. Był bardzo silny, ale siła u ludzi nie jest w takiej cenie jak na przykład u byków. Tak czy siak, zgodnie z odwiecznym prawem dziedziczenia, młodszy syn zawsze stał na drugim miejscu, w cieniu starszego. Starszy zaś wciąż zbierał pochwały. Krewni, wasale i cała służba nieustannie powtarzali, że to prawdziwe szczęście mieć takiego panicza. Przyszłość klanu leżała w dobrych rękach, zwłaszcza że według wszystkich znaków na niebie i ziemi to właśnie Yorimasa miał odziedziczyć dar jasnowidzenia.

Każdy młodzieniec, tak hojnie obdarzony przez los, mógł liczyć na szerokie grono zwolenników. Yorimasa nie był wyjątkiem. W dodatku żył w burzliwych czasach — Japonią wciąż wstrząsały niepokoje, morzem rządili cudzoziemcy, w Azji padały kolejne rządy — nic więc dziwnego, że młodzi ludzie z dobrych rodzin garnęli się do tego, kto lada chwila miał zostać prorokiem. Yorimasa stał się przykładem wszelkich rycerskich cnót samuraja. W tej sytuacji, jak mógł poważnie traktować przestrogi ojca?

Ale czekało go rozczarowanie — tym większe, że niespodziewane.

Było to w przeddzień jego dwudziestych pierwszych urodzin.
— Nie przejmiesz po mnie schedy i tytułu — oznajmił ojciec.
Zaskoczony Yorimasa zdołał tylko wykrztusić:
— Dlaczego?
— To nie ma nic do rzeczy.
— Jestem twoim najstarszym synem. Nie ulegnę młodszemu bratu.
— Shigeru też nie będzie księciem.
Yorimasa roześmiał się gorzko.
— Skoro odrzucasz mnie i mojego brata, to na pewno myślisz o nowym potomku. Już go spłodziłeś?
— Nie wygłupiaj się. Mówię poważnie. Z szacunkiem przyjmij moje słowa.
— To przepowiednia?
— Myśl sobie, co chcesz... albo wcale nie myśl — uciął ojciec. — To i tak niczego nie zmieni.
— Kto zatem przejmie nasze lenno?
— Ten, który jeszcze się nie narodził.
— Chcesz wziąć sobie nową żonę albo konkubinę? — Spytał Yorimasa. Jego początkowe zaskoczenie ustępowało z wolna narastającemu gniewowi. Jakaś spryciara zawróciła mu w głowie... — pomyślał. Stary głupiec zakochał się bez pamięci i obiecał, że jej syn będzie dziedzicem. Ciekawe, co to za jedna? — Skąd pewność, że spłodzisz syna? Nie jesteś już tak młody, ojcze.
Ojciec patrzył na niego z dziwną, jakby przesadnie poważną miną. Czyżby chciał ukryć głębsze uczucia? Ale jakie? Tego Yorimasa niestety nie wiedział.
— Decyzja zapadła — rzekł Kiyori. — Nie będziemy o tym rozmawiali.
Owszem, rozmowa dobiegła końca, lecz Yorimasa postanowił działać. Najpierw chciał poznać imię tej kobiety i miejsce, w którym ukrył ją Kiyori. Mają już dziecko? Jeżeli tak, to musi zginąć razem z matką. Tu nie chodziło o przepowiednię. Ojciec, gdy wspomniał o decyzji, mówił w czasie przeszłym. Więc to nie wizja... Przyszłość wciąż stoi przed nim otworem. Yorimasa nie zamierzał siedzieć beczynnie, gdy będą odbierać mu dziedzictwo.

Początkowo wyteżone śledztwo zakończyło się fiaskiem. Yorimasa przepytał całą służbę i wszystkich wasali. Nikt nie widział, aby pan Kiyori spotykał się z jakąś kobietą. Nikt też nie słyszał o żadnym dziecku. Najwierniejsi przyjaciele Yorimasy chodzili krok w krok za jego ojcem. Niczego się nie dowiedzieli. Po pewnym czasie przejął ich rolę — ale z tym samym rezultatem. Nic. Żadnej kobiety, żadnego dziecka. Kto zatem skłonił Kiyoriego do tej decyzji? Nikt nie miał pojęcia.

Jakiś czas po rozmowie z synem Kiyori nabrał dziwnych obyczajów. Codziennie spędzał kilka godzin na siódmym piętrze zamkowej wieży. Wydał rozkaz, aby w tym czasie nikt nie wchodził wyżej niż na trzecie piętro. Było to w latach, kiedy na japońskich wodach coraz częściej widywano obce statki. Kilka okrętów wojennych pojawiło się nawet w zatoce u stóp Chmary Wróbli. W tej sytuacji zachowanie księcia uważano za wysoce nieodpowiedzialne.

Yorimasa nabrał podejrzeń, że ojciec zwariował. Z jednej strony była to straszna tragedia, z drugiej — podarunek od kapryśnego losu. Syn wiedział, że starszyzna klanu zechce jak najszybciej usunąć szaleńca. Istniały takie precedensy. Historia rodu obfitowała w przypadki obłądu. Podejrzewano, że przyczyna tkwi w tej samej tajemniczej mocy, z którą związany był dar jasnowidzenia. Ponieważ Kiyori potajemnie wydziedziczył synów i coraz częściej zamykał się na szczycie wieży, dało to asumpt do nowych plotek.

Wśród wasali głośno szeptano o regencji, oczywiście z udziałem Yorimasy. On sam z zadowoleniem stwierdził, że właściwie nie musi szukać popleczników. Pomysł zrodził się spontanicznie. Nawet najbliżsi przyjaciele ojca — pan Saiki, pan Tanaka i pan Kudo — niepokoiłi się o niego. Już od pewnego czasu, wspólnie z innymi lennikami, zaczęli traktować Yorimase z coraz większym szacunkiem. Wydawało się, że pan Kiyori sam przyłożył rękę do swojej zguby. Yorimasa mógł tylko cierpliwie czekać.

Ale cierpliwość nigdy nie była jego zaletą.

Zachowanie ojca budziło w nim niepohamowaną ciekawość. W końcu nie wytrzymał i postanowił zakraść się na wieżę, aby na własne oczy zobaczyć, co Kiyori porabia tam całymi godzinami.

Bez trudu wśliznął się na schody. Ojciec nie postawił przy wejściu żadnej straży. Nikogo też nie było na wyższych kon-

dygnacjach, między trzecim i siódmym piętrzem. Domownikom wystarczył suchy rozkaz. Nikt nie śmiał sprzeciwić się swemu panu. Nikt oprócz Yorimasy.

Usłyszał ojca, zanim wystawił głowę ponad podest na najwyższym piętrze. Kiyori z kimś rozmawiał. Ale z kim? Odpowiedzi musiały padać bardzo cicho, bo drugi głos nie docierał do uszu Yorimasy.

* * *

— Mogłeś mi to powiedzieć już dawno temu — westchnęła Shizuka.

— Zgodnie z twoją radą — odparł Kiyori.

— Co to za różnica? Zbytняя opieszałość w tak poważnych sprawach zawsze jest dużym błędem, panie. — Skłoniła się aż do podłogi. — Wybacz mi ostre słowa.

— Tak czy owak już wie. Nie będzie księciem.

— Ale nie powiedziałeś mi dlaczego.

— Nie.

— I nadal nie wie, że to nie on będzie wizjonerem.

— Nie. Byłem przekonany, że łatwiej to zrozumie, kiedy zobaczy, ile cierpienia wiąże się z tym darem.

— Nigdy nie widział, jak cierpisz, panie — uśmiechnęła się Shizuka.

— Ponieważ nigdy nie miałem prawdziwej wizji, prawda? Tylko od ciebie wiem o wszystkim, co się kiedyś zdarzy.

— Ale uważasz, że ja jestem wizją. Skoro mówię ci o przyszłości, to tak, jakbyś sam to widział. — Przerwała i przez krótką chwilę udawała, że się zastanawia. — Chociaż czasami... bierzesz mnie za ducha. Czy wtedy moje słowa nadal są tylko wizją? Chyba tak, bo czymże innym?

Kiyori zmarszczył brwi.

— Nigdy nie potrafiłem do końca tego rozgryźć. Wiem jedynie, że do tej pory zawsze mówiłaś prawdę, bez niedomowień i ukrytych znaczeń. Bez względu na to, kim naprawdę jesteś, pośredniczysz w mych wizjach. Z Shigeru będzie inaczej. Sama to powiedziałaś.

— Tak, całkiem inaczej.

— Będzie cierpiał.

— Tak.
— Nic nie zrozumie.
— Tak.
— Gdy Yorimasa to zobaczy, zapomni o rozczarowaniu.
— Być może.
— Dlaczego nie chcesz mi tego powiedzieć? Przecież znasz prawdę.

Drzwi do komnaty rozwarły się z głośnym trzaskiem. W progu pojawił się Yorimasa z mieczem w ręku. Twarz miał bladą, oczy zaczerwienione.

— Co ty tu robisz?! — Krzyknął Kiyori. Zerwał się na równe nogi, ale nie sięgnął po broń.

Yorimasa zobaczył dwie czarki sake. Czarka ojca była pusta. Druga nie. Ale kobieta zniknęła.

— Gdzie ona jest?! — Wrzasnął Yorimasa.

— Schowaj miecz i wyjdź stąd! — Kiyori bez cienia strachu zrobił krok w stronę syna. — Zapominasz się.

Yorimasa nie zwracał na niego uwagi.

— Jak długo jesteś jej niewolnikiem? — Syknął. — Nie patrz na mnie tak groźnie. Wszystko słyszałem. Jesteś zwyczajnym kłamcą i fałszywym prorokiem. To czarownica. Musi nią być, bo inaczej nie porzuciłbyś dla niej synów. Gdzie ją chowasz?

Rozejrzał się po komnacie, szukając tajnego przejścia. Jednak ściany były zupełnie gładkie. Uważnie przyjrzał się matom na podłodze. Na żadnej z nich nie zauważył śladów ruchu. Koło niego też nikt nie przeszedł. Wiedźma nie mogła wymknąć się przez okno, bo w biały dzień ktoś by ją zauważył. Pozostawał sufit. Yorimasa uniósł wzrok.

W tej samej chwili Kiyori zbliżył się do niego i jednym miękim ruchem wyłuskał mu miecz z ręki. Yorimasa z hukiem wylądował na przeciwległej ścianie. Zanim zdołał się podnieść lub sięgnąć po drugie ostrze, Kiyori uderzył go w skroń ręką-jeścią jego własnego miecza.

* * *

Yorimasa obudził się w swojej komnacie pod opieką doktora Ozawy. Głowa bolała go jak diabli, ale poza tym nie był ranny. Nie zauważył żadnych strażników. Jego miecze, jak zawsze,

leżały na stojaku. Zatknał oba za pas i wyszedł. Nikt go nie zatrzymywał.

Nie szukał ojca. Dobrze wiedział, że Kiyori nic mu nie powie. Tajemnicza kobieta już dawno zniknęła w swojej kryjówce. Skoro nie znalazł jej nigdy przedtem, teraz też nie znajdzie. Chciał porozmawiać z kimś zupełnie innym. Jeżeli wszystko, co słyszał, było prawdą, to życie już nie miało dla niego żadnego uroku.

Shigeru ćwiczył na placu treningowym. Odwracał się i atakował cel stojący za nim.

Od razu zauważył siniaka na czole brata.

— Co ci się stało?

Yorimasa pominął to pytanie milczeniem.

— Ojciec rozmawiał z tobą o wizjach?

— Przecież wiesz, że tak. Zawsze wtedy wzywa nas obu.

— O twoich wizjach, nie o jego.

Shigeru zachował kamienną twarz, ale milczał na tyle długo, że starczyło to za odpowiedź. Zatem to prawda, pomyślał Yorimasa. Nie będę prorokiem.

— W końcu ci o tym powiedział — westchnął Shigeru.

Yorimasa znów puścił to mimo uszu i zadał następne pytanie:

— Miałeś już jakąś?

— Nie. Ojciec mówił, że to nie stanie się tak prędko.

— Od kiedy wiesz?

— Od dwunastu lat.

— Wtedy byłeś jeszcze dzieckiem.

— Tak.

— A jednak mi nie powiedziałeś... — Dlaczego wszyscy milczeli? Dlaczego pozwalali mu tak długo wierzyć, że to właśnie on będzie wybranym? Wstyd był gorszy od rozczarowania. Przez tyle lat pyszniłem się jak zwykły głupiec! — Pomyślał Yorimasa.

— Ja tu nie rządę — odparł Shigeru — tylko ojciec. To on wydaje rozkazy. Mówi jedynie to, co chce powiedzieć. Resztę zatrzymuje dla siebie. Właśnie tak postępuje książę. Nie znasz tych zasad?

— Po co mam je znać? Nigdy nie będę księciem — wypalił Yorimasa.

— Jasne, że będziesz. Jesteś najstarszy. Wizje nie mają nic wspólnego z prawem dziedziczenia.

— Nie będę księciem. Wiem to od ojca.

Shigeru zmarszczył brwi.

— Co to znaczy?

— Wziął sobie kochankę, o której nikt nic nie wie. Słyszałem, jak rozmawiał z nią na wieży. Nie mam pojęcia, kiedy się poznali. Może niedługo przedstawi nam starszego brata?

— To niemożliwe.

— Nic nie jest niemożliwe — odparł Yorimasa.

Odwrócił się i poszedł do stajni. Nie chciał ani chwili dłużej zostać w zamku. Postanowił przenieść się do pałacu w Edo i dopiero tam pomyśleć, co dalej.

— Yorimaso. — Ojciec wyszedł z cienia.

— Och... Chcesz się pożegnać? Może zabronisz mi wyjazdu?

— To nie jest tak, jak myślisz — powiedział Kiyori.

— Zatem jak?

— Nie mam kochanki. Nie mam innego syna, którego chciałbym uczynić swoim następcą. Na razie nie ma żadnego następcy. A kiedy przyjdzie, będzie nie moim, ale twoim synem.

— To przepowiednia, panie?

— Tak.

Yorimasa uklonił się nisko.

— Chylę czoło przed nieuniknionym losem i przed moim nienarodzonym synem. Kogo i kiedy pojmę za żonę?

— Tego jeszcze mi nie przekazano.

Yorimasa skoczył na siodło. Znow się uklonił.

— Zatem powiadom mnie w stosownej chwili. Każde twoje słowo jest dla mnie rozkazem. — Jeszcze raz pochylił głowę, roześmiał się chrapliwie i spiął konia do galopu.

Stracił wszystko, o czym marzył. Nie będzie wielkim księciem Akaoki. Nie będzie głosił przepowiedni. Nie będzie nadal cieszył się szacunkiem, który graniczył z uwielbieniem. To czyste kpiny. Chciał umrzeć. Ale śmierć z własnej ręki w takiej chwili uważał za tchórzostwo. Nie był tchórzem. Wiedział, że jakoś da sobie radę — i nie zamierzał cierpieć w milczeniu.

Przez dwadzieścia dwa lata swego życia przygotowywał się

do przejęcia władzy. Czytał klasyków. Ćwiczył walkę wręcz. Studiował zasady taktyki i strategii. Przez kilka godzin dziennie siedział w *zazen*, aby oczyścić umysł z przeszkadzających myśli. Aby odrzucić wszystko, wszystko, wszystko... To były sztuki potrzebne ludziom stworzonym do wojny i dowodzenia. Dzisiaj już ich nie potrzebował. Mógł je odrzucić raz na zawsze. Kiedyś poświęcał każdą chwilę, żeby być dobrym samurajem. Teraz może pławić się w rozpuście... bo cóż innego mu pozostało w życiu?

Był więc alkohol, opium, absynt i wiele innych rzeczy, które pomagały mu zmienić percepcję lub nastrój. Oczywiście miało to przykre skutki uboczne. Lecz z drugiej strony istniały przecież inne mikstury, proszki, pigułki i lecznicze wody.

Zażywał wszystko i wszystkim się leczył. Brał takie dawki, że prawie nie słyszał śmiechów za plecami.

Spokojnie czekał na reakcję ojca, więc nie zdziwił się, kiedy nastąpiła. Ale Kiyori nigdy nie trzymał go w zamknięciu dłużej, niż wymagała tego kuracja po kolejnej orgii. Potem wypuszczał go na wolność.

Po pewnym czasie Yorimasa zrozumiał ojca. Nie mógł być więźniem, bo do reszty straciłby chęć do życia. Kiyori chciał uchronić go od samobójstwa. Yorimasa musiał żyć, aby zgodnie z przepowiednią doczekać się syna.

Nagle zrozumiał, że ma gwarancję, iż bez względu na to, co się stanie, nie umrze przypadkową śmiercią. Świadomość klęski była jednocześnie przepustką do długowieczności. Czyż to nie śmieszne?

Narkotyki, które przynosiły mu ulgę, niewiele różniły się od trucizny. Cierpiał — na ciele, ale jeszcze bardziej cierpiał jego myśli. Wkrótce przestały mu wystarczać halucynacje i zmiany nastroju. Skierował uwagę na kobiety. Wiedział, że nadejdzie taki dzień, kiedy ojciec każe mu się ożenić. Nie zamierzał się temu sprzeciwić. Obsłuży żonę, jak przystało na rozplodowego byka, myślał. Ale na razie w Edo jest wiele innych dziewcząt...

Najpierw pociągały go uroda. Jednak uroda pozbawiona duszy po kilku dniach staje się czymś pospolitym. Nie budzi zainteresowania.

Zaczął więc eksplorację innego rodzaju. Zainteresowały go części ciała. Ich kształt, zapach, smak, budowa... W jednej dziewczynie odnajdował dziesiątki różnych wariantów. A cóż dopiero, kiedy dziewczyn było znacznie więcej?

Znudzony tym zajął się własnym ciałem. Doświadczył wszelkich przyjemności. Pozostawał więc ból. Robił, co mógł — ale nic nie dało się porównać z bólem, który pożerał go od środka. Był samurajem. Potrafił znosić cierpienie fizyczne.

Od bólu prosta droga wiodła do sadyzmu. Tu nareszcie znalazł harmonię wszystkich elementów. Halucynacje, podniecenie, piękno, wstręt i przede wszystkim mękę.

Czasem zapędzał się za daleko i niszczył jakąś dziewczynę. Później bez słowa płacił sporą sumę na rzecz domu gejsz i „odszkodowanie” dla krewnych ofiary. W końcu to tylko pieniądze.

Fascynowała go perwersja. Z upodobaniem oddawał się praktykom erotycznym, w których sam cierpiał, ale mógł też sprawić, żeby inni cierpieli jeszcze bardziej. Łzy dziewcząt miały szczególny smak. Głosy pobrzmiewały nieziemską muzyką. Pewne mikstury potęgowały jego rozkosz. Pewne opary pogłębiały ich agonię. Korzystał ze wszystkiego.

Wkrótce odkrył, że największą przyjemność sprawia mu chwila, w której może zniszczyć atrybuty swoich ofiar. Początkowo myślał, że chodzi o urodę. Nawet nie musiał ich kaleczyć — wystarczyło, że pozostawił trwałą bliznę wewnątrz. Potem jednak doszedł do wniosku, że wygląd wcale nie jest najważniejszy. Każda kobieta nosi w sercu jakiś sekret, bez względu na to, co robi i co widziała w swoim życiu. Każda skrywa godność, którą chroni przed światem. Umiał to znaleźć. Był w tym mistrzem. Ich krzyki brzmiały tak donośnie, że już nie słyszał śmiechów za plecami.

* * *

— Mniej bym się martwił, gdybym nie wiedział, jak bardzo kochasz swoją córkę — powiedział Kiyori. — Zawsze z dumą to podkreślałeś.

— Midori jest tylko kobietą — odparł Nao. — Muszę pomyśleć raczej o jej synu.

— Nie spiesz się, Nao. Najpierw ci opowiem, kim naprawdę stał się Yorimasa.

— Nie. To nie ma żadnego znaczenia. — Nao uklonił się. — Jestem zaszczycony, że wybrałaś nasz klan, panie. Midori poślubi Yorimase.

* * *

Czas mijał szybko i zarazem wolno. Zdarzało się, że Yorimasa nie miał pojęcia, czy upłynął tydzień, czy może miesiąc, czy może większa część jego życia. Ten stan dawał mu namiastkę szczęścia.

— Yorimaso.

Przez chmurę opiumowego dymu zobaczył twarz Shigeru.

— Witaj, braciszku. Nie bój się. Weź głębszy oddech. To cię nie zabije.

Shigeru brutalnie postawił go na nogi. Wykidajło, zawsze chętny do bijatyki, tym razem stał w stosownej odległości. Shigeru już jako piętnastolatek zyskał sobie reputację groźnego wojownika. Z czasem jego sława stała się jeszcze większa.

— Zabieram cię do Chmary Wróbli. Ojciec znalazł ci narzeczoną.

— Który rok mamy?

Shigeru spojrzał na niego z odrazą.

— Czternasty — odparł.

— Jakiego cesarza?

— Cesarz Ninko nadal uszlachetnia świat swoją dostojną obecnością.

Yorimasa pozwolił się wywlec na zewnątrz. Zadziwiający. Minał zaledwie rok. Może mniej?

— A miesiąc, braciszku?

* * *

Przez trzy tygodnie ojciec kazał mu ćwiczyć w polu, jakby groziła im nowa wojna. Ani godziny Yorimasa nie przebywał pod dachem. Dni i noce spędzał w wojskowym obozie w górach na północ od Chmary Wróbli. Codziennie jechał konno na czele oddziału na brzeg morza, tam zsiadał i w pełnej zbroi biegł z lasu Muroto na koniec wysuniętego cypla. Jeżeli padał ze zmęczenia, Shigeru stawiał go na nogi. Gdy nie mógł biec,

inni go wlekli. Kiedy wymiotował, trzech generałowie — pan Saiki, pan Tanaka i pan Kudo — śmiali się głośno, jakby nigdy w życiu nie widzieli niczego zabawniejszego. Nocą część samurajów odgrywała rolę napastników i bezlitośnie tłukli bambusami tych, którzy ruszali się zbyt wolno. Nie dostarczano żadnej żywności. Jedli wyłącznie ci, którzy umieli zastawić sidła, ustrzelić ptaka lub znaleźć jakąś jadalną roślinę. Inni chodzili głodni. Czwartego dnia Yorimasa jadał najmniej wstrętne chrząszcze. Po sześciu dniach zaczął się poważnie zastanawiać, czy nie zabić własnego konia. Siódmego dnia obóz przeniesiono na brzeg oceanu i rybacy ze wsi Kageshima przynieśli im nieco suszonego dorsza i niełuskany ryż. Yorimasa nigdy w życiu nie jadł czegoś tak smacznego.

Po trzech tygodniach wytrzeźwiał na dobre. Ale to było tylko chwilowe i bez znaczenia. Taki jak on mógł bez większego trudu znieść głód i niewygody. W duchu poprzysiągł sobie, że gdy tylko zrobi to, czego wszyscy od niego oczekują, znów zajmie się własnymi sprawami. Niech Kiyori sam wychowuje wnuka. On nie zamierza tego robić. Co to za syn? Kolejny element hańby. Yorimasa już go nienawdził. Nie przeszkadzało mu, że chłopiec jeszcze się nie narodził — ba, jeszcze nawet nie został poczęty. Nienawdził go bardziej niż kogokolwiek innego w całym swoim życiu.

I przyszłej żony też. Bez względu na to, kim jest.

* * *

— Córka pana Nao? — Yorimasa myślał, że już nic go nie zdziwi, ale jak widać znowu się pomylił. — Pana Nao z Shiroishi?

— A znasz innego? — Spytał Kiyori.

— Władca Jabłek — mruknął Yorimasa. Co ze mnie za głupiec... — pomyślał. Był pewny, że najgorsze ma dawno za sobą. Teraz się przekonał, że zawsze może być gorzej.

— To twój przyszły teść — upomniał go Kiyori. — Nie obrażaj go.

— Dlaczego nie? Władca Jabłek. Cała Japonia tak go nazywa. Chcesz mnie ożenić z córką najśmieszniejszego daimyo w naszym państwie? Dlaczego?

Gniew i wstyd były tak wielkie, że Yorimasa niemal się rozplakał. Tylko złość pozwala mu zachować spokój.

— Majątek pana Nao jest niewielki... — zaczął Kiyori.
— Niewielki, marny, biedny i położony tak daleko, że za nim są już tylko wioski Ajnów na Yezo!
— Majątek pana Nao jest niewielki — powtórzył Kiyori — lecz doskonale utrzymany. Zapasy ryżu pozwoliły im, tak jak nam, przetrwać ostatni czas głodu. Nie było buntów jak w innych prowincjach. Jego armia...
— Tę garść wieśniaków nazywasz armią?
— Jego armia przywykła do ostrej zimy. Niewiele mamy w kraju żołnierzy przydatnych do zimowych kampanii.
— Bo tam zawsze jest zima!
— W tamtejszych sadach, o których mówisz tak lekceważąco, rosną wspaniałe jabłka...
— A kto je jabłka? Chyba tylko konie!
— ...słynne ze swego smaku i urody. Pan Nao jest prawdziwym samurajem starej szkoły. Kiedy byliśmy bardzo młodzi, razem braliśmy udział w pierwszych bitwach.
— Shogun wam kazał stłumić rebelię głodujących chłopów. Zwykła rzeź, a nie bitwa!
— Dość! Jutro jedziemy do Shiroishi. Poślubisz córkę pana Nao. Przygotuj się.

Yorimasa posłusznie zrobił, co mu kazano. Przygotował się do małżeństwa.

Karmił się gniewem i poczuciem wstydu, złością, pogardą i wspomnieniem nawet najmniejszej kpiny, jaka padła pod jego adresem, karmił się każdym poniżeniem, drwiną i uśmieszkiem, słowem wszystkim, co go spotkało w ciągu minionego, najnędniejszego roku jego życia. Potem obiecał demonom z dziesięciu tysięcy piekieł, że ból, którego zaznał i który zadawał, będzie niczym w porównaniu z ogromem dalszych cierpień.

Przyjdzie czas, myślał, że ukochana córka pana Nao zacznie zazdrościć nawet głodnym duchom, które bezradnie błędzą w smugach dymu unoszących się ze stosów pogrzebowych.

* * *

— No? — Pani Chiemi przez cały wieczór groźnie spoglądała na swojego męża, ale on nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Nie mogła dłużej siedzieć cicho.

— O co ci chodzi? — Spytał.

— Kiedy mi w końcu powiesz to, co już od dawna masz do powiedzenia?

— Znow wygadujesz bzdury. Gdybym naprawdę chciał ci coś powiedzieć, zrobiłbym to bez wahania.

— A gdybyś nie chciał, tobyś z tym zwlekał tak długo, jak tylko można — odcięła się pani Chiemi. — Żeby nie mogła się sprzeciwić. Znamy się nie od dzisiaj, panie Nao.

To prawda. Znali się od dzieciństwa. Jego ojciec był głównym wasalem jej ojca, daimyo Shiroishi. Ponieważ stary pan nie miał synów, adoptował Nao, a po ślubie uczynił go swoim dziedzicem. Nao i Chiemi zawsze byli przyjaciółmi — niemal rodzeństwem, w najlepszym tego słowa znaczeniu.

— Ale naprawdę nie masz czemu się sprzeciwić. Wszystko zostało postanowione. Midori wyjdzie za męża.

— Za kogo?

— Za syna pana Kiyoriego.

Pani Chiemi gwałtownie przechyliła się w lewą stronę, jakby nagle zakręciło jej się w głowie. Oparła się rękami o podłogę.

— Za Shigeru?

— Za Yorimase.

— Och, nie. Tylko nie to. Niemożliwe.

— Ślub odbędzie się na tydzień przed letnim przesileniem.

— Błagam, panie... Przemyśl tę decyzję. — Chiemi skłoniła się niczym chłopka, przyciskając czoło do ziemi. — Yorimasa ją zniszczy.

— Bzdura. Jest samurajem i wielkim panem. Nic jej nie zrobi.

Popatrzyła na niego ze łzami w oczach.

— Chyba słyszałeś, co o nim mówią.

— Nie słucham plotek.

— Yorimasa znęca się nad dziewczętami...

— Nie dawaj wiary takim bzduram.

— Lubi je wiązać, narkotyzować, bić...

— Tak zabawiają się niektórzy gejsze. To tylko gra. Nic nam do tego.

— Używa swego przyrodzenia jako narzędzia strasznych tortur. Nosi obcięty członek wołu...

— Nie będę tego słuchał...

— Niektóre gejsze porzuciły pracę — przerwała mu ze szlochem. — Jedna umarła od obrażeń. Druga targnęła się na swoje życie. Trzecia została tak skrzywdzona, że ciągle się moczyła. Wpadła w obłąd. Przybył jej brat, zobaczył, co się dzieje, zabił ją i chwilę potem popełnił samobójstwo. Błagam...

Nie mogła mówić dalej. Rozplakała się na dobre. Pan Nao siedział w milczeniu, z nisko pochyloną głową. Kiedy Chiemi się wyplakała i złapała oddech, powiedział:

— Pan Kiyori podzielił się ze mną pewną przepowiednią.

— Przepowiednią? Jedyne zacofani chłopcy wierzą w jego zdolności! No i ty. Jesteś aż taki głupi?

— Zanim wybuchły pierwsze bunty, powiedział mi...

— Panował głód! — Krzyknęła pani Chiemi. — Nie trzeba być prorokiem, żeby wiedzieć, co się za tym kryje!

— Uspokój się, Chiemi.

— Odwołaj ślub, albo się zabiję. Daję ci na to moje słowo, jakem córka samuraja.

— Zatem Midori zostanie sama, bez twojej rady i pomocy? Jest bardzo młoda... Potrzebuje matki.

— Jeśli się zabiję, nie będzie ślubu. To zły omen.

— Nie. Z tobą lub bez ciebie, Midori musi wyjść za Yori-masę. Zostanie matką następnego księcia Akaoki.

— To przepowiednia?

Pan Nao skinął głową.

— A Yorimasa? A Shigeru?

— Żaden z nich. Następcą będzie syn Midori. Kiyori miał wizję.

— Widział także, jak jego syn znęca się nad naszym dzieckiem?

— Nie myśl o tym. Nic już się nie zmieni.

— Panie... Midori jest twoim najmłodszym dzieckiem. Jedy-ną córką... Wiem, że ją kochasz. Jak możesz być tak okrutny?

— Niestety, to jej przeznaczenie. Sprzeciw oznaczałby nie-szczęście.

— Może być coś jeszcze gorszego?

Pan Nao przysunął się do żony i wziął ją w objęcia.
— Cieszymy się czasem, który nam pozostał. Nasza córka wkrótce wyjedzie. Zaraz po letnim przesileniu mąż zabierze ją do Chmary Wróbli.

* * *

— Jesteś gotowa? — Spytał Kazu. Został tylko w przepasce na biodrach. Był opalony, gdyż większość czasu spędzał na polu przy różnych pracach. Trochę zgrzał się poprzednią próbą, jego skóra błyszczała od potu.

— Tak — odparła Midori. Jej kimono leżało na ziemi. Obok spoczywał ciężki i szeroki pas *obi*, sandały, wachlarz i nóż *tanto*, który ojciec kazał jej nosić dla obrony. Drugie kimono, zazwyczaj noszone pod spodem, podciągnęła tak, żeby dolne poły zatknąć za cienką szarfę, którą była przepasana w talii. W ten sposób zrobiła coś na kształt spodni, bojowych *hakama*, tylko o wiele krótszych. Wyglądała zabawnie — prawdę mówiąc, nieładnie, więc na pewno dostałaby burę od rodziców. Zwłaszcza od matki. Ale co miała zrobić? Jeśli ma pokonać tego chwalipiętę Kazu, nie może być ubrana jak porcelanowa księżniczka.

— Jak myślicie, kto wygra? — Rozległo się w tłumie. Przerwano wszelką pracę. Wszyscy, którzy byli w sadzie, podeszli bliżej.

— Kazu jest najszybszy w całej wsi. Murowany zwycięzca.

— Midori też się żwawo rusza.

— Ale to tylko dziewczyna. Nie wygra z chłopakiem.

— Kto, Midori? Z innymi wygrywała.

— Pozwalali jej na to, bo jest córką daimyo.

Ta ostatnia uwaga zdenerwowała ją najbardziej. Teraz musi wygrać, bez względu na wszystko.

— Niech ktoś da sygnał — poleciła.

— Ja! — Krzyknęła Michi. Miała tyle samo lat co Midori i była jej najlepszą przyjaciółką spośród całej wiejskiej dzieciarni.

— Nie, ja! — Rozległ się drugi głos.

— Ty zawsze chcesz to robić!

— Bo mi nie pozwalacie!

— Nie kłóćcie się — powiedziała Midori. — Zaczynaj, Michi.

— Ha!

— Auć!

Kazu wbił wzrok w pień drzewa.

Midori nadal na niego patrzyła. Miał szesnaście lat, mocną budowę ciała i grubo ciosaną, ale całkiem przystojną twarz. Dla niego ten wyścig był kolejną okazją, żeby popisać się przed dziewczętami ze wsi, a może tym razem także przed Midori. Ona traktowała to całkiem inaczej. Była córką daimyo, właściciela tej ziemi. W jej żyłach płynęła krew niezliczonych pokoleń samurajów. Każdy pojedynek traktowała jak walkę na śmierć i życie. Wciąż patrzyła na Kazu. Nie musiała gapić się na drzewo. Rosło tuż przed nią. Nigdzie nie odeszło. Co może pomóc w walce? Broń. Liczy się też pogoda, pora dnia i ukształtowanie terenu... Ale kluczem do zwycięstwa jest umiejętność pokonania przeciwnika jeszcze przed rozpoczęciem starcia. Wiele razy słyszała to od ojca. Widziała, jak ćwiczą bracia. Hardo wpatrywała się w Kazu. Wreszcie, na krótką chwilę, on też zerknął w jej stronę. Napotkał jej twardy wzrok i otworzył ze zdumienia usta. W tej samej chwili Michi dała sygnał do startu.

— Hop!

Midori zerwała się z ziemi jak rakieta pełna fajerwerków. Nie słyszała okrzyków tłumu i już nie patrzyła na przeciwnika. W ogóle o niczym nie myślała. Wiedziała tylko, że ma się wspinać. Nie było różnicy pomiędzy jej oddechem, podmuchami wiatru, dłońmi, stopami, liśćmi, gałęziami, gibkim ciałem sunącym po nieruchomym pniu, niebem i ziemią. Zanim się spostrzegła, już była na czubku drzewa. Dopiero wtedy dotarły do niej radosne okrzyki zgromadzonej na dole dzieciarni.

— Pokonała go!

— Midori wygrała!

— Nie wierzę!

— Widzicie! Dziewczyny są lepsze od chłopaków!

— Midori jest najszybsza!

Nad nią był jedynie błękitny ocean nieba, upstrzony białą pianą obłoków. Przez krótki moment miała wrażenie, że jest pod wodą. Spojrzała w dół i zobaczyła, że tłum nagle ucichł.

Wszyscy klęczyli i kłaniali się do samej ziemi, jakby była księżniczką z cesarskiego rodu.

Roześmiała się.

— Po co te ceremonie? Przecież to tylko zabawa.

W tej samej chwili zobaczyła, co się stało. Ten ukłon nie był dla niej.

Podczas wyścigu w sadzie stanęło trzech jeźdźców. W jednym z nich rozpoznała ojca, który przyglądał jej się z gniewną miną. Drugim był jego stary przyjaciel, pan Kiyori. Trzecim zaś... najpiękniejszy młodzieniec, jakiego widziała w życiu.

Miał cudownie wygięte brwi, długie rzęsy i delikatne rysy, które czyniłyby go podobnym do dziewczyny, gdyby nie wydatne kości policzkowe i mocno zarysowana szczeka. Siedział w siodle w nonszalancki sposób, ale widać było, że jest samurajem i spędził wiele lat, trenując sztuki walki. Podjechał bliżej, żeby ją zobaczyć. Zatrzymał się pod drzewem i spojrzał między gałęzie. Potem się roześmiał. Miał piękny śmiech.

Midori zaczerwieniła się. Cała.

* * *

— Dobrze wiem, że nie należysz do najmądrzejszych dziewcząt — powiedziała matka — ale co ci wpadło do głowy, żeby właśnie dzisiaj łązić po drzewach?

Były w jej komnacie. Pani Chiemi w pośpiechu czesała córkę, a służące próbowały odziać ją w kimono.

— Miał przyjechać z samego rana — tłumaczyła się Midori. — Nie było go, więc pomyślałam, że zjawi się dopiero jutro.

— Naga jak małpa! — Matka ujęła jej twarz w dłonie. — Jak mogłaś! Co oni sobie o nas pomyślą?

— Nie byłam naga, mamó.

— Miałaś na sobie kimono?

— Nie, ale...

— Paradowałaś przed całym światem z gołymi nogami?

— Tak, ale...

— Więc byłaś naga, ty bezwstydnico!

— Przecież w kimonie nigdy nie wspięłabym się na to drzewo! Jak miałam wygrać?

— Jesteś córką tutejszego daimyo. Wszyscy czekają na twoje zaręczyny — utyskiwała matka. — A ty myślisz wyłącznie o łażeniu po drzewach!

— Kazu twierdził, że jest ode mnie szybszy. Musiałam go pokonać.

— Nie uważasz, że to po prostu głupie?

— Sama mi mówiłaś, że w dzieciństwie wygrywałaś wszystkie takie wyścigi! — Wypaliła Midori. — Od ciebie wiem, jak wiązać kimono, żeby zrobić z niego *hakamal*

— Nie pyskuj — prychnęła matka. Lekki rumieniec zabarwił jej policzki i odwróciła się, aby ukryć uśmiech. Ale uśmiech natychmiast zgasł i zaszlochała cicho.

— Po ślubie już nie będę mogła wspinać się na drzewa — szepnęła Midori.

Było jej przykro, że przyniosła wstyd swoim rodzicom przed panem Kiyorim i panem Yorimasą. Szkoda, że nie pokazała się z trochę lepszej strony. Ciekawe, co pomyślał o niej pan Yorimasą? Nagle zobaczył przyszłą żonę w gromadzie wiejskich podrostków, w samej bieliźnie, siedzącą na drzewie. Pewnie teraz pluje sobie w brodę i użala się nad swoim losem! Wyglądał na człowieka o wyrafinowanym guście. Musiał być bardzo rozczarowany.

— Od tej pory nikt nie powie o mnie złego słowa — przyrzekła.

Ale jej matka nadal była smutna i rozplakała się na dobre. Służba też zaczęła pochlipywać. Nikt się nie cieszył. Midori domyślała się, że wszystkiemu winne jest jej dziecinne zachowanie. Postanowiła się poprawić. Muszę być dobrą i posłuszną żoną dla pana Yorimasy! — Postanowiła. I nie mniej dobrą synową dla pana Kiyoriego! Rodzice będą słyszeli o mnie wyłącznie same pochwały.

— Nie martw się, mamó — powiedziała, dzielnie walcząc ze łzami. Płacz bywa zaraźliwy. — Będiesz ze mnie naprawdę dumna. Obiecuję.

* * *

Yorimasą nie umiał z całkowitą pewnością powiedzieć, dlaczego tak, a nie inaczej zachował się w noc poślubną.

Dziwił się swojej indolencji nie mniej niż zachowaniu. Myślał, że zna się na kobietach. Że niczym go nie zaskoczą. Myślał, że każdą bez większego trudu potrafi nagiąć do własnej woli. Dawno przekroczył cienką granicę między rozkoszą i cierpieniem. Chyba spróbował już wszystkiego... Był przekonany, że tak jest w istocie, ale okazało się, iż nieświadomie przegapił coś bardzo ważnego. I to sprawiło mu największe, niewyobrażalne wręcz cierpienie.

Przed weselem nie robił specjalnych planów. Zabrał jedynie parę rzeczy dla własnej przyjemności. Kulki opium, ukryte w słodkich ryżowych ciastkach. Buteleczka absyntu za pazuchą. Groteskowy penis, wyrzeźbiony przez anonimowego obłąkańca, czerpiącego inspirację z nocnych majaków i obserwacji zwierząt. Yorimasa kupił to od tego samego przemytnika, który dostarczał mu opium. Wiedział jednak, że ojciec zachowa czujność. Opium i absynt zostały natychmiast zabrane podczas przeszukania. Jeśli zaś chodzi o wspomnianą „rzeźbę”, to Yorimasa ani przez chwilę nie wierzył, że zdoła ją dowieźć aż do Shiroishi. To miała być niespodzianka. Co zrobi ojciec, gdy ją znajdzie? Nadal będzie obstawał przy małżeństwie? Wybuchnie gniewem, pobije syna?... Spekulacje były zabawne.

Rzeczywistość okazała się mniej ciekawa.

Kiyori znalazł sztucznego penisa wśród ubrań Yorimasy.

— Wyjdźcie stąd — powiedział do służby.

Przemawiał cichym głosem, z obojętną miną. Kiedy wszyscy wyszli, zawinął rzeźbę w jakąś część bielizny wyjętą z bagaży syna i zabrał ją ze sobą. Nie krzyczał. Nie posunął się do rękoczynów. Prawdę mówiąc, nawet nie spojrzał na Yorimase. Oddalił się bez słowa. Jednak syn zdążył zauważyć, że ojciec miał łzy w oczach.

To wspomnienie budziło w nim największą wściekłość. Jakim prawem Kiyori odczuwa żal, wstyd lub coś innego? Kto wszystko stracił? Kto znalazł się pod pręgierzem drwin i poniżenia? Kto został pozbawiony tytułu i majątku? Kiyori był wielkim księciem, wizjonerem i przywódcą klanu. Ci, którzy nie mieli dlań respektu, przynajmniej się go bali.

A kto szanował Yorimase? Nikt.

W kim budził strach? Tylko w kobietach.

Pewnie po prostu by się upił, gdyby nie zabraniała tego tradycja klanu. Ze złości czuł mrowienie w łędźwiach. Ojciec myślał, że go przechytrzył... ale nic z tego. Znalazł jedynie to, co miał znaleźć. Nawet nie wiedział, że Yorimasa schował opium i absynt w rękojeściach mieczy. Który samuraj miałby dość odwagi, aby popełnić takie świętokradztwo?

Yorimasa niedbałym krokiem poszedł do komnaty, w której czekała na niego Midori. Prawdę mówiąc, bardziej niedbałym i mniej stabilnym, niż zamierzał. Po miesiącu ciągłej trzeźwości wystarczyła mu niewielka dawka alkoholu i narkotyków, żeby osiągnąć zamierzony efekt. Czuł, że trochę przeholował. Nieważne. Ciągłe był przytomny.

Nie myślał o tym, co chce zrobić, ani do czego zmusi swą oblubienicę. Wszelkie plany zmniejszyły intensywność doznań. Wróżba mówiła tylko o synu, więc miał wolną rękę. Choćby dopuścił się najgorszych rzeczy, nie mógł skrzywdzić młodej żony tak bardzo, aby uniemożliwić jej urodzenie dziecka. Potem, rzecz jasna, może umrzeć. Nawet w połogu. To już nie miało żadnego znaczenia. Kiyori chciał jedynie wnuka, który przejmie po nim schedę. Ta świadomość naiwnej wiary, jaką ojciec pokładał w odtrąconym synu, sprawiała, że Yorimasa poczuł się całkiem bezkarny. Może ją udusić. Wprawdzie nie umrze, ale przynajmniej pocierpi. A jeśli zapadnie w śpiączkę? Co wtedy z dzieckiem? Czy nieprzytomna matka może rodzić? Warto to sprawdzić. Tak, tak... Dzisiejsza noc niesie ze sobą nieskończone możliwości...

Nowożeńcom dano komnatę w odległym skrzydle Zamku Białych Kamieni. Mieli więc nieco prywatności. Mimo to krzyki będzie słyhać... — myślał Yorimasa. Ciekaw jestem, co zrobi Nao, kiedy usłyszy jęki mordowanej? A Kiyori? Być może Nao skrzyknie swoich ludzi i ruszy na ratunek córce? Wtedy Kiyori stanie mu na drodze, żeby bronić honoru klanu. Rozpęta się krwawa walka — tym tragiczniej sza, że między dobrymi przyjaciółmi. Chyba trudno sobie wyobrazić lepsze zakończenie...

Midori zostanie tu, z rodziną.

Kiyori i Yorimasa — jeśli przeżyją bitwę — natychmiast wyjadą na południe.

Nastąpi rozwód.

A później, zgodnie z przepowiednią, przyjdzie na świat następca klanu. Kłopot w tym, że od początku będzie daleko od swoich włości.

W sumie nieważne, kto przeżyje. Dziadek już nigdy nie odzyska wnuka. Wzajemna niechęć i brak zaufania na pewno będą silniejsze od więzów krwi i nazwiska.

Dla Yorimasy była to zemsta doskonała.

* * *

Pan Kiyori i pan Nao siedzieli w uroczystych pozach po przeciwnych stronach sali przyjęć. Otaczała ich grupa samurajów z obu klanów. Usługiwali także samuraje. Nie dopuszczono żadnych kobiet. Na małych tacach brakowało wielu przysmaków przewidzianych właśnie na taką chwilę. Nikt nie próbował wznieść toastu. Gospodarze i goście pili sake w posępnym milczeniu. Ktoś obcy nigdy by się nie domyślił, że to wesele.

— Zgodnie z twoim życzeniem, panie, odesłałem żonę i jej dworki do klasztoru Kageyama — odezwał się pan Nao. Na mocy edyktu shoguna w każdym lennie mógł być tylko jeden zamek, więc pan Nao z całego serca popierał działalność religijną. We wszystkich strategicznych miejscach jego włości stały warowne klasztory, otoczone murem i mogące wytrzymać długie oblężenie. Mnisi też byli silniejsi i lepiej wyszkoleni, niż ktoś by się spodziewał. — Z drugiej strony przyznaję, że to dość niezwykle, aby matka nie była na weselu córki.

Kiyori uklonił się.

— Wybacz, panie, ale nie mogłem postąpić inaczej. Dziękuję ci z całego serca.

— Nie musisz mi dziękować ani mnie przeproszać — odparł Nao. — Pozwól jednak powiedzieć sobie, że dzisiejsza ucztą jest niezwykła. Jedną rzecz — między innymi — najbardziej rzuca się w oczy. Trzej z was: ty, panie Kiyori, pan Kudo i pan Tanaka, nie macie przy sobie mieczy. Dlaczego? Gdzie wasi giermkowie?

— W swoich kwaterach. Jeżeli nie wrócę przed świtem, z mojego rozkazu popełnią samobójstwo.

Wśród ludzi pana Nao rozległ się głuchy szmer. On sam pozostał niewzruszony.

— Dziwne wesele — mruknął. — Dlaczego miałbyś nie wrócić?

— Nie pozwoliłeś mi powiedzieć wszystkiego o Yorimasie — odrzekł Kiyori. — Dzisiejsza noc może być dla ciebie przykrą niespodzianką. — Przerwał. — Nadal mi ufasz? — Spytał po chwili.

— Zawsze — odparł Nao.

— W takim razie musisz mi coś obiecać. Proszę cię, abys pozostał tutaj ze mną, bez względu na to, co się stanie. Zatrzymaj także swoich ludzi. Niech nikt do rana nie zagląda do komnaty nowożeńców. Potem, jeżeli będzie trzeba, możesz spokojnie zabić Yorimase i bez zbędnych ceregieli usunąć stąd jego zwłoki.

— Co?!

— Zanim jednak to zrobisz, zabij mnie, pana Kudo i pana Tanakę. To wprawdzie niewielkie zadośćuczynienie, ale na nic więcej nas w tej chwili nie stać. By uniknąć niepotrzebnego śledztwa, powiadomisz władzę, że nasza śmierć była zupełnie przypadkowa. Pan Saiki z mojego rozkazu został w Akaoce, aby młody książę mógł na początku korzystać z rady i pomocy doświadczonego opiekuna i regenta. Jemu też zaniesiesz wieść o „wypadku”.

— Panie Kiyori...

— Mój młodszy syn, Shigeru, zostanie nominalnym przywódcą klanu do czasu osiągnięcia pełnoletności przez młodego księcia. Potem popęlni samobójstwo, aby w ten sposób dodatkowo odpokutować za czyny brata. Wie już o wszystkim.

— Panie Kiyori... Co stanie się dzisiejszej nocy? — Niemal szeptem spytał pan Nao.

— Daj mi słowo honoru — odparł Kiyori — lub odwołaj małżeństwo. Jeszcze nie jest za późno.

— To też należy do przepowiedni?

— Nie. Ale zbyt dobrze znam mojego syna.

Nao mocno zacisnął powieki i przez kilka oddechów siedział w milczeniu.

— Obiecuję — powiedział w końcu, otwierając oczy.

Kiyori złożył mu niski pokłon.

— Dziękuję — rzekł. Twarz mu drgnęła, jakby chciał powstrzymać się od płaczu. Oczy miał mokre od łez, ale nie wydał najmniejszego jęku. — Sake — zażądał.

— Strach podpowiada nam najgorsze rzeczy — zauważył Nao. — Jeżeli to nie przepowiednia, nikt z nas nie wie, co się naprawdę stanie. Nawet w bardziej sprzyjających okolicznościach może dojść do katastrofy. Wypijmy za zdrowie młodej pary i życzymy im szczęścia.

* * *

Wprawdzie Midori obiecała, że nie zawiedzie swoich rodziców, ale z rosnącym niepokojem czekała na przybycie męża. Drgnęła, słysząc szelest kimona pod drzwiami sypialni.

Prawdę mówiąc, nie była gotowa do małżeństwa, zwłaszcza w porównaniu z córkami innych daimyo. Większość z nich bywała już w stolicy shogunatu, czyli w Edo, w cesarskim Kioto lub innych wielkich metropoliach. Z pierwszej ręki uczyły się wszystkich zasad, obowiązujących w wyższych sferach. Midori od urodzenia mieszkała w małym lennie Shiroishi, na dalekiej północy Japonii, z dala od głównych ośrodków cywilizacji. Bardziej przypominała chłopkę niż córkę feudała. Co ma robić w obecności takiego bywalca jak pan Yorimasa? Nie wiedziała nawet, od czego zacząć. Oczywiście nie była zupełną ignorantką w sprawach seksualnych. Jak inne wiejskie dzieci podglądała czasami pieszczoty dorosłych. Lecz zachowanie chłopów nie miało nic wspólnego z wysublimowanym gustem pana Yorimasy. Midori obawiała się, że jej męża czeka straszne rozczarowanie.

Na kolanach podpełzła do drzwi. Odsunęła je cicho i najzręczniejszym jak umiała. Potem skłoniła się do samej ziemi. Nie miała odwagi, żeby unieść głowę.

— Panie... — powiedziała i zaraz urwała, bo ze zdenerwowania coś ścisnęło ją w gardle.

* * *

Yorimasa spoglądał z góry na klęczącą dziewczynę. Miała rozpuszczone włosy. Nie była to jedna z tych wyszukanych

fryzur, do których przywykł. Oczywiście tu, na północy, nikt nie zwracał uwagi na takie drobiazgi. Yorimasa poczuł zapach świeżo umytego ciała. Gdyby miał do czynienia z dzieckiem, mógłby nawet powiedzieć, że to „woń niewinności”. Oznaka młodości i nieokrzesania. W wielkich miastach nawet najpośledniejsza z kobiet dobrze znała uwodzicielską moc perfum. Ojciec kazał mi poślubić chłopkę o szlacheckim nazwisku, pomyślał Yorimasa.

Uklęknął i uklonił się.

— Może przestańmy się już wreszcie kłaniać i wejdźmy do środka — powiedział dużo uprzejmiej szym tonem, niż zamierzał. — Nie będziemy wiecznie sterczeli w progu, prawda?

* * *

Pani Chiemi samotnie siedziała w głównej nawie klasztoru Kageyama. Oddychała bardzo powoli — pomiędzy każdym wdechem i wydechem upływało wiele uderzeń serca. Nie medytowała już od dawna. Teraz też trudno to było nazwać medytacją. Ot, po prostu zręczna technika oddychania, aby przywołać uczucie spokoju i nie słuchać podszeptów serca. Pani Chiemi liczyła oddechy. W ten sposób nie myślała o tym, co się teraz dzieje w komnacie nowożeńców.

Nigdy nie wierzyła w przepowiednie pana Kiyoriego. Dziwiła się zachowaniu męża. Przecież na pozór pan Nao był mądrym człowiekiem, dalekim od zabobonów. Niestety, za młodu razem z panem Kiyorim brał udział w kilku bitwach i to ugruntowało ich późniejszą przyjaźń. Nao zawdzięczał życie wiernemu druhowi — i to wszystko.

Teraz, przez głupotę zabił własną córkę. Pani Chiemi tak dużo słyszała o Yorimasie, że domyślała się, iż Midori nie przeżyje dzisiejszej nocy. Gdyby nawet przeżyła, będzie wrakiem, niezdolnym do normalnej egzystencji. Pani Chiemi głęboko wciągnęła powietrze i poczuła lekki dotyk pochwy ukrytego za pasem sztyletu *tanto*. Nie powinna siedzieć z bronią przed obliczem Buddy. Nie powinna przelewać krwi w tak świętym miejscu. Jednak już popełniła pierwszy grzech i popęlni drugi, kiedy tylko zjawi się posłaniec ze straszną wiadomością.

Pomyliła się, licząc oddechy.
Zrobiła wydech i zaczęła liczyć od początku.

* * *

Midori nie wiedziała, czy teraz powinna poczęstować męża ryżowym ciasteczkiem, czy dopiero później? Przyniesiono herbatę, lecz nie było sake, a to stanowiło wręcz niewybaczalny wylom w obyczajach. Co się działo ze służbą? Midori zawołała swoją pokojówkę, ale nikt się nie zjawił. Wyglądało to tak, jakby w całym zamku nikogo nie było. Dziwne. W pierwszej chwili chciała iść do pokoiów matki, ale po namyśle postanowiła zostać. Przecież w tym samym czasie mógł przyjść Yorimasa. Co by zrobił, gdyby nie zastał jej w komnacie? To dużo gorsze niż brak sake.

Wreszcie przyszedł. Już byli razem. Sami. Midori zaczerwieniła się. Myślała, że już bardziej się nie zaczerwieni. Błąd. Wystarczyło, że Yorimasa się uśmiechnął, a owionęła ją nowa fala gorąca.

— Panie... — szepnęła. Od początku spotkania wciąż to powtarzała. Pewnie uważa ją za głupią. Nic dziwnego, bo jest głupia! Co powiedziałyby prawdziwa dama albo dystygowana kurtyzana? Taki człowiek jak Yorimasa bez wątpienia bywał u jednych i drugich. W porównaniu z nimi muszę mu się wydawać przeokropnie nudna... — pomyślała Midori. Nie wie działa, co robić. Może lepiej zaczekać, aż on przejmie inicjatywę? A jeżeli jest odwrotnie? Jeśli to on czeka? Zawiodła się na matce. Przecież pani Chiemi mogłaby zawczasu udzielić jej rady...

Lekko uniosła głowę. Yorimasa wciąż się uśmiechał. Od razu zauważył, że na niego spojrzała.

— Panie... — powtórzyła. Nic więcej nie przyszło jej do głowy.

— Wspaniale wspinasz się po drzewach — zauważył — ale nie jesteś zbyt rozmowna. Może tę noc powinniśmy spędzić raczej w sadzie?

Zawstydzona Midori nie mogła dłużej powstrzymać się od płaczu.

Na tę chwilę czekał Yorimasa. Teraz miał ją przed sobą słabą i bezbronną. Młodą, niedoświadczoną i niepewną siebie.

Na pewno szuka w nim oparcia i opieki. Ma do tego pełne prawo. Ale to zbyt trywialne. Zamierzał pokazać jej coś, czego w ogóle się nie spodziewa. Najcenniejszą ze wszystkich prawd. Sens życia.

Ból.

Pustka.

Nic więcej.

Yorimasa położył dłoń na ramieniu dziewczyny i pomalutku przyciągnął ją do siebie. Nie zrobił nic, żeby ją wystraszyć. Nawet brutalność miała ukryte oblicze. Jednym z nich było zaskoczenie. Dzięki temu ofiara jest przekonana, że nie uniknie swego losu. Zbyt ni pośpiech niweczy element zasadzki. Cierpliwością można osiągnąć dużo więcej... Yorimasa był uosobieniem męskiej łagodności.

Po krótkiej chwili Midori złożyła głowę na jego piersi. Zdobył jej zaufanie.

A co z przepowiednią? No cóż... — albo dopełni się bez względu na to, co mam zamiar zrobić, pomyślał Yorimasa, albo jest fałszywa. Tak czy owak koniec jest nieunikniony.

Czeka go śmierć z rąk samurajów.

Niech żywi odziedziczą jedynie ruiny.

Niech ujrzą swoją przepowiednię skąpaną w parującej krwi.

* * *

Ani jeden mięsień nie drgnął na twarzy Kiyoriego, kiedy rozległ się krzyk dziewczyny. Stary książę przez cały wieczór siedział wyprostowany, w formalnej postawie.

Nao poruszył się niespokojnie.

Jego ludzie położyli dłonie na rękojeściach mieczy.

— Stać — powiedział Nao.

Krzyk rozległ się ponownie. Tym razem trwał dużo dłużej i można było rozróżnić poszczególne słowa.

— Ojczy! Na pomoc! Na pomoc!

Samuraje spojrzeli na swojego pana, czekając na rozkazy. Nao siedział zgarbiony i mocno zaciskał zęby. Pięści wsparł na kolanach, ale wciąż nic nie mówił.

— Panie! — Najmłodszy z samurajów padł przed nim w błagalnym ukłonie.

— Stać — powtórzył Nao.
Głos Midori ucichł. Młody samuraj nasłuchiwał przez chwilę.
Nic. Pochylił głowę i zaszlochał.
— Powinniśmy sprawdzić, co tam się stało, panie — powiedział inny z wojowników.
— Nie — odparł Nao. — Dałem słowo, że zaczekamy do świtu.
— Wybacz, lecz to nieludzkie, panie!
— Dałem słowo! Według ciebie to nic nie znaczy?
Samuraj schylił się w ukłonie.
— Ojczy! Ojczy!
Tym razem krzyki Midori rozległy się dużo bliżej. Dochodziły z korytarza biegnącego od sali bankietowej. Kiyori wydał zduszony jęk.
— Pomóżcie jej! — Krzyknął. — Zwalniam was z przyrzeczenia! Prędko!
Nao jak strzała wyskoczył z komnaty. Za nim pobiegli jego ludzie, po drodze dobywając mieczy. Midori stała po drugiej stronie korytarza. Była bez pasa, w rozchylonym kimonie. Całą bieliznę od piersi do bioder miała zalaną krwią.
— Midori!
Na widok ojca zrobiła chwiejny krok naprzód i bezwładnie osunęła się na podłogę.

* * *

Godzinę przed świtem pani Chiemi usłyszała donośny tętent na dziedzińcu. Wreszcie przybył wysłannik, na którego czekała. Zaszlochała cicho. Jej ciałem wstrząsnął gwałtowny dreszcz. Rękojeść *tanto* uwierała ją w zębra.

Pani Chiemi zaniosiła modlitwę do Litościwego Buddy. Nie prosiła o łaskę dla siebie, ale o spokój duszy jej ukochanej córki.

Namu Amida Butsu, Namu Amida Butsu, Namu Amida Butsu.

Te kilka słów, wypowiedzianych ze szczerym przekonaniem, gwarantowało, że Midori odrodzi się w Czystej Ziemi, Sukhawati.

Pani Chiemi nie była pewna, czy powinna w to wierzyć. Ale nie miała innej nadziei.

Wyciągnęła sztylet zza pasa. W lewą rękę wzięła pochwę,

a prawą zacisnęła na rękojeści. Usłyszała, że posłaniec gwałtownie zatrzymał konia. Na drewnianym podeście zadudniło echo szybkich kroków. Pani Chiemi mocniej ścisnęła sztylet, gotowa dobyć go w każdej chwili.

Zaskrzypiały otwierane drzwi.

— Pani Chiemi! — wydyszał goniec. Zmęczony szaleńczą jazdą, z trudem wyrzucał z siebie słowa, co chwila przerywając dla zaczerpnięcia tchu. Zanim skończył mówić, pani Chiemi wybiegła ze świątyni.

* * *

Jeszcze przed sekundą Yorimasa widział całą swoją przyszłość nie gorzej od proroka. Teraz, kiedy z fałszywą troską przygarnął młodą żonę, przez ubranie wyczuł jej dziecięce kształty. Pierwszy raz przyjrzał jej się uważniej. Miała gruby makijaż, zapewne nałożony przez służącą lub matkę. Z daleka mogła nawet uchodzić za dorosłą. Szkoda, że nie słuchałem tego, co mi o niej opowiadał ojciec... — pomyślał Yorimasa. Ale z chwilą, kiedy usłyszał, że ma się wkrótce żenić z córką Władcy Jabłek, na nic więcej nie zwracał uwagi.

— Midori?

— Tak, mój panie?

— W którym roku się urodziłaś?

— Panie? — Była zdumiona jego pytaniem. Przecież to wie! Nikt nie bierze ślubu bez rady astrologa. Ojciec twierdził, że poznał horoskop Yorimasy. Nie dopatrywał się w nim niczego złego. Yorimasa też musiał sprawdzić narzeczoną, bo inaczej nigdy nie zgodziłby się na małżeństwo. Ale nie mogła mu się sprzeciwić. Pierwsza ważna lekcja. Kiedy mąż o coś spyta, trzeba odpowiedzieć.

— W drugim roku panowania cesarza Ninko — odparła.

— A miesiąc?

Zaczerwieniła się. Taki miesiąc... i mąż widział ją na drzewie! Czy może być coś gorszego?

— W miesiącu małpy, panie — odpowiedziała tak cicho, jakby spodziewała się, że tego nie usłyszy.

Yorimasa spojrział na nią spod oka. Nic dziwnego, że nie umie porządnie się uczesać. Nic dziwnego, że łązi po drzewach

z wiejskimi chłopakami... Nie jest upośledzona, jak początkowo podejrzewał. Ma dopiero jedenaście lat.

Kiyori doskonale wiedział, że jego syn jest zdolny do najgorszych rzeczy — a jednak pchnął to dziecko w jego ramiona. Myślał wyłącznie o następcy i przyszłym proroku. Nie liczył ofiar. Poświęcił najstarszego syna i niewinną dziewczynkę. Nie dbał o nich.

Niech przekleństwo nieubłaganych bogów spadnie na jego głowę! — Pomyślał Yorimasa. Niech nigdy nie dostąpi łaski i opieki niezliczonego zastępu buddów.

Zdjął rękę z ramienia żony.

— Nie jestem potworem — powiedział.

— Nie, panie. — Midori spojrzała na niego z rosnącym niepokojem. Co to miało znaczyć?

Yorimasa wstał, zachwiał się i mimowolnie upadł.

— Popełniłem różne wstrętne czyny, ale nie jestem potworem!

Midori zdawała sobie sprawę, że nie pasuje do takiego męża. Czyżby tak bardzo był rozczarowany, że nie potrafił znieść nawet chwili zwyczajnej rozmowy? Nie... jeszcze gorzej. Kopniakiem przewrócił stojak na miecze i podniósł z podłogi krótkie *wakizashi*. Wyrwał miecz i odrzucił pochwę tak gwałtownie, że przebiła papierową ściankę i wypadła na korytarz. Taka żona to obraza dla samuraja. Chce ją zabić!

— Co teraz zrobisz ze swoją przepowiednią?! — Krzyknął Yorimasa.

Midori uniosła rękę i zasłoniła twarz szerokim rękawem kimona. Nie zamierzała się osłonić. Zrobiła to jedynie po to, żeby nie widzieć nadlatującego miecza. Struga krwi chlusnęła na podłogę. Kropla spadła na jej policzek. Midori nie czuła bólu. Żadnego uderzenia.

To nie jej krew!

Yorimasa wbił miecz w swój brzuch.

Midori krzyknęła.

* * *

Gdyby nie opium i łyk absyntu, gdyby nie wstyd, który go osłabił, i złość, która nim targała, na pewno dałby sobie radę.

Byłby pierwszym, który oszukał przeznaczenie przepowiedziane w wizjach księcia Okumichi. Ale złe nawyki potrafią zwyciężyć szlachetne intencje.

Złe trzymał miecz, więc trafił za wysoko, w okolice żołądka, zamiast w podbrzusze. Ponieważ zrobił to bez przygotowania, ostrze rozcięło kilka warstw kimona i utknęło. Nie mógł go przesunąć, żeby rozplatać sobie brzuch w tradycyjny sposób, to znaczy na krzyż. Mimo wszystko zapewne wykrwawiłby się na śmierć, gdyby nie nadeszła pomoc.

Midori podbiegła do niego.

— Co robisz, panie?!

Yorimasa otarł łzy bólu i złości. Próbował głębiej wbić miecz, ale przeszkadzały mu fałdy kimona. Zdołał jedynie lekko go przesunąć. Midori oburącz złapała za rękojeść i szarpnęła ją z całej siły. Yorimasa ścisnął ostrze przez materiał. Nie zdołał go utrzymać. Midori upadła na podłogę z mieczem w ręku.

Szybko rzuciła broń na ziemię i wróciła do Yorimasy. Wszystko wokół było zbryzgane krwią. Midori widziała wstrętną, pulsującą ranę w brzuchu męża. Próbowała zacisnąć ją dłońmi, ale to nie pomogło.

— Na pomoc! Na pomoc! Ojczy! Ojczy!

Zdjęła *obi*, odrzuciła fantazyjną kokardę i szybko zabandażowała ranę. Krew była dosłownie wszędzie. Midori nie mogła uwierzyć, że Yorimasa wciąż krwawi. Przecież wypłynęło z niego już chyba wszystko...

— Na pomoc!

Gdzie się podziała służba? Nie mogła dłużej czekać. Jeszcze chwila i Yorimasa umrze.

Potykając się, wybiegła z komnaty i popędziła na poszukiwanie ojca.

* * *

— Dlaczego nie pozwoliłeś mi umrzeć? — Spytał Yorimasa. — Zmusiłeś mnie do drugiej próby. Okropne, prawda? Samuraj, który zabija się dwa razy.

— Jestem z ciebie dumny — powiedział Kiyori.

Yorimasa odwrócił się, żeby na niego spojrzeć. Skrzywił się z bólu.

— Wiem, dlaczego targnąłeś się na swoje życie — rzekł Kiyori. — Nie chciałeś skrzywdzić tej dziewczynki.

— Nic nie wiesz! — Burknął Yorimasa. — Nigdy bym jej nie dotknął. Próbowałem się zabić, bo pod ręką nie było innych członków klanu Okumichi. Najchętniej rzuciłbym się na ciebie. Myślisz wyłącznie o swoich wróżbach! Pchnąłeś ją w moje ramiona niczym zwierzę na rzeź.

— Przepowiednia zostanie spełniona. Jesteś żonaty. Żyjesz. Twój syn urodzi się we właściwym czasie. Nigdy w to nie wątpiłem.

— Chyba na starość całkiem zgłupiałeś. Po tym, co zaszło, pan Nao wycofa się z małżeństwa. Nikt, nawet Władca Jabłek, nie będzie żył z taką hańbą. Wieść już rozeszła się po kraju. Kiedy tylko odzyskam siły, nikt nie odwiedzi mnie od samobójstwa.

— Zaręczam ci, że nie będzie żadnych plotek — powiedział Kiyori. — Nic się nie stało. Było wesele, młoda para spędziła wieczór na przyjaznej pogawędce, a potem żona odeszła do pokoju matki, aby tam przygotować się do podróży do zamku Chmara Wróbli. W tym samym czasie jej mąż i teść korzystali z uprzejmej gościnności pana Nao.

— Czegoś takiego nie da się utrzymać w tajemnicy.

— Zapominasz, że zanim poszedłeś do Midori, pan Nao odesłał z zamku żonę i wszystkich służących. Nikt nic nie widział.

— Nie będę sypiał z dzieckiem.

— Wiem, że nie będziesz. Wcale tego od ciebie nie wymagam.

Yorimasa był coraz bardziej zdziwiony.

— To co z następcą?

— Przyjdzie na świat w odpowiedniej chwili. Na razie zajmij się Midori. Wkrótce dorośnie, stanie się kobietą i twoją prawdziwą żoną.

— To śmieszne. Takie rzeczy zdarzają się tylko w bajkach. Gdy wyzdrowieję, natychmiast dokończę to, co zacząłem.

— W takim razie najpierw zabij Midori — powiedział Kiyori. — Jest przekonana, że to przez nią chciałeś popełnić samobójstwo. Myśli, że byłeś nią rozczarowany. Wstydzi się.

Oznajmiła matce, że jeżeli umrzesz, ona natychmiast podąży za tobą.

— Nic mnie to nie obchodzi — mruknął Yorimasa i zamknął oczy.

Kiyori nic nie powiedział, ale na jego twarzy przez dłuższą chwilę gościł radosny uśmiech.

Chmara Wróbli, 1867

— Moja matka miała siedemnaście lat, kiedy się urodziłem — powiedział Genji. — Zgodnie z przewidywaniami dziadka, ojciec zajął się nią bardzo troskliwie.

— Taka głęboka zmiana charakteru bardzo często wynika z poczucia powołania do prawdziwej wiary — zauważyła Emily. — Tak było też w przypadku twojego ojca?

— Nie — odparł Genji. — Nie należał do szczególnie religijnych. Odmieniło go coś innego.

— Co?

— Moim zdaniem odkrył znaczenie miłości.

— Ach... To bardzo sprytnie z twojej strony. Okrężną drogą powróciłeś do mojego pytania. Teraz już się nie wykręcaj — z uśmiechem odpowiedziała Emily.

— Nigdy się nie wykręcałem. Powiedziałem tylko, że niełatwo znaleźć właściwą definicję. Znasz historię moich rodziców, więc zrozumiesz, co chcę powiedzieć.

— Zatem?

— Mój ojciec był pełen nienawiści, bo myślał wyłącznie o sobie. To chyba odwieczne źródło wszelkiej niechęci. Zmienił się z chwilą, kiedy znalazł kogoś, kim mógł się zaopiekować. Kogoś, kto był w jeszcze większej potrzebie. To właśnie moja definicja miłości. — Genji popatrzył na Emily. — A twoja?

Emily powstrzymywała się od łez, choć próbowała to ukryć. W końcu musiała dać za wygraną — i nie bacząc na to, że płacze, powiedziała:

— Taka sama jak twoja, panie.

III

Jutro, wczoraj, dzisiaj

Widoki z baszty

Pamięć jest zdradliwie uwodzicielska.

Jeśli niewiele pamiętasz, czynisz ciągle starania, żeby przypomnieć sobie nieco więcej. Jeśli pamiętasz dużo, wciąż chcesz przypomnieć sobie więcej. W obu przypadkach pamiętasz tylko to, co ci pochlebia. Inne rzeczy na zawsze wyrzucasz ze wspomnień. Czy to nie mile, że pamięć nigdy cię nie zawodzi? Zawsze znajdziesz w niej to, czego szukasz.

A jeśli pamiętasz wszystko?

Spróbuj zapomnieć. W tym tkwi największa tajemnica.

Aki-no Hashi
(1311)

Po powrocie z Doliny Jabłek Emily poszła do siebie, żeby odpocząć. Genji zaś wspiał się na zamkową wieżę. Na ogół wszyscy unikali tego miejsca. Plotki o duchach, a szczególnie o zjawie pani Shizuki, nie zachęcały do niepotrzebnych wizyt. Tylko czasami było inaczej. Na siódmym piętrze, w specjalnym pomieszczeniu, spoczywały prochy dawnych księżniczek i książąt. Tam odbywały się uroczystości z okazji ważniejszych rocznic. W innych dniach na wieżę zaglądali jedynie mnisi albo mniszki. Rano składali kwiaty na ołtarzu, palili trociczki i odmawiali sutry. Wieczorem wracali, żeby uprzątnąć kwiaty, zebrać resztki trociczek i uroczyście zamknąć wieżę na noc. Genji lubił ciszę panującą w wieży — i widok na cztery strony świata. Nie bał się duchów.

Kłęknął przed prochami swoich przodków i wrócił pamięcią

do niedawnej rozmowy z Emily. Dlaczego opowiedział jej o rodzicach? Przecież nie musiał się usprawiedliwiać. Tylko pa-trzeć, jak wróci Charles Smith i ponownie się jej oświadczy. Na pewno zostałby przyjęty prędzej, gdyby Emily nie wiedziała, co Genji myśli o miłości. Nareszcie wyjechałaby z Japonii. Już by się więcej nie zobaczyli. Nie powinien pytać, co naprawdę do niego czuje. Jeśli coś czuje... A jednak coś go podkusiło, żeby podzielić się z nią wspomnieniami. Gorzej, podkreślił wszystkie szczegóły, które wiązały się z jego smutnym dzieciń-stwem, degeneracją ojca i zbawiennym wpływem miłości młodej żony. Emily słuchała go ze łzami w oczach. Od początku wiedział, że tak będzie. Jeśli kobieta nad kimś płacze, to znak, że go prawdziwie kocha. Chciał więc ją uwieść słowami? Przecież zaprzeczał temu od początku!

Jeśli naprawdę chce, żeby wyjechała, nie powinien jej nicze-go mówić.

Albo wyznać wszystko.

Spojrzał na dwie gliniane urny stojące przed nim. Większa, kanciasta, ciemnoszara, zawierała prochyjego ojca. W mniejszej, obłej i jaśniejszej, złożono szczątki matki. Patrzył na nie przez większość życia, choć początkowo czynił to jedynie z poczucia synowskiego obowiązku. Potem przychodził tutaj w trudnych chwilach, z cichą nadzieją, że znajdzie radę albo przynajmniej pocieszenie. Od dziecka wiedział, że będzie księciem, więc nie mógł okazywać słabości przed służbą lub samurajami. Wtedy mógł liczyć tylko na rodziców. Ale dawno nie żyją, więc nie mogą się do niego odezwać. Lecz tu są. To mu wystarczy. Na dobrą sprawę, sam nie wiedział, dlaczego tak się dzieje.

Może jest tak przesądny, jak inni ludzie? Nie bał się duchów, lecz na swój sposób polegał na ich obecności.

A może było tak, jak mówił, kiedy ktoś o to go zapytał?

Że lubi ciszę.

1840

Genji siedział obok ojca przed urną z prochami matki. Starał się nie zwracać na siebie uwagi, ale był bardzo podekscytowany.

Za niecały tydzień skończy pięć lat. To ważna granica wieku. Wiele osób, zwłaszcza kobiety, wciąż traktowało go, jakby był dzieckiem. Pięcioletni chłopiec nie jest dzieckiem. To już chłopiec. Co do tego nikt nie miał wątpliwości. Od małego chłopca tylko niewielki krok do młodzieńca, a później mężczyzny. Genji chciał być mężczyzną. Czekał, aż służba i wojownicy powiedzą wreszcie: „książę Genji” bez pobłażliwego uśmiechu. Będą się do niego zwracali jak do dziadka lub stryja. Kiedy ktoś mówił „książę Kiyori”, albo „pan Shigeru” jego głos pobrzmiwał niekłamany szacunkiem. Genji też chciał być tak poważany, jak tych dwóch samurajów.

O ojcu myślał znacznie rzadziej. Ludzie mówili o Yorimasie głównie ze smutkiem albo ze współczuciem, czasem z pogardą. Nigdy z szacunkiem. Co to za samuraj? Genji zamierzał być zupełnie inny.

— Pamiętasz matkę? — Spytał Yorimasa.

— Tak, ojciec — odpowiedział Genji. Ojciec pytał go o to samo przy każdym spotkaniu, czyli od śmierci matki niezbyt często.

— To dobrze — westchnął Yorimasa. — Chcę, żebyś ją pamiętał. To była najwspanialsza i najukochańsza kobieta na świecie.

— Tak, ojciec. — Prawdę mówiąc, jej obraz zaczął się zacierać w pamięci Genjiego. Rok w świecie dorosłych to może niewiele, ale dla małych chłopców to bardzo długo. Przypominał sobie, że była bardzo piękna i cudnie pachniała. Często się uśmiechała i nie złościła się, nawet jeśli nabroił.

— Nie rób tego więcej — mówiła spokojnie.

— Tak, mamó — kiwał głową Genji.

— Dobry z ciebie chłopiec — odpowiadała i brała go w ramiona.

Jeszcze to pamiętał, lecz głos matki był cichy, a jej obraz tonął w cieniu. Jakby ją widział o zmierzchu.

— Moje życie było pasmem nieszczęść — powiedział Yorimasa. — Powiedziano mi, że nie stanę na czele klanu. Że nie dla mnie dar jasnowidzenia. Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. A potem ją poznałem...

Genji miał nadzieję, że ojciec się na niego nie gniewa.

Wiedział od dziadka, że to on będzie księciem, nie zaś Yorimasa czy stryj Shigeru. Niedobrze, gdyby Shigeru złościł się na bratanka. Był wspaniałym szermierzem. Powiadano, że najlepszym od czasów Miyamoto Musashiego. Wiem, że przegram, jeśli stryj rzuci mi wyzwanie... — myślał Genji. Wprawdzie samuraj powinien być zawsze pewny siebie, ale w przypadku stryja to się nie sprawdzało. Z ojcem Genji mógł walczyć, choć ojciec był dorosły, a on był zaledwie chłopcem. Yorimasa niemal bez przerwy był wstawiony. Samuraj, który pije, nie jest prawdziwym samurajem. Tak zawsze powtarzał dziadek. Ale ojciec o nic się nie złościł. Z uśmiechem wciąż mówił o matce.

— W życiu ważna jest miłość — rzekł. — Tego nauczyła mnie żona. Inne rzeczy nie mają znaczenia.

W takich razach Genji czuł się zakłopotany. Ojciec mówił jak baba, a nie jak samuraj. Dla wojownika liczył się wyłącznie honor, zwycięstwo lub chwalebna śmierć. Miłość? To dobre dla kobiet.

— Nie jestem silny. Za to cię przepraszam. Przez całe życie uważałem się za bohatera. Później spotkałem twoją matkę i wtedy zrozumiałem, że słabość jest silniejsza. Miłość ma prawie same dobre strony. To jedno jest przekleństwem. Rozumiesz?

— Tak, ojcze. — Genji nie zrozumiał z tego ani słowa. Jak słabość może być silniejsza od siły? Ale nie mógł przyznać się do swojej niewiedzy. Nie chciał, żeby ojciec znowu powiedział coś kłopotliwego. W ogóle najlepiej, żeby sobie poszedł.

— Gdyby żyła... — Yorimasa umilkł na chwilę. Wciąż się uśmiechał. — Gdyby mnie nie poznała, zapewne by żyła — podjął. — Nie znałbym jej, nie kochał i nie był kochanym. Żyłbym w strasliwym świecie, w którym żyłem przedtem. Mimo to wolałbym wrócić do przeszłości, gdybym wiedział, że ona żyje i nadal jest szczęśliwa.

Ojciec plótł trzy po trzy, zupełnie bez sensu. Gdyby jej nie spotkał, to skąd mógłby wiedzieć, czy żyje, czy umarła? Z czego miałyby się cieszyć? Przecież by jej nie znał.

— Rozumiesz?

— Tak, ojcze.

Yorimasa roześmiał się. Z uczuciem ścisnął ramię syna.

— Nieprawda. Ale pewnego dnia... jeśli będziesz miał szczęście i straszego pecha, być może zrozumiesz, o czym mówię.

Kolejna bzdura.

— Tak, ojciec — odparł Genji. Kiedy on sobie pójdzie?

Później trochę żałował, że ojciec nie został dłużej, bo nigdy więcej już go nie zobaczył. Niecały miesiąc później znaleziono Yorimase martwego. Miał przy sobie niewielki podarek dla Genjiego, starannie zawinięty w kawałek jedwabiu. Obok leżał krótki list.

Kochany Synu! Wybacz, że przegapiłem Twoje urodziny. Oto spóźniony prezent. Mam nadzieję, że będzie dla Ciebie takim skarbem, jakim był dla mnie.

Żadnego poematu. Prawdziwy samuraj napisałby przed śmiercią wiersz.

Genji zobaczył cienki srebrny łańcuszek, na którym wisiały drobne białe kamyki, pieczołowicie wyrzeźbione w kształt miniaturowych jabłek. Łańcuszek kiedyś był własnością matki. Genji pamiętał, że zawsze nosiła go przy pasie.

Zatrzymał prezent, choć nie traktował go jako pamiątki po zmarłym ojcu. Zrobił to, bo tak wypadało. Samuraje zawsze robią to, co należy, bez względu na uczucia. Schował łańcuszek i zapomniał o nim, bo chciał też jak najszybciej zapomnieć o swoim nieszczęsnym ojcu.

1867

Genji spojrział na małe białe jabłka, które trzymał w dłoni.

Są symbolem śmierci czy miłości? A może obu tych rzeczy? W jego rodzinie miłość splatała się ze śmiercią. On sam urodził się zgodnie z przepowiednią, ale rodzice zmarli. Nie ocaliło ich uczucie. Wręcz przeciwnie, to miłość wpędziła ich do grobu.

Przez całe lata z niechęcią myślał o ojcu, oskarżając go o słabość i tchórzostwo. Śmierć matki rozumiał. Każdy poród wiązał się z ryzykiem. Ale który samuraj umierał z miłości? Kiedyś zdawało mu się, że poznał odpowiedź. Teraz już nie był tego pewny. Czy ojciec umarł ze słabości? Czy raczej

357

okazał siłę? W dzieciństwie Genji nie pojmował, co znaczą słowa „w słabości siła”. Zrozumiał to jako dorosły. Był przez to słabszy czy silniejszy?

Roześmiał się głośno w swej samotni na szczycie wieży.

Popatrzył na maleńkie jabłka. Nakrył je drugą dłonią i ścisnął tak długo, aż przestały być zimne jak kamienie. Ogrzał je własną krwią i ciałem.

Zapadła noc. Okumichi-no kami Genji, daimyo Akaoki, siedział na wieży zamku Chmara Wróbli, sam jeden obok prochów ukochanej matki i szlachetnego ojca.

1860

Pan Kiyori poczuł lekki zawrót głowy. Z początku myślał, że wypił trochę za dużo sake. Potem stwierdził, że język mu tężeje. Coś drapało go w gardle, czuł mrowienie w rękach i stopach. Zaczęło go razić światło, a wokół pani Shizuki pojawiała się biała poświata... Jakby odległa tęcza. Jej obraz zawsze był półprzezroczysty, więc widok stał się przykry.

— Powiedziałaś mi, że już nigdy więcej się nie zobaczymy — jęknął Kiyori. — Niestety, chyba źle cię zrozumiałem. Nie wiedziałem, że umrę.

— Nie myślałam o tym — odparła Shizuka. — Nie zamierzałam niczego przed tobą ukrywać. Nigdy nie mówię zagadkami i nie próbuję cię oszukać.

— Zaprzeczasz więc, że przed chwilą spożyłem truciznę? — Kiyori spojrzał na pustą czarkę. — Była w zupie, prawda? Kto mnie zabił?

— Niczemu nie zaprzeczam. Wiem bardzo wiele rzeczy. Podzieliłam się z tobą tylko małą częścią tego, co jest mi znane. Chciałbyś, abym ci opisała całe twoje życie? Każdy triumf, tragedię, zwycięstwo i rozczarowanie? Chciałbyś wiedzieć, gdzie, kiedy i w jaki sposób umrzesz?

Kiyori pokręcił głową.

— Jak zwykle masz rację. I tak wiem już więcej, niż powinienem wiedzieć. Chybabym się załamał pod cięższym brzemieniem.

— Byłeś nadzwyczaj dzielny, książę. Znosiłeś to z odwagą, dostojnie i szlachetnie.

— Naprawdę? — Kiyori pochylił się. Nadal oddychał bez większego trudu, ale jego mięśnie stopniowo słabły. Nie mógł dłużej usiedzieć prosto. — Kto mnie zabił? Ta żmija od shoguna, Kawakami Lepkie Oko?

Shizuka, nie wstając z klęczek, z gracją przesunęła się bliżej niego. Zrobiła taki ruch, jakby chciała położyć mu ręce na ramionach. Oczywiście nie mogła do dotknąć. On jej również nie.

— Nie martw się — powiedziała. — Odejdź w pokoju. Popłyn z falą swego oddechu.

— To Kawakami — upierał się Kiyori. — W naszym zamku jest zdrajca. Muszę bronić Genjiego. Muszę go ostrzec... — Nie mógł wstać. Na czworakach podpełzł do stolika, na którym stał tusz i przybory do pisania.

— Kawakami nie ma z tym nic wspólnego — oznajmiła Shizuka. — Genjiemu nic nie grozi. Ten, który podsunął ci truciznę, sam zginie, zanim skończą się obchody Nowego Roku. — Nie powiedziała mu, że to Shigeru. Nie powiedziała mu, że jego syn oszalał i że ta śmierć zapoczątkuje całą serię morderstw, które zostaną dokonane tej nocy. Oto koniec przepowiedni, którą przed laty pan Kiyori podzielił się z panem Nao. Zanim nastanie świt, będzie jedynie dwóch potomków rodu Okumichi: Genji i Shigeru. A potem tylko Genji.

Kiyori przeczołgał się kilka metrów. Opuściły go siły. Przewrócił się na plecy i leżał, patrząc w sufit. Z trudem poruszał powiekami.

Shizuka uklękła przy nim.

Spojrzał na nią.

— Genji będzie bezpieczny...

— Tak.

— Klan przetrwa...

— Tak.

— Pokonamy shoguna Tokugawę...

— Tak.

— Nie próbujesz mnie pocieszyć tylko dlatego, że umieram?

— Nie, panie. Nigdy bym tego nie zrobiła.

Kiyori łapczywie chwytął oddech. Miał wrażenie, że jego przepona całkiem zwiotczała i całe ciało zapada się do środka.

— Powiedz mi... chociaż na koniec... Kim jesteś?

— Twoją oddaną przyjaciółką, księżę. Ty także byłeś moim przyjacielem.

— Nie o to chodzi... — Każdy następny łyk powietrza był wielkim zwycięstwem. Kiyori nie dokończył pytania.

Shizuka pochylała się nad nim. Gdyby tylko mogła, utuliłaby jego głowę w pożegnalnym uścisku.

Jeszcze próbował coś powiedzieć, ale mu się to nie udało. Zrobił wydech — i już nie wciągnął więcej powietrza.

Shizuka miała łzy w oczach. Dobrze wiedziała, że to niemądrze płakać z powodu śmierci pana Kiyoriego, który właśnie umarł, lecz miał się narodzić dopiero za pięć wieków.

Z drugiej strony cóż jej pozostało? Była kobietą, która widziała cały cykl ludzkiego życia. Jak tu nie płakać?

1308

Shizuka borykała się z pamięcią. Chciała zapomnieć — w ten sam sposób, w jaki inni chcą zachować wspomnienia. Już od urodzenia wiedziała wszystko naraz, więc umiejętność doboru i selekcji stanowiła dla niej podstawę w miarę normalnej egzystencji. Ludzie na ogół mało pamiętali. Ona zapominała aż za dużo. Dobrze wiedziała, że w zamku jest rozarium. Zapomniała jedynie: kiedy? Nikt nie słyszał o panu Narihirze, który zasadził pierwsze róże. Jeszcze się nie urodził. Dziś, na wieży, chciała wejść na piętro, którego nie było.

Zatrzymała się na szczycie schodów i wbiła wzrok w sufit.

— Co się stało? — Zapytał Hironobu.

— Nic. — Pozornie niedbałym krokiem podeszła do południowego okna i popatrzyła na wygięty brzeg wyspy Shikoku. Ciemny las na tle jasnego Pacyfiku. Hironobu wystraszył się, kiedy z płaczem szukała róż w ogrodzie. Teraz byłby bardziej zdziwiony, gdyby spytała go, gdzie jest siódme piętro? Powinno

360

być, bo właśnie tam umrę, pomyślała Shizuka. Tam urodzi się moja córka.

Sprawa pamięci i zapomnienia powodowała pewne komplikacje. Do tej pory Shizuka mieszkała w opactwie Mushindo. Było to w sumie niewielkie i zamknięte miejsce, chociaż i tam miewała chwile, w których nie umiała oddzielić złudy od rzeczywistości, prawdy od przepowiedni i wizji od koszmaru. Po tej stronie murów czuła się jeszcze gorzej. Za dużo musiała spamiętać, jeszcze więcej zapomnieć... Życie trwało zbyt krótko, by dokonać wszystkiego.

— Nie podoba ci się ta baszta?

— Ależ skądże, panie.

Hironobu uśmiechnął się i wziął ją w ramiona.

— Kiedy jesteśmy sami, nie musisz mówić do mnie „panie”.

Shizuka zerknęła na dwóch wojowników, którzy udawali, że nie patrzą na tę czułą scenę.

— Zostawcie nas — rozkazał Hironobu.

— Tak, panie. — Ukłonili się i tyłem wyszli z komnaty.

— Jeżeli zamek jest za mały, to go dla ciebie przebuduję.

Powiedz mi tylko, czego chcesz.

— To naprawdę wspinała twierdza. Nie potrzeba żadnych przeróbek.

Hironobu musiał zbudować siódme piętro, i to w miarę szybko. Jednak powinien być przekonany, że pomysł wyszedł od niego. Gdyby zrobił to dla niej, poczułby się mniej pewnie. Nie wiedziała dlaczego — ale tak w istocie było. Wiele nieszczęść, które w przyszłości czyhały na klan Okumichi, brało się stąd, że niektórzy ludzie mieli dużo większe mniemanie o sobie, niżby to wynikało z ich marnej egzystencji. Ta cecha dotyczyła nie tylko jej męża, ale w gruncie rzeczy wszystkich samurajów. W tej kwestii Shizuka nic nie mogła zrobić. W swoim życiu widziała wiele, ale niczego nie zmieniła. Spoglądała w odległą przeszłość, lecz nie była zdolna do działania.

— Ciekawe... — mruknął Hironobu. Stał obok żony i spojrzał na fale monotonicznie bijące o plażę. — Ojciec zbudował tę basztę — dodał z lekkim niezadowoleniem w głosie. Dąsał się, bo jak wszyscy synowie na świecie chciał być lepszy od ojca.

Shizuka oparła się o pierś męża. Nawet przez kimono czuła bijący od niego żar. Hironobu był bardzo ciepły. Wiedziała, że przy nim też wkrótce się rozgrzeje — i to tak mocno, że staną się jednym ciałem.

1796

— Tak, panie Kiyori — powiedział architekt. — Rozumiem wszystkie twe życzenia.

— Mam nadzieję — mruknął Kiyori. Nawet służba nie traktowała go poważnie. Miał dopiero piętnaście lat i został księciem miesiąc temu, po nagłej śmierci ojca.

— Tak, panie.

— Ale?

— Chcesz dobudować jeszcze jedno piętro. Siódme, bo dowiedziałeś się, że w przeszłości zamkowa wieża miała siedem pięter.

— Tak. I?

— Twój opis jest bardzo szczegółowy, panie. Byłoby jednak dużo lepiej, gdybyśmy obejrżeli plany. Jak to powiedział kiedyś mistrz Kung*: *W jednym obrazie jest zawarte więcej niż w tysiącu znaków.*

Kiyori był już bardzo zły.

— Gdybym miał jakieś plany, tobym je pokazał.

— Nie masz ich, panie? Nic nie rozumiem. Więc kto je ma?

— Nikt.

— Ale... — Architekt urwał.

— Mów dalej.

— Wybacz mi, panie. Coś źle zrozumiałem. Zdawało mi się, że widziałeś plany.

— Nie — odparł Kiyori. Nie wyznał całej prawdy. Czuł się bardzo zakłopotany. — Widziałem siódme piętro.

Architekt zamrugał gwałtownie, a potem wybałuszył oczy. Zrozumiał.

— Wizja?

* Tak nazywano Konfucjusza (Kung-fu-tcy).

— Tak. — Kiyori miał nadzieję, że na tym się skończy.

Architekt skłonił się do ziemi.

— Pokornie proszę, abyś przyjął moje gratulacje, panie. Spodziewam się, że w przyszłości uszczęśliwisz nas jeszcze niejedną przepowiednią.

— Dziękuję.

— Moi ludzie natychmiast przystąpią do budowy... a raczej odbudowy wieży.

— Bardzo dobrze. Zawiadom mnie, kiedy zaczniecie kłaść podłogę.

— Chcesz być przy tym obecny, panie?

— Tak.

Widmo, które zobaczył ubiegłej nocy, ostrzegało go, że powinien zwrócić na to szczególną uwagę.

Jeśli popełnisz najdrobniejszy błąd, będę stała niżej przed tobą, z nogami uciętymi w kostkach, albo wisiała nad podłogą.

— A co ci to przeszkadza, skoro jesteś duchem? — Spytał.

— Ludzki umysł odrzuca to, co niemożliwe. Zbyt wiele tajemniczych zjawisk może wywołać obłąd.

— Tak jest, panie. — Architekt znów nisko się pokłonił. — Wedle rozkazu.

Po chwili wszyscy już wiedzieli, że młody książę odziedziczył po swoim ojcu dar. Od tej pory traktowano go całkiem inaczej. Kiedy tylko coś mówił, służba i lennicy słuchali go z uwagą. Wszelkie jego rozkazy spełniali bez wahania. W innych częściach kraju ludzie podkpiwali z „proroczych zdolności” książąt Okumichi. Ale nie w Akaoce. Cała siła, dostatek i bezpieczeństwo klanu opierały się właśnie na dawnych przepowiedniach.

Tutaj dar jasnowidzenia dawał ogromną władzę, nawet wtedy, kiedy prorokiem był piętnastoletni chłopiec, który „patrzył” nieco inaczej, niż wszyscy myśleli. Tylko on znał przyszłość.

Kiyori kurczowo trzymał się tej nadziei. Chyba poza nim nikt inny nie widział Shizuki?

Shizuka niemal wszystkie noce spędzała w komnacie męża. Czasami, dla odmiany, on przychodził do niej. Poza tym przez pierwszy tydzień po przyjeździe do zamku większość czasu przesiadywała na najwyższym piętrze wieży.

— Dlaczego? — Spytał Hironobu. — Przecież swobodnie możesz bawić się z dworkami. Są muzycy, pieśniarze, a nawet poeci. Jeśli chcesz się przejechać, wystarczy zejść do stajni. Chyba że wolisz powóz.

— Wolę podziwiać widok — odparła Shizuka. — Przez całe szesnaście lat żyłam na ziemi, za murami opactwa. Nigdy nie widziałam tak ogromnego świata, z takiej wysokości. Wiem, że źle robię, naruszając domenę wojowników. Nie powinnam tutaj przychodzić... — Uśmiechnęła się i schyliła głowę w ukłonie.

Hironobu wybuchnął śmiechem.

— Wojowników? Nieprawda. Samuraje z klanu Okumichi nie wypatrują wroga z wysokości baszty. Nie czekają na oblężenie. W ogóle nie czekają. To urodzeni jeźdźcy. Najlepsza kawaleria w całej Japonii. Dla nas wojna to ciągły atak. Wrogowie muszą zachować czujność. Gdy nas zobaczą, będzie już za późno.

Podczas ich pierwszej rozmowy Hironobu wspomniał o kłesce rodu Hojo i pamiętnej bitwie, która wyniosła go do godności księcia. Samuraje lubili się chwalić. W tym samym tonie mówili o przyszłych wydarzeniach, zaręczając, że dokonają wiekopomnych czynów. Patos był na porządku dziennym.

Shizuka ukloniła się.

— Twoi poddani mają dużo szczęścia. Żyją bez obaw i w spokoju, o którym inni mogą tylko marzyć. Całym krajem wstrząsają wojny. Tu, w Akaocze, jest bezpiecznie.

— Tak — przyznał Hironobu. — Spokojnie i bezpiecznie.

Zapamiętał sobie te słowa. Użył ich później, opisując dzieje swojego klanu. Wiele pokoleń później wszyscy się dziwili, że wbrew przeciwnościom osiągnął aż tyle. Ale jak to się stało, że wspaniały dowódca — i do tego prorok — nie został shogunem?

Ba, nawet nie podbił całej „Shikoku, najmniejszej z trzech głównych wysp tworzących Japonię.

— Mogę cię o coś spytać? To może niegrzeczne...

— Wszak jesteś moją żoną — z emfazą podkreślił Hironobu. — Możesz pytać o wszystko, o co tylko zechcesz.

— Dziękuję, panie. Jesteś bardzo łaskawy.

Hironobu znów się roześmiał. Usiadł koło niej i objął ją.

— Nie mów do mnie „panie”. Przecież jesteśmy sami. Nie bawmy się w etykietę.

Wtulił twarz w jej szyję i głęboko wciągnął powietrze.

— Pachniesz o wiele piękniej niż wszystkie perfumy i kadzidła, jakie wąchałem w życiu.

Shizuka oblała się rumieńcem.

— Nobu-chan ... — szepnęła, zwracając się do niego dziecięcym zdrobnieniem.

Wstrzymał oddech, a kiedy się odezwał, w jego głosie dzwięczała uwodzicielska nuta.

— Ty... — mruknął i wsunął dłoń w szeroki rękaw jej kimona.

Shizuka leżała na podłodze. Nad sobą widziała bladą twarz Hironobu, z zaczerwienionymi powiekami i lekkim rumieńcem na policzkach. Był rozpalony. Nad nim majaczył sufit.

Ten sam sufit, który niedługo miał się stać podłogą siódmego piętra wieży.

* * *

Po tych zdarzeniach Hironobu nie dziwił się częstym wizytom Shizuki na wieży.

— Siedz sobie tam, ile chcesz — powiedział. — Gdybym ja większość życia zmarnował w świątyni, to pewnie też bym tęsknił do takich widoków.

— Jesteś bardzo dobry — odparła Shizuka. — Tylko prawdziwy mężczyzna ma tyle serca.

Znowu poszła na górę, ale „widok” był inny niż ten, o którym przed chwilą mówiła mężowi.

Siedziała w pozycji lotosu, pogrążona w głębokiej medytacji. Dłonie miała złożone na wysokości brzucha w pozycji *zazen mudra*. Przymknęła lekko oczy, a jej oddech stał się tak cichy,

iż mogłoby się zdawać, że wcale nie oddycha. Ta medytacja służyła jednak innym celom niż to zwykle bywa. Zamiast oczyścić umysł, Shizuka chwytła strzępy różnych obrazów, oddzielała jedną iluzję od drugiej, słuchała pustych opinii o nieistotnych sprawach i bez wahania wkraczała w głąb smolistej próżni zwanej niemyśleniem. Przywoływała cudze domysły, własną wyobraźnię, rozum, nadzieję, chciwość i obawę. Zapraszała do siebie głód, upał i mróz, ból i rozkosz, słodycz i gorycz, zapach, smak, dotyk, wzrok — prawdziwy, wewnętrzny i wymaginowany. Cisza i spokój zniknęły jak zdmuchnięte pod natłokiem tysięcy głosów, domagających się wysłuchania.

Ale głosy mogą poczekać. Teraz musi prędko odzyskać te wspomnienia i przecucia, których pozbyła się pochopnie, wracając do rzeczywistości. Kiedyś uznała, że cały świat zamknięty jest w murach Mushindo. Może się skupić tylko na tym. Teraz musi wiedzieć dużo więcej... ale to oznacza powrót do szaleństwa.

Nagle po jej plecach przebiegł ostrzegawczy dreszcz, dotarł do ramion, szyi, głowy... Ktoś za nią stanął. Ktoś myślący. Nie usłyszała kroków na schodach, zapowiadających jego przybycie. A zatem zjawia? Kolejny koszmar czy człowiek o złych zamiarach?

Shizuka przerwała wędrówkę po wspomnieniach i szerzej otworzyła umysł. Nie musiała nawet się odwracać, żeby dowiedzieć się, kto za nią stoi. Od pewnego czasu nie czytała cudzych myśli. Odrzuciła tę umiejętność, aby nie wpaść w obłąd. Lecz zachowała jedną cechę. Znała intencje innych ludzi. Po tych intencjach go rozpoznała.

— Jeśli to zrobisz, Hironobu od razu wskaże na ciebie — powiedziała.

Go ze świstem wciągnął powietrze. Stanął jak wryty, zaledwie kilka kroków za jej plecami.

— Niech wie... — mruknął. — Niech mnie zabije. Umrę bez żalu, ze świadomością, że ty też nie żyjesz.

Shizuka odwróciła się do niego. Nie miał w ręku broni.

Chciał ją wyrzucić przez okno? Całkiem możliwe. Uśmiechnęła się.

— Skąd wiesz, że nie umiem latać?
— Wiedźma — syknął ze złością i sięgnął po miecz.
— Mój mąż od razu cię zgładzi. Zapewne pójdziesz na tortury. Potem zostaniesz ukrzyżowany.
— Naprawdę myślisz, że boję się bólu? Nie bardziej niż śmierci. A przed śmiercią w ogóle nie odczuwam strachu.
Zrobił krok do przodu.
— Ty, nie — powiedziała Shizuka.
Znów się zatrzymał.
— Czyżbyś, wspaniały generale, nie wiedział, co spotyka zdrajców? Nie trafisz sam na miejsce kaźni. Twój wasale, twoi słudzy, twoja żona... Wszyscy pójdą za tobą do piekła. Chiaki też.
Na dźwięk imienia syna Go bezsilnie opuścił miecz i chwytając się o parę kroków.
— Zamorduję cię — wycharczał.
— Tak, to prawda — skinęła głową. — Ale nie dzisiaj.
— Całkiem niedługo.
— Trochę się spóźnisz.
— Na co?
— To też odkryjesz trochę za późno.
Go wsunął miecz do pochwy.
— Nie wiedziesz mnie fałszywą wróżbą czy innymi oszustwami. Tylko udajesz, że wiesz więcej. To stara sztuczka czarownicy. — Odwrócił się na pięcie i szybko podszedł do drzwi.
— Wiem, kim jestem — powiedziała Shizuka.
Stał i spjrzał na nią.
— Wszyscy wiedzą, kim są, z wyjątkiem dzieci, idiotów i szaleńców.
— Wiem, kim ty jesteś.
— To także nie tajemnica. Ten kraj nie istniałby bez mnie.
— Wiem, kim jestem, bo znam ciebie — ciągnęła Shizuka. — To bardzo smutne, kiedy ojciec chce zamordować własną córkę. Chyba powinien jej bronić.
— Bądź przeklęta przez wszystkie wieki! — Burknął Go. — Przepadnij razem z każdą czarownicą zrodzoną z tej diabelskiej krwi!

Gasnące echo jego kroków pomału ucichło na schodach. Shizuka siedziała w milczeniu. Wiedziała, że jej ojciec powróci na wieżę dopiero w ostatnim dniu jej — i swojego — życia.

* * *

Kiedyś Shizuka chciała zapomnieć. Teraz robiła wszystko, żeby zapłacić luki w pamięci. Sprawiał to upiór z głównej wieży. Zapewne kiedyś go poznała, w czasach nauki i szaleństwa, lecz wyrzuciła to ze swoich wspomnień.

Kim był?

Musi tego się dowiedzieć, zanim powstanie siódme piętro. Przed przyjacielem nie trzeba się ukrywać. Jeśli jest wrogiem, chciała go lepiej poznać, żeby wymyślić jakąś obronę. Przestraszył ją — a przecież ona dawno odwykła od strachu.

Pierwszy raz zobaczyła go zaraz po przyjeździe na zamek. Siedziała w komnacie na szóstym piętrze wieży, rozczarowana, że nie ma siódmego. Nagle usłyszała, że ktoś wchodzi po schodach. W drzwiach stanął jakiś nieznany młodzieniec. Miał może piętnaście lub szesnaście lat. Za pasem nosił „dorosłe” miecze, chyba trochę dla niego za duże. Na jego twarzy malowała się bardziej szczerłość i determinacja niż inteligencja i uroda. Shizuka chciała coś do niego powiedzieć, kiedy zrozumiała, dlaczego wydał jej się taki dziwny.

Był przezroczysty.

Odwrócił głowę w jej stronę. Wydawało się, że na nią patrzy.

Shizuka zamarła bez ruchu. Może jeśli będzie stała zupełnie nieruchomo, wśród długich cieni rzucanych przez zachodzące słońce, to jej nie zauważy? Może też jest dla niego przejrzysta? Pewnie nie widział jej ukrytej w mroku. Wydawała się halucynacją.

Upiór przeszedł koło niej, jakby jej nie było. Dotarł do przeciwległej ściany i wspiał się w powietrze. Ruszał nogami tak, jakby wchodził po nieistniejących schodach.

Shizuce głos uwiązał w gardle. Zaciśnęła zęby na dłoni, żeby nie krzyknąć. Bała się, że najmniejszym dźwiękiem zwróci uwagę zjawy.

Upiór zatrzymał się tuż przed sufitem.

— Mogę wejść, pani Shizuko? — Zawołał.

Chyba otrzymał pozwolenie, bo uklonił się i chwilę później zniknął w suficie.

Shizuka nie miała odwagi się poruszyć. Z jednej strony chciała jak najdalej uciec od demona, a z drugiej bała się, że wróci, słysząc na dole jakieś zamieszanie. Stała więc i nasłuchiwała. Cisza. Sparaliżowana strachem czekała kilka długich minut.

Wieczór zamienił się w noc. Księżyc był w nowiu, więc do wnętrza baszty zakradł się mrok. Jedyne wątłe światło gwiazd, prześwitujących przez obłoki, pozwalało jej odróżnić jedne cienie od drugich.

Wreszcie przemogła strach i postanowiła się poruszyć. Tak cicho jak potrafiła przesunęła się w stronę schodów. Mocno zaciskała poły kimona, żeby nie zdradził jej szelest jedwabiu.

Stała na podeście i odetchnęła z ulgą, pewna, że jej ucieczka w końcu się powiedzie. Wtedy pojawił się kolejny upiór. Ten miał wygląd dwudziestokilkulatka. Smagły, barczysty, szedł dumnym krokiem człowieka, który już walczył i zabijał. Bez wątpienia umiał posługiwać się mieczem.

Tak jak poprzedni zjawiał się na szczycie schodów.

Tak jak poprzedni był przezroczysty i w ogóle nie zwracał uwagi na Shizukę.

Mimo to zszedł prosto na nią. Cofnęła się w popłochu najdalej jak tylko mogła. Próbowwała zejść mu z drogi. Upiór wszedł do komnaty i uniósł się w powietrze, w taki sam okropny sposób jak jego poprzednik. W pewnej chwili zatrzymał się i znów, ku jej przerażeniu, wymówił to samo imię.

— Pani Shizuko! To ja.

Potem zniknął w suficie.

Shizuka oparła się plecami o ścianę. Była w pułapce. Nie mogła zbiec po schodach. A jeśli kolejny demon przejdzie wprost przez nią? Jej umysł na pewno nie jest tak odporny, żeby wytrzymać nową dawkę strachu. Z drugiej strony wiedziała, że to kwestia czasu, zanim któryś z upiorów ją zobaczy i...

I co? Niepewność była chyba jeszcze gorsza od strachu.

Podświadomie czekała, że może Hironobu zacznie jej wreszcie szukać. On jednak na pewno wziął sobie do serca jej

wczesniejszą przemowę o „męskiej łagodności” i wołał się nie wtrącać. Przynajmniej na razie.

Jakiś cień poruszył się wśród innych cieni pod sufitem. Ktoś szedł po niewidzialnych schodach. Dotarł na niższe piętro i skręcił w stronę Shizuki.

Nie miała gdzie się schować. Który z nich wraca? Który jest straszniejszy? W powszechnym przekonaniu najgorszy demon przybiera najłagodniejszy wygląd. W ten sposób zwodzi ludzi. Chłopiec był zatem dużo gorszy od mężczyzny. Cień zamajaczył bliżej. Okazał się nieco mniejszy od zjawy wojownika. Młodzieniec. Ten groźniejszy...

Upiór zatrzymał się przy schodach i wyjrzał przez okno. Stał zaledwie o dwa kroki od skulonej pod ścianą dziewczyny. W świetle gwiazd Shizuka zobaczyła suchą i pomarszczoną twarz starca.

Wrzasnęła z przerażenia i rzuciła się w dół po schodach. Nie zważała na nic. Ścigana nieludzkim wyciem niemal stoczyła się na niższe piętro. Dopiero kiedy wpadła w ramiona Hironobu, zrozumiała, że krzyk był jej własnym krzykiem.

— Nikt nie może stamtąd uciec! — Rozkazał Hironobu.

— Tak jest, panie! — Samuraje dobyli mieczy i wpadli na wieżę.

Shizuka wiedziała, że nikogo nie znajdą. Tam były tylko duchy.

Hironobu mocno utulił ją w ramionach.

— Już jesteś bezpieczna. Nic ci się nie stanie.

Drżąca, przywarła do niego całym ciałem. Nie... Nie jest bezpieczna. Nigdy już nie będzie.

Zanim krzyknęła, myślała, że to trzeci demon. Potem w twarzy starca odnalazła rysy młodzieńca i wojownika. Nie było trzech demonów, tylko jeden. Postarzał się w ciągu zaledwie paru godzin.

Co dalej? — Pomyślała. Zobaczę gnijącego trupa?

Chwyciły ją gwałtowne mdłości. Jakiś kłęb uwiązał jej w gardle. Długo trwało, zanim spłynął w dół i rozszedł się gdzieś po piersiach.

Hironobu był święcie przekonany, że ataku dokonał ninja wynajęty przez sąsiedniego feudała. Obaj już od dawna się na

siebie boczyli. Shizuka nawet nie próbowała wyprowadzić go z błędu. Co miała mu powiedzieć? Że widziała demona? To przecież i tak nic by nie zmieniło. Hironobu dopóty trzymał się podejrzeń, dopóki nie znalazł wyraźnych dowodów zbrodni. Jego zdaniem tchórz, który wynajął ninja, mógł także nakazać swoim czarownicom, aby sprowadziły na ziemię upiora. Lepiej, żeby w to wierzył, niż oskarżał żonę o pomieszanie zmysłów. Nie mogła obudzić w nim żadnej nieufności, jeśli chciała, by później słuchał jej przepowiedni. Efekt byłby ten sam, bez względu na wszystko, ale skutki uboczne o wiele straszniejsze. Do tego Shizuka nie mogła dopuścić. Bała się podjąć ryzyko. Lepiej niech zginą niewinni.

Jeszcze tej samej nocy Hironobu pchnął gońców do starszyny klanu. Zanim wschodzące słońce osuszyło krople rosy na liściach, dziewięciuset samurajów na koniach wyruszyło na wschód, na ziemie pana Teruo. Shizuka wciąż była pod wrażeniem spotkania z upiorem. Miała wysoką gorączkę, zawroty głowy, dreszcze i mdłości.

Przed zmierzchem wróciła do swojej komnaty. Odprawiła służące. Nie mogły jej pomóc. Tak samo jak mniszki z opactwa, nawet w najmniejszym stopniu nie wyczuwały duchów. Patrzyłyby na nią jak na obłąkaną. Gwardziści pozostali na warcie przed komnatą. Jedynie Hironobu mógł ich stamtąd odwołać. Shizuka miała nadzieję, że zdoła na tyle zapanować nad sobą, aby niczego nie słyszeli.

Gdyby była dzielniejsza, nie musiałaby biernie czekać na demona, lecz poszłaby na wieżę, by go poszukać. Niestety, zabrakło jej odwagi.

Została zupełnie sama. Bała się wyjść z komnaty i bała się w niej zostać. Bała się spać i czuć, bała się medytować i bała pograć w mroczny świat iluzji. Nie było dla niej schronienia ani w świecie realnym, ani w głębi umysłu.

Kiedy zapadła noc, poczuła się jeszcze gorzej. Wreszcie, zmęczona strachem i dolegliwościami, położyła się do łóżka. Gdy tylko to zrobiła, zapadła w przedziwny stan półświadomości. To była na jawie, to znów we śnie. Wydawało jej się, że nie śpi. Chciała się poruszyć, lecz nie mogła. Po chwili przyszło jej się, że usnęła. Skoro wiedziała o tym, to jednak nie

spała. Sęk w tym, że jej umysł nie panował nad ciałem. Nie potrafiła nawet zgiąć małego palca ani poruszyć powieką lub zrobić głębszego wydechu. Mięśnie jej nie słuchały. Bezskutecznie szarpała się z własną niemocą. Nagle usłyszała jakiś odległy, monotony i wysoki dźwięk — coś pomiędzy świergotaniem i gwizdem. W pierwszej chwili myślała, że to cykady. Ale brakowało charakterystycznego rytmu. Brzmiało to niczym gasnący jęk świątynnego dzwonu, tylko że zamiast cichnąć, z wolna narastało, aż świdrowało w uszach. Zapowiedź kolejnej wizyty demona? Jeszcze raz spróbowała zrobić coś ze sobą. Była bliska paniki, lecz nadal się nie ruszała. Oczekiwanie bardziej szarpało jej nerwy niż strach i paraliż. Och, gdyby tylko mogła szeroko otworzyć oczy albo zacisnąć pięść, albo coś wyszeptać...

Dzwon nagle umilkł. Niemal w tej samej chwili za drzwiami rozległ się czyjś głos.

— Czego mam się obawiać? To zwykła komnata, taka sama jak inne — powiedział młody człowiek.

Nie знаła tego głosu.

Zakazane skrzydło zamku Chmara Wróbli, 1796

— Ja jednak się boję — szepnęła pani Sadako. — Chodźmy gdzieś indziej.

— Przecież to był twój pomysł — odpowiedział Kiyori.

— Rozmyślałam się — odparła pani Sadako. Wzięła go za rękę i próbowała pociągnąć za sobą. Nie chciała, żeby otworzył drzwi. W świetle dnia każdy mógł się śmiać z opowieści o duchach i złych czarownicach. Teraz, daleko od schodów, w korytarzu skąpanym w srebrnym blasku księżyca i odległych gwiazd, przeróżne widma i upiory nabierały realnych kształtów.

— Chodź — powiedziała błagalnym tonem.

Kiyori zawahał się. Prawdę mówiąc, trochę się też obawiał. Był jedynym potomkiem klanu Okumichi w swoim pokoleniu. To oznaczało, że musiał przejąć dar jasnowidzenia. W starych kronikach rodu wyczytał, że ów dar objawiał się w różny sposób i pod różną postacią. Niektórzy z jego przodków,

przerażeni wizją, popadali w obłąd. Ciekawe, co go podkusiło, żeby przyjść właśnie tutaj, do dawnej komnaty pani Shizuki? Przecież to od niej wszystko się zaczęło... Chciał popisać się przed Sadako. To było silniejsze od strachu. Dlaczego? Trudno powiedzieć. Miała czternaście lat, więc zaledwie rok mniej od niego, ale wyglądała na dużo, dużo młodszą. Nie należała do najpiękniejszych. Jej rodzina ledwie zyskała przywilej, żeby w ogóle znaleźć się na dworze daimyo. A jednak jej charakter — otwarty i czysty — sprawił, że od razu podbiła serce Kiyorigo. Zawsze mówiła szczerze. Kiyori nie wiedział, dlaczego właśnie ta cecha pociągała go bardziej niż uroda, manieri i uwodzicielskie słowa innych dziewcząt. Może coś z nim nie tak.

— Obiecałem ci, że spędzę tutaj dzisiejszą noc — powiedział. — Książę nie może łamać raz danego słowa. — Księciem został dopiero trzy tygodnie temu, więc bardzo dbał o swój nowy status.

— Niczego nie obiecywałeś — odparła Sadako. — Powiedziałeś tylko, że nie boisz się chodzić nocą do nawiedzanej części zamku. Nikt poza mną tego nie słyszał. Wierzę ci. Teraz już chodźmy.

— Ty możesz iść — łaskawie zgodził się Kiyori. — Ja zostanę, zgodnie z przyrzeczeniem.

Pchnął drzwi. Spodziewał się, że są zamknięte na stałe i że nie będzie musiał wchodzić do pokoju. Ale otworzył je z łatwością. Groza otaczająca tę komnatę okazała się lepszym zamknięciem niż wszelkie zamki. Chyba mnisi codziennie sprząтали tę część zamku, bo nie było żadnych pajęczyn, kurzu i stęchlizny.

Sadako jęknęła cicho i odsunęła się od drzwi.

Kiyori zerknął do środka. Niczego nie zobaczył. Pokój wydawał się ciemniejszy niż korytarz.

— Co widzisz? — Spytał.

— Ciemność — odpowiedziała. — Nienaturalny mrok. Błagam cię, panie, chodźmy stąd jak najszybciej.

Nazywała go „panem” tylko w oficjalnych sytuacjach. Chyba naprawdę bardzo się bała. Choćby z tego powodu Kiyori nadrabiał miną. Wszedł do komnaty i zrobił taki ruch, jakby

chciał zamknąć za sobą drzwi. Oczywiście, tak jak tego się spodziewał, Sadako szybko weszła za nim. Jedną ręką trzymała go za łokieć, a drugą położyła mu na ramieniu. Czuł, że dziewczyna drży na całym ciele.

— Uspokój się, Sadako — powiedział, wchodząc głębiej do pokoju. — Za chwilę nasze oczy przywykną do ciemności. Zobacz, wzeszedł księżyc. Zaraz zrobi się jaśniej.

— Będzie jaśniej, gdy z powrotem otworzysz drzwi — szepnęła. — Lepiej zostańmy blisko progu.

— Jeśli otworzę drzwi, to pokażę wszystkim, że się boję. Tak samo będzie, jeśli usiądę w progu. Pójdziemy do tamtej wnęki.

— Ludzie mówią, że tam było jej posłanie. — Sadako zatrzymała się. Wciąż trzymała go za rękę, więc też musiał stanąć.

— Ludzie wygadują różne rzeczy. Najlepiej wierzyć tylko sobie i nie słuchać tych, którzy nic nie wiedzą. Może usiądziemy?

— Chyba zrobiło się troszeczkę jaśniej — powiedziała Sadako, sadowiac się na podłodze. — Ale w dalszym ciągu niewiele widać.

— Zapomnieliśmy wziąć pościel — z wystudiowaną nonszalancją zauważył Kiyori. — Będziemy spali na gołych matkach. — Pochlebiało mu, że dziewczyna widzi w nim opiekuna. Wyciągnął się na wznak na podłodze.

Nagle ogarnął go przejmujący ziąb i straszny żar. Ciężar ziemi zgniół go niczym małe ziarno, a blask nieba rozrzucił po całym kosmosie. Niewysłowny ból zmieszany niezmierną rozkoszą przyniósł mu wyzwolenie.

— Kiyori! — Sadako patrzyła na niego. W świetle księżycy ujrzał jej przerażoną twarz. — Co się dzieje?

Milczał. Nawet gdyby odzyskał głos, nie miał pojęcia, co mógłby powiedzieć. Oglądał rzeczywistość zmieszana z milionami innych światów, zamieszkiwanych przez miliardy istot, które jednocześnie były i nie były nim. Widział przeszłość i przyszłość, ciągnące się w przestrzeni — nie było początku, a koniec nigdy nie był końcem. To przekraczało granice ludzkiego pojmowania.

Wynurzyła się z niego zwiewna kobieca postać. Wyglądała jak duch uchodzący z ciała. Od razu wiedział, co się stało.

Przyszła do niego, bo on przyszedł do niej. Długie włosy spływały jej z ramion wprost na niego.

Nie, nie na niego.

W niego.

Zjawa, zwyczajem wszystkich duchów, zawisła dobrą pięć nad matą. Wyglądała teraz jak upiór, częściowo połączony z jego własnym ciałem. Zatem straszliwe plotki nie kłamały. Jednak nie tak to sobie wyobrażał.

— Kiyori — powiedziała Sadako, wyciągając rękę. Odezwał się, zanim zdążyła go dotknąć. Ale nie do niej.

— Pani Shizuko... — szepnął.

— Panie Kiyori — odparła zjawa i odsunęła się od niego.

W tym momencie zemdlął.

— Kiyori! — Sadako była zbyt przerażona, żeby go ratować. Ale coś przecież musiała zrobić. Zerwała się, otworzyła drzwi i wybiegła na korytarz. Zatrzymała się jednak już po pięciu krokach. Gdyby służba ujrzała teraz Kiyoriego w takim stanie, osłabionego i mamroczącego bez sensu — odezwał się do dawno zmarłej wiedźmy, jakby ją widział — to byłby koniec jego panowania. Miał zaledwie piętnaście lat, wielu wrogów i tylko kilku przyjaciół.

Sadako rozejrzała się po ciemnym korytarzu, wiodącym do zakazanej części zamku. Dygocząc ze strachu, zawróciła w stronę Kiyoriego. Tylko ona umie dochować tajemnicy. Gdyby Kiyori jej nie ufał, równałoby się to wyrokowi śmierci. Nie chciała umrzeć — lecz z drugiej strony doskonale знаła swoje obowiązki. Wprawdzie jej ojciec nie miał zbyt wysokiej rangi, ale mimo wszystko był samurajem. Ona zaś córką samuraja.

Przesiedziała w komnacie całą noc, trzymając Kiyoriego w ramionach. Wreszcie nad ranem się obudził.

— Wieża — wyszeptał. — Siódme piętro.

— Nie ma tam siódmego piętra, panie Kiyori — odparła Sadako. Specjalnie wymówiła jego imię, bojąc się, że zapomniał własnej tożsamości.

— Zbuduję je. To właśnie tam...

Urwał i popatrzył na Sadako. Widziała go w chwili największej słabości. Słyszała, jak bełkotał coś do ducha. Ma jej zaufać? Dla pewności powinien ją jak najszybciej zabić.

Albo...

Istniało jeszcze jedno rozwiązanie.

Może ją poślubić.

Co gorsze? — Zastanawiał się. Bolało go całe ciało, od nóg do góry. Z trudem uwolnił się z objęć Sadako.

— Z czego się śmiejesz, panie?

— Nasza mała przygoda była straszna, ale zarazem lepsza, niż myślałem.

1311

Shizuka uśmiechnęła się. Na twarzy zmarłego księcia malował się głęboki spokój. Kiyori nie cierpiał zbytnio. To dobrze.

Przez sześćdziesiąt cztery z siedemdziesięciu dziewięciu lat swego życia patrzył na nią ze strachem. Bał się jej, ponieważ znała przyszłość. Bał się, bo była duchem i ucieleśnieniem jego szaleństwa. Bał się, bo przychodziła i znikwała bez najmniejszego ostrzeżenia. Ale najbardziej bał się tego, że zawsze była młoda.

Nigdy nie pomyślał o tym, że ona także się boi. Przerazał ją. Pierwsza noc na wieży była zaledwie przecuciem. W ciągu trzech lat pan Kiyori w straszliwym tempie zmienił się z młodzieńca w starca, jakby ciążyła na nim jakaś klątwa potężnych i bezlitosnych bogów. Może to była prawda? To takie samo wyjaśnienie, jak każde inne.

Shizuka wpatrywała się w widmowe zwłoki pana Kiyoriego, póki zupełnie nie zniknęły.

Teraz na wieży jest tylko jeden duch.

Ale i on jeszcze przed świtem odejdzie stąd na zawsze.

1842

Pan Nao myślał, że już nigdy nie wróci w to miejsce. Być może, gdyby był bardziej religijny, prochy córki miałyby dla niego jakieś znaczenie. Ale tak były tylko kupką popiołu. Nie wierzył w nieśmiertelność ani w reinkarnację pod żadną z sze-

376

roko opisywanych postaci. Nie wierzył, że złoczyńcy będą cierpieli w piekle, a wierni pod postacią aniołów powędrują do niebiańskiego raju. Nie wierzył w duchy, czepiające się swoich ziemskich szczątków.

Życie to życie.

Śmierć to śmierć.

Ot, i wszystko.

Jeszcze nie tak dawno życie pana Nao było szczęśliwe i pełne widoków na przyszłość. Potem, w krótkim czasie, pogrążyło się w cieniu śmierci. Midori, tak dzielna, kiedy była dzieckiem, okazała się bardzo delikatną kobietą. Zgodnie z przepowiednią pana Kiyoriego, nigdy nie odzyskała sił po narodzinach Genjiego. Zmarła w drugim połogu, a wraz z nią odeszła z tego świata jej córeczka. Miesiąc później północne rejony Japonii nawiedziła zaraza przywleczona przez rosyjskich traperów. Nao nabawił się jedynie kaszlu. Jego żona, synowie i wnuki mieli mniej szczęścia.

Zięć Yorimasa umarł w niecały rok po śmierci Midori. Jego prochy stanęły obok jej urny. Pusta formalność. Dla Nao nie stanowiło to żadnego pocieszenia. Niektórzy mieli wątpliwości co do przyczyny śmierci Yorimasy. Nao na pewno do nich nie należał. Pogrążony w smutku Yorimasa wrócił do dawnego stylu życia i szukał pocieszenia w opium i absyncie. Ale nie był już okrutnikiem. Po prostu nie potrafił znieść życia bez Midori. Nao rozumiał go. Czuł taki sam smutek i pustkę. Nawet to, że pozostał mu jedyny wnuk, zapewniający ciągłość rodu, wydawało mu się teraz mało ważne. Nie dbał o przyszłość klanu. Yorimasa zapewne czuł to samo.

Znaleziono go na skraju drogi ze złamanym karkiem. Osiodłany koń pał się w pobliżu. Wszystkie dowody wskazywały na wypadek. Yorimasa jak zwykle był pijany, zasnął w siodle, spadł i się zabił. Ale ktoś wyraźnie nie podzielał tej opinii. W krótkim czasie zginęło szesnastu samurajów, szulerów i przemytników, którzy mogli w jakiś sposób przyczynić się do śmierci Yorimasy. Wszyscy zostali zabici jednym ciosem miecza, tak silnym, że ich ciała zostały niemal przepołowione. Wszyscy też byli uzbrojeni. Żaden nie zginął w zasadzce. Ludzie szemrali, że zabójcą na pewno jest Shigeru, ale oczywiście-

cie nikt nie mógł tego udowodnić. Nie było świadków. Nikt się nie zgłosił.

Nao usłyszał za plecami szelest kimona.

— Gdybyśmy żyli nieco krócej, oni cieszyliby się dłuższym życiem — powiedział.

Pan Kiyori usiadł obok niego.

— To nie ma żadnego związku. Gdyby tak było, wszyscy rodzice poświęcaliby się za swoje dzieci.

— Mimo to czuję, że żyję za długo. Przyszedłem na świat, kiedy na chińskim tronie zasiadał cesarz Chien Lung. Państwo Środka nie bało się nikogo. Cesarz powiedział do angielskiego ambasadora: „Nie macie niczego, czego potrzebujemy. Możecie odejść”. Odprawił zagranicznych posłów. Teraz Anglicy panoszą się w całych Chinach i handlują narkotykami, żeby łatwiej okradać dawnych gospodarzy. Chińczycy wywołali wojnę, lecz to Anglicy ją wygrali. Aż trudno w to uwierzyć. Jestem zbyt staroświecki.

— Urodziliśmy się w tym samym roku — przypomniał mu Kiyori. — Jeżeli ty jesteś staroświecki, to ja też.

— Ty widzisz przyszłość — odparł Nao — więc to określenie dobrze do ciebie nie pasuje.

— Czasami wolałbym jej nie widzieć. Co z tego, że znam tyle rzeczy, skoro nie potrafię zapobiec tragedii?

— Nie prosiłeś o dar jasnowiedzenia. To twoje brzemię. Ja już swojego się pozbyłem. Napisałem do shoguna, że rezygnuję z tytułu i urzędu.

— Domyślałem się, że tak zrobisz.

— Pamiętasz, kiedy byliśmy młodzi, obiecywaliśmy sobie wiele razy, że pomścimy śmierć naszych przodków i usuniemy shoguna Tokugawę — powiedział Nao. — To chyba jedyna obietnica, której nie dotrzymałem.

— Młodzi ludzie często wygadują różne rzeczy — roześmiał się Kiyori. — Nie masz się czym przejmować.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

W końcu Kiyori spytał:

— Co teraz zrobisz?

— Będę wspominał — odparł Nao. — Wszyscy, których kochałem, mieszkają teraz w mojej pamięci.

11 Klątwa

Mężczyźni myślą, że władają światem. Nie sprzeciwiaj im się. Siedź cicho, niech w to wierzą. Mądry zna prawdę. Głupi o niej gada.

Aki-no Hashi (1311)

Chmara Wróbli, 1882

Makoto zastanawiał się, co zrobi, jeżeli Genji nie zechce go przyjąć. Te rozmyślenia zajęły mu większą część morskiej podróży z Yokohamy do prowincji Muroto. Mógł sobie oszczędzić trudu. Genji niemal natychmiast zgodził się na spotkanie.

Przywitali się w gabinecie. Makoto ujrzał człowieka w średnim wieku, podobnego do niego wzrostem i budową ciała. Genji ubrany był w ciemny wełniany surdut, białą jedwabną koszulę z czarnym krawatem, jedwabną kamizelkę, lekkie wełniane spodnie i niskie trzewiki ze sznurowadłami. Wyglądał więc niemal tak samo jak Makoto, tylko że nosił się na szaro, Makoto zaś na czarno. Poza tym gość był w cięższych butach do konnej jazdy. Znowu rozczarowanie... Młodzieniec spodziewał się, że tu, w dawnej fortecy, wreszcie zobaczy kogoś w tradycyjnym stroju.

— Rad jestem, że cię poznałem, Makoto — powiedział Genji, wyciągając rękę. Z bliska wyglądał tak młodo, jakby byli braćmi.

Znakomicie mówił po angielsku. Jeżeli w jego głosie pojawił się ślad akcentu, nie miało to zbyt wiele wspólnego z Japonią. To był raczej akcent z Nowego Jorku, z doliny rzeki Hudson, w okolicach Albany. Makoto z upodobaniem studiował lingwistykę i lubił rozpoznawać korzenie swych rozmówców wyłącznie po doborze słów i sposobie mówienia. Genji musiał się uczyć od kogoś właśnie stamtąd. Przy okazji go o to zapytam, pomyślał.

— Dziękuję, że pan mnie tak szybko przyjął, panie Okumichi. Wiem, że jest pan bardzo zajęтым człowiekiem.

— Po dwudziestu latach to raczej niezbyt szybko.

— Przyznam, że jestem nieco zaskoczony — odrzekł z uśmiechem Makoto. — Bardziej spodziewałem się jakichś wykrętów, a może nawet otwartej i szczerej odmowy. Nie myślałem, że się spotkamy.

— Wykręty nic nie dają, a odmówić bym nie mógł. Popatrz tylko na siebie. Teraz popatrz na mnie. Nie widzisz podobieństwa?

— A pan nie widzi we mnie nic z Matthew Starka?

— Owszem. Jesteś równie odważny i zdumiewająco spokojny w trudnych sytuacjach. To cały Matthew. W końcu cię wychował. Musiał ci coś przekazać.

W drzwiach ukazały się dwie służące. Ukłoniły się. W odróżnieniu od reszty służby, widzianej przez Makoto, ubrane były w kimona. Być może, wzorem tureckiego paszy, Genji tylko na pokaz hołduje obcym obyczajom. W zaciszu domu nadal odgrywa rolę wschodniego despoty. Zatem pod tym względem jeszcze nie wszystko stracone... — rozmyślał Makoto.

Pokojówki postawiły tace na stole.

— Mam nalać herbaty, panie? — Spytała jedna.

— Nie, dziękuję — odpowiedział Genji.

Skloniły się i wyszły. Ich zachowanie było nadzwyczaj dyskretne.

— Mama też w taki sposób podawała herbatę? — Spytał Makoto.

— Nalewała — odparł Genji. — Robiła to, ponieważ w ten sposób mogła zaprezentować grację ruchów, piękno i elegancję.

A że posiadała to w nadmiarze... Nie lubiła natomiast paradować z tacą. Nie była służącą, więc nikt tak naprawdę tego nie wymagał.

— Nie była służącą? Pan wybaczy, ale mówiono mi coś innego. Ponoć służyła w zamku i w pałacu, w Tokio.

— Ach... — westchnął Genji. Podszedł do okna i popatrzył na morze.

— Czyżbym się mylił?

— To ja popełniłem błąd — powiedział Genji.

— Porzucił pan moją matkę. Nie, proszę przypadkiem nie traktować tego jako próby wyrzutów albo oskarżenia. Stwierdzam jedynie fakty. Chciałbym wiedzieć dlaczego? Nie zamierzam domagać się odszkodowania w materialnej formie ani moralnego. Nie chcę, żeby publicznie uznał mnie pan za syna. Szczerze mówiąc, prywatnie też tego nie oczekuję. Chodzi mi tylko o jedno. Powtarzam: dlaczego?

— Przyznaję, że nie potraktowałem cię tak, jak powinienem. Ten sam grzech popełniłem w stosunku do twojej matki. Ale z drugiej strony chyba się ze mną zgodzisz, że nie ma tu właściwie mowy o pełnym „porzuceniu”. Żadne z was nie zostało przeze mnie odepchnięte. Zadałem o to, abyś był bogaty i otrzymał stosowne wychowanie.

— Wybaczy pan, ale nie przyszedłem tutaj, by dyskutować o semantyce. Moje pytanie wciąż pozostaje w mocy. To dla mnie bardzo ważne.

Genji uklonił się niczym prawdziwy amerykański dżentelmen na znak, że uznaje racje przeciwnika. Ktoś go niezłe wyszkolił.

— Spróbuję to wyjaśnić — rzekł. — Modernizacja kraju zaczęła się niedawno i jest powierzchowna. Tak naprawdę wciąż tkwimy w okowach średniowiecza. Dwadzieścia lat temu, przed twoim urodzeniem, ogólna sytuacja była jeszcze gorsza. Nawet sobie nie wyobrażasz poziomu zacofania.

Znowu ktoś stanął w drzwiach. Tym razem była to mała dziewczynka, może dwunastoletnia, we wzorzystym kimonie. Wschodni ubiór nie całkiem pasował do jej urody. Makoto pomyślał, że pod pewnym względem wygląda jak jego siostry, które zostawił w San Francisco. Nie jest czystej krwi Japonką.

— Dlaczego ubrałaś się w kimono? — Zapytał po japońsku Genji. — Przecież nie lubisz tradycyjnych strojów.

Dziewczynka niechętnie weszła do gabinetu.

— To było wczoraj — powiedziała. — Dzisiaj nie lubię sukienek.

— Rozumiem — odparł Genji. — Podejdź bliżej. Chcę ci kogoś przedstawić.

Dziewczynka rzeczywiście była nieco podobna do córek Matthew Starka, ale o wiele ładniejsza. Można powiedzieć — piękna. Miała ciemne włosy o wspaniałym kasztanowym odcieniu. W jej migdałowych oczach migotały złociste ogniki. Jej buzia była tak gładka jak najprzedniejsza porcelana, a jednocześnie wyrazista i pełna życia. Owal twarzy, kształt nosa i kości policzkowych, wielkość oczu — wszystko to stanowiło wyraz precudownej harmonii, która łączyła w sobie cechy Wschodu i Zachodu. Makoto zauważył, że jej lekki uśmiech jest zadziwiająco podobny do uśmiechu Genjiego. Nic dziwnego, że przypomina mu siostrę. Mają wspólnego ojca.

— Shizuko, to jest Makoto — po angielsku powiedział Genji. — Makoto, to moja córka Shizuka.

— Dlaczego mówisz po angielsku? — Spytała po japońsku Shizuka.

— Przecież macie japońskie imiona — odparł Genji. — Więc angielskiego było bardzo mało.

— Przestań, tato — ofuknęła go. — Twoje żarty zawsze są mało śmieszne.

— Twój ojciec mówił po angielsku tylko ze względu na mnie — wtrącił się Makoto. — Tak mu nakazywała grzeczność wobec gościa. Przybyłem z Ameryki.

— Nie jesteś Japończykiem? — Spytała po angielsku. Najwyraźniej wystarczyło jej to wytłumaczenie.

— Mam w sobie japońską krew, ale urodziłem się i przez całe życie mieszkałem w Stanach Zjednoczonych. To moja pierwsza podróż do Japonii.

Shizuka przyglądała mu się w zamyśleniu.

— Ach... — westchnęła. — To ten Makoto... Teraz cię poznaję. Widziałam cię na zdjęciach. Jesteś moim bratem.

Makoto zerknął na Genjiego.

— Być może powiedziałem jej trochę za dużo. Typowy grzech pobłażliwego ojca.

— W zasadzie przyrodnim bratem — sprostowała Shizuka. — Mieliśmy dwie różne matki. Ja też jestem półsierotą. Moja mama zmarła, kiedy mnie rodziła.

— Bardzo mi przykro z tego powodu. Moja wciąż żyje.

— Heiko żyje? — Shizuka popatrzyła na niego w osłupieniu. Potem przeniosła wzrok na ojca.

Makoto też na niego spojrział.

— Kto to jest Heiko? — Spytał.

San Francisco, 1862

Jiro i Shoji stali przy relingu „Gwiazdy Beltejemskiej” i ponad wodą patrzyli na San Francisco.

— Nawet stąd wygląda na barbarzyńskie miasto — zauważył Jiro.

— A jak ma wyglądać? — Rzeczowo zapytał Shoji. Prawdę mówiąc, amerykański port bardzo przypominał mu rodzinne Kobe w zachodniej Japonii. Te same fale, obmywające brzeg u stóp miasta — i zielone doliny, widoczne w oddali. Nigdy by się jednak do tego nie przyznał przed swoim przyjacielem. Oczywiście, były też pewne różnice. Na przykład domy — stały nie tylko na wybrzeżu, ale też na wzgórzach. W cywilizowanej Japonii nikt o tym nawet nie myślał. Na szczytach gór mieszkali jedynie bogowie. — Kraj barbarzyńców musi mieć barbarzyński wygląd.

— Powinniście szybko zmienić swoje poglądy — rozległ się za nimi melodyjny głos. Brzmiał ciepło, ale stanowczo.

Obaj natychmiast go poznali.

— Tak, pani Heiko — powiedzieli szybko, zanim spojrzeli w jej stronę.

Byli zaskoczeni. Jeszcze przed chwilą widzieli ją po drugiej stronie pokładu, pogrążoną w rozmowie z panem Starkiem i kapitanem. Jej gesty zawsze były łagodne, niespieszne i wyważone... — ale z drugiej strony w razie potrzeby potrafiła poruszać się cicho i niewiarygodnie szybko. Wszyscy słyszeli

owej konnej przeprawie przez góry z panem Starkiem, o nocnym ataku na posterunki zdrajcy Sohaku i słynnej bitwie w klasztorze Mushindo. Te wydarzenia obrosły już legendą, chociaż miały miejsce zaledwie w zeszłym roku.

— Przed przyjazdem do Japonii pan Stark i lady Emily mieszkali właśnie tutaj — powiedziała Heiko. — Obrażacie ich, mówiąc z pogardą o tym miejscu.

— Tak, pani Heiko. — Obaj trwali w niskim ukłonie, ze wzrokiem wbitym w deski pokładu.

* * *

— Macie jej bronić, nawet za cenę własnego życia — powiedział książę Genji. — Traktujcie ją tak jak mnie.

— Tak, panie — padła odpowiedź. Jiro i Shoji klęczeli w komnacie pałacu Cichego Żurawia. Kłaniali się do samej ziemi.

— Matthew Stark to dla was niemal daimyo. Co więcej, jest moim oddanym przyjacielem. Tylko śmierć może zakończyć naszą przyjaźń.

— Tak, panie.

— Pan Stark i pani Heiko wybierają się do Ameryki, aby tam jeszcze bardziej umocnić potęgę naszego klanu. Macie ich słuchać bez szemrania.

— Tak, panie.

* * *

— Z tego, co słyszałam, dostaliście polecenie, żeby nas chronić — powiedziała Heiko.

— Tak, pani.

— Jak chcecie to robić, ciągle patrząc w ziemię?

Unieśli głowy. Heiko uśmiechała się. Chociaż przed chwilą ich skarciła, jej piękny i ciepły uśmiech sprawił, że poczuli się znacznie lepiej.

— Od tej pory jesteście na polu bitwy. Mniej się kłaniajcie. Żadne z nas nie zna zwyczajów tego kraju. Musimy być bardzo ostrożni.

— Tak, pani.

Podszedł do nich Stark.

— Jesteśmy na miejscu. Jiro, Shoji... Jak wam się podoba? To przecież wasze pierwsze amerykańskie miasto.

— Bardzo ładne, proszę pana — odpowiedział Jiro.

— Sporo urosło pod moją nieobecność. Rok temu było znacznie mniejsze.

— Trochę przypomina mi Kobe — wtrącił Shoji. — Te same wzgórza, domy nad brzegiem oceanu...

Stark był mile zaskoczony. Żaden z nich nie mówił przedtem po angielsku, ale przez rok pilnie się uczyli. Stark, choćby nie wiem jak długo przebywał w Japonii, nie nauczyłby się tak dobrze japońskiego. Jiro i Shoji podchodzili do tego jak samuraje — którymi w istocie byli — jak do ćwiczeń szermierki, łucznictwa i walki wręcz. Dla nich była to sprawa życia i śmierci.

— Tak — powiedział Stark. — Teraz, kiedy o tym wspomniawsz, ja też dostrzegam pewne podobieństwo. Tylko w Kobe domy nie stoją na wzgórzach.

— Och... — zająknął się Shoji. — Bardzo dobrze, mister Stark. Ma pan wspaniałą obserwację.

— Używaj prostszych słów, zanim w pełni opanujesz wszystkie niuanse języka — odezwała się Heiko po japońsku. — Zachowujesz się zbyt pretensjonalnie. Zawstydzasz nas.

— Tak, pani.

Godzinę później byli już w porcie. Jiro i Shoji patrzyli na chińskich kulisów, którzy do spółki z Amerykanami wzięli się do rozładunku statku.

— Chyba się nie lubią — zauważył Jiro.

— My też ich nie lubimy — mruknął Shoji. — Ani jednych, ani drugich. A oni nas. Nic dziwnego, że między sobą też się Gryzą.

W jego wypowiedzi było coś bezsensownego. Jiro jednak nie zdążył nic na to odpowiedzieć, bo w tej samej chwili podeszła do nich służąca pani Heiko, imieniem Sachiko. Do tej pory przebywała pod pokładem, pakując bagaże. Dopiero teraz mogła pierwszy raz spojrzeć na San Francisco.

— Co za dzicz! — Wyrwało jej się zupełnie szczerze. — A już myślałam, że to jeden z kilku ważniejszych portów.

— Bo tak jest — zapewnił ją Shoji. Jakiś czas temu zauwa-

żył, że Sachiko jest bardzo ładna. Teraz wydawała mu się jeszcze ładniejsza, bo w promieniu siedmiu tysięcy mil nie znał innych Japonek poza nią i panią Heiko. Jiro prawdopodobnie myślał o tym samym.

— W niczym nie przypomina Nagasaki ani Yokohamy — ciągnęła Sachiko. — Myślałam, że zobaczę dużo więcej domów, więcej ludzi, więcej wszystkiego. Ameryka to potężny kraj?

— Bardzo potężny — zapewnił Jiro — i bardzo duży. Dwadzieścia razy większy od Japonii. Większość ludzi mieszka w jego wschodniej części.

— Tak duży jak Chiny?

Sachiko była w tym samym wieku, co pani Heiko, a więc miała trochę ponad dwadzieścia lat. Wkrótce powinna wyjść za mąż, póki jest młoda. Jiro zastanawiał się, dlaczego księżę Genji właśnie ich troje wysłał do Ameryki. Była Sachiko, on i Shoji. Ktoś musi zostać sam. Chyba że księżę zamierza wkrótce wezwać ich z powrotem do Japonii.

— Większy — powiedział Shoji.

— Naprawdę? Większy od Chin? Niewiarygodne.

Jiro próbował przypomnieć sobie coś więcej o Ameryce. Teraz żałował, że nie przykładał się zbytnio do nauki. Owszem, istniała pewna szansa, że wrócą do Japonii, kiedy tylko pan Stark rozkręci interesy księcia. Jednak z drugiej strony, wszystko wskazywało na to, że zostaną tu dużo dłużej. W takim razie powinien być lepszy od Shojiego. Co by tu powiedzieć?

Sachiko spojrzała w stronę trapu. Mister Stark i pani Heiko byli gotowi zejść na ląd.

— Uciekam — powiedziała. — Później pogadamy. Teraz muszę pomóc mojej pani.

Pobiegła do Heiko.

— Zobacz, jak pani Heiko ciężko opiera się na ramieniu pana Starka — powiedział Shoji.

— Tak. Zachorowała, gdy tylko odbiliśmy od brzegów Japonii.

— Z tego, co widać, jeszcze nie doszła do siebie.

— Tu, w Ameryce, na pewno się nią zajmą. Słyszałem, że mają najlepszych lekarzy.

— Właśnie — przytaknął Shoji. — Podobno tak jak my, uczyli się od Holendrów.

W milczeniu patrzyli, jak Stark, Heiko i Sachiko schodzą na brzeg. Cała trójka skierowała się do czekającego powozu.

— Sachiko jest bardzo piękna — powiedział Jiro.

— Lepiej z nią uważaj — mruknął Shoji.

— O co ci chodzi?

— Ludzie mówią, że to ninja.

— Chyba o pani Heiko. O Sachiko tego nie słyszałem.

— Nie bądź głupi — westchnął Shoji. — Skoro pani Heiko jest ninja, to tym bardziej Sachiko. Mam rację?

— Niby dlaczego? — Zdziwił się Jiro.

— Popatrz na nas.

— A co my mamy z tym wspólnego? Na pewno nie jesteśmy ninja.

— Wiem, ale przez chwilę spróbuj pomyśleć logicznie. Książę Genji jest samurajem, tak? Jego służba, nie wyłączając nas, wywodzi się wyłącznie spośród samurajów. Sądysz, że w przypadku pani Heiko jest inaczej?

Powóz odjechał w kierunku miasta.

— Nie wygląda na wojowniczkę — powiedział Jiro z wyraźną nadzieją w głosie.

— A pani Heiko? — Spytał Shoji.

— Też nie... i dlatego nie wierzę w żadne plotki — odparł Jiro. — Pamiętasz? Kiedyś pan Hiro usłyszał, że dwóch naszych mówi coś na ten temat. Najpierw dostali burę, a potem przez cały miesiąc musieli pracować w stajni.

— Gdyby plotki były nieprawdziwe, toby ich po prostu wyśmiał — upierał się Shoji.

Jiro nie był pewien, czy jego przyjaciel nie chce po prostu odsunąć go od Sachiko i zdusić w zarodku wszelkie romantyczne porywy. Może sam o niej myśli? Trudno powiedzieć. Najlepszym wyjściem dla nich wszystkich byłby jak najszybszy powrót do Japonii.

* * *

— Połóż się — zaproponował Stark, prowadząc Heiko w stronę najbliższej kanapy. Jeszcze przed wyjazdem z Japonii

kazał zbudować dom na zalesionym wzgórzu, poza granicami San Francisco. Przez rok miasto dotarło aż tutaj, ale wzgórze na szczęście pozostało nietknięte.

— Nie jestem kaleką.

— Wiem. Ale na razie nic się nie dzieje i z nikim nie musisz walczyć. Lepiej odpocznij.

— Na statku ciągle odpoczywałam.

— Wciąż miałaś torsje, o ile się nie mylę.

— Tak, to prawda — roześmiała się Heiko.

— Przeszło ci?

— To trzeci miesiąc — powiedziała. — Najwyższa pora.

— Kiedy Genji się o tym dowie...

— Nie — przerwała mu stanowczo. — Jeszcze nie.

— Dlaczego nie? Przecież im szybciej, tym lepiej.

— Nie warto zwracać mu głowy, dopóki nie jesteśmy całkiem pewni.

— Jak to? Przecież jesteś w ciąży. Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości.

Heiko się uśmiechnęła.

— Przecież nie wiemy, czy dziecko będzie zdrowe. A poza tym... Skąd wiesz, co pomyśli Genji? A jeśli każe mi usunąć ciążę?

Stark popatrzył na nią przerażony.

— Co?! Dlaczego?

— Przecież jest księciem. Może mieć inne plany. Wziąwszy pod uwagę wszystkie okoliczności, trudno przewidzieć, co naprawdę zrobi. Lepiej poczekać, aż dziecko się urodzi. Żywą istotę trudniej zabić...

— Nie udaję, że rozumiem was lepiej niż rok temu — mruknął Stark. — Ale z drugiej strony nigdy nie uwierzę, że Genji jest zdolny do czegoś takiego. — Zaczepnął tchu, żeby się uspokoić. — W każdym razie teraz jesteśmy w Ameryce. Nikt nie posłucha takiego rozkazu.

— Jiro i Shoji — powiedziała krótko Heiko.

— Prędeż sam ich zabiję.

Heiko posłała mu łagodny uśmiech. Jak zawsze ze świstem wciągnął powietrze i omal nie zadławił się własnym oddechem.

— Mnie też zabijesz, Matthew?

Przez długą chwilę patrzył na nią w milczeniu. Potem odezwał się chrapliwym szeptem. Heiko z góry wiedziała, co powie, zanim jeszcze otworzył usta.

— Zamordowałabyś własne dziecko?

— Muszę być posłuszna rozkazom mojego pana.

— Taki rozkaz nie padnie — upierał się Stark. — Nie ma powodów, żeby było inaczej.

— Tego nie wiemy — odpowiedziała Heiko. — Być może Genji uzna to za łut szczęścia. Prości ludzie nie znają myśli wielkich książąt. Mimo to lepiej nie ryzykować.

Stark strzelał wzrokiem na wszystkie strony i miał zboląłą minę.

Heiko przypatrywała mu się ze współczuciem. Choćby chciała, nie potrafiła tego lepiej wytłumaczyć.

Genji był szczerze zakochany, a mimo to skazał ją na wygnanie. Oczywiście, nie nazwał tego w ten sposób. Powierzył jej spory majątek w złocie, wraz z poleceniem, żeby zadbała o interesy klanu Okumichi w Stanach Zjednoczonych. Jej przewodnikiem i opiekunem miał być zaufany przyjaciel z Ameryki, Matthew Stark. Ale z drugiej strony dzielił ich ocean. Nikt inny, tylko Genji podjął tę decyzję.

Heiko wierzyła, że ją kocha. Każdym spojrzeniem, słowem i dotykiem — nawet oddechem, kiedy spali razem — Genji dawał dowód ogromnej miłości. Ona też go kochała. Nigdy w życiu nie zaznała głębszego uczucia.

Mimo to była wśród obcych ludzi, na drugim końcu świata. Dlaczego Genji ją odepchnął? Obawiała się, że nie pozna prawdy. Ale co dalej? Co zrobi Genji, kiedy się dowie, że ma dziecko? Każe jej wrócić? Zabić niemowlę? A może zmusi do samobójstwa?

Heiko odruchowo przyłożyła rękę do brzucha. Jeśli to będzie syn... Jeśli przeżyje... Trochę za dużo tych domysłów. Najlepiej po prostu czekać. Czekać i dbać o siebie. Czas da odpowiedź. Czas i Genji.

Zamknęła oczy i po chwili z uśmiechem zasnęła.

Stark bał się poruszyć. Heiko oparła głowę na jego ramieniu. Była maleńka i delikatna... Podróż na pewno ją zmęczyła.

Była w ciąży.

Z trudem mógł w to uwierzyć. Wydawało się, że sama jest jeszcze dziewczynką, za młodą, aby sprostać trudom macierzyństwa. Połowa noworodków na ogół umierała, zabierając ze sobą wiele matek. W przypadku Heiko, oprócz wszystkich normalnych niebezpieczeństw, istniała jeszcze potencjalna groźba ze strony Genjiego.

Stark zaczerwienił się ze wstydu. Przed chwilą zadał pytanie: dlaczego? — choć przecież znał odpowiedź. Albo przynajmniej jej część. Nigdy nie myślał, że pokocha Heiko, więc nie miał nic na swoją obronę. O wiele bardziej bał się Emily Gibson, z którą przyjechał do Japonii. Ona była urzekająco piękna, złotowłosa i jeszcze młodszą — osiemnastoletnią — w pierwszym rozkwicie kobiecej urody. Tak piękna, że Stark z premedytacją mógł odrzucić wszelkie podszepty serca. Przecież wyjechał do Japonii w ściśle określonym celu. Nie w głowie mu była miłość. Ani przez chwilę nie podejrzewał, że może poczuć coś do Heiko. Jest Japonką. Gejszą. Metresą księcia Genjiego. Jak na ironię bardziej ujęła go swoją odwagą niż urodą. Wprawdzie na pozór wydawała się krucha i maleńka, ale dwa razy widział, jak walczyła z oddziałami uzbrojonych samurajów. Nie używała rewolweru, lecz delikatnych dłoni. Miała najwyżej nóż, miecz lub śmiertelne ostrza zwane *shuriken*, którymi potrafiła rzucać z zabójczą precyzją. Zanim zrozumiał, że jego podziw zmienił się w coś więcej, było już za późno.

Pokochał ją.

Czyżby bała się gniewu Genjiego, wiedząc, że poznał uczucia Starka? A może Genji właśnie dlatego kazał jej jechać do Ameryki? Chyba nie... Wtedy nie prosiłby go o pomoc.

To wszystko były tylko domysły. Stark nie rozumiał Japończyków, a już najmniej księcia Genjiego. W każdej kwestii Heiko miała rację: wielcy daimyo postępują według własnego widzi-mięcia i nikt nie wie, jak się zachowają. Najlepiej czekać.

Czy Genji mógłby zabić własne dziecko? Stark widział w nim mądrego i łagodnego dżentelmena, całkiem innego niż bezlitośni wojownicy, których miał pod swoją komendą. Gdyby nie poznał go trochę lepiej, nigdy nie uwierzyłby, że jest zdolny do okrucieństwa. Ale był świadkiem bestialskich rzezi,

dokonywanych z jego rozkazu. Słyszał o jeszcze gorszych rzeczach. Ponoć zaledwie kilka miesięcy temu ludzie Genjiego wybili całą wioskę. Księżę brał udział w tej masakrze. Zginęła ponad setka ludzi — mężczyzn i kobiet, nawet niemowląt. Wieś spalono. Nikt nie zaprzeczał plotkom. Powód? Nieznany. Rozkaz to rozkaz. Samuraje zazwyczaj nie zadają pytań.

Jiro i Shoji bez wahania wypełnią każde polecenie księcia, pomyślał Stark. Heiko także.

Nie, nie... W ten sposób nie będziemy się bawić. Nigdy do tego nie dopuszczę. Owszem, walczyłem z nimi ramię w ramię, jednak zastrzelę ich jak króliki, jeśli zechcą skrzywdzić dziecko. Ale co z Heiko? Jeśli odbierze jej niemowlę, uzna to za porażkę i popęlni samobójstwo. Stark musi znaleźć jakiś sposób, by uratować ich oboje. Matkę i dziecko. Jak to zrobić? Tego nie wiedział.

Czuł słodki ciężar na swojej piersi, gdzie spoczywała głowa śpiącej Heiko. Oddychał wolniej, żeby jej nie obudzić.

Jeszcze pół roku do narodzin. Za wcześnie, żeby się martwić. A może wszystko jakoś się ułoży? Może niepotrzebnie się denerwuje?

O wiele łatwiej żyć nadzieją, niż naprawdę w coś uwierzyć. Ale nadzieja także bywa trudna.

* * *

W pierwszej godzinie porodu Heiko zaczęła krwawić.

Lekarz powiedział:

— To się zdarza. To zupełnie naturalne. Nie ma powodów do niepokoju.

W piątej godzinie krwotok był silniejszy, a dziecko wciąż się nie rodziło. Lekarz powiedział do Starka:

— Nic nie mogę zrobić, dopóki noworodek jest w łonie matki.

W piętnastej godzinie Heiko bardzo się starała, żeby nie stracić przytomności. Pościel i ręczniki robiły się czerwone, gdy tylko je zmieniano.

Lekarz powiedział:

— Jeżeli teraz zaśnie, umrą oboje.

W dwudziestej godzinie Heiko zdobyła się na jeszcze jeden, ostatni wysiłek, wypchnęła dziecko na świat i straciła przytomność. Chłopiec, silny i zdrowy, zaczął krzyczeć co sił w płucach.

Lekarz powiedział:

— Spróbuję ją uratować, panie Stark. Proszę jednak pamiętać, że straciła bardzo dużo krwi jak na tak drobną kobietę.

— Jest odważniejsza od dziesięciu mężczyzn — szepnął Stark.

— Ani przez chwilę w to nie wątpię, proszę pana — odparł lekarz. — Kłopot w tym, że ta odwaga mieści się w jednym małym ciele.

* * *

— Dam mu na imię Makoto — powiedziała Heiko. Leżała w łóżku, trzymając w ramionach zawiniętego w pieluszkę syna. Książę Genji doczekał się następcy. Jeszcze trochę i na pewno wezwie ich z powrotem do Japonii. — *Makoto* znaczy „prawda”.

W Japonii drzewa już pożółkły, zwiastując nadchodzącą zimę. Heiko zawsze lubiła jesień. Nie czuła smutku na widok spadających liści i wędnących kwiatów. Po każdej zimie cały świat odżywał za dotknięciem wiosny.

— Makoto — powtórzył Stark. — Ładne imię. — Ze względu na nią powstrzymał się od płaczu.

— Zatomowałem krwotok — powiedział lekarz — ale tylko dlatego, że już niewiele krwi w niej pozostało. Niedługo wszystko zacznie się na nowo. Przykro mi, panie Stark.

— Przypomina Genjiego, prawda? — Spytała Heiko.

— Jest piękny — odparł Stark. — Jak jego matka.

Heiko się uśmiechnęła. Była bardzo blada i wyczerpana, ale uśmiech miała promienny jak zawsze.

— Lizus — powiedziała. Potem zmarszczyła brwi, odsunęła pieluszkę i z niepokojem spojrzała na buzię syna. — Przyznaj się, że żartujesz. Nie chcę, żeby był podobny do mnie.

— Dlaczego? Przecież to dobrze. Będzie ładniejszy nawet od uwielbianych przez Japonki słynnych bohaterów dramatów kabuki.

— To nie bohater dawnych legend, tylko przyszły daimyo

Akaoki — odparła Heiko. — Więc lepiej, żeby przypominał ojca. W ten sposób nawet oficjalna matka o wiele szybciej go pokocha.

— Matka to matka — zauważył Stark. — Co to za pomysł z „oficjalną matką”?

— Jestem z niższego stanu — wyjaśniła Heiko. Pogładziła niemowlę po gładkim, pyzatyim policzku. Makoto spał. — Książę musi mieć odpowiednią żonę, która zostanie matką jego syna. — Zauważyła minę Starka i dodała: — Nie martw się, będę go widywała. Książę Genji przeznaczy dla mnie oddzielną rezydencję. Może nawet podniesie mnie do rangi konkubiny. A jeśli nie, nie szkodzi. Najważniejsze, że dałam mu syna.

Godzinę później znów zaczęła krwawić.

— Umieram — szepnęła.

— Nie — jęknął Stark. — Nie.

— Chcę zobaczyć Makoto.

Sachiko przyniosła śpiącego chłopca i podała go swojej pani. Heiko stanowczo pokręciła głową.

— Przytul go, Sachiko. Niech nie ciąży na nim cień śmierci. Dbaj o niego, dopóki książę Genji nie wezwie go do ojczyzny.

Sachiko próbowała coś powiedzieć, ale nie mogła wykrztusić słowa. Przycisnęła dziecko do piersi, osunęła się na kolana i zaczęła płakać.

Heiko popatrzyła na Starka.

— Nie boimy się śmierci. Za często spoglądała nam prosto w oczy.

— Tak — odparł.

Heiko wyciągnęła do niego rękę.

— Pomóż mi wstać — powiedziała. — Chcę spojrzeć na Japonię.

* * *

W powozie Heiko opierała się na ramieniu Starka. Zatrzymali się na szczycie wzgórza górującego nad zatoką. Pod nimi rozpościerały się wody Pacyfiku.

Ranek był pogodny i słoneczny, a mimo to Heiko powiedziała:

— Mgła. Zawsze lubiłam mgłę. Kiedy w nią patrzę, czasami jestem skłonna uwierzyć, że spełnią się moje najskrytsze marzenia.

— Heiko... — szepnął Stark.

Ale ona już odeszła.

* * *

Stark otępiały wrócił do domu.

Wszedł do pokoju Heiko i zobaczył zapłakaną Sachiko. Ciągle siedziała na podłodze, tuląc dziecko w ramionach. Przygarnął ją do siebie. Wkrótce niemowlę się obudziło i płakali we troje.

Chmara Wróbli, 1882

Makoto w osłupieniu wysłuchał tej relacji. Nawet nie zauważył, kiedy Genji — to znaczy ojciec — wyszedł z gabinetu. Nie tylko nie jest synem Starka... ale kobieta, którą przez całe życie uważał za matkę, nie jest jego matką... Nagle drgnął i spostrzegł, że gdzieś idzie, prowadzony przez młodszą siostrę. Wspinali się po wąskich schodach.

— Dokąd idziemy?

— Na spotkanie z panią Shizuką — odpowiedziała.

— Przecież to ty jesteś Shizuka.

— Z pierwszą panią Shizuką. Tak samo miała na imię. Z tego, co widzę, bardzo mało wiesz o sobie i swojej rodzinie. Musisz więc zacząć od początku.

— Zatem jest jakiś początek? — Spytał Makoto. — Miło słyszeć. — Spiralne schody zdawały się ciągnąć w nieskończoność.

— Zawsze musi być początek — powiedziała Shizuka. — Inaczej nie byłoby końca. Choć oczywiście to chwilowe.

— Jak to „chwilowe”? Przeszłość jest zamknięta. Nikt jej nie zmieni.

— To, że coś ma początek albo koniec, wcale nie znaczy, że już było. Nie uczyli cię tego w Ameryce?

Opactwo Mushindo, 1308

Szesnaście lat upłynęło od dnia, w którym pani Nowaki przybyła do Mushindo z upośledzonym dzieckiem. Przez ten czas czcigodna przełożona Suku dość często rozmyślała o powodach wygnania młodej matki. Rozbrzmiewające dniem i nocą krzyki nieszczęsnej Shizuki nie pozwalały jej o tym zapomnieć. Jako przełożona całego opactwa nie musiała wykonywać żadnych cięższych robót, lecz mimo to najczęściej sama myła i karmiła chorą dziewczynkę. Bez najmniejszego wahania dotykała jej brudnego ciała i ze spokojem znosiła przykry odór, wypełniający celę. Inne mniszki patrzyły na nią z podziwem. Wszystkie zgadzały się co do tego, że przełożona jest żywym przykładem współczucia na Scieżce wielkiego Buddy.

Przez szesnaście lat zachowanie Shizuki nie uległo najmniejszej zmianie. Przez szesnaście lat przełożona Suku traktowała ją z taką samą ciepłą łagodnością. Chociaż światem rządził przypadek, to w jej przekonaniu trzy rzeczy pozostawały stałe i niezmiennie: obłęd Shizuki, niezrozumiałe sny, które nawiedzały ją od przyjazdu dziewczynki, i jej własne powołanie do modlitwy.

Wreszcie pewnego dnia obudziła się dziwnie wypoczęta. Uświadomiła sobie, że tym razem nie miała koszmarów. Ciągle się nad tym zastanawiała, kiedy stały przed nią dwie zdyszane mniszki. Z przejęcia ledwie mogły mówić.

— Wielebna przełożono!

— Tak?

— Shizuka nie śpi.

Od razu zrozumiała, co to znaczy. Żaden jęk ani płacz nie dochodził z tamtego skrzydła opactwa. Shizuka była cicho tylko wtedy, gdy spała — i to nie zawsze. Na jawie bez przerwy krzyczała.

Przełożona zamknęła oczy. Pomodliła się w duchu za zdrowie dziewczynki. Już miała wstać, gdy uderzyło ją dziwne zjawisko. Shizuka umilkła tego samego dnia, gdy ustąpiły jej koszmary. Czyżby istniał między nimi jakiś związek? A jeśli tak, to czy nie jest to coś złego? Suku ponownie zamknęła oczy i zaniósła

prośby o nieustającą opiekę dobrych duchów. Potem razem z mniszkami poszła do celi Shizuki.

Dziewczynka siedziała na podłodze i przyglądała im się w milczeniu. Przełożona nigdy przedtem nie widziała u niej tak przytomnego spojrzenia. Shizuka zachowywała się zupełnie normalnie.

— Dzień dobry, Shizuko — odezwała się Suku.

Dziewczynka nie odpowiedziała, ale przypatrywała jej się ze spokojnym zainteresowaniem. Przełożona wzięła ją za rękę, doprowadziła do balii, umyła i przebrała w czystą odzież. Przerwa trwała przez wszystkie dni menstruacji. Potem nastąpił nawrót szaleństwa.

Miesiąc później okres ciszy był nieco dłuższy. W trzecim miesiącu Shizuka o wiele mocniej trzymała się realnego świata. Początkowo wciąż trzeba było ją myć i ubierać. Nie od razu też zrozumiała, po co należy chodzić do wychodka. Ale nauczyła się tego w niecały tydzień. Jesienią już prawie niczym nie różniła się od pozostałych mniszek, z tym wyjątkiem, że była dużo młodsza i zamknięta w sobie. Mniej przykladała się do codziennych zajęć, za to z uwagą patrzyła na to, co się dzieje wokół. Od hałaśliwego szaleństwa przeszła do milczącej obserwacji. Nie krzyczała już bez powodu i nie kulila się z niezrozumiałego strachu, ale czasami popadała w przedziwną apatię. Siedziała wtedy nieruchomo z przymkniętymi oczami, jakby była gdzieś indziej. Czasami rozumiała, co do niej mówiono, czasami nie. Wciąż była inna, choć mniej niż dawniej. Kilka razy Suku widziała ją nocami, siedzącą na łóżku z otwartymi oczami, wpatrzoną w przestrzeń.

Przełożoną niepokoił trochę związek pomiędzy nagłym ozdrowieniem Shizuki i cyklem menstruacyjnym. Prawdę mówiąc, nie miała powodów do obaw, ale wciąż pamiętała pradawne przesady, że kobieca krew łączy się z czarami.

Wkrótce nadszedł czas dorocznej wizyty pani Kiyomi. Wdowa po zmarłym władcy Akaoki i matka obecnego księcia była główną opiekunką opactwa Mushindo. Drugi patron, pan Bandan z Kagami, nigdy tu nie zaglądał. Tym razem czcigodna przełożona Suku wyjątkowo niecierpliwie wypatrywała pani Kiyomi. Chciała jak najszybciej pokazać jej cud, który dokonał

się za sprawą miłościwego Buddy, po szesnastu latach uporczywych modłów i szczodrej pomocy rodu Okumichi.

Ale czekało ją rozczarowanie. Kiedy wyszła przed bramę, aby powitać dostojnych gości z Akaoki, nie zobaczyła swojej dobrodziejki. Księżę Hironobu przyjechał bez matki.

— Szczerze mówiąc, jestem tu w jej zastępstwie — oznajmił. — Przykro mi, ale moja matka jest śmiertelnie chora. Medycy twierdzą, że nie przeżyje zimy. Przybyłem tutaj wyłącznie na jej usilne prośby. Zanocujemy poza murami i z samego rana wrócimy do domu.

— Będę się za nią modliła — powiedziała przełożona.

Była głęboko przejęta tym, co usłyszała. Zły los okrutnie obszedł się z panią Kiyomi. Nie dane jej było zobaczyć owoców swej łagodności i opieki, którą z tak daleka otaczała chorą Shizukę. Oczywiście Suku o wszystkim napisała w liście, który Hironobu miał przekazać matce. Szkoda jednak, że pani Kiyomi nie może na własne oczy ujrzeć tego cudu...

— Niestety, w myśl naszych praw, żaden mężczyzna nie może wejść na teren opactwa — powiedziała. — Zaczekajcie tutaj. Napijemy się herbaty w bramie. Ja będę wewnątrz murów, a wy na zewnątrz.

W tej samej chwili podeszła do niej jedna ze starszych mniszek.

— Czy to rozsądne? — Spytała cicho, żeby nie usłyszał jej żaden z samurajów. — Święte wrota chronią Mushindo przed siłą zła. Jeśli rozstawimy w nich namiot, to tak, jakby ich nie było. Który demon nie chciałby skorzystać z takiego zaproszenia?

— Namiot będzie niewielki — odpowiedziała Suku — a poczęstunek krótki.

Z żalem myślała o chorej pani Kiyomi, ale cieszyła się zdrowiem Shizuki. Radość i smutek w przedziwny sposób mieszały się w jej sercu. To było nieprawdopodobne. Fala nie może jednocześnie płynąć w przeciwne strony. Zakłopotana Suku uparła się, żeby przyjąć gości. Później miała tego bardzo żałować.

Mniszki wzniosły zadaszenie po jednej stronie bramy, samuraje po drugiej. Podano herbatę. Mieszkanke opactwa czekały

w milczeniu. Na ich twarzach malował się głęboki niepokój. Wszystkie myślały o tym, o czym szeptała starsza. Jedynie przełożona i księżę Hironobu zachowywali się swobodnie. Oddali się wspomnieniom. Dla Hironobu pewne wydarzenia wydawały się odległą przeszłością. Był dużo młodszy od przełożonej. Liczył sobie zaledwie osiem lat, kiedy Suku została przełożoną opactwa.

— Pamiętam, jak kiedyś stanąłem na tej skale — mówił Hironobu — a Go nakrzyczał na mnie, że wystawiam się łucznikom na cel. Chyba go nie pamiętasz, pani. To dowódca gwardii. Przyjechał tutaj tylko raz, ze mną i moją matką. Wątpię, żebyście się spotkali.

— Byłeś wtedy bardzo małym chłopcem — odpowiedziała przełożona. Spojrzała w bok, pochłonięta wspomnieniami. — Mimo to już miałeś za sobą dwa wielkie zwycięstwa. Pani Kiyomi była z ciebie bardzo dumna.

— Pamiętam... A może mi się tylko zdaje, że pamiętam? — roześmiał się Hironobu. — Nie nadajemy się na świadków wydarzeń z własnego życia.

Przełożona spojrzała na niego, chcąc coś odpowiedzieć. Hironobu uniósł do ust czarnekę z herbatą, ale nagle zamarł. Spojrzał ponad ramieniem mniszki na dziedziniec świątyni.

Jego oczy rozświetlił dziwny blask.

Zacisnął szczęki tak mocno, że wyostrzyły mu się rysy.

Lekko rozchylił usta, ukazując zęby.

Głęboko wciągnął powietrze.

Siedział, nie oddychając, jakby za chwilę zamierzał rzucić się na głęboką wodę.

Przełożona odwróciła się i zobaczyła nadchodzącą Shizukę. Ponownie spojrzała na księcia. Wciąż siedział oniemiały. Przeniosła wzrok na dziewczynę i usłyszała, jak Hironobu wydał głośne westchnienie. Spróbowała popatrzeć na nią jego oczami.

Młoda dziewczyna w buddyjskiej szacie poruszała się z niezwykłą gracją. W cieniu zawoju jej twarz lśniła niczym blade oblicze księżycy. Dłonie, wysunięte z długich rękawów, były niewielkie, ale o długich, pięknych i delikatnych palcach. Przypominały dłonie litościwego Buddy, znane wszystkim z licznych wizerunków. Nawet oczy — za duże, aby były

piękne — emanowały taką wewnętrzną siłą, że nie można im było odmówić uroku. Nos niewielki, lecz kształtny, małe, pełne usta i zgrabny podbródek ozdabiały doskonały owal twarzy.

Przełożona — zdumiona tym, co zobaczyła — nie zdążyła zareagować. Zanim kazała mniszkom zabrać Shizukę, dziewczyna stanęła koło namiotu. Uśmiechnęła się, jakby od dawna znała Hironobu.

— *Anata* — powiedziała. — Ty.

Po obu stronach muru rozległ się jęk zdumienia i przestachu. Wprawdzie było to pierwsze słowo, jakie w ogóle wymówiła, ale nie tym wzbudziła największe przerażenie. *Anata* brzmiało zbyt familiarnie. Żadna mniszka — ba, żadna kobieta, nie miała prawa zwracać się w ten sposób do nowo poznanego mężczyzny, a cóż dopiero do samego księcia. Co gorsza, powiedziała to w miękki, niemal uwodzicielski sposób, jakby zapraszała go do swojej sypialni. Czasem jedno słowo zawiera ogromną dozę intymności...

— Shizuko! — Odezwała się przełożona. Wstała, własnym ciałem odgradzając ją od księcia. — Wracaj do świątyni. — Dwie mniszki natychmiast podeszły do dziewczyny, ujęły ją pod ręce i zabrały z dala od ludzkich oczu. — Wybacz, panie. Ona jest chora. Nie wie, co mówi.

— Shizuka... — powiedział Hironobu. — To była Shizuka? — Patrzył za nią, dopóki nie zniknęła we wnętrzu opactwa.

— Jest obłąkana, panie. Opiekujemy się nią od dzieciństwa. Na zawsze zostanie z nami i umrze w murach Mushindo.

— Kiedy przyjeżdżałem tutaj z moją matką, za każdym razem chciałem ją zobaczyć. Krążyły o niej najróżniejsze plotki. Mówiono, że od urodzenia miała w sobie coś ze zwierzęcia. Byłem ciekaw, czy jest porośnięta futrem. Nawet pytałem o to przyjaciół. Podejrzewaliśmy wszystko: borsuka, niedźwiedzia, lisa...

— To może być bliskie prawdy — odpowiedziała przełożona. — Borsuk lub lis... wszystko jedno. Dziewczyna nie potrafi sklecić jednego zdania ani sama o sobie zadbać, nawet w najbardziej podstawowych sprawach. Bywają dni, że musimy trzymać ją w zamknięciu. Trzeba ją myć, bo leży we własnych nieczystościach.

— To prawdziwe nieszczęście — westchnął Hironobu. Czcigodna przełożona Suku była przekonana, że w ten sposób ostudzi jego niewczesne zapędy.

Niestety, nic z tego nie wyszło.

Hironobu, zgodnie z obietnicą, wyjechał następnego ranka. Wkrótce jednak przysłał list, w którym zawiadamiał czcigodną Suku o śmierci pani Kiyomi. Zaraz potem sam zjawił się w Mushindo, przywożąc prochy matki. Prawdę mówiąc, to był jedynie pretekst.

— Chciałbym, aby jej urna przez sto dni pozostała w opactwie Mushindo — powiedział. — Po zakończeniu modłów stanie w wieży w zamku Chmara Wróbli.

Sklonił się i postawił urnę na stole. Tak jak przedtem, spotkanie wyznaczono na wolnym powietrzu. Tym razem namiot stał za murami opactwa, z dala od jakiegokolwiek bramy. Nikt nie mógł nawet rzucić okiem na dziedziniec.

— Spełnimy twoje życzenie, księżo. — Przełożona z głębokim ukłonem odebrała urnę. — Przez sto dni, bez najmniejszej przerwy, będziemy recytowały sutry. Pozwolę sobie jednak zauważyć, że twoja świątobliwa matka nie potrzebuje naszego wstawiennictwa, aby odrodzić się w chwale. Całe jej życie było pełne najlepszych uczynków.

— Dziękuję, pani.

— Po stu dniach osobiście przywiozę ci urnę. — Suku od lat nie opuszczała murów opactwa na dłużej niż kilka godzin. Ale teraz mniej bała się zewnętrznego świata niż powrotu księcia. Gdyby częściej przebywał w pobliżu Mushindo, w końcu mógłby przypadkiem zobaczyć się z Shizuką. Już ich pierwsze spotkanie, chociaż bardzo krótkie, zwiastowało coś groźnego.

— Jeszcze raz dziękuję, ale to chyba nie będzie potrzebne. Zamierzam pozostać tu do końca waszych modłów.

— Panie?!

Hironobu niedbałym ruchem wskazał drzewa.

— Polubiłem tę dziką knieję. Spodobała mi się podczas mojej poprzedniej wizyty w opactwie. Tutaj intensywniej odczuwam obecność starych bogów niż w małych, przeredzonych, południowych lasach. Zbuduję niewielką chatkę i od pocznę nieco od codziennych kłopotów.

— Zawsze uważałam, że lasy w górach Shikoku należą do najdzikszych w całym naszym kraju — odparła przełożona. — Czyż to nie tam zablądziły zastępy najeźdźców? Nie można ich porównać z naszymi wzgórzami i rzadkim gajem.

Mówiła spokojnie, co zadawało kłam jej prawdziwym uczuciom. To nie wysokie sosny, nie górskie strumienie i nie ciche doliny budziły ciekawość księcia. Hironobu ani razu nie spojrzął w stronę bramy. Za bardzo się pilnował. To wystarczyło, żeby przełożona odgadła jego ukryte intencje.

— Ludzie na ogół przesadzają, mówiąc o Shikoku — mruknął Hironobu.

— A twoje dobra, panie? Nie boisz się napadu pod swoją nieobecność?

— Przecież jest Go. Nikt się nie ośmieli.

— Ufasz mu?

— Od moich najmłodszych lat był mi drugim ojcem. Zawsze służył radą i pomocą. Gdybym w niego nie wierzył, to tak, jakbym nie wierzył, że słońce i księżyc zostaną na niebie i że wciąż będę czuł ziemię pod stopami.

— W naszym kraju dość często zdarzają się trzęsienia ziemi — zauważyła przełożona. — Może to coś znaczy?

— Jak widać, nie mam zadatków na poetę — roześmiał się Hironobu. — Nie starcza mi wyobraźni, aby jasno wyrazić swoje myśli.

Uparł się, że zostanie. Przełożona musiała więc podjąć inne kroki. Nakazała mniszkom, by przez okrągłą dobę pełniły straż przy wszystkich wejściach do opactwa i w korytarzu wiodącym do celi Shizuki. Dziewczyna pozostawała pod ciągłą opieką. Na noc ją zamykano.

Czas mijał spokojnie. Najpierw dni, potem tygodnie... W świątyni bez przerwy rozbrzmiewały sutry. Przełożona z wolna nabrała przekonania, że jej podejrzenia były bezpodstawne.

Raz na tydzień, poza murami, spotykała się z księciem. Rozmawiali wyłącznie o pani Kiyomi. Hironobu zachowywał się swobodnie. Może tutejsza puszcza rzeczywiście była bliżej źródła stworzenia niż lasy na zaludnionym południu? Może łaskawi bogowie wzięli ich pod opiekę?

Pewnej nocy przestraszona otworzyła oczy i usiadła na łóżku. Od stóp do głów zlane była zimnym potem. Trawiła ją gorączka. Nawet nie pamiętała, co jej się śniło. Zerwała się i tak jak stała, pobiegła do celi Shizuki. Chłód jesiennej nocy przedzierał się przez jej mokre kimono i przenikał ją do szpiku kości.

Przed celą, w pozycji lotosu, siedziała jedna z mniszek. Głowę pochyliła na bok i pochrapywała cicho.

Drzwi celi były otwarte.

Shizuka zniknęła.

Przełożona wybiegła ze świątyni. Minęła podwórzec i otwartą bramę... Pognała wprost do chaty księcia, stojącej w gęstym lesie pomiędzy opactwem Mushindo i zimowym strumykiem, który o tej porze był jeszcze niewielką strugą, z pluskiem spływającą po gładkich kamieniach.

Hironobu zniknął. Nie było też Shizuki. Nie było nikogo. Nawet samurajów.

Suku rozglądała się na wszystkie strony. Nie zobaczyła żadnych śladów, świadczących o tym, że ktoś tędy przechodził. Zrozpaczona uniosła głowę i wbiła wzrok w niebo.

Cienki sierp księżyca jaśniał widmową poświatą.

* * *

Przełożona nic nie widziała. Wokół siebie słyszała podniecone głosy.

— Zaraz umrze — płakał ktoś. — Co się z nami stanie?

— Nadal będziemy kroczyły Ścieżką Buddy.

— Zastanów się, co ty wygadujesz? Bez przełożonej Suku nie ma żadnej drogi. Stracimy łaskę księcia i pana Bandana.

— Właśnie. Mushindo leży z dala od ich włości. Zapomną o nas, kiedy nie będzie przełożonej.

Suku przypomniała sobie widok nocnego nieba. Otworzyła oczy. Była w swoim pokoju. Wokół niej stały wystraszone mniszki. Wiele z nich miało łzy w oczach.

— Czcigodna Suku!

— Shizuka — powiedziała Suku.

— Jest środek nocy. Śpi u siebie.

— Chcę ją zobaczyć. — Spróbowała wstać, ale to było ponad jej siły. Dwie mniszki zaniósły ją do celi Shizuki.

Strażniczka — która przedtem spała — obrzuciła je czujnym spojrzeniem.

— Niech popatrzę.

Mniszki podsadziły ją do okienka w drzwiach. Shizuka spała na boku, twarzą do ściany.

— Kto mnie przyniósł z powrotem do świątyni?

— Czcigodna pani?

— Byłam w lesie. Kto mnie tam znalazł?

Mniszki popatrzyły na siebie pytająco.

— Pani, usłyszałyśmy twój krzyk. Półprzytomna rzucałaś się w gorączce. Nie wiedziałyśmy, jak ci pomóc. Siedziałyśmy przy tobie przez kilka godzin.

Magiczna sztuczka. Czary, tortury i obłuda. Mniszki były niewinne. Nie miały z tym nic wspólnego. Też dały się wciągnąć w pułapkę. Hironobu został opętany. Shizuka skorzystała z pomocy sił ciemności, żeby wymknąć się ze świętego miejsca i przenieść zło do zewnętrznego świata. Ale Suku przejrzała jej podstęp. Pamiętała, że była w lesie. Wiedziała, że to nie sen. Shizuka rzuciła na księcia czar i zmusiła go, żeby potajemnie zaniósł przełożoną z powrotem do świątyni. Nikt ich nie mógł dostrzec, bo byli niewidzialni. To dlatego nikogo nie widziałam w obozie... — pomyślała Suku. Tam też działała magia.

— Nie żyje — odezwała się jakaś mniszka.

— Nie, znowu zemdląca — powiedziała druga.

— To zaraza?

— Chyba nie. Raczej udar mózgu. Mój kuzyn miał to samo. Oszalał i nigdy nie wyzdrowiał.

Przełożona nic nie widziała. Mogła tylko słuchać. Przez pewien czas do jej uszu dobiegał cichnący szloch, a później zapadła cisza. Długo, długo nasłuchiwała, ale słyszała jedynie bicie swego serca.

* * *

Obudziła się tej samej nocy — a może następnej? Tego nie wiedziała. W jej sercu już nie było złości, tylko dziwny spokój. Znalazła wyjście z sytuacji. Przecież istnieją dwa sposoby, żeby powstrzymać Shizukę od ucieczki. Pierwszy to śmierć. Sęk w tym, że Suku nie może jej zabić. Litościwy Budda

zabronił swym wyznawcom nastawać na życie wszelkich żywych istot. Pozostawał więc drugi sposób.

Przełożona po cichu wysliznęła się z sypialni. Nie mogła wejść do głównej sali, bo tam ciągle trwały modły za panią Kiyomi. Poszła zatem do kuchni i usiadła w pozycji lotosu. Pogrążyła się w głębokiej medytacji, aż wreszcie pierwsze blade światło dało jej znać, że właśnie minęła Godzina Królika i rozpoczęła się Godzina Smoka. Wtedy wstała i podążyła do celi Shizuki. Z kuchni zabrała długi nóż, zazwyczaj używany do krojenia warzyw.

Może ocalić Shizukę od przekleństwa. Może odebrać jej urodę. Może oszpecić ją tak bardzo, żeby już nigdy budziła zachwyty mężczyzn. Hironobu na pewno takiej jej nie zechce. Może odciąć jej język, bo zaczęła mówić, a słowa czarownicy są kłamstwem. Niech lepiej pozostanie niema. Może ją oślepić, ponieważ wzrok jest przyczyną iluzji. Ślepa, pewnie znów popadnie w obłąd. Nie szkodzi. Tu, w Mushindo, zawsze może liczyć na pomoc i czułą opiekę.

Wszystko będzie dobrze. Przełożona ze spokojnym sumieniem, bez żadnych wątpliwości, mocniej zacisnęła dłoń na trzonku noża.

— Czcigodna pani...

Strażniczka siedząca przed celą Shizuki z niepokojem spojrzała na swoją przełożoną. To patrzyła na nóż, to na twarz przełożonej. Wstała.

— Czcigodna pani... — powtórzyła.

Suku nie odpowiedziała. Minęła ją, otworzyła drzwi i weszła do celi. Po ciemku podeszła do łóżka dziewczyny, przyklękła i odrzuciła kołdrę.

Shizuka nie spała. Popatrzyła na nią i wymówiła drugie słowo w życiu.

— Mamo — powiedziała.

Przełożona zatoczyła się do tyłu. Poczowała, że łapią ją czyjeś ręce. Usłyszała krzyki. Nóż wypadł z jej dłoni.

* * *

Stali przed główną bramą opactwa Mushindo. Przyszły tam wszystkie mniszki. Był też pan Hironobu, Shizuka i wielu

samurajów, którzy dosiadali wspaniałych rumaków. Czcigodna przełożona siedziała nieco z boku, słuchając rozmowy. Czy to sen, czy jawa? Tego nie wiedziała. Wołała zatem milczeć i słuchać.

— Dobrze, że byliście tutaj, kiedy doszło do tragedii — odezwała się jedna z mniszek.

— Też się z tego cieszę — odparł Hironobu.

— W ciągu ostatnich stu dni miało tu miejsce wiele różnych wydarzeń — ciągnęła mniszka. — Wiele radosnych i wiele smutnych. Ale tak zawsze dzieje się na Ścieżce Buddy.

— To wspaniałe, że przełożona była świadkiem waszego ślubu — dodała inna. — Na pewno jest szczęśliwa.

— Ciekawe, czy kiedyś znowu zaczniesz mówić — powiedziała następna.

— Szkoda... — westchnęła pierwsza. — Zamilkła w dniu, w którym pani Shizuka odzyskała mowę.

— Tak — pokiwała głową Shizuka. — To bardzo smutne.

Inna mniszka przyniosła pudło owinięte w białą tkaninę i wręczyła je księciu.

— Oby pani Kiyomi na zawsze dostała łaski litościwego Buddy — powiedziała.

Oddział był gotowy do odjazdu. Hironobu pomógł Shizuce dosiąść konia, a potem sam wskoczył na siodło.

— Panie, pani... — odezwała się mniszka — przyjmijcie od nas życzenia zdrowia, szczęścia i wszelkiej pomyślności w dalszym rodzinnym życiu...

Wszystkie mniszki skłoniły się nisko.

Suku wstała.

— Niech na wasz ród po wsze czasy spadnie klątwa urody i mądrości — przemówiła.

— Czcigodna pani!

— Żal mi jej — powiedział Hironobu do Shizuki. — Chciałbym coś dla niej zrobić.

— Ta klątwa... — zaczęła Shizuka.

— Zwykle majaczenie — przerwał jej Hironobu. — Każdy chciałby być piękny i mądry. To nie przekleństwo.

Shizuka nic nie powiedziała. Spojrzała na przełożoną. Przez chwilę patrzyły sobie w oczy. Żadna z nich nie odwróciła

wzroku, chociaż orszak powoli szykował się do odjazdu. Hi-ronobu nie musiał wiedzieć, co to znaczy, ale Shizuka doskonale pojęła słowa Suku. Miały zbyt wiele wspólnych doświadczeń.

Piękno i geniusz są przekleństwem.

Przełożona już nawet nie myślała o tym, czy jest staruszką czy młodą dziewczyną, wariatką czy też marzycielką. Przecież to nie miało żadnego znaczenia. Dniem i nocą dręczyły ją inne pytania, na które nie znajdowała odpowiedzi. Nie odezwała się już ani razu.

Następną wiosną zmarła we śnie. Czcigodna przełożona Suku, dawniej piękna córka pana Bandana, pani Nowaki, nie doczekała swoich trzydziestych drugich urodzin.

Rezydencja Genjiego nad rzeką Tamą, przedmieścia Tokio, 1882

Tsuda spokojnie czekał na audiencję. Przez ten czas rozmyślał o wielkich zmianach, jakie zaszły w Japonii w bardzo krótkim czasie. Najlepszym tego przykładem było Tokio. Za jego młodych lat nosiło nazwę Edo. Shogunowie z rodu Tokugawa, którzy przez dwieście pięćdziesiąt lat władali całą Japonią, obrali je za stolicę. Wydawało się, że będą rządili wiecznie. Teraz nie tylko ród Tokugawa przeszedł do historii, ale zlikwidowano także shogunat. Miasto zyskało nową nazwę: Tokio. Nie chodziło jednak tylko o zmianę nazwy. Tokio stało się siedzibą rodziny cesarskiej, która od tysiącleci rezydowała w Kioto. Cesarz Mutsuhito jako pierwszy zasiadł na tokijskim tronie. Mało tego — był pierwszym cesarzem, który od sześciu wieków miał realną władzę.

Życie Tsudy do pewnego stopnia odzwierciedlało wyżej wspomniane zmiany, chociaż oczywiście na dużo mniejszą skalę. Urodził się jako chłop w odległym majątku Akaoka. Od samego początku przejawiał talent do projektowania i budowania domów. W ten sposób zwrócił na siebie uwagę kolejnego księcia Akaoki, Genjiego. Otrzymał ważny kontrakt na budowę chrześcijańskiej kaplicy. Swoje szczęście — i opinię dobrego

architekta — składał głównie na karb doskonałej znajomości feng shui. Dla niego była to niemal religia. Obie wspomniane rzeczy, talent i feng shui, sprawiły, że z biegiem czasu stał się współpracownikiem, doradcą i cenionym partnerem w interesach swojego dawnego pana. Wybierając miejsce pod kaplicę, Tsuda znalazł tajemniczy kufer, ozdobiony barbarzyńskimi motywami niebieskich gór i czerwonego smoka. Kufer zawierał jeszcze bardziej tajemnicze zwoje. Ludzie do tej pory nie poznali ich treści, chociaż wieść głosiła, że jest to rękopis legendarnego, proroczego, magicznego i dawno zaginionego *Jesiennego Mostu*. To znalezisko na zawsze zmieniło życie Tsudy.

— Pan Stark czeka na pana — powiedziała służąca.

Makoto Stark był w ogrodzie. Stał obok dużego głazu, który stanowił część sztucznej skały. Tsuda spodziewał się, że ich pierwsze spotkanie będzie miało oficjalny charakter. Co prawda słyszał, że Amerykanie nie lubią zbędnych formalności... Skrzywił się w duchu, ale zachował niewzruszoną minę. Ukłonił się na powitanie.

— Miło mi w końcu pana poznać, panie Stark.

— Dziękuję, panie Tsuda.

Makoto wyciągnął rękę. Tsuda zawahał się na mgnienie oka, a potem energicznie potrząsnął jego prawicą.

— Dużo słyszałem o panu od pańskiego ojca, Starka seniora. Mam wrażenie, jakbym znał pana od dawna.

— W takim razie zazdroszczę panu. Im więcej o sobie wiem, tym mniej z tego rozumiem.

W głosie młodzieńca pobrzmiwało szczere zakłopotanie. Słyszac to, Tsuda niemal w ostatniej chwili powstrzymał się od konwencjonalnej odpowiedzi o „wyzwalającym wpływie” medytacji w Mushindo. Makoto na pewno nie mówił o medytacji.

— Naprawdę? — Bąknął Tsuda. To oczywiście zabrzmiało nie mniej konwencjonalnie, bo w różnych sytuacjach mogło znaczyć: tak, nie, może, owszem, nic podobnego, nie wiem, współczuję panu, niech pan mówi dalej, proszę przestać... W takim przypadku liczył się przede wszystkim ton wypowiedzi. Ponieważ Tsuda nie rozumiał intencji gospodarza, starał się mówić obojętnie, ukrywając swoje uczucia. Nie chciał,

żeby rozmowa zesłała na niebezpieczne tory. Przez chwilę ludzi się nadzieją, że Makoto nie będzie zbyt amerykański — czyli brutalnie szczery i otwarty. Ale nadzieja prysła jak mydlana bańka.

— Dobrze zna pan moich rodziców?

— Mniej więcej od piętnastu lat prowadzę interesy z panem Starkiem... Chodzi głównie o import, eksport i finanse. Spotykamy się raz do roku, najczęściej w Honolulu. To bardzo wygodne miejsce, ponieważ leży w połowie drogi. Pani Stark niestety nigdy nie poznałem. Ominął mnie ten zaszczyt.

— Aha. — Makoto zauważył lekki niepokój Tsudy, ale błędnie zrozumiał jego zachowanie. — Och, przepraszam. Chodźmy do środka. Zapomniałem, że nie każdy lubi rozmawiać na stojąco, w dodatku w ogrodzie.

Wnętrze pałacu było urządzone po europejsku. Wprawdzie Makoto jeszcze nie zdążył zwiedzić wszystkich pomieszczeń — przyjechał tu zaledwie przed dwoma dniami — ale jak dotąd znalazł tylko jedno małe skrzydło w tradycyjnym japońskim stylu. Tam najczęściej przebywał Genji. To też wiele mówiło o jego charakterze.

Mimo dość wczesnej pory Tsuda poprosił o whisky zamiast sake. Polubił zachodnie trunki.

— Znał pan Heiko? — Nieoczekiwanie zapytał Makoto.

— Heiko? Myśli pan o tej słynnej gejszy? No pewnie, że ją znałem, jak wszyscy w tamtych latach.

— Chodził pan do niej?

— Ja? — Roześmiał się Tsuda. Whisky szybko wprawiła go w dobry humor. — Byłem za biedny na takie rzeczy. Gdybym nawet spieniężył cały swój majątek i ukradł wszystko wszystkim ludziom, których w życiu znałem, to i tak by mnie nie przyjęła. Nie, nie... Ona zadawała się tylko z książętami.

— Takimi jak książę Genji?

— Tak. Byli kochankami. To żadna tajemnica. Ich związek przypominał romantyczną powieść. Na pewno przeniosą to na deski kabuki.

— Co ty tu robisz, Tsuda?

W drzwiach stanął pan Saemon. Służąca natychmiast skromnie uklęknęła pod ścianą, czekając, aż pójdzie dalej. Saemon,

zgodnie z najnowszą modą, nosił świetnie skrojone angielskie ubranie. Włosy strzygł krótko, na sposób preferowany ostatnio przez cesarza. Nie miał brody, lecz okazałe wąsy, które upodabniały go nieco do Bismarcka.

— Och, pan Saemon... — Tsuda z ukłonem zerwał się z fotela. — Pan Stark zaprosił mnie do siebie.

— Pan Stark?

— Makoto Stark — wyjaśnił architekt. — Syn Starka seniora. Właśnie przyjechał w odwiedziny do pana Genjiego.

— Aha. — Saemon wszedł do pokoju. — Nareszcie się spotykamy. Od wielu lat czekałem na tę okazję, panie Stark.

— Dlaczego? — Spytał Makoto.

Saemon zamrugał energicznie.

— Słucham?

Tsuda nigdy nie widział, by się zdziwił. Zdarzyło się to po raz pierwszy. Nawet chytry syn chytrego szpiega nie był gotów na spotkanie z Amerykanami. Tsuda z trudem powstrzymał się od śmiechu.

— Dlaczego czekał pan, żeby mnie poznać? Przecież jestem nikim. Wiele lat temu byłem człowiekiem zupełnie bez znaczenia.

— No... Chciałem, panie Stark... poznać syna... syna... jedynego syna wielkiego przyjaciela Japonii.

— Przyjaciela Japonii — powtórzył Makoto. — Jeszcze nie słyszałem takiego określenia, chociaż padało ich już bardzo wiele. Zna go pan?

— Lepiej niż inni, chociaż na pewno nie tak dobrze, jak bliscy przyjaciele.

— Zechce pan poczekać tutaj, panie Saemon? — Spytała służąca.

— Tak, jeśli pan Stark i pan Tsuda nie mają nic przeciwko temu.

— Wręcz przeciwnie — zapewnił Tsuda. Szybko podsunął mu fotel i zgiął się w niskim ukłonie. — Prawdę mówiąc, przyda mi się pańska pomoc. Mister Stark pytał mnie o Heiko. O ile wiem, pański ojciec kiedyś ją znał. Pan zresztą także.

— Heiko — uśmiechnął się Saemon. — Tak, ojciec znał ją dosyć dobrze. Ja tylko przelotnie.

Tsuda był zadowolony, że niespodziewany gość z przyjemnością włączył się do rozmowy. Saemon należał do najpotężniejszych ludzi w kraju. Spodziewano się, że w przyszłości będzie członkiem rządu, może nawet ministrem skarbu. Dla bankiera pokroju Tsudy minister skarbu był niemal rzecznikiem bogów.

— Dlaczego pana to interesuje, panie Stark? — Saemon nie chciał whisky, proponowanej mu przez Tsudę. Wolał herbatę, którą właśnie przyniosła służąca. — W tamtych latach, kiedy Heiko cieszyła się największą sławą, był pan... — Urwał nagle, jakby coś sobie uświadomił. Upił łyk herbaty, żeby ukryć zmieszanie. — Był pan bardzo młody.

— Prawdę mówiąc, w ogóle mnie nie było. Urodziłem się w tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim roku. Z tego, co wiem, jej kariera dobiegła końca rok wcześniej. Heiko wyjechała z Japonii.

— Tak, pamiętam — potwierdził Saemon. — Razem z pańskim ojcem wybrała się do Kalifornii. Jej wyjazd nastąpił w dość dziwnych okolicznościach.

— Dziwnych?

— Chyba nie powinienem o tym mówić. Przecież to tylko plotki. Żadnych dowodów.

— Chętnie posłucham plotek.

— Cóż... Jak pan sobie życzy. — Saemon lekko skinął głową. — Chodziły słuchy, że Heiko jest agentką tajnej policji shogunatu. To by dość dobrze tłumaczyło jej znajomość z moim ojcem, który był zwierzchnikiem tej organizacji. Jej nagły wyjazd prawdopodobnie łączył się z tą sprawą. Za granicą nie mogła nikomu zaszkodzić. Ale jak to się stało, że trafiła pod opiekę pańskiego ojca, tego nie wiem. Stark senior zawsze przyjaźnił się z księciem Genjim. Z kolei Genji był zawziętym wrogiem mojego ojca.

— Naprawdę? Myślałem, że jesteście przyjaciółmi.

— Tu, w Japonii, kultywowaliśmy rodową zemstę. Żeby dogonić Zachód, musieliśmy zapomnieć o takich zwyczajach. Genji podziela moje zdanie.

— To bardzo nowoczesny pogląd — mruknął Mako to.

W uszach Tsudy nie zabrzmiało to szczerze. Pomyślał jednak,

że się pomylił, bo Makoto trochę dziwnie mówił po japońsku. Tsuda nalał sobie następną szklaneczkę whisky i słuchał. Na razie nie dowiedział się niczego ważnego. Ale wyglądało na to, że lada chwila pozna jakąś istotną tajemnicę, na której będzie mógł nieźle zarobić.

— Niech pan mówi dalej — poprosił Makoto.

— Tuż przed wyjazdem Heiko doszło do masakry. Zamordowano wszystkich mieszkańców odległej wsi, a chaty puszczono z dymem. Wieś nie miała żadnego znaczenia strategicznego. Mieszkali w niej nietykalni. Nie wadzili nikomu. Na dobrą sprawę, żywi lub martwi, nie przedstawiali żadnej wartości. To bardzo dziwne.

— Nietykalni?

— Jeden z wielu błędów okresu Tokugawa. Na szczęście zniesiony. Teraz w Japonii nie ma nietykalnych. Wszyscy są równi wobec prawa, tak jak na Zachodzie.

To było oczywiście kłamstwo, o czym wiedział Tsuda i wszyscy Japończycy. Nowe prawa nie miały większego znaczenia. Stanowiły jedynie lichy przydziewek dla nagiego ciała, na które cudzoziemcy patrzyli z odrazą. Czego nie widzieli, to im nie przeszkadzało. Tsuda nie widział w tym niczego złego. Przecież w polityce nigdy nie ma zgody. Nie ma utopijnych, idealnych więzi między dwoma państwami. Zawsze istnieje jakaś różnica interesów, skrzętnie ukrywana pod płaszczkiem hipokryzji. W tej rozgrywce Saemon był nie gorszym mistrzem niż pan Genji, chociaż oczywiście stosował własne reguły gry. To prawdziwe szczęście, że mogę pomagać tak wspomniałym ludziom... — myślał Tsuda.

— Heiko należała do kasty nietykalnych? — Zapytał Makoto.

— Co?! — Jednocześnie krzyknęli Saemon i Tsuda.

— Przepraszam panów — wykrztusił czerwony jak burak Tsuda. Ukłonił się. — Nie chciałem się odzywać. Chodzi o to, że...

No właśnie. O co chodzi? Co można odpowiedzieć na tak bezczelne, straszne, obraźliwe i niewiarygodnie niebezpieczne pytanie? Niebezpieczne dla tego, który je postawił, ale też dla wszystkich, którzy je słyszeli. Zwłaszcza dla niego, Tsudy!

Saemon jest księciem — tak, to prawda, nie nosi już tytułu daimyo, ale zachował prestiż, władzę, znajomości... Należy do czołowych weteranów Restauracji, ma wpływowych przyjaciół i zna wiele tajemnic, które może wykorzystać, jeśli uzna to za konieczne. W porównaniu z nim Tsuda jest zaledwie księgowym i może skarbnikiem. Po co w ogóle przyszedł do Makoto Starka? Głupiec! Pewnie niedługo już martwy głupiec!

— Skąd to zdziwienie? — Zapytał Makoto. — Przecież to oczywiste.

— Ale nie dla nas — powiedział Saemon. Umilkł i popatrzył na chłopaka z dziwnym spokojem, który zupełnie nie pasował do sytuacji.

* * *

— No, dobrze — odezwał się Makoto. — Poszedł sobie. Co chciał mi pan powiedzieć?

— Skąd pan wie, że w ogóle mam coś do powiedzenia? — Spytał Saemon. Tsuda uciekł jak szczur z płonącego domu. Jak ktoś tak przerażony mógł w ogóle myśleć, że kiedykolwiek będzie równy samurajom?

— Pan wybaczy, w ogóle mi to nie przeszkadza, że ktoś traktuje mnie jak Amerykanina w ciele Japończyka, ale nie znoszę, gdy ktoś podejrzewa mnie o brak inteligencji. Zapewniam pana, że nie jestem idiotą.

— Oczywiście, panie Stark. Nigdy w to nie wątpiłem.

To była dla Saemona doskonała okazja. Z drugiej strony doskonale zdawał sobie sprawę, że wystarczy najmniejszy błąd i to jego głowę podadzą na tacy.

— Wszystkim nam grozi ogromne niebezpieczeństwo, panie Stark — powiedział. — Groźba, która wykracza poza pojęcie prawdy albo kłamstwa. Najdrobniejsza sugestia, że wojownik i arystokrata pokroju Genjiego mógłby mieć coś wspólnego z kastą nietykalnych, jest nie do przyjęcia. Niech pan nigdy więcej o tym nie wspomina.

— Czegoś tu nie rozumiem. Zniesiono przywileje, a nie dalej jak chwilę temu sam pan mi powiedział, że nietykalnych nie ma. Więc komu to przeszkadza?

— Wszystkim. W tym kraju najważniejsza jest ciągłość

rodu. Jeśli szlachetna krew klanu Okumichi została skażona, to już nigdy nikt nie zmyje tej hańby. Będą ofiary. Popłynie krew.

— Skażona, powiada pan...

— Przynajmniej w opinii ogółu.

— A pańskim?

— Oczywiście, że nie — odpowiedział Saemon. — Przeznaczenie spoczywa w rękach żywego człowieka, a nie w martwym uścisku przodków. — Ostrożnie dobierał słowa. Łatwiej uwierzyć w kłamstwa, które mają właściwą oprawę. — Od urodzenia sami wykuwamy własne kształty.

— Naprawdę? — Makoto nalał sobie szklaneczkę whisky i uniósł ją pod światło. Nawet nie umoczywszy ust, odstawił ją na stolik. — Co mi pan radzi, panie Saemon?

— Najlepiej niech pan porozmawia o tym z ojcem. — Saemon zrobił krótką pauzę. Przyszłość zależała od jego dalszych słów. I reakcji młodzieńca. — Matthew Stark to wyjątkowo uczciwy człowiek.

— Matthew Stark nie jest moim ojcem — odpowiedział Makoto.

Saemona zalała fala radości. Serce waliło mu jak młotem. Od piętnastu lat bezskutecznie usiłował zgłębić tajemnicę Genjiego. Owszem, już dawno temu podejrzewał, że Makoto nie jest synem Starka. Jednak później porzucił tę myśl, ponieważ Genji najwyraźniej nie zamierzał wezwać chłopca do Japonii. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że powód tej rozłąki jest zupełnie inny. Heiko należała do kasty nietykalnych! Teraz Saemon miał w ręku odpowiedź oraz narzędzie, które bez skrupułów zamierzał wykorzystać. Nie zdradzając podniecenia, spytał:

— Chyba nie całkiem rozumiem, panie Stark. Jak to może być zliwe?

* * *

W chwilach złości Makoto zawsze czuł, że ma gorączkę. Teraz wpadł w taką wściekłość, że dawniejsze sprawy wydawały mu się zaledwie irytujące, a jednak jego ciało było chłodne. Gdyby ktoś go dotknął, pewnie miałby wrażenie, że położył dłoń na kostce lodu.

Genji okazał się kimś o wiele gorszym niż zwyczajnym kłamcą. Nie tylko go porzucił i zabrał nazwisko. Zniszczył mu życie. Skradł doświadczenia i odarł ze wspomnień. Wszystko było fałszywe. Wszystko należało do kogoś, kto nigdy nie istniał. Po dwudziestu latach Makoto odrodził się jako syn podstępного łgarza i słynnej prostytutki. Jeśli wierzyć Shizuce, było jeszcze gorzej. Jedno z nich miało odziedziczyć skłonność do obłędu, który od lat dręczył tę rodzinę. Wprawdzie Shizuka mówiła coś o „darze proroctwa”, ale wyglądało to na jeszcze jedno kłamstwo wymyślone przez ojca. Jego ojca.

Kim zatem jest Makoto?

Aniołem zemsty. Grzech musiał być zmyty krwią. Tego dnia Genji miał wystąpić z przemową przed radą cesarskich ministrów. Makoto może zaskoczyć go w pałacu. To wręcz wymarzone miejsce. Syn księcia, pogardzany przez dwa dziesięciolecia, postanowił definitywnie zakończyć tę farsę. Makoto wyjął zza pasa rewolwer i sprawdził bębenek. Kaliber .32, podarunek od ojca — albo raczej człowieka, który udawał, że jest jego ojcem — był naładowany.

Makoto wstał i skierował się do wyjścia. W tej samej chwili jego wzrok padł na niewielką wnękę, w której na drewnianym stojaku leżały dwa samurajskie miecze, długi i krótki.

Doskonale.

Może zabić Genjiego jego własną bronią, zabraną z pałacu. Stalowe ostrze, symbolizujące nieskazitelną czystą duszę samuraja, zniszczy człowieka, którego całe życie opierało się na oszustwie i kłamstwie.

Makoto Okumichi wziął krótszy miecz, schował go pod płaszczem i wyszedł.

Pałac Cesarski, Tokio

Powóz Genjiego zwolnił nieco, dojeżdżając do mostu łączącego brzegi fosy.

Po drugiej stronie stał ogromny zamek. Genji wciąż nazywał go w duchu pałacem shoguna. W ten sam sposób myślał o mieście. Dla niego to było Edo, a nie Tokio. Upadek rządu

Tokugawow, restauracja władzy cesarskiej, zniesienie kasty samurajów, likwidacja majątków ziemskich, bezprecedensowe związki z cudzoziemcami, klęska ostatnich bohaterów, wiernych zasadom *bushido* — wszystko to wydarzyło się w czasie krótszym niż dziesięć lat. A Genji zebrał więcej pochwał i przekleństw, niż na to zasługiwał.

Od początku okresu Restauracji wyszedł cało z siedmiu zamachów na swoje życie. Przeżył, ponieważ musiał przeżyć. W końcu miał zginąć, ale od tej chwili dzieliły go jeszcze całe lata. Tak przynajmniej mówiła wizja. Śmierć czekała na niego w nieistniejącym jeszcze parlamencie. Umierający, osuwał się w ramiona córki. Shizuka objawiła mu się jako młoda kobieta. Teraz była dziewczynką. Gwarancją na dalsze życie.

Powóz zatrzymał się przed bramą Sakurada, wiodącą do pałacu. Cesarscy gwardziści podeszli bliżej, żeby sprawdzić papiery gościa. Chwilę później, kiedy jeszcze trwała rozmowa z ochroną Genjiego, przez kordon przedarł się młody człowiek w europejskim stroju. Spod płaszcza wyciągnął krótki miecz. Był zaledwie dwa kroki od powozu Genjiego, zanim zauważyli go strażnicy.

Za późno.

Genji zobaczył błyszczące ostrze, które mierzyło w jego serce.

Zbliżała się śmierć.

Wizja, w którą niezachwianie wierzył przez te wszystkie lata, okazała się złudą. Zabójca był tu i teraz.

Genji poczuł się oszukany. W całym swoim życiu miał tylko trzy wizje. Dwie spełniły się co do joty. Ale nie trzecia.

Kim jest młody zabójca?

Ostrze nie dotarło do piersi Genjiego. Zamachowiec nie zdążył zadać ciosu. Chwilę przedtem inny młodzieniec wyskoczył przed powóz i też wyciągnął krótki miecz.

Cięli się nawzajem, wydając okrzyki bólu i zaskoczenia. Genji nie rozpoznawał niedoszłego zabójcy. Ale znał obrońcę.

To był jego syn, Makoto.

Opactwo Mushindo

Czcigodna przełożona Jintoku ostrożnie zerknęła do gościny komnaty. Makoto Stark wciąż spał. Mężczyźni na ogół nie mieli prawa wstępu za mury opactwa. W dawnych czasach — a „dawne czasy” skończyły się w Japonii zaledwie przed piętnastu laty — byłoby to zupełnie niemożliwe. Ale Makoto trafił tutaj na osobiste polecenie księcia. Odniósł poważne rany w bohaterskiej walce. To usprawiedliwiało odstępstwo od reguły. Tak przynajmniej powiedział Genji. Oczywiście kryło się za tym coś więcej. Wszystko, co mówią ludzie, ma ukryte znaczenie.

Jednak w tym przypadku sprawa była jasna.

Ranny okazał się tym samym młodzieńcem, który kilka tygodni wcześniej złożył w Mushindo enigmatyczną wizytę. To właśnie on podał w wątpliwość oficjalną relację ze słynnej bitwy, stoczonej w 1861 roku. Stwierdził wręcz, że zna jej przebieg niejako z pierwszej ręki, od swoich rodziców. Przełożona spytała, kim są jego rodzice, ale on odparł tylko, że to dobre pytanie, i odszedł.

Jego wygląd mówił wystarczająco dużo. Od samego początku przełożona wiedziała, że kogoś jej przypomina. Nie potrafiła jednak dopasować twarzy. Teraz podobieństwo było oczywiste. Aż dziw bierze, że nie domyśliła się tego od razu... Co prawda przedtem nie widziała go obok Genjiego, za to w tej chwili miała przed sobą całą gamę fascynujących możliwości. Makoto może być kuzynem księcia, młodszym bratem lub nawet synem. Najprawdopodobniej tym ostatnim.

Ale co w takim razie z matką?

Sam powiedział, że jego rodzice brali udział w bitwie. Tamtego dnia, w orszaku księcia Genjiego były zaledwie trzy kobiety. Jedna z nich, lady Emily, w ogóle nie wchodziła w grę. Po pewnym czasie urodziła swoje jedyne dziecko — córkę — i zmarła w połogu. Zostawały więc pani Hanako i pani Heiko. Pierwsza także nie pasowała. Zaraz po bitwie wyszła za mąż za pana Hide i niecały rok później obdarzyła go synem. Pan Iwao był trochę starszy od Makoto, ale zupełnie do niego niepodobny. Wszystko wskazywało zatem na panią

Heiko. Czy to możliwe? Gdyby naprawdę była matką księcia, Genji wprowadziłby ją do swojego rodu. Pewnie zostałaby konkubiną— wszak nadal mowa o „dawnych czasach”... Choć z drugiej strony mógł ją poślubić. Nigdy nie wysłałby jej do Kalifornii. Jego syn nie powinien nosić obcego nazwiska, choćby to nawet było nazwisko tak dobrego przyjaciela jak Matthew Stark.

Zatem Makoto albo kłamał, albo sam pozostawał w błędzie. Chyba że przegapiłam coś ważnego... — zastanawiała się przełożona. Musi tego się dowiedzieć, póki młodzieniec jest w opactwie. Czeką go chyba trochę dłuższy pobyt, bo rana była dość poważna. Cud, że nie zginął. Cios zamachowca o włos minął jego serce. Dobrze, że miał przy sobie krótki miecz Genjiego, bo w przeciwnym razie sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej. Ale z drugiej strony, co robił z bronią ukrytą pod płaszczem, w pobliżu bramy wiodącej do pałacu cesarza? Zachowywał się jak spiskowiec.

Przełożona wyszła do ogrodu. Po drodze spotkała Genjiego.

— Panie... — powiedziała z głębokim ukłonem.

— Jak się czuje Makoto?

— Myślę, że dużo lepiej. Goro zabrał go do ogrodu. Pracują razem.

— Nie kręcą się tu dziennikarze?

— Już nie, panie. Od zamachu minęły ponad dwa tygodnie. Nikogo to nie ciekawi. — Mówiła tak z grzeczności. Jej własna ciekawość nie zmaląła nawet odrobinę. Dlaczego inni ludzie mieli myśleć inaczej?

— Mam nadzieję — westchnął Genji. Chyba też w to nie wierzył.

* * *

— Poszedłem tam, żeby cię zabić — wyznał Makoto. Spulchniał ziemię wokół rozłożystych krzaków.

— Mogłeś jedynie stać i patrzeć — odparł Genji. — Ktoś próbował cię wyręczyć.

Przystanął w cieniu wysokiej sosny.

— Chyba tak.

— Dlaczego mnie obroniłeś?

— Nie wiem. Kiedy zobaczyłem, że wyciągnął miecz, nagle poczułem się oszukany. Chciał mi odebrać prawo do zemsty. Przez całe życie mnie okłamywano. Czy to rozumiesz? Tylko ja mogę cię zabić.

— Nie przejmuj się — z uśmiechem powiedział Genji. — Będziesz miał jeszcze okazję. Jednak najpierw musisz wyzdrowieć.

Makoto roześmiał się, a potem jęknął i przycisnął rękę do piersi.

— Tak, tak... Mała zmiana planów. Coś mi się rozjaśniło w głowie, kiedy wpakował we mnie ostrze miecza. Ujrzałem twarz. Wiesz kogo?

— Heiko.

— Nie. Pana Saemona. Zrozumiałem, że to jego sprawka. Oszukał mnie jak małe dziecko.

— Namawiał cię, żebyś mnie zabił?

— Och, wręcz przeciwnie! Bez przerwy mówił o tolerancji i wybaczeniu. Powtarzam: mówił. Z reguły myśli co innego i pod tym względem jest prawdziwym mistrzem. Naprawdę tego nie zauważyłeś?

— Zauważyłem, chociaż z drugiej strony trudno przyłapać go na kłamstwie. Wydaje się szczery. Wielu już wpadło w tę pułapkę.

— A jednak ciągle się go trzymasz. Chętnie korzystasz z jego rad.

— To raczej gra pozorów. Nigdy do końca mu nie wierzyłem — odparł Genji. — Saemon zdaje sobie z tego sprawę, więc zachowuje się pokrętnie. Pod jedną warstwą prawdy i kłamstwa kryje się druga, pod nią następna...

— Bez przerwy słyszę, że znasz przyszłość — przerwał mu Makoto. — Tymczasem gadasz bzdury.

— Ach, tak? Więc co byś zrobił na moim miejscu? Żle, że ustawiam sobie przeciwnika tam, gdzie mogę go zawsze widzieć?

— Przeceniasz się. On zresztą także. Pytanie tylko, który z was na tym ucierpi. — Makoto wykopał okazały chwast, otrząsnął go z ziemi i odrzucił na bok.

Do ogrodu wszedł Goro z motyką w ręku. Zaczął starannie wyznaczać krawędź, oddzielając ścieżkę od grządek.

— Czasem brutalny, chłopski sposób jest najprostszy, żeby dojść do wyznaczonego celu — zauważył Makoto. Spojrzał na Genjiego. — Naprawdę jesteś jasnowidzem?

— Od sześciu wieków w każdym pokoleniu rodzi się ktoś, kto może zobaczyć przyszłość — odparł Genji. — Ale to nie jest tak, jak myślą ludzie.

— Właśnie. Shizuka też mi to mówiła. Z pewnością powtarzała twoje słowa.

— Podejrzewam, że na swój niewinny i bezpośredni sposób potrafi to wyjaśnić o wiele lepiej ode mnie.

— Ale dlaczego nikt wcześniej nic mi nie powiedział? Z tego, co nie tak dawno słyszałem od Shizuki, to nie jest żaden dar, tylko klątwa.

— Przyznaję, że nie przekazałem ci wielu rzeczy, o których już od lat powinieneś wiedzieć. Jedno przemilczenie prowadzi do drugiego, i tak dalej, dalej, i dalej...

Makoto wzruszył ramionami.

— W sumie to nawet nieważne. Twoje zdolności przejdą na Shizukę. Nie miałem wizji.

— Ona też nie. To przychodzi niespodziewanie. U dziewcząt jest najczęściej związane z okresem dojrzewania, chociaż nie zawsze. Czasem pojawia się dużo później. Na razie niczego nie wiemy.

— Można się na to jakoś przygotować? — Spytał Makoto.

— Raczej nie. Z wyjątkiem rezygnacji.

Milczał tak długo, że Makoto uznał to za koniec rozmowy. Już chciał przejść w drugi kąt ogrodu, kiedy Genji go zatrzymał.

— Jestem gotów oficjalnie uznać cię za mojego syna — powiedział. — Możesz być moim następcą, na miejsce Shizuki.

Makoto wybuchnął śmiechem. Wiedział, że to niegrzeczne, lecz nie mógł się powstrzymać.

— Nie... dziękuję, książę. Mogłeś to zrobić przed dwudziestu laty. Teraz mi wszystko jedno. A Shizuka o wiele lepiej wywiąże się z tego zadania.

Podszedł do Goro. Zaczęli razem kopać.

— Goro — powiedział Makoto.

— Goro — powiedział z uśmiechem Goro.

— Makoto — powiedział Makoto.

Wciąż uśmiechnięty Goro odparł: „Kimi” — i zajął się kopaniem.

Makoto wesoło zerknął na Genjiego.

— Zanim wyjadę, spróbuję go nakłonić, żeby wymówił moje imię.

— Jeśli to zrobi, to na pewno mianuje cię swoim następcą. Wtedy już nigdy nie wyjedziesz.

Popatrzyli na siebie. Makoto roześmiał się na całe gardło. Genji uśmiechnął się lekko, jak to miał w zwyczaju.

Jesienny Most

Powab, młodość, uroda wędną w chwili rozkwitu. Jesienny Most majaczy we mgle wczesnej Wiosny.

Aki-no Hashi
(1311)

Ruiny klasztoru Mushindo, 1857

Dzieci ze wsi Yamanaka często bawiły się w ruinach starej świątyni stojącej na szczycie góry. Trochę bały się tego miejsca, zawsze pełnego dziwnych i niesamowitych dźwięków. Po prawdzie niezbyt to przypominało jęki torturowanych duchów, wycie upiorów czy jazgot złośliwych demonów, ale niewiele było trzeba, żeby pobudzić dziecięcą wyobraźnię. Właśnie dlatego dawny klasztor stał się placem zabaw. Wszystkie dzieci na całym świecie uwielbiają takie straszne miejsca, pod warunkiem, że tak naprawdę nie są straszne. W dodatku dzieci z Yamanaki robiły zawsze to, co kazała im Kimi, a ona chciała bawić się w ruinach. Rządziła nimi, chociaż była najmłodsza i najmniejsza z całej grupy. W dodatku wcale się nie bała. Co prawda Goro też się nie bał, lecz on był głupi jak jego matka, wiejska idiotka. Goro w ogóle nie przypominał dziecka. Przerastał najtęższych chłopów ze wsi i miał „dorosłą” twarz. Może był stary? Mimo to zawsze zachowywał się dziecinnie, więc nikomu nawet nie wpadło do głowy, żeby wykluczyć go z zabawy.

Pewnego dnia, kiedy wszyscy wybrali się do klasztoru, ktoś nagle wyciągnął rękę i wrzasnął:

— Patrzcie! Duch!

W pobliżu resztek kamiennego muru, który niegdyś otaczał świątynię, majaczyła jakaś niewyraźna postać. Kilkoro strachliwszych dzieci rzuciło się do ucieczki.

— To nie duch — powiedziała Kimi. — To człowiek.

Domniemany duch siedział nieruchomo. Nosił szare, spłowiałe ubranie i rzeczywiście wyglądał tak, jakby przed chwilą wyrósł z cienia. Był stary, miał ogoloną głowę, zapadnięte policzki i jasne spokojne spojrzenie. Jego szata zapewne była kiedyś biała. Na ziemi leżał słomiany kapelusz i drewniana laska.

— Kim jesteś? — Zapytała Kimi.

— Pielgrzymem i pustelnikiem — odparł.

Kimi знаła te słowa. Pustelnik zrywał więzi ze światem. Pielgrzym wędrował po całym kraju w poszukiwaniu oświecenia albo odprawiał jakąś pokutę. We wsi tacy się nie zdarzali. Biedy chłop nie mógł niczego porzucić. Wszystko co zdobył od początku należało do jego pana. Nigdy nie szukał oświecenia, bo zmordowany ciężką pracą i wiecznie głodny myślał tylko o tym, żeby się najeść i przespać. Nie podróżował w ramach pokuty, bo nie miał na to czasu, a jego życie było pokutą za grzechy, których dopuścił się w tym lub poprzednim wcieleniu. Skoro ten człowiek twierdzi, że jest pustelnikiem, musiał mieć kontakt z Buddą, bogiem lub demonem. Z czymś, co zmieniło jego życie. Pewnie znał mnóstwo opowieści.

— Co porzuciłeś? — Spytała Kimi.

— Prawie wszystko — powiedział mnich.

— Gdzie byłeś?

— Prawie nigdzie.

Hm... Ta rozmowa do niczego nie prowadzi. Kimi postanowiła zadać łatwiejsze pytanie.

— Jak masz na imię?

— Zengen — odparł starzec.

— Co znaczy Zengen?

— A co oznacza jakiegokolwiek imię?

— Na przykład moje to „Niezrównana” — odpowiedziała Kimi. — A to jest Goro. To znaczy wszyscy mówią na niego Goro, ale to skrót od Gorotsuki, „Hultaj”. Nie wiem, dlaczego tak go nazwano. Nie jest hultajem. Co znaczy Zengen?

— A co oznacza jakiegokolwiek imię? — Powtórzył Zengen.

— Przecież przed chwilą ci powiedziałam. Jestem „Niezrównana”. — Kimi zastanawiała się, czy mnich jest rzeczywiście świętym mężem, czy wariatem. Czasami nie można było ich odróżnić. Może ten starzec jest wyznawcą zen, jak wskazuje na to jego imię? A może tylko sprytnym głupcem?

— Co znaczy „Niezrównana”?

— Chyba to, że we wszystkim zawsze jestem najlepsza.

— Co to znaczy „najlepsza”?

— A co znaczy „co to znaczy”? — Zawołała Kimi. — Jak będziesz ciągle pytał, to nigdy nie dostaniesz właściwej odpowiedzi.

Stary mnich z szacunkiem złożył dłonie w buddyjskim geście *gassho* i uklonił się.

— Proszę bardzo — powiedział.

— „Proszę bardzo”? To znaczy, że mam ci podziękować?

— Zrobisz to, co uznasz za stosowne.

— Niby za co miałabym dziękować?

— Jeśli będziesz ciągle zadawała pytania, to nigdy nie dostaniesz właściwej odpowiedzi.

— Właśnie przed chwilą ci to powiedziałam.

— Dziękuję — rzekł mnich i znów się uklonił.

Kimi się roześmiała. Złożyła dłonie w *gassho* i oddała ukłon. Co prawda w dalszym ciągu nie była całkiem pewna, czy ma do czynienia z prawdziwym mnichem, czy z szaleńcem, ale bawiła się doskonale. Nikt we wsi nie rozmawiał z nią w ten sposób.

— Proszę bardzo — powiedziała.

— Tu była świątynia — westchnął mnich.

— Tak. Bardzo dawno temu. Zanim się urodziłam.

— To rzeczywiście dawno — uśmiechnął się. — Wiesz, jak się nazywała?

— Mama mówiła, że mu-cośtam. Pewnie żartowała. — Słowo *mu* mogło także znaczyć „pustka”.

Starzec zamrugał gwałtownie. Do tej pory siedział w pozycji lotosu, lecz teraz rozprostował nogi i wstał.

— Czy to możliwe? — Spytał.

Spojrzał na mur, na resztki fundamentów czerniejące w wysokiej trawie, i na przegniłe belki głównej sali.

— Jestem w majątku Yamakawa?

— Tak — odpowiedziała Kimi. — Naszym panem jest da-imyo Hiromitsu. Niezbyt potężny, ale od dawna przyjaźni się...

— ...z księciem Kiyorim — dokończył mnich.

— Tak, z wielkim księciem Akaoki — dodała Kimi. — Z prorokiem, który zna przyszłość i nie może przegrać żadnej bitwy. Co prawda bitwy już się skończyły, lecz gdyby były, toby nie przegrał.

— Zatem wróciłem — powiedział mnich. — Byłem tu opatem. Ile lat temu? Dwadzieścia? Dziesięć? — Parsknął urywanym śmiechem. — Tam zbudowałem sobie małą chatkę. Nic szczególnego. Nie zabawiłem tutaj zbyt długo.

Kimi nabrała przekonania, że mnich naprawdę ma coś z głową. Odkąd sięgała pamięcią, w tym miejscu zawsze były ruiny. No, dobrze... ma tylko sześć lat. Może tu mieszkał. Chociaż to bardzo dziwne.

— Odbuduję świątynię — oznajmił starzec. — Z zapalem, własnymi rekami.

— Nie radzę — wtrąciła Kimi. — Obcym nie wolno tu niczego robić. Musiałbyś mieć na to zezwolenie samego pana Hiromitsu. A może także zwierzchnika sekty, chociaż w ogóle nie wiem kto to taki. Ta sekta chyba już nie istnieje.

— Zdobędę zgodę — powiedział starzec.

Choć się uśmiechał, po jego zapadniętych policzkach płynęły łzy. Zatem należy do wyznawców nauk propagowanych przez mistrzów zen. Kimi słyszała, że tylko oni potrafią śmiać się i płakać jednocześnie. Choć przy okazji może być wariatem.

— Przez wiele lat włóczyłem się bez celu — powiedział. — Nagle znalazłem się w miejscu, z którego rozpocząłem wędrówkę. Jestem niezwykle wdzięczny. — Rzucił się na kolana i nisko pokłonił zmurszałym belkom.

Potem napisał list, który Kimi miała dostarczyć na zamek

pana Hiromitsu. Gońcem był Goro, ponieważ potrafił przebiec wiele mil, w ogóle się nie męcząc. Owszem, czasami gubił się w lesie, ale do zamku wiodła prosta droga, więc nawet on umiał tam trafić. Kimi była przekonana, że list wywoła poruszenie. Wcale nie chciała, żeby Goro przypłacił głową swoje poświęcenie. On jednak nie słuchał jej ostrzeżeń. Poszedł. Cóż więcej mogła zrobić?

Dwa tygodnie później spełniły się jej najgorsze obawy. Do wsi zajęchał oddział dwudziestu zbrojnych samurajów. Ich dowódca, okropny człowiek, wyraźnie skory do zabijania, wezwał sołtysa.

Starszy wioski rzucił się twarzą w pył.

— Którędy do klasztoru Mushindo? — Spytał oficer.

Sołtys szeroko rozdziawił gębę i wytrzeszczył oczy. Nic nie powiedział, tylko trwał w pokłonie.

Dowódca zerknął na swoich ludzi.

— Zetnij mu głowę, Taro. Może następca będzie rozmowniej szy.

— Tak jest, panie Saiki.

Kimi stała na końcu grupy mieszkańców wioski, razem z innymi dziećmi. Samuraj o imieniu Taro zeskoczył z siodła i wyciągnął miecz.

— Proszę zaczekać, panie samuraju! — Krzyknęła Kimi. — Pokażę drogę. — Pan Saiki zmierzył ją wściekłym spojrzeniem. Ze strachem pochyliła głowę. Po co w ogóle się odzywała? Przecież nie lubi sołtysa Buncho, który wciąż krzyczy i pogania ludzi. Na dobrą sprawę, nawet nie wiedziała, czy te ruiny o nazwie mu-cośtam to rzeczywiście klasztor Mushindo. Czowała, że sama zaraz zginie.

— Wstań, mała! — Rozkazał pan Saiki.

Kimi podniosła się, drżąc jak galareta. Miała wrażenie, że się posika. To byłby wstyd. Woląca umrzeć, niż stać się pośmiewiskiem całej wioski. Goro też wstał, bo zawsze robił to co Kimi.

— Co ty wyprawiasz, głupcze? — Huknął na niego pan Saiki.

— To rzeczywiście wiejski głupek, panie dowódcu — wyjąkała Kimi. — Nie ma pojęcia, jak się zachować.

Jeden z samurajów parsknął śmiechem. Natychmiast umilkł, ale pan Saiki to usłyszał.

— Masz służbę w stajni, Hide — warknął. — Do odwołania.

— Tak, panie — odparł Hide. Już się nie uśmiechał.

— Prowadź nas, mała — rozkazał Saiki.

— Tak, panie dowódco. — Kimi ukloniła się. Goro dokładnie naśladował jej ruchy.

Chyba przybyli tu po starego Zengena, pomyślała Kimi. Miała nadzieję, że go jedynie aresztują, i że nie dojdzie do egzekucji. Wyznawcy zen o wiele lepiej od zwykłych ludzi znosili pobyt w celi i tortury. Kimi słyszała, że ich klasztory niczym nie różnią się od więzienia. Podobno głodowali w nich, byli bici, nie mogli spać i całymi dniami musieli patrzeć w ścianę. A jeśli któryś się poruszył, to główny mnich krzyczał na niego i walił go sękatym kijem. Jeśli zasnęli, to za karę obcinano im powieki. Jeśli nie mogli prawidłowo usiąść w pozycji lotosu, to łamano im nogi. Zengen w więzieniu będzie miał jak w domu, pomyślała. Biegiem puściła się w stronę ruin. Goro popędził za nią.

Dalsze wydarzenia przeszły jej najśmielsze oczekiwania.

Stary Zengen grabił resztki trawy, którą przed chwilą skosił. Na widok gości odłożył grabie i pokłonił się, składając ręce w *gassho*.

Oddział stanął, samuraje zeskoczyli z koni i wszyscy, nie wyłączając groźnego pana Saikiego, ukłękli przed starym mnichem. Skłonili mu się do samej ziemi.

— Panie Nao — powiedział Saiki — księżę Kiyori, pan Shigeru i pan Genji przesyłają ci najgorętsze pozdrowienia. Mam ci przekazać, że w każdej chwili gotowi są cię odwiedzić, jeżeli tylko zechcesz ich przyjąć.

— Dziękuję, Saiki — odparł stary Zengen. — Ale nie jestem żadnym „panem”, a Nao także nie istnieje. Moje imię brzmi Zengen i krocę Ścieżką Buddy. To wszystko.

Pan Saiki uniósł głowę i uśmiechnął się.

— Nie wszystko. — Dał znak ręką. Taro wysunął się przed szereg i z ukłonem wręczył starymu Zengenowi jakiś zwój starannie owinięty we wzorzysty jedwab. — Z polecenia naczelnego opata sekty Mushindo powierzam ci ten klasztor.

— Proszę, proszę... — mruknął z uśmiechem Zengen.
— Mamy tu zostać i pomóc ci przy odbudowie, czcigodny opacie. Pan Hiromitsu dał nam zezwolenie, aby zwerbować dowolną liczbę chłopów potrzebnych do pracy.
— Nie możemy odrywać chłopów od ich zajęć. Przy gorszych zbiorach na pewno zaczną przymierać głodem. Niepotrzebna mi żadna pomoc, panie Saiki. Sam odbuduję Mushindo.
— W takim razie pozwól chociaż, że dostarczymy ci potrzebne materiały.
— Nie trzeba. Wykorzystam to, co mam pod ręką. Czego nie znajdę, tego nie będzie.
— Sam, bez budulca? To trudne zadanie. Klasztor już od ponad stu lat stoi zrujnowany.
— Nie będę sam — odparł stary opat Zengen. — Jest przecież Kimi. Ona mi pomoże, prawda?
— Tak — odpowiedziała Kimi — i Goro także.
— Mała dziewczynka, wiejski głupek i ruiny. Wybrałeś sobie niełatwą drogę, czcigodny opacie.
— Całkiem na odwrót, panie Saiki. To raczej droga mnie wybrała.

* * *

Od tamtej pory wiejskie dzieciaki często odwiedzały Zengena. Okazało się, że wbrew temu, co powiedział, był w wielu odległych miejscach. „Prawie wszędzie” bardziej odpowiadało prawdzie niż „prawie nigdzie”. Na Shikoku odwiedził osiemdziesiąt osiem świątyń, podążając śladami wielkiego Kobo Daishi, który tysiąc lat temu jako pierwszy podjął tę pielgrzymkę. Powiadano, że w ten sposób można się uwolnić od osiemdziesięciu ośmiu złudzeń, czyhających na człowieka.

— I co? — Zapytała Kimi.

— Rozbolały mnie nogi, bardzo się zmęczyłem i niemal dostałem udaru słonecznego — odparł Zengen.

Potem przepłynął Morze Wewnętrzne, wylądował na Honshu i powędrował na świętą górę Hiei. Tam pobierał nauki u najbardziej poważanych buddyjskich mistrzów. Trafił do ezoterycznej sekty, która czarami zamierzała usunąć z życia wszelki ból i cierpienie.

— I co? — zapytała Kimi.

— Jedyne głupiec wierzy w czary — odparł Zengen. — A jeszcze większy głupiec myśli, że istnieje życie bez cierpienia. Ten, kto stoi pośrodku ognia, musi się poparzyć. Ten, kto stoi na zlodowaciałej rzece, musi zmarznąć.

* * *

Klasztor zbudowany przez starego opata Zengena nie przypominał innych świątyń. Wyglądał raczej jak klasztor, które wyrosły w dawnym majątku Shiroishi w czasach, gdy Zengen był jednym z dwustu sześćdziesięciu daimyo. Mała forteca, a nie miejsce kultu i medytacji. Opat trochę tego żałował, bo już nie parał się wojennym rzemiosłem. Nie umiał jednak wznieść innej budowli. Pewnie za długo kroczył drogą samuraja.

* * *

Upiorne dźwięki, o których opowiadały dzieci, okazały się tylko wymysłem. Owszem, zdarzało się, że coś słyszał, co nawet brzmiało jak wycie ducha, ale on w życiu stracił już wszystko i zerwał wszelkie związki ze światem. Nocne hałasy tylko mu przypominały o ciągłym smutku i nieuchronnej śmierci.

* * *

Po pewnym czasie spłynął na niego spokój. Pewnego dnia poczuł się błogo. Smutek nie zniknął, bo przecież nie mógł. Ale nareszcie z nim się pogodził.

Nie szukał dłużej odpowiedzi. Kiedyś uważał, że ważniejsze są pytania. Teraz już wiedział, że pytania także nie mają żadnej wartości.

* * *

Pewnego dnia przybyła grupa cudzoziemców. Na prośbę księcia Akaoki mieli postawić własną świątynię, w intencji boga, który pod pewnymi względami przypominał Buddę. Nazywali go „Jezus Chrystus”. Zengen zaproponował im, żeby modlili się w Mushindo. Ich święty dzień przypadał w każdą

niedzielę. Dla Zengena wszystkie dni były jednakowe. Chrześcijanie — jak sami o sobie mówili — odrzucili jego propozycję. Chcieli zbudować „kościół”. Zanim zaczęli, wszyscy pomarli na cholere. Wszyscy, prócz jednego. Nikt nie potrafił dobrze wymówić jego imienia. Brzmiało jak „Jimbo”. Podczas choroby w jakiś sposób nauczył się japońskiego. Nie było w tym nic dziwnego. Zengen słyszał o pewnym rybaku, który po katastrofie kutra został uratowany przez rosyjskich marynarzy. Rybak przez miesiąc leżał w gorączce, a kiedy się obudził, mówił płynnie po rosyjsku. Różne dziwne rzeczy zdarzają się w obliczu śmierci.

— Chcę zostać twoim uczniem — powiedział Jimbo.

— Nie możesz — odparł Zengen. — Nie jestem świętym mężem. Widzisz przed sobą zwykłego człowieka odzianego w zakonne szaty. Czego nauczysz się od ubrania?

W oczach Jimbo błysnęły łzy. Ukłonił się.

— Dziękuję ci, czcigodny ojcze. Będę rozmyślał o twoich słowach.

W ten sposób, wbrew swoim intencjom, Zengen stał się nauczycielem Ścieżki.

* * *

Stary człowiek medytował w niewielkim górskim szałasie, dwa dni drogi od klasztoru Mushindo. Już dwa razy był tam opatem. Nad nim leżały byle jak rzucone gałęzie, zastępujące dach. Przez szpary pomiędzy nimi przeświecały gwiazdy. Gęsta mgła opadała w głąb doliny. Starzec siedział z dłońmi ułożonymi w mudrę, ale daleki był od medytacji. Z wolna umierał — a w chwili śmierci, wbrew własnej woli, rozmyślał o tym, jak szybko minęło jego życie. Nie, nie... Niczego nie żałował. Był raczej trochę zaskoczony.

Jeszcze wczoraj nosił tytuł daimyo, dowodził małą armią bitnych samurajów, miał wierną żonę i dwóch krzepkich synów, piękną córkę i roześmiane wnuki. Przedwczoraj był wystraszo-
nym młokosem, w za dużej zbroi i z ogromnym mieczem. Pocił się ze strachu, kiedy jego oddział wyruszał do ataku na głodnych wieśniaków. Jeszcze dzień wcześniej, jako dziesięcio-
letni chłopiec, klęczał przy zmarłym ojcu i przez łzy przyrzekał,

że dochowa przysięgi, ciężącej na członkach klanu. Że zniszczy shogunów z rodu Tokugawa.

A teraz umierał.

Kto wie? Może już nie żyje — i tylko jego dusza unosi się nad nieruchomym ciałem, niczym dymek z kadzidła w uśpionym pokoju. Wystarczy jeden podmuch wiatru i dusza całkiem zniknie.

Oddech. Jeśli nawet oddycha, to niedostrzegalnie.

Popatrzył na swoje dłonie.

Kiedyś dzierżyły miecz, pieściły kobiece ciało, pocieszały dzieci.

Zabijały, kochały, wybaczały.

Teraz leżały nieruchomo. Ciekawe, czy gdyby chciał, zdołałby nimi poruszyć?

Ale nie chciał, więc nie mógł się tego dowiedzieć...

Rezydencja Genjiego nad rzeką Tamą, przedmieścia Tokio, 1895

Genji przygotował przemowę, którą chciał wygłosić na posiedzeniu parlamentu. Wiedział, że zginie, nim dotrze na mównicę. Dzisiaj był właśnie ten dzień, który przed laty ujrzał w swojej wizji. Dzień zamachu. Od bardzo dawna znał czas, miejsce i okoliczności swojej śmierci. Czy ta wiedza była dlań pomocą czy przekleństwem? Chyba jedno i drugie. Czasami popadał w marazm, zamiast być bardziej czujny, czasem błyszczał odwagą, zamiast drżeć ze strachu.

Ale teraz miał umrzeć. Wszelkie domysły zamieniły się w pewność. Jego dziadek, którego wroźby zawsze się spełniały, powiedział mu, że będzie miał tylko trzy wizje — i że to właśnie one przeprowadzą go przez życie. Ale gdzie podziła się trzecia? Księżę Kiyori był chytrym samurajem starej szkoły. Mógł specjalnie okłamać wnuka, żeby zmusić go do ostrożności. To całkiem prawdopodobne. Na trzecią wizję nie zostało już zbyt wiele czasu. A gdyby nawet przyszła, co by to pomogło?

Genji stanął przed lustrem. Wyglądał zabawnie, z wąsami

i brodą francuskiego generała, w angielskim surducie i z japońską twarzą arystokraty w średnim wieku. Przypomniał sobie, jak to było, kiedy poznał Emily Gibson. Wtedy nosił skomplikowaną fryzurę samuraja. Lecz samuraje już nie istnieli. Był dużo młodszy, gładko ogolony — i szczęśliwy. Dumny z tego, że pochodzi z książęcego rodu.

Aż taki głupi?

Genji się roześmiał.

Tak, tak... Naprawdę...

Odwrócił się od lustra i...

* * *

Genji ma trzy lata. Idzie brzegiem Jeziora Białych Kamieni w pobliżu Zamku Białych Kamieni, w którym mieszka jego dziadek ze strony matki, pan Nao. W rękach trzyma niewielki papierowy latawiec z długim sznurkiem nawiniętym na patyk. Na spodzie latawca wymalowana jest chmara wróbli. Ich piórka wcale nie są szare, lecz mienia się fantazyjnymi kolorami.

Po jednej stronie chłopca kroczy wysoki mężczyzna, po drugiej kobieta. To jego rodzice.

— Zamek Białych Kamieni, Jezioro Białych Kamieni, majątek Białych Kamieni — recytuje Genji. — Dlaczego ciągle słyszę o białych kamieniach, chociaż wcale ich tu nie ma?

— Białe kamienie to prawdziwy skarb mojego ojca — odpowiada matka. — Ludzie zbierali je na brzegach tego właśnie jeziora. Służyły do gry w go. Prawdziwi gracze uważali je za dużo lepsze niż najwspanialsze pionki z macicy perłowej. Powiada się, że nawet legendarny bohater Yoshitsune używał kamieni z Shiroishi. Podobno wyżej cenił tylko honor, zwycięstwo w bitwie i swą kochankę.

— To gdzie są teraz?

— Zabrakło ich. W przeciwieństwie do perłopławów.

— I wtedy dziadek Nao posadził jabłonie?

— Nie. To dużo wcześniej zrobili jego przodkowie. Ale białe kamienie pozostały w nazwie zamku, jeziora i majątku.

— Dziwne — mówi Genji. Poluźnia sznurek i szykuje się do biegu. — Trzeba zmienić te nazwy, żeby się nie myliły.

— Nazwa to nie tylko zwykłe określenie — odpowiada

ojciec. — To symbol trwałości, bez względu na zmiany. Choćby właśnie dlatego masz na imię Genji.

Szybko patrzy na żonę. Uśmiechają się do siebie.

Genji dokładnie pamięta to spojrzenie. Jest mu ogromnie przykro, bo niespodziewanie znalazł się z boku, daleko od tych dwojga. Teraz już wie, że tego nie zaplanowali. Że to był tylko wynik ogromnej miłości, w której zabrakło miejsca dla innych ludzi.

— Moje imię też mi się nie podoba! — Woła Genji i biegnie wzdłuż plaży, ciągnąc za sobą latawiec.

Jego imię, Genji, pochodzi od słynnego księcia, który był bohaterem starodawnej powieści, napisanej przez panią Murasaki. To także inny sposób czytania nazwiska rodu Minamoto. Z rodu Minamoto wywodził się wielki Yoshitsune, wspianały wojownik, żyjący przed siedmiuset laty. Tylko Minamoto mógł zostać shogunem. Nawet obecny shogun z klanu Tokugawa twierdził, że jest potomkiem owego sławnego rodu. Ludzie kręcili nosem, że syn zwykłego feudała, Genji, otrzymał tak niezwykle i pretensjonalne imię. O co w tym wszystkim chodzi? — Pytali niektórzy. Ma być piękny, jak legendarny Promienisty Książę? Bo przecież to niemożliwe, aby potomek niewielkiego klanu Okumichi sięgnął kiedyś po tytuł shoguna!

Trzyletni Genji ciągle biegnie plażą. Latawiec podskakuje na nierównym piasku. Pięćdziesięcioośmioletni Genji przypomina sobie, dlaczego dostał takie imię. Jego matka wyszła za mąż bardzo młodo. Nic nie wiedziała o prawdziwym życiu, ponieważ żyła w świecie starych książek. Najbardziej lubiła powieść pani Murasaki. Chciała mieć dla siebie jakiegoś Genjiego, choćby syna, jeśli nie kochanka. Mąż pokochał ją tak bardzo, że zgodził się na to imię, chociaż i tak bywał często wyśmiewany jako zięć dziwaczalego Władcy Jablek. Rodzice w końcu postawili na swoim, wbrew sprzeciwom księcia Kiyoriego i pana Nao. Wszystko to zamykało się w jednym imieniu... — i w uśmiechu, który na moment połączył ich na plaży.

Latawiec nie chce wzbić się w górę. Genji złości się coraz bardziej. Chce go podrzeć i wrzucić do jeziora. W tej samej chwili słyszy głos ojca:

— Biegnij do nas, Genji! Pod wiatr!

Puszcza się pędem. Odwraca głowę i widzi, że latawiec szybuje w powietrze. Dorosły Genji chce zobaczyć matkę. Skoro on ma trzy lata, to ona jest w ciąży. Niedługo umrze, razem z jego siostrą. To już ostatnie szczęśliwe dni dla niego i rodziców. Chce spojrzeć na matkę. Pamięta, że była piękna, lecz mali chłopcy zawsze mają piękne matki. Ma trzy lata i pięćdziesiąt osiem. Matka dwadzieścia i nie doczeka następnych urodzin. Latawiec wznosi się wysoko nad brzegami jeziora Białych Kamieni.

Chłopiec spogląda w górę. Kolorowe wróble szybują po niebie niczym klejnot wyrwany z tęczy. Genji się śmieje. Słyszy śmiech ojca i matki. Wciąż biegnie, ich głosy rozbrzmiewają całkiem blisko, a latawiec wznosi się, i wznosi, i wznosi...

Mężczyzna chce zobaczyć matkę. Zmusza chłopca, żeby oderwał wzrok od latawca i...

* * *

— Panie!

Jakiś głos — odległy, słaby i pełen niepokoju.

Genji otworzył oczy i zobaczył nad sobą twarz zaufanego Hide. Ale gdzie podział się czub samuraja, dwa miecze i kimono? Pokręcił głową. Przypomniawszy sobie, że Hide zginął, broniąc go przed jakimś skrytobójcą, podczas kolejnej próby zamachu. Wojenne czuby, kimona, miecze odeszły w przeszłość razem z shogunem, daimyo i samurajami. Już nie powrócą. Ten młody człowiek to syn Hide, Iwao.

Iwao zerknął na asystenta.

— Zawiadom wszystkich, że pan przewodniczący Genji jest chory i nie wygłosi mowy w parlamencie.

— Nie. — Genji usiadł. — Nic mi nie jest. Za chwilę będę gotowy. — Wiedział, że zwłoka spowodowana trzecią i ostatnią wizją dała zabójcy nieco czasu, żeby mógł dotrzeć na właściwe miejsce. W duchu uśmiechnął się ironicznie. Więc trzecia wizja pomogła pierwszej...

— Odprowadź mnie do powozu.

Trochę żałował, że za wcześniej został wyrwany z transu. Że

nie zobaczył z bliska matki. Czy była tak piękna, jak ją zapamiętał? Szedł na spotkanie śmierci, a ciągle nie znał odpowiedzi.

Ale dowiedział się czegoś innego... Czegoś, co cenił dużo bardziej. Ostatnia wizja nie powiedziała mu nic o przyszłości, bo jego przyszłość miała trwać nie dłużej niż kilkaset uderzeń serca. W zamian ujrzał swoje dzieciństwo. Radosną przeszłość, którą dotychczas postrzegał jako pasmo nieszczęść. Zapomniał o wspólnych dniach, kiedy we troje byli chyba najszczęśliwszą rodziną w całej Japonii.

— Panie?

Dojechali na miejsce. Genji wysiadł z powozu.

— Jesteś pewny, że możesz dzisiaj przemawiać?

— Najzupełniej pewny.

Ostatnia wizja w dalszym ciągu działała na korzyść zabójcy. Ludzie Genjiego, zaniepokojeni jego stanem zdrowia, patrzyli na tłum, a nie na niego. Chwiał się, więc próbowali go podtrzymać. Żaden z nich nie myślał o niebezpieczeństwie.

Przepowiednia i skutek zawsze są nierozłączne. W dzieciństwie w ogóle tego nie rozumiał. Zastanawiało go, że Shizuka tyle wiedziała o przyszłości, lecz nie zrobiła nic, aby odwrócić bieg wypadków i powstrzymać ostateczną zdradę. Teraz, pod koniec życia, pojął tę tajemnicę.

Przyszłość w zasadzie niczym nie różni się od przeszłości. Odwieczny ciąg wydarzeń pozostaje stały. Ten, kto poznał przyszłość, mógł najwyżej zmienić swoje nastawienie. Niczym ziemia, serce też miało swoje kierunki. W jedną stronę ciągnęła się gorycz, niepokój, strach i nienawiść. W drugą, współczucie, wdzięczność, łagodność i miłość.

Prawdziwy prorok umie wybrać najwłaściwszą drogę. W tym właśnie tkwi jego potęga — choć tak naprawdę taki sam wybór mają też wszyscy zwykli ludzie.

Genji uważał się za szczęśliwca, że kiedyś kochał i był kochany.

Z sali obrad dochodził gwar. Iwao odsunął się na bok i otworzył drzwi.

Okumichi Genji, par cesarstwa, minister bez teki w rządzie Jego Cesarskiej Mości Mutsuhito, były daimyo Akaoki, kocha-

nek gejszy i misjonarki, nędzny zabójca obu ukochanych kobiet, uśmiechając się swoim lekko drwiącym uśmiechem, spokojnie wkroczył w głąb wizji.

Chmara Wróbli, 1867

Emily bardzo kochała Genjiego. Bez wahania poświęciłaby dla niego swoje ciało, zmysły, życie, ziemskie szczęście i miejsce w niebie. Skoczyłaby w otchłanie piekła i wykapała się w płomieniach, gdyby w ten sposób mogła ocalić duszę. Cóż bowiem jest piękniejszego od zbawienia najdroższej istoty? W swojej dziewczęcej naiwności była głęboko przekonana, że to uczucie bezbłędnie pokieruje jej krokami. Ale nie знаła całej prawdy.

Wkrótce przekonała się, że miłość to nie tylko sprawa ducha.

Ostatnio pojawiły się niebezpieczne symptomy, sprawiające jej kłopot w obecności Genjiego, zwłaszcza gdy byli sami. Co gorsza, nie uznawała ich za coś przykrego. Wychowanie i wiara zabraniały jej o tym myśleć. Nie mogła jednak nie zauważyć, że dotykają spraw intymnych i chyba bardzo ważnych. Dopóki Genji uważał ją za brzydką, niebezpieczeństwo prawie nie istniało. Jego niechęć broniła ją przed nią samą. Ale ostatnio przyłapała go na dziwnie namiętym spojrzeniu, charakterystycznym dla tych mężczyzn, u których zwierzęce instynkty na pewien czas stają się silniejsze od więzów narzuconych przez moralność i cywilizację. Widząc to, wcale nie odczuwała strachu czy zmieszania. Wręcz przeciwnie, zarumieniła się i dziwny dreszcz przebiegł jej po ciele. A gdyby Genji się zapomniał? Stawiałaby mu opór? Chyba nie miała aż tak silnej woli. Gdyby martwiła się o siebie, mogła prędko stąd wyjechać. Ale nie... Stawką była przecież nieśmiertelna dusza Genjiego.

Owszem, jej wyjazd rzeczywiście mógłby powstrzymać go od grzechu. Ale w ten sposób troszczyła się tylko o siebie pod fałszywym pozorem moralności. Genji miał dużo więcej okazji do bezecnego cudzołóstwa. Oprócz rozwiązłych gejsz w jego domostwie przebywały dwie nieszczęsne kobiety, zepchnięte

do poniżającej roli konkubiny. W ciągu minionych lat Emily z uporem odsuwała go od niektórych mniej chlubnych zwyczajów jego przodków. Teraz widziała jednak, że wystarczy chwila, aby wszystkie jej wysiłki poszły na marne.

Dużo gorsza od cielesnych pokus była bluźniercza wiara wciąż wyznawana przez Genjiego. Wprawdzie na pozór już uznawał boską wolę i wszechmoc Boga Ojca, poświęcenie i zmartwychwstanie Syna oraz wybaczącą moc Ducha Świętego, ale nigdy nie przyznał głośno, że miliony buddów i bogów należą do świata przesądów. Co gorsza, nadal wierzył w pustkę, o której mówili obłąkani patriarchowie zen. Zarzekał się, że to nie religia, ale jak znaleźć lepszą nazwę?

To wyciszenie, mawiał. Brak wszelkich myśli.

Czyli coś odwrotnego niż zbawienie, które zakłada ciągłe rozmyślanie nad słowami Stworzyciela?

Niestety, Genji cierpiał na tę samą przypadłość, która dręczyła większość jego ziomków. Umiał pogodzić w swoim umyśle różne, czasami sprzeczne religie. Mógł jednocześnie być buddystą, shintoistą i chrześcijaninem. Najgłębiej wierzył w wolną wolę i moc przeznaczenia. Tym samym „amen” akceptował słowa najwyższej prawdy i pojęcie pustki.

Ze wszystkich błędów, jakie popełniał, najgorszy to jego niezachwiana ufność w dar jasnowidzenia, przekazany mu przez przodków. Z tego, co mówił, takimi wróżbitami mieli być dziadek Kiyori i ojcobójca, stryj Shigeru. O sobie więcej nie wspominał tylko dlatego, żeby nie ranić jej najgłębszych religijnych uczuć. Ale milczenie nie wiodło go do boskiego wybaczenia. Wręcz przeciwnie, przez upór umacniał się w swoim grzechu.

Emily była święcie przekonana, że po jej wyjeździe Genji na powrót stanie się poganinem. Jedynie jej obecność i łagodna, lecz nieustająca perswazja dawały pewną nadzieję, że po jakimś czasie całkowicie odstąpi od tradycyjnych wierzeń i zostanie zbawiony.

Ale z drugiej strony wciąż musiała pamiętać o innym zagrożeniu związanym z osobą księcia.

Rozsądek okazał się najgorszą pułapką.

Pozostawał jeszcze *Jesienny Most*. To też potęgowało roz-

terkę dziewczyny. Przepowiednie zawarte w zwojach nosiły znamiona prawdy. Już to wystarczyło, żeby wpaść w obłąd. Co gorsza, ich autorka pisała w taki sposób, jakby rzeczywiście zwracała się wprost do niej.

Kłopot w tym, że pani Shizuka umarła ponad pięćset lat temu.

Może odczytać je inaczej? — Pomyślała Emily. Bez pomocy Hanako miała z tym pewien kłopot. Postanowiła zerknąć na tekst okiem Prawdziwego Wyznawcy i zobaczyć słowa, a nie demoniczne światło. Może wtedy, z pomocą chrześcijańskiej wiary, zdoła odczytać prawdę?

Musi spróbować.

Wyciągnęła ostatni, dwunasty zwój, żeby przeczytać końcowe zdanie. Chciała w nim odnaleźć jakieś nowe znaczenie. Wzięła głęboki oddech i rozwinęła dokument.

Zobaczyła jedynie blade, nieczytelne plamki, podobne do smużek dymu nad wygasłym ogniskiem. Na jej oczach wyblakły i znikły.

Podeszła do mongolskiej skrzyni i obejrzała pozostałych jedenaście zwojów. Wszystkie były zupełnie czyste, jakby pani Shizuka nigdy nie skreśliła na nich ani jednego znaku.

* * *

Emily oparła się o pień jabłoni. Przyszła tu aż z zamku. Ostatnim razem zawędrowała tak daleko, kiedy na zawsze opuszczała rodzinną farmę. Wtedy widziała za sobą gorejący pożar. To jej matka zniszczyła ogniem dużo gorszą zbrodnię. Teraz w duszy dziewczyny szalało morze płomieni, które próbowała ukryć przed całym światem.

Już nie miała *Jesiennego Mostu*. Mogła polegać wyłącznie na swojej pamięci...

Pan Narihira wierzył, że American Beauty stanie się zwastunem triumfu całego klanu. Pod tym względem miał rację. Ale za jego życia jeszcze nie było twojej Ameryki. Złe zrozumiał swój sen. Nie byłeś kwiatem, który miał spełnić jego nadzieje.

Ten fragment budził w niej przerażenie. Próbowwała na zawsze wyrzucić go z pamięci. Teraz był jej potrzebny — lecz nie miała pewności, czy zapamiętała go tak, jak brzmiał... Sfor-

mułowanie „twoja Ameryka” przeszywało ją dreszczem. Ale dalsze słowa *Jesiennego Mostu* brzmiały jeszcze gorzej. *Nie byłaś kwiatem, który miał spełnić jego nadzieje. Zakrawało to na satanizm. Przecież chodziło właśnie o nią!*

Narodziny twojej córki staną się dla niego ogromnym przeżyciem. Wszystko wtedy zrozumie. Ty tego nie doczekasz. Córka usłyszy o tobie wyłącznie od ojca. Ale pozna cię bardzo dobrze, więc może pozwolisz, że w zamian opowiem ci także coś o niej. Nadasz jej moje imię. To będzie twoje ostatnie życzenie. Jestem ci wdzięczna.

Tak to naprawdę brzmiało? Zapowiedź związku z Genjim i w konsekwencji śmierć w połogu?

Nie. Nikt nie zna przyszłości poza Jezusem i prorokami Starego Testamentu. Zwoje musiały być bluźniercze, z gruntu złe i fałszywe. Mogę to udowodnić, myślała Emily. Wystarczy, że przyjmę oświadczenia Charlesa Smitha. Charles przyjedzie już za tydzień. Za siedem dni obnażę całe to kłamstwo. Ale co z Genjim? Jej małżeństwo nie może odciągnąć go od pogańskiej wiary w prorocze zdolności. A to przecież największa groźba dla jego nieśmiertelnej duszy.

Choćby Genji zupełnie szczerze i z pełnym przekonaniem wyznał, że uważa Jezusa Chrystusa za swojego Pana i Zbawiciela, nic by to nie dało, gdyby nadal był zdania, że może wejrzeć w przyszłość. Konflikt pomiędzy bluźnierstwem i wiarą zagroziłby mu drogę do Chrystusowej łaski i tym samym na zawsze pozbawił odkupienia. Emily mogła nawet odtrącić go w tym życiu, lecz myśl o wiecznej rozłące była nie do zniesienia. W gruncie rzeczy działała z mniej świętych pobudek...

Na wzgórzu zobaczyła jeźdźca. To był Genji. Zanim do niej podjechał, przypomniała sobie, jak kiedyś, przed paru laty, leżał w śniegu, brocząc krwią. Trzymała go w ramionach i przysięgała Bogu, że odda życie za jego ocalenie. Przez krótką chwilę widziała tylko przeszłość.

Te wspomnienia skłoniły ją do śmiałej decyzji.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam — powiedział Genji.

— Ani trochę — zapewniła Emily.

— Jeśli chcesz, mogę natychmiast odjechać. To wymarzony dzień na samotne rozmyślania.

— Nie, nie... Dobrze, że jesteś — zawołała. — Właśnie cię szukałam.

— Ach, tak?... — Zeskoczył z konia i stanął tuż przy niej. — Coś się stało, czy się stęskniłaś?

Spiekła raka, ale nie pozwoliła zbić się z tropu.

— Chciałam pomówić z tobą o pracy — powiedziała. — To nie jest część *Chmary Wróbli* — dodała szybko, póki starczyło jej odwagi.

— Nie?

— Niektórzy twierdzą, że to *Jesienny Most* pani Shizuki.

— Aha — mruknął Genji i czekał. Emi-

ly była zaskoczona jego reakcją.

— Nie wyglądasz na zdziwionego. Nie ciekawi cię to?

— Prawdę mówiąc... — westchnął Genji — o wszystkim wiem od Hanako. Przyszła do mnie, gdy tylko znalazłyście zwoje.

Emily popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

— Hanako była moją przyjaciółką. Obiecywała, że nic nie powie.

— To ty byłaś jej przyjaciółką. A ja byłem jej panem. Musiała dochować wierności i pewnych rzeczy nie mogła ukrywać. W zamian...

Genji urwał w pół zdania i rzucił się w stronę Emily, która zakryła twarz i zadrżała, jakby zaraz miała upaść. W ostatniej chwili oparła się ręką o jabłoń. Dała Genjiemu znak, żeby nie podchodził bliżej.

— Dziękuję, sama utrzynam się na nogach.

— Jesteś pewna?

— Obawiam się, że nie mam innego wyboru. Nigdy nie miałam. Z tego, co słyszę, na nikim nie mogę polegać.

— Hanako nigdy cię nie zdradziła — zapewnił Genji. — Jak możesz tak myśleć? Przecież oddała za ciebie życie w opactwie Mushindo.

— To prawda. Ale powiedziała też, że nie wyjawি naszej tajemnicy, a wyjawila.

— Nie uznawała tego za twoją tajemnicę — odparł Genji. —

Ale przez wzgląd na ciebie zabroniła mi o tym mówić i cokolwiek robić, dopóki sama nie zaczniesz rozmowy na ten temat. Dotrzymałem słowa.

— To tylko przypadek! — wykrzyknęła Emily. — Przecież nie wiedziałeś, czy w ogóle kiedyś zechcę o tym mówić. W końcu byś mnie zapytał. Twoje słowo nie miało żadnego znaczenia, tak jak słowo Hanako.

— Mylisz się. Wiedziałem, że mi o tym powiesz.

— Ach, tak? Niespodziewanie „zobaczyłeś” naszą rozmowę o *Jesiennym Moście*? Miałeś wizję? — Tylko złość zmusiła ją do użycia tego słowa.

— Nie — odpowiedział Genji. Z niezmaconym spokojem spojrzał jej prosto w oczy. — Jeśli to była wizja, to zupełnie inna.

* * *

Genji znów stał się tylko pasażerem własnego ciała. Szedł korytarzem. Był niespokojny. Musiał być niespokojny, bo poruszał się szybkim, zamaszystym krokiem. Był w zamku, w pobliżu swojej komnaty. Z drugiego końca korytarza dobiegały głośne krzyki noworodka. Genji kierował się właśnie w tamtą stronę. Służba kłaniała się na jego widok.

Wszedł do komnaty i zobaczył dziecko w ramionach położnej.

— Panie... — powiedziała kobieta i podsunęła mu niemowlę. Ledwo rzucił na nie okiem. Jego myśli błądziły gdzie indziej. Chciał wejść do wewnętrznego pomieszczenia, ale nagle na jego drodze stanął doktor Ozawa. Stanowczym ruchem zamknął drzwi.

— Co z nią? — Niespokojnie zapytał Genji.

— Poród był bardzo trudny — powiedział doktor Ozawa.

— Nic jej nie będzie?

Lekarz ukłonił się.

— Przykro mi, panie — odparł.

Genji powoli osunął się na kolana.

— Jesteś ojcem, panie — odezwał się lekarz i podał mu noworodka. Genji odruchowo utulił dziecko w ramionach. Spojrzał na jego buzię, chcąc odnaleźć w niej rysy matki. Ale

drugi Genji, zamknięty w jego ciele, patrzył na coś innego. Na mały srebrny łańcuszek, wiszący na szyi dziecka.

Łańcuszek z medalionem ozdobionym symbolem krzyża i lilijki.

* * *

— To ten sam medalion, który zawsze nosisz — powiedział Genji.

— To żaden dowód — zachnęła się Emily. — Nic nie znaczy, choćbyś był święcie przekonany, że twoja domniemana wizja jest prawdziwa. — Nawet przed sobą nie chciała przyznać, jak bardzo wstrząsnęło nią wyznanie Genjiego. Wierząc w nie, uwierzyłyby, że jest wizjonerem. — We śnie mamy różne halucynacje. Taka jest natura sennych marzeń. Widziałeś mój medalion. Hanako powiedziała ci o wróżbach pani Shizuki. W twoim umyśle obie te rzeczy się połączyły. Nic więcej.

— Ten sen, jak go nazywasz, miałem sześć lat temu, w różanym ogrodzie. Uwierz mi, też nie chcę, żeby się kiedykolwiek spełnił.

Emily odwróciła się tyłem do niego. Sięgnęła za kołnierz i odpięła srebrny łańcuszek. Po chwili znów popatrzyła na Genjiego, wzięła jego rękę w swoje dłonie i dała mu medalion. To był jej najcenniejszy skarb. Chciała go zatrzymać do dnia śmierci. Jeszcze jedna złudna nadzieja...

— Weź go sobie. Daj żonie, kochance albo konkubinie... Pierwszej, która zajdzie w ciążę. Niech przekaże go dziecku. Wtedy twój sen się spełni, a tak zwana wizja straci na znaczeniu.

Genji popatrzył na medalion i pokręcił głową.

— Mój dziadek powiedział mi, że nie można walczyć z przeznaczeniem. Że wizja musi spełnić się do końca, bez względu na okoliczności. Czasami skutki bywają gorsze, jeśli ktoś chce uniknąć swego losu. Mimo to próbowałem odsunąć się od ciebie. Zabawiałem się w towarzystwie gejsz, chociaż wcale za tym nie tęskniłem. Sprowadziłem dwie konkubiny. Podtrzymywałem twoją znajomość z Charlesem Smithem i Robertem Farringtonem. Gdybym miał dziecko z gejszą albo konkubiną, przestałbym wierzyć w tamtą wizję. Uznałbym, że

to rzeczywiście sen. Gdybyś tylko wybrała Smitha lub Farringtona... Gdybyś wyjechała z mężem do Ameryki... Wsunął medalion w dłoń dziewczyny.

— Ostatnia nadzieja w tym, że wyjdiesz za mąż, Emily. Odejdź ode mnie, a wtedy sen na pewno się nie spełni. To niemożliwe.

Próbował cofnąć rękę, ale Emily zamknęła jego palce w swojej dłoni. Przez chwilę przypatrywała mu się z nieruchomą twarzą. Potem jej twarz powoli rozjaśniła się w radosnym uśmiechu. Niespodziewanie znów zaczęła płakać. Szlochała w milczeniu, wciąż nie przestając się uśmiechać. Przez cały czas patrzyła mu prosto w oczy.

— O co chodzi?

— Kocham cię. Od bardzo dawna. — Przerwała, by zaczerpnąć tchu. — Lecz do tej pory nie wiedziałam, że ty też mnie kochasz.

— Przykro mi, jeśli odniosłaś takie wrażenie — odparł Genji. Chrześcijanie uważali kłamstwo za ciężki grzech, bo wychodzili z błędnego założenia, że prawda jest najlepsza. — Mylisz się — kłamał dalej. — Przepraszam.

— Przez sześć lat byłeś wspaniałym oszustem. Teraz cię przejrzałam.

Genji roześmiał się nieszczerze.

— Czym się zdradziłem? — Spytał, chcąc obrócić to w żart.

— Wierzysz we wszystkie swoje wizje i w przepowiednie swoich przodków, nawet te sprzed sześciu wieków. Wierzysz w to, że nie można uniknąć przeznaczenia, i że czekają cię nieszczęścia, jeśli spróbujesz się zbuntować. A jednak chcesz, abym wyjechała.

— Może nie stałem się aż tak dobrym chrześcijaninem, jak byś chciała, ale to nie znaczy, że obce mi są chrześcijańskie cnoty. Jestem twoim przyjacielem. Nie chcę, żebyś cierpiała. Nie chcę, żebyś młodo umarła.

— Kłamca — z uśmiechem westchnęła Emily.

To samo powiedziała Heiko podczas ich ostatniego spotkania. Tylko że ona się nie uśmiechała.

— Rzykujesz wszystko. Przyszłość swojego klanu, bez pieczeństwo i być może życie swojego spadkobiercy. Robisz to, żeby mnie bronić. Dlaczego?

Dopiero teraz puściła jego rękę.

— Bardziej troszczysz się o mnie niż o siebie — dodała. — Czy to przypadkiem nie jest twoja definicja miłości?

Genji spojrział na swoją dłoń. Wciąż trzymał medalion z lilijką.

Może go zatrzymać, jeśli naprawdę chce, żeby wyjechała. Wtedy na pewno wyjdzie za Smitha... albo Farringtona albo jakiegoś innego Amerykanina, który na zawsze zabierze ją z Japonii. Chociaż wierzyła w miłość Genjiego, to nigdy by go nie zmusiła, żeby dał dowód swoich prawdziwych uczuć. W jej umyśle, w którym moralne zasady chrześcijaństwa mieszały się z romantycznym obrazem miłości, najważniejszy był wolny wybór.

Wolna wola.

Genji nie znał prawdziwego znaczenia tych dwóch słów. W jego świecie nie miało to żadnego sensu. „Wola” ściśle wiązała się z przeznaczeniem. „Wolna”? Nikt nie jest naprawdę wolny. To iluzja zrodzona za podszeptem demonów, w którą wierzą jedynie głupcy i szaleńcy.

Kim więc jest? Głupcem? Szaleńcem? Demonem? Wszystkim naraz?

Genji uniósł łańcuszek. Srebro jasno zamigotało, tak samo jak w jego wizji. Podszedł bliżej i zawiesił medalion na szyi Emily. Jego dłonie delikatnie otarły się o jej szyję.

Wolna wola... czy przeznaczenie?

— Genji... — szepnęła Emily i powoli padła w jego objęcia.

* * *

Emily nie miała nawet czasu pomyśleć o tym, co się stało. Genji podjął decyzję, więc od tamtej chwili działał szybko i sprawnie, jak generał na polu bitwy. W niecałe trzy tygodnie postawił dawno planowaną kaplicę na wzgórzu nad Doliną Jabłek. Architekt Tsuda — ten sam, który znalazł *Jesienny Most* i wysłał do Emily — prawie nie spał, żeby prace dobiegły końca w wyznaczonym terminie. Służące szyły ślubną suknię według francuskich wzorów, tak strojną, że projekt pochodził zapewne jeszcze sprzed rewolucji. Zużyto na nią całe jardy najlepszego chińskiego jedwabiu, irlandzkiego lnu i francuskich

koronek. Emily niechętnie usłyszała, że sam stanik kosztował więcej niż roczny dochód z niewielkiego lenna. Bardzo ją to speszyło. Podejrzewała, że nawet królowa Wiktoria nie miała tak bogatej wyprawy. Ale nie zdradziła się z tym przed Genjim. Wiedziała, że ten przepych jest niezbędny. Potomek jednego z najstarszych rodów w całym państwie bierze za żonę cudzoziemkę znikąd, bez nazwiska, bez żadnych politycznych wpływów i bez majątku. Z dumą dawał odpór wszystkim niepoehlebny plotkom. Może naprawdę brał udział w wielkiej bitwie?

Emily nie bardzo mogła w to wszystko uwierzyć. Ona, prosta dziewczyna z farmy nad rzeką Hudson, miała poślubić pogańskiego japońskiego księcia.

* * *

Hide stał na brzegu i patrzył na okręt zakotwiczony na re-dzie. Był zły — i tylko całe lata ćwiczenia sztuk walki sprawiły, że oddychał spokojnie i bezgłośnie. Samuraje mówili, że zbyt głośny oddech jest oddechem klęski i nieuchronnej śmierci. Nie może dawać złego przykładu.

— Ma tylko cztery działa — odezwał się Iwao. — Na parowcu naszego pana, „Przyłodek Muroto”, jest ich aż dwadzieścia. Jesteśmy lepsi od Amerykanów. — Cieszył się, że ojciec trzyma go na rękach. Czekał na to, lecz nie śmiał prosić. Nawet pięcioletni samuraj nie zniżył się do prośby.

— Jeszcze nie — mruknął Hide. — Nasz okręt jest zrobiony z drewna. Amerykańskie mają stalowe pancerze. Możemy do nich strzelać ze wszystkich dwudziestu armat i nasze kule odbiją się od ich kadłubów. Spójrz na kaliber tych czterech dział, Iwao. Widzisz, że są umocowane na wieżyczkach? Mogą strzelać na wszystkie strony, bez względu na to, w którą stronę okręt płynie.

Iwao nie chciał słuchać o potędze cudzoziemców.

— „Hampton Roads” — przeczytał. — Dobrze to wymawiam, tato?

— Tak.

— Głupia nazwa. „Przyłodek Muroto” brzmi o wiele lepiej.

Hide miał ochotę się roześmiać, lecz tylko z uśmiechem popatrzył na syna.

— To ich historia. Pod Hampton Roads doszło do pierwszego starcia stalowych okrętów.

— Naprawdę? I kto wygrał?

— Żaden z nich nie został zatopiony. Nie było zwycięzcy.

— Skoro nie można ich zatopić — z namysłem powiedział chłopiec — to lepiej wdrzeć się na pokład. Popatrz, tato... Wachtowi w ogóle nie patrzą na to, co się dzieje. Siedzą, śmieją się i palą fajki. Myślę, że są pijani!

— Jak byś to zrobił?

Iwao w zamyśleniu zmarszczył czoło.

— Nocą. Ale łodzie zbyt łatwo zauważyć, nawet gdy nie ma księżycy. Lepiej poprowadzić oddział dobrych pływaków... Na przykład od wschodu. Światła miasta oślepią wartowników.

— Ale woda zamoczy strzelby i pistolety — zauważył Hide.

— Broń palna nam niepotrzebna — odpowiedział chłopiec. — Wystarczą miecze i noże. Huk wystrzałów zaalarmowałby resztę załogi. Trzeba działać po cichu. Niech inni śpią. Żeby naprawdę zdobyć „Hampton Roads”, wystarczy dwudziestu ludzi. Dwudziestu najdzielniejszych ludzi.

— Proszę wybaczyć... — Służąca uklęknęła na piasku. — Za chwilę zacznie się uroczystość.

— Dziękuję — odparł Hide. Postawił syna na ziemi i poszli w kierunku zamku Chmara Wróbli.

— Cieszę się, że pani Emily wyjdzie za mąż — powiedział Iwao.

— Tak? — Hide zerknął na syna. — Dlaczego?

— Nie będzie już dłużej sama — odparł chłopiec.

* * *

— Nie takiego ślubu się spodziewałem — mruknął Charles Smith.

— Ja też — odparł Robert Farrington.

Poza nimi nie było innych Amerykanów, tylko miejscowi notable i ich lennicy.

— Szczerze mówiąc, jestem zdumiony, że pana tu widzę — powiedział Smith.

— „Hampton Roads” akurat nie miał innych zadań — wyjaśnił Farrington. — Dobrze znam kapitana... jeszcze z czasów wojny. Nie było z tym kłopotu.

— Miałem raczej na myśli bariery moralne.

— Pani Emily zaskarbiła sobie mój najwyższy szacunek — powiedział Farrington. — Muszę zatem być na jej ślubie, chociaż nie pochwałam wyboru małżonka.

Zapadła cisza. Żaden z nich nie znał myśli drugiego. Ale wyobrażali sobie, że je znają.

Farrington skrzywił się mimo woli.

Uśmiechnięty Smith najwyraźniej był w swoim żywiole.

Przecież nie co dzień można zobaczyć piękną amerykańską dziewczycę złożoną w ofierze na ołtarzu *bushido*.

* * *

Pokój nowożeńców został urządzony i umeblowany zgodnie z amerykańską modą. Emily miała wrażenie, że jest w Albany, a nie w Akaocze. Jej uwagę od razu przyciągnęło wielkie łożo z miękką koldrą, puchowymi poduszkami i jedwabnym białym prześcieradłem.

Stała przed lustrem wiszącym nad toaletką. Bez niepotrzebnej dumy czy fałszywej skromności mogła stwierdzić, że to, co zobaczyła, było ucieleśnieniem piękna i elegancji. Gdyby spoglądała na obcą dziewczynę, byłaby zachwycona jej niezmierną urodą. To tylko próżność... — pomyślała szybko. Człowiek i jego dzieło przemija tak szybko... Ale patrzyła na siebie, więc знаła całą prawdę. Pod maską spokoju dostrzegała zdumienie.

Uroczystość była wspaniała. Trudno to inaczej określić. Ze zdumieniem ujrzała wśród gości Charlesa i Roberta. Co więcej, zachowywali się wobec siebie całkiem grzecznie. Ich życzenia i gratulacje wyglądały na szczere. Oczywiście Robert był bardziej powściągliwy, za to Charles promieniał radością, jakby to on był panem młodym. Uroczystość celebrował holenderski kapłan, kalwin, od pokoleń związany z lennem Akaoka. Emily uznała to za dopust boży, że dotychczas nikt z rodu Okumichi nie został ewangelikiem. Genji przyjął chrzest na tydzień przed ślubem, mimo to nadal zachował prestiż wśród daimyo w całym

kraju. Na wesele przybyli wszyscy wielcy książęta z zachodniej Japonii, którzy sprzeciwiali się rządowi shogunów Tokugawa. Ale shogun również przystał swoich przedstawicieli. Obie frakcje podejmowano z takim samym szacunkiem.

Prawdę mówiąc, Emily pamiętała z tego zaledwie fragmenty uroczystości. Przebieg ceremonii oglądała jak przez mgłę. Była zbyt przejęta tym, co będzie potem.

Właśnie nadeszła pora... Już za kilka minut — dosłownie za chwilę — Genji uczyni ją swoją prawną małżonką. Na pewno oczekuje, że będzie mu posłuszna. Cała nadzieja w Bogu... — pomyślała. Nie chciała go zawieść, ale nie była pewna, jak się zachowa pod wpływem emocji. Bała się. Temu nie mogła zaprzeczyć.

Na co on czeka?

Chrześcijanie — nawet ci najgorsi — wierzyli, że intymny związek służy prokreacji. Nie było tu miejsca na zmysłową rozkosz. Wiara powstrzymywała ich od wyuzdania i bestialskich czynów. Niestety, Genji nie miał takich zahamowań. Po pierwsze, był Japończykiem, a jego krajanie nie zakazywali żadnych niecznych czynów dopóty, dopóki wiązały się z przyjemnością. Kobieta od początku musiała być posłuszna, choćby nawet kochanek nakłaniał ją do czegoś, co w pojęciu zachodnich praw i moralności było czystą perwersją, zboczeniem i zbrodnią.

Emily wiedziała o tym. Sześć lat spędzonych w Japonii okazało się dla niej bardzo dobrą lekcją. Początkowo słyszała zdawkowe uwagi z ust służących i pokojówek. Wynikało z nich, że intymne stosunki Japończyków pozbawione są najmniejszej krzyty moralności. Potem w zamkowej bibliotece zobaczyła bogatą kolekcję książek i zwojów, na które przedtem nie zwróciła uwagi. Już w pierwszej książce, wziętej zupełnie przypadkowo, odkryła serię sprośnych ilustracji, w przesadny sposób eksponujących ludzkie genitalia. Przerazona, szybko odłożyła ją na miejsce. Ale ta przygoda wryła się jej w pamięć. Po niespełna godzinie zebrała się na odwagę i sięgnęła po następną książkę. Nie zrobiła tego z ciekawości, ale po to, by lepiej poznać kulturę narodu i obyczaje swoich gospodarzy. Nie można znaleźć lekarstwa na nieznaną chorobę.

W drugiej książce znalazła zaledwie proste szkice, malowane tuszem, ale ich wymowa była jeszcze gorsza. Emily zobaczyła związane, nagie kobiety w przedziwnych, obscenicznych i bolesnych pozycjach. Nadal niezbyt dobrze czytała po japońsku, ale zrozumiała, że ma w ręku podręcznik tortur seksualnych.

Odłożyła książkę na miejsce i próbowała zająć się pracą. W następnych dniach kilkakrotnie próbowała porozmawiać o tym z Hanako. Ale jak porządna kobieta ma mówić o takich sprawach nawet z przyjaciółką? Czerwieniła się i słowa nie chciały przejść jej przez gardło. Nic z tego nie wyszło.

Hanako nie żyje. Emily została sama ze swymi myślami.

Początkowo wierzyła, że Bóg wskaże jej najlepszą drogę. Teraz, stojąc przed lustrem w przecudnej ślubnej sukni, miała pustkę w głowie. Nie wiedziała nic.

Zaczęła się rozbierać.

Czeka ją najgorsze. Przed nocą poślubną musi powiedzieć Genjiemu coś ważnego. Od samego początku pobytu w Japonii nieustannie kłamała, pozując na cnotliwą i nietkniętą pannę. To tylko pozory.

Nie jest dziewicą.

Chociaż nie ponosi za to żadnej winy, popełniła błąd, że do tej pory uparcie milczała. Wprawdzie miała wtedy niewiele lat i została brutalnie zmuszona do uległości, ale to w gruncie rzeczy niczego nie zmienia i nie zmniejsza jej poczucia wstydu. Dlaczego nie powiedziała Genjiemu przed ślubem? Chciała. Naprawdę chciała... ale nie znalazła okazji. Teraz musiała zdobyć się na szczerość, zanim mąż sam odkryje prawdę.

Jak się wtedy zachowa? Będzie milczał ze smutkiem, czy da upust złości?

Tylko raz widziała, jak Genji się rozgniewał.

Winowajca zapłacił za to głową.

* * *

Genji z ciężkim sercem szedł w stronę komnaty. Już nie myślał o wizji, narodzinach dziecka i śmierci Emily. Tę decyzję podjęli wspólnie, bez względu na skutki. Nie zaprzętał sobie tym głowy. Bał się zupełnie innej, o wiele bliższej chwili. Chwili, w której przyjdzie im skonsumować małżeństwo.

Od samego początku — już jako dwunastoletni chłopiec — miewał do czynienia wyłącznie z kobietami, które doskonale znały trudną sztukę miłości. Wszystkie, nawet dziewice — jak dwie konkubiny, które przywiózł na zamek — były wyszkolone i przygotowane do tego, by dawać rozkosz i pławić się w rozkoszy. Ich czystość wynikała wyłącznie z wyrachowania, bowiem każda liczyła na to, że będzie matką księcia. Miały jednak wiele okazji do miłości. On sam cieszył się opinią biegłego kochanka, co tylko po części odpowiadało prawdzie. Po prostu kroczył drogą wcześniej wyznaczoną przez odwieczną tradycję szlacheckich romansów. Kobiety, z którymi się spotykał, starały się sprostać tym oczekiwaniom. Jeśli coś poszło nie tak, brały winę na siebie, bo łóżko było ich lennem, miłość zaś arsenalem. Oczywiście Genji nie czekał beczynnym. Pobierał lekcje od prawdziwych mistrzyń i był pilnym uczniem. Nigdy jednak nie znał uczuć kochanki. Nie miał na to sposobu. Wzrastał więc w przekonaniu, że jest najlepszy.

Teraz stanął w obliczu niewesołych refleksji.

Zupełnie nie wiedział, co zrobić z kobietą, która nie poznała sztuki uwodzenia. Bardzo go to dręczyło — bardziej niż świadomość, że jego żona jest Amerykanką i chrześcijańską misjonarką.

* * *

Emily usłyszała pukanie do drzwi. Tylko Genji pukał. Inni zgodnie z tradycją głośno oznajmiali, że stoją w korytarzu. Genji robił to dla niej.

Dziewczyna była tak zdenerwowana, że ten prosty gest przyprawił ją o łzy wzruszenia. Chwilę trwało, zanim zdołała uspokoić się na tyle, żeby zawołać:

— Proszę!

Genji zobaczył ją leżącą w łóżku, nakrytą pod samą brodę. Miał nadzieję, że nie jest naga. Charles Smith twierdził, że Europejki i Amerykanki kochają się bez ubrań. Genji mu nie dowierzał. Smith lubił żartować i często plótł niestworzone rzeczy tylko po to, żeby szokować słuchaczy. Jedyną kobietą, która całkiem nago sypiała u boku Genjiego, była Heiko. Ale na tym zasadał się także jej buntowniczy urok. Inne, zgodnie

z tradycją, kładły się w uwodzicielsko rozchylonych kimonach. To należało do ich sztuki. A jak można mówić o sztuce przy całkowitej nagości?

Chyba że... Chyba że to jeszcze jeden aspekt ludzkiego życia, zupełnie inaczej widziany przez cudzoziemców. W japońskiej sztuce nagość nie istnieje. Nawet w erotycznych szkicach i rysunkach artyści odsłaniają jedynie pewne partie ciała. Tymczasem na Zachodzie nagość występuje na słynnych pomnikach i obrazach zdobiących rządowe budynki. A może Genji myli kulturę starożytnych Greków i Rzymian, niepotrzebnie odnosząc ją do Anglików i Amerykanów?

Usiadł po swojej stronie łóżka — Emily taktownie zajęła drugą połowę — i zaczął się rozbierać. Na ślub przyszedł ubrany po japońsku. Żona pytała go, czy ma włożyć weselne kimono, które znalazła w mongolskim kufrze. Genji powiedział: „nie”. Na pewno czułaby się w nim nieswojo. Poza tym... źle by wyglądała. Jej figura — wydatne piersi, wąska talia i szerokie biodra — nie pasowała do kimona. W ślubnej sukni wyglądała wręcz idealnie. To też dobra lekcja dla nas wszystkich... — z westchnieniem pomyślał Genji. Rzecz nie polega na naśladownictwie, ale na świadomej adaptacji.

Już chciał wsunąć się pod kóldrę, kiedy przypomniał sobie jeszcze jedną uwagę Smitha. Białe kobiety lubią kochać się po ciemku.

— Po ciemku? — Zapytał Genji. — To znaczy w nocy?

— Nie — odpowiedział Smith. — Po ciemku. Bez światła.

— Bez innego światła niż blask gwiazd i księżyca — domyślił się Genji.

— Nie — odpowiedział Smith. — W zamkniętym pokoju, przy zaciągniętych storach, bez żadnej lampki czy świecy.

— Ale przecież wtedy zupełnie nic nie widać! — Zaprotestował Genji.

— Właśnie — powiedział Smith.

Genji nie wierzył mu, ale już dawno się przekonał, że cudzoziemcy są zdolni do najdziwniejszych rzeczy.

— Zgaszę świecę — powiedział do Emily.

Myślała o tym, kiedy się rozbierał. Dzięki Bogu, że nie zdjął wszystkiego. Wprawdzie tęskniła za zasłoną mroku, lecz jed-

nocześnie trochę się jej bała. Rozpaczliwie szukała punktu zaczepienia — czegoś znajomego, żeby nie wpaść w panikę.

— Lepiej niech się pali... — szepnęła. Chciała widzieć twarz męża i czerpać z niej odwagę. Wiedziała, że za chwilę człowiek, którego zna, zniknie, dając upust zwierzęcym instynktom. Ale przedtem musi popatrzeć mu prosto w oczy i zobaczyć, ile ukrytej dobroci w nich drzemie.

Genji leżał koło niej, oparty na łokciu. Emily spoglądała na niego jak skazaniec, czekający na cios topora. Miłość naprawdę jest żartem bogów, skoro budzi takie przerażenie u kochanków.

Emily rozplotła włosy. Rozsypały się po poduszce niczym złote nici, którymi wyszywano najprzedniejszy brokat. Biała jedwabna pościel doskonale harmonizowała z jej jasną karnacją. Wyraziste rysy były tak niewinne; dziewczyna nie używała żadnych kosmetyków. Duże oczy, które niegdyś wydawały mu się dziwne, teraz emanowały niemal magiczną siłą, niczym bezkresne niebo i przestwór oceanu, opromieniony blaskiem dnia. Piękna... Jak kiedyś mógł myśleć inaczej? Chyba był ślepy.

Genji ostrożnie odrzucił koldrę. Emily wzdrygnęła się, ale zaraz odetchnęła z ulgą, widząc, że nie odkrył jej całkowicie. Miała na sobie nocne kimono. Pod błękitnym jedwabiem koloru jej oczu piersi falowały przyspieszonym rytmem.

Genji powoli przesunął dłonią wzdłuż jej ciała, od szyi do brzucha. Rozchylił poły kimona. Ciało dziewczyny było miękkie i rozpalone jak w gorączce. Rumieniec zaróżowił jej twarz i powieki.

Zaczęła oddychać szybciej. Odwróciła głowę.

Genji ujął ją pod brodę i zmusił, żeby znów na niego spojrziała.

— Mogę cię pocałować? — Spytał.

Nie przypuszczała, że odezwie się do niej tak cichym i nieśmiałym głosem. To było niemal ponad jej siły. Rozpłakała się.

— Tak — powiedziała i zamknęła oczy.

Pocałował ją — czule i delikatnie. Odczuła to niczym powiew ciepłego wiatru na swoich wargach, a jednak dziwny dreszcz przebiegł jej po plecach.

Musi mu powiedzieć. Musi wszystko wyznać, zanim cisza stanie się najgorszym kłamstwem.

— Nie jestem dziewicą — szepnęła.

— Ja też nie — odparł Genji i znów ją pocałował.

Opactwo Mushindo, 1953

Czasem, z samego rana, stara przełożona Jintoku budziła się w zupełnie innym miejscu i porze, niż zasnęła. Nie był to już dwudziesty siódmy rok panowania cesarza Shówa, ale piętnasty ery Meiji albo szósty Taisho, ale najczęściej dwudziesty pierwszy Komei. Makoto Stark po raz pierwszy przyjechał do opactwa właśnie w piętnastym roku ery Meiji. W szóstym Taisho Japonia była u szczytu potęgi, po zwycięskim zakończeniu wielkiej wojny. W dwudziestym pierwszym roku ery Komei rozegrała się druga bitwa pod Mushindo. Wtedy zginęła pani Hanako, ja zostałam przełożoną i... — myślała stara Jintoku. No, tak... Co jeszcze? Na pewno coś było... Zastanawiała się nad tym cały ranek, a potem zapomniała. Być może kiedyś sobie przypomni... A może nie? To i tak nieważne.

Cierpliwie siedziała na swojej poduszce. Po chwili przyszła jedna z młodszych mniszek. Przyproceedziła trójkę gości. W ciasnym pokoju brakowało miejsca dla tylu osób. Tym bardziej że goście przyszli z licznymi bagażami. Przynieśli nawet coś, co wyglądało na kamerę.

— Jesteś gotowa, czcigodna pani? — Zapytała mniszka.

— Zawsze jestem gotowa. Tym razem na co?

— Całkiem niezłe! — Wykrzyknął mężczyzna w modnym zachodnim garniturze. — Niech to powtórzy do kamery. Yas, ustaw się dokładnie tutaj.

Włosy miał obcięte zgodnie z modą, która przyjęła się za czasów amerykańskiej okupacji. Długie, lśniące jak u gangstera i jednocześnie jakby kobiece. Jintoku nie znała go, ale w ogóle jej się nie spodobał. Nie dlatego, że tak się nosił, ale ze względu na to, jak patrzył. Strzelał oczami na wszystkie strony. Podczas wielkiej wojny w taki sposób patrzyli wszyscy młodzi ludzie — ale nie tamtej wielkiej wojny, którą toczono przed

trzydziestu pięciu laty. To była wielka azjatycka wojna, teraz nazywana wojną na Pacyfiku lub drugą wojną światową. Tak kazali Amerykanie. Podczas tej wojny młodzi ludzie wciąż ginęli na okrętach lub w samolotach. Idąc na front, też rozglądali się błyszczącym wzrokiem, bo dawano im białe pastylki, by nie musieli jeść i spać. W ten sposób chętniej rzucali się na wroga, choćby równało się to samobójstwu.

— To będzie trudne — powiedziała mniszka.

— Dlaczego? — Spytała młoda kobieta.

Była ubrana bardzo podobnie do mężczyzny nielubianego przez Jintoku. Też kolorowo i po amerykańsku. Krótka spódnica odsłaniała jej raczej pulchne i niekształtne łydki. Twarz miała pokrytą grubym makijażem niczym dziwka z Ginzy. Włosy zwijały jej się w pierścionki. To była tak zwana trwała. Jintoku spoglądała na nią z nieukrywanym smutkiem. Podejrzewała, że to mężczyźni zrobili z niej takie czupiradło. Kobiety zawsze słuchają mężczyzn, choćby ich zachcianki wykraczały poza granice rozsądku i dobrego smaku. Przykre...

— Czcigodna przełożona nigdy nie powtarza niczego dwa razy — powiedziała mniszka.

— Przecież zadamy jej to samo pytanie — odparł mężczyzna.

— Ale odpowiedź będzie inna — wyjaśniła mniszka.

— Ma charakterek! — Roześmiał się mężczyzna, jakby Jintoku wcale tego nie słyszała. — Ale to też dobre. Mamy materiał do programu.

— Jakiego programu? — Zainteresowała się Jintoku.

— Nie pamiętasz, czcigodna pani? — Spytała mniszka. — To dziennikarze z telewizji NHK. Chcą przeprowadzić z tobą wywiad. Realizują program pod tytułem *Japońscy stulatkowie*. To w ramach obchodów pierwszej rocznicy zakończenia amerykańskiej okupacji.

— Tak, tak, czcigodna pani — powiedział dziennikarz. — Japonia znowu jest wolna.

— Japonia nigdy nie była wolna — odparła Jintoku. — Dawniej rządziła ją książęta. Teraz znów rządzą.

— Mam to — wtrącił się operator.

— Świetnie — ucieszył się dziennikarz. — Ale nie możemy tego wykorzystać. Zarzucą nam, że propagujemy militarizm.

— Ona nie wie, że feudalizm skończył się wiek temu? — Zapytała kobieta o wyglądzie dziwki.

— Czcigodna przełożona użyła przenośni — tłumaczyła mniszka. W zeszłym miesiącu była inna, ale nie wytrzymała ze starą Jintoku. Przysłali nową, bardzo młodą. Może posiedzi nieco dłużej.

— Wybierzmy jakiś bezpieczniejszy temat — zaproponował dziennikarz. — Czcigodna matko, jesteś jedną z najsłynniejszych osób w naszym kraju, które ukończyły setny rok życia. Jako założycielka opactwa Mushindo stanowisz pomost między nowoczesnością i naszymi najcenniejszymi tradycjami. W Japonii żyje więcej stulatków niż w innych krajach. Myślisz, pani, że to dlatego, iż jesteśmy tak uduchowieni?

— To raczej klątwa — odparła Jintoku. — Japończycy wolno się uczą. Wciąż popełniamy te same błędy. Wojna za wojną, ciągle zabijanie... Budda i bogowie skazali nas na długie życie, abyśmy mogli lepiej przemyśleć swoje błędy.

— Mam to — powiedział operator. — Ale chyba też się nie przyda.

— Dlaczego? — Spytał dziennikarz. — Skrucha i antimilitaryzm. Może być.

— Nikt nie powinien żyć tak długo — ciągnęła Jintoku. — Wszyscy, których znałam w młodości, umarli przed trzydziestu laty. Teraz nie mogę wszystkich lat poukładać na właściwych miejscach.

Operator pytającym wzrokiem zerknął na dziennikarza. Ten zatoczył palcem małe kółko, każąc mu dalej kręcić.

— Zatem religia stała się dla pani głównym pocieszeniem?

— Nic nie wiem o religii.

— Teraz przemawia przez panią skromność, czcigodna matko. Przecież od lat jest pani szanowana przez miliony wiernych. Tysiące ludzi przybywało do pani świątyni, szukając oświecenia.

— Niech pan mnie tylko nie oskarża o błędy rodaków — powiedziała Jintoku. — Mushindo uczy, jak pozbyć się niepo-

trzebnych złudzeń. To nie ma nic wspólnego z wiarą. To tylko praktyka. Zrobisz coś albo nie zrobisz... Bardzo łatwe. Każdy może wierzyć w to, w co zechce. Wiara nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

— Cóż... To chyba nowy punkt widzenia, czcigodna matko. Całkiem odmienny od tego, co na co dzień głoszą kapłani w największych japońskich świątyniach.

— Niezupełnie — odparła Jintoku. — Jeden z dawnych patriarchów zen ujął to dosadniej... A może to był mistrz kegon? Znane powiedzenie z czasów wojen opiumowych, kiedy Anglicy sprzedawali Chińczykom narkotyki, brzmi: „Religia to opium dla mas”.

Dziennikarz gwałtownie przesunął dłonią na wysokości gardła.

Operator uniósł głowę znad kamery.

— Przestałem kręcić już wcześniej, kiedy zaczęła mówić o angielskich handlarzach narkotykami.

— Niewiarygodne — mruknął dziennikarz. — W trzech zdaniach obraziła naszych brytyjskich przyjaciół, podała w wątpliwość nauki zen i kegon, i nawiązała do zakazanej chińskiej propagandy, lansowanej przez komunistów.

— Może zapytaj ją o książki — podpowiedziała kobieta z lokami na głowie i krwistoczerwoną szminką na ustach. — Wszyscy je uwielbiają.

— To prawda — przytaknął operator. — Wtedy nawiążesz do tradycji.

— Zgoda — westchnął dziennikarz, chociaż miał niewyraźną minę. — Fumi, pokaż jej kilka książek. Niech sobie coś przypomni.

Krzykliwie ubrana kobieta, której twarz była bardzo ładna pod grubą warstwą pudru, podała przełożonej kolorową książkę dla dzieci z wieloma ilustracjami. Była to baśń o Brzoskwiniowym Chłopcu, Momotaro, ludowym superbohaterze, zrodzonym z brzoskwini. Jintoku z zachwytem przyglądała się obrazkom. Nawet demony były sympatyczne.

— Ładna rzecz — powiedziała. — Dziękuję.

— Nie, nie... — wtrącił dziennikarz. — To pani kiedyś napisała tę książkę. Inne też. — Położył na stole pół tuzina

podobnych pozycji. — Były niezwykle popularne, zwłaszcza w okresie Meiji. Teraz, po zakończeniu okupacji, znów wszyscy je czytają. Moim zdaniem przypominają ludziom „stare dobre czasy”.

— To moje książki? — Jintoku spojrzała na następną. Baśń o księżniczce zamienionej w zółwia. — Nie wiedziałam, że umiem tak rysować. To smutne. Straciłam talent... Zupełnie tego nie pamiętam.

— Te książki wyszły spod pani pióra. To znaczy... są to stare baśnie, które pani napisała na nowo. Ilustracje zrobił ktoś inny. Ogrodnik ze świątyni. — Dziennikarz spojrzał na operatora. — Szkoda, że nie możemy z nim porozmawiać. To byłaby świetna historia.

— Chyba żeby mówił to samo co ona — westchnął operator.

— Goro to narysował? Dziennikarz odwrócił się do kobiety.

— Kto to jest Goro?

Popatrzyła w notatki i pokręciła głową.

— Nie wiem. Nie ma go na liście.

— Sprawdź to. — Znowu zwrócił się do Jintoku. — Nie pamięta pani ogrodnika? To był Amerykanin. Makoto Stark.

— Makoto? Makoto jest ogrodnikiem?

— Był, czcigodna matko. Zmarł przed wieloma laty.

— Biedny chłopak — ze łzami w oczach powiedziała Jintoku. Więc jego rana okazała się jednak śmiertelna? Chociaż ostatnio, kiedy go widziała, trzymał się całkiem nieźle. To był piętnasty rok ery Meiji, siedemdziesiąt jeden lat temu. Jeśli naprawdę robił ilustracje do bajek, to musiał przeżyć i umrzeć dużo później, z jakiejś innej przyczyny. Ale to smutne... W jej pamięci wciąż był młodzieńcem, więc żałowała go jako młodzieńca.

— No to możemy się pakować — oznajmił dziennikarz.

— Totalna kłapa? — Spytał operator.

— Nic z tych rzeczy — uśmiechnął się dziennikarz. — Pamiętaj, że masz przed sobą prawdziwego mistrza montażu. Wytniemy wszystkie smutne kawałki, zostawimy ją tylko, jak się śmieje. I bez wywiadu. Fumi dorzuci komentarz zza kadru. Wyjdzie naprawdę świetnie i miło. — Ukłonił się. — Bardzo

dziękuję, czcigodna matko. Damy znać, kiedy to pójdzie na antenę. Zobaczy pani siebie w telewizji.

— Widzę się codziennie we własnej osobie — odpowiedziała Jintoku. — Po co mi telewizja?

— Dziękujemy, że państwo przyszli — wtrąciła mniszka. — Proszę się na nią nie gniewać. Nie chciała być niegrzeczna. Z tego, co wiem, już jako dziecko mówiła wszystko prosto z mostu.

Jintoku popatrzyła na odchodzących gości. W tej samej chwili przypomniało jej się, o czym myślała rano. To było wczesną jesienią czternastego roku panowania cesarza Komei. Miała wtedy czternaście lat. Znalazła zwój ukryty pod starym kamieniem w minach świątyni. Najpierw chciała go dać pani Hanako, ale pani Hanako zginęła. Księżę Genji też go nie dostał... Dlaczego? Nie pamiętała. W każdym razie zwój został u niej przez te wszystkie lata. Przeczytałam go kiedyś? — Zastanawiała się Jintoku. Tego też nie wiedziała. Jeżeli nawet, to zdążyła zapomnieć, co w nim było. Pamiętała jednak, gdzie leżał. A może go przełożyła?

Stara przełożona Jintoku z trudem dźwignęła się na nogi i poszła na tył świątyni, do swojego pokoju. W połowie drogi usłyszała głos dobiegający sprzed frontowych drzwi.

— Babciu! Babciu! To my! — Krzyczał jakiś mały chłopiec.

Pewnie wśliznął się tuż po wyjściu dziennikarzy. Kto to może być? Chyba powinna znać ten głos. A może nie? Tyle ich było... Rząd Meiji zdecydował, że wszystkie buddyjskie mniszki muszą wyjść za mąż albo zrezygnować ze święceń. Jintoku wyszła za mąż. Nie chciała tego, ale musiała pozostać w świątyni, bo świątynia była całym jej życiem.

— Babciu! Gdzie jesteś?

Jeszcze jeden głos, tym razem dziewczynki. Tego też nie mogła rozpoznać. Za dużo ich... Wnuki, prawnuki, praprawnuki... A może nawet prapraprawnuki? Nie umiała wszystkich spamiętać. Kiedyś na pewno miała lepszą pamięć. A może nie?

— Idę! — Krzyknęła.

Stara przełożona Jintoku, kiedyś Kimi, najmądrzejsza dziewczynka we wsi Yamanaka, odwróciła się i zaskakująco energicznym jak na stulatkę krokiem poszła przywitać się z dziećmi.

O czym myślała jeszcze chwilę temu? Nieważne.
Gdyby to było coś ważnego, na pewno by nie zapomniała.

Główna baszta zamku Chmara Wróbli, 1311

Shizuka czekała na Go.

Ze smutkiem myślała o świecie. Ludzie są głupcami, a największymi głupcami wśród ludzi są samuraje. Niestety, to samuraje rządzą tragiczną ziemią Yamato. Cenią rzeczy, które zatruwają im umysł i ciało.

Władzę nad ludźmi, ptakami i zwierzętami, nad żoną i dziećmi, nad kochanką, domem, zamkiem, lennem i cesarstwem.

Bogactwo w złocie, wasalach, konkubinach, polach ryżowych, łąkach, górskich dolinach, rzekach, bibelotach z egzotycznych i odległych krajów, przedmiotach, które nie mają praktycznie żadnej wartości poza tym, że pochodzą z zagranicy.

Sławę pośród sąsiadów, demonstracyjnie objawianą poprzez szacunek niższych warstw społeczeństwa. Wojenną chwałę, uwiecznioną w licznych opowieściach, pęczniejących, im częściej i dłużej je opowiadano.

Zwycięstwo w bitwie.

Chwalebna śmierć.

Słynne nazwisko, wspominane przez stulecia.

Banalne piękno księżycowego blasku i spadających kwiatów.

Muzykę miecza dobywanego z pochwy, świst lecącej strzały, tętent kopyt bojowych rumaków ruszających do szaleńczej szarży, bitewny zgiełk, wrzask rannych i umierających, płacz matek, żon i córek zamordowanych wrogów, szum krwi. Zawsze szum krwi.

A przede wszystkim strach.

Strach, który budzi nienawiść w sercach wrogów.

Strach, który skłania lenników do posłuszeństwa.

Strach, który zmusza kobiety do uległości.

Shizuka nasłuchiwała odgłosów walki na schodach. Jej dworki były bardzo dzielne. Za młode, by umierać... Ale z wyjątkiem jednej wszystkie zginą. Zatrzymają wroga na tyle długo, żeby zyskała więcej czasu.

Ktoś otworzył drzwi — ale nie z głośnym trzaskiem, jak się spodziewała, tylko powoli, niemal delikatnie. W progu stanął ubrudzony krwią Go. Sam odniósł tylko powierzchowne rany. To była krew jego przeciwniczek. Spojrzał na sufit i wybuchnął śmiechem.

— Bardzo sprytnie. Twój niewolnik podwyższył tę komnatę, żebyś mogła łatwiej wymachiwać włócznią. Zapomniałem o tym. Ale to już nieważne, wiédźmo. Zginiesz. Sam odbiorę ci życie tym oto mieczem. — Odsunął do końca drzwi i wszedł do komnaty.

Shizuka patrzyła mu prosto w oczy — lecz mimo to widziała każdy ruch jego miecza, stóp i ramion. *Naginatę* trzymała nisko, jakby w ten sposób chciała sprowokować go do ataku. Ale Go nie dał się nabrać na tak prostą sztuczkę. Shizuka czekała zatem na fintę, żeby przejść do kontrataku. Nie mogła zbyt szybko umrzeć.

— Co teraz powiesz, fałszywa wróżko? — Zapytał Go. — Widzisz nadchodzącą śmierć?

— To już koniec — odparła Shizuka.

— Tak... Koniec zrodzony na początku. Żeby to wiedzieć, nie trzeba być prorokiem.

— Bywa początek, który rodzi się na samym końcu — odparła Shizuka.

— Nie pocieszaj się złudną nadzieją, czarownico. — Go wskazał sztychem miecza jej wydatny brzuch. — Dziecko umrze pierwsze.

Zrobił głęboki wypad. Shizuka zrobiła krok w lewo i odbiła pchnięcie. Ale to był tylko pozorny atak. Go wiedział, że zechce bronić dziecka. Kiedy tylko poruszyła włócznią, machnął mieczem w górę i trafił ją prosto w gardło. W ostatniej chwili odsunęła głowę, bo inaczej cios przeciąłby jej aortę, a nie tylko rozerwał skórę.

— Spalę twoje zwłoki i rozsypię prochy nad gnojówką — uśmiechnął się Go. — Twoją głowę zamknę w żelaznej skrzyni, zaleję ługiem i zatopię w bagnach na północ od Jeziora Białych Kamieni. Już nigdy się nie odrodzisz.

— Od początku do końca byłeś i jesteś głupcem — syknęła Shizuka. Nie zwracała uwagi na krew płynącą jej po szyi. — Nie dostrzegasz prawdy, chociaż masz ją w zasięgu ręki.

Go przesunął się w prawo.

Shizuka machnęła włócznią, jakby chciała go zatrzymać, a kiedy skoczył w lewo, końcem drzewca uderzyła go w nieosłonięte miejsce pod kolanem. Upadł. Ostrze włóczni rozcięło mu biodro. Zdążył jednak przetoczyć się na bok. Rana nie była groźna. Chwilę później znów twardo stał na nogach.

Shizuka usłyszała za sobą hałas. Obejrzała się i zobaczyła, że jeden z nieprzyjaciół próbuje wejść przez okno. Widocznie wspiał się po wieży. Go wykorzystał ten moment nieuwagi i ponowił atak. Tym razem trafił ją w lewe ramię. Ostrze przecięło mięśnie i ścięgna i dotarło do samej kości. Shizuka opuściła *naginatę*. Musiała użyć całej siły, jaka jej pozostała w prawym ręku, żeby ponownie stanąć w bojowej pozycji.

— Nie przewidziałś tego, czarownico?

Shizuka odsunęła się od obu przeciwników. Nie mogła cofnąć się pod samą ścianę, bo straciłaby swobodę ruchów. Mimo to, osłabiona upływem krwi, z bezwładną lewą ręką, stanowiła dość łatwy cel dla ich mieczy.

Spojrzała w oczy Nurdżena, jakby chciała przewiercić go wzrokiem.

— Wnuczka pomodli się za spokój twojej duszy — powiedziała.

Na chwilę zamarł pod jej spojrzeniem. Drugi wojownik, zdumiony jej słowami, niepewnie zerknął na swego pana. Cios Shizuki trafił go pod brodę, a ostrze poszło wyżej, rozcinając twarz na dwoje. Wydał ostatni krótki okrzyk i padł na ziemię. Ale Go już zdążył otrząsnąć się z odrętwienia. Zanim Shizuka się cofnęła, przypuścił gwałtowny atak. Poczula ból w plecach i trzask pękających żeber.

Upadła na kolana. Wiedziała, że się nie podniesie. W komnacie rozległ się szum deszczu. To jej krew kapła dużymi kroplami.

Naginaya leżała na podłodze. Shizuka nie miała siły jej udźwignąć. Mocno oparła się o drzewce, żeby nie upaść.

Go podszedł bliżej i uniósł miecz, aby ściąć jej głowę.

— Nie!

Cios Ayame trafił go pod prawą pachę. Odwrócił się — i za dziewczyną zobaczył swojego syna. Chiaki stał w drzwiach z zakrwawionym mieczem w ręku.

— Ojczy! Co robisz?!

— Nie podchodź! — Krzyknął Go. Znów spojrzał na Shizukę.

— Giń!

Miecz świsnął nad jej szyją.
I zamarł w powietrzu.

Chiaki pchnął ojca w plecy tak silnie, że ostrze wyszło piersią. Struga krwi chlusnęła na podłogę, Shizukę i ścianę.

Chiaki wyrwał miecz z ciała ojca i niemal tym samym ruchem gładko odrąbał mu głowę.

— Zdrajca!

Podniósł głowę z podłogi i z nienawiścią wyrzucił przez najbliższe okno.

— Zdrajca! — Powtórzył.

— Pani! — Ayame podtrzymała chwiejącą się Shizukę. Obie były we krwi. — Pani!

Do komnaty wpadli żołnierze Chiakiego.

— Zdrajcy ustępują pola, panie. Ale nie na długo.

Chiaki z płaczem rzucił się na kolana obok Shizuki i Ayame.

— Pani... — szepnął. — Shizuko... — Szlochał tak głośno, że z trudem dawało się rozróżnić poszczególne słowa.

— Zrób to — jęknęła Shizuka do Ayame. — Sama nie dam rady.

— Nie — odparła dziewczyna. — Spróbuj, pani. Musisz...

— Ayame... Zawsze byłaś nad podziw odważna. Jeśli mi nie pomożesz, Sen umrze razem ze mną. — Wyjęła nóż z pasa i wcisnęła go w rękę przyjaciółki.

Gwałtowny dreszcz wstrząsnął ciałem dziewczyny. Przymknęła oczy, zachwiała się, ale nie upadła.

— Zabierz swoich ludzi i wyjdźcie z komnaty — powiedziała do Chiakiego. — Mężczyznom nie wolno oglądać porodu.

— Zazwyczaj tak, ale teraz ktoś musi być z tobą.

— Nie. Odejdź.

— Zrób, co mówi — dodała Shizuka. Dyszała ciężko. Wkrótce już nie będzie miała siły, żeby w ogóle wciągnąć powietrze w płuca.

— Tak, pani — usłyszała głos żołnierzy. — Jak rozkażesz.

Ayame wyciągnęła nóż z pochwy.

Shizuka nie czuła nic, kiedy rozcinała kolejne warstwy jej kimona. Nie czuła noża, który zagłębił się w jej ciele. Nie czuła tryskającej krwi ani bólu, kiedy noworodek opuszczał jej łono. Wszystko widziała jak przez mgłę. Słyszała odległe głosy. Inne zmysły ją opuściły.

Rozległ się pierwszy krzyk dziecka. Nawet z daleka brzmiał zdrowo i donośnie. Shizuka uśmiechnęła się.

— Twoja córka, pani. — Ayame przyłożyła jej coś do piersi i przytrzymała chwilę. Było ciepło, wrzeszczące, żywe i bardzo ciężkie.

Shizuka poczuła głuche uderzenia — ciche, ale wyraźne, dudniące jednostajnym rytmem, jak zapowiedź trzęsienia ziemi.

To biło serce jej małej córki.

Shizuka nie mogła poruszyć rękami. Nie będzie uścisków, pierwszych i ostatnich... Wydawało jej się, że czuje ciepło małego ciała, ale to było tylko złudzenie. Nie czuła już niczego.

— Sen... — powiedziała.

* * *

Oddział liczył trzydzieści jeden osób: trzydziestu samurajów i jedną damę dworu. Jechali na północny zachód, wokół przylądka Muroto, do ukrytych przełęczy w górach wyspy Shikoku. Za nimi został płonący zamek Chmara Wróbli, tysiące wrogów, prochy pana i pani, bezgłowe ciała zdrajców i morderców.

Ayame siedziała w siodle jak samuraj. Musiała być twarda. W ramionach trzymała małą Sen. Wkrótce zamierzała powiedzieć Chiakiemu o przepowiedni pani Shizuki. Syn Ayame, adoptowany przez klan Okumichi jeszcze przed poczęciem, miał być następnym księciem Akaoki. Mężem Sen.

Wkrótce zamierzała powiedzieć o tym Chiakiemu... Ale nie teraz. Za bardzo to wszystko przeżył. Żałował ojca, którego kochał, a który okazał się zdrajcą. Żałował swego pana, wspaniałego wodza, który kiedyś mógłby być shogunem.

Ale najbardziej, tak jak Ayame, żałował pani Shizuki.
Zanim zjechali w dolinę za ostatnim wzgórzem, Ayame
spojrzała za siebie.

Nie zobaczyła Chmary Wróbli. Zamek był za daleko. Nie
widziała nawet chmury dymu wiszącej nad ogniem.

Mały oddziałek szybko pokonał resztę drogi.

Wkrótce wszystko dokoła było takie jak zawsze.

Zielone sosny na przylądku Muroto.

W górze niebo.

A w dole ziemia.

*Poznaj przemijający świat samurajów ukazany w
głosnej powieści Takashiego Matsuoki*

CHMARA WRÓBLI

Epicka opowieść samurajska z wątkiem niemożliwej miłości, nawiązująca klimatem do słynnego *Shoguna* Jamesa Clavella. Ukazuje XIX-wieczną Japonię, świat samurajów, gejsz, zabójców ninja i mistrzów zen.

Japonia, rok 1861, czasy rządów shoguna. Do portu Edo, stolicy kraju, przybywa troje amerykańskich misjonarzy — świętobliwy Zeph Cromwell w towarzystwie pięknej narzeczonej Emily Gibson i byłego rewolwerowca Matthew Starka, uciekającego przed własną przeszłością. Ich gospodarzem jest książę Genji, przywódca klanu Okumichi, władca Akaoki. Niechętny cudzoziemcom szef tajnej policji shogunatu chce zgładzić Genji'ego, licząc na to, że śmierć młodego księcia osłabi prozachodnie stronnictwo w radzie dworskiej. Do wykonania wyroku zostaje wyznaczona niezwyklej urody gejsza Heiko, kochanka księcia, potajemnie wychowana przez ninja. Przeczując spisek, obdarzony darem jasnowidzenia Genji ucieka z Edo wraz ze swoimi gośćmi i stryjem Shigeru — legendarnym samurajem, a zarazem szaleńcem i mordercą, który pozbawił życia własną rodzinę. Przez zaśnieżone góry i wrogą prowincję przedziera się do odległej fortecy, zwanej Chmarą Wróbli. Dręczą go wizje świata, w którym dla samurajów nie będzie już miejsca ...

